

Borys Pasternak

Doktor Żywago

Warszawa 1995
Przełożyła
Ewa Rojewska-Olejarczuk

Księga pierwsza

Część pierwsza

Pospieszny o piątej

1

Szli i szli, śpiewając „Wieczne odpoczywanie”, a kiedy milkli, zdawało się, że nadal śpiewają odruchowo nogi, konie, porywy wiatru.

Przechodnie przepuszczali kondukt, liczyli wieńce, żegnali się. Ciekawscy przyłączali się do orszaku, pytali: „Kto umarł?” Odpowiadano im: „Żywago”. – „Ach tak, rozumiem”. – „Ale nie on, ona.” – „To wszystko jedno. Niech spoczywa w pokoju. Bogaty pogrzeb.”

Przemykały bezpowrotnie ostatnie nieliczne minuty. „...pańska jest ziemia i napełnienie jej, okręg ziemi i wszyscy, którzy mieszkają na nim.”¹ Duchowny, robiąc znak krzyża, rzucił garść ziemi na Marię Nikołajewnę. Zaśpiewano „*Z duszami sprawiedliwych*”. Zaczął się straszny pośpiech. Trumnę zamknięto, zabito gwoździami, zaczęto opuszczać do grobu. Zadudnił deszcz brył, którymi pośpiesznie, czterema łopatami, zasypywano mogiłę. Wkrótce wyrósł na niej pagórek ziemi, na którym stanął dziesięcioletni chłopczyk.

Tylko w stanie otępienia i zubożenia, jaki ogarnia żałobników pod koniec uroczystego pogrzebu, mogło się komuś wydawać, że chłopiec chce wygłosić mowę nad grobem matki.

Podniósł głowę i niewidzącym spojrzeniem obrzucił jesienne pustkowie i kopuły klasztoru. Jego perkatonosą buzię wykrzywił grymas. Szyja się wygięła. Gdyby takim ruchem podniósł łeb wilczek, byłoby jasne, że zaraz zawyje. Chłopiec zasłonił twarz rękami i załkał. Nadciągająca chmura jęła chłostać go po rękach i twarzy mokrymi biczami zimnej ulewy. Do grobu zbliżył się mężczyzna w czerni, z zakładkami na wąskich, obcisłych rękawach. Był to brat zmarłej i wuj płaczącego chłopca, były duchowny, na własną prośbę zwolniony ze święceń, Mikołaj Nikołajewicz Wiedeniapin. Podszedł do chłopca i wyprowadził go z cmentarza.

2

Nocowali w klasztorze, w pokoiku, który zaproponowano wujowi po starej znajomości. Była wigilia Pokrowy. Nazajutrz mieli wyjechać z wujem daleko na południe, do jednego z gubernialnych miast Powołża, gdzie ojciec Mikołaj pracował w redakcji miejscowej postępowej gazety. Bilety na pociąg były kupione, rzeczy

¹ Ps. 23, 1. Wszystkie cytaty z Pisma Świętego w przekładzie J. Wujka.

spakowane i stały w celi. Z leżącego w pobliżu dworca wiatr przynosił płaczliwe pogwizdywania manewrujących parowozów.

Pod wieczór znacznie się ochłodziło. Dwa umieszczone na poziomie ziemi okna wychodziły na kawałek niepozornego ogrodu, obsadzonego krzewami żółtej akacji, na zamarznięte kałuże drogi i na ten kraniec cmentarza, na którym tego dnia pochowano Marię Nikołajewną. Ogród był pusty, jeśli nie liczyć kilku mieniących się jak mora grzęd posiniałej z zimna kapusty. Kiedy nadlatywał wiatr, nagie krzewy akacji szamotały się jak szalone i kładły się na drodze.

W nocy zbudziło Jurę stukanie do okna. Ciemna cela była niesamowicie oświetlona białym drgającym blaskiem. Jura w samej koszuli podbiegł do okna i przywarł twarzą do zimnej szyby.

Za oknem nie było ani drogi, ani cmentarza, ani ogrodu. Na dworze szalała zamieć, w powietrzu dymił śnieg. Można było pomyśleć, że burza spostrzegła Jurę i wiedząc, jaką budzi grozę, lubuje się wywieranym na chłopcu wrażeniem. Świstała, wyła i na wszelkie sposoby starała się przyciągnąć jego uwagę. Z nieba zwój za zwojem spływały nie kończące się bele białej materii, spowijając ziemię pogrzebowymi całunami. Na całym świecie nic nie mogło się jej przeciwstawić.

Pierwszą myślą Jury, kiedy zszedł z parapetu, było pragnienie ubrania się i wybiegnięcia na dwór, żeby coś zrobić. To obawiał się, że śnieg zasypie klasztorną kapustę i nikt jej nie odkopie, to znów, że w polu zasypie mamę, a ona nie będzie miała sił się temu oprzeć i odejdzie w ziemię, w głąb, jeszcze dalej od niego.

Znowu wszystko skończyło się płaczem. Zbudził się wujek, mówił mu o Chrystusie i pocieszał, a potem ziewał, podchodził do okna i stał zamyślony. Zaczęli się ubierać. Świtało.

3

Dopóki żyła matka, Jura nie wiedział, że ojciec dawno ich porzucił, że rozjeżdża po rozmaitych miastach Syberii i zagranicy, hula i nurza się w rozpuście, i że dawno przeputał i rozrzucił na wiatr ich milionowy majątek. Zawsze mówiono Jurze, że ojciec jest w Petersburgu czy też na jakimś jarmarku, najczęściej w Irbicie.

Potem zaś okazało się, że zawsze chorowita matka ma suchoty. Zaczęła jeździć na kurację na południe Francji i do północnych Włoch, dokąd Jura dwa razy jej towarzyszył. W takim zamęcie i pośród ciągłych zagadek minęło dzieciństwo Jury, często pod opieką wciąż się zmieniających obcych ludzi. Przywykł do tych zmian i w tej sytuacji wiecznego chaosu nie dziwiła go nieobecność ojca.

Pamiętał z najwcześniejszego dzieciństwa, że wówczas nazwiskiem, które nosił, nazywano całe mnóstwo najróżniejszych rzeczy. Była manufaktura Żywagi, bank Żywagi, kamienice Żywagi, sposób wiązania krawata i przepinania go szpilką á la Żywago, nawet jakiś okrągły placek, rodzaj rumowej baby, nosił nazwę Żywago; był taki czas, kiedy mogłeś krzyknąć moskiewskiemu dorożkarzowi: „do Żywagi!”, zupełnie tak jak „gdzie diabeł mówi dobranoc”, i woźnica unosił cię w saniach za siódmą górę i rzekę. Ze wszystkich stron otaczał cię cichy park. Na obwisłych

gałęziach świerków, osypując z nich szron, siadały wrony. Wokół rozlegało się ich krakanie, donośne jak trzask łamiącego się sęka. Z nowych budynków za przesieką wybiegały na drogę rasowe psy. Zapalały się tam światła. Zapadał wieczór.

Nagle wszystko to rozsypało się w gruzy. Żywagowie zubożeli.

4

Latem tysiąc dziewięćset trzeciego roku tarantasem zaprzężonym w parę koni Jura i wuj jechali przez pola do Duplanki, majątku fabrykanta jedwabiu i wielkiego mecenasa sztuki Kołogriwowa, do pedagoga i popularyzatora pożytecznych gałęzi wiedzy, Iwana Iwanowicza Woskobojnikowa.

Było Matki Boskiej Kazańskiej, środek zniw. Z powodu pory obiadowej, a może z uwagi na święto, w polu nie było żywej duszy. Słońce paliło nie dożęte łany jak nie dogolone aresztanckie karki. Nad polami krążyło ptactwo. Pszenica, pochylając kłosa, prężyła się na baczność w bezwietrznym powietrzu albo, ustawiona w mendle, sterczała z dala od drogi, kiedy się na nią długo patrzyło, przybierała wygląd poruszających się sylwetek, jak gdyby skrajem widnokregu chodzili geometryści i coś zapisywali.

– A te – pytał Mikołaj Nikołajewicz Pawła, robotnika i dozorcę z wydawnictwa, który siedział na koźle bokiem, zgarbiony i z nogą na nogę, chcąc podkreślić, że nie jest zawodowym woźnicą i powozi tylko przypadkiem – a te są czyje, dziedzica czy chłopskie?

– Te dziedzica – odpowiadał Paweł i zapalał papierosa – a znowuż te – po długiej pauzie, w czasie której zaciągał się głęboko, wskazywał końcem bata w drugą stronę – te ichnie. No co, pospałyście się? – pokrzykiwał co chwila na konie, na których zady i ogony zerkał z ukosa niby maszynista na manometry.

Ale konie ciągnęły jak wszystkie konie na świecie, to jest dyszlowy biegł z gorliwością właściwą jego prostej naturze, przyprzężna zaś robiła na nie wtajemniczonych wrażenie patentowanego lenia, co to tylko by się wyginał jak łabędź, płasając w takt brzęczenia dzwoneczków, które sam rozhuśtał swymi podskokami.

Mikołaj Nikołajewicz wioził Woskobojnikowowi korektę jego książki o problemach agrarnych, którą wydawnictwo poleciło jeszcze raz przejrzeć z uwagi na wzmożoną ostatnio cenzurę.

– Burzy się naród w powiecie – mówił Mikołaj Nikołajewicz. – W gminie pańkowskiej zarżnęli kupca, marszałkowi ziemskiemu spalili stadninę. Co o tym myślisz? Co się mówi u was na wsi?

Okazało się jednak, że Paweł widzi te sprawy w jeszcze ciemniejszych barwach niż nawet cenzor, który powściągał agrarne namiętności Woskobojnikowa.

– Co się mówi? Rozpuścili naród. Swawola, powiadają. Czyż to z naszym ludem tak można? Daj chłopom swobodę, to się wszyscy wymordują, jak Bóg na niebie. Pospałyście się, czy co?

Była to druga podróż wuja i siostrzeńca do Duplanki. Jura myślał, że pamięta drogę, i za każdym razem, gdy pola rozbiegały się wszcz, objęte z tyłu i z przodu cienkim szlaczkiem lasu, zdawało mu się, że rozpoznaje miejsce, w którym droga powinna skręcić w prawo, a za zakrętem ukaże się i po chwili zniknie dziesięciowiorstwowa panorama majątku Kołogriwowa z połyskującą w oddali rzeką i przecinającymi ją torami kolei. Za każdym razem jednak się mylił. Kończyły się jedne pola i zaczynały następne. Znowu i znowu otaczały je lasy. Te ciągłe zmiany rozległego krajobrazu budziły wzniosłe myśli. Miało się ochotę marzyć i rozmyślać o przyszłości.

Żadna z książek, które rozślawiły później Mikołaja Nikołajewicza, nie była jeszcze napisana. Ale koncepcje miał sprecyzowane. Nie wiedział tylko, jak bliski jest jego czas.

Już niedługo pośród przedstawicieli ówczesnej literatury, profesorów uniwersytetu i filozofów rewolucji miał się pojawić człowiek, który myślał na temat wszystkich nurtujących ich spraw i który, oprócz terminologii, nie miał z nimi nic wspólnego. Wszyscy oni jak jeden mąż trwali przy jakimś jednym dogmacie i zadowalali się słowami i pozorami, a ojciec Mikołaj był duchownym, który miał za sobą idee Tołstoja i rewolucję, i kroczył wciąż dalej. Pragnął myśli, uskrzydłonej i rzeczowej, która dążąc naprzód, torowałaby prawdziwie wyraźną drogę i coś zmieniała na lepsze, i która byłaby dostrzegalna nawet dla dziecka czy nieuka jak światło błyskawicy czy odgłos przetaczającego się gromu. Pragnął nowego.

Jura dobrze się czuł z wujem. Wuj był podobny do mamy. Tak jak ona, był człowiekiem swobodnej myśli, pozbawionym uprzedzeń wobec rzeczy i spraw niezwykłych. Posiadał, tak jak i ona, owo szlacheckie poczucie równości ze wszystkim, co żyje. Tak jak ona rozumiał wszystko od razu i potrafił wyrażać myśli w tej formie, w jakiej przychodzą do głowy w pierwszej chwili, kiedy są jeszcze żywe i nie utraciły sensu.

Jura był rad, że wuj zabrał go do Duplanki. Było tam bardzo ładnie i malowniczość tego miejsca także przypominała chłopcu mamę, która lubiła przyrodę i często zabierała go ze sobą na spacer. Prócz tego cieszył się, że znów zobaczy Nikę Dudorowa, mieszkającego u Woskoboynikowa gimnazjalistę, który na pewno Jurę lekceważył, gdyż był o dwa lata starszy, a przy powitaniu silnie szarpał rękę w dół i tak nisko pochylał głowę, że włosy spadały mu na czoło, do połowy zasłaniając twarz.

5

– Żywotnym elementem problemu pauperyzmu... – czytał Mikołaj Nikołajewicz z poprawionego maszynopisu.

– Myślę, że lepiej będzie „istotą” – mówił Iwan Iwanowicz i nanosił na korektę odpowiednią poprawkę.

Pracowali w półmroku oszklonej werandy. Oko rozróżniało poniewierające się w nieładzie konewki i narzędzia ogrodnicze. Na oparciu połamanego krzesła wisiał

płaszcz przeciwdeszczowy. W kącie stały gumiaki z przyschniętym błotem i zwisającymi do podłogi cholewami.

– Tymczasem statystyka zgonów i narodzin wskazuje... – dyktował Mikołaj Nikołajewicz.

– Trzeba wstawić „w omawianym roku” – mówił Iwan Iwanowicz i zapisywał.

Na werandzie był lekki przeciąg. Arkusze broszury przyciśnięto kawałkami granitu, żeby nie sfrunęły.

Kiedy skończyli, Mikołaj Nikołajewicz zaczął się zbierać do domu.

– Burza nadciąga. Trzeba jechać.

– Mowy nie ma. Nie puszczę pana. Zaraz będzie herbata.

– Przed wieczorem muszę koniecznie być w mieście.

– Nie pomogą żadne tłumaczenia. Nie chcę o tym słyszeć.

Z ogródka zalatywało dymkiem z samowara, który tłumiał zapach tytoniu i heliotropu. Przenoszono tam z oficyny kajmak, jagody i serowe ciastka. Nagle okazało się, że Paweł poszedł się kąpać i zabrał nad rzekę konie. Mikołaj Nikołajewicz musiał pogodzić się z losem.

– Chodźmy nad urwisko, posiedzimy na ławeczce, zanim nakryją do herbaty – zaproponował Iwan Iwanowicz.

Iwan Iwanowicz na prawach przyjaźni zajmował u bogacza Kołogriwowa dwa pokoje w oficynie rządcy. Domek ów z przytykającym doń ogródkiem leżał w tylnej, zapuszczonej części parku ze starą, półokrągłą aleją wjazdową. Aleja była gęsto zarośnięta trawą. Nie było na niej teraz ruchu, wożono tylko ziemię i gruz do wąwozu, który służył za wysypisko. Kołogriwow, człowiek o postępowych poglądach, sympatyk rewolucji, obecnie wraz z żoną przebywał za granicą. W majątku mieszkały tylko jego córki Nadia i Lipa z guwernantką i niewielką liczbą służby.

Sadek rządcy był odgradzony od całego parku, jego stawów, łączek i dworu żywopłotem z czarnej kaliny. Iwan Iwanowicz i Mikołaj Nikołajewicz obchodzili te zarośla od zewnątrz; w miarę jak posuwali się naprzód, w równych odstępach czasu aż kipiało w kalinach. Trzepot skrzydeł napępiał zarośla jednostajnym szumem, jak gdyby przed idącymi wzdłuż żywopłotu płynęła rurami woda.

Szli obok oranżerii, mieszkania ogrodnika i kamiennych ruin o nieznanym przeznaczeniu. Rozmawiali o nowych młodych siłach w nauce i literaturze.

– Trafiają się ludzie utalentowani – mówił Mikołaj Nikołajewicz. – Ale obecnie bardzo się rozpowszechniły różne kółka i stowarzyszenia. Wszelkie stadne skupiska to azyl dla beztalenci, bez względu na to, czy są zwolennikami Sołowjowa, Kanta czy Marksa. Prawdy szukają tylko samotnicy i zrywają ze wszystkimi, którzy kochają ją niedostatecznie. Czy istnieje na świecie coś, co zasługiwałoby na wierność? Takich rzeczy jest bardzo mało. Ja uważam, że trzeba być wiernym nieśmiertelności, tej drugiej, silniejszej formie życia. Trzeba zachować wierność wobec nieśmiertelności, trzeba być wiernym Chrystusowi! Ach, krzywi się pan, mój biedaku. Znowu pan nic nie rozumie.

– M-taak – mruzczał Iwan Iwanowicz, cienki jak węgorz blondyn ze złośliwą bródką, która upodabniała go do Amerykanina z czasów Lincolna (co chwila chwycił ją garścią i wtykał jej koniec do ust). – Oczywiście nic nie mówię. Wie pan przecież, że patrzę na te sprawy zupełnie inaczej. A propos. Niech pan opowie, jak pana zwolnili od święceń. Już dawno chciałem o to zapytać. Pewnie pana potępili? Obłożyli klątwą, co?

– Dlaczego pan zmienia temat? A zresztą dobrze. Klątwa? Nie, teraz się tego nie robi. Były nieprzyjemności, do dziś są następstwa. Na przykład przez dłuższy czas nie mogę wstąpić na służbę państwową. Nie wpuszczają mnie do stolicy. Ale to wszystko głupstwa. Wróćmy do naszej rozmowy. Powiedziałem, że trzeba być wiernym Chrystusowi. Zaraz to wyjaśnię. Pan nie rozumie, że można być ateistą, można nie wiedzieć, czy Bóg istnieje, a jeżeli tak, to po co, a jednocześnie wiedzieć, że człowiek jest osadzony nie w przyrodzie, lecz w historii, i że w dzisiejszym rozumieniu historia została stworzona przez Chrystusa, że właśnie Ewangelia jest jej początkiem. A cóż to jest historia? To wytyczenie trwających przez wieki prac, poświęconych rozwiązaniu zagadki śmierci i pokonaniu jej w przyszłości. Po to odkrywa się matematyczne nieskończoności i fale elektromagnetyczne, po to pisze się symfonie. Nie sposób iść naprzód w tym kierunku bez pewnego wzlotu duszy. Odkryciom tym niezbędne jest wyposażenie duchowe. Przesłanki do tego zawarte są w Ewangelii. Oto one: po pierwsze, miłość bliźniego, ten najwyższy rodzaj żywej energii, przepełniającej serce człowieka i domagającej się ujęcia i rozprzestrzeniania, następnie zaś to główne części składowe współczesnego człowieka, bez których jest on nie do pomyślenia, a mianowicie idea wolności osobistej i idea życia jako ofiary. Proszę wziąć pod uwagę, że do tej pory jest to absolutna nowość. Historia w tym rozumieniu w starożytności nie istniała. Tam były tylko ohydne sangwiniczne wybuchy okrutnych, pooranych ospą Kaligulów, którzy nie mieli pojęcia, jak niedołączny jest każdy ciemiezca. Tam była chełpliwa martwa wieczność brązowych pomników i marmurowych kolumn. Stulecia i pokolenia dopiero po Chrystusie odetchnęły swobodnie. Dopiero po Chrystusie zaczęto żyć dla potomności i teraz człowiek nie umiera na ulicy pod płotem, ale u siebie w historii, w toku prac poświęconych przezwyciężeniu śmierci, umiera, sam oddany tej sprawie. Uf, aż się spociłem! I wszystko jak groch o ścianę!

– To metafizyka, ojczulku. Lekarze mi tego zabronili, mój żołądek tego nie trawi.

– No i Bóg z panem. Zostawmy to. Szczęściarz z pana! Wygląd – że tylko pozazdrościć! A żyje toto i nic nie czuje.

Na rzekę aż oczy bolały patrzeć. Błyszczała w słońcu, wyginając się wklęsło i wypukle jak arkusz blachy. Nagle pomarszczyła się w drobne fale. Z przeciwległego brzegu ruszył ciężki prom z koźmi, furami, babami i chłopami.

– I pomyśleć, że dopiero piąta – powiedział Iwan Iwanowicz. Widzi pan, pośpieszny z Syzrania. Przychodzi tu o piątej z minutami.

W oddali toczył się po równinie z prawej strony w lewą czyściutki żółto-granatowy pociąg, mocno zmniejszony odległością. Nagle spostrzegli, że się

zatrzymał. Nad lokomotywą wzbily się białe obłoczki pary. Po chwili dały się słyszeć alarmujące gwizdy.

– Dziwne – powiedział Woskobochnikow. – Stało się chyba coś niedobrego. Nie ma powodu, żeby się zatrzymywał na tych bagnach. Coś się stało. No, chodźmy na herbatę.

6

Niki nie było ani w ogrodzie, ani w domu. Jura domyślał się, że Nika chowa się przed gośćmi, bo się z nimi nudzi, i on, Jura, nie jest dla niego towarzystwem. Wuj z Iwanem Iwanowiczem poszli pracować na werandę, a pozostawiony sam sobie chłopiec włóczył się bez celu wokół domu.

Było tu prześlicznie! Co chwila rozlegał się czysty, trzynutowy poświst wilgi, a po nim krótka przerwa, jak gdyby ptak wyczekiwał, aż wilgotny, fujarczany dźwięk przepoi całą okolicę. Gęsty, zabłąkany w powietrzu zapach kwiatów wisiał ciężko nad klombami, przytłoczony upałem. Jakże to przypominało Antibes i Bordighere! Jura rozglądał się wciąż na prawo i na lewo. Nad polankami unosiło się jak halucynacja słuchowa widmo głosu mamy, Jura słyszał go w melodyjnych trelach ptaków i w brzęku pszczoł. Wzdrygał się co chwila, zdawało mu się, że matka nawołuje go i dokądś wzywa.

Doszedł na skraj urwiska i zaczął schodzić w dół. Z rzadkiego, czystego lasu, pokrywającego skraj parowu, zszedł w rosnącą na dnie olszynę.

Panował tu wilgotny półmrok, gniły powalone drzewa, było mało kwiatów, a węzlaste łodygi skrzypu przypominały buławy i pastorały z egipskim ornamentem, jaki Jura oglądał w swym ilustrowanym Piśmie Świętym.

Zrobiło mu się bardzo smutno, zbierało się na płacz. Upadł na kolana i zalał się łzami.

– Aniele Boży, strózu mój! – modlił się. – Utwierdź mnie na słusznej drodze i powiedz mamusi, że mi tutaj dobrze, żeby się nie martwiła. Panie Boże, jeżeli jest życie pozagrobowe, przyjm mamusię do rajy, gdzie oblicza świętych i błogosławionych jaśnieją jako gwiazdy. Mamusia była taka dobra, niemożliwe, żeby była grzesznicą, zmiłuj się nad nią. Boże, zrób, żeby się nie męczyła. Mamusiu! – w rozdzierającej duszę tęsknocie przyzywał ją z nieba jak nowo objawioną świętą; wreszcie nie wytrzymał, upadł na ziemię i stracił przytomność.

Niezbyt długo leżał zemdłony. Kiedy się ocknął, usłyszał, że wuj woła go z góry. Odezwał się i zaczął wstawać. Nagle przypomniał sobie, że nie pomodlił się za swego zaginionego bez wieści ojca, jak uczyła go Maria Nikołajewna.

Po omdleniu było mu jednak tak błogo, że nie chciał się rozstawać z owym uczuciem lekkości, bał się je utracić. Pomyślał więc, że nic się strasznego nie stanie, jeżeli pomodli się za ojca innym razem.

– Poczekaj. Wytrzyma – pomyślał półświadomie. Zupełnie nie pamiętał ojca.

W pociągu, w przedziale drugiej klasy, wraz ze swym ojcem, prawnikiem z Orenburga, jechał Misza Gordon, jedenastoletni chłopiec o zamyślonej buzi i wielkich czarnych oczach. Ojciec przenosił się do urzędu w Moskwie, syn do moskiewskiego gimnazjum. Matka i siostry dawno już były na miejscu, zajęte urządzaniem mieszkania.

Syn i ojciec jechali pociągiem już trzeci dzień.

Za oknami, w obłokach gorącego pyłu, wybielona słońcem jak wapnem, mknęła Rosja, pola i stepy, miasta i wsie. Drogami wlokły się konne tabory, ciężko zjeżdżały z traktu na przejazdach, i patrząc z pędzącego wściekle pociągu miało się wrażenie, że wozy stoją bez ruchu, a konie przebierają nogami w miejscu.

Na większych stacjach pasażerowie zrywali się jak oparzeni i pędem lecieli do bufetu, a zachodzące słońce spoza drzew stacyjnego skweru oświetlało ich nogi i świeciło pod koła wagonów.

Działanie jednostki jest na całym świecie trzeźwo wykalkulowane, działanie masowe – nieświadome, pijane niejako wspólnym, jednoczącym je nurtem życia. Ludzie pracują, krzątają się, wprawiani w ruch mechanizmem własnych trosk. Mechanizmy nie działałyby jednak, gdyby nie kierował nimi czynnik najważniejszy – uczucie całkowitej beztroski.

Beztroska owa wypływała z poczucia wspólnoty ludzkich istnień, z przekonania o ich jakościowej wymianie, z radosnej myśli o tym, że wszystko, co się dzieje, dokonuje się nie tylko na ziemi, w której grzebie się zmarłych, ale także w miejscu, które jedni nazywają królestwem bożym, drudzy historią, a trzeci jeszcze jakoś inaczej.

Misza Gordon był gorzkim i smutnym wyjątkiem od tej reguły. Wszystkimi jego poczynaniami rządziło jedynie uczucie zafrasowania, którego nie łagodziła i nie uszlachetniała beztroska. Dobrze znał tę swoją dziedziczną cechę i z podejrzliwą nieufnością doszukiwał się w sobie jej oznak. Martwił się nią, ta cecha go upokarzała.

Od najmłodszych lat, jak tylko sięgał pamięcią, nie przestawał się dziwić, jak, mając takie same jak inni ręce i nogi, i mówiąc tym samym językiem, można być innym niż wszyscy, a w dodatku kimś, kto mało komu się podoba, kimś nielubianym. Nie mógł zrozumieć sytuacji, w której, jeżeli jest się gorszym niż inni, nie można dołożyć starań, żeby się poprawić i być lepszym. Co to znaczy być Żydem? Czemu coś takiego istnieje? Jakie zadośćuczynienie czy usprawiedliwienie otrzyma się za tę bezkrwawą walkę, nie przynoszącą nic prócz cierpień?

Kiedy pytał o to ojca, ten mówił, że Misza wychodzi ze złych założeń i że tak rozumować nie wolno, ale nie proponował w zamian nic, co by miało głębszy sens i skłoniło chłopca do pogodzenia się z losem.

Robiąc wyjątek tylko dla ojca i matki, Misza stopniowo nabrał pogardy w stosunku do dorosłych, którzy sami nawarzyli piwa i nie potrafią go wypić. Był przekonany, że gdy dorośnie, wszystko to naprawi.

Choćby i teraz: nikt by się nie odważył powiedzieć, że jego ojciec postąpił źle, rzucając się w pogoń za wariatem, który wybiegł na platformę, i że nie trzeba było zatrzymywać pociągu, kiedy szalenciec z całej siły odepchnął Grigorija Osipowicza i, otworzywszy drzwi wagonu, rzucił się w pełnym biegu w dół, głową na nasyp, jak pływak skaczący z trampoliny do basenu.

Ponieważ jednak za rączkę hamulca pociągnął nie kto inny, tylko Grigorij Osipowicz, wynikło z tego, że pociąg stoi tak niesłychanie długo właśnie dzięki niemu.

Nikt nie wiedział dokładnie, jaka jest przyczyna postoju. Jedni twierdzili, że gwałtowne hamowanie spowodowało uszkodzenie hamulców powietrznych, inni, że pociąg stoi na stromym stoku i lokomotywa bez rozpędu nie może wjechać pod górę. Jeszcze inni rozpuszczali pogłoski, że samobójca jest jakąś wybitną osobistością. Toteż podróżujący wraz z nim jego opiekun prawny zażądał, by z najbliższej stacji, Kołogriwowki, wezwano świadków przybranych w celu sporządzenia protokołu. Dlatego właśnie pomocnik maszynisty włąził na słup telegraficzny. Drezyna z pewnością jest już w drodze.

W wagonie zalatywało ubikacją, który to odór starano się zlikwidować za pomocą wody toaletowej, i pachniało lekko nadpsutymi pieczonymi kurami, zawiniętymi w brudny, zatłuszczony papier. Znów się pudrowały, ocierały chusteczkami dłonie i rozmawiały piersiowymi, skrzypiącymi głosami siwiejące damy z Petersburga, dzięki mieszaninie parowozowych sadzy i tłustych kosmetyków zamienione w ogniste Cyganki. Kiedy przechodziły obok przedziału Gordonów, otulając narzutkami kanciaste ramiona i ulegając w ciasnocie korytarza nowym przypiływom kokieterii, Miszy zdawało się, że syczą lub, sądząc z ich zaciśniętych ust, powinny syczeć: „Ach, kto by to pomyślał, co za wrażliwość. Jacy to jesteśmy niezwykli! Jacy kulturalni! Nie mogliśmy tego znieść!”

Zwłoki samobójcy leżały na trawie pod nasypem. Strużka zakrzepłej krwi ostrym czarnym zygzakiem przecinała czoło i oko zmarłego, jakby na zawsze wykreślając tego człowieka z grona żywych. Krew zdawała się być nie krwią, która zeń wypłynęła, lecz jakimś obcym dodatkiem, kawałkiem plastra czy bryzgiem przyschniętego błota, a może mokrym brzożowym listkiem.

Otoczająca zwłoki grupka ciekawskich i współczujących wciąż się zmieniała. Z pochmurną, pozbawioną wyrazu twarzą stał nad nimi jego przyjaciel i sąsiad z przedziału, zażywny, wyniosły adwokat, rasowa bestia w mokrej od potu koszuli. Omdlewał z upału i wachlował się miękkim kapeluszem. Na wszystkie pytania wzruszał ramionami i nie oglądając się cedził opryskliwie przez zęby: „To alkoholik. Czyż to tak trudno zrozumieć? Typowy rezultat białej gorączki”.

Dwa razy zbliżała się do zwłok chuda kobieta w wełnianej sukni i koronkowej chustce. Była to wdowa, matka obu maszynistów, Tiwierzina, która wraz z dwiema synowymi jechała trzecią klasą za bezpłatnym służbowym biletem. Krok w krok za nią postępowały w milczeniu dwie nieśmiałe, okutane chustami kobiety, niby dwie siostry za przeoryszą. Grupa ta budziła szacunek. Rozstępowano się przed nią.

Mąż Tiwierzinej spalił się żywcem podczas katastrofy kolejowej. Kobieta zatrzymywała się o kilka kroków od trupa, tak by widzieć go przez tłum, i wzdychając przeprowadzała jak gdyby porównanie. „Co komu sądzone – zdawała się mówić. – Jeden ginie z woli boskiej, a ten ot, jaki powód sobie znalazł – bogate życie i utrata rozumu”.

Wszyscy pasażerowie tkwili nad ciałem i wracali do wagonu tylko z obawy, żeby im czegoś nie ukradziono.

Kiedy zeskakiwali na tory, by rozprostować kości, zerwać kwiat czy przebiec kilka kroków, wszyscy mieli wrażenie, że miejsce to pojawiło się tylko dzięki temu, że stanął tu pociąg, i że gdyby nie ta tragedia, to ani błotnistej łąki z kępami trawy, ani szerokiej rzeki, ani ładnego domu i cerkwi na przeciwległym brzegu nie byłoby wcale na świecie.

Nawet słońce, które również zdawało się należeć tylko do tego miejsca, z wieczorną nieśmiałością oświetlało grupę na torach, zbliżając się do niej tak lęklwie, jak podeszłaby do torów, by przyjrzeć się ludziom, krowa z pasącego się w pobliżu stada.

Misza był wstrząśnięty wypadkiem i w pierwszej chwili rozplakał się z żalu i strachu. W czasie długiej podróży zmarły kilka razy wstępował do ich przedziału i godzinami rozmawiał z ojcem Miszy. Mówił, że w atmosferze ich moralnej czystości, spokoju i zrozumienia lżej mu na duszy, i wypytywał Grigorija Osipowicza o rozmaite kruczki prawne i matactwa dotyczące weksli i darowizn, bankructw i fałszerstw.

– Ach, tak? – dziwił się słuchając wyjaśnień Gordona. – Posługuje się pan jakimiś łagodniejszymi przepisami. Mój adwokat jest zupełnie innego zdania. Widzi te sprawy w ciemniejszych barwach.

Za każdym razem, gdy ów nerwowy człowiek się uspokajał, przychodził po niego z pierwszej klasy jego adwokat i sąsiad z przedziału i ciągnął go do wagonu restauracyjnego na szampana. Był to ów zażywny, bezczelny, gładko ogolony i wyelegantowany mecenas, który stał teraz nad zwłokami, niczemu się nie dziwiąc. Trudno było wyzbyć się wrażenia, że owo ciągłe podenerwowanie klienta jest mu w jakiś sposób na rękę.

Ojciec mówił, że ten klient to znany bogacz, pocziwiec i wartogłów, już prawie niepoczytalny. Nie krępując się obecnością chłopca człowiek ten opowiadał o swoim synu, rówieśniku Miszy, o nieboszczce żonie, potem o drugiej rodzinie, którą też porzucił. Nagle coś sobie przypomniał, bladł z przerażenia i zaczynał się jąkać i plątać.

Miszy okazywał niepojętą serdeczność, prawdopodobnie przeznaczoną dla kogoś innego. Co chwila czymś go obdarowywał, w którym to celu udawał się na stacjach węzłowych do poczekalni pierwszej klasy, gdzie były kioski z książkami, gramy i miejscowymi pamiątkami.

Pił bez przerwy i skarżył się, że nie śpi już trzeci miesiąc, a kiedy choćby na chwilę trzeźwieje, cierpi męki, jakich normalny człowiek nie może sobie nawet wyobrazić.

Na chwilę przed śmiercią wbiegł do ich przedziału, chwycił Grigorija Osipowicza za rękę, chciał coś powiedzieć, ale nie mógł, po czym wybiegł na platformę i wyskoczył z pociągu.

Misza oglądał niewielką kolekcję uralskich minerałów w drewnianej szkatułce – ostatni podarunek zmarłego. Nagle zrobiło się poruszenie. Po drugim torze do pociągu podjechała drezyna. Zeskoczył z niej śledczy w czapce z bączkiem, lekarz i dwaj policjanci. Zabrzmiały zimne rzeczowe głosy. Zadawano pytania, coś zapisywano. Konduktorzy i policjanci niezręcznie wlekli ciało w górę nasypu, co chwila zsuwając się po piasku. Zawyla jakaś baba. Pasażerów poproszono o wejście do wagonów. Rozległ się gwizdek. Pociąg ruszył.

8

„Znowu ten klecha!” – gniewnie pomyślał Nika i zakręcił się po pokoju. Głosy gości zbliżały się. Odwrót był odcięty. W sypialni stały dwa łóżka, Woskobojnikowa i Niki. Niewiele myśląc Nika wlaź pod jedno.

Słyszał, jak go szukają i wołają w innych pokojach, dziwiąc się jego zniknięciu. Potem weszli do sypialni.

– Cóż, trudno – powiedział Wiedieniapin. – Idź, Jura, pospaceruj, może kolega znajdzie się później i wtedy się pobawicie.

Panowie przez jakiś czas rozmawiali o zamieszkach studenckich w Petersburgu i Moskwie, przetrzymując Nikę ze dwadzieścia minut w jego głupiej i ponizającej kryjówce. Wreszcie wyszli na werandę. Nika cichutko otworzył okno, wyskoczył i zniknął w parku.

Był dziś jakiś nieswój, nie mógł też zasnąć poprzedniej nocy. Miał czternasty rok i znudziło mu się być dzieckiem. Nie spał całą noc i o świcie wyszedł z oficyny. Wschodziło słońce i ziemię w parku pokrywały długie, mokre od rosy, pokrętne cienie drzew. Cienie nie były czarne, lecz ciemnoszare jak przemoknięty wojłok. Zdawało się, że odurzający aromat poranka płynie właśnie od tego kładącego się na ziemi wilgotnego cienia z podłużnymi prześwitami smukłymi niby dziewczęce palce.

Nagle srebrzysta strużka rtęci, taka sama jak krople rosy w trawie, przepłynęła o kilka kroków od Niki. Płynęła, płynęła i nie wsiąkała w ziemię. Potem gwałtownie szarpnęła się w bok i znikła. Była to żmija miedzianka. Nika wzdrygnął się.

Był dziwnym chłopcem. Rozmawiał głośno sam ze sobą, gdy był podniecony. Naśladował matkę z jej upodobaniem do wzniosłych spraw i paradoksów. „Jak dobrze jest na świecie! – pomyślał. – Ale czemu to zawsze tak boli? Oczywiście, Bóg istnieje. Ale jeżeli istnieje, to On jest mną. Więc każę jej – pomyślał, spoglądając na osikę, dygocącą od góry do dołu (jej mokre migotliwe liście wyglądały jak powycinane z blachy) – więc jej rozkażę – i w szaleńczym poczuciu własnej mocy nie szepnął, ale całym swym jestestwem, całym ciałem i krwią zapragnął i pomyślał: „Nie ruszaj się!” – i drzewo natychmiast posłusznie zastygło bez ruchu. Nika roześmiał się radośnie i co sił w nogach popędził nad rzekę do kąpieli.

Jego ojciec, terrorysta Diemientij Dudorow, był na katordze, na którą z najwyższej łaski zamieniono mu karę śmierci przez powieszenie. Jego matka, z domu gruzińska księżniczka Eristowa, była to rozkapryszona młoda jeszcze piękność, wiecznie czymś zafascynowana – buntami, buntownikami, skrajnymi teoriami, znakomitymi artystami, nieszczęśliwymi pechowcami.

Ubóstwiała Nikę; jego imię Innokentij zdrabniała na różne sposoby, wymyślając masę idiotycznych spieszceń w rodzaju Inoczka lub Noszeńka i woziła go do Tyflisu, by się nim pochwalić przed rodziną. W Tyflisie zdumiało go najbardziej rozłożyste drzewo na dziedzińcu domu, w którym się zatrzymali. Był to jakiś nieforemny tropikalny olbrzym. Swymi liśćmi, podobnymi do słoniowych uszu, osłaniał dziedziniec przed piekącym południowym słońcem. Nika nie potrafił się pogodzić z myślą, że to drzewo jest rośliną, a nie zwierzęciem.

Groźne nazwisko ojca było dla chłopca niebezpieczne, toteż Iwan Iwanowicz za zgodą Niny Gałaktionowny zamierzał się zwrócić do monarchy z prośbą o nadanie Nice nazwiska matki.

Kiedy Nika leżał pod łóżkiem, zastanawiając się nad biegiem spraw na tym świecie, myślał między innymi także i o tym. Kimże jest ten cały Woskobojnikow, żeby się tak dalece wtrącać? Już on mu pokaże!

Albo ta Nadia! Czy jeżeli ma piętnaście lat, to znaczy, że może zadzierać nosa i rozmawiać z nim jak z dzieckiem? Już on jej pokaże! „Nienawidzę jej – powtórzył w myślach kilka razy. – Zabiję ją! Wezmę do łódki i utopię”.

Mama też dobra. Wyjeżdżając, oczywiście oszukała i jego, i Woskobojnikowa. I nie jest na żadnym Kaukazie, po prostu na najbliższej stacji węzłowej skręciła na północ i teraz najspokojniej w świecie strzela razem ze studentami do policji w Petersburgu. A on musi gnić za życia w tej głupiej dziurze. Ale przechytrzy ich wszystkich. Utopi Nadie, rzuci gimnazjum i ucieknie do ojca na Syberię robić powstanie.

Przy brzegu stawu rosły gęsto lilie wodne. Łódka rozcinała tę gęstwinę z suchym szelestem. W rozerwanych zaroślach woda wzbierała jak sok arbuza w trójkątnym rozcięciu.

Chłopiec i dziewczynka zaczęli rwać lilie. Oboje chwycili tę samą łodygę, mocną i giętką jak guma. Łodyga przyciągnęła ich ku sobie. Zderzyli się głowami. Łódka ruszyła do brzegu jak szarpnięta bosakiem. Łodygi plątały się i skręcały, białe kwiaty o środkach żółtych jak żółtko z krwią znikwały pod powierzchnią i wynurzały się, ociekając wodą.

Nadia i Nika wciąż je zrywali, coraz bardziej przechylając łódkę i niemal leżąc obok siebie na burcie.

– Dość już mam nauki – odezwał się Nika. – Czas rozpocząć prawdziwe życie, zarabiać, ruszyć w świat.

– A ja właśnie chciałam cię poprosić, żebyś mi wytłumaczył równania kwadratowe. Jestem taka słaba z algebry, że o mało nie dostałam poprawki.

Nika wyczuł w tych słowach jakąś złośliwość. No jasne, ona go oblewa zimną wodą, przypomina mu, jaki jest jeszcze mały. Równania kwadratowe! A oni przecież jeszcze nawet nie powąchaliby algebry.

Nie okazując, jak bardzo jest dotknięty, zapytał z udaną obojętnością, zdając sobie jednocześnie sprawę, jak to głupio brzmi:

- Za kogo wyjdiesz za męża, jak dorośniesz?
- O, to jeszcze tyle czasu. Pewnie za nikogo. Na razie o tym nie myślałam.
- Tylko nie wyobrażaj sobie, że mnie to obchodzi.
- No to czemu pytasz?
- Głupia jesteś.

Zaczęli się kłócić. Nika przypomniał sobie swój poranny wybuch nienawiści do kobiet. Zagroził Nadii, że jeśli nie przestanie mu dokuczać, to ją utopi.

- Tylko spróbuj – powiedziała Nadia.

Nika chwycił ją wpół, zaczęli się szamotać. Nagle stracili równowagę i wpadli do wody.

Oboje umieli pływać, ale lilie wodne oplątywały im ręce i nogi, a do dna nie mogli sięgnąć.

Wreszcie, grzęznąc w mule, wyleźli na brzeg. Woda strumieniami lała im się z butów i kieszeni. Szczególnie zmęczony był Nika.

Gdyby wydarzyło się to jeszcze całkiem niedawno, na przykład ostatniej wiosny, to w podobnej sytuacji, siedząc mokrzuteńcy po takiej przygodzie, na pewno by krzyczeli, kłócili się lub chichotali.

Teraz zaś milczeli i oddychali z trudem, przybici bezmyślnością przygody. Nadia pograżyła się w gniewnym oburzeniu, a Nikę bolało całe ciało, jak gdyby poprzetrącano mu kijem ręce i nogi i połamano żebra.

Wreszcie Nadia cicho, jak dorosła osoba, wycedziła: „Wariat!”, i on także po dorosłemu odpowiedział „Przepraszam cię.”

Ruszyli pod górę w stronę domu, zostawiając za sobą mokry ślad jak dwie beczki z wodą. Droga biegła pylistym zboczem, pełnym żmij, nie opodal miejsca, w którym rano Nika zobaczył miedziankę.

Nika przypomniał sobie czarodziejski majestat nocy, świt i swoją poranną wszechmoc, kiedy siłą woli panował nad przyrodą. Co jej teraz rozkazać? – pomyślał. Czego pragnąłbym najbardziej? Zdawało mu się, że najbardziej by chciał jeszcze raz wpaść do stawu razem z Nadia i wiele by dał za to, by wiedzieć, czy to kiedyś nastąpi.

Część druga

Dziewczynka z innej sfery

1

Wojna z Japonią jeszcze trwała. Niespodziewanie przesłoniły ją inne wydarzenia. Przez Rosję przetaczały się fale rewolucji, jedna od drugiej wyższa i bardziej niezwykła.

W tym czasie przyjechała z Uralu do Moskwy wdowa po inżynierze Belgu, zruszczona Francuzka Amalia Karłowna Guichard, z dwojgiem dzieci, synem Rodionem i córką Larysą. Syna oddała do Korpusu Kadetów, a córkę do gimnazjum żeńskiego, akurat do tej samej klasy, do której chodziła Nadia Kołogriwowa.

Madame Guichard miała po mężu oszczędności w papierach wartościowych, które przedtem rosły, a teraz zaczęły spadać. Aby powstrzymać topnienie swych zasobów i nie siedzieć z założonymi rękami, madame Guichard nabyła niewielkie przedsiębiorstwo, pracownię krawiecką Lewickiej przy Bramie Triumfalnej; kupiła ją od spadkobierców krawcowej z prawem zachowania dawnej firmy, z dawną klientelą i ze wszystkimi krojczyniami i uczennicami.

Postąpiła tak za radą mecenasa Komarowskiego; był to przyjaciel jej zmarłego męża, obecnie zaś podpora madame Guichard, prawnik o zimnej krwi, znający interesy całej Rosji jak własne pięć palców. Do niego napisała w sprawie przeprowadzki, on witał ich na dworcu i wiozł przez całą Moskwę do pensjonatu „Czarnogóra” w zaułku Orużejnym, gdzie wynajął dla nich apartament, on też namówił madame Guichard, by oddała Rodię do Korpusu Kadetów, a Larę do gimnazjum, które sam polecił, on też niedbale żartował z chłopcem i patrzył na dziewczynkę takim wzrokiem, że się czerwieniła.

2

Przed przeprowadzką do niewielkiego trzypokojowego mieszkania przy pracowni prawie przez miesiąc mieszkali w „Czarnogórze”.

Był to najokropniejszy rejon Moskwy – bandyckie spelunki, całe ulice prostytutek, nory „upadłych istot”.

Dzieci nie były zdziwione brudem w pokojach, pluskwami, ubogim umeblowaniem. Po śmierci ojca matka ich żyła w ciągłym lęku przed nędzą. Rodia i Lara stale słyszeli, że stoją na skraju przepaści, i przyzwyczajali się do tego. Wiedzieli, że nie są dziećmi, ulicy, ale jak w wychowankach przytułku dla sierot zakorzeniła się w nich głęboko pokora wobec bogaczy.

Żywy przykład owego lęku stanowiła dla nich matka. Amalia Karłowna była pulchną blondynką lat trzydziestu pięciu, u której ataki serca występowały na zmianę z atakami głupoty. Była strasznie tchórzliwa i śmiertelnie bała się mężczyzn, toteż właśnie ze strachu i zmieszania stale trafiała z jednych męskich objęć w drugie.

W „Czarnogórze” zajmowali numer dwudziesty trzeci, w dwudziestym czwartym zaś od dnia otwarcia pensjonatu mieszkał wiolonczelista Tyszkiewicz, wiecznie spocony łysy pocziwiec w peruczce, który modlitewnie składał ręce i przyciskał je do piersi, gdy chciał kogoś o czymś przekonać, a odrzucał głowę do tyłu i w natchnieniu przewracał oczyma, gdy grywał po domach lub występował na koncertach. Rzadko bywał w domu i całe dni spędzał w Teatrze Wielkim lub w Konserwatorium. Wkrótce sąsiedzi zawarli znajomość, a wzajemnie zaciągane pożyczki mocno ich zbliżyły.

Ponieważ obecność dzieci krępowała Amalię Karłownę w czasie wizyt Komarowskiego, Tyszkiewicz zaczął jej zostawiać klucz od swego numeru, by mogła tam przynajmniej przyjmować przyjaciela. Wkrótce madame Guichard tak przywykła do ofiarności Tyszkiewicza, że kilka razy ze łzami pukała do jego pokoju, prosząc o obronę przed swym protektorem.

3

Dom był parterowy, stał nie opodal rogu Twerskiej. Czuło się tu bliskość Kolei Brzeskiej. Tuż obok zaczynały się jej włości, służbowe mieszkania pracowników, zajezdnie parowozowe i magazyny.

Mieszkała tutaj Ola Diemina, rozsądna dziewczuszka, siostrzenica pracownika z Moskwy Towarowej.

Była zdolną uczennicą. Wyróżniała ją dawna właścicielka pracowni, teraz zaś zaczęła ją ku sobie zbliżać nowa. Oli bardzo się podobała Lara.

Wszystko pozostało tak, jak za Lewickiej. Jak szalone kręciły się maszyny pod naciskającymi pedał stopami lub fruującymi dłońmi zmęczonych szwaczek. Niektóre szyły w ręku, siedząc na stole i daleko wyciągając dłoń z igłą i długą nicią. Podłoga była zasłana ścinkami. Rozmawiać trzeba było głośno, by przekrzyczeć warkot maszyn i trele Kirilla Modestowicza, kanarka w klatce wiszącej u okna; tajemnicę jego imienia zabrała ze sobą do grobu poprzednia właścicielka.

W poczekalni damy malowniczą grupą otaczały stół z żurnalami. Stały, siedziały lub wspierały się na łokciach w pozach podpatrzonych na ilustracjach i oglądając modele naradzały się nad fasonami. Przy drugim stole siedziała na dyrektorskim miejscu pomocnica Amalii Karłowny, starsza krojczyni Faina Siłantjewna Fietisowa, koścista kobieta z brodawkami w bruzdach policzków.

W pozołkłych zębach trzymała kościaną firkę z papierosem, mrużyła oko o żółtym białku i, wypuszczając nosem i ustami żółte strużki dymu, zapisywała w zeszytach wymiary, numery kwitów, adresy i życzenia tłoczących się klientek.

Amalia Karłowna była w pracowni osobą nową i niedoświadczoną. Nie czuła się właścicielką w pełnym tego słowa znaczeniu. Personel jednak był uczciwy, a na

Fietisowej można było polegać. Niemniej jednak czasy były niespokojne. Amalia Karłówna bała się myśleć o przyszłości. Ogarniała ją rozpacz. Wszystko leciało jej z rąk.

Często zaglądał tu Wiktor Ippolitowicz Komarowski. Kiedy przechodził przez pracownię kierując się do mieszkania i mimochodem płosząc przebiegające się elegantki, które na jego widok chowały się za parawanami i stamtąd odgryzały się zalotnie na jego niewybredne dowcipy, szwaczki szyderczo i nieżyczliwie szeptały: „O, raczył przybyć”, „ten jej”, „gach Amalii”, „buhaj”, „pies na baby”.

Przedmiotem jeszcze większej nienawiści był jego buldog Dżek, którego czasem przyprowadzał na smyczy i który włókł pana za sobą tak gwałtownymi szarpnięciami, że Komarowski potykał się, rzucał naprzód i szedł za psem z wyciągniętymi rękami jak ślepiec za przewodnikiem.

Pewnego razu na wiosnę Dżek chwycił Larę za nogę i rozerwał jej pończochę.

– Ukatrupię tego diabła – po dziecinnemu wychrypiała Larze na ucho Ola Dienina.

– Tak, rzeczywiście, wstrętne psisko. Ale jak to zrobisz, głuptasie?

– Cicho, nie krzycz, ja panienkę nauczę. Są takie kamienne jaja wielkanocne. Mama panienki ma takie na komodzie.

– No tak, marmurowe i kryształowe.

– Aha, właśnie. Nachyl się, powiem na ucho. Trzeba wziąć takie i zanurzyć w smalcu, smalec je oblepi, on je zeżre, ten parszywy pies, nabije sobie kałdun i koniec. Padnie trupem! Jasne?

Lara śmiała się i myślała z zazdrością: Dziewczynka żyje w biedzie, ciężko pracuje, dzieci z ludu szybko dojrzewają. A jednak proszę, ileż w niej jeszcze dziecięcej naiwności. Jajka, Dżek – skąd się to bierze? „Czemu trafił mi się taki los – myślała Lara, że wszystko dostrzegam i tak się wszystkim przejmuję?”

4

„Przecież mama jest dla niego... jak to się nazywa... Przecież on jest mamy, no, tym... To wstrętne słowa, nie chcę ich powtarzać. Więc czemu patrzy na mnie takim wzrokiem? Przecież jestem jej córką.”

Miała niewiele ponad szesnaście lat, ale była już dziewczyną całkowicie rozwiniętą. Dawano jej osiemnaście lat i nawet więcej. Miała jasny umysł i łagodny charakter. Była bardzo ładna.

Ona i Rodia rozumieli, że wszystko w życiu będą musieli wywalczyć własnymi siłami. W przeciwieństwie do dobrze sytuowanych próżniaków nie mieli kiedy zajmować się przedwczesnymi kręctwami i teoretycznym wywaciwaniem spraw, praktycznie jeszcze ich nie dotyczących. Brudne jest tylko to, co zbędne. Lara była najczystsza istotą na świecie.

Brat i siostra znali wartość wszystkiego i cenili sobie to, co osiągnęli. Trzeba było się liczyć, aby się wybić. Lara uczyła się dobrze, nie z abstrakcyjnego pociągu do wiedzy, ale dlatego, że zwolnienie z chesnego otrzymywały tylko dobre uczennice, a

aby to osiągnąć, trzeba było dużo się uczyć. Równie dobrze jak się uczyła, Lara bez przymusu zmywała statki, pomagała w pracowni i chodziła z poleceniami matki. Poruszała się bezgłośnie, płynnie, i wszystko w niej było harmonijne – niedostrzegalna szybkość ruchów, wzrost, głos, szare oczy i jasne włosy.

Była niedziela, połowa lipca. W dni świąteczne można było rano powylegiwać się dłużej w łóżku. Lara leżała na wznak z rękami pod głową.

W pracowni panowała niezwykła cisza. Okno na ulicę było otwarte. Lara słyszała, jak turkocąca w oddali bryczka zjechała z kocich łbów jezdni na szyny tramwaju konnego i twardy stukot ustąpił miejsca płynnemu ślizganiu się kół jak po maśle. „Trzeba jeszcze trochę pospać” – pomyślała. Miejski zgiełk usypiał niby kołysanka.

Swój wzrost, ułożenie ciała w łóżku Lara wyczuwała teraz dwoma punktami – wysuniętym lewym ramieniem i dużym palcem prawej nogi. To było tylko ramię i noga, a cała reszta, to bardziej lub mniej ona sama, jej dusza czy też istota umieszczona w zgrabnym kształcie i całym sercem dążąca ku przeszłości.

„Trzeba usnąć” – myślała Lara i wywoływała w pamięci słoneczną stronę Karetnego Riadu o tej porze, wozownie z ogromnymi kolasami-straganami na czysto zamiecionych podłogach, rżnięte szkło latarni przy karetach, wypchane niedźwiedzie, bogate życie. A nieco niżej – kreśliła sobie w myślach obraz – ćwiczenia dragonów na dziedzińcu koszar Znamieńskich, karne gibkie konie, idące wkoło, skoki na siodła z rozbiegu i jazda stępa, kłus, galop. I rozdziawione usta nianiek i mamek z dziećmi, tłumnie przywartych do koszarowego ogrodzenia. A jeszcze niżej – myślała Lara – Pietrowka, Linie Pietrowskie.

„Ależ, panno Laro! Skąd takie myśli? Po prostu chcę pani pokazać moje mieszkanie. Tym bardziej, że to tuż obok.”

Były imieniny małej Olgi, córeczki jego znajomych z Karetnego. Bawili się z tej okazji dorośli – tańce, szampan. Zapraszał mamę, ale mama nie mogła pójść, źle się czuła. „Proszę zabrać Larę – powiedziała. – Ciągle mnie pan przestrzega: „Amalio, niechże pani strzeże Lary.” No więc niech teraz pan jej strzeże.” I strzegł jej, ani słowa! Cha-cha-cha!

Jakaż to szalona rzecz ten walc! Wiruje się i wiruje bez końca, o niczym nie myśląc. Dopóki gra muzyka, mija cała wieczność, jak życie w powieści. Ale zaledwie przestaną grać, przychodzi świadomość skandalu, jak gdyby oblano cię zimną wodą albo zastano nieubraną. Poza tym na te poufałości pozwalasz z samochwalstwa, żeby pokazać, jaka już jesteś dorosła.

Nigdy nie przypuszczała, że on tak świetnie tańczy. Jakież ma mądre dłonie, jak pewnie obejmuje nimi talię! Ale nikomu więcej nie pozwoli, żeby ją tak całował. Nigdy nie myślała, że w czyichś wargach może się koncentrować tyle bezwstydu, kiedy na tak długo przywierają do jej ust.

Koniec z tymi głupstwami. Raz na zawsze. Nie udawać niewiniątka, nie wdzięczyc się, nie spuszczać wstydliwie oczu. To się kiedyś źle skończy. Straszliwa granica jest tuż, tuż. Wystarczy jeden krok i już leci się w przepaść! Trzeba zapomnieć o tańcu. W nim tkwi całe zło. Nie wstydzic się odmawiać. Kłamać, że nigdy nie uczyła się tańca, albo że złamała nogę.

Jesienią zaczęły się rozruchy wśród kolejarzy węzła moskiewskiego. Zastrajkowała Kolej Moskiewsko-Kazańska. Miała się do niej przyłączyć Moskiewsko-Brzeska. Rezolucję o strajku już podjęto, ale komitet strajkowy wciąż nie mógł ustalić daty ogłoszenia strajku. Wszyscy na kolei wiedzieli o strajku i potrzebny był tylko pretekst z zewnątrz, by rozpoczął się on spontanicznie.

Był zimny, pochmurny ranek w początkach października. Tego dnia na kolei miano wypłacać pensje. Długo nie było żadnych wieści z działu rachunkowości. Potem do kantoru wszedł chłopiec z tabelą wynagrodzeń, listą płac i stosem książeczek robotniczych zebranych w celu wpisania potrąceń. Rozpoczęły się wypłaty. Nieskończenie długim pasem niezabudowanej przestrzeni, oddzielającej dworzec, warsztaty, zajezdnie parowozowe, pakownie i tory od drewnianych baraków zarządu, ruszyli po wypłatę konduktorzy, zwrotnicowi, ślusarze i ich pomocnicy, sprzątaczkę z wagonów.

W powietrzu pachniało, jak to na początku miejskiej zimy, zdeptanymi liśćmi klonowymi, roztajałym śniegiem, spalenizną z parowozów i ciepłym razowym chlebem, który wypiekano w podziemiach dworcowego bufetu i który właśnie wyjęto z pieca. Pociągi przychodziły i odchodziły, kolejarze wymachując chorągiewkami, zestawiali i rozdzielali składy. Na różne tony rozbrzmiewały różki dozorców, świstawki spinaczy wagonów i basowe gwizdki parowozów. Słupy dymu wznosiły się w niebo niczym niezwyklej długości drabiny. Parowozy z rozpalonymi paleniskami stały gotowe do drogi, oblewając chłodne zimowe obłoki wrzącymi kłębamii pary.

Skrajem plantu przechadzali się tam i z powrotem naczelnik odcinka, inżynier kolejnictwa Fufłygin i majster kolejowy z terenów przydworcowych Paweł Fierapontowicz Antipow. Antipow dawał się we znaki służbom zaopatrzenia ciągłymi zażaleniami na materiały, jakie mu przydzielano do remontu torów. Stał była zły jakości. Szyny nie wytrzymały prób na ugięcie i przełom i, jak przypuszczał Antipow, mogły pęknąć na mrozie. Zarząd traktował skargi Pawła Fierapontowicza obojętnie. Ktoś widocznie nabijał sobie na tym kabzę. Fufłygin miał na sobie rozpięte kosztowne futro z kolejowym emblematem, a pod nim cywilny szewiowski garnitur. Ostrożnie stąpał po plancie, z satysfakcją kontemplując kształt mankietów, linię kantów na spodniach i wytworny fason swego obuwia.

Słowa Antipowa wpuszczał jednym uchem i wypuszczał drugim. Myślał o jakichś własnych sprawach, co chwila wyjmował zegarek, spoglądał nań i wyraźnie dokądś się śpieszył.

– Racja, racja, mój drogi – przerywał niecierpliwie Antipowowi – ale to tylko gdzieś na torach głównych albo na odcinkach przelotowych, gdzie jest duży ruch. A pomyśl, co jest u ciebie? Jakies bocznice i tory żeberkowe, łopuchy i pokrzywy, w najgorszym wypadku przestawianie próżnych wagonów i rozjazdy parowozów

manewrowych! I jeszcze jesteś niezadowolony! Oszalałeś chyba! Tutaj można kłaść nie tylko takie szyny, ale wręcz drewniane!

Fuftygin spojrzął na zegarek, zatrzasnął kopertę i zaczął się wpatrywać w dal, skąd ku linii kolejowej zbliżała się szosa. Na zakręcie drogi ukazał się powóz. Był to własny ekwipaż Fuftygina. Przyjechała po niego żona. Stangret zatrzymał konie tuż przy plancie, cały czas je powstrzymując i uspokajając ciekim babskim głosem, jak nianka kapryśne niemowlę – konie bały się kolei. W kącie powozu, niedbale rozparta na poduszkach, siedziała piękna pani.

– No, bracie skończymy innym razem – powiedział naczelnik odcinka i machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: „Nie w głowie mi teraz te twoje szyny. Są ważniejsze sprawy.”

Mażonkowie odjechali.

6

Po jakichś trzech czy czterech godzinach, tuż przed zmrokiem, w bok od drogi, w polu, wyrosły jak spod ziemi dwie postacie i, oglądając się często za siebie, jęły się szybko oddalać. Byli to Antipow i Tiwierzin.

– Chodźmy prędzej – rzekł Tiwierzin. – Nie boję się, że nas szpicle wyśledzą, ale tamci zaraz skończą z tą mitręgą, wyleżą z ziemianki i dogonią nas. A ja nie mogę na nich patrzeć. Jeżeli ze wszystkim tak się zwleka, to psu na budę się zda ta ostrożność. Po co wtedy ten cały komitet, to igranie z ogniem, ta cała konspiracja! Tyś też nie lepszy, ciągle się cackasz z tymi z Kolei Mikołajowskiej.

– Moja Daria ma dur brzuszny. Muszę ją oddać do szpitala i dopóki jej nie odwiozę, nie będę miał do niczego głowy. Żeby to nie był dzień wypłat, to jak mi Bóg miły, plunąłbym na was i raz dwa własnymi rękami zrobiłbym koniec z tym całym mętlikiem.

– A to niby jak, jeśli łaska?

– Bardzo prosto. Poszedłbym do kotłowni, włączył syrenę i po balu.

Pożegnali się i rozeszli w różne strony.

Tiwierzin ruszył torami w stronę miasta. Z przeciwka szli ludzie, wracający z wypłatą z kantoru. Było ich bardzo wielu. Tiwierzin na oko ocenił, że na terenie stacji rozliczono się prawie ze wszystkimi.

Zaczęło się zmierzchać. Na placyku tłoczyli się beczynn timerobotnicy, oświetleni latarniami z kantoru. Przy wjeździe na placyk stał powozik Fuftyginów. Pani Fuftygin siedziała w tej samej pozycji, jak gdyby od rana nie wysiadła z powozu. Czekwała na męża, który odbierał pieniądze w kantorze.

Nagle zaczął padać mokry śnieg z deszczem. Stangret zlął z kozła i zaczął podnosić skórzaną budę. Wparł się nogą w tył powozu i rozciągał sztywne rozpórki. Fuftygina zaś kontemplowała srebrzystoperłową śnieżną krupę, migocącą w blasku latarni. Patrzyła nieruchomym, rozmarzonym wzrokiem ponad głowami robotników z takim wyrazem twarzy, jak gdyby ów wzrok mógł w razie potrzeby bez szwanku przesyć ich na wylot, przejść przez nich jak przez mgłę czy mżawkę.

Tiwierzin przypadkowo pochwycił to spojrzenie. Zachnął się. Przeszedł obok, nie kłaniając się Fuflyginej, i postanowił przyjść po wypłatę później, by nie spotkać się w kantorze z jej mężem. Ruszył dalej, w stronę słabiej oświetlonych warsztatów, gdzie czerniała obrotnica z rozchodzącymi się promieniście torami i parowozownia.

– Tiwierzin! Kuprik! – zawołało za nim kilka głosów z ciemności. Przed warsztatami stała grupka ludzi. W środku ktoś wrzeszczał i słychać było dziecięcy płacz. – Kipierianie Sawieljewiczu, niech się pan wstawi za chłopcem – odezwała się jakaś kobieta z tłumu.

Stary majster Piotr Chudolejew swoim zwyczajem łośł skórę swej ofierze, małoletniemu uczniowi Jusupce.

Chudolejew nie zawsze był dręczycielem czeladników, pijanicą i zabijaką o ciężkiej ręce. Były czasy, kiedy na dziarskiego majstra spoglądały powłóczyście kupieckie córki i popówny z podmiejskich osiedli robotniczych. Ale matka Tiwierzina, która w owych czasach ukończyła właśnie szkołę parafialną, dała mu kosza i poślubiła jego kolegę, maszynistę Sawielija Nikiticza Tiwierzina.

W szóstym roku jej wdowieństwa, po okropnej śmierci Sawielija Nikiticza (spalił się w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku podczas głośnej w tym czasie katastrofy kolejowej), Piotr Pietrowicz wznowił zaloty i Marfa Grigołowna znowu mu odmówiła. Od tej chwili Chudolejew zaczął pić i awanturować się, wyrównując porachunki z całym światem, który obarczał winą za swe niepowodzenia.

Jusupka był synem stróża Himazetdina w kamienicy Tiwierzinów. Tiwierzin opiekował się chłopcem w warsztatach, co budziło w Chudolejewie niechęć do Jusupki.

– Jak trzymasz pilnik Azjato? – ryczał Chudolejew, szarpiąc Jusupkę za włosy i tłukąc go po karku. – To tak się opiłowuje odlew? Pytam się ciebie, czy dalej będziesz tak partaczył robotę, ty lalo malowana, ty ałło-mułło skośnooki?

– Oj, nie będę, panie majster, nie będę, już nigdy nie będę, oj, boli!

– Sto razy mu mówiłem: najpierw zamocuj głowicę, a potem dokręcaj zderzak, a ten po swojemu, po swojemu. O mało trzpienia nie złamał, sukinsyn!

– Ja trzpienia nie ruszałem, panie majster, jak Boga kocham, nie ruszałem!

– Czemu się znęcasz nad chłopakiem? – zapytał Tiwierzin, przeciskając się przez tłum.

– Nie pchaj palca między drzwi – odciął się Chudolejew.

– Pytam cię, za co się znęcasz nad chłopakiem?

– A ja ci mówię, idź swoją drogą, socjalisto. Zatluc by warto to ścierwo, o mało trzpienia nie złamał. Ręce mi powinien całować, że jeszcze żyje, diabeł zezowaty – tylko go za uszy wytargałem i włosów nadarłem.

– A co, uważasz, że trzeba mu za to łeb urwać, wujku Chudoleju? Wstydziłbyś się doprawdy. Stary majster siwizny się doczekał, a rozumu nie nabrał.

– Odczep się, powiadam, pókiś cały, bo cię na tamten świat wyprowadzę! On mnie będzie uczyć, takie psie gównu! Na podkładach cię robili, ty wypierdku, u ojca pod samym nosem. Dobrze znam twoją matkę, zdziwę, sukę wściekłą, lafiryndę!

To, co nastąpiło dalej, nie trwało dłużej niż minutę. Obaj chwycili, co im się nawinęło pod rękę z podstawek obrabiarek, gdzie poniewierały się ciężkie narzędzia i kawałki żelaza, i chyba by się pozabijali, gdyby ludzie nie rzucili się ich rozdzielać. Chudolejew i Tiwierzin stali z pochylonymi głowami, niemal czoło w czoło, bladzi, z oczyma nabiegłymi krwią. Z wściekłości nie mogli wymówić ani słowa. Trzymano ich mocno za wykręcone do tyłu ręce. Co chwila zbierali wszystkie siły i zaczęli się wyrwać, wijąc się całym ciałem i wlokąc za sobą uwieszonych na nich kolegów. Haftki i guziki przy ubraniach się poobrywały, kurtki i koszule zsunęły się, obnażając ramiona. Dokoła nie cichł gwar zmieszanych głosów:

- Mesel! Odbierz mu mesel, bo głowę tamtemu rozwali!
- Spokojnie, spokojnie, wujku Piotrze, bo ci wykręcimy rękę!
- Cóż to, długo mamy się tu z nimi szamotać?
- Odciągnąć ich od siebie, pozamykać i koniec!

Nagle Tiwierzin nadludzkim wysiłkiem strząsnął kłęb wczepionych weń ciał, wyrwał się i jednym susem dopadł drzwi. Ludzie rzucili się za nim, widząc jednak, że ma zupełnie inne zamiary, niż myśleli, zostawili go w spokoju. Tiwierzin wyszedł trzaskając drzwiami i nie oglądając się ruszył przed siebie. Otaczała go jesienna wilgoć, noc, ciemność.

– Ty w nich chlebem, a oni w ciebie kamieniem – mruzczał, nie zdając sobie sprawy, dokąd i po co idzie.

Ów świat podłości i fałszu, w którym syta damulka śmie tak patrzeć na głupców-robociarzy, a pijana ofiara tych porządków znajduje przyjemność w znęcaniu się nad sobie podobnym, ten świat był mu teraz bardziej nienawistny niż wszystko inne. Szedł szybko, jak gdyby pośpiech mógł przybliżyć czasy, kiedy wszystko na świecie będzie rozumne i harmonijne, jak teraz w jego rozgorączkowanej wyobraźni. Wiedział, że ich działania w ostatnich dniach, zamieszki na linii kolejowej, przemówienia na zebraniach i decyzja o strajku, na razie jeszcze nie wprowadzona w życie, ale i nie odwołana – to tylko wstępne etapy wielkiej czekającej ich drogi.

Teraz jednak był wzburzony do tego stopnia, że pragnął przebyć całą tę odległość naraz, za jednym zamachem. Nie zastanawiał się, dokąd idzie, daleko wyrzucając nogi, ale nogi wiedziały dobrze, dokąd go niosą.

Tiwierzin długi czas nie wiedział, że po wyjściu jego i Antipowa z ziemianki na zebraniu zapadła decyzja o przystąpieniu do strajku jeszcze tego wieczora. Członkowie komitetu natychmiast ustalili między sobą, kto dokąd pójdzie i gdzie się zbiorą. Kiedy z warsztatów remontowych, niby z dna duszy Tiwierzina, wyrwał się ochryply, a potem coraz czystszy i równiejszy sygnał syreny, od strony semaforu wjazdowego szedł już ku miastu tłum z parowozowni i stacji towarowej, zlewając się z innym tłumem, który porzucił pracę na dźwięk syreny z kotłowni.

Tiwierzin przez wiele lat myślał, że to on sam wstrzymał tej nocy pracę i cały ruch na kolei. Wyprowadziły go z błędu dopiero późniejsze procesy, na których sądzono go z różnych paragrafów, a mimo to nie wstawiono do aktu oskarżenia zarzutu o podżeganiu do strajku.

Ludzie wybiegali i pytali: – Czemu gwiżdżą? – Z ciemności odpowiadano: – Głuchy jesteś? Słyszysz – alarm. Pożar trza gasić. – A gdzie się pali? – Widać się pali, skoro gwiżdżą.

Trzaskały drzwi, wychodzili nowi ludzie. Rozbrzmiewały nowe głosy: – Też wymyślił – pożar! Ciemniak! Nie słuchajcie tego durnia. To się nazywa strajk, rozumiecie? Pan niech sam się zabawia, ja mu służbę wymawiam. Idziemy do domu, chłopcy.

Ludzi przybywało coraz więcej. Kolej zastrajkowała.

7

Tiwierzin przyszedł do domu po trzech dniach, przemarznięty, niewyspany i nieogolony. Poprzedniej nocy ścisnął mróz, niezwykły o tej porze roku, a on był lekko ubrany. W bramie powitał go stróż Himazetdin.

– Dziękuję, panie Tiwierzin – zatrajkotał. – Jusupowi nie dał krzywda zrobić, Bóg nagrodzi.

– Oszalałeś, Himazetdin, co znowu za pan? Dajże spokój, proszę cię. Mów szybciej, widzisz, jaki mróz.

– Co to mróz, tobie ciepło, Sawieljicz. My wczoraj twoja mama Marfa Gawriłowna cała szopa drew z Moskwa Towarowa nawozili, sama brzoza, dobre drwa, suche drwa.

– Dziękuję, Himazetdin. Jak chcesz jeszcze coś powiedzieć, to szybko, bo zmarzłem, rozumiesz?

Powiedzieć chciał, w domu nie nocuj, Sawieljicz, chować się trzeba. Stójkowy pytał, rewirowy pytał, kto, mówi, tu przychodzi. Ja mówię, nikt nie przychodzi. Pomocnik, mówię, chodzi, brygada parowozowa chodzi, kolej żelazna chodzi. Ale żeby ktoś obcy, to ani-ani!

Kamienica, w której Tiwierzin mieszkał wraz z matką i młodszym żonatym bratem, była własnością położonej w sąsiedztwie cerkwi Świętej Trójcy. Zamieszkiwała ją służba cerkiewna, dwa artele owocarzy i rzeźników mających w mieście stragany, przede wszystkim zaś niżsi pracownicy Moskiewsko-brzeskiej Kolei Żelaznej.

Dom był murowany, z drewnianymi galeryjkami, które z czterech stron otaczały brudne, niebrukowane podwórze. W górę po galeriach pięły się brudne i śliskie schody, cuchnące kotami i kiszoną kapustą. Na podestach mieściły się ustępy i zamykane na kłódki składziki.

Brat Tiwierzina, zmobilizowany jako szeregowiec na wojnę, został ranny pod Wafankou. Przebywał na leczeniu w szpitalu wojskowym w Krasnojarsku. Żona i dwie córki pojechały go odwiedzić i zaopiekować się nim. Tiwierziniowie, kolejarze z dziada pradziada, byli ludźmi ruchliwymi i rozjeżdżali po całej Rosji za służbowymi biletami wolnej jazdy. Obecnie w mieszkaniu było cicho i pusto, mieszkali tu tylko matka i starszy, nieżonaty syn.

Mieszkanie mieściło się na pierwszym piętrze. Przed wejściem stała na galerijce beczka, którą napełniał woziwoda. Kiprian Sawieljewicz wyszedłszy na swoje piętro zauważył, że wieko beczki jest odsunięte i na tafli lodu pokrywającego wodę stoi przymarznięty metalowy kubek.

– Nikt inny, tylko Prow – pomyślał z uśmiechem. – Nigdy nie może się do syta napić ten smok, ta beczka bez dna.

Psalmista Prow Afanasiewicz Sokołow, mężczyzna postawny i jeszcze niestary, był dalekim krewnym Marfy Gawriłowny.

Kiprian Sawieljewicz oderwał kubek od lodowej skorupki, nasunął pokrywę i pociągnął rączkę dzwonka. Owionął go obłok domowego ciepła i apetycznej pary.

– Dobrze, że napaliłaś, mamó. Ciepło tu u nas, przyjemnie.

Matka rzuciła mu się na szyję, objęła go i wybuchnęła płaczem. Tiwierzin pogładził ją po głowie, odczekał chwilę i łagodnie odsunął.

– Odwaga góry przenosi, mamó – powiedział cicho. – Stoi moja kolej od Moskwy aż do Warszawy.

– Wiem. Dlatego płaczę. To ci nie ujdzie płazem. Musisz uciekać, Kuprińka, uciekać jak najdalej.

– Ten twój miły przyjaciel, pastuszek cacany, Piotr Pietrowicz, o mało mi karku nie skręcił.

Chciał ją rozśmieszyć, ale matka nie zrozumiała żartu i odparła poważnie:

– To grzech wyśmiewać się z niego, Kuprińka. Trzeba się nad nim uzalić. To nieszczęsny, stracony człowiek.

– Wzięli Paszkę Antipowa, Pawła Fierapontowicza. Przyszli w nocy, zrobili rewizję, wszystko przewrócili do góry nogami. Rano go zabrali. A Daria ma tyfus, i jest w szpitalu. Młody Pawłuszka – chodzi do szkoły realnej – został sam, tylko z głuchą ciotką. Poza tym wyrzucają ich z mieszkania. Myślę, że musimy wziąć chłopca do siebie. Czego chciał Prow?

– Skąd wiesz, że był?

– Widzę, że beczka nie przykryta i kubek stoi. Pomyślałem sobie, że to na pewno ten Prow nienasycony wodę żłopał.

– Jakiś ty domyślny, Kuprińka. Masz rację. Był tu Prow Afanasjewicz. Przyszedł pożyczyć drew – dałam mu. Ach, ja głupia – co tam drwa! Zupełnie mi wyleciało z głowy, jaką on nowinę przyniósł. Cesarz, wyobraź sobie, podpisał manifest, żeby wszystko pozmieniać na nowy ład, nikogo nie krzywdzić, chłopom dać ziemię i wszystkich zrównać ze szlachtą. Dekret już podpisany, a coś ty myślał, tylko podać do wiadomości. Z synodu przysłano nową prośbę, żeby go wstawić do ektenii czy jakichś tam modłów o zdrowie, nie chcę przekreślić. Prowuszka mówił, ale zapomniałam.

U Tiwierzinów zamieszkał Patula Antipow, syn aresztowanego Pawła Fierapontowicza i leżącej w szpitalu Darii Filimonowny. Był to schludny chłopiec o

regularnych rysach twarzy i jasnych włosach uczesanych z przedziałkiem pośrodku. Co chwila przyglądał je szczotką i co chwila obciągał kurtkę i poprawiał pas ze sprzączką opatrzoną emblematem szkoły realnej. Patula lubił śmiać się do łez i był bardzo spostrzegawczy. Wielce udatnie i zabawnie parodiował wszystko, co widział i słyszał.

Wkrótce po manifeście siedemnastego października miała się odbyć wielka demonstracja uliczna między rogatkami Twerską i Kurską. Była to inicjatywa w duchu przysłowia „gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść”. Kilka organizacji rewolucyjnych, zaangażowanych w to przedsięwzięcie, skłóciło się między sobą i wycofały się jedna po drugiej, na wiadomość zaś, że w wyznaczonym dniu ludzie jednak wyszli na ulicę, na chybcika wysłały do demonstrantów swych przedstawicieli.

Mimo próśb i sprzeciwów Kipriana Sawieljewicza Marfa Gawriłowna poszła na demonstrację w towarzystwie wesołego i towarzyskiego Patuli.

Był suchy i mroźny dzień listopadowy z ołowianoszarym spokojnym niebem i rzadkimi, nielicznymi płatkami śniegu, które długo i przeciągle wirowały, zanim spadły na ziemię i legły szarym puszystym pyłem w wybojach ulicy.

Biegnącą w dół jezdnią walały tłumy, istna wieża Babel, twarze, twarze, twarze, zimowe palta na watolinie i barankowe czapki, starcy, kursistki i dzieci, kolejarze w mundurach, robotnicy z zajezdni tramwajowej i stacji telefonicznej w wysokich butach za kolana i w skórzanych kurtkach, gimnazjaliści i studenci.

Przez jakich czas śpiewano „Warszawiankę”, „Padliście ofiarą...” i „Marsylianę”, ale nagle mężczyzna, który szedł tyłem przed pochodem i zaciśniętą w dłoni czapką dyrygował śpiewem, włożył czapkę, przestał śpiewać i jął nasłuchiwać, co mówią idący obok niego inni przywódcy. Śpiew załamał się i umilkł. Na zamarzniętej jezdni dały się słyszeć chrzęszczące kroki nieprzebranego tłumu.

Sympatycy ostrzegali inicjatorów pochodu, że nieco dalej na manifestantów czekają kozacy. Z wiadomością o szykującej się zasadzce telefonowano do pobliskiej apteki.

– Cóż – mówili przywódcy – teraz najważniejsze to zachować zimną krew i nie stracić głowy. Trzeba natychmiast zająć pierwszy gmach publiczny, jaki się trafi po drodze, powiadomić ludzi o zagrażającym niebezpieczeństwie i rozejść się pojedynczo.

Zaczął się spór, który budynek należy zająć. Jedni proponowali Towarzystwo Subiektów Sklepowych, inni Wyższe Kursy Techniczne, jeszcze inni Uczelnię Korespondentów Zagranicznych.

W czasie tej sprzeczki przed idącymi wyłonił się narożnik budynku, w którym również mieścił się zakład naukowy i który nadawał się na schronienie równie dobrze jak inne.

Przywódcy weszli na półkolisty podjazd i gestami zatrzymali czoło pochodu. Otworzyły się wieloskrzydłowe drzwi i pochód w pełnym składzie, kozuch za kozuchem i czapka za czapką, zaczął się wlewać do westybulu i wspinać po paradnych schodach.

– Do auli, do auli! – krzyczały z tyłu pojedyncze głosy, ale tłum parł dalej, rozchodząc się po korytarzach i klasach.

Kiedy wreszcie udało się go zawrócić i wszyscy usiedli na krzesłach, przywódcy kilka razy próbowali zawiadomić zebranych o czekającej ich zasadzce, ale nikt nie słuchał. Całą tę sytuację i wejście do zamkniętego pomieszczenia ludzie zrozumieli jako zaproszenie do zaimprovizowanego mitingu, który się też natychmiast rozpoczął.

Wszyscy po długim marszu mieli ochotę posiedzieć chwilę w milczeniu i żeby ktoś inny się teraz wydzierał. W porównaniu z najważniejszą obecnie przyjemnością wypoczynku nieistotne wydawały się drobne różnice zdań wśród mówców, którzy zresztą w większości spraw byli solidarni.

Nic dziwnego więc, że największy sukces przypadł w udziale najgorszemu mówcy, który nie nużył słuchaczy, gdyż nie potrafił skupić ich uwagi. Każde jego słowo witano pochwalnym rykiem, nikt nie żałował, że jego mowę zagłusza szmer aprobaty. Wszyscy pośpiesznie mu przytakiwali, krzyczeli „hańba”, układali depesze protestacyjne, i nagle, znudzeni jego monotonnym głosem, wstali jak jeden mąż i czapka za czapką, rząd za rządem tłumnie zeszli po schodach i wysypali się na ulicę. Pochód ruszył dalej.

W czasie wiecu na dworze zaczął padać śnieg. Jezdnie pobieleły. Śnieg sypał coraz gęstszy.

Kiedy nadjechali dragoni, w tylnych szeregach nikt się w pierwszej chwili nie zorientował. Nagle od przodu przetoczył się narastający ryk, jak gdyby cały tłum krzychał „hura”. Krzyki „ratunku”, „zabili” i wiele innych zlały się w jeden niezrozumiały zgiełk. Niemal w tej samej chwili na fali owych głosów ciasnym przejściem, utworzonym przez cofający się w panice tłum, szybko i bezgłośnie przemknęły końskie pyski i machający czapkami jeźdźcy.

Oddział przegalopował, zawrócił, zmienił szyk i wbił się od tyłu w ogon pochodu. Rozpoczęła się masakra.

Po upływie kilku minut ulica prawie opustoszała. Ludzie rozbiegli się po zaułkach. Śnieg padał coraz rzadszy. Wieczór był suchy jak rysunek węglem. Nagle zachodzące gdzieś za domami słońce zaczęło zza węgła niby palcem wskazywać wszystko, co było czerwone na ulicy: dragonie z czerwonymi denkami, rozpostarte płótno czerwonego sztandaru, ślady krwi, ciągnące się po śniegu szkarłatnymi nitkami i punktami.

Brzegiem trotuaru z jękiem czołgał się na rękach człowiek z rozbitą czaszką. Pod górę jechało szeregiem kilku konnych. Wracali z końca ulicy, dokąd zapędzili się za uciekającym tłumem. Niemal pod nogami koni miotała się Marfa Gawriłowna w zsuniętej z głowy chustce i nieswoim głosem krzychała na całą ulicę: „Pasza! Patula!”

Patula przez cały czas szedł przy niej i zabawiał ją, naśladując bardzo udatnie ostatniego mówcę. I nagle przepadł w zamęcie, kiedy dragoni ruszyli do ataku.

W zamieszaniu Marfa Gawriłowna dostała po plecach nahajką, i chociaż grubo watowana salopa osłabiła uderzenie, Tiwierzina zakłęta i pogroziła pięścią w stronę

oddalających się kawalerzystów, oburzona, że ktoś śmie ją, starą kobietę, chłostać batem przy ludziach.

Teraz rzucała przerażone spojrzenia na obie strony ulicy. Nagle ku swej radości zobaczyła chłopca na przeciwległym chodniku. Tam, w zagłębieniu między sklepem kolonialnym a występem jakiejś kamienicy, tłoczyła się gromadka przypadkowych gapiów.

Wcisnął ich tutaj zadem i bokami swego konia dragon, który wjechał na chodnik. Bawiło go ich przerażenie, więc zagradzając wyjście, wykonywał im tuż przed nosem maneżowe wolty i piruety, cofał konia i powoli jak w cyrku podnosił go na tylne nogi. Nagle zobaczył wracających stępa towarzyszy, dał koniowi ostrogę i dwoma susami zajął miejsce w szeregu.

Słóczeni między murami ludzie rozeszli się. Pasaż, który dotychczas bał się odezwać, rzucił się do babki.

Przez całą drogę do domu Marfa Gawriłowna zrzędziła:

– Mordercy przekłęci, bandyci, dranie! Ludzie się cieszą, car dał swobodę, a im nie w smak. Tylko patrzą, żeby wszystko spaskudzić, każde słowo wywrócić na nice.

Była zła na dragonów, na cały świat i w tej chwili nawet na własnego syna. Zaślepiąca gniewem myślała, że wszystko, co się stało, jest dziełem tych bałamutów, kompanów Kuprińki których nazywała przemądrzałymi partaczami.

– Złe duchy! O co tym antychrystom chodzi? Ani krzty rozumu! Tylko by pyskowali i głupstwa pletli. A ten gaduła, jakeś ty go przedrzeźniał, Paszeńka? Pokaż, robaczku, pokaż. Oj, nie wytrzymam! Wykapany on, nic dodać, nic ująć. Ter-ter-ter-ter. Ach, to giez uprzykrzony, końska mucha!

W domu zasypała syna wyrzutami: Nie uchodzi w jej wieku, żeby jakiś piegowaty chłystek na koniu siekł ją batem poniżej krzyża.

– Ależ, mamusiu, coś ty! Zupełnie jakbym był setnikiem kozackim albo jakimś komendantem żandarmerii!

9

Mikołaj Nikołajewicz stał przy oknie, kiedy ukazali się biegnący. Zrozumiał, że to demonstranci, i przez jakiś czas wpatrywał się w dal, myśląc, że może zobaczy Jurę czy kogoś ze znajomych. Nikogo jednak nie dostrzegł, tylko raz wydało mu się, że przeszedł szybko ten, jak mu tam, (Mikołaj Nikołajewicz nie pamiętał jego imienia), syn Dudorowa, desperat, któremu dopiero co wyciągano kulę z lewego ramienia i który znowu szwenda się, gdzie nie trzeba.

Mikołaj Nikołajewicz przyjechał tu jesienią z Petersburga. Nie miał w Moskwie własnego kąta, a w hotelu mieszkać nie chciał. Zatrzymał się u swych dalekich krewnych, Swientickich, którzy oddali mu do użytku narożny gabinet na mansardzie.

Ową jednopiętrową oficynę, za obszerną dla bezdzietnego małżeństwa, nieżyjący już starzy Swienticcy od niepamiętnych czasów wynajmowali od książąt Dołgorukich. Posiadłość Dołgorukich z trzema podwórzami, ogrodem i mnóstwem

rozrzucanych bezładnie, przebudowanych w różnych stylach domów wychodziła na trzy uliczki i nosiła staroświecką nazwę Mączny Gródek.

Gabinet miał cztery okna, lecz mimo to był ciemnawy, przeładowany książkami, papierami, dywanami i sztychami. Do gabinetu przylegał balkon, półkołem obejmujący narożnik budynku. Dwuskrzydłowe oszklone balkonowe drzwi były na zimę zamknięte na głucho.

Przez dwa okna gabinetu i drzwi balkonowe było widać wzdłuż cały zaułek – uchodzącą w dal sanną drogę, krzywo rozstawione domki, koślawe parkany. Długie liliowe cienie z ogrodu ciągnęły się aż do gabinetu. Drzewa zaglądały przez okna, jak gdyby chciały położyć na podłodze swe gałęzie, oblepione ciężkim szronem, podobne do bladoliliowych strużek zaschniętej stearyny.

Mikołaj Nikołajewicz spoglądał w zaułek i wspominał zeszłoroczną petersburską zimę, Hapona, Gorkiego, wizytę u Wittego², modnych pisarzy współczesnych. Z całego tego zamętu umknął tutaj, w ciszę i spokój pierwszej stolicy, aby pisać zaplanowaną książkę. Ale gdzie tam! Trafił z deszczu pod rynnę. Codzienne wykłady i odczyty, bez chwili wytchnienia. To na Wyższych Kursach Żeńskich, to w Instytucie Religijno-filozoficznym, to na rzecz Czerwonego Krzyża, to znów na Fundusz Komitetu Strajkowego. Ech, pojechałoby się do Szwajcarii, w głąsę leśnego kantonu. Spokój i blask nad jeziorem, niebo i góry, i dźwięczne, wtórujące wszystkiemu, czujne powietrze.

Mikołaj Nikołajewicz odwrócił się od okna. Miał ochotę iść gdzieś z wizytą albo po prostu bez celu przejść się po ulicy. Przypomniawszy sobie jednak, że ma do niego wpaść w pewnej sprawie tołstojowiec Wywołocznow, a więc nie może wyjść z domu. Zaczął spacerować po pokoju. Myśli jego zwróciły się ku siostrzeńcowi.

Mikołaj Nikołajewicz, przenosząc się z nadwożańskiego partykularza do Petersburga, zawiózł Jurę do Moskwy, pod opiekę rodzinnego kręgu Wiedieniapinów, Ostromysleńskich, Sielawinów, Michaelisów, Swientickich i Gromieków. Na początku umieszczono chłopca u starego wartogłowa i gaduły Ostromysleńskiego, zwanego przez krewnych po prostu Fiedką. Fiedka żył potajemnie ze swą wychowanicą Motią i w związku z tym uważał się za burzyciela starych porządków i rzecznika nowych idei. Zawiódł pokładane w nim zaufanie, a nawet okazał się nieuczciwy, wydając na własne potrzeby pieniądze przeznaczone na utrzymanie Jury, toteż przeniesiono chłopca do profesorskiej rodziny Gromieków, gdzie przebywał dotychczas.

U Gromieków Jura znalazł się w niezwykle życzliwej atmosferze.

– Stworzyli sobie triumwirat – myślał Mikołaj Nikołajewicz. – Jura, jego przyjaciel i kolega z klasy Gordon i córka gospodarzy Tonia Gromieko. To trójprzymierze zaczytuje się „Sensem miłości” i „Sonatą Kreutzerowską” i ma bzika na punkcie głoszenia cnoty.

² Witte Siergiej Juljewicz – ówczesny minister finansów. (przyp. tłum.)

Młodość powinna przejść przez wszystkie szaleństwa czystości. Oni jednak przesadzają, w głowach im się pomieszało.

Są strasznie pruderyjni i dziecinni. Zmysłowość, która tak ich niepokoi, nazywają nie wiadomo czemu „ohydą” i używają tego wyrażenia, trzeba czy nie trzeba. A jest to słowo bardzo niewłaściwe! „Ohyda” oznacza u nich i głos instynktu, i literaturę pornograficzną, i przymusową prostytutkę, i cały właściwie świat zmysłów. Czerwienią się i bledną na dźwięk tego słowa!

– Gdybym był w Moskwie – myślał Mikołaj Nikołajewicz – nie dopuściłbym, by sprawy zaszyły tak daleko. Wstyd jest konieczny, ale do pewnych granic...

– A, Nił Fieoktistowicz! Proszę, proszę – wykrzyknął i poszedł na spotkanie gościa.

10

Do pokoju wszedł tęgi mężczyzna w szarej rubaszce ściągniętej szerokim skórzanym pasem. Był w walonkach, spodnie miał wypchnięte na kolanach. Robił wrażenie bujającego w obłokach poczciwca. Na nosie podrygiwało mu złośliwie Pince-nez na szerokiej czarnej wstążce.

Rozbierając się w przedpokoju nie dokończył tej czynności. Nie zdjął szalika, którego koniec włókł się za nim po podłodze, w rękach zaś trzymał wciąż okrągły filcowy kapelusz. Rzeczy te krępowały mu ruchy i przeszkadzały nie tylko ucisnąć dłoń Mikołaja Nikołajewicza, ale nawet wypowiedzieć słowa powitania.

– Eh-mm – mrucał stropiony, rozglądając się na boki.

– Niech pan to położy gdziekolwiek – rzekł Mikołaj Nikołajewicz, przywracając Wywołocznowowi dar mowy i opanowanie.

Wywołocznow był jednym z tych zwolenników Lwa Tołstoja, w których umysłach idee nie znajęcego spokoju geniusza układały się do długiego beztroskiego wypoczynku i nieodwracalnie karłały.

Przyszedł do Mikołaja Nikołajewicza z prośbą, by ten wystąpił z odczytem w jakiejś szkole na rzecz zesłańców politycznych.

– Już raz miałem tam odczyt.

– Na rzecz politycznych?

– Tak.

– Trzeba będzie wystąpić jeszcze raz.

Mikołaj Nikołajewicz upierał się przez chwilę, wreszcie jednak wyraził zgodę.

Cel wizyty został osiągnięty. Mikołaj Nikołajewicz nie zatrzymywał gościa. Nił Fieoktistowicz mógł wstać i wyjść, ale uważał że nie wypada odejść tak zaraz. Pragnął powiedzieć na pożegnanie coś niebanalnego, niewymuszonego. Nawiązała się rozmowa, sztuczna i nieprzyjemna.

– Pan jest dekadentem, uprawia pan mistykę?

– O co panu chodzi?

– Marnuje się pan. Pamięta pan ziemstwo?

– A jakże. Razem pracowaliśmy przy wyborach.

– Walczył pan o szkoły wiejskie i seminaria nauczycielskie. Pamięta pan?

– A jakże. Walka była zacięta. Pan chyba potem występował w sprawie powszechnego leczenia i opieki społecznej. Prawda?

– Przez jakiś czas. Ta-ak... Ta-ak. A teraz te całe fauny i nenufary, efebowie i „bądźmy jak słońce”. Za nic nie uwierzę, żeby mądry człowiek, z poczuciem humoru i taką wiedzą o prostym ludzie...

– Niech pan da spokój...

– A może nie powinienem się wtrącać... Może jest w tym jakiś sekret?

– Po cóż rzucać słowa na oślep, bez zastanowienia? O co my się spieramy? Pan przecież nie zna moich myśli.

– Rosji potrzebne są szkoły i szpitale, a nie fauny i nenufary.

– Nie przeczę.

– Chłop jest nagi i puchnie z głodu...

Rozmowa nie bardzo się kleiła. Mikołaj Nikołajewicz, z góry wiedząc, że jego usiłowania nie odniosą skutku, zaczął tłumaczyć, co go zbliża z niektórymi pisarzami-symbolistami, a potem przeszedł do Tołstoja.

Do pewnego stopnia podzielał pańskie przekonania. Ale Tołstoj mówi, że im bardziej człowiek oddaje się pięknu, tym bardziej oddala się od dobra.

– A pan uważa, że jest odwrotnie? Że świat może uratować piękno? Misteria i tak dalej, Rozanow i Dostojewski?

– Chwileczkę, sam panu powiem, co myślę. Myślę, że gdyby drzemiącą w człowieku bestię można było powstrzymywać groźbą – nieważne: więzienia czy kary pośmiertnej – wówczas najwyższym emblematem ludzkości byłby pogromca cyrkowy z biczem w rękę, a nie pełen poświęcenia głosiciel prawdy. Ale o to właśnie chodzi, że przez całe stulecia wywyższał człowieka nad zwierzę i wznosił go ku wyżynom nie kij, ale muzyka: czar bezbronnej prawdy, powab jej wzorców. Dotychczas uważa się, że w Ewangelii najważniejsze są sentencje moralne i zasady zawarte w przykazaniach, a dla mnie najważniejsze jest to, że Chrystus mówi przypowieściami wziętymi wprost z życia oświetlając prawdę blaskiem codzienności. Źródłem tego jest myśl, że obcowanie śmiertelników jest Nieśmiertelne i że życie jest symboliczne, albowiem jest znaczące.

– Nic nie rozumiem. Powinien pan napisać o tym książkę.

Po wyjściu Wywołocznowa Mikołaj Nikołajewicz poczuł straszne rozdrażnienie. Był zły na siebie, że wypaplał temu bałwanowi część swych najskrytszych myśli, które w dodatku nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Jak to się często zdarza, irytacja Mikołaja Nikołajewicza nagle przybrała inny kierunek. Zapomniał zupełnie o Wywołocznowie, jak gdyby ten nigdy nie istniał. Przypomniał sobie inne wydarzenie. Nie prowadził dziennika, ale raz czy dwa razy do roku zapisywał w grubym brulionie myśli, które go najbardziej poruszyły. Wyjął zeszyt i zaczął szybko pisać swym dużym, wyraźnym pismem.

„Przez cały dzień wychodzę z siebie z powodu tej idiotki Schlesinger. Przychodzi rano, siedzi aż do obiadu i przez bite dwie godziny zamęcza mnie czytaniem tych bredni. Wierszowany tekst symbolisty A. do symfonii kosmogonicznej kompozytora

B. z duchami planet, głosami czterech żywiołów itd., itp. Znosiłem to długo, wreszcie nie wytrzymałem i zacząłem błagać, by dała mi spokój.

– Nagle wszystko zrozumiałem. Zrozumiałem, czemu jest to tak straszliwie nieznosne i fałszywe nawet w „Fauście”. Jest to problem sztuczny, zakłamywany. Człowiek współczesny nie ma takich problemów. Kiedy zaczynają go interesować tajemnice wszechświata, zagłębia się w fizykę, a nie w heksametry Hezjoda.

Chodzi jednak nie tylko o przestarzałość tych form, o ich anachronizm. Rzecz polega na tym, że owe duchy ognia i wody znowu mącą i gmatwają to, co przejrzysto rozszyfrowała nauka. Że ten gatunek jest sprzeczny z całym duchem dzisiejszej sztuki, z jej istotą, z jej pobudzającymi motywami.

Owe kosmogonie były rzeczą naturalną na starej ziemi, zaludnionej tak rzadko, że człowiek nie przesłaniał jeszcze przyrody. Po ziemi chodziły mamuty i świeże były wspomnienia o dinozaurach i smokach. Przyroda tak wyraźnie rzuciła się człowiekowi w oczy i tak drapieżnie na kark, że, być może, naprawdę wszędzie było jeszcze pełno bogów. Były to pierwsze stronicie historii ludzkości, która dopiero zaczynała się rodzić.

I ten starożytny świat umarł w Rzymie z powodu przeludnienia.

Rzym był targowiskiem zapożyczonych bogów i podbitych narodów, kramem o dwóch ladach – na ziemi i na niebie, plugastwem, które jak trzewia przy skręcie kiszek samo siebie zadławiło potrójną pętlą; Dakowie, Herulowie, Scytowie, Sarmaci, Hiperborejczycy, ciężkie koła bez szprych, zapłnięte tłuszczem oczy, sodomia, podwójne podbródki, karmienie ryb mięsem kształconych niewolników, imperatorzy-analfabeci. Ludzi na świecie było więcej niż kiedykolwiek później, byli stłoczeni w womitoriach Koloseum i cierpieli.

I oto, kiedy zaczął się walić ów złoty i marmurowy gmach złego smaku, przyszedł On, lekki, odziany w światłość, ostentacyjnie ludzki, umyślnie prowincjonalny, galilejski, i od tej chwili zniknęły narody i bogi, i ukazał się człowiek, człowiek-cieśla, człowiek-oracz, człowiek-pasterz wśród stada owiec o zachodzie słońca, człowiek, który nie brzmiał ani trochę dumnie, człowiek uwieczniony wdzięczną pamięcią we wszystkich matczyńskich kołysankach i we wszystkich malarskich galeriach świata.”

11

Pietrowka robiła wrażenie przeniesionego do Moskwy petersburskiego zakątka. Harmonizujące ze sobą budynki po obu stronach ulicy, gustowne sztukaterie na fasadach, księgarnia, czytelnia, sklep kartograficzny, przyzwoita trafika, dobra restauracja, przed restauracją latarnie gazowe w kulistych matowych kloszach na masywnych kroksztynach.

Zimą miejsce to przybierało wygląd chmurny, mroczny i nieprzystępny. Mieszkali tu poważni, szanujący się i dobrze sytuowani ludzie wolnych zawodów.

Tutaj wynajmował luksusową garsonierę na pierwszym piętrze z szerokimi schodami o grubych dębowych poręczach Wiktor Ippolitowicz Komarowski.

Troszcząca się o wszystko, a jednocześnie do niczego się nie wtrącająca Emma Ernestowna, gospodyni, nie – raczej opiekunka jego cichego ustronia, prowadziła mu gospodarstwo niewidzialna i niesłyszalna, on zaś odpłacał jej rycerską wdzięcznością, naturalną u takiego dżentelmena, i nie tolerował w mieszkaniu wizyt gości płci obojga, których obecność zakłócałyby spokój starej panny. W mieszkaniu panowała więc atmosfera niemal klasztorna – story zaciągnięte, żadnego pyłku, żadnej plamki, jak w sali operacyjnej.

W niedzielę przed obiadem Wiktor Ippolitowicz miał zwyczaj paradowania ze swym buldogiem po Pietrowce i Moście Kuznieckim, gdzie przyłączał się do niego Konstanty Iłłarionowicz Satanidi, aktor i karciarz.

Razem szlifując bruki, wymieniali krótkie dowcipy i uwagi, tak urywane, błahe i pełne takiej pogardy dla całego świata, że spokojnie mogliby zastąpić te słowa zwykłym warczeniem, byleby tylko napęlić obie strony Kuznieckiego Mostu swymi donośnymi basami, bezwstydnie zdyszczanymi i dławiącymi się jakby własną wibracją.

12

W pogodzie nastąpiło przesilenie. „Kap-kap-kap” – drążyły krople blachę rynien i parapetów. Woda bębniła po dachach jak na wiosnę. Była odwilż.

Całą drogę przebyła jak nieprzytomna i dopiero po przyjsciu do domu zrozumiała, co zaszło.

W domu wszyscy spali. Znowu popadła w otepienie i w roztargnieniu usiadła przed matczyną toaletką; była w bladoliliowej, prawie białej sukni z koronkami i w długiej woalce, stroju pożyczonym z pracowni na jeden wieczór, jak na maskaradę. Siedziała przed swym lustrzanym odbiciem i nic nie widziała. Potem skrzyżowała ramiona na toaletce i oparła na nich głowę.

Jeżeli mama się dowie, zabije ją. Zabije i popełni samobójstwo.

Jak to się stało? Jak to się mogło stać? Teraz już za późno. Trzeba było myśleć wcześniej.

Teraz jest – jak to się mówi? – teraz jest kobietą upadłą. Ta kobieta z francuskiego romansu jutro pójdzie do szkoły i zasiądzie w jednej ławce z dziewczętami, które w porównaniu z nią są jeszcze głupiutkimi dziećmi. Boże, Boże, jak to się mogło stać?

Kiedyś, po latach, kiedy już będzie mogła, Lara opowie wszystko Oli Dieninej. Ola obejmie jej głowę i rozszlocha się.

Za oknem bełkotały krople, gaworzyła odwilż. Ktoś na ulicy łomotał w sąsiednią bramę. Lara nie podnosiła głowy. Ramiona jej dygotały od płaczu.

13

– Ach, Emmo Ernestowno, mniejsza o to. Mam tego dość.

Rozrzucił po dywanie i kanapie części ubrania, mankiety i podkoszulki, wysuwał i zasuwał szuflady komody, nie wiedząc, czego szuka.

Potrzebował jej koniecznie, a zobaczyć się z nią tej niedzieli nie miał możliwości. Miotał się jak zwierzę po pokoju, nie mogąc sobie znaleźć miejsca.

Była cudowna w tym swoim niewinnym uroku. Jej dłonie zdumiewały, jak zdumiewać może wzniosła myśl. Jej cień na tapetach zdawał się być ucieleśnieniem jej dziewczicości. Koszulka opinała jej piersi tak naiwnie i ciasno, jak kawałek płótna naciągnięty na palce.

Komarowski bębnił palcami po szybie do taktu krokom koni, bez pośpiechu stukających kopytami po asfalcie ulicy. „Lara” – szeptał i zamykał oczy, i wyobrażał sobie jej głowę w swych dłoniach, głowę śpiącej, z opuszczonymi rzęsami, nieświadomą, że on nie śpi i całymi godzinami patrzy na nią, nie odrywając wzroku. Piękno jej bujnych włosów, w nieładzie rozsypanych po poduszce, jak dym szczypało go w oczy i przenikało w duszę.

Niedzielny spacer nie udał się. Komarowski zrobił z Dżekiem kilka kroków po ulicy i zatrzymał się. Wyobraził sobie Most Kuzniecki, dowcipy Satanidiego, idących z przeciwka znajomych. Nie, to ponad jego siły! Jakże mu to wszystko obrzydło! Zawrócił. Zdziwiony pies spojrzał nań z dołu z niezadowoleniem i niechętnie powłókł się z tyłu.

– To chyba jakieś opętanie! – myślał Komarowski. – Co to wszystko znaczy? Czyżby przebudzone sumienie, uczucie litości czy skruchy? A może to niepokój? Nie, przecież wie, że ona jest teraz bezpieczna u siebie w domu. Czemu więc nie może przestać o niej myśleć?

Komarowski wszedł w bramę, wspiął się po schodach na podest i minął go. Na podeście było weneckie okno z herbowymi ornamentami w narożnikach szyby. Kolorowe świetlne zajązki padały z okna na podłogę i parapet. W połowie drugiej kondygnacji Komarowski zatrzymał się.

Nie wolno mu się poddać tej dokuczliwej, ssącej tęsknocie! Nie jest dzieckiem, musi zdawać sobie sprawę z tego co mu grozi, jeżeli ta dziewczynka, córka zmarłego przyjaciela, to dziecko, zamiast być rozrywką, stanie się obiektem jego szaleństwa. Musi się opamiętać! Pozostać wiernym sobie, nie odstępować od swych przyzwyczajzeń. Bo wszystko pójdzie na marne.

Aż do bólu zacisnął rękę na szerokiej poręczy. Zamknął na chwilę oczy i, odwróciwszy się zdecydowanie, zaczął schodzić ze schodów. Na podeście z zajązkami uchwycił rozmodlone spojrzenie buldoga. Dżek patrzył nań z dołu z uniesionym łbem jak stary zaśliniony karzełek z obwisłymi policzkami.

Pies nie lubił Lary, darł jej pończochy, warczał na nią i pokazywał zęby. Był zazdrosny o dziewczynę, jak gdyby się obawiał, że pan zarazi się od niej czymś ludzkim.

– Ach, to tak? Uważasz, że wszystko będzie po dawnemu – Satanidi, łotrostwa, anegdutki? A masz za to, a masz, a masz!

Zaczął okładać buldoga laseczką i kopać. Dżek wyrywał się, skowycząc i piszcząc, i z dygocącym zadem pokuśtykał na górę, skrobać do drzwi i skarżyć się Emmie Ernestownie.

Mijały dni i tygodnie.

14

O, to był zaklęty krąg! Gdyby wtargnięcie Komarowskiego w życie Lary budziło w niej tylko wstręt, dziewczyna zbuntowałaby się i wyswobodziła. Ale sprawa nie była tak prosta.

Pochlebiało jej, że przystojny, siwiejący mężczyzna, który mógłby być jej ojcem, którego oklaskują na zebraniach i o którym piszą w gazetach, traci na nią pieniądze, czas, nazywa ją bóstwem, wozi do teatrów i na koncerty i w pełnym tego słowa znaczeniu „rozwija ją intelektualnie”.

A przecież była jeszcze niedoroślą pensjonarką w brązowej sukience, ukradkiem biorącą udział w szkolnych spiskach i figlach. Umizgi Komarowskiego w karecie pod nosem stangreta lub w ustronnej łoży na oczach całego teatru zachwycały ją swym zuchwalstwem i pobudzały do naśladowania rozbudzonego w niej diablaka.

Ale ten swawolny, dziecinny tupet szybko mijał. Na długo zakorzeniło się w niej ćmiące uczucie przygnębienia i strach przed samą sobą. I ciągle była senna. Z powodu niedospanych nocy, łez i ustawicznego bólu głowy, z powodu zadawanych lekcji i ogólnego fizycznego wyczerpania.

15

Był jej przekleństwem, nienawidziła go. Codziennie od nowa analizowała te myśli.

Teraz jest jego niewolnicą na całe życie. Czym ją tak ujarzmił? Czym wymusza jej pokorę, sprawia, że ona się poddaje, zaspokaja jego pragnienia i pozwala mu się delectować drzeniem swej nagiej hańby? Tym, że jest o tyle starszy, że mama jest od niego finansowo uzależniona, że potrafi zręcznie ją, Larę, zastraszyć? Nie, nie, nie. To wszystko bzdury.

To nie ona jest zależna od niego, ale on od niej. Czyż nie widzi, jak on się przez nią dręczy? Ona nie ma się czego bać, ma czyste sumienie. Wstydzić się i bać powinien on, kiedy go oskarży. Ale w tym właśnie szkopał, że ona nigdy tego nie zrobi. Zabraknie jej podłości, owej głównej siły Komarowskiego w stosunku do osób odeń zależnych i słabych.

Oto na czym polega różnica między nimi. To właśnie sprawia, że tak straszne jest życie. Czymże ono ogłusza: gromem i błyskawicą? Nie, krzywymi spojrzeniami, szeptem obmowy. Wszystko w nim jest podstępem i dwuznacznością. Oddzielne nitki są jak pajęczyna, pociągniesz – i zerwiesz, ale spróbuj uwolnić się z sieci – tylko zaplączesz się jeszcze bardziej.

I tak nad silnym panuje podły i słaby.

16

Mówiła sobie: a gdybym była mężatką? Czym by się to różniło? Wstąpiła na drogę sofistyki. Czasem jednak ogarniał ją nieprzewyciężony smutek.

Jak on się nie wstydzi tarzać u jej nóg i błagać: „Tak dłużej nie może być. Pomyśl, co ja z tobą zrobiłem. Staczasz się po równi pochyłej. Wyznajmy wszystko matce. Ożenię się z tobą.”

Płakał i nalegał, jak gdyby ona opierała się i nie zgadzała. Ale wszystko to były tylko frazesy i Lara nawet nie słuchała tych tragicznych, pusto brzmiących słów.

Więc nadal prowadził ją, osłoniętą gęstą woalką, do gabinetu w tej okropnej restauracji, gdzie kelnerzy i goście przeprowadzali ją wzrokiem i jakby rozbierali. I wtedy zapytywała samą siebie: czy kiedy się kogoś kocha, to się go poniża?

Kiedyś miała sen. Leży w ziemi, pozostał z niej tylko lewy bok z ramieniem i prawa stopa. Z lewej sutki wyrasta jej kępka trawy, a na ziemi śpiewają „Czarne oczy, biała pierś...” i „Nie kazali Maszy za rzekę chodzić...”

17

Lara nie była pobożna. Nie uznawała obrzędów religijnych. Czasem jednak, po to, by życie uczynić bardziej znośnym, potrzebowała jakiejś wewnętrznej muzyki. Takiej muzyki nie można było za każdym razem tworzyć samodzielnie. Muzyką tą było słowo Boże o życiu i Lara chodziła płakać nad nim do cerkwi.

Pewnego razu w początkach grudnia, kiedy było jej na sercu ciężko jak Katierinie z „Burzy”, Lara poszła się pomodlić z uczuciem, że oto zaraz ziemia się pod nią rozstąpi i runą cerkiewne sklepienia. I bardzo dobrze. Wreszcie będzie koniec wszystkiego. Szkoda tylko, że zabrała ze sobą Olę Dieniną, tę terkotkę.

– To Prow Afanasjewicz – szepnęła jej Ola na ucho.

– Pst. Daj mi spokój. Jaki Prow Afanasjewicz?

– Prow Afanasjewicz Sokołow. Nasz cioteczno-cioteczny wujek. Ten, co czyta.

– Ach, psalmista. Krewny Tiwierzinów. Pst. Nie gadaj. Nie przeszkadzaj, proszę cię.

Przyszły na początek nabożeństwa. Właśnie śpiewano psalm: „Pobłogosław, duszo moja, Panu, i wszystko, co we mnie jest, imieniu świętemu jego.”³

W cerkwi było pustawo, śpiew odbijał się dudniącym echem. Tylko z przodu stłoczyła się ciasno grupka wiernych. Cerkiew była niedawno wzniesiona. Zwykła, niekolorowa szyba okienna niczym nie upiększała szarego, zaśnieżonego zaułka, przechodniów i jezdnych, którzy się po nim snuli. Przy oknie stał starosta cerkiewny i głośno, na całą świątynię, nie zwracając uwagi na toczące się nabożeństwo,

³ Ps. 102, 1, 2.

strofował jakąś głuchawą obdartą dewotkę, i jego głos był również bezosobowy i pospolity jak okno i widoczny przez nie zaułek.

Zanim Lara, powoli obchodząc modlących się ludzi przeszła z zaciśniętymi w garści miedziakami do drzwi po świeczki dla siebie i Oli, i równie ostrożnie, by nikogo nie potrącić, wróciła na miejsce, Prow Afanasjewicz zdążył odbębnić dziewięć błogosławieństw jak coś, co i bez jego czytania wszyscy doskonale znają.

Błogosławieni ubodzy w duchu... Błogosławieni, którzy płaczą... Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości...

Lara drgnęła i zatrzymała się. To o niej. On powiedział: Godny zazdrości jest los zdeptanych. Oni mają co o sobie opowiedzieć. Oni mają wszystko przed sobą. Tak On uważał. Takie jest zdanie Chrystusa.

18

Nadeszły dni Priesni.⁴ Guichardowie znaleźli się w rejonie walk. O kilka kroków od nich na Twerskiej wznoszono barykadę. Było ją widać z okien salonu. Z podwórza noszono tam wiadrami wodę i oblewano barykadę, żeby spoić lodowym pancerzem kamienie i gruz, z których była zbudowana.

Na sąsiednim podwórzu był punkt zborny bojówkarzy, coś w rodzaju punktu medycznego czy żywieniowego.

Przechodzili tamtędy dwaj chłopcy. Lara знаła obu. Jednym z nich był Nika Dudorow, przyjaciel Nadii, u której Lara go poznała. Był ulepiony z tej samej gliny co Lara – bezpośredni, dumny i małowówny. Był do niej podobny i nie interesował jej.

Drugim był uczeń szkoły realnej Antipow, który mieszkał u babki Oli Dieninej, starej Tiwierzinej. Odwiedzając Marfę Gawriłownę Lara spostrzegła wrażenie, jakie robi na tym chłopcu. Pasza Antipow był jeszcze tak dziecięco naiwny, że nie ukrywał rozkoszy, jaką sprawiały mu jej wizyty, jak gdyby Lara była jakimś brzoźowym gajem w letnie upały, z czystą trawą i obłokami, i jakby można było nieustannie wyrażać swój cięły zachwyty jej osobą, bez obawy, że ktoś to wyśmiej.

Dostrzegłszy, jaki ma na niego wpływ, Lara zaczęła nieświadomie to wykorzystywać. Nawiasem mówiąc, oswojeniem tego miękkiego i podatnego charakteru bardziej serio zajęła się po kilku latach, w późniejszym okresie swojej z nim przyjaźni, kiedy Patula już wiedział, że kocha ją bez pamięci i że nie ma od tego odwrotu.

Chłopcy bawili się w najstraszniejszą z zabaw dorosłych, w wojnę, w dodatku taką, za udział w której wieszano i zsyłano. Końce baszłyków mieli jednak związane z tyłu na supły, zdradzające, że są jeszcze dziećmi, że mają jeszcze tatusiów i mamy. Lara patrzyła na nich jak dorosła na dzieci. Ich niebezpieczne zabawy pokrywał

⁴ Priesnia (obecnie Krasnaja Priesnia) – robotnicza dzielnica Moskwy, gdzie w czasie grudniowego powstania 1905 r. toczyły się wyjątkowo krwawe walki. (Przyp. tłum.)

nalot niewinności. To samo piętno udzielało się od nich całemu otoczeniu. Mroźnemu wieczorowi, porośniętemu takim kosmatym szronem, że z powodu swej gęstości wydawał się nie biały, lecz czarny. Niebieskiemu podwórzu. Domowi naprzeciw, w którym zniknęli chłopcy. A przede wszystkim, przede wszystkim – rewolwerowym wystrzałem, które ciągle było słyhać. „To chłopcy strzelają” – myślała Lara. Myślała tak nie o Nice i Patuli, ale o całym strzelającym mieście. „To dobrze, uczciwi chłopcy – myślała. – Są dobrzy i dlatego strzelają.”

19

Guichardowie dowiedzieli się, że barykada może się znaleźć pod ostrzałem i że ich dom jest w niebezpieczeństwie. O przeniesieniu się do znajomych, do innej części Moskwy, za późno już było myśleć, ich dzielnica była otoczona. Trzeba było poszukać schronienia bliżej, wewnątrz pierścienia. Przypomnieli sobie „Czarnogórę”.

Okazało się, że nie są pierwsi. W pensjonacie wszystkie pokoje były zajęte. Wiele osób znalazło się w tej samej sytuacji. Po starej znajomości obiecano ich jednak umieścić w składzie bielizny.

Związali najniezbędniejsze rzeczy w trzy tłumoki, żeby nie zwracać na siebie uwagi walizkami, i zaczęli z dnia na dzień odkładać przeprowadzkę.

Z uwagi na panujące w pracowni patriarchalne obyczaje praca trwała tu do ostatniej chwili, mimo powszechnego strajku. Ale któregoś zimnego, ponurego wieczoru, zadzwoniono do drzwi. Przyszedł ktoś z pretensjami i wyrzutami. Poproszono właścicielkę. Faina Siłantjewna wyszła do przedpokoju łagodzić rozgorzałe namiętności.

– Dziewczęta, proszę tutaj! – Przywołała wkrótce szwaczki i zaczęła je po kolei przedstawiać gościowi.

Ten niezgrabnie i z uczuciem uściśnął każdej rękę i odszedł, umówiwszy się o coś z Fietisową.

Szwaczki wróciły do sali i zaczęły się otulać szalami i wyrzucając w górę ręce, wsuwać je w rękawy ciasnych szubek.

– Co się stało? – spytała wchodząc Amalia Karłowna.

– Kazali nam wyjść, madame. Strajkujemy.

– Czyż ja... Co ja wam złego zrobiłam? – Madame Guichard rozplakała się.

– Proszę się nie denerwować, Amalio Karłowno. Nic do pani nie mamy, jesteśmy bardzo wdzięczne. Ale przecież nie chodzi tu ani o nas, ani o panią. Tak jest teraz wszędzie, na całym świecie. No to czy można się sprzeciwiać?

Rozeszły się wszystkie po kolei, nawet Ola Dienina i Faina Siłantjewna, która na pożegnanie szepnęła właścicielce, że urządza ten strajk dla dobra jej samej i jej przedsiębiorstwa. Ta jednak nie mogła się uspokoić.

– Jakaż czarna niewdzięczność! Pomyśl tylko, jak można się zawieść na ludziach! Ta dziewczuszka, której okazałam tyle serca! No dobrze, powiedzmy, że to jeszcze dziecko. Ale ta stara wiedźma?

– Mamo, niechże mama zrozumie, że one nie mogą robić dla mamy wyjątku! – pocieszała Lara. – Nikt nie ma do mamy pretensji. Przeciwnie. Wszystko, co się teraz dokoła dzieje, robi się w imię człowieka, w obronie słabych, dla dobra kobiet i dzieci. Tak, tak, niech mama nie kręci tak nieufnie głową. Kiedyś dzięki temu będzie lepiej i mnie, i mamie.

Ale matka nic nie rozumiała.

– I tak jest zawsze – mówiła, pochlipując. – Kiedy człowiek i tak nie może zebrać myśli, palniesz coś takiego, że oczy stają w ślup. Paskudzą mi na głowę i okazuje się, że to w moim interesie. Tak, ja chyba rzeczywiście zwariowałam.

Rodia był w korpusie kadetów. Lara z matką snuły się same po pustym mieszkaniu. Nie oświetlona ulica pustymi oczami zaglądała do pokoi. Pokoje odpowiadały jej tym samym spojrzeniem.

– Chodźmy do hotelu, mamo, póki się nie ściemniło. Czy mama słyszy? Chodźmy zaraz.

– Fiłat, Fiłat! – zawołały stróża. – Fiłat, odprowadź nas, kochany, do „Czarnogóry”.

– Służę łaskawej pani.

– Weź toboły. I jeszcze jedno, Fiłat: pilnuj tu, proszę, póki nie wrócimy. I nie zapomnij dawać ziarno i wodę Kiryłowi Modestowiczowi. I wszystko na klucz. Tak, i, proszę, odwiedzaj nas.

– Tak jest, łaskawa pani.

– Dziękuję ci, Fiłat. Niech cię Chrystus strzeże. No, przysiadźmy na pożegnanie i w imię Boże.

Wyszły na ulicę i świeże powietrze oszołomiło je, jak to się zdarza po długiej chorobie. Mroźna, jak gdyby wypolerowana przestrzeń leciutko przetaczała we wszystkie strony krągłe, jakby obtoczone na tokarce, gładkie dźwięki. Salwy i wystrzały cmokając i klaszcząc ubijały dal na placek.

Mimo zapewnień Fiłata Lara i Amalia Karłowna uważały, że strzela się ślepymi nabojami.

– Głupi jesteś, Fiłat. Pomyśl sam, czy to mogą być prawdziwe wystrzały, skoro nie widać, kto strzela. No, jak myślisz, kto strzela, może Duch Święty? Jasne, że to ślepe naboje.

Na którymś skrzyżowaniu zatrzymał je patrol. Roześmiani kozacy obszukali je, bezczelnie obmacując od stóp do głów. Czapki z paskami pod brodą mieli zawadiacko zsunięte na bakier i wszyscy wyglądali jak jednoocy.

Co za szczęście! – myślała Lara. Nie zobaczy Komarowskiego przez ten cały czas, póki będą odcięte od reszty miasta! Nie może przecież się go pozbyć ze względu na matkę. Nie może powiedzieć: niech go mama nie przyjmuje. Bo wszystko się wyda. No i co z tego? Czemuż miałyby się tego bać? Ach, Boże, niech się wszystko wali, byle się tylko to skończyło. Boże, Boże, Boże! Zaraz runie bez przytomności na środku ulicy z obrzydzenia. Co takiego sobie teraz przypomniła? Jak się nazywał ten straszny obraz z grubym Rzymianinem w pierwszym osobnym gabinecie, w którym wszystko się zaczęło? „Kobieta czy amfora”. No jakże. Oczywiście. To znany

obraz. „Kobieta czy amfora”. I ona wtedy jeszcze nie była kobietą, nie mogła się równać z czymś tak drogocennym. To przyszło potem. Stół był tak wspaniale zastawiony!

– Dokąd tak pędzisz jak szalona? Nie mogę za tobą nadążyć – płakała Amalia Karłówna, ciężko dysząc i z wysiłkiem dotrzymując jej kroku.

Lara szła szybko. Szła jak gdyby nie tykając ziemi, niosła ją jakąś siłą, dumna, budząca uniesienie.

„O, jak dziarsko szczękają wystrzały – myślała. – Błogosławieni zhańbieni, błogosławieni omotani. Niech wam Bóg da zdrowie, wystrzały! Wystrzały, wystrzały, jesteście tego samego zdania!”

20

Dom braci Gromieków stał na rogu ulicy Siwcew Wrażek i innego zaułka. Aleksander i Mikołaj Gromiekowie byli profesorami chemii, pierwszy w Akademii Pietrowskiej, drugi – na uniwersytecie. Mikołaj Aleksandrowicz był kawalerem, a Aleksander Aleksandrowicz – żonaty z Anną Iwanowną z domu Krüger, córką fabrykanta żelaza i właściciela zaniedbanych nierentownych kopalń w należącej doń olbrzymiej leśnej posiadłości w pobliżu Juriatina na Uralu.

Dom był jednopiętrowy. Piętro z sypialniami, pokojem lekcyjnym, gabinetem Aleksandra Aleksandrowicza i biblioteką, buduaem Anny Iwanowny i pokojami Toni i Jury stanowiło część mieszkalną, a parter był przeznaczony na przyjęcia. Dzięki pistacjowym zasłonom, lustrzanym błyskom na wieku fortepianu, akwarium, oliwkowym meblom i roślinom doniczkowym przypominającym wodorosty, parter robił wrażenie zielonego, kołyszącego się sennie dna morskiego.

Wykształceni, gościnni Gromiekowie byli wielkimi znawcami i miłośnikami muzyki. Urządzali u siebie towarzyskie wieczory muzyki kameralnej, na których wykonywano tria fortepianowe, sonaty skrzypcowe i kwartety smyczkowe.

W styczniu tysiąc dziewięćset szóstego roku, wkrótce po wyjeździe Mikołaja Nikołajewicza za granicę, na Siwcewym miał się odbyć kolejny wieczór muzyczny. W programie była sonata skrzypcowa pewnego początkującego kompozytora ze szkoły Taniejewa i trio Czajkowskiego.

Przygotowania rozpoczęto w przeddzień. Przesuwano meble, by opróżnić salę. W kącie stroiciel ciągnął setki razy jedną i tę samą nutę i rozsypywał ją paciorkami arpeggiów. W kuchni skubano ptactwo, obierano jarzyny i ucierano musztardę z oliwą prowansalską do sosów i sałatek.

Rano przyszła zawracać głowę Szura Schlesinger, serdeczna przyjaciółka i powiernica Anny Iwanowny.

Szura Schlesinger była wysoką, szczupłą kobietą o regularnych rysach nieco męskiej twarzy; przypominała trochę cesarza, szczególnie gdy miała na sobie szarą karakułową czapkę na bakier, której nie zdejmowała na wizycie, unosząc tylko z lekka przypiętą do niej woalkę. W chwilach zmartwień i kłopotów pogawędki przyjaciółek przynosiły im obu wielką ulgę. Ulga ta polegała na tym, że Szura

Schlesinger i Anna Iwanowna prawły sobie nawzajem coraz dotkliwsze złościwości. Rozgrywała się burzliwa scena, która kończyła się szybko łzami i pojednaniem. Te regularne sprzeczki działały na obie panie równie uspokajająco jak pijawki na uderzenia krwi do głowy.

Szura Schlesinger była kilka razy zamężna, ale zapominała o swych małżonkach zaraz po rozwodzie i przydawała im tak mało znaczenia, że w całym swym sposobie bycia zachowała chłodną przedsiębiorczość osoby samotnej.

Była teozofką, ale mimo to znała tak doskonale liturgię prawosławną, że nawet „toute transportée”, w stanie absolutnej ekstazy, nie mogła się powstrzymać od podpowiadania kapłanom, co mają mówić czy śpiewać. „Wejrzyj, Panie”, „abyśmy zawsze i wszędzie”, „ze wszystkimi chórami niebios” – rozlegał się nieustannie jej pośpieszny, ochryply szept.

Znała matematykę i indyjską wiedzę tajemną, adresy najwybitniejszych profesorów Konserwatorium Moskiewskiego, wiedziała, kto z kim żyje, i Bóg jeden wie, czego jeszcze nie wiedziała. Dlatego też zapraszano ją jako arbitra i wyrocznie we wszystkich poważnych życiowych sprawach.

O wyznaczonej porze zaczęli zjeżdżać się goście. Przyjechali Adelajda Filippowna, Hintz, Furkowowie, państwo Basurmanowowie, Wierzyccy, pułkownik Kawkazcew. Padał śnieg, i kiedy otwierano frontowe drzwi, kłęby powietrza wpadały do mieszkania, niby supełkami migocąc dużymi i małymi płatkami śniegu. Panowie wchodzili z chłodu w za luźnych głębokich kaloszach i każdy bez wyjątku robił wrażenie roztargnionego i niezgrabnego fajtlapy, a ich zarumienione na mrozie żony, w rozpiętych pod szyją futrach i zsuniętych z czoła puchowych chustkach⁵ na oszronionych włosach, jakby dla kontrastu przywodziły na myśl wytrawne uwodzicielki – sama kokieteria i przewrotność. „Siostrzeniec Cezara Cui” – zaszeptano, kiedy przyjechał nowy pianista, po raz pierwszy tutaj zaproszony.

Z sali koncertowej przez otwarte na dwóch końcach boczne drzwi widać było nakryty stół w jadalni, długi jak zaśnieżona droga. Oślepiająco migotało światło w rżniętych drobno karafkach z jarzębiakiem, przyciągały wzrok srebrne tacki z oliwą i octem w maleńkich flakonikach, efektownie podana dziczyzna i zakąski zdawało się, że nawet złożone w piramidki serwetki przy każdym nakryciu i pachnące migdałami bladoniebiesko-liliowe cynerarie w koszach również pobudzają apetyt. Aby więc nie odwlekać upragnionej chwili pokosztowania strawy ziemskiej, wszyscy pośpiesznie zwrócili się ku strawie duchowej. Zasiedli rzędem w sali. „Siostrzeniec Cui” – zaszeptano znów, kiedy pianista zajął miejsce przy fortepianie. Rozpoczął się koncert.

O sonacie wiedziano, że będzie nudna i wymęczona, programowa. Nie zawiodła tych oczekiwań, a w dodatku okazała się strasznie długa.

W przerwie posprzeczali się o nią krytyk Kierimbekow i Aleksander Aleksandrowicz. Krytyk pomstował na sonatę, a Aleksander Aleksandrowicz jej

⁵ Słynne chusty orenburskie z delikatnego koziego runa (przyp. tłum.).

broniał. Naokoło wszyscy palili i hałasowali, przestawiając krzesła z miejsca na miejsce.

Znowu jednak spojrzenia zwróciły się ku lśniącemu w sąsiednim pokoju wyprasowanemu obrusowi. Wszyscy zaproponowali, by bez zwłoki kontynuować koncert. Pianista zerknął na publiczność i skinął na partnerów, by zaczęli. Skrzypek i Tyszkiewicz unieśli smyczki. Trio załkało.

Jura, Tonia i Misza Gordon, który pół życia spędzał teraz u Gromieków, siedzieli w trzecim rzędzie.

– Jegorowna daje panu jakieś znaki – szepnął Jura do siedzącego tuż przed nim Aleksandra Aleksandrowicza.

Na progu stała Agraflena Jegorowna, stara siwa pokojówka Gromieków, i rozpaczliwymi spojrzeniami w stronę Jury i równie energicznymi ruchami głowy w stronę Aleksandra Aleksandrowicza dawała chłopcu do zrozumienia, że pilnie potrzebuje gospodarza.

Aleksander Aleksandrowicz odwrócił głowę, spojrzął z wyrzutem na Jegorownę i wzruszył ramionami. Ale Jegorowna nie dała za wygraną. Niebawem nawiązała się między nimi z jednego końca sali na drugi rozmowa przypominająca dialog głuchoniewidomych. Zaczęto na nich patrzeć. Anna Iwanowna rzucała na męża miażdżące spojrzenia.

Aleksander Aleksandrowicz wstał. Trzeba było coś przedsięwziąć. Zacerwieniony, cicho obszedł salę i zbliżył się do Jegorowny.

– Jak Jegorownie nie wstyd! Co Jegorownę tak przypiliło? No, prędzej, co się stało?

Jegorowna zaczęła coś szeptać.

– Z jakiej „Czarnogóry”?

– Z hotelu.

– No więc co?

– Proszę, żeby zara przyszedł. Ktoś z jego znajomych umiera.

– Zaraz umiera. Wyobrażam sobie. Teraz nie można, Jegorowno, jak skończą ten kawałek, to powiem. A teraz nie mogę.

– Posługacz czeka. I woźnica także samo. Mówię panu, człowiek umiera, czy pan słyszy? Jakaś wielmożna pani.

– Nie, i koniec. Wielkie rzeczy, pięć minut, myślałby kto.

Aleksander Aleksandrowicz tym samym cichym krokiem, przemknął pod ścianą na swoje miejsce i usiadł, chmurząc się i rozcierając nasadę nosa.

Po pierwszej części podszedł do wykonawców i przy wtórze oklasków oznajmił Fadijewowi Kazimirowiczowi, że go wzywają, że stało się coś przykrego i trzeba będzie przerwać koncert. Potem zwracając się do sali gestem dłoni przerwał brawa i powiedział głośno:

– Proszę państwa, musimy przerwać koncert. Wyrażmy współczucie Fadijewowi Kazimirowiczowi. Ma zmartwienie. Musi nas opuścić. Nie chciałbym w takiej chwili pozostawić go samego. Może moja obecność przyda mu się na coś. Pojadę z nim. Juroczka, wyjdź, mój drogi, i powiedz, żeby Siemion zajechał przed bramę, już

dawno zaprzął. Nie żegnam się z państwem. Proszę wszystkich o pozostanie. Moja nieobecność nie potrwa długo.

Chłopcy uprosili, by Aleksander Aleksandrowicz przewiózł ich w nocy po mrozie.

21

Mimo że życie toczyło się już na powrót normalnym trybem, po grudniu wciąż jeszcze tu i ówdzie strzelano. Zdawało się, że nowe pożary, jakie przecież wybuchają stale, to dopalające się resztki poprzednich.

Nigdy jeszcze nie jechali tak daleko, i tak długo jak tej nocy. Droga była niedaleka – Smoleński, Nowiński i połowa Sadowej. Ale trzaskający mróz i mgła wydzielały poszczególne kawałki zbłąkanej przestrzeni, zupełnie jak gdyby nie była ona jednakowa na całym świecie. Kosmaty, postrzępiony dym ognisk, skrzypienie kroków i pisk płóz wzmagaly wrażenie, że jada już Bóg wie jak długo i że zajechali w jakieś straszliwe dale.

Przed pensjonatem stał przykryty derką koń z zabandażowanymi pęciami, zaprzężony do modnych wąskich sań. Na miejscu dla pasażerów siedział woźnica, obejmując opatuloną głowę rękami w rękawicach, żeby się rozgrzać.

W hallu było ciepło, za balustradą oddzielającą szatnię od wejścia, głośno pochrapując i sam siebie budząc tym chrapaniem, drzemał szwajcar, ukołysany szumem wentylatora, dudnieniem rozpalonego piecyka i świstem kipiącego samowara.

Po lewej stronie hallu stała przed lustrem wymalowana dama o nalanej, mączystej od pudru twarzy. Miała na sobie futrzany żakiet, zbyt lekki na taką pogodę. Czekwała na kogoś, kto miał zejść z góry, i odwróciwszy się plecami do lustra spoglądała na swe odbicie to przez jedno ramię, to przez drugie, by sprawdzić, czy dobrze wygląda z tyłu.

Z ulicy wśliznął się do środka przemarznięty woźnica. Fasonem swego kaftana przypominał jakiś precel z szyldu, a podobieństwo to zwiększały jeszcze buchające zeń kłęby pary.

– Długo jeszcze, mamzel? – zapytał damę przed lustrem. – Jak się człowiek wda z takimi jak wy, to tylko konia przeziębła.

Wypadek pod dwudziestym czwartym był zaledwie epizodem w zwykłym codziennym rozjątrzeniu służby. Co chwila dzwoniły dzwonki i w długiej szklanej gablotce na ścianie wyskakiwały numerki, wskazując, gdzie i w jakim numerze ktoś szaleje i, sam nie wiedząc, czego chce, nie daje wytchnienia pokojowym.

Teraz w dwudziestce czwórcie ratowali tę starą wariatkę Guichardową, podawali jej emetyk i płukali jelita i żołądek. Pokojówka Głasza nogi sobie uchodziła, wycierając podłogę, wynosząc brudne wiadra i przynosząc czyste. Ale dzisiejsza burza w pokoju służby zaczęła się na długo przed tym zamieszaniem, kiedy się jeszcze na nie zanosilo, nie wysłano Tierieszki po doktora i po tego nieszczęsnego

rzępołę, jeszcze zanim przyjechał Komarowski i zanim na korytarzu pod drzwiami tłoczyło się tylu gapiów, utrudniających przejście.

Dzisiejsza awantura wybuchła w pokojach służbowych, dlatego, że ktoś obrócił się niezręcznie w wąskim przejściu i niechcący potrącił kelnera Sysoja właśnie w chwili, gdy ten, pochylony, brał rozbieg z drzwi na korytarz z pełną tacą na prawej, uniesionej w górę rękę. Sysoj upuścił tacę, rozlał zupę i potłukł talerze, trzy głębokie i jeden płytki.

Sysoj twierdził, że to przez pomywaczkę; ona zawiniła i ona zapłaci. Teraz była noc, zbliżała się jedenasta, połowa służby wkrótce powinna iść do domu, a tymczasem wciąż się jeszcze kłócono.

– Ręce i nogi mu się trzęsą, tyle ma roboty, co flaszkę dzień i noc jak babę obłapać, opił się jak jaki bąk, a potem pretensje: Popchnęli go, potłukli naczynia, wylali uchę! A kto cię popychał, czorcie zezowaty, siło nieczysta? Kto, ty rupturo astrachańska, mordo bezwstydną!

– Prosiłem już, Matriono Stiepanowno, żebyście nie używali wyrazów.

– Żeby to jeszcze było dla kogo szum robić i naczynia tłuc, a to – widzieliście ludzie! Madam-Sprzedam, delikatnisią bulwarowa, zbiesiła się, arseniku nałykała, cnotka emerytowana. W „Czarnogórze” mieszka, a nie widziała puszczalskich i rozpusztników.

Misza i Jura spacerowali po korytarzu przed drzwiami numeru. Wszystko wyszło inaczej, niż przypuszczał Aleksander Aleksandrowicz. Wyobrażał sobie – wiolonczelista, tragedia, coś godnego i czystego. A tu diabli wiedzą co. Bagno, jakiś skandal i wszystko absolutnie nie dla dzieci.

Chłopcy przestępowali w korytarzu z nogi na nogę.

– Wejdźcie do pani, młodzi panicze. – Po raz drugi powolnym, cichym głosem przekonywał ich posługacz. – Wejdźcie, nie bójcie się. Już dobrze, bądźcie spokojni. Pani już w porządku. A tutaj nie wolno stać. Tu dzisiaj było nieszczęście, drogie statki pobili. Sami widzicie – obsługujemy, biegamy, ciasnota. Wejdźcie.

Chłopcy weszli.

W pokoju płonąca lampę naftową wyjęto z uchwytu, w którym wisiała nad stołem, i przeniesiono za cuchnące pluskwami drewniane przepierzenie do drugiej części pokoju.

Była tam alkowa, oddzielona od przedpokoju i niepożądanych gości zakurzona portierą. Teraz w zamieszaniu zapomniano opuścić jej brzeg, zarzucony na górną część przepierzenia. Lampa stała w alkowie na ławce, jaskrawo oświetlając wnękę od dołu, niby teatralną rampę.

Trucizną była jodyna, a nie arsenik, jak omyłkowo twierdziła pomywaczka. W pokoju unosił się cierpki, duszący zapach młodych orzechów włoskich w miękkiej, jeszcze zielonej łupinie, która czernieje pod dotknięciem.

Za przepierzeniem dziewczyna wycierała podłogę, a na łóżku, płacząc głośno, ze zwieszoną nad miednicą głową o zlepionych włosach, leżała mokra od wody, łez i potu półnaga kobieta. Chłopcy natychmiast odwrócili wzrok, było im wstyd, czuli że nieprzyzwoicie jest tam patrzeć. W tej krótkiej chwili jednak Jura zdążył pomyśleć,

jakie to dziwne, że w pewnych niewygodnych, nienaturalnych pozach, pod wpływem napięcia czy wysiłku kobieta przestaje być taką, jaką przedstawia ją rzeźba, i staje się podobna do obnażonego zapaśnika z kulistymi mięśniami, w krótkich sportowych spodenkach.

Wreszcie ktoś za przepierzeniem zorientował się i opuścił kotarę.

– Fadiej Kazimirowiczu, mój drogi, gdzie pańska ręka? Proszę mi dać rękę – dławiąc się łzami i mdłościami mówiła kobieta. – Ach, przeżyłam taki wstrząs! Miałam takie podejrzenia! Fadiej Kazimirowiczu... Wydawało mi się... Ale na szczęście okazało się, że to głupstwo, moja rozstrojona wyobraźnia. Fadiej Kazimirowiczu, niechże pan pomyśli, co za ulga! I w rezultacie... i oto... I oto żyję.

– Proszę się uspokoić, Amalio Karłowno, błagam, proszę się uspokoić. Jakże to wszystko niezręcznie wypadło, słowo daję, nieszczęście.

– Zaraz pojedziemy do domu – burknął Aleksander Aleksandrowicz, zwracając się do chłopców.

Skrepowani, gotowi zapaść się pod ziemię, stali w ciemnym przedpokoju, na progu nieodgrodzonej części numeru, i nie wiedząc, gdzie podziąć oczy, patrzyli w głąb, tam skąd wyniesiono lampę. Ściany były tu zawieszane fotografiami, stała etażerka z nutami, biurko zawalone papierami i albumami, a po drugiej stronie nakrytego szydełkową serwetą stołu jakaś dziewczyna spała na fotelu obejmując rękami oparcie i przytulając doń policzki. Była widocznie śmiertelnie zmęczona, skoro hałas i krzątanie nie przeszkadzały jej spać.

Ich przyjazd był bezsensowny, a dalszy pobyt wręcz nieprzyzwoity.

– Zaraz jedziemy – Jeszcze raz powtórzył Aleksander Aleksandrowicz – niech tylko Fadiej Kazimirowicz wyjdzie. Chcę się z nim pożegnać.

Zamiast Fadieja Kazimirowicza z za przepierzenia wyszedł jednak ktoś inny. Był to mężczyzna zażywny, gładko wygolony, postawny i pewny siebie. Niósł nad głową wyjętą z uchwytu lampę. Podeszedł do stołu, przy którym spała dziewczyna, i umocował lampę w uchwycie. Światło obudziło śpiącą. Uśmiechnęła się do mężczyzny, zmrużyła oczy i przeciągnęła się.

Na widok nieznanego Misza zatrząsł się cały i wbił w niego wzrok. Szarpał Jurę za rękaw, usiłując mu coś powiedzieć.

– Jak ci nie wstyd szeptać u obcych? Co sobie o tobie pomyślą? – Powstrzymywał go Jura i nie chciał słuchać.

Tymczasem między dziewczyną a nieznanym rozgrywała się niema scena. Nie powiedzieli do siebie ani słowa, porozumiewali się tylko spojrzeniami. Ale to ich porozumienie było przerażająco tajemnicze, zupełnie jakby on był lalkarzem, a ona posłuszną ruchom jego ręki marionetką.

Na jej twarzy igrał uśmiech znużenia, dziewczyna przymykała oczy i rozchyłała usta. Ale na kpiące spojrzenia mężczyzny odpowiadała chytrym mruganiem współniczki. Oboje byli zadowoleni, że wszystko skończyło się tak szczęśliwie, że tajemnica nie została odkryta i samobójczyni żyje.

Jura pożerał tę parę oczyma. Z półmroku, w którym nikt nie mógł go widzieć, patrzył nie odrywając oczu w zakreślony przez lampę krąg. Obraz zniewolenia

dziewczyny był niewypowiedzianie tajemniczy i bezwstydnie szczery. W duszy Jury kłębiły się mieszane uczucia i serce mu się ścisnęło pod wpływem jakiegoś nieznanego doznania.

To było właśnie to, o czym przez rok tak gorąco dyskutowali z Miszą i Tonią, określając rzecz nic nie znaczącym mianem ohydy, to coś przerażającego i pociągającego, z czym tak łatwo się rozprawiali słowami z bezpiecznej odległości, i oto teraz ową siłę Jura miał przed oczyma, doskonale materialną i mętną jak ze snu, bezlitośnie niszczycielską i skarżącą się, i wołającą o ratunek; i gdzież się podziała ich dziecięca filozofia, i co on, Jura, ma teraz poczuć?

– Wiesz, kim jest ten człowiek? – zapytał Misza, kiedy wyszli na ulicę. Jura był pogrążony w myślach i nie odpowiedział.

– To ten, który upijał i zgubił twój ojca. Pamiętasz, w pociągu – opowiadałem ci.

Jura myślał o dziewczynie i o przyszłości, a nie o ojcu i sprawach minionych. W pierwszej chwili nawet nie zrozumiał, co mówi do niego Misza. Na mrozie trudno było rozmawiać.

– Zmarłeś, Siemion? – zapytał Aleksander Aleksandrowicz. Ruszyli.

Część trzecia

Choinka u Swientickich

1

Kiedys zimą Aleksander Aleksandrowicz podarował żonie stylową szafę. Kupił ją okazji. Hebanowa szafa była ogromnych rozmiarów. W całości nie mieściła się w żadne drzwi. Przywieziono ją rozebraną na części, tak wniesiono do mieszkania i zaczęto się zastanawiać, gdzie ją postawić. W dolnych, przestronniejszych pokojach byłaby nieprzydatna, a na górze nie mieściła się z powodu ciasnoty. Zrobiono więc dla niej miejsce na górnym podejściu wewnętrznych schodów, przy wejściu do sypialni gospodarzy.

Montować szafę przyszedł stróż Markieł i przyprowadził ze sobą swą sześciolletnią córkę Marinkę. Marinka dostała pałeczkę jęczmiennego cukru. Pociągała noskiem i oblizując lizaka oraz zaślinione paluszki chmurnie przyglądała się pracy ojca.

Jakiś czas wszystko szło jak po maśle. Szafa rosła stopniowo wprost w oczach Anny Iwanowny. Nagle, gdy pozostało tylko nałożyć wierzch, Anna Iwanowna postanowiła pomóc Markielowi. Stała na wysokim dnie szafy i tracąc równowagę popchnęła boczną ściankę, która trzymała się tylko na bolcach. Sznur, którym Markieł ściągnął na razie boki, rozluźnił się. Anna Iwanowna upadła na podłogę razem z deskami i boleśnie się potłukła.

– I co też łaskawej pani strzeliło do głowy, kochana – ubolewał Markieł, który rzucił się na pomoc. – Kość cała? Niech pani pomaca kość. Kość to rzecz najważniejsza, a ciało furda, ciało rzecz nabyta i, jak to się mówi, służy tylko dla damskiego pleziru. Nie rycz, smarku – strofował płaczącą Marinkę. – Wytrzymaj glutę i marsz do mamy. Ech, proszę łaskawej pani, a cóż to, ja bym bez pani tej ubraniowej landary nie zmontował? Łaskawa pani pewnikiem myśli, że ja jestem zwyczajny stróż, a tak po prawdzie to nasza rodzinna natura stolarska, sami stolarze. Łaskawa pani nie uwierzy, ile tych mebli, tych szaf i kredensów przez nasze ręce przeszło względem forniru albo na odwrót, które drzewo mahoń, które orzech. Albo na ten przykład jakie kiedyś partie w sensie bogatych narzeczonych, przepraszam za wyrażenie, koło nosa człowiekowi przeszły. A wszystko przez trunkową naturę, przez mocne trunki.

Anna Iwanowna z pomocą Markieła doszła do fotela i usiadła, stękając i rozcierając stłuczone miejsce. Markieł wziął się do ponownego montowania rozwalonej szafy. Kiedy wierzch był już nałożony, powiedział:

– No, teraz tylko drzwi i można na wystawę.

Anna Iwanowna nie lubiła tej szafy. Mebel swym wyglądem i rozmiarami przypominał katafalk albo cesarską kryptę i budził w niej zabobonną grozę. Nadała szafie przezwisko „mogiła Askolda”. Nazwa ta oznaczała w jej mniemaniu konia kniazia Olega⁶, rzecz, która przynosi śmierć swemu właścicielowi. Jako kobieta odczytana bardzo chaotycznie, Anna Iwanowna plątała pokrewne pojęcia.

Od tego upadku zaczęła się u niej skłonność do chorób płucnych.

2

Cały listopad roku jedenastego Anna Iwanowna przeleżała w łóżku. Miała zapalenie płuc.

Jura, Misza Gordon i Tonia wiosną następnego roku mieli ukończyć uniwersytet i Wyższe Kursy Żeńskie. Jura kończył medycynę, Tonia prawo, a Misza filologię na wydziale filozoficznym.

W duszy Jury wszystko było zmieszane i splątane i wszystko niezwykle, swoiste – poglądy, nawyki, skłonności. Był ogromnie wrażliwy, odznaczał się nieopisaną wręcz świeżością uczuć.

Jakkolwiek jednak silny był jego pociąg do sztuki i historii, Jura nie zastanawiał się nad wyborem kierunku studiów. Uważał, że sztuka nie może być czymś powołaniem tak samo, jak nie może być zawodem wrodzona wesołość czy skłonność do melancholii. Interesował się fizyką, naukami przyrodniczymi i był zdania, że w życiu praktycznym należy się zajmować czymś ogólnie pożytecznym. Dlatego też wybrał medycynę.

Przed czterema laty, na pierwszym roku studiów, przez cały semestr uczył się w uniwersyteckich podziemiach anatomii na zwłokach. Schodził krętymi schodami do piwnic. W głębi teatru anatomicznego kręcili się grupkami i samotnie rozczochrani studenci. Jedni wkuwali, obłożeni kośćmi, i kartkowali obszarpane, zblakłe podręczniki, inni w milczeniu preparowali po kątach, jeszcze inni dowcipkowali, żartowali i gonili szczury, licznie biegające po kamiennej podłodze kostnicy. W panującym tu półmroku świeciły jak fosfor, przyciągając wzrok swą nagością bezimienne zwłoki, młodzi samobójcy o nieustalonych personaliach, dobrze zachowane, nietknięte jeszcze rozkładem topielice. Zastrzyki z soli tlenu glinu odmładzały ich, nadając ciałom zwodniczą pulchność. Trupy krajano, dzielono i preparowano, i piękno ludzkiego ciała pozostawało wierne sobie w każdej, najdrobniejszej nawet części, toteż zachwyty na widok jakiejś niedbale rzuconej na ocynkowany stół ruszałki nie mijał, przenosząc się z niej na jej odjęte ramię lub odciętą dłoń. W podziemiu pachniało formaliną i karbolem, i obecność tajemnicy dawała się odczuć we wszystkim, poczynając od nieznanego losów wszystkich tych

⁶ Kniaziowi Olegowi wywróżyła wyrocznia, że zginie przez swego konia, toteż Oleg nigdy go nie dosiadał. Po latach, gdy koń już dawno nie żył, księżę nastąpił na jego czaszkę, z której wypelzła żmija i śmiertelnie go ukąsiła. Askold – jeden z wojów Ruryka, zabity przez Olega. (Przyp. tłum)

rozpostartych ciał, a kończąc na zagadce życia i śmierci, która rozgościła się tu w podziemiu jak u siebie w domu lub jak na swej sztabowej kwaterze.

Głos owej tajemnicy, zagłuszając wszystko inne, prześladował Jurę, przeszkadzał mu w preparowaniu. Ale dokładnie tak samo przeszkadzało mu w życiu wiele rzeczy. Przywykł do tego i rozpraszająca uwaga zawada nie irytowała go.

Jura miał piękne myśli i bardzo dobrze pisał. Już w latach szkolnych marzył o prozie, o księdze żywotów, w której mógłby w formie ukrytych ładunków wybuchowych zawrzeć sprawy najbardziej oszałamiające spośród tych, które zdążył poznać i przemyśleć. Na taką książkę był jeszcze jednak zbyt młody, toteż poprzestawał na pisaniu wierszy, tak jak malarz, malujący całe życie szkice do wielkiego projektowanego płótna.

Wierszom tym Jura wybaczał grzech ich powstania za tkwiącą w nich energię i oryginalność. Owe dwie wartości, energię i oryginalność, uważał za przedstawicieli realności w sztuce, która poza tym jest bezprzedmiotowa, pusta i niepotrzebna.

Zdawał sobie sprawę z tego, ile podstawowych cech swego charakteru zawdzięcza wujowi.

Mikołaj Nikołajewicz mieszkał w Lozannie. W książkach, które wydawał tam po rosyjsku i w przekładach, rozwijał swą dawną myśl o historii jako o drugim wszechświecie, za pomocą zjawiska czasu i przestrzeni wznoszonym przez ludzkość w odpowiedzi na zjawisko śmierci. Myślą przewodnią tych książek było rozumiane po nowemu chrześcijaństwo, ich bezpośrednim następstwem zaś – nowa idea sztuki.

Poglądy te, jeszcze silniej niż na Jurę, działały na jego przyjaciela. Pod ich wpływem Misza Gordon wybrał jako swą specjalność filozofię. Na swoim wydziale słuchał wykładów z teologii i nawet sam czasem myślał o ewentualnym przejściu później do akademii duchownej.

Jurę wpływ wuja popychał naprzód i dodawał mu skrzydeł, a Miszę krępował, skuwał. Jura rozumiał, jaką rolę w skrajnych fascynacjach Miszy odgrywa jego pochodzenie. Z poczucia taktu nie próbował wyperswadować przyjacielowi jego dziwnych planów, często jednak myślał, że wolałby go widzieć jako bliższego życiu empiryka.

3

Któregoś wieczoru pod koniec listopada Jura wrócił z uniwersytetu późno; był bardzo zmęczony i przez cały dzień nic nie jadł. Domownicy powiedzieli mu, że w ciągu dnia przeżyli straszny niepokój, Anna Iwanowna dostała drgawek, przyjechało kilku lekarzy, radzono, by posłać po księdza, ale potem zrezygnowano z tego. Teraz już lepiej, Anna Iwanowna jest przytomna i kazała, gdy tylko Jura przyjdzie, natychmiast go do niej przysłać.

Pokój nosił ślady niedawnego popłochu. Pielęgniarka bezszelestnie przestawiała coś na stoliku. Wokoło poniewierały się zmięte serwetki i wilgotne ręczniki od kompresów. Woda w umywalce była różowawa od wyplutej krwi. Leżały w niej

kawałki szklanych ampułek z odłamanymi szyjkami i napęczniałe od wody kłaczki waty.

Chora opływała potem i koniuszkiem języka oblizywała suche wargi. Ogromnie zmizerniała od rana, kiedy to Jura widział ją po raz ostatni.

„Czy to aby nie błąd w diagnozie? – pomyślał. – Są wszystkie objawy krupowego zapalenia płuc. Chyba to kryzys.” Przywitawszy się z Anną Iwanowną i powiedziawszy kilka pustych pocieszających słów, jakie mówi się w takich wypadkach, wysłał pielęgniarkę z pokoju. Wziął Annę Iwanownę za puls, a drugą ręką sięgnął do kieszeni surduta po stetoskop. Anna Iwanowna ruchem głowy dała mu do zrozumienia, że to niepotrzebne. Jura domyślił się, że chce odeń czegoś innego. Chora zebrała siły i odezwała się:

– Chcieli, żebym się wypowiedziała... śmierć nade mną krąży... Może w każdej chwili... Jak idziesz zęb rwać, to się boisz, boli cię, przygotowujesz się... A tu nie zęb, ale całą ciebie, całe życie... Chrup, i jak szczypcami. A cóż to jest?... Nikt nie wie... Smutno mi i bardzo się boję.

Umilkła. Łzy strumieniem płynęły jej po twarzy. Jura nie mówił nic. Po chwili Anna Iwanowna odezwała się znowu-

– Jesteś utalentowany... A talent to... coś nieprzeciętnego. Musisz coś wiedzieć... Powiedz mi cokolwiek... Uspokój mnie.

– Cóż mogę powiedzieć – odrzekł Jura, zakręcił się niespokojnie na krześle, wstał, przespacerował się znowu i usiadł. – Po pierwsze, jutro poczuje się pani lepiej – widzę to po objawach, daję za to głowę. A poza tym – śmierć, świadomość, wiara i zmartwychwstanie... Chce pani znać moje zdanie, zdanie przyrodzowca? A może innym razem? Nie? Teraz, zaraz? Jak pani sobie życzy. Tylko trudno mi tak od razu.

I wygłosił jej cały zaimprovizowany wykład, zdumiewając się w duchu, jak mu się to udało.

– Zmartwychwstanie. W tej prymitywnej formie, w jakiej się to podaje ku pokrzepieniu maluczkich, jest mi obce. I słowa Chrystusa o żywych i martwych zawsze rozumiałem inaczej. Gdzieżby się podziały te tłumy, zebrane przez całe tysiąclecia? Zabrakłoby dla nich miejsca we wszechświecie i Bóg, dobro i mądrość musiałyby zniknąć z tego padołu. Zadusiłaby ich ta chciwa zwierzęca tłuszczka. Ale wciąż jedno i to samo, identyczne życie napętnia wszechświat i w każdej godzinie odnawia się w niezliczonych połączeniach i wcieleniach. Niepokoi się pani, czy dostąpi zmartwychwstania, a przecież już pani zmartwychwstała rodząc się i nawet pani tego nie spostrzegła.

Czy będzie pani czuć ból, czy materia odczuwa swój rozpad? Innymi słowy, co się stanie z pani świadomością? Zastanówmy się. Świadomie chcieć zasnąć to pewna bezsenność, świadome usiłowanie wczucia się w pracę własnego systemu trawienia – to jego nieunikniony rozstrój. Świadomość to trucizna, to środek toksyczny dla osobnika, który stosuje go na samym sobie. Świadomość to światło, bijące na zewnątrz, świadomość oświeca nam drogę, abyśmy się nie potknęli. Świadomość to płonące reflektory pędzącego parowozu. Jeśli spróbujemy zwrócić je światłem do wnętrza, nastąpi katastrofa.

A więc, co będzie z pani świadomością? Pani własną świadomością? A czymże pani jest? Oto szkopuł. Zastanówmy się. W jaki sposób pani siebie pamięta, jaką część swego organizmu pani sobie uświadamia? Swoje nerki, wątrobę, naczynia? Nie, cokolwiek pani sobie przypomni, zawsze widziała pani siebie w przejawach zewnętrznych, czynnościach, w dziełach swych rąk, w rodzinie, w innych. A teraz proszę słuchać uważnie. Człowiek w innych ludziach to właśnie jest dusza ludzka. Oto czym pani jest, oto czym oddychała, żywiła się, upajała przez całe życie pani świadomość. Pani duszą, pani nieśmiertelnością, pani życiem w innych ludziach. I co? Była pani w innych i tam pani pozostanie. I cóż to dla pani za różnica, że potem będzie się to nazywać pamięcią. To będzie pani, pani, stanowiąca część przeszłości.

I ostatnia sprawa. Nie ma się czym niepokoić. Śmierć nie istnieje. Śmierć nas nie dotyczy. Ale powiedziała pani „talent”; to inna rzecz, to należy do nas, zostało nam odkryte. A talent w najszerszym pojęciu to dar życia.

Śmierci nie będzie, powiada święty Jan Ewangelista; proszę zwrócić uwagę na prostotę jego argumentacji. Śmierci nie będzie, jako że dawne już minęło. To prawie jak stwierdzenie: Śmierci nie będzie, bo wszyscy to już widzieli, to jest przestarzałe i nudne, teraz zaś istnieje potrzeba czegoś nowego, a nowe to życie wieczne.

Mówiąc to Jura przechadzał się po pokoju. „Proszę zasnąć” – powiedział podchodząc do łóżka i kładąc ręce na głowie Anny Iwanowny. Minęło kilka minut. Anna Iwanowna zaczęła zapadać w sen.

Jura wyszedł cicho z pokoju i polecił Jegorownie, żeby posłała do sypialni pielęgniarkę. – Diabli wiedzą, co to takiego – myślał. – Staję się jakimś szarlatanem. Zamawiam chorobę, leczę nakładaniem rąk.

Następnego dnia Anna Iwanowna poczuła się lepiej.

4

Anna Iwanowna czuła się coraz lepiej. W połowie grudnia spróbowała wstać, ale była jeszcze bardzo słaba. Radzono jej, by się porządnie wyleżała.

Często posyłała po Jurę i TONIĘ i godzinami opowiadała im o swoim dzieciństwie, które spędziła w należącej do dziadka majątku Warykino, nad uralską rzeką Ryńwą. Jura i Tonia nigdy tam nie byli, ale Jura słuchając Anny Iwanowny bez trudu wyobrażał sobie te pięć tysięcy dziesięcin odwiecznego nieprzebytego lasu, czarnego jak noc, w który w dwóch czy trzech miejscach wrzyna się ostrzem swych zakoli bystra rzeka o kamienistym dnie i wysokich stromiznach na brzegu należącej do Krügerów.

W tym czasie Jurze i Toni szyto pierwsze w ich życiu wizytowe stroje. Jurze – czarny frak, a Toni – wieczorową toaletę z jasnego atłasu, z niewielkim dekoltem. Zamierzali przywdziać te stroje dwudziestego siódmego, na tradycyjną doroczną choinkę u Swientickich.

Zamówienie przyniesiono z męskiej pracowni krawieckiej i od krawcowej tego samego dnia. Jura i Tonia przymierzili stroje, stwierdzili, że dobrze leżą, i nie

zdążyli się przebrać, kiedy od Anny Iwanowny przyszła Jegorowna i powiedziała, że pani ich prosi. Tak jak stali, w nowych strojach, Tonia i Jura poszli do sypialni.

Chora na ich widok podniosła się na łokciu, popatrzyła na nich z boku, kazała im się obrócić i powiedziała:

– Bardzo dobrze. Po prostu ślicznie. Nie miałam pojęcia, że są już gotowe. No Toniu, jeszcze raz. Nie, w porządku. Zdawało mi się, że stanik się trochę marszczy. Wicie, po co was zawołałam? Ale najpierw kilka słów o tobie, Jura.

– Wiem, Anno Iwanowno. Sam kazałem pokazać pani ten list. Pani, tak jak Mikołaj Nikołajewicz, uważa, że nie powinienem był odmawiać. Cierpliwości. Rozmowa pani szkodzi. Zaraz wszystko wytłumaczę. Chociaż pani właściwie doskonale o wszystkim wie.

A więc, po pierwsze. Toczy się sprawa o spadek Żywagów, z której żyją adwokaci i płaci się koszta sądowe, ale w rzeczywistości żaden spadek nie istnieje, same długi i matactwa, a w dodatku brudy, które przy tym wypływają. Gdyby cokolwiek można było obrócić na pieniądze, to przecież nie podarowałbym ich sądowi, wykorzystałbym je. Ale o to właśnie chodzi, że sprawa jest fikcyjna, i zamiast się w tym wszystkim grzebać, lepiej było zrezygnować z praw do nieistniejącego majątku i odstąpić je kilku podstawionym rywalom i zawistnym samozwańcom. O roszczeniach niejakiej madame Alice, mieszkającej wraz z dziećmi w Paryżu pod nazwiskiem Żywago, słyszałem już dawno. Pojawiły się jednak nowe roszczenia i nie wiem, jak panią, ale mnie o tym powiadomiono całkiem niedawno.

Okazuje się, że jeszcze za życia mamy ojciec miał romans z pewną narwaną marzycielką, księżną Stołbunową-Enrizi. Ta osoba ma z moim ojcem synka; chłopiec ma teraz dziesięć lat, na imię mu Jewgraf.

Księżna jest typem pustelnicy. Mieszka samotnie z synem w swej kamienicy na przedmieściach Omska i utrzymuje się nie wiadomo z czego. Pokazano mi fotografię kamienicy. Jest to ładny, pięciookienny dom z oknami o szybach z jednej tafli i stiukowymi medalionami na gzymsie. I ciągle ostatnio mam takie uczucie, jak gdyby ten dom niedobrym spojrzeniem swych pięciu okien patrzył na mnie poprzez tysiące wiorst, dzielące Rosję europejską od Syberii, i jak gdyby wcześniej czy później miał mnie urzec. Więc na cóż mi to wszystko: zmyślane kapitały, sztucznie stworzeni pretendenci do spadku, ich nieżyczliwość i zawiść? I adwokaci.

– A jednak nie trzeba było rezygnować – zaoponowała Anna Iwanowna. – Wicie, po co was zawołałam? – Powtórzyła i zaraz podjęła: – Przypomniałam sobie jego imię. Pamiętacie, wczoraj opowiadałam wam o gajowym? Nazywał się Wakch.⁷ Prawda, że to cudowne? Czarny leśny potwór, zarośnięty po same brwi – Wakch! Miał oszpeconą twarz, niedźwiedź go poszarpał, ale się jakoś wybronił. I wszyscy tam byli tacy. O takich imionach. Jednosylabowych. Żeby brzmiały dźwięcznie i wypukle. Wakch. Albo Lupp. Albo, na przykład, Faust. Słuchajcie, słuchajcie! Czasem meldują, że przyszli jacyś tacy, Aabt czy Frou, zupełnie jak salwa z

⁷ Rosyjska forma imienia Bachus. (Przyp. tłum.)

dziadkowej dwururki, i my natychmiast całą gromadą smyrnę z dziecinnego do kuchni. A tam, pomyślcie tylko, leśny dziad-smolarz z żywym niedźwiadkiem albo strażnik z dalekiego rewiru z próbką jakiejś kopaliny. I dziadek każdemu dawał kwitek. Do kantoru. Jednemu na pieniądze, innemu na kaszę, jeszcze innemu na amunicję. I las pod oknami. A śniegu, śniegu! Powyżej dachu! – Anna Iwanowna zaniosła się kaszlem.

– Przestań, mamu, to ci szkodzi – przestrzegła Tonia. Jura ją poparł.

– To nic. Głupstwo. Aha, właśnie. Jegorowna mi naplotkowała, że macie jakoby wątpliwości, czy jechać pojutrze na choinkę. Żebym więcej nie słyszała takich głupstw! Jak wam nie wstyd? I jaki z ciebie lekarz, Jura, skoro gadasz takie rzeczy? A więc postanowione. Jedziecie i już. Ale wróćmy do Wakcha. Ten Wakch był w młodości kowalem, w bójce odbito mu wnętrzności, zrobił więc sobie drugie, z żelaza. Jaki z ciebie głuptas, Jura. Myślisz, że nie rozumiem? Jasne, że nie dosłownie. Ale ludzie tak gadali.

Anna Iwanowna znów się rozkaszała, tym razem o wiele bardziej. Atak nie mijał. Wciąż nie mogła złapać tchu.

Jura i Tonia podbiegli do niej jednocześnie. Stanęli ramię w ramię nad łóżkiem. Anna Iwanowna, wciąż kaszłąc, pochwyciła ich stykające się dłonie i na chwilę złączyła. Potem, gdy udało się jej zapanować nad głosem i oddechem, rzekła:

– Nie rozstawajcie się, jeśli umrę. Jesteście dla siebie stworzeni. Pobierzcie się. Ot, zaręczyłam was – dodała i rozplakała się.

5

Już wiosną tysiąc dziewięćset szóstego roku, w przedostatniej klasie gimnazjum, sześciomiesięczny romans z Komarowskim wyczerpał cierpliwość Lary. Komarowski bardzo zręcznie wykorzystywał jej depresję, i kiedy było mu to na rękę, delikatnie i niemal niepostrzeżenie przypominał dziewczynie jej upadek. Owe przypomnienia wprawiały Larę w popłoch, ten właśnie, którego lubieżnik pragnie od kobiety. Ów popłoch pogrążył Larę w coraz cięższej niewoli uczuciowego koszmaru, na myśl o którym w chwilach opamiętania włosy stawały jej dęba. Sprzeczności nocnego szaleństwa były niepojęte jak czarna magia. Wszystko tu było na opak i wbrew logice, ostry ból znajdował ujście w kaskadach srebrzystego śmiechu, walka i odmowa oznaczały przyzwolenie i dłoń dręczyciela obsypywały pocałunki wdzięczności.

Zdawało się, że nigdy się to nie skończy, ale wiosną, na jednej z ostatnich lekcji roku szkolnego, rozmyślając o tym, jak wzmoże się ów napór latem, kiedy nie będzie lekcji w gimnazjum, tej ostatniej ucieczki od spotkań z Komarowskim, Lara szybko podjęła decyzję, która na długi czas odmieniła jej życie.

Był upalny ranek, zbierało się na burzę. Lekcja odbywała się przy otwartych oknach. W oddali dudniło miasto, wciąż na jednej nucie, jak pszczoły w pasiece. Z dziedzińca dobiegały krzyki bawiących się dzieci. Od trawiastego zapachu ziemi i młodej zieleni bolała głowa, niby w zapusty od wódki i swądu smażonych blinów.

Nauczyciel historii opowiadał o wyprawie egipskiej Napoleona. Kiedy doszedł do lądowania we Fréjus, niebo poczerniało, zagrzmiało i rozpękło się błyskawicą, a do klasy wraz z zapachem świeżości wdarły się kłęby piasku i kurzu. Dwie klasowe lizuski usłużnie rzuciły się na korytarz wołając woźnego, by zamknął okna, i kiedy otworzyły drzwi, przeciąg uniósł ze wszystkich ławek i rozrzucił po klasie bibułę z zeszytów.

Okna zamknięto. Lunał brudny miejski deszcz, przemieszany z kurzem. Lara wyrwała kartkę z notesu i napisała do sąsiadki z ławki, Nadii Kołogriwowej:

„Nadiu, muszę urządzić sobie życie z dala od mamy. Pomóż mi znaleźć kilka dobrze płatnych lekcji. Macie przecież sporo znajomych w zamożnych sferach.”

Nadia odpisała tym samym sposobem:

„Szukamy guwernantki dla Lipy. Przyjdź do nas. Ależ to by było wspaniałe! Przecież wiesz, jak tata i mama Cię lubią.”

6

Trzy lata z górą przeżyła Lara u Kołogriwów jak za kamiennym murem. Nikt nie zakłócał jej spokoju, i nawet matka i brat, w stosunku do których czuła wielką obcość, nie przypominali jej o swym istnieniu.

Ławrientij Michajłowicz Kołogriwow był wielkim przedsiębiorcą-praktykiem najnowszego typu, zdolnym i rozumnym. Nienawidził dogorywającego ustroju podwójną nienawiścią: nienawiścią krezusa, mogącego wykupić cały skarb państwa, i nienawiścią syna prostego ludu, który zrobił bajeczną karierę. Ukrywał u siebie działaczy podziemia, wynajmował adwokatów dla ludzi sądzonych w procesach politycznych i jak zapewniano żartobliwie, subsydiował rewolucję, sam obalał siebie jako posiadacza i organizował strajki w swojej własnej fabryce. Był świetnym strzelcem i zapalonym myśliwym; zimą dziewięćset piątego roku jeździł co niedziela do Srebrnego Boru i na Łosią Wyspę ćwiczyć w strzelaniu bojówkarzy.

Był wspaniałym człowiekiem, a jego żona, Serafima Filippowna, godną go partnerką. Lara darzyła oboje pełnym zachwytem szacunkiem. Wszyscy w domu kochali ją jak rodzoną córkę.

W czwartym roku beztróskiego życia Lary przyszedł do niej w interesie braciszek Rodia. Kołyszając się pretensjonalnie na długich nogach i dla dodania sobie powagi mówiąc przez nos i nienaturalnie przeciągając słowa, opowiedział siostrze, że junkrzy-absolwenci z jego rocznika zebrali pieniądze na pożegnalny prezent dla komendanta uczelni, dali je jemu, Rodii, i polecieli, by wyszukał i nabył upominek. I oto w ciągu trzech dni przegrał te pieniądze co do grosza. Powiedziawszy to Rodia rzucił się jak długi na fotel i wybuchnął płaczem.

Larze zimno się zrobiło, gdy to usłyszała. Rodia chlipiąc mówił dalej:

– Wczoraj byłem u Wiktora Ippolitowicza. Nie chciał ze mną rozmawiać na ten temat, ale powiedział, że gdybyś ty zechciała... Mówi, że chociaż przestałaś nas wszystkich kochać, masz jeszcze nad nim wielką władzę... Laroczko... Wystarczy jedno twoje słowo... Czy ty rozumiesz, jaka to hańba i jak to plami honor

junkierskiego munduru?... Idź do niego, co ci zależy, poproś... Przecież nie dopuścisz do tego, żebym zmył tę stratę własną krwią.

– Zmył własną krwią. Honor munduru... – z oburzeniem powtarzała Lara, nerwowo spacerując po pokoju. – A ja nie jestem mundur, nie mam honoru, można ze mną robić, co się chce. Czy ty zdajesz sobie sprawę, o co prosisz, czy się zastanowiłeś, co on ci proponuje? Rok po roku, syzyfową pracą, buduj, wznoś, nie dosypiaj, a ten przyjdzie i wszystko mu jedno, dmuchnie, splunie, i wszystko się rozsypie w gruzy! A idźże do diabła. Zastrzel się, proszę bardzo. Co mnie to obchodzi? Ile potrzebujesz?

– Sześćset dziewięćdziesiąt rubli z czymś, powiedzmy dla równego rachunku, że siedemset – z pewnym wahaniem odrzekł Rodia.

– Rodia! Oszalałeś chyba! Czy ty wiesz, co mówisz, przegrałeś siedemset rubli? Rodia! Rodia! Czy wiesz, jak długo zwykły człowiek, taki jak ja, musi uczciwie pracować, by zarobić taką sumę?

Po chwili milczenia dodała zimno i obojętnie:

– Dobrze. Spróbuję. Przyjdź jutro. I przynieś rewolwer, z którego chciałeś się zastrzelić. Z dużym zapasem naboju, pamiętaj.

Pieniądze dostała od Kołogriwowa.

7

Praca u Kołogriwowów nie przeszkodziła Larze w ukończeniu gimnazjum i wstąpieniu na kursy. Przeszła je z powodzeniem i miała ukończyć w nadchodzącym tysiąc dziewięćset dwunastym roku.

Wiosną jedenastego ukończyła gimnazjum jej wychowanka Lipoczka. Miała już narzeczonego, młodego inżyniera Fiesedanka, pochodzącego z dobrej i zamożnej rodziny. Rodzice pochwalali wybór Lipoczki, ale byli przeciwni tak wczesnemu zamążpójściu i radzili jej, by trochę poczekała. Wywoływało to dramatyczne sceny. Rozpieszczona i rozkapryszona Lipoczka, ulubienica całej rodziny, krzyczała na ojca i matkę, płakała i tupiała nogami.

W bogatym domu, gdzie uważano Larę za członka rodziny, nie pamiętano o pożyczce, jaką zaciągnęła dla Rodii, nie przypominano o tym.

Lara dawno już spłaciłaby ten dług, gdyby nie ciągle wydatki, które ukrywała.

W tajemnicy przed Paszą posyłała pieniądze jego ojcu Antipowowi, zesłanemu na osiedlenie, i pomagała jego chorowitej, gderliwej matce. Poza tym, w jeszcze większej tajemnicy, zmniejszała wydatki samego Paszy, dopłacając bez jego wiedzy gospodarzom za pokój chłopca i utrzymanie.

Pasza, nieco młodszy od Lary, kochał ją do szaleństwa i słuchał we wszystkim. Na jej nalegania po ukończeniu szkoły realnej wziął się dodatkowo do łaciny i greki, by móc wstąpić na wydział filologiczny na uniwersytet. Lara marzyła, że za rok, kiedy zdadzą egzaminy państwowe, pobiorą się i wyjadą – on jako nauczyciel męskiego gimnazjum, ona żeńskiego – do pracy w którymś z gubernialnych miast Uralu.

Pasza mieszkał w pokoju, który Lara sama mu wyszukała i wynajęła u spokojnych gospodarzy w nowo wybudowanym domu w zaułku Kamerherskim, niedaleko Teatru Artystycznego.

Latem jedenastego roku Lara ostatni raz była z Kołogriwowami w Duplance. Kochała to miejsce szalenie, bardziej nawet niż gospodarzy. Wszyscy świetnie o tym wiedzieli i na wypadek owych letnich wyjazdów istniała nawet niepisana umowa co do Lary. Kiedy czarny, gorący pociąg, który ich przywoził, odjeżdżał i wzruszona Lara wśród nagle zapadłej, bezbrzeżnej, oniemiałej i pachnącej ciszy traciła dar mowy, puszczano ją samą pieszko do majątku, tymczasem zaś zbierano z peronu bagaż i ładowano na furmankę, a duplański stangret w kamizeli z czerwonymi rękawami koszuli, opowiadał sadowiącym się w bryczce państwu miejscowe nowinki minionego sezonu.

Lara szła wzdłuż nasypu dróżką wydeptaną przez pątników i wędrowców i skręcała na łąkową ścieżynę, prowadzącą do lasu. Tu zatrzymywała się i z zamkniętymi oczyma chłonęła wonne powietrze rozpościerających się wokół rozległych przestrzeni. Było jej ono bliższe niż ojciec i matka, miłsze niż ukochany i mędrsze niż książka. Na mgnienie znów ukazywał się Larze sens istnienia. Jest tutaj – myślała – po to, by pojąć szaleńcze piękno ziemi i wszystko nazwać po imieniu, a jeżeli będzie to ponad jej siły, by z miłości do życia urodzić swych następców, którzy uczynią to za nią.

Tego lata Lara przyjechała na wieś przemęczona zbyt ciężką pracą, jakiej się podjęła. Łatwo popadała w rozdrażnienie. Rozwinęła się w niej podejrzliwość, dotychczas obca jej naturze. Cecha ta czyniła małym charakterem Lary, która dotychczas odznaczała się rozmachem i brakiem drażliwości.

Kołogriwowowie nie chcieli jej od siebie puścić. Po dawnemu otaczała ją tu serdeczność. Ale od momentu usamodzielnienia się Lipy Lara uważała, że jest w tym domu niepotrzebna. Nie chciała przyjmować wynagrodzenia, musiano jej wciskać je siłą. Jednocześnie zaś potrzebowała pieniędzy, a zajmować się jako gość pracą zarobkową było nietaktem i rzeczą praktycznie niewykonalną.

Lara uważała swą sytuację za fałszywą i nieznośną. Podejrzewała, że wszyscy mają jej dość, tylko tego nie okazują. Sama także miała siebie dość. Chciała uciec, gdzie oczy poniosą, od samej siebie i od Kołogriwowów, ale, wedle jej pojęć, przedtem musiała zwrócić im pieniądze, a nie miała skąd ich wziąć. Czuła się zakładniczką, z powodu głupiej przegranej Rodii i w poczuciu oburzenia i bezsilności nie mogła sobie znaleźć miejsca.

We wszystkim dopatrywała się oznak lekceważenia. Jeżeli odwiedzający Kołogriwowów znajomi okazywali jej wzmożone zainteresowanie, uważała, że biorą ją za trzymaną tu z łaski „rezydentkę” i łatwą zdobycz. Kiedy zaś pozostawiano ją w spokoju, świadczyło to według niej o tym, że traktują ją jak powietrze i nie dostrzegają.

Napady hipochondrii nie przeszkadzały Larze jednak brać udziału w rozrywkach licznego goszczącego w Duplance towarzystwa. Kąpała się, pływała łodzią, uczestniczyła w nocnych piknikach za rzeką, puszczając razem ze wszystkimi

sztuczne ognie i tańczyła. Grała w spektaklach amatorskich i ze szczególnym zapałem współzawodniczyła w strzelaniu do celu z krótkich mauzerów, od których wołała jednakże lekki rewolwer Rodii. Nauczyła się z niego strzelać bardzo celnie i ubolewała żartem, że jako przed kobietą zamknięta jest przed nią kariera zawodniak-pojedynkowicza. Im lepiej się jednak bawiła, tym ciężiej było jej na duszy. Sama nie wiedziała, czego chce.

Nasiliło się to szczególnie po powrocie do miasta. Tutaj do wszystkich jej zmartwień dołączyły się jeszcze drobne sprzeczki z Paszą (Lara unikała poważnych kłótni, gdyż uważała Paszę za swą ostatnią ucieczkę). Pasza nabrał w ostatnich czasach niejakej pewności siebie. Pouczające nutki w jego głosie śmieszyły i zasmucały Larę.

Pasza, Lipa, Kołogriwowowie, pieniądze – wszystko to wirowało w głowie Lary. Życie jej zbrzydło. Ogarniał ją obłęd. Coś ciągnęło Larę, by rzucić wszystko, co znane i sprawdzone, i zacząć żyć po nowemu. W tym nastroju na Boże Narodzenie jedenastego roku podjęła fatalną decyzję. Postanowiła niezwłocznie rozstać się z Kołogriwowami i stworzyć sobie życie samotne i niezależne, a o potrzebne do tego celu pieniądze poprosić Komarowskiego. Wyobrażała sobie, że po tym wszystkim, co zaszło, i po latach wywalczonej przez nią wolności Komarowski musi jej pomóc po rycersku, nie wdając się w żadne wyjaśnienia, bezinteresownie i bez żadnych plugastw.

W tym celu dwudziestego siódmego grudnia wieczorem wybrała się na Pietrowskie Linie, a przed wyjściem włożyła do mufki nabity i zabezpieczony rewolwer Rodii, w zamiarze strzelenia do Wiktora Ippolitowicza, jeżeli ten jej odmówi, zrozumie ją opacznie lub w jakiś sposób poniży.

Szła w strasznym wzburzeniu odświętymi ulicami i nie widziała, co się wokół niej dzieje. Planowany wystrzał już padł w jej duszy i było jej zupełnie obojętne, kogo ugodził. Ten wystrzał był jedyną rzeczą, którą sobie uświadamiała, Słyszała go przez całą drogę i był to wystrzał w Komarowskiego, nią samą, w jej własny los i w rosnący na duplańskiej polance dąb z wyciętą na pniu tarczą strzelniczą.

8

– Proszę nie dotykać mufki – powiedziała do wykrzykującej bezładnie Emmy Ernestowny, kiedy ta wyciągnęła ręce, by pomóc jej zdjąć okrycie.

Wiktora Ippolitowicza nie było w domu. Emma Ernestowna ciągle namawiała Larę, by weszła i zdjęła palto.

– Nie mogę. Śpieszę się. Gdzie on jest?

Emma Ernestowna powiedziała, że poszedł z wizytą, na choinkę. Z adresem w rękę Lara zbiegła po przypominających jej wszystko ciemnych schodach z barwnymi herbami na oknach i ruszyła do Mącznego Gródka do Swientickich.

Dopiero teraz, po raz drugi znalazłszy się na ulicy, Lara przytomnie rozejrzała się wokół siebie. Była zima. Było miasto. Był wieczór.

Był trzaskający mróz. Ulice pokrywał czarny lód, gruby jak denka potłuczonych butelek od piwa. Oddychanie sprawiało ból. Powietrze było pełne szarego szronu i zdawało się, że szron łaskocze i kłuje swą kosmatą szczeciną zupełnie tak, jak drapiące i wchodzące Larze w usta futro jej oblodzonego kołnierza. Z bijącym sercem szła pustymi ulicami. Dymiły drzwi mijanych herbaciarni i garkuchni. Z mgły wynurzały się zmarznięte twarze przechodniów, czerwone jak szynka, i kosmate mordy koni i psów w lodowych sopelkach. Pokryte grubą warstwą lodu i śniegu okna domów wyglądały jak zamazane kredą i po ich nieprzezroczystej powierzchni przesuwaly się barwne odbłaski zapalonych choinek i cienie bawiących się, zupełnie jakby ludziom na ulicy pokazywano z domów mgliste obrazy na białych prześcieradłach, rozwieszonych przed latarnią magiczną.

W Zaułku Kamerherskim Lara zatrzymała się. Już dłużej nie mogę, nie wytrzymam – wyrwało się jej niemal głośno. – Wejść i wszystko mu opowiem – pomyślała opanowując się i otworzyła ciężkie skrzydło okazałej bramy.

9

Czerwony z wysiłku Pasza, wypychając językiem policzek, wyginał się przed lustrem, wkładając kołnierzyk i usiłując wetknąć zginającą się spinkę w wykrochmalone dziurki mankietu. Wybierał się z wizytą i był jeszcze na tyle nieśmiały i nie zepsuty, że zmieszał się, gdy Lara, wszedłszy bez pukania, zastała go z tak drobnym uchybieniem w stroju. Od razu spostrzegł jej zdenerwowanie. Nogi się pod nią uginały. Weszła, roztrącając nogami spódnice, jak gdyby przechodziła ją w bród.

– Co ci jest? Co się stało? – spytał z niepokojem, biegnąc jej naprzeciw.

– Usiądź tu obok. Siadaj tak, jak jesteś. Nie poprawiaj ubrania. Śpieszę się. Muszę zaraz iść. Nie ruszaj mufki. Zaczekaj. Odwróć się na chwilę.

Usłuchał. Lara miała na sobie angielski kostium. Zdjęła żakiet, powiesiła go na gwoździu i przełożyła rewolwer Rodii z mufki do kieszeni żaketu. Potem wróciła na kanapę i powiedziała:

– Teraz możesz patrzeć. Zapal świecę i zgaś światło.

Lara lubiła rozmawiać w półmroku przy świecach. Pasza zawsze trzymał dla niej w zapasie nie rozpieczętowaną paczkę świec. Zmienił ogarek w lichtarzu na nową, całą świecę, postawił ją na parapecie i zapalił. Płomień zachłysnął się stearyną, strzelił na wszystkie strony trzaskającymi gwiazdkami i wyostrzył się w strzałkę. Pokój zalało miękkie światło. W lodzie pokrywającym szybę na wprost świecy zaczęło tajać czarne oczko.

– Słuchaj, Patula – rzekła Lara. – Mam kłopoty. Musisz mi pomóc z nich wybrnąć. Nie bój się i nie wypytuj mnie, ale poźegnaj się z myślą, że jesteśmy tacy jak wszyscy. Nie pogrążaj się w spokoju. Jesteś zawsze w niebezpieczeństwie. Jeżeli mnie kochasz i chcesz uchronić przed zgubą, nie odkładajmy, pobierzmy się jak najszybciej.

– Ależ to moje stałe pragnienie – przerwał Pasza. – Naznacz zaraz dzień, zgadzam się na każdy termin, jaki wybierzesz. Ale powiedz mi prościej i jaśniej, co się z tobą dzieje, nie dręcz mnie zagadkami.

Lara jednak odwróciła jego uwagę, niepostrzeżenie uchylając się od bezpośredniej odpowiedzi. Długo jeszcze rozmawiali na tematy zupełnie niezwiązane z przedmiotem jej smutku.

10

Tej zimy Jura pisał pracę naukową o unerwieniu siatkówki, ubiegając się o złoty medal uniwersytecki. Chociaż specjalizował się w internie, znał oko z dokładnością przyszłego okulisty.

W owym zainteresowaniu fizjologią wzroku znajdowały wyraz inne strony jego natury – jego twórcze zadatki i rozmyślenia o istocie obrazu artystycznego i budowie logicznej myśli.

Tonia i Jura jechali wynajętymi saniami na choinkę do Swientickich. Przeżyli obok siebie sześć lat przypadających na koniec dzieciństwa i początek młodości. Znali się wzajemnie do najdrobniejszych szczegółów. Mieli wspólne przyzwyczajenia, własny sposób przerzucania się krótkimi żartami, własną manierę prychnania w odpowiedzi. Jechali teraz i przeważnie milczeli, zaciskając wargi na mrozie i wymieniając jedynie krótkie uwagi. I myśleli każde o swoich sprawach.

Jura myślał o tym, że wkrótce upływa termin konkursu i że trzeba się śpieszyć z ukończeniem rozprawy i w świątecznym zamęcie kończącego się roku, jaki czuło się na ulicach, przeskakiwał z tych myśli na inne.

Na wydziale Gordona wydawano odbijane na hektografie pismo, Misza był jego redaktorem. Jura już dawno obiecał im artykuł o Błoku. Błokiem była zafascynowana cała młodzież obu stolic, a on i Misza bardziej niż inni.

Ale i te myśli na krótko zagościły w świadomości Jury. Jechali z podbródkami schowanymi w kołnierze i rozcierając odmrożone uszy myśleli o różnych sprawach. W jednym tylko punkcie ich myśli się zbiegały.

Niedawna scena u Anny Iwanowny stała się dla obojga przełomową. Jak gdyby odzyskali wzrok i spojrzeli na siebie innymi oczyma.

Tonia, ten stary kolega, ta zrozumiała, nie wymagająca wyjaśnień oczywistość, okazała się czymś najbardziej niedosiężnym i skomplikowanym ze wszystkiego, co mógł sobie Jura wyobrazić, okazała się kobietą. Przy pewnym wysiłku fantazji mógł sobie wyobrazić siebie jako bohatera, co wstąpił na górę Ararat, proroka, zwycięzcę, kogokolwiek, tylko nie jako kobietę.

I oto owo najtrudniejsze, przewyższające wszystko zadanie wzięła na swoje szczupłe i słabe barki Tonia (od tamtej chwili nagle zaczęła się Jurze wydawać wątła i słaba, chociaż była dziewczyną całkowicie zdrową). I Jura poczuł w stosunku do niej to gorące współczucie i nieśmiały podziw, który jest początkiem namiętności.

To samo, tylko z odpowiednimi różnicami, zaszło także w stosunku Toni do Jury.

Jura myślał, że niepotrzebnie jednak wyjechali z domu. Żeby tylko coś się nie stało pod ich nieobecność. I przypomniał sobie. Dowiedziawszy się, że Annie Iwanownie się pogorszyło, oboje, już ubrani do wyjścia, poszli do niej i zaproponowali, że zostaną. Anna Iwanowna równie ostro jak poprzednio sprzeciwiła się temu i zażądała, by jechali na choinkę. Jura i Tonia weszli za portierę do głębokiej niszy okiennej, by spojrzeć, jaka pogoda. Kiedy wyszli, obie części tiulowej firanki przyłgnęły do świeżego materiału ich nowych strojów. Lekka lgnąca tkanina przez kilka kroków ciągnęła się za Tonia jak welon za panną młodą. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, tak jednocześnie i bez słów rzuciło im się w oczy to podobieństwo.

Jura patrzył na boki i widział to samo, co na krótko przedtem nasuwało się na oczy Larze. Ich sanie robiły niezwykle głośny hałas, budząc niesamowicie długie echo pod oblodzonymi drzewami w parkach i na bulwarach. Rozświetlone od wewnątrz i oszronione okna domów przypominały drogocenne szkatuły z dymnego, żyłkowatego topazu. Poza nimi tliło się świąteczne życie Moskwy, płonęły choinki, tłoczyli się goście i rozdokazywani przebierańcy bawili się w chowanego i w kotka i myszkę.

Nagle Jura pomyślał, że Błok to objawienie Bożego Narodzenia we wszystkich dziedzinach życia Rosji, w północnym miejskim bytowaniu i w najnowszej literaturze, pod gwiazdzistym niebem współczesnej ulicy i wokół zapalanej choinki obecnego stulecia. Pomyślał, że niepotrzebny jest żaden artykuł o Błoku, że po prostu trzeba namalować rosyjski pokłon Trzech Króli, w holenderskim stylu, z mrozem, wilkami i ciemnym świerkowym lasem. Jechali przez Kamerherski. Jura zwrócił uwagę na czarną roztajałą szczelinę w lodowym poroście jednego z okien. Przez szczelinę przebłyskiwał płomień świecy, przenikający na ulicę niemal tak świadomie jak spojrzenie, jak gdyby płomień spoglądał za jadącymi i kogoś oczekiwał.

„Świeca na stole się paliła. Płonęła świeca...”⁸ – szeptał w duchu Jura. Początek czegoś mętnego, nieukształtowanego, w nadziei, że ciąg dalszy przyjdzie sam przez się, bez wysiłku. Ale nie przychodził.

11

Od niepamiętnych czasów choinkowe przyjęcia u Swientickich urządzano zawsze tak samo. O dziesiątej, kiedy się rozjeżdżała dzieciarnia, zapalano drugą choinkę dla dorosłych i hulano do rana. Starsi przez całą noc rznęli w karty w trójkątnym salonie pompejańskim, który stanowił przedłużenie sali balowej i był od niej oddzielony ciężką grubą kotarą wiszącą na wielkich mosiężnych kółkach.

– Czemu tak późno? – zapytał ich w przelocie siostrzeniec Swientickich, Żorż, przebiegając przez przedpokój w głąb mieszkania do wuja i ciotki. Jura i Tonia

⁸ Przekład Seweryna Pollaka.

również postanowili pójść tam przywitać się z gospodarzami. Rozbierając się mimochodem zajrzeli do sali.

Obok buchającej ciepłem choinki, opasanej kilkoma rzędami migotliwych światełek, szeleszcząc sukniami i następując sobie wzajemnie na nogi, przesuwała się czarna ściana nie tańczących, którzy spacerowali i rozmawiali.

Wewnątrz kręgu szaleńczo wirowali tancerze. Okręcał ich, łączył w pary i wyciągał w łańcuch syn prokuratora, licealista Koka Kornakow. Kierował tańcami i na całe gardło wrzeszczał z jednego końca sali na drugi: „*Grand ronda! Chaine chinoise!*” – I wszyscy wypełniali jego polecenie. „*Une valse s’il vous plaît!*” – krzyczał do tapera i w pierwszej parze prowadził swą damę „*á trois temps, á deux temps*”, wciąż zwalniając i ścieśniając obroty aż do ledwie dostrzegalnego dreptania w miejscu, które nie było już walcem, lecz tylko jego zamierającym echem. I wszyscy klaskali, i pośród całego tego poruszającego się, szurającego, zgielkliwego tłumu roznoszono lody i napoje chłodzące. Zgrzani chłopcy i dziewczęta na chwilę przestawali krzyzczeć i śmiać się, pośpiesznie i chciwie łykali zimny sok i lemoniadę, i zaledwie odstawivszy szklankę na tacę, znów zaczynali krzyzczeć i śmiać się dziesięć razy głośniej, jak gdyby zażyli jakąś rozweselającą miksturę. Tonia i Jura, nie wchodząc na salę, poszli na tyły mieszkania, do gospodarzy.

12

Wewnętrzne pokoje Swientickich były zagracone sprzętami wyniesionymi z bawialni i sali dla zrobienia miejsca. Tu była czarodziejska kuchnia gospodarzy, ich świąteczny magazyn. Pachniało farbą i klejem, leżały rulony kolorowego papieru i sterty pudełek z kotyliczami i zapasowymi świeczkami choinkowymi.

Starzy Swienticcy wypisywali numerki do prezentów, karty z zaznaczeniem miejsc przy stole i bilety do jakiejś planowanej loterii. Pomagał im Żorż, ale często mylił kolejność numerów i starzy burczeli na niego z irytacją. Strasznie się ucieszyli z przybycia Jury i Toni. Znali ich od dziecka, toteż bez ceremonii zasadzili oboje do tej pracy.

– Felicata Siemionowna nie rozumie, że o tym trzeba było pomyśleć wcześniej, a nie kiedy zabawa w toku, kiedy są goście. Ach, Żorż, ty gapo, coś zrobił z numerkami! Mówiłem, bombonierki z drażetkami na stół, a puste na kanapę. A ty szast, prast, i wszystko na opak.

– Bardzo się cieszę, że Aneta lepiej się czuje. Oboje z Pierre'em bardzo się o nią martwiliśmy.

– Tak, tylko że, moja droga, właśnie poczuła się gorzej, rozumiesz, ale ty zawsze masz w głowie *devant-derrière*.

Jura i Tonia pół wieczoru przesiadzieli z Żorżem i staruszkami za ich choinkowymi kulisami.

Przez cały ten czas, kiedy oni siedzieli ze Swientickimi, Lara była na sali. Chociaż nie miała balowej toalety i nikogo tu nie znała, bezwolnie, jak we śnie, pozwalała Koce Kornakowowi obracać się w tańcu albo w odrętwieniu, bez celu snuła się wokół sali.

Raz czy dwa zatrzymywała się niezdecydowanie na progu salonu w nadziei, że siedzący twarzą do sali Komarowski spostrzeże ją. On jednak patrzył w karty, które trzymał przed sobą w lewej ręce jak tarczę, i albo rzeczywiście jej nie widział, albo udawał, że nie widzi. Larze aż oddech zaparło z odrazy. W tej chwili z sali tańca do bawialni weszła nie znana jej dziewczyna. Komarowski popatrzył na nią owym spojrzeniem, które Lara tak dobrze znała. Pochlebiona tym dziewczyna uśmiechnęła się do niego, zaróżowiła się i rozpromieniła. Na ten widok Lara omal nie krzyknęła. Spłonęła ciemnym rumieńcem, poczerwieniało jej czoło i szyja. „Nowa ofiara” – pomyślała. Ujrzała jak w zwierciadle siebie i całą swą historię. Nie zrezygnowała jednak jeszcze z myśli o rozmowie z Komarowskim; z postanowieniem, że zaczeka z tym na bardziej sprzyjającą chwilę, zmusiła się do spokoju i wróciła na salę.

Z Komarowskim siedzieli przy stoliku jeszcze trzej panowie. Jeden, który siedział tuż obok, był ojcem fircykowatego licealisty, który poprosił Larę do walca. Lara wywnioskowała to z kilku słów zamienionych z kawalerem podczas tańca. Wysoka brunetka w czerni o błędnych płonących oczach i nieprzyjemnie, wężowo wygiętej szyi, która co chwilę przechodziła to z bawialni na salę, na arenę działalności syna, to z powrotem do grającego w karty męża, była matką Koki Kornakowa. Wreszcie wyjaśniło się też, że dziewczyna, która wywołała w Larze tyle sprzecznych uczuć, jest siostrą Koki i że przypuszczenia Lary są bezpodstawne.

– Kornakow – przedstawił się Larze Koka zaraz na początku. Ale wtedy nie dosłyszała – Kornakow – powtórzył przy ostatnim posuwistym obrocie, odprowadził ją do fotela i ukłonił się.

Tym razem Lara dosłyszała. Kornakow, Kornakow – zamyśliła się. To coś znajomego. Coś przykrego. Potem przypomniała sobie. Kornakow był zastępcą prokuratora moskiewskiej izby sądowej. Oskarżał grupę kolejarzy, w której znajdował się między innymi Tiwierzin. Ławrientij Michajłowicz na prośbę Lary próbował go łagodzić, skłonić, by nie był tak zajadły na procesie, ale na próżno. Więc to tak! Tak, tak, tak. Ciekawe. Kornakow. Kornakow.

Była pierwsza czy druga w nocy. Jura miał szum w uszach. Po przerwie, podczas której w jadalni pito herbatę z ptifurkami, wznowiono tańce. Kiedy świece na choince się dopalały, nikt już nie wymieniał ich na nowe.

Jura stał w roztargnieniu pośrodku sali i patrzył na Tonię, która tańczyła z jakimś nieznajomym. Przepływając obok Jury, odrzuciła stopą niewielki tren nieco za długiej sukni, i plusnąwszy nim jak rybka, zniknęła w tłumie tańczących.

Była bardzo zgrzana. W przerwie, kiedy siedzieli w jadalni, podziękowała za herbatę i gasiła pragnienie mandarynkami, których całe mnóstwo obierała z łatwo schodzącej skórki. Co chwila wyjmowała zza paska albo z rękawa batystową chusteczkę, maleńką jak kwiat owocowego drzewka, i wycierała nią strużki potu w kącikach ust i pomiędzy lepкими paluszkami. Śmiejąc się i nie przerywając ożywionej rozmowy, machinalnie wsuwała chusteczkę z powrotem za pasek albo za obszycie stanika sukni.

Teraz, tańcząc z obcym kawalerem i przy obrotach zahaczając o nadąsanego, urażonego Jurę, Tonia mimochodem figlarnie ścisnęła mu rękę i uśmiechała się wymownie. Po którymś uścisku chusteczka, którą trzymała w dłoni, znalazła się w ręku Jury. Jura przycisnął ją do ust i zamknął oczy. Chusteczka wydzielala zmieszane zapachy mandarynkowej skórki i rozpalonej ręki Toni, oba równie czarowne. Było to w życiu Jury nowe uczucie, którego nigdy jeszcze nie doznawał i które przeszło go ostro od stóp do głów. Dziecięco-naiwny zapach był tkliwy i rozumny niby jakieś słowo, wyrzeczone szeptem w ciemności. Stał, zasłoniwszy oczy i usta chusteczką i oddychał nią. Nagle padł strzał.

Wszyscy zwrócili głowy w stronę kotary, oddzielającej bawialnię od sali tanecznej. Przez chwilę panowała cisza. Potem zrobiło się zamieszanie. Goście zaczęli się miotać i krzyczeć. Część rzuciła się za Koką Kornakowem w stronę, gdzie padł strzał. Stamtąd już szli inni, grożąc, płacząc, kłócąc się i przerywając sobie nawzajem.

– Co ona zrobiła, co ona zrobiła – powtarzał w rozpacz Komarowski.

– Boria, żyjesz? Boria, ty żyjesz! – krzyczała histerycznie pani Kornakow. – Podobno bawi tu doktor Drokow. Tak, ale gdzie on jest, gdzie? Ach, proszę się odsunąć! Dla pana to jest może draśnięcie, a dla mnie treść całego mojego życia. O, mój biedny męczenniku, oskarżycielu wszystkich zbrodniarzy! To ona, to ta nędznica, ja ci oczy wydrapię, łajdaczko! No, teraz już nie ucieknie! Co pan powiedział, panie Komarowski? Do pana? Ona strzelała do pana? Nie, ja tego nie wytrzymam. Mam okropne zmartwienie, panie Komarowski, niech się pan opamięta, nie pora teraz na żarty. Koka, Kokoczka, powiedz coś! Do twojego ojca... Tak... Ale palec boży... Koka! Koka!

Tłum runął z bawialni do sali tańca. Pośrodku, żartując i głośno zapewniając wszystkich, że nic mu nie jest, szedł Kornakow, przyciskając czystą serwetką krwawiące draśnięcie na lekko postrzelonej lewej ręce. W drugiej grupie, nieco z tyłu, prowadzono za rękę Larę,

Jura zmartwiał na jej widok. To ona! I znowu w takich niezwykłych okolicznościach! I znowu ten szpakowaty. Ale teraz Jura go zna. To wzięty adwokat Komarowski, który maczał palce w sprawie o spadek po ojcu. Można mu się nie kłaniać, Jura i on udają, że się nie znają. A ona... Więc to ona strzelała? Do prokuratora? Na pewno „polityczna”. Biedna. Nie wyjdzie jej to na dobre. Jakże jest

dumna i piękna! A ci! Wloką ją, dranie, wykręcają ręce, jak gdyby pochwycili złodziejkę.

W tym momencie jednak zrozumiał, że się myli. Pod Larą ugięły się nogi. Trzymano ją za ręce, żeby nie upadła, i z trudem doprowadzono do fotela, w który się osunęła...

Jura już biegł, by ją ocucić, ale dla zachowania pozorów postanowił najpierw zająć się domniemaną ofiarą zamachu. Podszedł do Kornakowa i powiedział:

– Ktoś tu prosił o pomoc lekarską. Mogę jej udzielić. Proszę mi pokazać rękę... No, Bóg nad panem czuwał. To takie głupstwo, że nawet nie zrobię opatrunku. Zresztą, odrobina jodyny nie zaszkodzi. O, jest Felicata Siemionowna, zaraz ją poprosimy.

Swienticka i Tonia podeszły szybko do Jury, blade jak śmierć. Powiedziały, żeby wszystko rzucił i co prędzej się ubrał, przyjechano po nich, w domu zaszło coś złego. Jura przeraził się i, przypuszczając najgorsze, zapomniawszy o całym świecie pobiegł się ubrać.

15

Kiedy z bramy na Siwcewym wpadli co sił w nogach do mieszkania, Anna Iwanowna już nie żyła. Zmarła na dziesięć minut przed ich przybyciem. Przyczyną śmierci był atak duszności, który nastąpił w wyniku ostrego, nie rozpoznanego obrzęku płuc.

Przez pierwsze godziny Tonia krzyczała dzikim głosem, wiła się w konwulsjach i nikogo nie poznawała. Na drugi dzień uspokoiła się na tyle, że cierpliwie słuchała, co mówią jej ojciec i Jura, ale mogła odpowiadać jedynie gestami, bo gdy tylko otwierała usta, rozpacz ogarniała ją znowu i krzyki wyrwały się z niej same, jak z opętanej.

Całymi godzinami trwała na klęczkach przy zmarłej, w przerwach pomiędzy egzekwiami obejmując dużymi ładnymi rękami narożnik trumny wraz z katafalkiem i wieńcami, które ją pokrywały. Nie dostrzegała nikogo wokół siebie. Gdy tylko jednak wzrok jej pochwycił spojrzenie bliskich, pośpiesznie wstawała z podłogi, szybkimi krokami wybiegała z salonu, powstrzymując łkanie pędziła po schodach do siebie na górę, i upadłszy na łóżko, tłumiała w poduszce wybuchy gwałtownej rozpacz.

Smutek, długie godziny stania i niedosypiania, ustawiczne śpiewy i oślepiające światło świec dniem i nocą, a także przeziębienie, którego się nabawił w ostatnich dniach, sprawiły, że Jura miał w duszy słodki zamęt, rozkosznie deliryczny, wzniosły i żalony.

Dziesięć lat temu, kiedy chowano mamę, Jura był jeszcze dzieckiem. Do dziś pamiętał, jak rozpaczliwie płakał, przybity smutkiem i grozą. Wówczas najważniejsze tkwiło gdzieś poza nim. Wówczas chyba nawet nie uświadamiał sobie, że jest jakiś on, Jura, istniejący samodzielnie, mający określone cechy i wartość. Wówczas najważniejsze było to, co działo się wokół, na zewnątrz. Świat zewnętrzny otaczał Jurę ze wszystkich stron, dotykalny, nieprzebyty i prawdziwy jak las, i

dlatego właśnie Jura był tak wstrząśnięty śmiercią matki, że wraz z nią zabłądził w tym lesie i nagle pozostał w nim sam, bez niej. Na ów las składało się wszystko na świecie – chmury, szyldy miejskie, i kule na wieżach strażackich, i poprzedzający konno karetę z Matką Boską studzy cerkiewni w samych nausznikach na pobożnie odkrytych głowach. Na ten las składały się wystawy sklepowe w pasażach i niedosiężnie wysokie nocne niebo z gwiazdami, Bożą i świętymi.

To niedostępnie wysokie niebo nachylało się niziutko nad dziecinnym pokojem, wtulało się w podolek niani, snującej jakieś święte historie, i stawało się bliskie i swojskie jak wierzchołki leszczyzny, kiedy w parowach przygina się ich gałęzie i zrywa orzechy. Zanurzało się jakby w poślacanej miednicy w dziecinnym pokoju, i, skąpane w ogniu i złocie, przeobrażało się w jutrznię lub sumę w maleńkiej cerkiewce, dokąd prowadziła go niania. Tam gwiazdy niebieskie stawały się lampami, Bozia – batiuszką i wszystko zajmowało w miarę możliwości właściwe sobie miejsca. Najważniejszą jednak rzeczą był realny świat dorosłych i miasto, które ciemniało wokół niby las. Wówczas całą swoją na wpół zwierzęcą wiarą Jura wierzył w Boga tego lasu jak w leśnego ducha.

Zupełnie inaczej było teraz. Przez całe dwanaście lat szkoły średniej i studiów Jura interesował się starożytnością i religią, podaniami i poetami, naukami o przeszłości i o przyrodzie jak kroniką rodzinnego domu, jak własnym rodowodem. Teraz nie obawiał się niczego, ani życia, ani śmierci, wszystko na świecie, każda rzecz była słowem jego leksykonu. Czuł się równoprawnym partnerem wszechświata i zupełnie inaczej uczestniczył w egzekwiach po Annie Iwanownie niż kiedyś po mamie. Wówczas zapamiętywał się w bólu i modlił w pokorze. Teraz zaś słuchał żalobnego nabożeństwa jak wypowiedzi, skierowanej wprost do niego i bezpośrednio go dotyczącej. Wsłuchiwał się w słowa i szukał w nich, jak w każdej innej sprawie, zrozumiałe wyrażonego sensu, i nic wspólnego z pobożnością nie miało jego poczucie dziedziczności wobec wyższych sił ziemi i nieba, które czcił jako swych wielkich poprzedników.

16

„Święty Boże, święty, mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami.” Co to? Gdzie jestem? Wyprowadzenie zwłok. Wynoszą trumnę. Trzeba się obudzić... O piątej rano zwałił się w ubraniu na kanapę. Chyba ma gorączkę. Teraz szukają go po całym domu i nikt się nie domyśla, że on jest w bibliotece i że śpi kamiennym snem w kącie, za sięgającymi sufitu półkami książek.

„Jura, Jura!” – woła gdzieś obok stróż Markieł. Zaczęło się wyprowadzenie zwłok, Markieł musi znieść na dół, na ulicę, wieńce, a nie może znaleźć Jury, na dobitkę zaś uwiązał w sypialni, gdzie złożono stosy wieńców, bo drzwi do niej przytrzymują otwarte drzwiczki szafy i Markieł nie może wyjść.

– Markieł! Markieł! Jura! – wołają z dołu.

Markieł jednym ciosem rozprawia się z przeszkodą i pędzi z kilkoma wieńcami na dół po schodach.

„Święty Boże, święty, mocny, święty a nieśmiertelny” – przelatuje zaułkiem cichy wiew i pozostaje w nim, jak gdyby ktoś przeciągnął w powietrzu miękkim strusim piórem, i wszystko się kołysze: wieńce i przechodnie, końskie łby ubrane w kity z piór, rozhuśtana kadzielnica na łańcuszku w ręku kapłana, biała ziemia pod nogami.

– Jura! O Boże, nareszcie. Obudź się, proszę – potrząsa go za ramię Szura Schlesinger. – Co ci jest? Już wyprowadzenie. Idziesz z nami?

– Ależ oczywiście.

17

Zakończyła się msza żałobna. Żebracy, przytupując z zimna, zbili się ciasniej w dwa szeregi. Zakołysały się i nieco przesunęły karawan, wóz z wieńcami, karetą Krügerów. Podjechali bliżej dorożkarze. Z cerkwi wyszła zapłakana Szura Schlesinger i unosząc wilgotną od łez woalkę prześlizgnęła się badawczym spojrzeniem wzdłuż linii dorożek. Odszukawszy wśród nich tragarzy z zakładu pogrzebowego, gestem przywołała ich ku sobie i znikła wraz z nimi w cerkwi, skąd walił coraz gęstszy tłum.

– No i przysłała kolej na Annę Iwanownę. Odmeldowała się, wyciągnęła los z biletem w jedną stronę.

– Tak, tak, nafruwała się nasza łątko. Teraz odpoczywa.

– Pan dorożką czy jedenastką?

– Nogi mi zdrętwiały. Przejdźmy się kawalek, a potem pojedziemy.

– Widzieliście, państwo, jak Fufkow się przejął? Patrzy na nieboszczkę, pożera ją oczami, łzy jak groch, nos wyciera. A mąż stoi obok.

– Przez całe życie robił do niej słodkie oczy.

Wśród takich rozmów żałobnicy wlekli się na drugi koniec miasta, na cmentarz. Po silnych mrozach nadeszło ocieplenie. Dzień był nieruchomy, ociężały; dzień mrozu, który ustąpił, i życia, które odeszło, dzień, jakby przez samą naturę przeznaczony na pogrzeby. Śnieg prześwitywał przez warstwę brudu jak przez krepę, zza muru patrzyły ciemne niby oksydowane srebro, mokre świerki i również wyglądały jak w żałobie.

Był to ten sam pamiętny cmentarz, miejsce spoczynku Marii Nikołajewny. Jura w ostatnich latach wcale nie bywał na grobie matki. Teraz, spoglądając z daleka w tę stronę, wyszeptał: „Mamusiu” – prawie tak dziecinnie jak wtedy.

Kondukt uroczyście i wręcz malowniczo rozlewał się po oczyszczonych ze śniegu alejkach, które wiły się chytrze, zakłócając smutny, miarowy krok żałobników. Aleksander Aleksandrowicz prowadził pod rękę Tonię. Za nimi postępowali Krügerowie. Toni było bardzo do twarzy w żałobie.

Na krzyżach i kopułach, na różowych murach klasztoru kędzierzawił się szron, kosmaty niby pleśń. W odległym końcu klasztornego dziedzińca od ściany do ściany przeciągnięto sznury z rozwieszoną bielizną – koszule z ciężkimi, namokłymi rękawami, brzoskwiniowej barwy obrusy, krzywe, źle wyżęte prześcieradła. Jura popatrzył w tę stronę i zorientował się, że jest to właśnie owo miejsce w klasztornej

ziemi, gdzie wówczas szalała zamieć, tylko zmienione dzięki nowym zabudowaniom.

Jura szedł sam, wyprzedzając innych, od czasu do czasu zatrzymywał się i czekał. Pustka, jaką spowodowała śmierć w tej wolno za nim kroczącej grupie, budziła w nim chęć równie niepokonaną jak nurt rzeki, która kręcąc wiry pędzi w dół; pragnął marzyć i myśleć, doskonalić formę, tworzyć piękno. Teraz jak nigdy przedtem zrozumiał jasno, że sztuka zawsze, nieustannie zajmuje się dwiema sprawami: wiecznie rozmyśla o śmierci i dzięki temu wiecznie tworzy życie. Wielka, prawdziwa sztuka, ta, która zwie się Objawieniem świętego Jana, i ta, która je dopełnia.

Jura czuł już przedsmak rozkoszy, z jaką na dzień, dwa zniknie z łona rodziny, i do swych żałobnych wierszy poświęconych Annie Iwanownie wstawi wszystko, co podpowie mu życie: parę wyjątkowych zalet zmarłej; postać Toni w żałobie; kilka ulicznych obrazków dostrzeżonych po drodze z cmentarza; schnącą bieliznę w miejscu, gdzie kiedyś dawno, w nocy, wyła zamieć i on, mały Jura, płakał.

Część czwarta

Sprawy nieuniknione

1

Lara leżała półprzytomna na łóżku w sypialni Felicaty Siemionowny. Wokół niej szeptali Swienticcy, doktor Drokow, służba.

Opustoszały dom Swientickich pogrążony był w mroku, tylko pośrodku długiej amfilady pokoi, w małej bawialni, płonęła na ścianie słaba lampa, rzucając światło w obie strony otwartego na przestrzeń szeregu pomieszczeń.

Przez całą amfiladę swobodnie jak we własnym domu spacerował gniewnymi, energicznymi krokami Wiktor Ippolitowicz. To zaglądał do sypialni, sprawdzając, co się tam dzieje, to znów ruszał w przeciwny kraniec domu i mijając choinkę ze srebrnymi świecidełkami docierał do jadalni, gdzie stół ugiął się pod nietkniętym poczęstunkiem i zielone kielichy do wina podzwaniały, kiedy za oknem po ulicy przejeżdżała karetka albo kiedy między talerzami po obrusie smyrgała myszka.

Komarowski pienił się z gniewu, pierś rozsadzały mu sprzeczne uczucia. Co za skandal i potworność! Szalał z wściekłości. Jego pozycja była zagrożona. Wypadek ten psuł mu reputację. Należało za wszelką cenę, póki nie jest za późno, zawczasu ukreślić łeb plotkom, a jeżeli wieści już się rozeszły, zatuszować sprawę, stłumić pogłoski w ich zaraniu. Poza tym znowu dostrzegł, jak cudowna jest ta szalona, zawzięta dziewczyna. Od razu było widać, że jest inna niż wszyscy. Zawsze było w niej coś niezwykłego. Ale jakże dotkliwie i nieodwracalnie okaleczył jej życie! Jakże ona się szarpie, jak wciąż się buntuje i walczy, by odmienić swój los i zacząć życie od nowa.

Trzeba będzie jej pomóc, jak tylko się da, może wynajść dla niej pokój, ale w żadnym wypadku nie zbliżać się do niej, przeciwnie, zupełnie się usunąć, odejść, by nie rzucać na nią cienia, bo proszę, na co ją stać, nie daj Boże, znów coś wymyśli!

A ileż jeszcze czeka go zabiegów! Przecież za coś takiego po główce nie pogłaszcza. Prawo nie śpi. Jest jeszcze noc i nie upłynęły nawet dwie godziny od całej tej historii, a już dwa razy była policja i Komarowski wychodził do kuchni porozmawiać z rewirowym i wszystko załatwić.

A im dalej, tym będzie trudniej. Zażądają dowodów, że Lara celowała do niego, a nie do Kornakowa. Na tym jednakże sprawa się nie zakończy. Część winy zostanie z Lary zdjęta, ale za pozostałą część będzie pociągnięta do odpowiedzialności sądowej.

Oczywiście on postara się wszelkimi siłami temu zapobiec, a jeżeli proces zostanie wytoczony, zdobędzie zaświadczenie biegłych psychiatrów o niepoczytalności Lary w chwili popełniania przestępstwa i wywalczy umorzenie sprawy.

Myśli te nieco go uspokoiły. Minęła noc. Światłne pasma zaczęły myszkować po pokojach, zaglądnąc pod stoły i kanapy jak złodzieje lub taksatorzy z lombardu.

Komarowski zajrzał do sypialni i przekonawszy się, że Lara nie czuje się lepiej, pojechał od Swientickich do znajomej prawniczki, żony emigranta politycznego Rufiny Onisimowny Wojt-Wojtkowskiej. Ośmiopokojowe mieszkanie było obecnie za obszerne na jej potrzeby i zbyt drogie, wynajmowała więc dwa pokoje. Jeden, niedawno zwolniony, Komarowski odnajął dla Lary. Kilka godzin później przywieziono ją tam, rozpaloną i półprzytomną. Miała gorączkę nerwową.

2

Rufina Onisimowna była kobietą postępową, zwalczającą przesady i życzliwie usposobioną do wszystkiego, co jak sądziła i mawiała, jest „pozytywne i życiowe”.

W jej mieszkaniu leżał w komodzie egzemplarz „Programu Erfurckiego”⁹ z dedykacją autora. Jedną z wiszących na ścianie fotografii przedstawiała jej męża, „mego poczciwego Wojta” w towarzystwie Plechanowa na festynie ludowym w Szwajcarii. Obaj panowie byli w lustrzynowych marynarkach i panamach.

Rufina Onisimowna od pierwszego wejrzenia znieubiła swą chorą lokatorkę. Uznała Larę za złośliwą symulantkę, a jej ataki za mistyfikację. Gotowa była przysiąc, że Lara odgrywa oszalałą Goethowską Małgorzatę w lochu.

Swoją wzdargę okazywała dziewczynie poprzez przesadne ożywienie. Trzaskała drzwiami i głośno nucila, latała jak wichler po swej części mieszkania i całymi dniami wietrzyła pokoje.

Mieszkanie jej położone było na górnym piętrze wielkiej kamienicy na Arbacie. Poczynając od zimowego przesilenia w oknach tego piętra przelewało się błękitne jasne niebo, rozległe niby rzeka w czasie powodzi. Przez pół zimy mieszkanie pełne było oznak i zapowiedzi przyszłej wiosny.

Przez lufciki zawiewał ciepły południowy wiatr, na dworcach gwizdały parowozy i Lara leżąc w łóżku pogrążała się w odległych wspomnieniach.

Bardzo często wspominała pierwszy wieczór po przyjeździe do Moskwy z Uralu, siedem czy osiem lat temu, w niezapomnianym dzieciństwie.

Jechali bryczką po mrocznych zaułkach przez całą Moskwę z dworca do hotelu. Zbliżające się i oddalające latarnie rzucały na ściany budynków cień przygarbionego dorożkarza. Cień rósł, rósł, osiągał nieprawdopodobne rozmiary, okrywał jezdnię i dachy, i znikał. I wszystko zaczynało się od nowa.

W ciemnościach nad głową dzwoniły cerkiewne dzwony, po ziemi z brzękiem przemykały pojazdy, ale jaskrawe witryny i światła także ogłuszały Larę, jak gdyby i one wydawały jakieś własne dźwięki, tak jak koła i dzwony.

⁹ Program niemieckiej socjaldemokracji, uchwalony w 1891 r. wg projektu K. Kantskiego, opierający się w zasadzie na założeniach marksizmu. (Przyp. tłum.)

Na dole w pokoju hotelowym oszołomił ją nieprawdopodobnie olbrzymi arbuzy, powitalny dar Komarowskiego na osiedliny. Kiedy Wiktor Ippolitowicz uderzeniem noża z głośnym chrzęstem rozciął na pół ciemnozielone kuliste dziwo o lodowatym słodkim wnętrzu, Larze zabrakło tchu ze strachu, ale nie śmiała odmówić. Z wysiłkiem przełykała różowe pachnące kęsy, które stawały jej w gardle, tak była przejęta.

A przecież ten lęk przed kosztownym smakołykiem i nocną stolicą powtórzył się potem jako lęk przed Komarowskim – oto rozwiązanie wszystkiego, co się stało. Teraz jednak Komarowski był nie ten sam. Niczego nie żądał, nie przypominał o sobie i nawet się nie pokazywał. I wciąż, trzymając się z dala, jak najszlachetniej ofiarowywał swą pomoc.

Zupełnie inne były odwiedziny Kołogriwowa. Larę bardzo ucieszyła jego wizyta. Gość, wcale nie dlatego, że był tak wysoki i postawny, ale dzięki promieniującej zeń energii i talentowi, swą osobą, swym promiennym spojrzeniem i mądrym uśmiechem wypełnił pół pokoju. Zrobiło się wręcz ciasno.

Siedział przy łóżku Lary, zacierając dłonie. Kiedy wzywano go do Petersburga do Rady Ministrów, rozmawiał z dostojnymi starcami tak, jak gdyby miał przed sobą psotnych sztubaków. Tu zaś leżała przed nim cząstka jego domowego ogniska, niemal rodzona córka, z którą, jak ze wszystkimi domownikami, wymieniał spojrzenia i uwagi tylko w przelocie i mimochodem (to właśnie stanowiło urok ich pełnych wyrazu kontaktów, obie strony świetnie to rozumiały). Nie mógł traktować Lary surowo i obojętnie jak dorosłej. Nie wiedział, jak z nią rozmawiać, by jej nie urazić, powiedział więc z uśmiechem, jak do dziecka:

– No i co pani narobiła, kochanie? Po cóż te melodramaty? – Umilkł i jął obserwować plamy wilgoci na suficie i tapetach. Potem z wyrzutem pokiwał głową i ciągnął dalej: – W Düsseldorfie otwarto międzynarodową wystawę malarstwa, rzeźby, sadownictwa. Wybieram się tam. Wilgoć tu u pani. I cóż, długo pani zamierza tak wisieć między ziemią a niebem? Nie jest tu zbyt uroczo. Ta cała Wojtessa, mówiąc między nami, to niezłe ziółko. Znam ją. Musi się pani przeprowadzić. Dostyc już tego leżenia. Pochorowała pani sobie i wystarczy. Czas wstawać. Zmieni pani pokój, zajmie się nauką, skończy kursa. Mam pewnego znajomego malarza. Wyjeżdża na dwa lata do Turkiestanu. Ma pracownię podzieloną przepierzeniami, właściwie to całe niewielkie mieszkanko. Chyba zgodzi się je przekazać wraz z umeblowaniem w dobre ręce. Chce pani, załatwię to? I jeszcze jedno. Chciałbym przejść do interesu. Już dawno chciałem to zrobić, to mój święty obowiązek... Od czasu, gdy Lipa... Tu jest niewielka sumka, nagroda za to, że ukończyła szkołę... Nie, pani pozwoli... No, proszę się nie upierać... Nie, bardzo proszę.

I przed wyjściem zmusił Larę mimo jej oporów, łez i nawet czegoś w rodzaju szarpaniny, by przyjęła czek na dziesięć tysięcy.

Po wyzdrowieniu Lara przeniosła się na nowe śmieci, które tak zachwalał Kołogriwow, w pobliżu rynku Smoleńskiego, mieszkanie znajdowało się na górze jednopiętrowej staroświeckiej kamienicy. Na parterze były składy towarów.

Mieszkali tu również furmani. Podwórze było wybrukowane kocimi łbami i zawsze zasypane owsem i sianem. Przechadzały się po nim z gruchaniem gołębie. Hałaśliwym stadkiem podfrwały w górę, nie wyżej niż do okna Lary, kiedy po betonowym ścieku podwórza przebiegały gromadki szczurów.

3

Wiele zmartwienia było z Paszą. Dopóki Lara była poważnie chora, nie dopuszczano go do niej. Cóż mógł myśleć? Lara chciała zabić człowieka, który, jak sądził Pasza, był jej obojętny, potem zaś znalazła się pod opieką swej niedoszłej ofiary. I wszystko to po ich pamiętnej rozmowie w noc Bożego Narodzenia, przy płonącej świecy! Gdyby nie ten człowiek, Larę aresztowano by i postawiono przed sądem. On odwrócił grożącą jej karę. Dzięki niemu pozostała na kursach, cała i bezpieczna. Pasza zadreślał się i nic nie mógł zrozumieć.

Lara wezwała go do siebie, gdy tylko poczuła się lepiej, i oświadczyła:

– Jestem złą kobietą. Ty mnie nie znasz, kiedyś ci wszystko opowiem. Trudno mi mówić, sam widzisz, że dławią mnie łzy, ale porzuć mnie, zapomnij, nie jestem ciebie warta.

Nastąpiły rozdzierające sceny, jedna straszniejsza od drugiej. Wojtkowska – jako że wszystko to działo się jeszcze w czasie pobytu Lary na Arbacie – Wojtkowska więc na widok zapłakanego Paszy pędziła z przedpokoju do swojej części mieszkania, rzuciła się na tapczan i skręcała ze śmiechu, powtarzając: „Oj, nie wytrzymam, oj, nie wytrzymam! To rzeczywiście najprawdziwszy... Cha-cha-cha! Bohater! Cha-cha-cha! Jeruslan Łazariewicz!”

Aby uwolnić Paszę od hańbiącego uczucia, wyrwać je z korzeniami i położyć kres mękom, Lara oświadczyła narzeczonemu, że kategorycznie z nim zrywa, gdyż go nie kocha, ale tak przy tym płakała, że niepodobna jej było uwierzyć. Pasza podejrzewał ją o wszystkie grzechy śmiertelne, nie wierzył ani jednemu jej słowu, chciał ją przekląć i znienawidzić, i kochał ją nieprzytomnie, i był zazdrosny nawet o jej myśli, o kubek, z którego piła, o poduszkę, na której leżała. Żeby nie oszaleć, trzeba było działać bardziej stanowczo i szybciej. Postanowili się pobrać bezzwłocznie, jeszcze przed zakończeniem egzaminów. Zamierzali wziąć ślub w drugim tygodniu wielkopostnym, ale na prośbę Lary wesele znów odłożono.

Ślub odbył się w drugi dzień Zielonych Świątek, kiedy wiadomo już było na pewno, że egzaminy przeszły obojgu pomyślnie. Organizowała wszystko Ludmiła Kapitonowna Czepurko, matka Tusi Czepurko, która wraz z Larą kończyła kursy. Ludmiła Kapitonowna była ładną kobietą o dużym biuście i niskim głosie, świetnie śpiewała i strasznie zmyślała. Na dodatek do znanych sobie przesądów i wierzeń bez namysłu improwizowała mnóstwo własnych.

W mieście panował okropny upał, gdy Larę „powieźli pod złoty wieniec”, jak cygańskim basem á la Panina nuciła pod nosem Ludmiła Kapitonowna, strojąc pannę młodą przed wyjściem z domu. Oślepiająco żółte były cerkiewne kopuły i świeży piaseczek w alejkach. Zakurzone gałęzie brzózek, nacięte poprzedniego dnia

z okazji Zielonych Świątek, smętnie zwisały z cerkiewnych ogrodzeń. Liście były pozwijane w trąbki i wyglądały jak osmalone. Trudno było oddychać, w oczach mieniło się od słonecznego blasku. I jak gdyby dokoła odbywały się tysiące ślubów, wszystkie dziewczęta były ufryzowane i ubrane w jasne suknie niczym panny młode, a wszyscy młodzieńcy z okazji święta wypomadowani i odziani w czarne dopasowane garnitury.

Łagodina, matka innej koleżanki Lary, rzuciła pannie młodej pod nogi garść srebrnego bilonu na poczet przyszłego bogactwa, a Ludmiła Kapitonowna w tymże celu poradziła jej, by, gdy stanie pod koroną, przeżegnała się nie gołą ręką, ale okrytą brzegiem tiulu czy koronki. Następnie poleciła, by Lara trzymała świecę wysoko, to wtedy będzie wodzić rej w domu. Lara jednak, poświęcając swą przyszłość dla dobra Paszy, opuszczała świecę, jak mogła najniżej, ale na próżno, gdyż mimo jej starań świeca Paszy wciąż znajdowała się jeszcze niżej.

Z cerkwi wrócono wprost na przyjęcie do pracowni malarskiej, odnowionej właśnie przez Antipowów. Goście krzyczeli „gorzko, gorzko”, a z drugiego końca stołu odpowiadano rykiem: „trzeba pośłodzić” – i młodzi całowali się z zażenowanym uśmiechem. Ludmiła Kapitonowna zaśpiewała weselną pieśń „Winorośl” z bisowanym refrenem „Daj wam, Boże, miłość i zgodę” i pieśń „Rozplatajcie się, kręte kosy, rozsypujcie się, złote włosy...”

Kiedy wszyscy się rozeszli i młodzi zostali sami, Pasza poczuł się nieswojo w ciszy, jaka nagle zapadła. Na podwórzu na wprost okien Lary paliła się na słupie latarnia i chociaż Lara zasłaniała okno najszczelniej, jak mogła, pasemko światła przenikało przez szparę w zasłonach. To jasne pasemko wciąż niepokoiło Paszę, jak gdyby ktoś ich podglądał. Z przerażeniem uświadamiał sobie, że bardziej jest przejęty latarnią niż sobą samym, Larą i swoją do niej miłością.

W ciągu tej nocy, długiej jak wieczność, niedawny student Antipow, „Stiepanida” i „Cud-dziewczyna”, jak przezywali go koledzy, zdołał się wznieść na szczyty rozkoszy i spaść na dno rozpaczy. Jego domysły i podejrzenia przeplatały się z wyznaniem Lary. Wypytywał ją i po każdej odpowiedzi zamierało mu serce, jak gdyby leciał w przepaść. Zraniona wyobraźnia nie nadążała za nowymi odkryciami.

Rozmawiali do rana. W całym życiu Antipowa nie było przemiany gwałtowniejszej i bardziej nieoczekiwanej niż tej nocy. Rano wstał jako zupełnie inny człowiek, dziwiąc się niemal, że nadal nosi to samo imię.

4

Dziesięć dni później przyjaciele urządzili im pożegnanie w tym samym pokoju. Pasza i Lara ukończyli studia, oboje z doskonałym wynikiem, oboje też otrzymali posady w tym samym mieście na Uralu, dokąd mieli odjechać następnego dnia rano.

Znowu wszyscy jedli, pili, hałasowali, ale tym razem była sama młodzież, bez starszych.

Za przepierzeniem, oddzielającym część mieszkalną od wielkiej pracowni, w której siedzieli goście, stały dwa kosze Lary z bagażem, mały i duży, walizka i

skrzynia z naczyniami. W kącie leżało kilka worków. Rzeczy było mnóstwo. Część miała odjechać następnego dnia wagonem bagażowym. Prawie wszystko było już spakowane, ale nie do końca. Skrzynia i kosze były otwarte, jeszcze nie wypełnione po brzegi. Lara od czasu do czasu coś sobie przypominała, przenosiła zapomniany przedmiot za przepierzenie, wkładała do kosza i wygładzała nierówności.

Pasza był już w domu z gośćmi, kiedy Lara, która odbierała w kancelarii kursów metrykę i dokumenty, wróciła w towarzystwie stróża z rogożą i wielkim pękiem mocnego grubego sznura do związywania bagażu. Odprawiła stróża, obeszła gości, jednym ściskając ręce, innych całując, po czym poszła za przepierzenie, aby się przebrać. Gdy wyszła, wszyscy zaczęli klaskać, krzyzczeć, biegać, i zrobił się harmider jak kilka dni wcześniej w czasie wesela.

Najbardziej przedsiębiorczy goście zaczęli nalewać wódkę sąsiadom, mnóstwo uzbrojonych w widelce rąk sięgnęło na środek stołu w stronę chleba i półmisków z zakąskami. Goście wygłaszali mowy, odkasływali po wypiciu wódki i dowcipkowali jeden przez drugiego. Niektórzy szybko się wstawili.

– Jestem śmiertelnie zmęczona – powiedziała Lara do siedzącego obok męża. – A ty zdążyłeś załatwić wszystko, co chciałeś?

– Tak.

– Ale mimo wszystko czuję się doskonale. Jestem szczęśliwa, a ty?

– Ja też. I jest mi dobrze. Ale to dłuższa rozmowa.

Na młodzieżowe przyjęcie w drodze wyjątku został dopuszczony Komarowski. Pod koniec wieczoru chciał powiedzieć, że będzie się czuł osierocony po odjeździe swych młodych przyjaciół, że Moskwa stanie się dlań pustynią, Saharą, ale tak się rozczulił, że chlipnął i musiał na nowo powtarzać przerwane zdanie. Prosił Antipowów, by mu pozwolili ze sobą korespondować i odwiedzać ich w Juratinie, jeżeli nie będzie mógł znieść rozłąki.

– To zupełnie zbędne – głośno i szorstko odezwała się Lara. – I w ogóle to wszystko nie ma sensu – korespondencja, Sahara i tak dalej. I niech się pan nie waży przyjeżdżać. Jakoś z Bożą pomocą poradzi pan sobie bez nas, nie jesteśmy wcale tacy niezwykli, prawda, Pasza? Na pewno znajdą się jacyś zastępcy pańskich młodych przyjaciół.

I już zupełnie nie pamiętając, z kim i o czym mówi, Lara coś sobie przypominała, wstała z pośpiechem i wyszła za przepierzenie do kuchni. Tam rozkręciła maszynkę do mięsa i zaczęła wtykać jej części w narożniki kufra z naczyniami, zabezpieczając je pęczkami siana. O mało przy tym nie wbiła sobie w rękę ostrej drzazgi, która oderwała się od skrzyni.

Zajęta tą pracą zapomniała, że ma gości, przestała ich słyszeć, kiedy nagle zebrani przypomnieli jej o sobie szczególnie głośnym wybuchem gwaru, i wtedy Lara pomyślała, jak usilnie pijani zawsze udają pijanych, z tym większą niezdarną ostentacją, im bardziej są nietrzeźwi.

W tym momencie uwagę jej zwrócił zupełnie inny, szczególny dźwięk, dobiegający z podwórza przez otwarte okno. Lara odsunęła firankę i wychyliła się na zewnątrz.

Po podwórzu w niezdarnych podskokach biegał spętany koń. Nie wiadomo do kogo należał i chyba przez pomyłkę zabłądził na to podwórze. Było już zupełnie jasno, ale jeszcze daleko do wschodu słońca. Śpiące i jak gdyby wymarłe miasto tonęło w liliowoszarym chłodzie wczesnej godziny. Lara zamknęła oczy. Ów z niczym nieporównywalny, dziwaczny stukot końskich kopyt przynosił ją w jakąś wiejską cudowną głuszę.

Zadzwoniono do drzwi. Lara nastawiła uszu. Ktoś od stołu poszedł otworzyć. Przyjechała Nadia! Lara rzuciła się ją witać. Nadia była prosto z pociągu, świeża, urocza i cała jak gdyby przesycona zapachem duplańskich konwalii. Przyjaciółki stały, nie mogąc przemówić ani słowa, obejmowały się z płaczem i o mało się nie zadusiły nawzajem.

Nadia przywiozła Larze gratulacje i rady od całego domu i klejnot w prezencie od rodziców. Wyjęła z sakwojaża owiniętą w papier szkatułkę, rozpakowała ją, podniosła wieczko i wręczyła Larze niezwyklej piękności naszyjnik.

Zaczęły się ochy i achy. Któryś z pijanych gości, już nieco wytrzeźwiony, powiedział:

– Różowy hiacynt. Tak, tak, różowy, a co myślicie! To kamień nie mniej cenny niż diament.

Nadia jednak upierała się, że to żółte szafiry.

Posadziwszy ją przy sobie za stołem, Lara położyła naszyjnik przy swoim nakryciu i nie mogła oderwać od niego oczu. Zebrane w garstkę na fioletowej poduszeczce futerału kamienie migotały, płonęły i wyglądały to jak krople wilgoci, to jak kiść drobnych winogron.

Tymczasem niektórzy spośród biesiadników zdążyli wytrzeźwieć. Znowu wychylili po kieliszku za zdrowie Nadii, którą szybko spojono.

Wkrótce dom wyglądał jak królestwo braci śpiących. Większość gości, w przewidywaniu jutrzejszego odprowadzania na dworzec, została na noc. Połowa już dawno chrapała, leżąc pokotem po kątach. Lara sama nie wiedziała, jak się znalazła w ubraniu na tapczanie obok śpiącej już Iry Łagodinej.

Obudziła ją głośna rozmowa tuż nad głową. Były to głosy obcych ludzi, którzy przyszli na podwórze w poszukiwaniu zaginionego konia. Lara otworzyła oczy i zdziwiła się: „Ależ ten Pasza jest nieumęczony, stoi jak słup pośrodku pokoju i bez końca czegoś szuka.” W tym momencie domniemany Pasza odwrócił się i Lara zobaczyła, że to wcale nie Pasza, ale jakiś dziobaty brzydał o twarzy przeciętej szramą biegnącą od skroni do podbródka. Wówczas zrozumiała, że to złodziej, rzezimieszek, i chciała krzyknąć, ale nie mogła wydobyć głosu. Nagle przypomniała sobie naszyjnik i uniósłszy się ukradkiem na łokciu, zerknęła na stół.

Naszyjnik leżał na miejscu wśród okruszyn chleba i nie dojezonych cukierków, niedomyślny złoczyńca nie spostrzegł go wśród stosów resztek jedzenia, tylko szperał w spakowanej przez Larę bieliznie. Pijanej półsennej Larze, która nie bardzo zdawała sobie sprawę z całej sytuacji, zrobiło się szczególnie żal własnej zmarnowanej roboty. Rozgniewana, znowu chciała krzyknąć i znowu nie była w stanie otworzyć ust i obrócić językiem. Wówczas z całej siły szturchnęła śpiącą obok

Irę Łagodina kolanem w dołek, i kiedy ta wrzasnęła dzikim głosem z bólu, jednocześnie krzyknęła i Lara. Złodziej upuścił toból z łupem i na łeb na szyję rzucił się do ucieczki. Kilku mężczyzn zerwało się na równe nogi i z trudem pojmując, o co chodzi, ruszyło w pogoń, ale złodziej wpadł jak kamień w wodę.

Zamieszanie i rozmowy na ten temat stały się sygnałem do wstawania. Lara wytrzeźwiała całkowicie. Nie słuchała błagań, nie pozwoliła jeszcze poleżeć i pospać, zerwała wszystkich na nogi, na chybcika napiła kawą i wygnała do domów, umawiając się na spotkanie na dworcu przed odjazdem.

Kiedy wszyscy wyszli, zawrzała praca. Lara z właściwą sobie energią biegła od tłumoka do tłumoka, upychała poduszki i zaciągała rzemienie, błagając Paszę i stróżkę, by jej nie pomagali, bo tylko przeszkadzają.

Wszystko zostało zrobione na czas i jak należy. Antipowowie nie spóźnili się. Pociąg ruszył płynnie, jak gdyby naśladować ruch kapeluszy, którymi powiewano na pożegnanie. Kiedy odprowadzający przestali machać i zawołali coś po trzykroć (zapewne „hura”), pociąg ruszył prędzej.

5

Już trzeci dzień utrzymywała się paskudna pogoda. Była to druga jesień wojny. Po sukcesach pierwszego roku zaczęły się porażki. Ósma armia Brusilowa, skoncentrowana w Karpatach, gotowa do zejścia z przełęczy i wtargnięcia na Węgry, zaczęła się cofać, popychana do tyłu przez powszechny odwrót. Wojska rosyjskie opuszczały Galicję, zajęta w pierwszych miesiącach działań wojennych.

Doktor Żywago, zwany dawniej Jurą, a teraz coraz częściej Jurijem Andriejewiczem, stał na korytarzu oddziału położniczego kliniki ginekologicznej, przed drzwiami sali, w której umieszczono właśnie jego żonę Antoninę Aleksandrownę. Pożegnał się z nią i czekał teraz na położną, by jej powiedzieć, jak ma go zawiadomić w razie potrzeby, i w jaki sposób on może się dowiadywać o zdrowie Toni.

Miał mało czasu, śpieszył się do szpitala, przedtem jednak musiał odbyć jeszcze dwie wizyty domowe u pacjentów, a tymczasem tracił na próżno cenne chwile, gapiąc się przez okno na zacinający deszcz, którego strugi szamotały się w porywach wiatru jak kłosa zboża podczas burzy.

Nie ściemniło się jeszcze zupełnie i Jurij Andriejewicz widział tylny dziedziniec kliniki, oszklone werandy willi na Dziewiczym Polu i tory tramwajowe, biegnące ku bocznemu wyjściu jednego ze szpitalnych pawilonów.

Deszcz padał beznadziejnie, nie nasilał się i nie słabł mimo uderzeń wiatru, których zaciekłość pobudzały jak gdyby monotennie lejące się z nieba strumienie wody. Porywy wiatru szarpały pędy dzikiej winorośli, oplatającej jedną z werand. Wiatr, jak gdyby chcąc wyrwać wino z korzeniami, unosił je w górę, potrzasał nim w powietrzu i z odrazą ciskał w dół niczym dziurawy łachman.

Tramwaj z dwiema przyczepami przejechał obok werandy i zatrzymał się przed kliniką. Z wagonów zaczęto wynosić rannych.

W moskiewskich szpitalach, zatłoczonych do ostatnich granic, zwłaszcza po operacji łuckiej, kładziono rannych na podestach schodów i na korytarzach. Przepelnienie to odczuwano już nawet na oddziałach kobiecych.

Jurij Andriejewicz odwrócił się plecami do okna i ziewał ze zmęczenia. O niczym nie myślał. Nagle przypomniał sobie, że na oddziale chirurgicznym szpitala Kriestowozdwiżeńskiego, w którym pracował, zmarła ostatnio kobieta. Jurij Andriejewicz podejrzewał u niej bąblowca w wątrobie. Nikt nie podzielał jego opinii. Dziś zrobią sekcję i ustalą przyczynę śmierci. Ale szpitalny prosektoz to zdeklarowany pijak. Licho wie, jak on to zrobi.

Ściemniło się szybko i nie sposób już było dostrzec cokolwiek za oknem. Niby za dotknięciem różdżki czarodziejkiej we wszystkich oknach zapłonęło światło elektryczne.

Z małego przedpokoiku, oddzielającego salę Toni od korytarza, wyszedł ordynator oddziału, przypominający mastodonta lekarz ginekolog, który na wszystkie pytania odpowiadał zawsze wzruszeniem ramion i wznoszeniem oczu ku górze. Gesty te w jego języku mimicznym oznaczały, że jakkolwiek wielkie są postępy wiedzy, są też, przyjacielu mój, Horacy, na niebie i ziemi zagadki, wobec których nauka jest bezsilna.

Przeszedł obok Jurija Andriejewicza, kłaniając mu się z uśmiechem i pulchnymi rękami o tłustych dłoniach wykonał kilka płynnych gestów, mających oznaczać, że trzeba czekać cierpliwie, po czym udał się korytarzem do poczekalni na papierosa.

Teraz wyszła do Jurija Andriejewicza asystentka milkliwego ginekologa, jego całkowite przeciwieństwo, jeśli chodzi o elokwencję.

– Na pańskim miejscu pojechałabym do domu. Jutro zadzwonię do pana do Kriestowozdwiżeńskiego. Wcześniej się chyba nie zacznie. Jestem pewna, że poród odbędzie się normalnie, bez interwencji operacyjnej. Z drugiej jednak strony pewne obawy budzi wąska miednica, potylicowe położenie płodu, brak bólów i mała częstotliwość skurczów. Zresztą za wcześnie jeszcze na przypuszczenia. Wszystko zależy od współdziałania rodzącej, gdy poród się już zacznie. Ale to się zobaczy później.

Nazajutrz, gdy Jurij Andriejewicz zadzwonił do kliniki, stróż szpitalny, który odebrał telefon, polecił mu nie odkładać słuchawki, poszedł zasięgnąć informacji i po dręczących dziesięciu minutach przedstawił w prostackiej formie następującą bezsensowną wiadomość: „Kazali powiedzieć, że niby, powiedz mu, że przywiózł żonę za wcześnie, niech zabiera z powrotem.” Rozwścieczony Jurij Andriejewicz zażądał rozmowy z kimś bardziej kompetentnym. „Objawy były przedwczesne – powiedziała mu siostra. – Niech się pan doktor nie martwi, trzeba będzie poczekać dzień, dwa.”

Na trzeci dzień Jurij Andriejewicz dowiedział się, że poród zaczął się w nocy, o świcie odeszły wody i od rana trwają bezustannie silne bóle.

Popędził na złamanie karku do kliniki. Już na korytarzu usłyszał przez przypadkowo uchylone drzwi rozdzierające krzyki Toni; tak krzyczą ranni z odciętymi kończynami, gdy się ich wywleka spod kół wagonu.

Nie wpuszczono go do niej. Przygryzając do krwi zgięty palec, podszedł do okna, za którym zacinął ten sam deszcz co wczoraj i przedwczoraj.

Z pokoju wyszła salowa. Dobiegał stamtąd pisk noworodka.

– Uratowana, uratowana – radośnie powtarzał w duchu Jurij Andriejewicz.

– Synek. Chłopczyk. Winszuję pomyślnego rozwiązania – śpiewnie odezwała się salowa. – Teraz nie wolno. Pokażemy dziecko w swoim czasie. Teraz trzeba dać żonie jakiś piękny upominek. Namęczyła się, biedna. Pierwsze dziecko. Z pierwszym zawsze najtrudniej.

– Uratowana, uratowana – cieszył się Jurij Andriejewicz, nie rozumiejąc ani tego, co mówiła salowa, ani tego, że zaliczała go do uczestników wydarzenia, bo przecież cóż on ma z tym wspólnego? Ojciec, syn – nie odczuwał dumy z powodu owego za darmo ofiarowanego ojcostwa, nie widział nic niezwykłego w tym, że syn spadł mu jak z nieba. Najważniejsza była Tonia, Tonia, która znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie i szczęśliwie go uniknęła.

Miał pacjenta w pobliżu kliniki. Wstąpił do niego i wrócił po półgodzinie. Drzwi z korytarza do sionki i z sionki do sali były znów uchylone. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Jurij Andriejewicz wśliznął się do sionki.

Jak spod ziemi wyrósł przed nim z rozpostartymi rękami mastodont-ginekolog w białym fartuchu.

– A pan dokąd? – zatrzymał go zduszonym szeptem, by nie dosłyszała położnica.

– Oszałał pan? Rany, krew, antyseptyka, nie mówiąc już o wstrząsie psychicznym. A pan co? I to lekarz!

– Ale czy mógłbym... Tylko jednym okiem. Stąd, przez szparkę.

– A, to co innego. Niech będzie. Ale ostrożnie!... Niech pan uważa. Jeżeli pana zobaczy, zamorduje, rozerwę na strzępy!

W pokoju tyłem do drzwi stały dwie kobiety w fartuchach, położna i salowa. Na rękach salowej wiła się piskliwa i delikatna ludzka istotka, kurcząc się i wyciągając jak kawałeczek ciemnoczerwonej gumy. Akuszerka nakładała podwiązkę na pępowinę, by oddzielić dziecko od łóżyska. Tonia leżała pośrodku pokoju na leżance chirurgicznej z ruchomym wezłowiem. Leżała dość wysoko i Jurijowi Andriejewiczowi, który z przejęcia widział wszystko w wyolbrzymionych rozmiarach, wydawało się, że leżanka jest tak wysoka jak sekretarzyk, przy którym pisze się na stojąco.

Uniesiona ku sufitowi wyżej niż inni śmiertelnicy, Tonia tonęła w oparach cierpienia, dymiała jak gdyby znużeniem. Wznosiła się pośrodku pokoju, jak wznosi się w zatoce świeżo przycumowana i rozładowana barka, która odbyła rejs przez morze śmierci ku lądowi życia z ładunkiem nowych istnień, przeniesionych tu nie wiadomo skąd. Dopiero co wysadziła na ląd jedno takie istnienie i teraz spoczywała na kotwicy, odpoczywając całą pustką swych opróżnionych burt. Wraz z nią odpoczywał jej nadłamany, spracowany takielunek i poszycie, jej wygasła pamięć o tym, gdzie niedawno była, co przeżyła i jak zawięła do portu.

I jako że nikt nie znał geografii kraju, pod którego flagą przycumowała, nie wiadomo było, w jakim języku do niej przemówić.

W pracy wszyscy na wyścigi mu gratulowali. Jakże oni się tak szybko dowiedzieli? – Dziwił się Jurij Andriejewicz.

Poszedł do pokoju ordynatora, który nazywano knajpą i śmietnikiem, gdyż w wyniku ciasnoty spowodowanej przepełnieniem szpitala, rozbierano się tutaj, wchodząc w kaloszach wprost z ulicy, zostawiano rozmaite rzeczy, przyniesione z innych pomieszczeń, rozrzucano niedopałki i papiery.

Przy oknie stał prosekator o obrzękłej twarzy i sponad okularów patrzył pod światło na próbkę jakiejś mętnej cieczy, którą trzymał we wzniesionych rękach.

– Gratuluję – powiedział, nie odrywając oczu od próbki i nie zaszczycając Żywagi nawet spojrzeniem.

– Dzięki. Jestem wzruszony.

– Nie ma za co dziękować. Ja nie mam z tym nic wspólnego. Sekcję robił Piczużkin. Ale wszyscy są wstrząśnięci. Bąblowiec. To dopiero diagnosta, mówią! I to wszystko.

W tym momencie do pokoju wszedł lekarz naczelny. Przywitał się z obydwoma panami i powiedział:

– Diabli wiedzą, co to jest – przechodnie podwórze, a nie gabinet, okropność! Tak, Żywago, niech pan sobie wyobrazi, to bąblowiec! Nie mieliśmy racji. Gratuluję. A teraz wiadomość niemiła. Znowu zrobiono przegląd pańskiej kategorii. Tym razem nie uda się pana wybronić. Jest straszny niedobór wojskowego personelu medycznego. Będzie pan musiał powąchać prochu.

6

Antipowowie nadspodziewanie dobrze urządzili się w Juratinie. Guichardowie pozostawili tu po sobie serdeczne wspomnienia, dzięki czemu lżejsze wydawały się Larze kłopoty związane z przeprowadzką na nowe miejsce.

Lara pograżyła się bez reszty w pracy i w kłopotach. Na jej barkach spoczywał dom i trzyletnia córeczka Katieńka. Pomoc rudej służącej Marfutki, choć ta starała się bardzo, była niewystarczająca. Larysa Fiodorowna interesowała się żywo wszystkimi sprawami Pawła Pawłowicza, prowadziła lekcje w gimnazjum żeńskim, pracowała bez wytchnienia i była szczęśliwa. Prowadziła właśnie takie życie, o jakim marzyła.

Podobało jej się w Juratinie. To było jej rodzinne miasto. Leżało nad dużą rzeką Ryńwą, żeglowną w swym środkowym i dolnym biegu, i znajdowało się na linii jednej z uralskich kolei żelaznych.

Rychle nadejście zimy odgadywano w Juratinie po tym, że właściciele łodzi zabierali je znad rzeki podwodami do miasta. Tutaj rozwozili je po swych podwórzach, gdzie łodzie zimowały aż do wiosny pod gołym niebem. Przewrócone do góry dnem, bielejące na ziemi, w głębi podwórek, oznaczały w Juratinie to samo, co gdzie indziej jesienny przelot żurawi czy pierwszy śnieg.

Taka właśnie łódź, pod którą Katieńka bawiła się jak pod wypukłym dachem ogrodowej altany, leżała do góry białym malowanym dnem na podwórzu domu, który wynajmowali Antipowowie.

Larysie Fiodorownie podobały się prowincjonalne obyczaje, północna wymowa miejscowych inteligentów, podkreślająca „o”, ich walonki i ciepłe kacabajki z szarej flaneli, ich naiwna ufność. Pociągała ją ziemia i prosty lud.

Natomiast Paweł Pawłowicz, syn robotnika kolejowego, okazał się, o dziwo, niepoprawnym mieszcuchem. Oceniał mieszkańców Juratina o wiele surowiej niż żona. Drażnił go ich brak obycia i ignorancja.

Okazało się teraz, że miał niezwykłą zdolność zachowywania wiadomości, zaczerpniętych z pobieżnej nawet lektury. Już wcześniej, częściowo przy pomocy Lary, przeczytał bardzo dużo, a w ciągu kilku lat spędzonych w prowincjonalnej głuszy jego odczytanie wzrosło do tego stopnia, że nawet Lara wydawała mu się teraz zbyt mało wykształcona. O głowę przerastał grono pedagogiczne swej szkoły i skarżył się, że wśród tych ludzi się dusi. W owych wojennych czasach popolyty patriotyzm kolegów, sztywny i jakby nieco skisły, zupełnie nie harmonizował z bardziej wyszukaną formą tego uczucia, jakie żywił Antipow.

Paweł Pawłowicz ukończył klasykę. Wykładał w gimnazjum łacinę i historię starożytną. Przebudziła się w nim jednak, jako w absolwencie szkoły realnej, przygłuszona dotychczas namiętność do matematyki, fizyki i nauk ścisłych. Dzięki samokształceniu opanował wszystkie te dyscypliny na poziomie uniwersyteckim. Marzył, że przy pierwszej sposobności zda z tych przedmiotów egzamin państwowy, zostanie wykładowcą jakiejś matematycznej specjalności i przeniesie się z rodziną do Petersburga. Intensywna nauka po nocach nadszarpięła mu zdrowie. Paweł Pawłowicz zaczął cierpieć na bezsenność.

Jego stosunki z żoną były dobre, ale zbyt skomplikowane. Lara przytłaczała go swą dobrocią i troskliwością, a on nie pozwalał sobie jej krytykować. Pilnował się, aby w jakiejś jego zupełnie niewinnej uwadze nie dopatrzyła się ukrytej aluzji co do ich nierównego pochodzenia społecznego lub wyrzutu, że Lara przed ślubem należała do innego. Obawa, by żona nie zaczęła go podejrzewać o jakieś niesprawiedliwe i krzywdzące myśli, wносиła do ich pożycia pewną sztuczność. Oboje prześcigali się we wzajemnej szlachetności i tym wszystko skomplikowali.

Przyszli goście – kilku nauczycieli, kolegów Pawła Pawłowicza, dyrektorka gimnazjum Lary, jeden z członków sądu polubownego, w którym Paweł Pawłowicz występował raz jako rozjemca, i inni. Z punktu widzenia Antipowa byli to sami skończeni idioci i idiotki. Nie mógł się nadziwić Larze, uprzejmej dla wszystkich, i nie wierzył, by ktoś tu mógł się jej naprawdę podobać.

Po wyjściu gości Lara długo wietrzyła mieszkanie, sprzątała pokoje, zmywała z Marfutką naczynia. Potem, sprawdzwszy, że Katieńka jest dobrze przykryta i Paweł śpi, szybko się rozebrała, zgasiła lampę i położyła się obok męża z naturalnością dziecka, które matka bierze do swego łóżka. Antipow jednak udawał tylko, że śpi – nie spał. Miał znów atak zwykłej, dokuczającej mu ostatnio bezsenności. Wiedział, że przemęczy się tak nie śpiąc jeszcze ze trzy, cztery godziny. Aby przywołać sen i uciec od pozostałego po gościach zapachu papierosów, wstał cichutko i w czapce i futrze narzuconym na bieliznę wyszedł na dwór.

Była jasna jesienna noc, mroźnik. Pod nogami Antipowa dźwięcznie pękały kruche tafelki lodu. Rozgwieżdżone niebo, niby płomień zapalonego spirytusu, oblewało błękitną ruchliwą poświatą czarną ziemię z grudkami zamrożonego błota.

Dom, w którym mieszkali Antipowowie, znajdował się w części miasta przeciwległej do przystani. Był to ostatni dom na ulicy. Za nim rozpościerało się pole, przecięte torami kolejowymi. W pobliżu na przejeździe stała budka dróżnika.

Antipow usiadł na przewróconej łódce i patrzył na gwiazdy. Z niepokojącą gwałtownością owładnęły nim myśli, do których w ostatnich latach już przywykł. Uznał, że wcześniej czy później trzeba je sformułować ostatecznie i że lepiej to zrobić teraz.

Tak dłużej trwać nie może – myślał. – Ale przecież to wszystko można było przewidzieć wcześniej, za późno się połapał. Dlaczego, gdy był jeszcze dzieckiem, pozwalała mu patrzeć w siebie jak w tęczę i robiła z nim, co chciała? Czemu nie miał dość rozsądku, by w porę z niej zrezygnować, kiedy ona sama go o to prosiła zimą, przed ślubem? On przecież rozumie, że ona kocha nie jego, lecz swój szlachetny obowiązek wobec niego, swoje ucieleśnione bohaterstwo. Co owa natchniona i chwalebna misja ma wspólnego z prawdziwym życiem rodzinnym? Najgorsze zaś jest to, że on do dziś dnia kocha ją równie mocno, jak dawniej. Jest oszałamiająco piękna. A może i z jego strony nie jest to miłość, lecz pełne wdzięczności zagubienie wobec jej urody i wielkoduszności? Do licha, jakże się z tym połapać? Tu sam diabeł połamie sobie zęby.

Co więc wobec tego robić? Uwolnić Larę i Katię od tej imitacji życia? To nawet ważniejsze niż uwolnić się samemu. Tak, ale jak? Rozwiesić się? Utopić? Tfu, to wstrętne – oburzył się. – Nigdy tego nie zrobię. Ale wobec tego po cóż rozważać te efektowne obrzydlistwa choćby tylko teoretycznie?

Spojrzał na gwiazdy, jak gdyby oczekując od nich rady. Migotały, gęste i rzadkie, duże i małe, błękitne i mieniące się tęczowo. Nagle ich migotanie zaćmiło się i podwórze z domem i łodzią, i siedzącym na niej Antipowem rozświetliło się ostrym rozchybotanym blaskiem, jak gdyby ktoś biegł od strony pola ku wrotom, wymachując płonąca pochodnią. Obok przejazdu, wyrzucając w niebo kłęby żółtego, przesyconego ogniem dymu, pędził na zachód pociąg wojskowy, jakich niezliczone mnóstwo przejeżdżało tu od zeszłego roku dniem i nocą.

Paweł Pawłowicz uśmiechnął się, wstał z łódki i poszedł spać. Znalazło się pożądane wyjście.

Larysa Fiodorowna osłupiała i początkowo nie wierzyła własnym uszom, kiedy Pasza powiedział jej o swej decyzji. To bzdura. Kolejny kaprys – pomyślała. – Nie trzeba zwracać uwagi, a sam o wszystkim zapomni.

Okazało się jednak, że przygotowania męża trwają od dwóch tygodni, papiery są w komendzie wojskowej, w gimnazjum znaleziono już zastępstwo, a z Omska

przyszło zawiadomienie o przyjęciu Antipowa na tamtejszą uczelnię wojskową. Nadeszła pora odjazdu.

Lara zawyła jak prosta baba, i chwytając męża za rękę, zaczęła się wic u jego nóg.

– Pasza, Paszeńka – krzyczała – czemu porzucasz mnie i Katieńkę? Nie rób tego, nie rób! Jeszcze nie jest za późno. Ja wszystko naprawię. Zresztą ty przecież nie byłeś nawet u lekarza. I to z twoim sercem! Wstyd ci? A poświęcać rodzinę dla jakiegoś szaleństwa ci nie wstyd? Na ochotnika! Całe życie śmiałeś się z głupiego Rodki i nagle mu pozazdrościłeś? Zachciało ci się szabelką pomachać, popisać się oficerskimi szlifami, Pasza, co się z tobą dzieje, ja cię nie poznaję! Zamienili cię czy szaleju się objadłeś! Powiedz mi, na miłość boską, powiedz uczciwie, bez frazesu, czy to jest potrzebne Rosji?

Nagle zrozumiała, że chodzi o coś zupełnie innego. Niezdolna pojąć szczegółów, uchwyciła główną myśl. Odgadła, że Pasza źle sobie tłumaczy jej stosunek do niego. Nie docenił macierzyńskich uczuć, które przez całe życie dodawała do swej czułości dla niego, i nie rozumie, że taka miłość jest czymś więcej niż zwykła miłość kobieca.

Zagryzła wargi, skuliła się w sobie jak uderzona i nic już nie mówiąc, w milczeniu łykając łzy, zaczęła przygotowywać męża do drogi.

Kiedy wyjechał, miała wrażenie, że w całym mieście zrobiło się cicho i nawet mniej wron lata po niebie. „Pani, pani” – bezskutecznie nawoływała Marfutka, „mamo, mamusiu” – bez końca szczebiotała Katieńka, ciągnąc ją za rękaw. Była to wielka życiowa klęska Lary. Runęły najpiękniejsze, najjaśniejsze nadzieje.

Z listów przychodzących z Syberii Lara wiedziała o mężu wszystko. Wkrótce Antipow przejrzał. Tęsknił bardzo za żoną i córką. Po kilku miesiącach promowano go przedterminowo jako podchorążego i równie nieoczekiwanie skierowano do armii czynnej. Pociąg specjalny omijał Juriatin i Paweł Pawłowicz nawet w Moskwie nie miał czasu z kimkolwiek się zobaczyć.

Zaczęły przychodzić listy z frontu, bardziej ożywione i nie takie smutne jak z omskiej uczelni. Antipow chciał się odznaczyć, żeby w nagrodę za jakąś zasługę wojenną albo z powodu niegroźnego zranienia dostać urlop i zobaczyć się z rodziną. Okazja taka wkrótce się nadarzyła. Po przerwaniu frontu, które później zaczęto nazywać operacją Brusilowa, armia przeszła do natarcia. Listy od Paszy przestały przychodzić. Początkowo nie zaniepokoiło to Lary. Milczenie męża tłumaczyła sobie operacjami wojennymi i niemożnością pisania w czasie marszów. Jesienią natarcie zatrzymało się. Wojska zaczęły się okopywać. O Antipowie jednak nadal nic nie było słyhać. Larysa Fiodorowna zaczęła się niepokoić i zasięgać informacji, najpierw na miejscu w Juriatinie, a potem listownie w Moskwie i na froncie, pisząc na dawny numer poczty polowej jednostki Paszy. Nigdzie nikt nic nie wiedział, znikąd nie było odpowiedzi.

Jak wiele pań zajmujących się w powiecie dobroczynnością Larysa Fiodorowna od samego początku wojny czynnie udzielała się w szpitalu wojskowym, zorganizowanym przy juriatińskiej lecznicy ziemskiej.

Teraz zajęła się poważnie podstawami medycyny i zdała w szpitalu egzamin na siostrę miłosierdzia.

Wzięła w gimnazjum półroczny urlop, zostawiła dom pod opieką Marfutki i z Katieńką na rękach pojechała do Moskwy. Tam umieściła córeczkę u Lipoczki, której mąż, poddany niemiecki Friesedank, wraz z innymi jeńcami wojennymi był internowany w Ufie.

Przekonawszy się o bezskuteczności poszukiwań na odległość, Larysa Fiodorowna postanowiła szukać na miejscu niedawnych wydarzeń. W tym celu zaangażowała się jako siostra miłosierdzia do pociągu sanitarnego, który jechał przez miasto Liski do Mezölaborcz nad granicą węgierską. Tak nazywała się miejscowość, z której Pasza napisał ostatni list.

8

Na front do sztabu dywizji przybył pociąg-łaźnia, wyposażony z dobrowolnych składek przez Tatjaniński Komitet Pomocy Rannym. W wagonie osobowym długiego pociągu, zestawionego z krótkich brzydkich ciepłuszek, przyjechali goście, działacze społeczni z Moskwy, z upominkami dla żołnierzy i oficerów. Znajdował się wśród nich Gordon. Dowiedział się, że lazaret dywizyjny, w którym pracował jego przyjaciel z lat dziecińczych, Żywago, mieścił się w pobliskiej wsi.

Gordon otrzymał przepustkę, niezbędną przy poruszaniu się w strefie frontu, i przygodną furmanką pojechał odwiedzić przyjaciela.

Woźnica, Białorusin czy Litwin, źle mówił po rosyjsku, a obawa przed szpiegami sprowadzała wszystkie jego wypowiedzi do jednego oficjalnego, z góry znanego wzorca. Ostentacyjna prawomyślność tematów nie usposabiała do rozmowy.

W sztabie, gdzie przenoszono z miejsca na miejsce całe armie i wszyscy przywykli do mierzenia odległości stuwiorstwowymi przemarszami, zapewniano Gordona, że wieś jest tuż obok, o jakieś dwadzieścia, dwadzieścia pięć wiorst. W rzeczywistości okazało się, że osiemdziesiąt.

Przez całą drogę w rozciągającej się na lewo od kierunku ich jazdy połaci horyzontu coś groźnie warczało i pohukiwało. Gordon nigdy w życiu nie był świadkiem trzęsienia ziemi, słusznie jednak uznał, że ponure i ledwie dosłyszalne z powodu oddalenia gderanie nieprzyjacielskiej artylerii najbardziej przypomina podziemne wstrząsy i dudnienie wulkanu. O zmierzchu dolna część nieba w którejś stronie zapłonęła migotliwym różowym ogniem, który nie przygasał aż do rana.

Furman wioził Gordona przez zrujnowane wsie. Część z nich mieszkańcy opuścili. W innych ludzie znaleźli przytulisko w głębokich piwnicach. Zburzone wsie były teraz usypiskami śmieci i gruzu, które ciągnęły się równymi liniami, jak stojące tu niegdyś domy. Owe spalone osady widoczne były na przestrzał niby pustkowia pozbawione roślinności. Gmerały w nich staruchy, każda na własnym pogorzeliśku, coś odkopywały z popiołów, gdzieś chowały, wyobrażając sobie, że są skryte przed ludzkim wzrokiem, jak gdyby wokół nich nadal wznosiły się ściany chat. Przeprowadzały Gordona spojrzeniem, które zdawało się pytać, kiedy świat się opamięta, kiedy powróci spokój i ład.

W nocy podróżni natknęli się na rozjazd. Kazano im zjechać z drogi gruntowej, zawrócić i objechać to miejsce polną ścieżką. Woźnica nie znał tej drogi i ze dwie godziny błądzili bez celu. Przed świtem dotarli wreszcie do osady, której nazwę podano im w sztabie. Tu nikt nic nie słyszał o lazarecie. Okazało się, że w okręgu są dwie wsie o tej samej nazwie, ta oraz wieś, której szukali. Rano dojechali na miejsce. Gordon, przejeżdżając opłotkami, wydzielającymi zapach rumianku lekarskiego i jodoformu, planował sobie, że nie zanocuje u Żywagi, lecz spędzi z nim dzień i wieczorem ruszy w drogę powrotną na stację do kolegów, których tam pozostawił. Tak się jednak złożyło, że pozostał we wsi ponad tydzień.

9

Front właśnie się ożywił. Zaszły tu gwałtowne zmiany. Na południe od miejscowości, do której przyjechał Gordon, jedna z formacji rosyjskich udanym atakiem swych oddziałów przełamała umocnione pozycje nieprzyjaciela. Rozwijając ofensywę, grupa nacierających coraz głębiej wdzierała się na teren wroga. Za nią posuwały się oddziały pomocnicze, które poszerzały wyłom. Stopniowo pozostając w tyle, oderwały się od głównej grupy, która w rezultacie dostała się do niewoli. W tych warunkach został jeńcem podchorąży Antipow, zmuszony w dodatku do poddania półkompanii.

Krażyły na ten temat sprzeczne pogłoski. Uważano, że poległ i został zasypany ziemią przy wybuchu. Tak twierdził jego znajomy, podporucznik tego samego pułku Galiullin, który jakoby widział to przez lornetkę z punktu obserwacyjnego, kiedy Antipow szedł ze swymi żołnierzami do ataku.

Galiullin miał przed sobą zwyczajny obraz atakującego oddziału. Oddział miał przebyć szybkim marszem, prawie biegiem, dzielące obie armie jesienne pole, porośnięte kołyszającym się na wietrze suchym piołunem i nierówno sterczącym ku górze kolczastym bodiakom. Swym zuchwalstwem i odwagą atakujący mieli wywabić do walki wręcz albo zasypać granatami i zniszczyć siedzących w przeciwległych okopach Austriaków. Biegnącym żołnierzom zdawało się, że pole nie ma końca. Ziemia kołysała się im pod nogami jak grząski bagienny grunt. Najpierw na czele, a potem razem z nimi biegł ich podchorąży, machając nad głową rewolwerem i krzycząc na całe gardło „hura”, czego nie słyszał ani on, ani pędzący obok żołnierze. W regularnych odstępach czasu biegnący padali na ziemię, jednocześnie zrywali się na nogi i z nowymi okrzykami gnali dalej. Za każdym razem wraz z nimi, ale zupełnie inaczej niż oni, padali jak dłudzy, jak wysokie ścięte drzewa ci, którzy zostali trafieni, i już nie wstawali.

– Ogień przenosi. Dzwońcie do baterii – powiedział zaniepokojony Galiullin do stojącego obok oficera artylerii. – Albo nie. Słusznie robią, że przenieśli ogień głębiej.

W tej chwili atakujący dotarli do nieprzyjaciela. Ogień przerwano. W nagłej ciszy ludziom stojącym na punkcie obserwacyjnym serca zaczęły się tłuc głośno i szybko, jak gdyby byli na miejscu Antipowa i tak jak on, podprowadziwszy ludzi na skraj austriackiej szczeliny, już w następnej chwili musieli się zdobyć na cud waleczności i

sprytu. W tym momencie jeden za drugim rozerwały się dwa niemieckie pociski szesnastocalowe. Czarne słupy ziemi i pyłu zasłoniły wszystko.

– Insz allach! Koniec! Po zabawie! – szeptał pobladłymi wargami Galiullin, przekonany, że podchorąży i żołnierze zginęli.

Trzeci pocisk upadł w pobliżu punktu obserwacyjnego. Wszyscy odbiegli jak najdalej, nisko pochyleni ku ziemi.

Galiullin sypiał w jednym schronie z Antipowem. Kiedy w pułku pogodzone się już z myślą, że Antipow poległ i nie wróci, Galiullinowi, który go dobrze znał, powierzono na przechowanie dobytek Antipowa, by w przyszłości przekazać go żonie, której fotografii było wśród rzeczy mnóstwo.

Niedawny podchorąży-ochotnik, mechanik Galiullin, syn stróża Himazetdina z kamienicy Tiwierzinów i w dalekiej przeszłości uczeń ślusarski, którego łoił majster Chudolejew, swe wywyższenie zawdzięczał dawnemu dręczycielowi.

Po otrzymaniu stopnia chorążego Galiullin nie wiadomo jak i wbrew własnej woli trafił na ciepłą i zaciszną posadkę w jednym z prowincjonalnych garnizonów na tyłach. Dowodził tam oddziałem półinwalidów, z którymi równie niedołążni instruktorzy-weterani ćwiczili rankami dawno zapomnianą musztrę. Poza tym Galiullin sprawdzał, czy jego podkomendni prawidłowo rozstawiają warty przy magazynach intendentury. Był to żywot beztroski – niczego więcej od niego nie wymagano. Aż tu nagle wraz z uzupełnieniem, złożonym z ochotników starych roczników, które przysyłano z Moskwy do dyspozycji Galiullina, przybył aż za dobrze mu znany Piotr Chudolejew.

– A, stary znajomy! – rzekł Galiullin uśmiechając się ponuro.

– Według rozkazu, wasza wielmożność – odparł Chudolejew, stanął na baczność i zasalutował.

Nie mogło się to skończyć zwyczajnie. Już przy pierwszym potknięciu na musztrze chorąży nawymyślał podkomendnemu, a kiedy wydało mu się, że żołnierz nie patrzy mu prosto w oczy, ale jakoś w bok, strzelił go w zęby i posłał na huptwachę, na dwie doby o chlebie i wodzie.

Teraz każde posunięcie Galiullina pachniało zemstą za dawne krzywdy. Ale wyrównywanie w ten sposób porachunków w warunkach ostrej dyscypliny wojskowej było sprawą z góry wygraną i nieszlachetną. Co więc robić? Dalsze pozostawanie we dwóch w tym samym miejscu było niemożliwe. Ale pod jakim pretekstem i dokąd mógł oficer przenieść żołnierza z powierzonego mu oddziału, poza odesłaniem do batalionu karnego? Z drugiej strony jak miał uzasadnić Galiullin prośbę o własne przeniesienie? Tłumacząc się nudą i poczuciem bezużyteczności w garnizonie, poprosił o skierowanie na front. Zyskał tym sobie dobrą markę, a kiedy w najbliższej akcji ujawnił też inne swe zalety, okazało się, że jest doskonałym oficerem i szybko awansował na podporucznika.

Galiullin znał Antipowa z dawnych lat. W dziewięćset piątym, kiedy Pasza Antipow pół roku mieszkał u Tiwierzinów, Jusupka odwiedzał go w święta i bawił się z nim. Wtedy też raz czy dwa widział Larę. Od tej pory nic o nich nie słyszał. Kiedy Paweł Pawłowicz przybył do pułku, Galiullin był wstrząśnięty zmianą, jaka

zaszła w starym przyjacielu. Z nieśmiałego, podobnego do dziewczynki schludnego śmieszka i kawalarza wyrósł nerwowy, wszystko wiedzący, wzdurliwy mizantrop. Był mądry, bardzo odważny, małomówny i ironiczny. Czasem, patrząc na niego, Galiullin gotów był przysiąc, że w ciężkim spojrzeniu Antipowa, jak w głębi okna, widzi kogoś innego, widzi nurtującą go wiecznie myśl albo tęsknotę za córką, albo twarz jego żony. Antipow wydawał się zaczarowany, jak w bajce. A oto zabrakło go, a w rękach Galiullina pozostały papiery i fotografie Antipowa i tajemnica jego przeobrażenia.

Wcześniej czy później musiały do Galiullina dotrzeć listy Lary. Postanowił jej odpowiedzieć. Ale czas był gorący i nie czuł się na siłach odpisać porządnie. A chciał ją przygotować na ten cios. I tak długo odkładał napisanie obszernego listu, aż się dowiedział, że ona sama jest gdzieś na froncie jako sanitariuszka. Teraz już nie wiedział, dokąd napisać.

10

– No, jak tam? Będą dziś konie? – pytał Gordon doktora Żywagę, gdy ten przychodził na obiad do galicyjskiej chaty, w której kwaterowali.

– Jakie znów konie? I dokąd chcesz jechać, skoro nie można się stąd ruszyć? Wszędzie straszny zamęt. Nikt nic nie rozumie. Na południu obeszlśmy czy przedarliśmy się przez Niemców w paru miejscach, przy czym podobno kilka naszych rozproszonych oddziałów dostało się w okrążenie, a na północy Niemcy przeszli Świętę, którą w tym miejscu uważano za nieprzebytą. To kawaleria, prawie cały korpus. Niszczą koleje, burzą składy i wydaje mi się, że nas okrążają. Widzisz, jaka jest sytuacja. A ty mi tu o koniach. No, szybciej, Karpieńko, nakrywaj i zwijaj się. Cóż to dziś mamy? A, nóżki cielejące! Wspaniale.

Oddział sanitarny z lazaretem i wszystkimi pomocniczymi służbami był rozmieszczony w cudem ocalałej wsi. Zachowały się tu wszystkie bez wyjątku domy, zbudowane na zachodnią modłę, z szerokimi na całą ścianę, wieloskrzydłowymi oknami.

Było babie lato, ostatnie upalne dni pogodnej złotej jesieni. W ciągu dnia lekarze i oficerowie otwierali okna, tłukli muchy, pełzające czarnymi rojami po parapetach i niskich białych sufitach, rozpinali frencze i fartuchy, oblewali się potem, parząc usta gorącym kapuśniakiem czy herbatą, a w nocy kucali pod drzwiczkami pieców, rozdmuchiwali wygasający pod wilgotnymi drzwami żar i z zażawionymi od dymu oczami klęli ordynansów, którzy nie potrafili po ludzku rozpalić w piecu.

Była spokojna noc. Gordon i Żywago leżeli naprzeciw siebie na ławach pod ścianami. Między ławami stał stół i od ściany do ściany ciągnęło się szerokie, niskie okno. W izbie było mocno napalone i nadymione. Otworzyli dwa boczne lufciki i wdychali nocny jesienny chłód, od którego potniały szyby.

Swoim zwyczajem rozmawiali, jak przez wszystkie te dni i noce. Jak zawsze, różowawo płomieniał horyzont w stronie frontu, i kiedy w równy, nieustający ani na chwilę warkot strzelaniny wdzierały się niższe, wyraźne, ciężkie wybuchy, które

zdawały się przesuwac ziemie gdzieś w bok, Żywago przerywał rozmowę jakby z szacunku dla tego dźwięku i po pauzie mówił: – To Berta, niemiecka szesnastocalówka, waży sześćdziesiąt pudów. – A potem wznawiał pogawędkę nie pamiętając, o czym mówili poprzednio.

– Co tu tak śmierdzi w tej wsi przez cały czas? – pytał Gordon. – Poczulem to już pierwszego dnia. Jakiś taki słodkawo-mdłący i wstrętny fetor, jakby myszy.

– Wiem, o co ci chodzi. To konopie. Tu się uprawia konopie. Już same konopie mają taki dokuczliwy i mdłący zapach padliny, a poza tym, w rejonie działań wojennych, kiedy zabici upadną w konopie, trudno ich znaleźć i zwłoki się rozkładają. To naturalne, że rozchodzi się tu trupi odór. Znowu Berta. Słyszysz?

W ciągu tych kilku dni rozmawiali o wszystkim. Gordon znał myśli przyjaciela o wojnie i o duchu czasów, Jurij Andriejewicz opowiedział mu, z jakim trudem przyzwyczajal się do krwawej logiki wzajemnej eksterminacji, do widoku rannych, zwłaszcza do potworności ran zadanych nowoczesnymi środkami bojowymi, do okaleczonych ludzi, zamienionych w bezkształtne bryły mięsa.

Codziennie Gordon towarzysząc Żywadze trafiał gdzie indziej i dzięki niemu coś widział. Uświadamiał sobie oczywiście całą nieetyczność bezczynnego obserwowania cudzego męstwa i tego, jak inni niehumanitarnym wysiłkiem woli pokonują strach przed śmiercią, jak się poświęcają i ryzykują. Ale bezproduktywne ubolewanie nad tym wydawało mu się również niemoralne. Uważał, że należy się zachowywać odpowiednio do sytuacji, w jakiej stawia człowieka życie, uczucie i naturalnie,

Że na widok rannych można zemdleć, przekonał się na własnej skórze w czasie wizyty w lotnym oddziale Czerwonego Krzyża, który działał na zachód od wsi, w punkcie opatrunkowym prawie na samej linii frontu.

Przyjechali na skraj dużego lasu, do połowy ścietego przez ogień artyleryjski. W połamanych i zdeptanych zaroślach poniewierały się do góry nogami rozbite i pogieęte przodki dział. Do drzewa przywiązany był koń wierzchowy. Dach widocznego w głębi drewnianego budynku nadleśnictwa był do połowy zerwany. Punkt opatrunkowy mieścił się w biurze nadleśnictwa i w dwóch dużych szarych namiotach, rozbitych po drugiej stronie drogi, w lesie.

– Niepotrzebnie cię tutaj zabrałem – powiedział Żywago. – Okopy są tuż obok, o półtorej czy dwie wiorsty, a nasze baterie, o, tam, za tym lasem. Słyszysz, co się wyrabia? Nie udawaj bohatera, proszę, bo nie uwierzę. Dusza uciekła ci w pięty i to jest normalne. Sytuacja może się zmienić w każdej chwili. Zaczną tu dołatywać pociski.

Na ziemi przy drodze, rozrzuciwszy nogi w ciężkich buciorach, leżeli na brzuchach i na wznak zakurzeni i zmęczeni młodzi żołnierze w przepoconych na piersiach i łopatkach bluzach – resztki mocno przetrzebionego oddziału. Wycofano ich z trwającego czwartą dobę boju i skierowano na tyły na krótki odpoczynek. Żołnierze leżeli jak kamienie, nie mieli sił uśmiechać się czy kłąć, i żaden nie odwrócił głowy, kiedy w głębi lasu na drodze zaturkotało kilka szybko nadjeżdżających wozów. Wieziono rannych – kłusem, na nie resorowanych

taczankach, które podskakując łamały nieszczęśnikom ocalałe kości i wywracały trzewia. Na punkcie opatrunkowym udzielano rannym pierwszej pomocy, pośpiesznie ich opatrywano, w wyjątkowych wypadkach zaś operowano na chybcika. Całe to przerażające mnóstwo rannych pół godziny wcześniej, kiedy ogień ucichł na krótką chwilę, wyniesiono z pola pod okopami. W większości byli nieprzytomni.

Kiedy podwieszono ich przed drzwi biura, ze schodów zeszli sanitariusze z noszami i zaczęli rozładowywać taczanki. Z namiotu wyrzała siostra miłosierdzia, przytrzymując ręką odchylony brezent. Nie była to jej zmiana. Miała teraz czas wolny. W lesie za namiotami kłócili się dwaj mężczyźni. Po świeżym wysokim lesie niosły się dźwięczne głosy ich sprzeczki, ale słów nie można było rozróżnić. Kiedy przywieziono rannych, mężczyźni weszli na drogę i skierowali się do biura. Czupurny oficer krzychał na sekretarza oddziału lotnego, starając się wydobyć z niego informację, dokąd się przeniósł stacjonujący tu w lesie park artyleryjski. Lekarz nic nie wiedział, nie była to jego sprawa. Prosił oficera, by dał mu spokój i przestał krzyczeć, bo przywieziono rannych i on jest zajęty, a oficer nie chciał się uspokoić i mieszał z błotem Czerwony Krzyż, dowództwo artylerii i cały świat.

Do lekarza podszedł Żywago. Przywitali się i weszli do nadleśnictwa. Oficer, nie przestając głośno wymyślać z lekkim tatarskim akcentem, odwiązał konia od drzewa, wskoczył na siodło i pogalopował drogą w głąb lasu. Siostra wciąż patrzyła i patrzyła.

Nagle twarz jej ściągnęła się w grymasie przerażenia.

– Co robicie? Zwariowaliście! – krzyknęła do dwóch lekko rannych, którzy szli o własnych siłach, przeciskając się pomiędzy noszami na opatrunek. Wybiegła z namiotu i popędziła do nich na drogę.

Na noszach niesiono nieszczęśnika, okaleczonego szczególnie potwornie. Odłamek pocisku, który rozciął mu twarz i zamienił w krwawą kaszę język i zęby, ale go nie zabił, utkwiał pomiędzy kośćmi szczęki, w miejscu wyrwanego policzka. Jakimś nieludzko cienkim głosikiem ranny wydawał krótkie urywane jęki, które każdy winien był zrozumieć jako błaganie, by co prędzej skrócono jego nieznośne męczarnie. Siostrze miłosierdzia wydawało się, że pod wrażeniem tych jęków idący obok lekko ranni zamierzają gołymi rękami wyciągnąć mu z policzka tę straszną żelazną drzazgę.

– Co robicie, nie wolno! To zrobi chirurg, ostrymi narzędziami. Jeżeli jeszcze będzie trzeba! (Boże, Boże, zachowaj go, nie dopuść, abym zwątpiła w Twoje istnienie!)

W następnej chwili, przy wnoszeniu na schodki, ranny krzyknął, zadygotał całym ciałem i skonał.

Owym zmarłym właśnie nieszczęśnikiem był szeregowiec rezerwy Himazetdin, oficerem, który kłócił się w lesie – jego syn, podporucznik Galiullin, siostrą miłosierdzia Lara, Gordon i Żywago byli świadkami; wszyscy znaleźli się tu obok siebie i jedni nie poznali się wzajemnie, inni nie znali się nigdy; pewne sprawy

pozostały na zawsze niewyjaśnione, inne zaś miały czekać na swe ujawnienie do następnego razu, do nowego spotkania.

11

Jakimś cudem w tej strefie frontu wsie nie zostały zniszczone i stanowiły ocalałą w niewytłumaczalny sposób wysepkę wśród morza ruin. Gordon i Żywago wracali wieczorem do domu. Słońce zachodziło. W jednej z mijanych wsi młody kozak przy wtórze zgodnego śmiechu gapiów podrzucał do góry miedzianą pięciokopiejówkę i zmuszał starego siwobrodego Żyda w długim chałacie, by ją chwycił. Starzec bezustannie upuszczał monetę. Piąтак przelatywał obok jego żałośnie rozcapierzonych rąk i spadał w błoto. Starzec pochylał się poń, kozak dawał mu klapsa w siedzenie, a gapie boki zrywali ze śmiechu. Na tym właśnie polegała cała zabawa. Na razie była nieszkodliwa, ale nikt nie mógł zaręczyć, że nie przybierze obrotu poważniejszego. Żona starego wybiegała z pobliskiej chaty na drogę, z krzykiem wyciągała ku niemu ręce i za każdym razem lękliwie się chowała. Przez okno patrzyły z płaczem na dziadka dwie dziewczynki.

Woźnica, któremu wszystko to wydawało się niezwykle śmieszne, prowadził konie stępa, by panowie mogli się dłużej zabawić. Żywago jednak przywołał kozaka, zwymyślał go i kazał przerwać to naigrawanie się.

– Wedle rozkazu, wasza wielmożność – z gotowością odrzekł kozak. – Ja do niego nic nie mam, to tylko tak dla śmiechu.

Przez resztę drogi Gordon i Żywago milczeli.

– To straszne – odezwał się Jurij Andriejewicz, gdy już dojeżdżali na miejsce. – Nie wyobrażasz sobie, ilu cierpień doznała ludność żydowska podczas tej wojny, prowadzonej akurat na terenach, na których przymusowo osiedlono Żydów. I za doznane cierpienia, nędzę i ruinę płacimy tym ludziom jeszcze pogromami, szyderstwem i oskarżeniami o brak patriotyzmu. A skąd ma się wziąć ten patriotyzm, skoro u nieprzyjaciela korzystają ze wszystkich praw, a u nas się ich prześladowuje? Pełna sprzeczności jest już sama nienawiść do nich, jej podstawy. Drażni nas właśnie to, co powinno wzruszać i budzić sympatię. Ich bieda, ich stłoczenie w jednym miejscu, ich słabość i bezbronność. Niepojęte. Jest w tym jakieś fatum.

Gordon nic nie odpowiedział.

12

I znów leżeli po obu stronach szerokiego niskiego okna, była noc, a oni rozmawiali.

Żywago opowiadał Gordonowi, jak widział na froncie cesarza. Opowiadał ze swadą.

Było to pierwszej wiosny, jaką spędzał na froncie. Sztab jednostki, do której go przydzielono, kwaterował w Karpatach, w kotlinie, której wejścia od strony Niziny Węgierskiej strzegła ta właśnie jednostka.

Na dnie kotliny była stacja kolejowa. Żywago opisywał Gordonowi okolicę, góry, porośnięte potężnymi świerkami i sosnami, z białymi strzępami obłoków na szczytach i skalnymi stromiznami szarego łupku i grafitu, które świeciły wśród lasu jak łysiny wydarte z gęstej sierści. Zaświtał szary, szary jak ów łupek, ciemny kwietniowy ranek, ze wszystkich stron ściśnięty wysokimi górami, nieruchomy i duszny. Było parno. Para wisiała nad kotliną i wszystko dymiło, wszystko w strugach pary pięło się ku górze – dym lokomotywy na stacji, szara mgła znad łąk, szare góry, ciemne lasy, ciemne chmury.

W tym czasie cesarz objeżdżał Galicję. Nagle przyszła wiadomość, że odwiedzi kwaterującą tu jednostkę, która mu podlegała.

Mógł przybyć w każdej chwili. Na peronie wystawiono wartę honorową, która miała go powitać. Godzina czy dwie upłynęły w dręczącym oczekiwaniu. Potem szybko, jeden za drugim, przejechały dwa pociągi ze świtą, a wkrótce po nich nadszedł pociąg cesarski.

W asyście wielkiego księcia Mikołaja Nikołajewicza cesarz przeszedł przed frontem wyprężonych grenadierów. Każde słowo jego cichego powitania wywoływało przeciągłe, grzmiące okrzyki „hura”, które wypluskiwały jak woda z rozkołysanego wiadra.

Uśmiechający się z zażenowaniem cesarz robił wrażenie starszego i bardziej zgnuśnialego niż na monetach i medalach. Twarz miał zwiotczałą, nieco obrzękłą. Co chwila z poczuciem winy zerkał na Mikołaja Nikołajewicza, nie wiedząc, czego się odeń oczekuje w tej sytuacji, i wielki książę, pochylając się ku niemu z szacunkiem, nawet nie słowem, ale drgnięciem brwi czy ramienia ratował go z kłopotu.

Car budził litość w ów szary ciepły górski poranek i zgrozę budziła myśl, że taką lękliwą powściągliwość i nieśmiałość może uosabiać ciemieżca, że słabość skazuje i ułaskawia, dzieli i rządzi.

– Powinien był wygłosić coś w rodzaju: Ja, mój miecz i mój naród, jak Wilhelm, coś w tym duchu. Ale koniecznie o narodzie. Wyobraź sobie jednak, że był absolutnie, rosyjskonaturalny tragicznie wyższy ponad te komunały. W Rosji przecież teatralność jest nie do pomyślenia. Bo to wszystko teatr, czyż nie? Rozumiem, czym był naród za Cezara – Gallowie, Swewowie czy Ilirowie. Ale teraz to tylko fikcja, istniejąca po to, by wygłaszali o niej mowy carowie, politycy, królowie: naród, mój naród.

Teraz na froncie roi się od korespondentów i dziennikarzy. Notują „obserwacje”, perły mądrości ludowej, rozmowy z rannymi, tworzą nową teorię duszy narodu. To swego rodzaju nowy słownik Dala, równie abstrakcyjny, lingwistyczna grafomania literackiego słowotoku. To jeden typ. A jest jeszcze inny. Poszarpana narracja, „szkice i scenki”, sceptycyzm, mizantropia. Weźmy na przykład (sam czytałem) takie oto sentencje: „Dzień szary jak wczoraj. Od rana deszcz, słońce. Patrę przez okno na drogę, po której długim szeregiem wloką się jeńcy. Wiozą rannych. Strzela działo.

Znów strzela, dziś tak jak wczoraj, jutro tak jak dziś, i tak co dzień i co godzinę.” Pomyśl tylko, jakie to przenikliwe i dowcipne! Tylko dlaczego on ma pretensje do działa? Cóż to za kaprys – wymagać od armaty różnorodności? Czemu zamiast dziwić się armacie, nie zdziwi się samemu sobie, że dzień w dzień strzela wyliczeniami, przecinkami i frazesami, czemu nie przerwie tej kanonady humanitaryzmu, szybkiej jak skoki pcheł? Czyż nie rozumie, że to on, a nie armata, powinien być wciąż nowy, nie powtarzać się, że gromadzenie w notesie wielkiej ilości bzdur nigdy nie zaowocuje czymś sensownym, że fakty nie istnieją, dopóki człowiek nie wniesie w nie czegoś własnego, jakiejś części rozigranego ludzkiego geniuszu, fantazji.

– Masz absolutną rację – przerwał mu Gordon. – Teraz powiem ci coś na temat sceny, jaką dziś widzieliśmy. Ten kozak, który się znęcał nad nieszczęsnym patriarchą, to, jak w tysiącach takich wypadków, jedynie przykład zwykłej podłości, o której się nie filozofuje, tylko bije w mordę i koniec. Ale do problemu Żydów w ogóle filozofię da się zastosować, a wówczas ukazuje ona całkiem nieoczekiwane oblicze zagadnienia. Nie mówię jednak ci nic nowego. Wszystko, co o tym myślę, a i ty także, pochodzi od twego wuja.

Czymże jest naród? – pytasz. Czy trzeba się z nim cackać i czy nie robi dla niego więcej ten, kto nie myśląc o nim, samym pięknem i wielkością swych czynów pociąga go za sobą ku sławie i nieśmiertelności? Oczywiście, oczywiście. Zresztą, o jakich narodach może być mowa w czasach chrześcijańskich? Przecież to nie są narody jako takie, ale przeobrażone, przetworzone, i cała rzecz polega właśnie na tym przeobrażeniu, a nie na wierności starym zasadom. Weźmy Ewangelię. Co się tam mówi na ten temat? Po pierwsze, Ewangelia nie była stwierdzeniem, że tak i tak. Była propozycją, naiwną i nieśmiałą. Pytała: Czy chcecie istnieć po nowemu, jak nikt dotąd, czy pragniecie szczęśliwości ducha? I wszyscy przyjęli tę propozycję, i tak trwa od tysiącleci. Czy Ewangelia, mówiąc, że w Królestwie Bożym nie ma Hellenów i Judejczyków, chciała powiedzieć jedynie to, że wobec Boga wszyscy są równi? Nie, w tym celu nie była potrzebna, to wiedzieli wcześniej greccy filozofowie, rzymscy moralisci, prorocy Starego Testamentu. Ewangelia mówiła jednak: w owym zrodzonym z serca nowym sposobie istnienia i nowym rodzaju obcowania, które nazywa się Królestwem Bożym, nie ma narodów, są jednostki.

Mówiłeś, że fakty nie istnieją, jeśli nie wniesie się w nie sensu. Chrześcijaństwo, misterium jednostki, jest właśnie tym, co należy wniesić w fakty, by stały się one dla człowieka znaczące.

Mówiliśmy też o działaczach przeciętnych, którzy nic nie potrafią powiedzieć światu, o siłach drugorzędnych, którym zależy na zawężaniu sprawy, na tym, by ciągle mówiło się o jakimś narodzie, najlepiej małym, by naród ten cierpiał, by można było o tym rajcować i ciągnąć zyski ze współczucia. Główną i całkowitą ofiarą tych żywiołów są Żydzi. Nacjonalizm narzucił im zgubną konieczność bycia i pozostawiania narodem i tylko narodem poprzez wieki, podczas gdy siła zrodzona niegdyś z tego narodu uwolniła cały świat od owego poniżającego obowiązku. To przecież nie do wiary! Jak to się mogło stać? Ten cud, to wybawienie od fatum

przejętości, ten wzlot ponad głupotę powszedniości – wszystko to zrodziło się na ich ziemi, mówiło ich językiem i należało do ich plemienia. I oni to wszystko widzieli, słyszeli i przeoczyli? Jak mogli pozwolić, by uszła z nich dusza tak wszechogarniającego piękna i siły, jak mogli nie pomyśleć, że z chwilą, gdy ona zapanuje i zatriumfuje, oni pozostaną pustą powłoką tego cudu, który im niegdyś ofiarowano? W czyim interesie leży owo dobrowolne męczeństwo, komu zależy na tym, by całymi stuleciami cierpiało szyderstwa i spływało krwią tylu niewinnych starców, kobiet i dzieci, tak subtelnych, dobrych i serdecznych? Czemu pisarze wszystkich narodowości miłujący narody są tak pozbawieni talentu? Czemu przywódcy duchowi tego narodu nie wyszli poza łatwiznę, ubolewań nad niedoskonałością świata i ironizujących sentencji? Czemu, ryzykując, że rozsądzi ich ciśnienie tej misji, jak nagromadzona para rozrywa kocioł, nie rozwiązali owego oddziały, nie wiadomo o co walczącego i nie wiadomo za co prześladowanego? Czemu nie powiedzieli: „Opamiętajcie się. Dosyć. Więcej nie trzeba. Zmieńcie swą naturę. Nie zbijajcie się w gromadę, rozproście się. Bądźcie razem z innymi. To wy jesteście pierwszymi i najlepszymi chrześcijanami świata. Jesteście właśnie tym, czemu przeciwstawiali was najgorsi i najsłabsi z waszych szeregów.”

13

Następnego dnia Żywago po przyjściu na obiad powiedział:

– Tak się rwałeś do wyjazdu, no i dograłeś się. Nie mogę powiedzieć, że „na twoje szczęście”, bo co to za szczęście, skoro znów nas wypierają albo tłuką. Droga na wschód jest wolna, a z zachodu naciskają. Przyszedł rozkaz, że wszystkie oddziały sanitarne mają się zwijać. Odjeżdżamy jutro albo pojutrze. Dokąd – nie wiadomo. No co, Karpienko, bielizna Michała Grigorjewicza oczywiście nie wyprana? Wiecznie to samo. Kuma, kuma miała uprać, a jak cię zapytać, która to kuma, sam nie wiesz, bałwanie.

Nie słuchał, co tam jąka na swe usprawiedliwienie ordynans, i nie zwracał uwagi na Gordona, zmartwionego, że zużył bieliznę przyjaciela i wyjeżdża w jego koszuli.

– Cygańskie życie prowadzimy – ciągnął Jurij Andriejewicz – koczownicze. Kiedyśmy tu przyjechali, nic mi się nie podobało – piec w złym miejscu, sufit za niski, brud, zaduch. A teraz, choćbyś mnie zabił, nie mogę sobie przypomnieć, gdzie stacjonowaliśmy przedtem. I wydaje mi się, że mógłbym tu spędzić całe życie, patrząc na ten piec z kaflami lśnącymi w słońcu i z przesuwającym się po nim cieniem przydrożnego drzewa.

Zaczęli się bez pośpiechu pakować.

W nocy zbudził ich hałas i krzyki, strzały i bieganina. Wieś była złowieszczo oświetlona luną. Za oknem przenikały cienie. Za ścianą zaczęli się poruszać zbudzeni gospodarze.

– Leć na dwór, Karpienko, i zapytaj, co się dzieje – polecił Żywago.

Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Doktor ubrał się pośpiesznie i poszedł do lazaretu, by sprawdzić pogłoski. Okazały się prawdziwe. Niemcy przełamali obronę

na tym odcinku. Linia obrony przesunęła się w stronę wsi i wciąż się zbliżała. Wieś znalazła się pod ostrzałem. Pośpiesznie wywożono lazaret i służby pomocnicze, nie czekając na rozkaz o ewakuacji. Całą akcję zamierzano zakończyć przed świtem.

– Pojedziesz pierwszym eszelonem, linijka zaraz rusza, powiedziałem, żeby na ciebie zaczekali. No, żegnaj. Odprowadzę cię i zobaczę, jak cię ulokują.

Pobiegli na drugi koniec wsi, gdzie formowano oddział. Przebiegając obok domów, pochylali się i chowali za ich występami. Na ulicy świstały kule. W miejscach, gdzie przecinały ją wiodące w pole boczne drogi, widać było ogniste parasole buchających szrapneli.

– A ty? – zapytał w biegu Gordon.

– Ja później. Muszę jeszcze wrócić do domu po rzeczy. Pojadę z drugą partią.

Pożegnali się przy opłotkach. Kilka furmanek i linijka, z których składał się tabor, ruszyło, najeżdżając na siebie i pomału wyrównując kolumnę. Jurij Andriejewicz pomachał przyjacielowi ręką, oświetlał ich płomień palącej się stodoły.

Jurij Andriejewicz, starając się iść jak poprzednio wzdłuż chat, pod ich osłoną, szybko ruszył z powrotem. O dwa domy od kwatery zbiła go z nóg fala wybuchu i ranił odłamek szrapnela. Zalany krwią doktor upadł na drogę i stracił przytomność.

14

Szpital ewakuacyjny mieścił się w małym miasteczku na zachodzie kraju przy stacji kolejowej, nie opodal sztabu. Był koniec lutego, ciepło. W oficerskiej sali dla ozdrowieńców na prośbę Jurija Andriejewicza, który odbywał tu rekonwalescencję, otwarto okno przy jego łóżku.

Zbliżała się pora obiadowa. Chorzy, jak mogli, skracali sobie czas oczekiwania, Powiedziano im, że do szpitala przybyła nowa siostra i dziś pierwszy raz będzie na obchodzie. Galiullin, leżący naprzeciw Jurija Andriejewicza, przeglądał otrzymane właśnie pisma „Riecz” i „Russkoje Słowo” i irytował się z powodu pustych miejsc, pozostawionych przez cenzurę. Żywago czytał listy od Toni, które poczta polowa dostarczyła mu wszystkie naraz. Wiatr szeleścił arkusikami listów i stronicami gazety. Dały się słyszeć lekkie kroki. Jurij Andriejewicz podniósł oczy znad listu. Na salę weszła Lara.

Jurij Andriejewicz i podporucznik poznali ją od razu. Ona nie знаła żadnego z nich. Odezwała się:

– Dzień dobry. Czemu okno jest otwarte? Nie zimno panu? – I podeszła do Galiullina.

– Co panu dolega? – Spytała i wzięła go za rękę, by zbadać puls, ale w tejże chwili puściła go i usiadła na stołku przy łóżku.

– Co za niespodzianka, Laryso Fiodorowno – powiedział Galiullin. – Służyłem w jednym pułku z mężem pani i znałem Pawła Pawłowicza. Mam dla pani jego rzeczy.

– To niemożliwe, niemożliwe – powtarzała Lara. – Co za zbieg okoliczności! Więc pan go znał? Proszę mi szybko opowiedzieć, jak to było. Przecież zginął zasypany ziemią? Niech pan niczego nie ukrywa, niech pan się nie boi. Ja wszystko wiem.

Galiullin nie miał odwagi potwierdzić tej opartej na pogłoskach informacji. Postanowił skłamać, by ją uspokoić.

– Antipow jest w niewoli – powiedział. – W czasie natarcia zapędził się za daleko ze swym oddziałem i sam wysforował się naprzód. Otoczono go. Był zmuszony się poddać.

Ale Lara nie uwierzyła mu. Wzburzyło ją i oszołomiło to nagłe spotkanie. Nie mogła zwalczyć napływających łez, a nie chciała płakać przy obcych, wstała więc szybko i wyszła na korytarz, by się opanować.

Po chwili wróciła, na pozór zupełnie spokojna. Umyślnie nie patrzyła w kąta na Galiullina, żeby się znów nie rozplakać. Podeszła prosto do łóżka Żywagi i spytała machinalnie, z roztargnieniem:

– Dzień dobry. Co panu dolega?

Jurij Andriejewicz spostrzegł jej wzburzenie i łzy, chciał spytać, co się stało, chciał jej powiedzieć, że dwa razy w życiu widział ją, jako uczeń i student, pomyślał jednak, że wypadnie to zbyt familiarnie i że ona może to źle zrozumieć. Potem nagle przypomniał sobie zmarłą Annę Iwanownę w tłumie i krzyki Toni, wtedy na Siwcewym, i powstrzymał się, mówiąc zamiast tego:

– Dziękuję pani. Jestem lekarzem i leczę się sam. Niczego mi nie trzeba.

Za co on się na mnie obraził? – pomyślała Lara i ze zdziwieniem popatrzyła na niepozornego nieznajomego o zadartym nosie.

Przez kilka dni trwała zmienna, niepewna pogoda, nocami wiał ciepły, uporczywy wiatr, pachnący mokrą ziemią.

I przez wszystkie te dni napływały dziwne informacje ze sztabu, przychodziły niespokojne wieści z domu, z głębi kraju. Zrywała się łączność telegraficzna z Petersburgiem. Wszędzie, na wszystkich rogach ulic, toczyły się rozmowy o polityce.

W czasie swych dyżurów siostra Antipowa odbywała dwa obchody – rano i wieczorem, wymieniając banalne uwagi z chorymi z innych sal, z Galiullinem, z Żywagą. Jaki to dziwny, interesujący człowiek – myślała. – Młody i nieuprzejmy. Nos zadarty, trudno go nazwać przystojnym. Ale jest mądry w najlepszym tego słowa znaczeniu, ma żywy, pociągający umysł. Nie w tym jednak sedno. Chodzi o to, że muszę jak najszybciej zakończyć tu swoje sprawy i przenieść się do Moskwy, bliżej Katieńki. W Moskwie napisać podanie o zwolnienie i wracać do siebie do Juriatina, do gimnazjum. Przecież z biednym Patulą wszystko jest jasne, żadnej nadziei, więc nie mam już po co odgrywać walecznej bohaterki, wszystko co robiłam, tylko z jego powodu.

Co się teraz dzieje z Katieńką? Biedna sierotka (tu zaczynała płakać). W ostatnich czasach zaszły ogromne zmiany. Jeszcze niedawno rzeczą świętą był obowiązek wobec ojczyzny, czyny wojenne, wzniosłe uczucia obywatelskie. Ale wojna jest przegrana – to jest największa klęska, która sprawiła, że cała reszta, wszystko spospoliciało, nie ma nic świętego.

Nagle wszystko się zmieniło, ton, powietrze, nie wiadomo, co myśleć i kogo słuchać. Jak gdyby przez całe życie prowadzono człowieka za rękę jak dziecko, a teraz puszczono – ucz się chodzić sam. I wokół pustka – ani nikogo bliskiego, ani

żadnego autorytetu. W takiej chwili chce się zaufać czemuś ważnemu, sile życia albo pięknu, albo prawdzie, żeby kierowały człowiekiem właśnie one, a nie obalone przez ludzi dogmaty, zaufać całkowicie i bez reszty, bardziej niż w codziennym pokojowym życiu, które już nie istnieje. Ale w moim przypadku – w porę spostrzegła się Lara – takim celem i absolutem będzie Katieńka. Teraz, bez Patuli, jestem tylko matką i wszystkie swe siły poświęcę Katieńce, biednej sierotce.

Jurij Andriejewicz otrzymał wiadomość, że Gordon i Dudorow wydali bez jego wiedzy tomik jego wierszy, że książkę chwala i przepowiadają mu wielką przyszłość literacką, i że w Moskwie jest teraz bardzo interesująco i niespokojnie, narasta głuche rozdrażnienie mas, że kraj znalazł się na progu czegoś ważnego, w przededniu doniosłych wydarzeń politycznych.

Była późna noc. Jurija Andriejewicza ogarnęła straszna senność. Drzemał i w przerwach wyobrażał sobie, że nie może zasnąć, bo nadenerwował się w ciągu dnia, że wcale nie śpi. Za oknem ziewał i kręcił się senny, leniwie dyszący wiatr. Wiatr płakał i mamrotał: „Toniu, Szuroczka, tak się za wami stęskniłem, chcę do domu, do pracy!” Ukołyszany mamrotaniem wiatru Jurij Andriejewicz spał, budził się i znów zasypiał, pogrążając się to w szczęściu, to w cierpieniu, i te szybkie zmiany nastroju były jak zmienna pogoda, jak ta kapryśna noc.

Lara myślała: „Okazał tyle troskliwości, przechował te biedne pamiątki po Patuli, a ja jestem świnią, nawet nie zapytałam, kim jest i skąd pochodzi.”

Na najbliższym porannym obchodzie, by nadrobić zaniedbanie i zatuszować swą niewdzięczność, Lara wypytała o wszystko Galiullina i to, co usłyszała, ogromnie ją zaskoczyło.

„Boże, niepojęte są Twe wyroki! Brzeska dwadzieścia siedem! Brzeska dwadzieścia siedem, Tiwierziniowie, rewolucja, zima tysiąc dziewięćset piętego! Jusupka? Nie, Jusupki nie znałam albo nie pamiętam, przepraszam. Ale rok, ten rok i to podwórce! Przecież to prawda, rzeczywiście było takie podwórce i taki rok. O, jak wyraźnie to sobie przypominam. I strzelaninę, i (o Boże, jak to było?) „zdanie Chrystusa”! O, jak silnie, jak dojmująco odczuwa się wszystko w dzieciństwie, po raz pierwszy! Przepraszam, jak panu na imię, poruczniku? Ach tak, już mi pan mówił. Dziękuję, bardzo panu dziękuję. Osipie Himazetdinowiczu, jakież wspomnienie i myśli pan we mnie obudził!”

Przez cały dzień chodziła z „tym podwórkiem” w sercu, wciąż nie mogła się nadziwić i rozmyślała na głos.

Pomyśleć tylko, Brzeska dwadzieścia siedem! I oto teraz znów strzelanina, tylko o wiele straszniejsza! To już nie „chłopcy strzelają”. Chłopcy dorośli i wszyscy są tu, walczą, cały prosty lud z tamtych podwórek i z takich samych wsi. Nie do wiary! Nie do wiary!

Nagle, stukając laskami i kulami, na salę weszli, wbiegli i przykuśtykali inwalidzi i wszyscy lepiej się czujący chorzy z sąsiednich sal, krzyżąc jeden przez drugiego:

– Wydarzenia niezwykłej wagi! W Petersburgu zamieszki uliczne! Wojska garnizonu petersburskiego przeszły na stronę powstańców! Rewolucja!

Część piąta

Pożegnanie z przeszłością

1

Miasteczko nazywało się Mieluziejew. Leżało na terenach czarnoziemnych. Niby chmara szarańczy wisiał nad dachami czarny pył, który wzbijały przewalające się przez miasto wojska i tabory. Manewrowały od rana do wieczora w obu kierunkach, z wojny i na wojnę, i trudno było dokładnie powiedzieć, czy wojna jeszcze trwa, czy już się skończyła. Codziennie, jak grzyby po deszczu, wyrastały nowe stanowiska, i na wszystkie te stanowiska wybierano właśnie ich – Żywagę, porucznika Galiullina, siostrę Antipową i jeszcze kilka innych osób z ich otoczenia, głównie mieszkańców wielkich miast, ludzi o sporej wiedzy i doświadczeniu.

Obsadzali oni stanowiska w samorządzie miejskim, byli pomniejszych komisarzami w armii i oddziałach sanitarnych, i traktowali swe zmieniające się co chwila posady jak rozrywkę na świeżym powietrzu, jak zabawę w gonionego berka. Coraz częściej jednak mieli ochotę uciec od tego berka do domu, do swych zwykłych zajęć.

Wszystkie te prace sprzyjały częstym i żywym kontaktom Żywagi i Antipowej.

2

W czasie deszczów czarny pył w mieście zamieniał się w ciemnobrązowe jak kawa błoto, które pokrywało ulice, po większej części nie brukowane.

Miasto było niewielkie. Z każdego miejsca, zza każdego rogu otwierał się widok na posępny step, ciemne niebo, rozległe przestrzenie wojny, rozległe przestrzenie rewolucji.

Jurij Andriejewicz pisał do żony:

„W armii wciąż trwa rozkład i anarchia. Stosuje się różne środki w celu podniesienia wśród żołnierzy dyscypliny i ducha bojowego. Odwiedziłem stacjonujące w pobliżu jednostki.

A teraz zamiast post scriptum, chociaż mogłem Ci o tym napisać już wcześniej – pracuję tu razem z niejaką Antipową, siostrą miłosierdzia z Moskwy, która przyjechała z Uralu.

Pamiętasz, jak na przyjęciu tej strasznej nocy, gdy umarła Twoja mama, pewna dziewczyna strzeliła do prokuratora? Zdaje się, że potem miała proces. Przypominasz sobie, że powiedziałem Ci wtedy, iż tę kursistkę, kiedy jeszcze była uczennicą, widzieliśmy z Miszą w pewnym podrzędnym pensjonacie, dokąd pojechaliśmy, nie pamiętam już po co, z Twoim tatą. Było to w nocy, w trzaskającym

mróz, jak mi się teraz zdaje, w czasie zbrojnego powstania na Priesni. To właśnie jest Antipowa.

Kilka razy próbowałem wyrwać się do domu. Ale to nie takie proste. Zatrzymują nas tu bynajmniej nie zajęcia, które z powodzeniem moglibyśmy przekazać innym. Są trudności z samym wyjazdem. Pociągi albo wcale nie kursują, albo przychodzą tak przepełnione, że nie sposób do nich wsiąść.

Rozumie się jednak, że nie może tak trwać w nieskończoność, toteż kilka osób, które już wyzdrowiały, zostały zdemobilizowane albo zwolniły się z pracy, w tej liczbie ja, Galiullin i Antipowa postanowiło za wszelką cenę wyjechać w przyszłym tygodniu, pojedynczo, każde innego dnia, żeby łatwiej się dostać do pociągu.

A więc w każdej chwili mogę Ci się zwalić na głowę jak grom z jasnego nieba. Zresztą postaram się wysłać depezę.”

Jednak jeszcze przed wyjazdem Żywago zdążył otrzymać odpowiedź Antoniny Aleksandrowny.

W liście tym, w którym szlochły zakłóciły składnię, a kropkami były ślady łez i kleksy, Antonina Aleksandrowna błagała męża, by nie wracał do Moskwy, lecz udał się prosto na Ural za ową niezwykłą siostrą, która kroczy przez życie wśród takich zbiegów okoliczności i mistycznych znaków, że jakżeż ma się ona równać, Tonia, ze swą skromną życiową drogą.

„O Saszeńkę i jego przyszłość możesz się nie martwić – pisała. – Nie będziesz się musiał go wstydzić. Obiecuję, że wychowam go w tych samych zasadach, które jako dziecko poznałeś w naszym domu.”

„Oszalałaś, Tونیu – odpisał natychmiast Jurij Andriejewicz. – Cóż to za podejrzenia! Chyba nie wiesz albo wiesz niezbyt dobrze, że to właśnie myśl o Tobie, wierność Tobie i domowi ratowały mnie od śmierci i zagłady przez dwa lata wojny, lata straszne i mordercze? Zresztą słowa są tu zbędne. Wkrótce się zobaczymy, zaczniemy nowe życie, wszystko się wyjaśni.

Ale to, że mogłaś mi tak odpowiedzieć, niepokoi mnie z innego powodu. Jeśli dałem Ci podstawy do takiego listu, to chyba znaczy, że zachowuję się istotnie dwuznacznie, a wobec tego zawiniłem także w stosunku do tej kobiety, którą wprowadzam w błąd i którą powinienem prosić o wybaczenie. Zrobię to, gdy tylko powróci z objazdu okolicznych wsi. Ziemstwo, które istniało dawniej tylko w guberniach i powiatach, wprowadza się teraz także w mniejszych ośrodkach, w gminach. Antipowa pojechała pomóc swojej znajomej, która pracuje jako instruktorka do spraw nowelizacji ustawodawstwa.

Ciekawe, że mieszkając z Antipową w jednym domu, do tej pory nie wiem, gdzie jest jej pokój, i nigdy mnie to nie interesowało.”

Z Mieluziejewa wychodziły na wschód i na zachód dwie wielkie drogi. Jedna, gruntowa, prowadziła przez las do miasteczka Zybuszyno, gdzie odbywały się targi zbożowe. Zybuszyno administracyjnie podlegało Miluziejewowi, ale przewyższało je

pod każdym względem. Druga droga, wysypana tłuczniem, biegła przez wysychające latem błotniste łąki w kierunku Biriucz, stacji węzłowej dwóch krzyżujących się w pobliżu Mieluziejewa linii kolejowych.

W czerwcu w Zybuszynie utrzymywała się przez dwa tygodnie niezależna republika zybuszyńska, proklamowana przez tamtejszego młynarza Błażejke.

Republika opierała się na dezertersach z dwieście dwunastego pułku piechoty, którzy z bronią w ręku opuścili pozycje i przez Biriucze dotarli do Zybuszyna akurat w momencie przewrotu.

Republika nie uznawała władzy Rządu Tymczasowego i odłączyła się od reszty Rosji. Sekciarz Błażejko, który w młodości korespondował z Tołstojem, proklamował nowe tysiącletnie Cesarstwo Zybuszyńskie, wspólnotę pracy i wspólnotę majątkową i przemianował zarząd gminy na apostołat.

Zybuszyno zawsze było źródłem legend i przesadzonych opowieści. Otaczały je odwieczne bory, a wzmianki o nim znajdowano w dokumentach z okresu Wielkiej Smuty, choć nawet i później w okolicach miasta roiło się od rozbójników. Zamożność tutejszego kupiectwa i fantastyczna urodzajność gleby były wręcz legendarne. Właśnie z Zybuszyna wywodziły się charakterystyczne dla owego zachodniego pasa przyfrontowego wierzenia, obyczaje i osobliwości wymowy.

Obecnie takie same baśnie opowiadano o głównym pomocniku Błażejki. Chodziły słuchy, że jest głuchoniemy od urodzenia, lecz będąc w stanie łaski odzyskuje mowę, po czym znów ją traci, gdy opuszcza go duch boży.

W lipcu Republika Zybuszyńska upadła. Do miasteczka wkroczyła jednostka wierna Rządowi Tymczasowemu. Wyparci z Zybuszyna dezerterszy odeszli w kierunku Biriucz. Tam, za torami kolejowymi, rozciągały się kilkuwiorstwowe wyręby leśne, na których sterczały zarośnięte poziomkami pnie, stały częściowo rozkradzione sęki nie wywiezionego drzewa, niszczały ziemianki, w których mieszkali niegdyś sezonowi robotnicy leśni. Tu właśnie ulokowali się dezerterszy.

4

Szpital wojskowy, w którym doktor leżał, potem pracował, a który teraz zamierzał opuścić, mieścił się w willi hrabiny Żabrińskiej, właścicielka na początku wojny ofiarowała dom na użytek rannych.

Owa piętrowa willa stała w najlepszym punkcie Mieluziejewa, u zbiegu głównej ulicy i rynku, na którym dawniej odbywały się pokazy musztry, a teraz urządzano wiece.

Dzięki usytuowaniu w tym miejscu z okien domu roztaczał się widok na wszystkie strony. Prócz głównej ulicy i rynku widać stąd było zagrodę sąsiadów, do której przylegała willa – ubogi prowincjonalny folwark, niczym nie różniący się od wiejskiego. Tylne okna domu wychodziły na stary park hrabiowski.

Willi nigdy nie miała dla Żabrińskiej szczególnej wartości. Hrabina posiadała w powiecie wielki majątek Razdolne i z domu w mieście korzystała tylko przyjeżdżając

tu w interesach lub urządzając punkt zborny dla gości, którzy latem zjeżdżali się do majątku ze wszystkich stron.

Teraz w willi mieścił się szpital, a właścicielkę aresztowano w Petersburgu, gdzie zamieszkiwała na stałe.

Z dawnych domowników pozostały w willi dwie niepospolite kobiety, stara guwernantka córek hrabiny, obecnie zamężnych, mademoiselle Fleury, i dawna kuchmistrzyni hrabiny, Ustinja.

Mademoiselle Fleury, siwa rumiana staruszka, w luźnym znoszonym kaftaniku, zaniedbana i niechlujna, chodziła szurając pantoflami po całym szpitalu, z którym była teraz za pan brat, jak niegdyś z rodziną Żabrińskich, i wciąż coś opowiadała, połykając na francuską modłę końcówki rosyjskich słów. Stawała w wyszukanej pozie, wymachiwała rękami i na zakończenie każdej opowieści wybuchała ochryplym śmiechem, który przechodził w długi, niepoahamowany atak kaszlu.

Mademoiselle przejrzała na wskroś siostrę Antipową. Zdawało się jej, że doktor i siostra mają się ku sobie. W swej skłonności do swatania, właściwej całej rasie romańskiej, mademoiselle cieszyła się, zastając ich oboje razem, znacząco groziła im paluszkami i mrugała porozumiewawczo. Antipowa była zdumiona, doktor się złościł, ale mademoiselle, jak wszystkie dziwaczki, najbardziej sobie ceniła własne omyłki i za nic nie chciała z nich zrezygnować.

Jeszcze ciekawszą postacią była Ustinja, kobieta o niezgrabnej, rozszerzającej się ku dołowi figurze, upodabniającej ją do siedzącej na jajach kwoki. Ustinja była trzeźwa i kostyczna, wręcz złośliwa, ale z jej zdrowym rozsądkiem łączyła się też fantazja, nieokiełznana zwłaszcza, gdy chodziło o przesady i zabobony. Ustinja знаła mnóstwo sposobów odczyniania uroków i nie ruszała się z domu bez „zamówienia” ognia w piecu i wyszeptania nad dziurką od klucza zaklęć chroniących przed nieczystą siłą. Pochodziła z Zybuszyna i mówiono, że jest córką wiejskiego znachora.

Potrafiła milczeć całymi latami, ale kiedy ją już poniosło, nie było sposobu, by ją powstrzymać. Jej pasją było występowanie w obronie prawdy.

Po upadku Republiki Zybuszyńskiej mieluziejewski komitet wykonawczy rozpoczął kampanię przeciwko prądom anarchistycznym, przenikającym z Zybuszyna. Co wieczór na rynku odbywały się niewielkie spokojne wiece, na które ci z mieszkańców, co mieli wolny czas, przychodzili jak niegdyś latem na pogawędkę na świeżym powietrzu przy bramie remizy. Mieluziejewski wydział kulturalno-oświatowy popierał te zebrania i przysyłał na nie jako prelegentów własnych lub przyjezdnych aktywistów. Prelegenci za największą bzdurę w opowieściach o Zybuszynie uważali mówiącego głuchoniemego i w swych demaskatorskich referatach najczęściej mówili właśnie o nim. Ale drobni miejscowi rzemieślnicy, żołnierki i dawna dworska służba byli innego zdania. Mówiący głuchoniemy wcale nie wydawał się szczytem głupoty. Ujmowali się za nim.

Wśród rozmaitych wypowiedzi, padających z tłumu w obronie głuchoniemego, często słyhać było głos Ustinji. Początkowo nie miała odwagi wystąpić otwarcie, powstrzymywał ją babski wstyd. Stopniowo jednak nabrała śmiałości i zaczęła

atakować mówców za ich niepopularne w mieście poglądy. I tak niepostrzeżenie stała się wytrawną mówczynią.

W willi słychać było przez otwarte okna gwar na rynku, a w szczególnie ciche wieczory nawet fragmenty niektórych wystąpień. Często, kiedy mówiła Ustinja, do pokoju wpadała mademoiselle, i namawiając wszystkich, by posłuchali, dobrodusznie przedrzeźniała mówczynię swą łamaną ruszczyzną:

– Raspú! Raspú! Sarski brijánt! Zibusz! Glukoniém! Zdradá! Zdradá!

W głębi duszy mademoiselle była dumna z tej herod-baby o ciętym języku. Obie kobiety były bardzo do siebie przywiązane i wiecznie jedna na drugą burczały.

5

Jurij Andriejewicz zaczął się pomału przygotowywać do wyjazdu, obchodził domy i urzędy, w których trzeba się było z kimś pożegnać i wyrabiał sobie potrzebne dokumenty.

Właśnie przejazdem, w drodze do armii, zatrzymał się w mieście nowy komisarz tego odcinka frontu. Opowiadano o nim, że jest jeszcze zupełnym żółtodziobem.

Szykowano się akurat do nowego wielkiego natarcia, które miało dokonać przełomu w nastrojach mas żołnierskich. Koncentrowano wojska, wprowadzano sądy wojenno-rewolucyjne i przywrócono niedawno zniesioną karę śmierci.

Przed wyjazdem doktor musiał się zameldować komendantowi, którego funkcję pełnił w Mieluziejewie naczelnik powiatowego urzędu wojskowego, zwany w skrócie „powiatowym”.

Zazwyczaj panował tam straszny tłok. Tłum kłębił się w korytarzach, na dziedzińcu i zajmował pół ulicy pod oknami urzędu. Do biurka niepodobna się było precyzyjnie przycisnąć. W zgiełku setek głosów nikt niczego nie słyszał.

Tego dnia nie było przyjęć. W pustej i cichej kancelarii urzędnicy, zirytowani komplikującymi się ciągle sprawami, pisali w milczeniu, popatrując po sobie ironicznie. Z gabinetu naczelnika dobiegały wesole głosy, jak gdyby jakieś towarzystwo w rozpiętych bluzach piło tam orzeźwiające napoje.

Wyszedł stamtąd Galiullin, na widok Żywagi zakółysał całym tułowiem, jakby gotował się do biegu, i zaprosił doktora do udziału w zabawie.

Żywago i tak musiał wejść do gabinetu po podpis naczelnika. W gabinecie panował istic artystyczny nieład.

Sensacja miasteczka i bohater dnia, nowy komisarz zamiast podążać do celu swej podróży, znajdował się tu, w gabinecie, nie mającym nic wspólnego ze sztabem i problemami operacyjnymi, przebywał w towarzystwie administratorów papierowego królestwa, stał przed nimi i trzymał mowę.

– A oto jeszcze jedna nasza gwiazda – powiedział powiatowy, przedstawiając doktora.

Komisarz nawet nie spojrzął na Żywagę, całkowicie pochłonięty sobą. Powiatowy wyprostował się na krześle tylko po to, by podpisać podsunięty przez doktora

dokument, po czym przyjął poprzednią pozę i uprzejmym gestem dłoni wskazał gościowi stojący na środku pokoju niski, miękki puf.

Spośród wszystkich obecnych jeden tylko doktor siedział w gabinecie po ludzku. Pozostali tkwili w najdziwaczniejszych niedbałych pozach. Powiatowy z głową wspartą na ręku niby Pieczorin na pół leżąc obok biurka, jego zastępca uplasował się na wałku kanapy z nogami podwiniętymi jak w damskim siodle, Galiullin siedział okrakiem na krześle, z brodą i rękami na oparciu, a młodziutki komisarz to podciągał się na rękach na parapet, to znów zeskakiwał i jak nakręcony bąk, nie milknąc ani na chwilę, drobnymi kroczkami krążył po gabinecie. Mówił bez ustanku o dezerterach z Biriucz.

Sprawdziły się krążące o komisarzu pogłoski. Był to szczuplutki i zgrabny, zupełnie jeszcze nie opierzony młodzian, który płonął jak świeczka najwznioślejszymi ideałami. Mówiono, że pochodzi z dobrej rodziny, że jest bodajże synem senatora i że w lutym jako jeden z pierwszych poprowadził swoją kompanię do dumy państwowej. Nazwisko jego brzmiało Hintze czy Hintz, doktor nie dosłyszał dobrze, kiedy ich sobie przedstawiano. Komisarz miał prawidłową petersburską wymowę, bardzo wyraźną, z leciutkim nalotem bałtyckim.

Ubrany był w obcisły frencz. Zakłopotany swym młodzieńczym wyglądem, aby dodać sobie powagi, wykrzywił twarz w grymasie starego zrzędy i sztucznie się garbił. Dla osiągnięcia tego efektu wsadzał ręce głęboko w kieszenie bryczesów i wysoko podnosił ramiona z nowymi sztywnymi pagonami. Sylwetka jego stawała się wówczas rzeczywiście typowo kawaleryjska i można ją było naszkicować dwoma zbiegającymi się ku dołowi liniami.

– O kilka przystanków stąd, na stacji kolejowej stoi pułk kozacki, czerwony, wierny. Weźmie się ich, oni otoczą buntowników i sprawa załatwiona. Dowódca korpusu zależy na ich całkowitym rozbrojeniu – poinformował komisarza powiatowy.

– Kozacy? W żadnym wypadku! – wybuchnął komisarz. – To są jakieś przedrewolucyjne reminiscencje, jak w tysiąc dziewięćset piątym! W tej sprawie nasze poglądy są biegunowo różne, tu wasi generałowie przeholowali.

– Nic jeszcze nie zrobiono. To tylko projekty, luźne propozycje.

– Jest umowa z dowództwem, by się nie wtrącać do rozporządzeń operacyjnych. A więc niech będą kozacy. Proszę bardzo. Ja jednak ze swej strony podejmę kroki, jakie dyktuje mi zdrowy rozsądek. Oni mają tam biwak?

– Coś w tym rodzaju. W każdym razie obóz. Umocniony.

– Świetnie. Chcę tam pojechać. Proszę mi pokazać tych straszliwych leśnych zbójców. To buntownicy, zgoda, nawet dezerterzy, ale zapominacie, panowie, o tym, że to lud. A lud jest jak dzieci, trzeba go znać, trzeba znać jego psychikę, tu jest potrzebne specjalne podejście. Trzeba umieć poruszyć jego najlepsze, najwrażliwsze struny – tak, by zadźwięczały. Pojadę do nich na wyrąb i serdecznie z nimi pogadam. Zobaczycie wtedy, panowie, w jak wzorowym porządku wrócą na porzucone pozycje. Nie wierzycie mi, panowie? Idę o zakład!

– Wątpliwa sprawa. Ale daj Boże!

– Powiem im tak: „Bracia, popatrzcie na mnie. Oto ja, jedyny syn, nadzieja rodziny, niczego nie pożałowałem, poświęciłem nazwisko, pozycję, miłość rodzicielską, by wywalczyć dla was wolność, wolność taką, jakiej nie posiada żaden naród na świecie. Zrobiłem tak nie tylko ja, ale wielu takich samych młodych ludzi, nie mówiąc już o starej gwardii naszych sławnych poprzedników, o katorżnikach-narodnikach i narodowolcach – więźniach Szlisselburga. Czyż robiliśmy to dla siebie? Czy to było potrzebne nam? Teraz nie jesteście już szeregowcami jak dawniej, ale bojownikami pierwszej na świecie armii rewolucyjnej. Odpowiedzcie sobie uczciwie na pytanie, czyście zasłużyli na tak zaszczytne miano? Podczas gdy ojczyzna, spływając krwią, resztką swych sił stara się zrzucić z siebie dławiącą ją wraźną hydrę, wyście dali się otumanić szajce podejrzanym oszustów i staliście się tępym motłochem, kupą rozpasanych łajdaków, obżerających się wolnością, której wam wciąż za mało, tak, tak, daj kurze grzędę, a ona: wyżej siędę...” O, wstrząsnę nimi, zawstydzę ich!

– Nie, nie, to ryzykowne – próbował oponować powiatowy, wymieniając ukradkowe spojrzenia ze swym zastępcą.

Galiullin usiłował wyperswadować komisarzowi jego szalony zamiar. Znał narwańców z dwieście dwunastej dywizji, do której należał także jego dawny pułk. Komisarz jednak nie słuchał.

Jurij Andriejewicz nie mógł się doczekać, by wreszcie wstać i wyjść. Naiwność komisarza wprawiała go w zakłopotanie. Niewiele lepsze były jednak także spryt i doświadczenie powiatowego i jego zastępcy, dwóch ironicznych starych wyjadaczy. Ta głupota i ta przebiegłość warte były siebie. A wszystko to znajdowało ujście w lawinie nieistotnych komunałów, których przecież tak ma się w życiu dosyć.

O, jakże chciałoby się czasem uciec od tej nieporadnie wzniosłej, częściej gadaniny w pozorne milczenie przyrody, w katorżniczą ciszę długiej, wytężonej pracy, w spokój mocnego snu, prawdziwej muzyki i niemego z nadmiaru uczuć, serdecznego porozumienia!

Doktor przypomniał sobie, że czeka go rozmowa z Antipową, i to rozmowa raczej nieprzyjemna. Cieszył się jednak, że ją zobaczy, choćby nawet za taką cenę. Przy pierwszej sposobności wstał i dyskretnie wyszedł z gabinetu.

6

Okazało się, że Lara jest już w domu. O jej powrocie zawiadomiła doktora mademoiselle. Dodała też, że Larysa Fiodorowna wróciła zmęczona, zjadła na chybcika kolację i poszła do siebie, prosząc, by jej nie przeszkadzano.

– A zresztą, niech pan do niej zapuka – poradziła. – Chyba jeszcze nie śpi.

Antipowa mieszkała na górze, na końcu korytarza, obok pokojów, w których zgromadzono cały tutejszy dobytek Żabrińskiej i gdzie doktor nigdy nie zaglądał.

Tymczasem szybko zapadał zmierzch. Ulice stały się jakby węższe, domy i parkany w wieczornym mroku zbiły się w jedną bryłę, drzewa zbliżyły się z głębi podwórek ku oknom, w światło zapalonych lamp. Noc była upalna i duszna.

Najdrobniejszy wysiłek wywoływał pot. Smugi naftowego światła, padające na podwórza, także spływały po pniach drzew strugami brudnego potu.

Na ostatnim stopniu schodów doktor przystanął. Przyszło mu do głowy, że nie wypada, że byłoby natręctwem zakłócać spokój komuś zmęczonemu podróżą. Lepiej odłożyć rozmowę do jutra. W roztargnieniu, które zawsze towarzyszy zmianie decyzji, przeszedł na drugi koniec korytarza. Było tam okno, wychodzące na sąsiednie podwórze. Doktor wyjrzał.

Noc była pełna cichych, tajemniczych odgłosów. Obok w korytarzu kapąca woda w umywalce, miarowo, z przerwami. Gdzieś za oknem szeptało. Dalej w warzywnikach ktoś podlewał ogórki na grządce, przelewając wodę z wiadra do konewki i dzwoniąc łańcuchem przy studni.

Pachniało wszystkimi kwiatami świata naraz, jak gdyby ziemia w ciągu dnia leżała w omdleniu, a teraz poprzez te zapachy wracała do przytomności. A ze starego parku hrabiny, tak zasypanego chrustem, że stał się nieprzebyty, napływał sponad drzew potężny jak mury wielkiego gmachu, pełen wiejskiego kurzu aromat starej kwitnącej lipy.

Z prawej strony przez płot dobiegały z ulicy jakieś krzyki. Awanturował się podпиты żołnierz na urlopie, trzaskały drzwi, łopotały niby skrzydła urywki jakiejś pieśni.

Za wronimi gniazdami hrabiowskiego parku ukazał się potwornych rozmiarów czarno-purpurowy księżyc. Najpierw był podobny do ceglanego młyna parowego w Zybuszynie, potem stał się żółty jak wieża ciśnień na stacji w Biriuczach.

A na dole, pod oknem, z zapachem lebiody mieszał się orzeźwiający jak herbata „z kwiatkiem” zapach siana. Niedawno sprowadzono tu krowę, kupioną w odległej wsi. Prowadzono ją cały dzień, była zmęczona, tęskniła za swym stadem i nie chciała brać paszy z rąk nowej gospodyni, do której jeszcze nie przywykła.

– No, no, nie grymas, krowisiu, ja ci dam bóst, ty czarcie – szeptem uspokajała ją gospodyni, ale krowa gniewnie szarpała łbem na wszystkie strony albo wyciągając szyję muczała przeciągle i żałośnie, a za czarnymi szopami Mieluziejewa migotały gwiazdy, od których biegły ku krowie nici niewidocznego współczucia, jak gdyby były tam obory innych światów, gdzie się nad nią litowano.

Wszystko wokół fermentowało, rosło i wschodziło na czarodziejskich drożdżach istnienia. Radość życia jak łagodny wiatr płynęła szeroką falą przed siebie, nad ziemią i miastem, poprzez ściany i płoty, poprzez tkanę drzewa i ciała, budząc drżenie we wszystkim, co napotkała. Aby stłumić oddziaływanie tego prądu, doktor poszedł na rynek posłuchać, o czym mówią na wiecu.

Księżyc stał już wysoko na niebie i zalewał wszystko dokoła gęstym jak bielidło światłem.

Otoczające plac budynki z kolumnami rzucały na ziemię czarne cienie, szerokie jak dywany.

Wiec odbywał się po drugiej stronie rynku. Przy dobrych chęciach, wyteżając słuch, można było dosłyszeć przez plac wszystko, co tam mówiono. Uwagę doktora pochłoneła jednak malowniczość widoku. Przysiadł na ławeczce przed remizą i, nie słuchając dobiegających przez ulicę głosów, zaczął się rozglądać.

Ze wszystkich stron zbiegały się ku rynkowi małe, ślepe uliczki z widocznymi w głębi starymi, koślawymi domkami. Uliczki te pokrywało grząskie błoto, zupełnie jak na wsi. Z błota sterczały długie, plecione z łozy płoty, które wyglądały jak zanurzone w stawie więcierze albo zatopione kosze do łowienia raków.

Mętnie połyskiwały szyby otwartych w domkach okienek. Z ogródków zaglądały do wnętrza rude miotełki i kolby kukurydzy, lśniące, jak posmarowane tłuszczem. Zza pochylonych płotków samotnie spoglądały w dal blade, cherlawe malwy, podobne do wieśniaczek w nocnych koszulach, które upał wypędzał z dusznych chat na świeże powietrze.

Opromieniona księżycowym blaskiem noc zaskakiwała jak miłosierdzie lub dar jasnowidzenia. Nagle w ciszę tej świetlistej, migotliwej baśni zaczęły padać miarowe, rąbane dźwięki czyjegoś znajomego, słyszanego dopiero co głosu. Głos był piękny, gorący i sugestywny. Doktor nastawił uszu i od razu go rozpoznał. Był to komisarz Hintz. Przemawiał na placu.

Prawdopodobnie władze poprosiły go, by je poparł swym autorytetem, i teraz komisarz z przejęciem wyrzucał mieszkańcom Mieluziejewa dezorganizację, karcąc ich za to, że tak łatwo poddają się demoralizującym wpływom bolszewików, którzy, jak zapewniał, są głównymi winowajcami zybuszyńskich wydarzeń. W tym samym duchu co w gabinecie naczelnika przypominał o okrutnym i potężnym wrogu, o tym, że dla ojczyzny wybiła godzina próby. W połowie przemówienia zaczęło mu przerywać.

Rozlegały się na przemian prośby o nie przerywanie mówcy i okrzyki dezaprobaty. Protesty były coraz częstsze i głośniejsze. Towarzyszący Hintzowi mężczyzna, który w tym momencie uzurpował sobie funkcję przewodniczącego, krzychał, że wypowiedzi z miejsca są zabronione, i nawoływał do porządku. Spośród publiczności jedni domagali się, by udzielono głosu obywatelce z tłumu, inni psykali i prosili, by nie przeszkadzać.

Do stojącej na trybunie przewróconej do góry dnem skrzyni przecisnęła się przez tłum jakaś kobieta. Nie miała zamiaru włączyć na skrzynię, tylko stanęła obok. Wszyscy ją tu znali. Zapadła cisza. Kobieta przyciągnęła uwagę zebranych. Była to Ustinja.

– Mówicie o Zybuszynie, towarzyszu komisarzu, a potem o oczach, że trzeba mieć oczy i nie dać się nabrać, a tymczasem sami, dobrze słyszałam, wciąż tylko o tych bolszewikach i mieńszewikach, nic innego człowiek od was nie usłyszy. A żeby więcej nie wojować i żyć jak bracia, to się nazywa żyć po bożemu, a nie po mieńszewicku, i żeby fabryki i zakłady oddać biednym, to znowu nie sprawa bolszewików, ale ludzkiego miłosierdzia. A tym głuchoniemym już tu inni przed wami oczy nam wykłuwali, sprzykrzyło się słuchać. I czego wy od niego chcecie?

Czym wam tak dopiekl? Że sobie chodził niemy i nagle, nikogo nie pytając, wziął i zagadał? Też mi dziwo! Nie takie rzeczy się zdarzają! Taka oślica, na ten przykład, wszyscy wiedzą. „Balaamie, Balaamie, mówi, na wszystko cię proszę, nie idź tam, bo pożałujesz.” No i wiadomo, nie posłuchał jej i poszedł. Zupełnie jak wy: „Głuchoniemy.” Myśli sobie: „Co będę słuchał oślicy, toż to zwierzę.” Pogardził bydłakiem. A jak potem żałował! Sami chyba wiecie, jak się to skończyło.

– Jak? – zainteresował się ktoś z tłumu.

– Dobra, dobra – odgryzła się Ustinja – jak będziesz za dużo wiedzieć, to się szybko zestarzejesz.

– Nie, tak nie wolno. Powiedz, jak? – upierał się ten sam głos.

– Jak, jak, uczeplił się jak rzep! W słup soli się zamienił.

– Oszalałaś, kumo! To Lot. Żona Lota – posypały się okrzyki.

Zaczęto się śmiać. Przewodniczący nawoływał do spokoju. Doktor poszedł spać.

8

Nazajutrz wieczorem zobaczył się z Antipową. Znalazł ją w pokoju kredensowym. Prasowała cały stos wymaglowanej bielizny.

Kredensowy był jednym z pokoi górnego piętra i wychodził na park. Tu nastawiano samowary, nakładano na talerze potrawy przywiezione z kuchni ręczną windą, którą zwożono też na dół, do pomywaczki, brudne naczynia. Tutaj sprawdzano według rejestru naczynia i bieliznę, było to również miejsce odpoczynku i spotkań.

Okna na park były otwarte. W pokoju pachniało kwiatem lipowym, kminkową goryczką suchych gałązek jak w starych parkach i lekkim śwędem dwóch żelazek, którymi Larysa Fiodorowna prasowała, wstawiając je na przemian do rury wentylacyjnej, aby się nagrzały.

– Czemu pan wczoraj do mnie nie zapukał? Mówiła mi mademoiselle. A zresztą, dobrze pan zrobił. Leżałam już i nie mogłabym pana wpuścić. Witam. Ostrożnie, bo się pan pobrudzi. Tu jest rozsypany węgiel.

– Prasuje pani chyba dla całego szpitala?

– Nie, tu jest dużo moich rzeczy. Wciąż mi pan dokuczał, że nigdy się stąd nie wydostanę. Ale tym razem naprawdę wyjeżdżam. Widzi pan, szykuję się już. Spakuję się i w drogę. Ja na Ural, pan do Moskwy. A potem, kiedyś, zapyta ktoś może: „Juriju Andriejewiczu, słyszał pan o Mieluziejewie? To takie miasteczko.” – „Nie przypominam sobie”. – „A któż to taki Antipowa?” – „Pojęcia nie mam.”

– No, to jeszcze zobaczymy. Jak się pani jeździło po gminach? Przyjemnie na wsi?

– Tego się nie da opowiedzieć w dwóch słowach. Ależ szybko stygną te żelazka! Proszę mi podać drugie z łaski swojej. Tam stoi, w rurze wentylacyjnej. A to proszę wstawić z powrotem. Tak. Dziękuję. Wsie są różne. Wszystko zależy od mieszkańców. W jednych wsiach ludność jest pracowita, energiczna. Tam jest jeszcze nieźle. A w innych chyba sami pijacy. I te są zaniedbane, aż strach patrzeć.

– Co za głupstwa! Jacy pijacy? Nic pani nie rozumie. Po prostu nie ma tam rąk do pracy, wszyscy mężczyźni w wojsku. Ale zostawmy to. A jak tam nowe, rewolucyjne ziemstwo?

– Co do pijaków, nie ma pan racji, nie zgadzam się z panem. A ziemstwo? Z ziemstwem jeszcze długo będą kłopoty. Instrukcje są niezyciowe, w gminie nie ma z kim pracować. Chłopów interesuje obecnie tylko sprawa ziemi. Byłam w Razdolnem. Ależ tam pięknie! Warto, żeby pan pojechał. Wiosną trochę tam popalono i rozgrabiono. Spłonęła stodoła, drzewka owocowe się zwęgliły, część fasady brzydsko zakopcona. A do Zybuszyna nie dało mi się dotrzeć. Wszędzie jednak zapewniają, że ten głuchoniemy to wcale nie fantazja. Opisują jego wygląd. Podobno jest młody, wygląda na inteligenta.

– Wczoraj na rynku Ustinja się za nim ujmowała.

– Ledwie zdążyłam przyjechać, a tu z Razdolnego znowu cały wóz gratów. Tyle razy prosiłam, żeby nam dali z tym spokój. Mało to mamy własnych? A dziś rano był posłaniec z komendantury z karteczką od powiatowego. Na gwałt im potrzebne stołowe srebro hrabiny i kryształowe kieliszki. Tylko na jeden wieczór, zaraz zwróca. Znamy to zwracanie. Połowy rzeczy nie można się potem doliczyć. Podobno szykuje się przyjęcie. Ktoś przyjechał.

– A, domyślam się. Przyjechał nowy komisarz frontu. Widziałem go przypadkiem. Zamierza się wziąć do dezertarów, osaczyć ich i rozbroić. Jest jeszcze zupełnie zielony i naiwny jak niemowlę. Tutaj proponują, żeby wysłać kozaków, a on chce dezertarów rozczulić. Powiada, że lud jest jak dziecko i tak dalej, i myśli, że wszystko to dziecinna zabawa. Galiullin go prosił, by nie drażnił bestii, by zostawił to im, ale jak sobie taki coś wbije do głowy, to się go nie przekona. Niech pani posłucha. Proszę na chwilę zostawić to prasowanie i posłuchać. Wkrótce zacznie się tu okropna zawierucha. Nie da się temu zapobiec. Tak bym chciał, żeby pani wyjechała, zanim to nastąpi.

– Nic się nie stanie. Przesadza pan. Zresztą ja przecież właśnie wyjeżdżam. Ale nie można tak: szast-prast i do widzenia. Muszę przekazać cały inwentarz zgodnie ze spisem, bo jeszcze pomyślą, że coś ukradłam. A komu mam to przekazać? Oto jest pytanie. Tyle się namęczyłam z całym tym inwentarzem, a w nagrodę same pretensje. Zapisałam mienie Żabrińskiej na szpital, bo taki był dekret. A teraz się okazuje, że zrobiłam tak dla pozorów, żeby tym sposobem ocalić te rzeczy dla właścicielki. Co za podłość!

– Ach, niech pani machnie ręką na te dywany i porcelanę, do diabła z nimi! Też jest się czym przejmować! Tak, wielka szkoda, że nie widzieliśmy się wczoraj! Miałem taki świetny nastrój! Objśniłbym pani całą mechanikę niebieską, rozwiązałbym wszystkie przekłete problemy. Nie, serio, aż mnie ponosiło, żeby się wygadać. Opowiedzieć pani o żonie, o synu, o całym moim życiu. Do diabła, czyż dorosły mężczyzna nie może porozmawiać z dorosłą kobietą, aby zaraz nie zaczęto się doszukiwać jakichś podtekstów? Brr! Niech diabli porwą wszystkie te podteksty! Niech pani prasuje i nie zwraca na mnie uwagi, a ja będę mówić. Będę mówić długo. Pomyśleć tylko, co za czasy nastały! I my oboje żyjemy w tych czasach! Tylko raz na

całą wieczność zdarza się coś tak niezwykłego. Niech pani pomyśli: z całej Rosji zerwało dachy i my z całym narodem znaleźliśmy się pod gołym niebem. I nie ma kto nas pilnować. Swoboda! Prawdziwa, nie puste słowa i żądania, ale prawdziwa swoboda, przechodząca wszystkie oczekiwania, swoboda, która spadła nam z nieba. Swoboda z przypadku, z nieporozumienia. I jacy wszyscy są zagubieni i wielcy! Zauważyła pani? Każdy jest jakby przytłoczony samym sobą, swoją nagłą potęgą. Niech pani prasuje, a ja będę mówić dalej. Nie nudzę pani? Zmienię żelazko. Wczoraj obserwowałem wieczorny wiec. To zdumiewające widowisko. Poruszyła się matka Rosja, nie może ustać w miejscu, wciąż chodzi i chodzi, gada i gada. I gadają nie tylko ludzie. Gromadzą się i dyskutują gwiazdy i drzewa, filozofują nocne kwiaty i obradują domy. Jest w tym coś ewangelicznego, nieprawdaż? Jak w czasach apostołów. Pamięta pani u Pawła? „Mówcie językami i prorokujcie. Módlcie się, abyście wykładali.”

– Rozumiem, co pan ma na myśli, mówiąc o dyskutujących drzewach i gwiazdach. Mnie także się to zdarzało.

– Połowę sprawiła wojna, reszty dokonała rewolucja. Wojna była sztucznym przerwaniem życia, jak gdyby istnienie można było na jakiś czas przerwać (co za absurd!). Rewolucja wyrwała się mimo woli, jak zbyt długo wstrzymywane westchnienie. Wszyscy ożyli, przeobrazili się, każdy przeżywa przemiany, przełomy. Można by rzec, że w każdym wybuchły dwie rewolucje, jedna własna, a druga powszechna. Wydaje mi się, że socjalizm to morze, do którego muszą wpaść niby rzeki te prywatne, oddzielne rewolucje, morze życia, morze samoistności. Morze życia, jak powiedziałem, ale tego życia, które widzimy na obrazach, życia pełnego geniuszu, twórczo wzbogaconego. Ale teraz ludzie postanowili je sprawdzić nie w książkach, lecz na sobie samych. Nie w teorii, lecz w praktyce.

Nagle załamanie głosu zdradziło wzburzenie doktora.

Larysa Fiodorowna przerwała na moment prasowanie i popatrzyła nań z powagą i zdziwieniem. Żywago zmieszał się i stracił wątek. Po krótkiej pauzie znów zaczął mówić, zupełnie się już nie kontrolując:

– Jakże się w tych czasach chce żyć uczciwie i produktywnie! Jak bardzo się pragnie być częścią powszechnego zapału! I oto pośród ogólnej radości napotykam pani niewesołe spojrzenie, błędzące nie wiadomo gdzie, za siódmą górą i rzeką! Cóż bym dał za to, żeby go nie było, żebybym mógł wyczytać z pani twarzy, że jest pani zadowolona ze swego losu i niczego od nikogo nie potrzebuje. Żeby jakiś bliski pani człowiek, przyjaciel czy mąż (najlepiej, gdyby to był wojskowy), wziął mnie za rękę i poprosił, bym się nie martwił o pani los i nie dokuczał pani swym zainteresowaniem. A ja wyrwałbym rękę, zamachnąłbym się i... Ach, nie wiem, co mówię! Przepraszam.

Znów zawiódł go głos. Machnął ręką i z uczuciem, że popełnił niewybaczalne głupstwo, wstał i podszedł do okna. Stał tyłem do pokoju i z policzkiem na dłoni, wsparty łokciami na parapecie, zagubionym, niespokojnym, niewidzącym wzrokiem zapatrzył się w głąb okrytego mrokiem parku.

Larysa Fiodorowna obeszła deskę do prasowania, opartą o stół i parapet drugiego okna, i zatrzymała się pośrodku pokoju o kilka kroków za doktorem.

– Ach, jak ja się tego zawsze obawiałam! – powiedziała cicho, jakby do siebie. – Cóż to za fatalna pomyłka. Juriju Andriejewiczu, niech pan przestanie, tak nie wolno. Ach, niech pan patrzy, co przez pana zrobiłam! – Wykrzyknęła nagle głośno i podbiegła do deski, gdzie spod pozostawionego na jakiejś bluzce żelazka sączyła się cienka strużka gryzącego dymu. – Juriju Andriejewiczu – ciągnęła Lara, z gniewnym stukiem odstawiając żelazko na podstawkę. – Niechże pan będzie rozsądny, mój drogi. Proszę pójść na chwilę do mademoiselle, napić się wody i wrócić tu takim, jakim pana zawsze widzę i chciałabym widzieć. Juriju Andriejewiczu, słyszy pan? Wiem, że pan potrafi to zrobić. Bardzo pana proszę.

Więcej takich rozmów między nimi nie było.

Larysa Fiodorowna wyjechała.

9

Po jakimś czasie Żywago także zaczął zbierać się do drogi. W noc poprzedzającą jego wyjazd w Mieluzejewie była straszna burza.

Szum huraganu łączył się z szumem ulewy, która albo bębniła prostopadle w dach, albo pod naporem porywistego wiatru zacinała wzdłuż ulicy, krok po kroku zdobywając przestrzeń swymi chłuszczącymi strumieniami.

Pioruny biły bez przerwy, raz za razem, zlewając się w jeden monotonny huk. W blasku częstych błyskawic ukazywała się umykająca w głąb ulica z pochylonymi drzewami, uciekającymi w tym samym kierunku.

Mademoiselle Fleury obudziło w nocy niespokojne pukanie do frontowych drzwi. Przerażona usiadła na łóżku i zaczęła nasłuchiwać. Pukanie nie ustawało.

Czyż w całym szpitalu nie znajdzie się nikt, kto by wyszedł i otworzył, pomyślała, i za wszystkich musi odpowiadać ona jedna, nieszczęsna staruszka, tylko dlatego, że natura obdarzyła ją uczciwością i poczuciem obowiązku?

Żabrińscy co innego, to byli bogacze, arystokracja. Ale szpital jest przecież własnością ludu. I rzucono go na pastwę losu? Ciekawe na przykład, gdzie się podziali sanitariusze? Wszyscy się gdzieś rozbiegli, ani kierownictwa, ani sióstr, ani lekarzy. A w domu są jeszcze ranni, dwaj beznodzy inwalidzi na górze na chirurgii, gdzie przedtem była bawialnia, a na dole w spiżarni obok pralni pełno chorych na dyzenterię. I ta diablica Ustinja poszła gdzieś na kominki. Widzi, głupia, że zbiera się na burzę, to nie, gdzieś ją diabli ponieśli. Teraz ma pretekst, żeby przenocować u obcych.

No, chwała Bogu, przestali, zmęczyli się. Widzą, że nikt nie otwiera, to machnęli ręką i poszli. Że też ich лихо nosi w taką pogodę! A może to Ustinja! Nie. Ona ma klucz. Mój Boże, to okropne, znowu pukają!

Bądź co bądź, to jednak świństwo! Powiedzmy, że od Żywagi nie ma co wymagać. Jutro wyjeżdża i myślami jest już w Moskwie albo w drodze. Ale ten Galiullin! Jak może chrapać albo spokojnie leżeć przy takim łomotaniu i czekać, aż wreszcie wstanie ona, słaba i bezbronna staruszka, i pójdzie otwierać nie wiadomo komu w tę straszną noc, w tym strasznym kraju.

Galiullin! – połapała się. – Jaki Galiullin? Nie, taka bzdura mogła jej przyjść do głowy tylko dlatego, że się jeszcze niezupełnie obudziła! Jaki Galiullin, skoro, nie ma już po nim ani dymu, ani popiołu? I czyż to nie ona sama wraz z Żywagą ukrywała go, przebierała w cywilne ubranie, a potem wyliczyła mu wszystkie drogi i okoliczne wsie, żeby wiedział, którędy uciekać? To było w czasie tego strasznego samosądu na stacji, kiedy zabili komisarza Hintza, a Galiullina ścigali z Biriucz do samego Mieluziejewa, strzelali za nim i szukali po całym mieście. Galiullin!

Gdyby nie ci cyklisi, z miasta nie pozostałby wtedy kamień na kamieniu. Akurat przechodził tędy dywizjon pancerny. Wstawili się za mieszkańcami i okiełznali tych niegodziwców.

Burza słabła, oddalała się. Pioruny były rzadziej i ciszej, z daleka. Deszcz chwilami ustawał, ale woda nadal spływała z cichym pluskiem z liści i rynien. Bezgłośnie błyskawice zaglądały do pokoju mademoiselle, oświeślały go i zatrzymywały się na chwilę, jakby czegoś szukając.

Nagle po długiej przerwie znów odezwało się stukanie do drzwi. Ktoś potrzebował pomocy i pukał rozpaczliwie, nagłaco. Znowu zerwał się wiatr. Ponownie lunął deszcz.

– Zaraz! – krzyknęła nie wiadomo do kogo mademoiselle i aż się złękła własnego głosu.

Olśnił ją nieoczekiwany domysł. Spuściła z łóżka nogi, wsunęła je w pantofle, narzuciła szlafrok i pobiegła budzić Żywagę, żeby jej dodał otuchy. Doktor jednak także słyszał pukanie i właśnie schodził ze świecą na dół. Mieli oboje jednakowe przeczucie.

– Żywago! Żywago! Ktoś stuka do drzwi, boję się sama otworzyć – krzyczała mademoiselle po francusku i dodała po rosyjsku: – Sobaczy pan, sze to Lar albo porucznik Gajul.

Jurija Andriejewicza także obudziło pukanie i pomyślał, że to na pewno ktoś z domowników albo Galiullin, który natrafił na jakieś przeszkody i teraz wraca tu, aby się ukryć, a może siostra Antipowa, zmuszona do powrotu jakimiś trudnościami w drodze.

W sieni doktor dał mademoiselle świecę do potrzymania, a sam przekręcił klucz w drzwiach i odsunął zasuwę. Poryw wiatru wyrwał mu z rąk drzwi, zdmuchnął świecę i obryzgał oboje zimnymi kroplami deszczu.

– Kto tam? Kto tam? Czy jest tam kto? – wołali na przemian w ciemność mademoiselle i doktor, ale nikt nie odpowiadał.

Nagle znów usłyszeli pukanie w innym miejscu, od strony kuchennego wejścia albo, jak zaczęło im się wydawać, od okna wychodzącego na park.

– To chyba wiatr – powiedział doktor. – Ale dla spokoju sumienia niech pani pójdzie jednak do kuchennych drzwi i sprawdzi, a ja tu poczekam, żebyśmy się nie rozminęli, jeżeli to jest rzeczywiście jakiś człowiek, a nie inna przyczyna.

Mademoiselle odeszła w głąb domu, a doktor wyszedł na zewnątrz pod daszek ganku i schronił się w bramie. Oczy wkrótce przywykły mu do ciemności i zaczął dostrzegać pierwsze oznaki świtu.

Nad miastem w szaleńczym pędzie mknęły chmury, jakby uciekały przed pogonią. Niektóre ich strzępki przelatywały tak nisko, że prawie zahaczały o drzewa, chylące się w tę samą stronę, i wyglądało to tak, jak gdyby ktoś zamiatał nimi niebo. Deszcz chłostał drewnianą ścianę domu, która z szarej stawała się czarna.

– No i co? – zapytał doktor powracającą mademoiselle.

– Miał pan słusność. Nikogo nie ma. – I opowiedziała, że obeszła cały dom. W kredensowym gałąź lipy wybiła szybę, na podłodze ogromne kałuże, i to samo w pokoju Lary, morze, prawdziwe morze, cały ocean.

– A tu urwała się okiennica i stuka o futrynę. Widzi pani, i wszystko się wyjaśniło.

Chwilę jeszcze porozmawiali, zamknęli drzwi i poszli spać, żałując, że alarm okazał się fałszywy.

Byli pewni, że gdy otworzą frontowe drzwi, do domu wejdzie tak dobrze im znana kobieta, przemoczona do suchej nitki, zmarznięta, że będzie się otrząsać z deszczu, a oni zasypią ją pytaniami. A potem, przebrana, przyjdzie się osuszyć przy nie wygasłym od wczoraj kuchennym piecu i poprawiając włosy ze śmiechem opowie im o swoich przygodach.

Byli tego tak pewni, że kiedy zamknęli drzwi, ślad owej postaci pozostał za węglem domu na dworze, w postaci wodnego znaku czy obrazu tej kobiety, który ciągle im się majaczył za zakrętem ulicy.

10

Człowiekiem, który pośrednio przyczynił się do zbrojnego incydentu na stacji, był, jak powszechnie sądzono, telegrafista z Biriucz, Kola Frolenko.

Kola był synem znanego mieluziejewskiego zegarmistrza. Znano go w mieście od niemowlęctwa. Jako dziecko gościł w Razdolnem u kogoś ze służby i bawił się pod okiem mademoiselle z jej dwiema wychowankami, córkami hrabiny. Mademoiselle znała go dobrze. Wtedy właśnie Kola zaczął trochę rozumieć po francusku.

W Mieluziejewie widywano Kolę zawsze, bez względu na pogodę, wyletnionego, bez czapki, w lekkich płóciennych pantoflach, na rowerze. Nie trzymając kierownicy, odchylony w tył, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jeździł po szosie i mieście i popatrywał na słupy i przewody, sprawdzając stan sieci telegraficznej.

Niektóre domy w mieście miały połączenie telefoniczne ze stacją. Centralką na dworcu zawiadywał Kola.

Miał tam masę roboty: obsługiwał kolejowy telegraf i telefon, a czasem, w chwilach krótkiej nieobecności zawiadowcy Powarichina, również aparaturę sygnalizacyjną i blokowania, która mieściła się w tym samym pokoju.

Konieczność śledzenia pracy kilku mechanizmów naraz wyrobiła u Koli szczególny sposób mówienia, mętny, urywany i zagadkowy, do którego to sposobu uciekał się w chwilach, gdy nie chciał komuś odpowiedzieć lub nie życzył sobie wdawać się w rozmowę. Podobno nadużył tego swego prawa właśnie w dniu zamieszek.

Swymi przemilczeniami Kola rzeczywiście udaremnił dobre zamiary Galiullina, który telefonował z miasta, a może nawet mimo woli przyczynił się do tragedii.

Galiullin prosił o przywołanie do telefonu komisarza, który znajdował się gdzieś na dworcu czy w pobliżu, aby mu powiedzieć, że zaraz wyrusza do niego na wyrąb, i poprosić, by zaczekał i sam niczego nie przedsięwziął. Kola odmówił przywołania Hintza pod pretekstem, że ma linię zajęta przekazywaniem sygnałów dla zbliżającego się pod Biriucz pociągu, a tymczasem na wszelkie sposoby usiłował zatrzymać na sąsiednim rozjeździe ten właśnie pociąg, który wiozł wezwanych do Biriucz kozaków.

Kiedy eszelon mimo wszystko nadszedł, Kola nie mógł ukryć niezadowolenia.

Parowóz wpłynął powoli pod ciemny dach dworca i zatrzymał się akurat na wprost ogromnego okna zawiadowcy. Kola rozsunął szeroko ciężką zasłonę z granatowego sukna z wytkanym na brzegach godłem kolei żelaznej. Na kamiennym parapecie stała ogromna karafka z wodą i gruba rżnięta szklanka na wielkiej tacy. Kola nalał wody do szklanki, upił kilka łyków i popatrzył przez okno.

Maszynista spostrzegł go i kiwnął mu przyjaźnie z lokomotywy. „Ach, ty draniu śmierdzący, ty pluskwo!” – pomyślał nienawistnie Kola, pokazał maszyniście język i pogroził mu pięścią. Maszynista nie tylko zrozumiał tę mimikę, ale sam także wzruszeniem ramion i skinieniem głowy w kierunku wagonów dał do zrozumienia: „A co miałem robić? Sam byś spróbował. Mają przewagę.” „I tak jesteś drań i gadzina” – na migi odpowiedział Kola.

Zaczęto wyprowadzać z wagonów konie, które zapierały się i nie chciały wychodzić. Głuchy stuk kopyt po deskach schodni zmieszał się z dzwonieniem podków na brukowanym peronie. Stające dęba konie przeprowadzono przez kilka torów.

Szyny kończyły się dwoma szeregami uszkodzonych wagonów, stojących na zardzewiałych, porośniętych trawą torach. Rozpadające się, przeżarte przez wilgoć i korniki drewno, z którego deszcze zmyły farbę, przywracało rozbitym wagonom dawne pokrewieństwo z wilgotnym, rozpościerającym się po drugiej stronie torów lasem, gdzie huba zżerała brzozy, a w górze gromadziły się chmury.

Na skraju lasu kozacy dosiedli koni i pogalopowali w kierunku wyrębu.

Dezerterów z dwieście dwunastego otoczono. Jeźdźcy wśród drzew zawsze wydają się wyżsi i groźniejsi niż na otwartej przestrzeni. Wywarli wrażenie także na żołnierzach, chociaż ci mieli przecież w ziemiankach karabiny. Kozacy dobyli szabel.

Pośrodku kręgu jezdnych, na sągu drzewa, uprzednio wyrównanym i uporządkowanym, stanął Hintz i zaczął wygłaszać mowę do dezerterów.

Znowu swoim zwyczajem mówił o żołnierskim obowiązku, o ojczyźnie i innych wzniosłych sprawach. Tutaj pojęcia te nie budziły żadnego oddźwięku. Zgromadzenie było zbyt liczne. Uczestniczący w nim ludzie wiele wycierpieli w czasie wojny, stracili wrażliwość, zmęczeni się. Dawno już mieli powyżej uszu słów, które wypowiadał Hintz. Byli zdemoralizowani ciągnącym się od czterech miesięcy zabieganiem o ich względy to z jednej, to z drugiej strony. Poza tym owych prostych ludzi rozdrażniło nierosyjskie nazwisko mówcy i jego bałtycka wymowa.

Hintz czuł, że mówi rozwlekłe, i był zły na siebie, uważał jednak, że dzięki temu mowa jego będzie bardziej zrozumiała dla tych ludzi, którzy zamiast wdzięczności okazują obojętność i niezyczliwe znudzenie. Coraz bardziej rozdrażniony, postanowił przemówić do tej publiczności językiem twardszym i uciec się do gróźb, które miał w zanadrzu. Nie słysząc narastającego szemrania, przypomniał żołnierzom, że sądy wojenno-rewolucyjne są zatwierdzone i działają, i pod groźbą śmierci zażądał złożenia broni i wydania prowodyrów. Jeśli tego nie zrobią, mówił, udowodnią, że są podłymi zdrajcami, nieświadomym byłem, chamami, którym przewróciło się w głowach. Od takiego tonu ludzie zdążyli odwyknąć.

Rozległ się ryk kilkuset głosów. „Pogadał sobie i dosyć. Wystarczy!” – Krzyczeli jedni basem i prawie bez gniewu. Padały jednak także histeryczne okrzyki, dyszkantem, przez zaciśnięte nienawiścią gardła. Zaczęto się im przysłuchiwać.

– Słyszeliście, towarzysze, jak nas wyzywa? Po staremu! Nie dało się wykorzenić oficerskich nawyków! To my jesteśmy zdrajcy? A ty sam z jakich, wasza wielmożność? Co się z nim patyczkować! Nie widzicie, że to Niemiec, nasłany? Ej, ty, pokaż dokumenty, arystokrato! A wy, tłumiciele, cóżeście gęby rozdziawili? Macie, wiążcie nas, bijcie!

Ale i kozakom niezręczne przemówienie Hintza podobało się coraz mniej. „Wciąż tylko chamy i świnię. Patrzcie go, jaśnie pan!” – szeptali między sobą. Początkowo tylko niektórzy, a potem coraz więcej kozaków zaczęło chować szable do pochew. Jedni po drugich zsiadali z koni. Pieszko, dużą grupą, bezładnie ruszali na środek polany w stronę dwieście dwunastego. Wszyscy się przemieszcza. Zaczęło się bratanie.

– Musi pan zniknąć jakoś niepostrzeżenie – mówili Hintzowi zaniepokojeni kozaccy oficerowie. – Na przejeździe stoi pańskie auto. Poślemy kogoś, żeby je podprowadzono bliżej. Niech pan co prędzej ucieka.

Hintz posłuchał rady, uważając jednak, że nie przystoi mu uciekać chyłkiem, skierował się do stacji bez żadnej ostrożności, niemal ostentacyjnie. Szedł ze straszną obawą, zmuszając się, by iść z honorem, spokojnie i bez pośpiechu.

Do stacji było już blisko, las prawie do niej przytykał. Na skraju, widząc przed sobą tory, komisarz obejrzał się po raz pierwszy. Za nim szli żołnierze z karabinami. „Czego oni chcą?” – pomyślał i przyspieszył kroku.

To samo czynili jego prześladowcy. Odległość między nim a pogonią nie zmniejszyła się. Hintz zrównał się z podwójną ścianą wysokich wagonów, skrył się za nią i zaczął biec. Pociąg, który przywiózł kozaków, odstawiono na bocznice. Tory były puste i Hintz przeciął je pędem.

Z rozbiegu wskoczył na wysoki peron. W tym momencie zza rozbitych wagonów wypadli ścigający go żołnierze. Powarichin i Kola coś krzyczeli do Hintza i dawali mu znaki, by biegł w głąb dworca, gdzie mogli go uratować.

Znów jednak wpajane od pokoleń poczucie honoru, inteligentkie, pełne ofiarności i w tych warunkach zupełnie niewłaściwe, zagroziło mu drogę ku ocaleniu. Nadludzkim wysiłkiem woli starał się powstrzymać oszalały łomot

serca. Trzeba do nich zawołać: „Bracia, opamiętajcie się, jakież ze mnie szpieg?” – pomyślał. – Trzeba powiedzieć coś serdecznego, co by ich otrzeźwiło, powstrzymało.

W ciągu ostatnich miesięcy pojęcie wielkiego czynu, krzyku duszy, kojarzył sobie nieświadomie z mównicami i trybunami, z krzesłami, na które wskakując mógł rzucić tłumom jakieś wezwanie, okrzyk, który by je porwał.

Przy wejściu na dworzec pod stacyjnym dzwonem stała wysoka beczka strażacka, szczelnie przykryta. Hintz wskoczył na wieko i skierował do swych prześladowców kilka chwytających za serce słów, niezyciowych i bezsensownych. Szaleńcza odwaga tego postępu, o dwa kroki od otwartych drzwi dworca, za którymi z łatwością mógł się schronić, oszołomiła żołnierzy. Stanęli jak wryci i opuścili broń.

Ale Hintz, stanąwszy na brzegu pokrywy, stracił ją. Jedną nogą wpadł w wodę, druga pozostała na zewnątrz, tak że usiadł jak gdyby okrakiem na krawędzi beczki.

Żołnierze skwitowali tę niezręczność wybuchem śmiechu i pierwszy z przodu wystrzałem w szyję położył nieszczęśnika na miejscu, pozostali zaś rzucili się na trupa z bagnetami.

11

Mademoiselle zatelefonowała do Koli, by jak najwygodniej umieścić doktora w pociągu, grożąc w przeciwnym razie niemiłymi dla Koli konsekwencjami.

Kola, odpowiadając mademoiselle, swoim zwyczajem prowadził jeszcze jakąś inną rozmowę telefoniczną i, sądząc po ułamkach dziesiętnych, którymi przeplatał mowę, przekazywał telegraficznie w jakieś trzecie miejsce zaszyfrowaną wiadomość.

– Psków, Komitet Północny, słyszysz mnie? Jakich buntowników? Jaką ręką? Ach, to pani, mamzel? Bzdury, Chiromancja. Niech pani da spokój i odłóż słuchawkę, przeszkadza mi pani. Psków, Komitet, Psków. Trzydzieści sześć przecinek zero zero piętnaście. O, cholera, taśma się zerwała. Co? Co? Nie słyszę. To znów pani, mamzel? Powiedziałem pani wyraźnie i po rosyjsku, że nie mogę, nie wolno. Proszę się zwrócić do Powarichina. Bzdury, chiromancja. Trzydzieści sześć... do diabła... proszę mi nie przeszkadzać, mamzel.

A mademoiselle mówiła:

– Ty mi nie mydli oczu, kiromansja, Psków, Psków, kiromansja, ja ciebie na wylot przywola do porządek, ty jutro będzie posadzi doktora do wagonu i więcej ja nie rozmawia z różny morderca i mali Judasz zdrajsa.

12

Dzień wyjazdu Jurija Andriejewicza był parny. Znow, jak onegdaj, zbierało się na burzę.

W zaplutej pestkami słonecznika przystacyjnej osadzie gliniane lepianki i gęsi białeły niesamowicie pod nieruchomym sklepieniem czarnego burzowego nieba.

Do budynku stacji przylegała rozległa polana, rozciągająca się szeroko w obie strony. Trawa na niej była wydeptana przez nieprzebrane tłumy, które całymi tygodniami wyczekiwały na pociągi jadące w rozmaitych kierunkach.

Wśród tłumy na palącym słońcu snuli się odziani w szare siermięgi staruszkowie, zasięgając tu i tam informacji i wysłuchując pogłosek. Milczący czternastolatki leżeli na boku wsparci na łokciach, z jakimiś oskubanymi z liści witkami w ręku, jak gdyby paśli bydło. Ich młodszy bracia i siostrzyczki w zadartych koszulkach śmigali pomiędzy ludźmi. Matki z wyciągniętymi sztywno nogami siedziały na ziemi, otulając swe niemowlęta polami krzywo zapiętych brązowych kaftaników.

– Rozbiegli się jak barany, kiedy się zaczęła ta strzelanina. Nie spodobało im się! – mówił z niechęcią zawiadowca Powarichin, lawirując z doktorem między rzędami ciał, leżących pokotem na zewnątrz przed drzwiami i w środku na podłodze. – I trawnik nagle opustoszał! Znow zobaczyli, jak wygląda ziemia. Ucieszyli się. Przez cztery miesiące nie było jej widać spod tego obozowiska – zapomnieli. O, tutaj leżał. Dziwna rzecz, napatrzyłem się w czasie wojny różnych okropności, myślałem, że już przywykłem. A tu ogarnęła mnie taka żałość! Tak głupio zginąć. I za co? Co on im złego zrobił? Ale czyż to są ludzie? Podobno był beniaminkiem w rodzinie. Teraz na prawo, tak, tak, tędy, proszę do gabinetu. Do tego pociągu niech pan nawet nie próbuje wsiadać, zaduszą człowieka na śmierć. Umieszczę pana w innym, lokalnym. Sami go tu zestawiamy, zaraz zaczniemy. Ale nikomu ani słowa! Bo jakby pan się wygadał, rozniosą go na kawałki, zanim doczepimy wagony. W nocy ma pan przesiadkę w Suchiniczach.

13

Kiedy sformowany w tajemnicy pociąg zaczął tyłem wyjeżdżać zza budynku depa na stację, cały tłum z łąki rzucił się przez tory ku sunącym tyłem wagonom. Ludzie jak groch toczyli się z pagórków i wbiegali na nasyp. Jedni, odpychając się nawzajem, skakali w biegu na zderzaki i platformy, inni wdrapywali się na okna i dachy wagonów. Pociąg zapełnił się do ostatnich granic jeszcze w ruchu, i kiedy wjechał na peron, był już kompletnie zapchany i od góry do dołu obwieszony podróżnymi.

Doktor cudem przecisnął się na pomost, a następnie w sposób jeszcze bardziej niepojęty przedostał się na korytarz wagonu.

Pozostał tam zresztą przez całą drogę i dojechał do Suchnicz siedząc na podłodze, na swoich bagażach.

Chmury burzowe dawno się rozeszły. Nad zalanymi palącym słońcem polami niosło się nie milknące, zagłuszające bieg pociągu granie koników polnych.

Stojący przy oknie pasażerowie zupełnie zasłaniali światło i rzucali na podłogę, ławki i ściany długie cienie, złamane na dwoje i troje. Te cienie nie mieściły się w pociągu. Wysuwały się na zewnątrz przez otwarte przeciwległe okna i biegły w podskokach po drugiej stronie nasypu wraz z cieniem pędzącego pociągu.

Dokoła gadano, śpiewano na całe gardło, kłócono się i grano w karty. Na stacjach do panującej tu wrzawy dołączał się z zewnątrz zgiełk oblegającego pociąg tłum. Dudnienie głosów było ogłuszające jak ryk burzy morskiej. I jak na morzu, nagle zapadała zagadkowa cisza. Wówczas można było usłyszeć śpieszne kroki na peronie wzdłuż pociągu, bieganinę i sprzeczki przy wagonie bagażowym, w oddali oddzielne słowa odprowadzających, ciche gdakanie kur i szum drzew w przystacyjnym ogródku.

I wtedy, niby telegram doręczony w podróży lub jak pozdrowienie z Mieluziejewa, przenikał przez okno, skierowany jakby tylko do Jurija Andriejewicza, znajomy aromat, który w cichym poczuciu własnej doskonałości pojawiał się gdzieś z boku i spływał z wyżyn, niedostępnych dla klombów czy pól.

Z powodu tłoku doktor nie mógł podejść do okna, ale nawet nie patrząc widział w wyobraźni te drzewa. Rosły chyba zupełnie blisko, spokojnie wyciągając ku dachom wagonów rozłożyste gałęzie z zakurzonym i gęstym jak noc listowiem, usianym woskowymi gwiazdkami migocących kwiatowych kiści.

Tak było przez całą drogę. Wszędzie zgiełkliwy tłum. Wszędzie kwitnące lipy.

Wszechobecna fala owego zapachu poprzedzała pędzący na północ pociąg niby pogłoska, która obiegła już wszystkie rozjazdy, budki dróżników i stacyjki, rozprzestrzeniła się i potwierdziła, i którą zawsze zastawali na miejscu.

14

W nocy w Suchiniczach usłużny bagażowy dawnego typu przeprowadził doktora przez nie oświetlone tory i wsadził go od tyłu do wagonu drugiej klasy jakiegoś pociągu, który dopiero co nadszedł poza rozkładem.

Tragarz otworzył konduktorskim kluczem tylne drzwi, wrzucił na platformę bagaże doktora i zaraz musiał stoczyć krótką walkę z konduktorem, który chciał ich natychmiast wyrzucić, lecz uproszony przez Jurija Nikołajewicza zniknął gdzieś, jakby się zapadł pod ziemię.

Tajemniczy pociąg był to skład pod specjalnym nadzorem i jechał dość szybko, z krótkimi postojami. W wagonie było zupełnie luźno.

Przedział, do którego wszedł Żywago, oświetlała stojąca na stoliku stopiona świeczka. Okno było uchylone i płomień chwiało się w podmuchach powietrza.

Świeca należała do jedynej w przedziale pasażera. Był to jasnowłosy młodzieniec, chyba bardzo wysoki, sądząc po długich rękach i nogach, zbyt łatwo zginających się w stawach, jak słabo ześrubowane części jakiegoś mechanizmu. Młody człowiek siedział niedbale rozparty na kanapce przy oknie. Na widok doktora uniósł się uprzejmie i zmienił pozycję z półleżącej na przyzwoitszą, siedzącą.

Pod jego kanapką leżało coś w rodzaju ścierki do podłóg. Nagle brzeg szmaty poruszył się i spod kanapki wygramolił się mozolnie długouchy wyżeł. Pies obwąchał i obejrzał Jurija Andriejewicza i zaczął biegać po przedziale z kąta w kąt, wyrzucając łapy równie gibko, jak jego tyczkowaty pan, gdy zakładał nogę na nogę.

Potem, na rozkaz pana, z trudem wcisnął się pod kanapkę i znów przybrał wygląd pomiętego sukna do podłogi.

Dopiero wtedy Jurij Andriejewicz spostrzegł na wieszakach dubeltówkę w pokrowcu, skórzaną ładownicę i torbę myśliwską, wypchaną upolowanym ptactwem.

Młody człowiek był myśliwym.

Okazał się niezwykle rozmowny. Natychmiast z uprzejmym uśmiechem wdał się z doktorem w pogawędkę, przy czym, bynajmniej nie w przenośni, lecz dosłownie, cały czas wpatrywał mu się w usta.

Młodzieniec miał nieprzyjemny wysoki głos, wpadający chwilami w metaliczny falset. I jeszcze jedną osobliwość: chociaż był niewątpliwie Rosjaninem, samogłoskę „u” wymawiał w sposób przedziwny. Zwężał ją na podobieństwo francuskiego „u” lub niemieckiego „ü”. Co więcej, owo okaleczone „u” sprawiało mu wiele trudu, wymawiał je z ogromnym wysiłkiem, popiskując, i głośniej niż inne dźwięki. Zaraz na początku rozmowy zdumiał Jurija Andriejewicza następującym zdaniem:

„Wczoraj rano üpolowałem düžo kaczüszek.”

Chwilami, kiedy się bardziej kontrolował, udawało mu się pokonać tę nieprawidłowość, ale wystarczyło, że się odrobinę zapomniał, i już znów się ona pojawiała.

„Ki diabeł? – pomyślał Żywago. – To coś, o czym czytałem, coś znajomego. Jako lekarz powinienem to znać, ale wyleciało mi z głowy. To jakaś anomalia mózgowa, wywołująca wadę wymowy. Ale to popiskiwanie jest tak śmieszne, że trudno utrzymać powagę. Zupełnie nie można rozmawiać. Lepiej wleżę na górę i położę się.”

Tak też zrobił. Kiedy zaczął się mościć na górnej półce, młody człowiek zapytał, czy by nie zgasić świecy, która może doktorowi przeszkadzać. Jurij Andriejewicz z wdzięcznością zaakceptował propozycję. Sąsiad zgasił świecę. Zapadła ciemność.

Okno w przedziale było do połowy opuszczone.

– Może byśmy zamknęli okno? – zapytał Jurij Andriejewicz. – Nie boi się pan złodziei?

Sąsiad nie odpowiedział. Jurij Andriejewicz powtórzył pytanie głośniej, ale znów bez rezultatu.

Wtedy doktor zapalił zapalniczkę, żeby zobaczyć, co się dzieje z współpasażerem, czy nie wyszedł z przedziału w tak krótkim czasie albo czy nie śpi, co byłoby jeszcze dziwniejsze.

Ale nie, młodzian siedział na swoim miejscu z otwartymi oczyma i uśmiechnął się do wychylonego z półki doktora.

Zapalniczka zgasła. Jurij Andriejewicz zapalił nową i w jej świetle po raz trzeci powtórzył pytanie.

– Niech pan zrobi, jak pan uważa – natychmiast odrzekł myśliwy. – Nie mam nic, co można by ukraść. Chociaż lepiej by było nie zamykać. Będzie duszno.

„Masz ci los! – pomyślał Żywago. – Ten dziwak rozmawia widocznie tylko w pełnym świetle. I jak prawidłowo teraz wszystko wymówił! Niesamowite!”

Doktor czuł się zupełnie rozbity wydarzeniami minionego tygodnia, denerwującymi przygotowaniem do podróży, pakowaniem i porannym załadunkiem do pociągu. Myślał, że zaśnie zaraz, gdy tylko uda mu się wygodnie wyciągnąć. Ale nic z tego. Przemęczenie wywołało bezsenność. Usnął dopiero o świcie.

W chaotycznym wirze myśli, kłębiących się w jego głowie w ciągu tych długich godzin, były właściwie tylko dwa tematy, dwa połączone kłębki, które zwijały się i znów rozwijały.

Jeden temat stanowiły myśli o Toni, domu i dawnym uporządkowanym życiu, w którym wszystko do najdrobniejszych szczegółów owiane było poezją i przesycone serdecznością i czystością. Doktor bał się o to życie, pragnąc je uchronić i ocalić, i pędząc nocnym pociągiem wyrывał się z powrotem ku temu życiu po dwuletniej z górą rozłące.

Podziw dla rewolucji, wierność jej ideałom również mieściły się w tym kręgu myśli. Była to rewolucja taka, jaką akceptowały klasy średnie, rewolucja w tym sensie, jaki nadawała jej wielbiąca Błoka inteligentka młodzież dziewięćset piątego roku.

Ów krąg myśli znanych i bliskich zawierał również te zapowiedzi nowego, obietnice i proroctwa, które ukazały się na horyzoncie przed wojną, między rokiem dwunastym a czternastym, a które miały nastąpić w rosyjskiej myśli, rosyjskiej sztuce i rosyjskich losach, w losie całego kraju i jego własnym.

Po wojnie zapragnął powrócić do owych prądów, wskrzesić je i kontynuować. Pragnął tego równie mocno jak powrotu do domu po długiej nieobecności.

Przedmiotem myśli drugiego kręgu były również sprawy nowe, ale jakże inne, jak bardzo różne! Nie własne, znane, wyrastające z przeszłości, lecz narzucone przez obecną rzeczywistość, nieuniknione, nieodwracalne, nagłe i zaskakujące.

Taką nową sprawą była wojna, jej krew, jej okropności, jej bezdomność i zdziczenie. Nowe były doświadczenia i mądrość życiowa, której uczyła wojna. Tym nowym były prowincjonalne miasta, do których rzucała go wojna, i ludzie, z którymi się stykał. Tym nowym była rewolucja, nie studencka, wyidealizowana w 1905 roku, ale ta obecna, zrodzona z wojny, krwawa, nie licząca się z niczym żołnierska rewolucja, kierowana przez znawców tego żywiołu, bolszewików.

Tym nowym była siostra Antipowa, rzucona przez wojnę nie wiadomo gdzie, ze swym zupełnie mu nieznanym życiem, nikogo o nic nie obwiniająca i bez słów wołająca o litość, zagadkowo małomówna i czerpiąca siłę ze swego milczenia. Nowe było dla Jurija Andriejewicza postanowienie, że wszelkimi siłami będzie się starał jej nie pokochać, chociaż przez całe życie usiłował odnosić się z miłością do wszystkich ludzi, nie mówiąc już o rodzinie i bliskich.

Pociąg gnał pełną parą. Pęd powietrza z uchylonego okna rozwiewał i obsypywał kurzem włosy doktora. W nocy na stacjach tak samo jak w ciągu dnia kłębił się tłum i szeleściły lipy.

Czasem z nocnych ciemności z hałasem podjeżdżały do stacji furmanki i taratajki. Zgiełk głosów i turkot kół mieszały się z szumem lip. W takich chwilach wydawało się doktorowi, że rozumie, czemu te nocne cienie szepczą i chylą się ku sobie, i co szepczą, leniwie obracając sennymi ociężałymi liśćmi niby płaczącymi się językami. Mówiły o tym samym, o czym myślał on, przewracając się z boku na bok na górnej półce – o owładniętej narastającymi niepokojami Rosji, o rewolucji, o fatalnej godzinie, jaka wybiła dla ojczyzny, i o jej przyszłej potędze.

16

Nazajutrz doktor obudził się późno. Było po jedenastej. „Markiz, Markiz!” – półgłosem uspokajał sąsiad wiercącego się psa. Ku zdziwieniu Żywagi nadal byli sami w przedziale, nikt się nie dosiadł po drodze. Mijali stacje o nazwach znanych doktorowi od dzieciństwa. Pociąg wyjechał z guberni kałuskiej i zapuszczał się w moskiewską.

Doktor zrobił toaletę w warunkach tak komfortowych jak przed wojną i wrócił do przedziału na śniadanie, które mu zaproponował tajemniczy towarzysz podróży.

Człowiek ten odznaczał się niezwykłą wprost rozmownością i ruchliwością. Lubił mówić, przy czym najważniejsza była dla niego nie wymiana myśli, lecz sama czynność mówienia, wypowiedanie słów i wydawanie dźwięków. W czasie rozmowy podrygiwał na kanapce jak na sprężynach, śmiał się ogłuszająco i bez powodu, gwałtownie zacierał ręce z zadowolenia, a kiedy i to mu nie wystarczało, by wyrazić zachwyt, klepał się dłońmi po kolanach i śmiał się do łez.

Rozmowa toczyła się równie dziwnie jak poprzedniego dnia. Nieznajomy był zaskakująco niekonsekwentny. Już to zapuszczał się w zwierzenia, do których nikt go nie zachęcał, już to bez mrugnięcia okiem pozostawiał najniewinniejsze pytania bez odpowiedzi.

Opowiedział o sobie całą masę historii zupełnie fantastycznych i bezsensownych. I niestety chyba mocno przesadzonych. Wyraźnie chciał zaimponować skrajnością swych poglądów i negowaniem powszechnie uznanych prawd.

Wszystko to przypominało doktorowi coś, co znał już dawniej. Tak radykalne poglądy wyznawali nihiliści ubiegłego stulecia, trochę później niektórzy bohaterowie Dostojewskiego, a zupełnie niedawno ich bezpośredni kontynuatorzy, to jest cała inteligencja prowincjonalna, wyprzedzająca często stołeczną dzięki kulturowanej w zapadłych kątach gruntowności wykształcenia, która w stolicach dawno wyszła z mody.

Młodzieniec oświadczył, że jest bratankiem pewnego znanego rewolucjonisty, jego rodzice zaś przeciwnie, to niepoprawni wstecznicy, żubry, jak się wyraził. W jednej z miejscowości leżących w pobliżu traktu mieli przyzwoitą posiadłość. Tam właśnie młodzieniec się wychował. Jego rodzice przez całe życie byli na noże ze

stryjem, ten jednak nie jest pamiętliwy i teraz dzięki swym wpływom ratuje ich od wielu przykrych kłopotów.

On sam, oznajmił rozmowny osobnik, wdał się ze swymi przekonaniemami w stryja – we wszystkim jest ekstremistą-maksymalistą: w sprawach życia, polityki, w sztuce. Znow zapachniało Pietieńką Wierchowieńskim, nie w sensie lewactwa, lecz demoralizacji i blagierstwa. „Zaraz się przedstawi jako futurysta” – pomyślał Jurij Andriejewicz, i rzeczywiście rozmowa zesłała na futuryzm. „A teraz zacznij mówić o sporcie – zgadywał dalej doktor – o kłusakach, o skating-ringach albo o walce francuskiej.” I rzeczywiście młodzian zaczął mówić o myślistwie.

Powiedział, że w rodzinnych stronach także polował, i pochwalił się, że jest wspaniałym strzelcem i gdyby nie jego kalectwo, przez które nie dostał się do wojska, na wojnie wyróżniłby się celnością strzałów.

Pochwyciwszy pytające spojrzenie Żywagi, wykrzyknął:

– Jak to? Pan niczego nie spostrzegł? A ja myślałem, że pan się domyślił mojej ułomności.

Wyjął z kieszeni i wręczył Jurijowi Andriejewiczowi dwie karteczki. Jedna z nich była wizytówką. Miał podwójne nazwisko – Maksym Aristarchowicz Klincow-Pogoriewszych, albo po prostu Pogoriewszych, jak kazał się nazywać na cześć stryja, noszącego to nazwisko.

Na drugiej karteczce była pokratkowana tabela z rysunkami dłoni w różnych ustawieniach z rozmaicie ułożonymi palcami. Alfabet migowy dla głuchoniemych. Nagle wszystko stało się jasne.

Pogoriewszych był fenomenalnym wychowankiem szkoły Hartmana czy Ostrogradskiego, to jest głuchoniemym, który absolutnie doskonale nauczył się mówić nie ze słuchu, lecz obserwując ruchy mięśni krtani nauczyciela i w ten sposób odczytując słowa rozmówcy.

Doktor skojarzył sobie teraz, skąd Pogoriewszych pochodzi i w jakich okolicach polował, i zapytał:

– Przepraszam za niedyskrecję, może pan nie odpowiadać, ale czy miał pan coś wspólnego z Republiką Zybuszyńską i jej powstaniem?

– A skąd... Chwileczkę... Więc pan znał Błażejkę?... Miałem, miałem! Oczywiście, że miałem coś wspólnego – radośnie zaterkotał Pogoriewszych, chichocząc, kiwając się całym ciałem z boku na bok i wściekle klepiąc się po kolanach. I znow rozsunęła się fantasmagoria.

Pogoriewszych powiedział, że Błażejko był dla niego pretekstem, a Zybuszyno po prostu miejscem, w którym krzewił swe własne idee. Jurij Andriejewicz nie bardzo mógł się w nich połapać. Filozofia Pogoriewszycha składała się w połowie z założeń anarchizmu, a w połowie ze zwykłej myśliwskiej blagi.

Pogoriewszych z flegmą, tonem wyroczni przepowiadał na najbliższą przyszłość straszliwe kłęski. Jurij Andriejewicz przyznawał w duchu, że możliwe, iż są one nieuniknione, ale oburzał go autorytatywny spokój, z jakim ten niemły młokos cedził swe proroctwa.

– Zaraz, zaraz – oponował nieśmiało. – Wszystko to rzeczywiście może się zdarzyć, ale moim zdaniem nie pora teraz na takie ryzykowne eksperymenty, w czasie takiego chaosu i rozkładu, w obliczu nacierającego wroga. Trzeba pozwolić krajowi, by przyszedł do siebie i odetchnął po jednym przewrocie, zanim się odważymy na następny. Trzeba poczekać, aż zapanuje jaki taki spokój i ład.

– Jest pan naiwny – odparł Pogoriewszych. – To, co pan nazywa rozkładem, jest zjawiskiem równie normalnym, jak pański zachwalany i ukochany ład. Burzenie to naturalny etap początkowy zakrojonego na szeroką skalę planu tworzenia. Społeczeństwo nie jest jeszcze dostatecznie zdeorganizowane. Musi się rozpaść całkowicie, a wtedy prawdziwa władza rewolucyjna odbuduje je z części na zupełnie innych zasadach.

Jurij Andriejewicz poczuł się nieswojo i wyszedł na korytarz.

Pociąg nabierając szybkości pędził przez podmoskiewskie osiedla. Co chwila podbiegały ku oknom i umykały do tyłu brzozy zagajniki z gęsto stojącymi domami letniskowymi. Przelatywały wąskie perony bez wiat, z letnikami i letniczkami, którzy odskakiwali w bok w obłoku pyłu, wirując jak na karuzeli. Pociąg gwizdał co chwila, a głucho rezonujące dziuplaste leśne echo zachłystywało się tym gwizdem i niosło go w dal.

Nagle, po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich dni, Jurij Andriejewicz uświadomił sobie wyraźnie, gdzie jest, co się z nim dzieje i co go czeka za jakąś godzinę czy dwie.

Trzy lata przemian, niepewności, przemarszów, wojna, rewolucja, przewroty, ostrzały, sceny zagłady, śmierci, wysadzone mosty, ruiny, pożary – wszystko to stało się nagle pozbawioną treści pustką. Pierwszym istotnym wydarzeniem po długiej przerwie było to zapierające dech zbliżanie się do domu, który ocalał i jest jeszcze na świecie, domu, w którym drogi sercu jest każdy kamyczek. To właśnie było życiem, to było wielkim wydarzeniem, tego szukali łowcy przygód, to właśnie było przedmiotem sztuki – przyjazd do najbliższych, powrót do siebie, do nowego istnienia.

Skończyły się zagajniki. Pociąg wyrwał się z liściastego wąwozu na swobodę. Rozległe pole, wspinając się ze zbocza wąwozu, łagodnym wzniesieniem uchodziło w dal. Pokryte było podłużnymi zagonami ciemnozielonych ziemniaków. Na wierzchołku, u krańca kartofliska, leżały na ziemi oszklone ramy wyjęte z inspektów. Na wprost pola, za ogonem pociągu, wisiała ogromna, na pół nieba, czarnofioletowa chmura. Przebijające spoza niej promienie słońca rozbiegały się kolistnie na wszystkie strony i po drodze, zawadzając o inspekty, zapalały się na szkle oślepiającym blaskiem.

Nagle z chmury sypnął wielkimi kroplami ukośny, migocący w słońcu grzybowy deszcz. Padał gęsto w tym samym tempie, w jakim stukał kołami rozpędzony pociąg, jak gdyby usiłował go dogonić lub bał się pozostać w tyle.

Doktor nie zdążył nawet tego spostrzec, a już zza góry ukazała się cerkiew Chrystusa Zbawiciela, a zaraz potem kopyły, dachy i kominy miasta.

– Moskwa – powiedział wracając do przedziału. – Trzeba się zbierać.

Pogoriewszych zerwał się, zaczął szperać w swej torbie myśliwskiej i wyjął z niej sporą kaczkę.

– Niech pan weźmie – powiedział. – Na pamiątkę. Spędziłem cały dzień w bardzo miłym towarzystwie.

Doktor próbował się wymawiać, ale na próżno.

– No dobrze – zgodził się wreszcie – wezmę to od pana jako prezent dla żony.

– Dla żony! Dla żony! Jako prezent dla żony – radośnie powtarzał Pogoriewszych, jak gdyby słyszał to słowo po raz pierwszy, po czym zaczął się trząść całym ciałem i śmiać się tak, że Markiz wyskoczył spod ławki, by wziąć udział w jego radości.

Pociąg zbliżał się do peronu. W wagonie zrobiło się ciemno jak w nocy. Głuchoniemy wręczył doktorowi dzikiego kaczora, zawiniętego w strzep jakiejś drukowanej odezwy.

Część szósta

Moskiewskie obozowisko

1

Ponieważ przez całą drogę doktor siedział bez ruchu w ciasnym przedziale, zdawało mu się, że biegnie tylko pociąg, a czas stoi, i że wciąż jeszcze jest zaledwie południe.

Zapadał już jednak wieczór, kiedy dorożka z doktorem i jego bagażami wydostała się stępa z nieprzeliczonego mrowia ludzi, tłoczących się na rynku Smoleńskim.

Może tak było rzeczywiście, a może na ówczesne wrażenia Jurija Andriejewicza nałożyło się doświadczenie późniejszych lat, ale potem, gdy wspominał tę chwilę, zdawało mu się, że już wówczas na rynku zbijano się w grupy tylko z nawyku, gdyż tłoczyć się nie było potrzeby, jako że daszki na pustych straganach były opuszczone i nawet nie zamknięte na kłódki, i na zapaskudżonym placu, z którego nie zmiatano nieczystości i odpadków, nie było już czym handlować.

Zdawało mu się również, że już wtedy widział skulonych na chodnikach przyzwoicie ubranych starców i staruszki, którzy tkwili tu niby niemy wyrzut sumienia i w milczeniu oferowali przechodniom na sprzedaż różne rzeczy, których nikt nie kupował i które nikomu nie były potrzebne: sztuczne kwiaty, okrągłe spirytusowe maszynki do parzenia kawy ze szklanymi wieczkami i gwizdkiem, wieczorowe toalety z czarnego szyfonu, mundury zlikwidowanych urzędów.

Ludzie prości handlowali rzeczami bardziej praktycznymi: ościstymi, szybko czerstwiejącymi bochenkami czarnego kartkowego chleba, brudnymi, rozmoczonymi kawałkami cukru i przekrojonymi na pół przez całe opakowanie „szesnastkami” machorki.

Na całym bazarze sprzedawano jakieś nieprawdopodobne rupiecie, które rosły w cenie w miarę przechodzenia z rąk do rąk.

Dorożka skręciła w jeden z przylegających do placu zaułków. Zachodzące z tyłu słońce grzało w plecy. Przed nimi toczyła się z hukiem pusta ciężarowa podwoda, wzbijając słupy kurzu, który mienił się brązem w promieniach zachodu.

Wreszcie udało się im wyprzedzić tę zawałdrogę. Ruszyli dalej. Doktora zdumiały poniewierające się wszędzie, na jezdniach i chodnikach, kupy starych gazet i afiszów, zdartych ze ścian domów i z płotów. Wiatr włożył je w jedną stronę, a kopyta, koła i nogi przechodniów w drugą.

Wkrótce, po przejechaniu kilku przecznic, ukazał się na rogu dwóch uliczek rodzinny dom. Dorożka stanęła.

Doktorowi zaparło dech w piersiach i mocno zabiło mu serce, kiedy wysiadłszy z dorożki podszedł do frontowych drzwi i zadzwonił. Na dzwonek nikt nie zareagował. Jurij Andriejewicz zadzwonił ponownie. Kiedy i ta próba nie przyniosła rezultatu, z narastającym niepokojem jął dzwonić z niewielkimi przerwami raz za razem. Dopiero po czwartym dzwonku wewnątrz zabręczał łańcuch i w otwartych szeroko drzwiach doktor zobaczył Antoninę Aleksandrownę. W pierwszej chwili oboje tak osłupieli ze zdumienia, że nie słyszeli swoich okrzyków. Ponieważ jednak Antonina Aleksandrowna jedną ręką przytrzymała otwarte drzwi i wyglądało to jak otwarte objęcia, fakt ten przywrócił im obojgu przytomność, rzucili się sobie w ramiona. Po chwili zaczęli mówić jednocześnie, przerywając sobie nawzajem:

– Powiedz mi najpierw, czy wszyscy zdrowi?

– Tak, tak, uspokój się. Wszystko w porządku. Napisałam ci w liście bzdury. Przepraszam. Ale musimy porozmawiać. Czemu nie telegrafowałeś? Zaraz Markieł zabierze twoje rzeczy. Aha, rozumiem, zaniepokoiłeś się, że to nie Jegorowna otworzyła? Jegorowna jest na wsi.

– Schudłaś. Ale jaka jesteś młoda i zgrabna! Zaraz zapłacę dorożkarzowi.

– Jegorowna pojechała po mąkę. Resztę zwolniliśmy. Teraz jest tylko jedna nowa, nie znasz jej, Niusza do opieki nad Saszeńką, i to wszystko. Wszystkich uprzedziliśmy, że masz przyjechać, i wszyscy czekają niecierpliwie. Gordon, Dudorow, wszyscy.

– A Saszeńka jak?

– Dobrze, dzięki Bogu. Właśnie się obudził. Gdybyś nie był prosto z drogi, moglibyśmy zaraz do niego pójść.

– Tata w domu?

– Nie pisaliśmy ci? Od rana do późnej nocy ślęczy w dumie dzielnicowej. Jest przewodniczącym. Tak, wyobraź sobie. Zapłaciłeś za dorożkę? Markieł! Markieł!

Stali z koszem i walizką na środku chodnika tarasując przejście, przechodnie oglądali ich od stóp do głów i długo gapili się na odjeżdżającą dorożkę i na otwarte szeroko drzwi czekając, co będzie dalej.

Tymczasem od bramy biegł już do młodych państwa Markieł w kamizelce na płóciennej koszuli, z kaszkietem w rękę, i w biegu krzyczał:

– Wszelki duch Pana Boga chwali, czy to Juroczka? A jakże! Tak jest, to on, nasz sokolik! Juriju Andriejewiczu, światło naszych oczu, nie zapomniałeś nas grzesznych, przybyłeś na rodzinny zapiecek! A państwo względem czego? No? Co się tak patrzycie? – opędzał się od gapiów. – Idźcie swoją drogę, łaskawcy! O, jak to ślepia wybałuszyci!

– Witaj, Markieł, uściskajmy się. Ależ wariacie, włóż czapkę. Co nowego, co dobrego? Jak żona i córeczki?

– A co ma być? Rosną. Dziękuję za pamięć. A co nowego – kiedyś ty tam wojował, i myśmy nie próżnowali. Zrobiliśmy taki bajzel i bałagan, że sam diabeł się nie połapie – a jakże! Ulice nie zamiatane, dachy nie naprawione, w brzuchu pustki jak w wielkim poście, bez aneksji i konstytucji.

– Oj, Markieł, Markieł, muszę się na ciebie poskarżyć Jurijowi Andriejewiczowi. Zawsze tak plecie, Juroczka. Nie cierpię tego jego błazeńskiego tonu. I pewnie przed tobą tak się popisuje, chce ci się przypodobać. Ale to cicha woda. Daj spokój, Markieł, nie tłumacz się. Podejrzany typ z ciebie. Mógłbyś się ustatkować, w końcu to nie magiel.

Markieł wniósł bagaże do sieni, zamknął drzwi i ciągnął dalej, cicho i poufnie:

– Antonina Aleksandrowna się gniewa, słyszałeś. I tak zawsze. Ty, Markieł, powiada, cały czarny jesteś w środku, jak nie przymierzając ta sadza w kominie. Teraz, powiada, nie tylko małe dzieciaki, teraz to nawet mops czy bolończyk zrobiły się mądre i swój pomysłuńek mają. Co prawda, to prawda, nikt nie przeczy, a ty, Juroczka, możesz wierzyć albo nie, ale mądrzy ludzie powiadają, że jest taka jedna książka, mason nadchodzący, sto czterdzieści lat pod kamieniem przeleżała, i teraz, po mojemu, to jest tak: sprzedali nas, Juroczka, rozumiesz, sprzedali, sprzedali za bezcen, za niuch tabaki. Patrzaj, już mi Antonina Aleksandrowna powiedzieć nie pozwala, o, widzisz, już rączką macha.

– A jak tu nie machać. No, dobrze. Postaw rzeczy na podłodze i znikaj, dziękuję, Markieł. Jak będziesz potrzebny, to Jurij Andriejewicz cię zawoła.

2

– No, odczepił się wreszcie. Nie wierz mu. To komediant. Przy ludziach udaje głupiego, a w cichości na wszelki wypadek nóż ostrzy. Tylko się jeszcze nie zdecydował, na kogo, obłudnik jeden.

– Przesadzasz! Według mnie jest po prostu pijany i błaznuje, to wszystko.

– A kiedyż on bywa trzeźwy! Ale pał go sześć. Boję się, żeby Saszeńka znów nie zasnął. Gdyby nie ten tyfus kolejowy... Nie oblażył cię wszy?

– Myślę, że nie. Jechałem komfortowo, jak przed wojną. Może się tylko umyję. Na razie na chybicka, a później już dokładnie. Ale dokąd idziesz? Czemu nie przez salon? Chodźcie teraz innymi schodami?

– Ach, ty przecież o niczym nie wiesz. Po namyśle oddaliśmy z tatą część parteru Akademii Rolniczej. Bo zimą nie bylibyśmy w stanie ogrzać całego mieszkania. A zresztą i piętro jest zbyt obszerne. Więc także im zaproponowaliśmy, ale na razie nie wzięli. Mają tu pracownie, herbaria, kolekcje nasion. Żeby się tylko szczury nie rozpleniły. Zawsze to ziarno. Na razie jednak utrzymują pokoje w czystości. Teraz to się nazywa powierzchnia mieszkalna. Tędy, tędy. Ach, ty gapo! Naokoło kuchennymi schodami. Rozumiesz? Idź za mną, ja cię zaprowadzę.

– Bardzo dobrze zrobiliście, żeście odstąpili pokoje. Pracowałem w szpitalu, który także mieścił się w hrabiowskiej rezydencji. Nie kończące się amfilady pokojów, posadzki ocalały tylko gdzieniegdzie. Po nocach nad łózkami palmy w donicach rozpościerały palce niby widma. Ranni, ludzie bywali, doświadczeni w bitwach, krzyczeli ze strachu przez sen. Co prawda byli to ludzie niezupełnie normalni, kontuzjowani. Palmy trzeba było wynieść. Chcę przez to powiedzieć, że w życiu ludzi zamożnych naprawdę było coś niezdrowego. Mnóstwo rzeczy zbędnych.

Nadmiar mebli i nadmiar pokoi, zbytnia delikatność uczuć, przesadne wyrażenia. Bardzo dobrze zrobiliście, żeście się ścieśnili. Ale jeszcze za mało. Warto by więcej.

– Co tam wystaje z tego zawiniątka? Ptasi dziób, kaczy łebek. Ach, co za cudło! Dziki kaczor! Skąd go masz? Oczom wprost nie wierzę! W dzisiejszych czasach to majątek!

– Dostałem w pociągu. To długa historia, potem ci opowiem. Jak radzisz, rozwinąć i zostawić w kuchni?

– Tak, oczywiście. Zaraz każę Niuszy oskubać i wypatroszyć. Na zimę zapowiadają różne okropieństwa, głód, zimno.

– Tak, wszędzie się o tym mówi. Patrzyłem teraz przez okno pociągu i myślałem. Cóż może być wspanialszego niż harmonia w rodzinie i praca? Reszta nie jest w naszej mocy. Chyba rzeczywiście wielu ludzi czekają nieszczęścia. Niektórzy chcą się ratować ucieczką na południe, na Kaukaz, przedrzeć się gdzieś dalej. Ja mam inne zasady. Mężczyzna powinien zacisnąć zęby i dzielić losy ojczystego kraju. Uważam to za oczywiste. Co innego wy. Bardzo bym chciał uchronić was od nieszczęść, wysłać w jakieś przyjemniejsze miejsce, na przykład do Finlandii. Ale jeśli będziemy tak po pół godziny stać na każdym stopniu, nigdy nie dotrzemy na górę.

– Zaraz. Posłuchaj. Mam nowinę. I to jaką! Byłabym zapomniała. Przyjechał Mikołaj Nikołajewicz.

– Jaki Mikołaj Nikołajewicz?

– Wujek Kola.

– Toniu! Nie może być! Jakże to?

– A jednak. Ze Szwajcarii. Okręzną drogą przez Londyn. I przez Finlandię.

– Toniu! Nie żartujesz? Widzieliście się z nim? Gdzie on jest? Czy nie dałoby się go tu sprowadzić zaraz, w tej chwili?

– Co za niecierpliwość! Jest za miastem, na jakimś letnisku. Obiecał wrócić pojutrze. Bardzo się zmienił, będziesz rozczarowany. Po drodze utknął w Petersburgu i został bolszewikiem. Tata sprzecza się z nim do ochrypnięcia. Ale rzeczywiście czemu my zatrzymujemy się co krok? Chodźmy. A więc też słyszałeś, że nie czeka nas nic dobrego, tylko same kłopoty, niebezpieczeństwa, niepewność?

– Sam też tak uważam. Ale trudno. Będziemy walczyć. Przecież niekoniecznie wszyscy muszą przegrać. Zobaczmy, jak zrobią inni.

– Chodzą słuchy, że nie będzie drzewa na opał, wody, światła. Mają zlikwidować pieniądze. Nie będzie zaopatrzenia. No i znowu stanęliśmy. Chodźmy. Wiesz co, podobno w jakimś sklepie na Arbacie są świetne płaskie żelazne piecyki, na których można ugotować cały obiad, paląc jedną gazetę. Dostałam adres. Trzeba kupić, dopóki jeszcze nie rozchwyłali.

– Słusznie. Kupimy. Mądrała z ciebie, Toniu! Ale wujek Kola, wujek Kola! Pomyśleć tylko! Nie mogę się opamiętać!

– Mam taki plan: wydzielimy na górze część mieszkania i zamieszkamy tam oboje z tatą, Saszeńką i Niuszą, powiedzmy, w dwóch, trzech pokojach, oczywiście połączonych, gdzieś w narożniku piętra, i całą resztę domu zostawimy. Odgradzimy się od niej całkowicie. Jeden taki żelazny piecyk ustawimy w środkowym pokoju,

rurę wystawi się przez lufcik, pranie, gotowanie, obiady, przyjmowanie wizyt – wszystko też tam, bo tam będzie ciepło, i może z Bożą pomocą jakoś przezimujemy.

– A jakżeby inaczej? Jasne, że przezimujemy, bez wątpienia. Świetnie to obmyślałaś. Zuch. I wiesz co, musimy uczcić przyjęcie twojego planu. Upieczemy kaczkę i zaprosimy wujka Kolę na osiedliny.

– Doskonale. A Gordona poproszę, żeby przyniósł spirytus. Zdobywa go w jakimś laboratorium. A teraz spójrz. To jest ten pokój, o którym mówiłam. Wybrałam właśnie ten. Podoba ci się? Postaw walizkę i zejdź po koszyk. Oprócz wuja i Gordona można by też zaprosić Innokientija i Szurę Schlesinger. Nie masz nic przeciwko temu? Nie zapomniałaś jeszcze, gdzie jest łazienka? Spryskaj się tam czymś dezynfekującym. A ja pójdę do Saszeńki, pošę Niuszę na dół i zawołam cię, jak już będzie można.

3

Najważniejszą nowością w Moskwie był dla Jurija Andriejewicza ten chłopczyk. Ledwie się Saszeńka urodził, doktora zmobilizowano. Cóż wiedział o synu?

Raz, już po zmobilizowaniu, doktor przyszedł przed wyjazdem do kliniki odwiedzić Tonię. Trafił na porę karmienia dzieci i nie wpuszczono go do żony.

Usiadł w poczekalni. Nagle w odległym korytarzu, przylegającym pod kątem do oddziału położniczego, gdzie leżały matki, rozległ się płaczliwy chór dziesięciu czy piętnastu niemowlęcych głosów i salowe z pośpiechem, by nie przeziębnić zawiniętych w pieluchy noworodków, zaczęły je przenosić pod pachą po dwa naraz, jak duże zawiniątka z jakimiś zakupami. Zaczęło się karmienie.

– Ua, ua – piszczały maleństwa niemal mechanicznie, jak gdyby spełniając swój obowiązek, wciąż na jednej nucie, i tylko jeden głos wyróżniał się w tym unisono. Dziecko krzyczało „ua, ua”, też bez cienia cierpienia, ale jak gdyby nie z obowiązku, lecz z jakąś basową, umyślnie ponurą niezyczliwością.

Jurij Andriejewicz już wtedy postanowił nazwać syna Aleksander, po teściu. Nie wiadomo czemu wyobraził sobie, że tak krzyczy jego synek, gdyż był to płacz z pewną indywidualnością, zapowiadający przyszły charakter i los człowieka, płacz o konkretnym zabarwieniu dźwiękowym, zawierającym w sobie imię dziecka, imię Aleksander, jak to sobie wyobrażał doktor.

Nie mylił się. Jak się potem okazało, to rzeczywiście płakał Saszeńka. I to było na razie wszystko, co wiedział o synu.

Dalszą z nim znajomość Jurij Andriejewicz zawierał za pośrednictwem zdjęć, które mu przysyłało w listach na front. Na fotografiach wesoly ładniutki bobas z dużą główką i usteczkami w ciup stał rozkraczony na kocyku z rączkami wzniesionymi w górę, jak gdyby tańczył z przysiadami. Miał wtedy rok, uczył się chodzić. Teraz kończył dwa lata i zaczynał mówić.

Jurij Andriejewicz podniósł z podłogi walizkę, rozpiął rzemienie i postawił ją na stoliku karcianym przy oknie. Co to był dawniej za pokój? Nie poznawał go. Widocznie Tonia wyniosła meble albo zmieniła tapety.

Doktor otworzył walizkę, by wyjąć przybory do golenia. Między kolumnkami cerkiewnej dzwonnicy wznoszącej się na wprost okna, ukazał się jasny księżyc w pełni. Kiedy jego blask wpadł do wnętrza walizki na ułożoną z wierzchu bieliznę, książki i przybory toaletowe, pokój przybrał inny wygląd i doktor go rozpoznał.

Był to wyprzątnięty składzik nieboszczki Anny Iwanowny. Trzymała w nim kiedyś zniszczone stoły i krzesła, niepotrzebne szpargały. Tu miała swoje archiwum rodzinne, w którym przechowywano latem zimową odzież. Za życia Anny Iwanowny kąty pokoju były zastawione aż pod sufit i zazwyczaj nikomu nie było wolno tu wchodzić. Ale w wielkie święta albo kiedy odbywały się kinderbale i dzieciom wolno było szaleć i biegać po całym piętrze, otwierano także ten pokój i dzieci bawiły się tu w zbójców, chowały się pod stołami, malowały twarze palonym korkiem i przebierały się jak na maskaradę.

Doktor stał przez chwilę, rozpamiętując to wszystko, a potem zszedł do sieni po zostawiony tam kosz.

Na dole w kuchni Niusza, cicha, nieśmiała dziewczuszka, siedząc w kucki, skubała kaczkę nad rozłożoną gazetą. Na widok Jurija Andriejewicza z koszem zaczerwieniła się jak mak, wyprostowała gibkim ruchem, otrząsając z fartuszka przyklejone pióra, i powitawszy go, zaproponowała, że pomoże. Doktor podziękował i odrzekł, że sam zanieśnie kosz.

Ledwie wszedł do dawnego składziku, kiedy z głębi drugiego czy trzeciego pokoju zawołała go Tonia:

– Jura, już można!

Poszedł więc do Saszeńki.

Pokój dziecinny mieścił się obecnie w dawnym pokoju do nauki, gdzie uczyli się oboje z Tonią. Chłopczyk w łóżeczku okazał się wcale nie taki śliczny jak na fotografiach, był za to jak dwie krople wody podobny do matki Jurija Andriejewicza, nieboszczki Marii Nikołajewny Żywago. Był jej absolutną kopią, bardziej podobną niż wszystkie portrety.

– To jest tatuś, twój tatuś, podaj tatusiowi rączkę – powtarzała Antonina Aleksandrowna, opuszczając siatkę łóżeczka, by ojciec mógł objąć synka i wziąć go na ręce.

Saszeńka pozwolił się zbliżyć nieznanemu nieogolonemu panu, którego się chyba obawiał, i kiedy ten się nad nim pochylił, gwałtownie wstał, przytrzymał się maminej bluzki i gniewnie, z rozmachem, uderzył ojca w twarz. Własna odwaga tak go przeraziła, że natychmiast rzucił się matce w objęcia, ukrył głowę w jej sukni i rozplakał się gorzkimi, nieutulonymi, dziecinnymi łzami.

– A fe, fe – gromiła go Antonina Aleksandrowna. – Tak nie wolno, Saszeńka. Tatuś pomyśli, że Sasza jest brzydki, że Sasza fe. Pokaż, jak ty całujesz, pocałuj tatę. Nie płacz, nie trzeba płakać, no, czego, czego, głuptasie?

– Daj mu spokój, Toniu – odezwał się doktor. – Nie męcz go i sama się nie dnerwuj. Ja wiem, jakie brednie chodzą ci po głowie. Że to nie bez powodu, że to zły znak. To przecież głupstwo. Zupełnie naturalne. Mały nigdy mnie nie widział. Jutro przyjrzy mi się lepiej i nie będzie nas można rozdzielić.

Ale sam także wyszedł z pokoju jak obłany zimną wodą, pełen złych przeczuc.

4

Kilka następnych dni pokazało, jak dalece jest samotny. Nikogo o to nie obwiniał. Widać sam tego chciał i udało mu się to osiągnąć.

Przyjaciele dziwnie zbladli i zszarzeli. Żaden nie miał już własnego świata, własnego zdania. O wiele barwniejsi byli we wspomnieniach Żywagi. Widocznie dawniej ich przeceniał.

Dopóki porządek rzeczy pozwalał ludziom zamożnym na dziwactwa i szaleństwa popełniane kosztem niezamożnych, łatwo było brać za dobrą monetę, uważać za oryginalność owe szaleństwa i prawo do nieróbstwa, z którego korzystało mieszczaństwo, podczas gdy większość cierpiała.

Wystarczyło jednak, by ruszyły się niższe warstwy, a wyższe utraciły swe przywileje, i natychmiast wszyscy spospolicieli, rozstali się bez żalu z samodzielną myślą, której widocznie nigdy nie posiadali.

Teraz bliscy byli doktorowi tylko ludzie bez frazesów i patosu, żona i teść, i może ten czy ów spośród kolegów-lekarzy, zwyczajnych, skromnych ludzi pracy.

Przyjęcie z kaczką i spirytusem odbyło się w oznaczonym czasie, tak jak planowano, na drugi czy trzeci dzień po powrocie doktora, kiedy zdążył się już zobaczyć ze wszystkimi zaproszonymi, tak że nie było to ich pierwsze spotkanie.

Tłusta kaczka była w owych już głodnych czasach niezwykle rarytasem, ale brakowało do niej chleba, przez co wspaniałość potrawy irytująco traciła sens.

Gordon przyniósł spirytus w szczelnie zakorkowanej aptecznej flaszcze. Spirytus był ulubionym środkiem płatniczym spekulantów. Antonina Aleksandrowna nie wypuszczała butelki z rąk i w miarę potrzeby mieszała z wodą niewielkie porcje, zależnie od natchnienia, albo za mocne, albo za słabe. Okazało się przy tym, że nierównomierny rausz wywołany tą zmienną mieszanką niektórzy znoszą gorzej, niż gdyby się zwyczajnie, porządnie upili. To też było irytujące.

Najsmutniejsze jednak było to, że przyjęcie stanowiło odstępstwo od zwykłych w tym czasie warunków życia. Nie sposób było przypuszczać, że w domach naprzeciwko o tej porze ludzie również jedzą i piją. Za oknem rozpościerała się milcząca, ciemna i głodna Moskwa. Jej sklepy były puste, a o takich rzeczach jak kaczka czy wódka wszyscy już dawno zapomnieli.

I oto okazało się, że tylko życie podobne do życia innych i tonące w nim bez śladu jest życiem prawdziwym, że szczęście wyobcowane nie jest szczęściem, tak że kaczka i spirytus, chyba jedyne w całym mieście, przestały być kaczką i spirytusem. To smuciło najbardziej.

Goście również budzili niewesołe myśli. Gordon był dobry, dopóki wolno myślał i mówił posepnie i nieskładnie. Był najlepszym przyjacielem Jurija Andriejewicza. W gimnazjum bardzo go lubiano.

Ale widocznie przestał się sobie podobać, gdyż jął wzbogacać swą osobowość rozmaitymi niezręcznymi dodatkami. Udawał dziarskiego wesołka, wciąż coś

opowiadał, siląc się na dowcip, i często powtarzał „ciekawe” i „zabawne”. Były to słowa obce w jego leksykonie, bowiem Gordon nigdy nie traktował życia jak rozrywki.

Przed przyjściem Dudorowa opowiadał śmieszną, jak mu się wydawało, historię małżeństwa Niki, popularną wśród znajomych. Jurij Andriejewicz jej nie znał.

Otóż Dudorow był żonaty około roku, a potem się rozwiódł. A oto na czym polegał wątpliwy dowcip tej historii.

Dudorow trafił do wojska przez pomyłkę jako prosty żołnierz. Zanim nieporozumienie wyjaśniono, najwięcej kar otrzymał za gapiostwo i nieoddawanie honorów na ulicy. Kiedy go zwolniono, jeszcze długo na widok oficera ręka skakała mu w górę, ćmiło się w oczach i wszędzie zwidowały mu się oficerskie pagony.

W tym okresie wszystko robił niezręcznie, popełniał rozmaite pomyłki i gafy. Chyba właśnie wtedy na pewnej przystani nad Wołgą poznał dwie panny, siostry, które czekały na ten sam statek; podobno w roztargnieniu, wywołanym mnóstwem kręcących się wokół oficerów i wspomnieniami nieszczęsnego salutowania, nie przyjrzał się dokładnie, zakochał się nieopacznie i pochopnie oświadczył się młodszej z sióstr. „Zabawne, prawda?” – pytał Gordon. Musiał jednak przerwać swą historię, gdyż za drzwiami dał się słyszeć głos bohatera opowieści. Do pokoju wszedł Dudorow.

W nim również nastąpiły zmiany, tyle że w odwrotnym kierunku. Dawny lekkomyślny i kapryśny wartogłów stał się statecznym uczonym.

Kiedy jako młodego chłopca wyrzucono go z gimnazjum za udział w przygotowaniu ucieczki jakiegoś więźnia politycznego, przez jakiś czas tułał się po rozmaitych uczelniach artystycznych, w końcu jednak przybił do przystani humanistycznej. Później niż jego koledzy, już w czasie wojny, Dudorow ukończył uniwersytet i podjął pracę na dwóch katedrach: historii Rosji i historii powszechnej. Na pierwszej pisał coś o polityce rolnej Iwana Groźnego, a na drugiej rozprawę na temat Saint-Justa.

Mówił teraz o tym wszystkim cichym i jakby przeziębionym głosem, w rozmarzeniu patrząc w jeden punkt, nie spuszczać i nie podnosząc wzroku, jak podczas wykładu.

Pod koniec wieczoru, kiedy wpadła Szura Schlesinger, zasypując wszystkich jakimiś pretensjami, a goście, i tak już podochoceni, krzyczeli jeden przez drugiego, Innokientij, z którym Jurij Andriejewicz od szkolnych lat był per „pan”, kilkakrotnie zapytał:

– Czytał pan „*Wojnę i świat*” i „*Flet kręgosłupa*”?

Jurij Andriejewicz już dawno powiedział, co myśli na ten temat, ale w ogólnym rozgwarze Dudorow nie dosłyszał i po pewnej chwili zapytał jeszcze raz:

– Czytał pan „*Flet kręgosłupa*” i „*Człowieka*”?

– Przecież już panu odpowiedziałem, tylko że pan nie słuchał. Ale niech będzie. Powiem jeszcze raz. Majakowski zawsze mi się podobał. Jest to jakaś kontynuacja Dostojewskiego. Albo raczej liryka, stworzona przez którąś z jego młodych gniewnych postaci w rodzaju Hipolita, Raskolnikowa albo bohatera „*Podrostka*”.

Jakiż to potężny, wszechogarniający talent! Jakież to wszystko zdecydowane, nieustępliwe i bezpośrednio! A przede wszystkim z jakimż rozmachem autor ciska to wszystko w twarz społeczeństwu i jeszcze dalej, w przestrzeń!

Główną postacią spotkania był jednak oczywiście wuj. Antonina Aleksandrowna myliła się, twierdząc, że jest on na lotnisku. Mikołaj Nikołajewicz wrócił w dniu przyjazdu siostrzeńca i był w mieście. Jurij Andriejewicz widział się z nim już dwa czy trzy razy i zdążyli się obaj nagadać i naśmiać.

Ich pierwsze spotkanie odbyło się wieczorem w szary pochmurny dzień. Drobnutkim mokrym pyłem mżył deszczyk. Jurij Andriejewicz odwiedził wuja w hotelu, gdzie obecnie przyjmowano gości tylko na polecenie władz. Ale Mikołaj Nikołajewicz był ogólnie znany, miał jeszcze koneksje z dawnych lat.

Hotel robił wrażenie domu wariatów, z którego uciekł cały personel. Pustka, chaos, bałagan na schodach i w korytarzach.

Wielkie okno nieposprzątanego numeru wychodziło na duży, bezludny w owe szalone dni plac, od którego wiało niepojętą grozą, jak gdyby był sennym majakiem, a nie rzeczywisty placem, rozpościerającym się pod oknami hotelu.

Było to zdumiewające, niezapomniane, znamienne spotkanie! Doktor znów miał przed sobą żywe, z krwi i kości, bożyszczce swego dzieciństwa, władcę swych młodzięcych marzeń.

Mikołajowi Nikołajewiczowi było bardzo do twarzy z siwizną. Zagraniczny luźny garnitur leżał świetnie. Wuj wyglądał młodo jak na swoje lata i był bardzo przystojny. Oczywiście ogromnie tracił w zestawieniu z doniosłością rozgrywających się wydarzeń, które go jakby przesłaniały, Ale doktorowi ani w głowie nie powstało mierzyć wuja taką miarą.

Zdumiał go spokój Mikołaja Nikołajewicza, jego zimna krew i ironiczny ton, którym rozmawiał na tematy polityczne. Jego umiejętność panowania nad sobą przewyższała obecne możliwości Rosjan. Ta cecha zdradzała w nim przybysza, rzucała się w oczy, wydawała się staromodna i wywoływała skrępowanie.

Ach, ale przecież wcale nie to, nie to wypełniło pierwsze godziny ich spotkania, sprawiło, że rzucili się sobie na szyję, że płakali, a wzruszenie przerywało ich pośpieszną, gorączkową rozmowę.

Spotkały się dwa twórcze charaktery, złączone więzami krwi, i chociaż odrodziła się przeszłość, ogarnęły ich wspomnienia i wypłynęły na powierzchnię wydarzenia, które zaszły w latach rozłąki, to jednak, gdy tylko rozmowa zesła na sprawy najważniejsze, dostępne jedynie umysłom twórczym, natychmiast znikły wszystkie więzy oprócz tego jednego, nie było już wuja i siostrzeńca, różnicy wieku, pozostała tylko bliskość dwóch żywiołów, dwóch energii, dwóch pierwiastków twórczych.

Przez ostatnie dziesięć lat Mikołaj Nikołajewicz nie miał okazji rozmawiać o urokach tworzenia i powołaniu twórcy z kimś, kto go tak doskonale rozumiał. Jurij Andriejewicz ze swej strony nie słyszał jeszcze ocen tak przenikliwych, celnych i tak uskrzydających.

Co chwila obaj zrywali się z okrzykiem i zaczynali biegać po pokoju, chwytając się za głowę, zdumieni trafnością i zgodnością albo stawali przy oknie i w milczeniu bębnilo palcami w szybę, wstrząśnięci wzajemnym zrozumieniem.

Tak wyglądało ich pierwsze spotkanie, ale potem doktor kilka razy widział Mikołaja Nikołajewicza w towarzystwie, gdzie wuj był zupełnie inny, zmieniony nie do poznania.

Mikołaj Nikołajewicz czuł się w Moskwie gościem i nie chciał utracić tego poczucia. Było również niejasne, czy uważał za swój dom Petersburg, czy jakieś inne miejsce. Pochlebiała mu rola złotoustego polityka i lwa salonowego. Może nawet wyobrażał sobie, że w Moskwie utworzą się salony polityczne jak w Paryżu u madame Roland przed Konwentem.

Odwiedzał swe przyjaciółki, gościnne mieszkanki cichych moskiewskich uliczek, i w czarujący sposób wysmiewał je i ich mężów za połowiczność działań i zacofanie, zarzucał im, że nie widzą dalej własnego nosa. Błyszczał teraz odczytaniem w bieżącej prasie, tak jak niegdyś znajomością wywrotowych książek i tekstów orfickich.

Mówiono, że w Szwajcarii pozostawił nową młodą flamę, nie dokończone sprawy, nie dopisaną książkę i że zanurzył się tylko w rwącym ojczystym nurcie, a potem, jeśli wychynie zeń cały i zdrowy, znów przepadnie bez śladu w swych Alpach.

Opowiadał się po stronie bolszewików i często wymieniał nazwiska dwojga lewicowych eserowców jako wyznawców tych samych co on idei; byli to dziennikarz, piszący pod pseudonimem Miroszka Pomor, i publicystka Sylwia Koteri.

Aleksander Aleksandrowicz zrzędził z wyrzutem:

– Strach pomyśleć, dokąd pan zaszedł, Mikołaju Nikołajewiczu! Ten cały Miroszka to przecież dno! Albo ta pańska Lidia Pokori.

– Koteri – poprawiał Mikołaj Nikołajewicz. – Sylwia.

– Wszystko jedno, Pokori czy Potpourri, to nie ma żadnego znaczenia.

– A jednak, za pozwoleniem, Koteri – cierpliwie nalegał Mikołaj Nikołajewicz, po czym obaj panowie wygłaszali takie na przykład przemówienia:

– O co my się kłócimy? Tego rodzaju prawd nie ma co udowadniać. To jasne jak dwa a dwa cztery. Główny trzon narodu przez stulecia wiódł egzystencję zupełnie nie do pomyslenia. Weźmy pierwszy lepszy podręcznik historii. Jakkolwiek by się to nazywało, feudalizm i prawo pańszczyźniane czy kapitalizm i przemysł fabryczny, nienaturalność i niesprawiedliwość takiego porządku rzeczy spostrzeżono już dawno i dawno przygotowano przewrót, który wyprowadzi naród ku światłu i wszystko ustawi na właściwych miejscach.

Zdaje pan sobie sprawę, że częściowe zmiany starego porządku nie dadzą rezultatu, konieczny jest radykalny przewrót, który może zburzyć całą budowlę.

No więc co? Z faktu, że to straszne, nie wynika przecież wniosek, że to nie nastąpi. To tylko kwestia czasu i nie ma o czym dyskutować.

– Och, przecież nie o to chodzi. Czy ja twierdzę coś takiego? Co mówiłem? – złościł się Aleksander Aleksandrowicz i sprzeczka wybuchała z nową siłą. – Ci

pańscy Potpourri i Miroszki to ludzie bez sumienia. Mówią jedno, a robią drugie. A więc, gdzież logika? Jedno z drugim nie ma nic wspólnego. Niech pan zaczeka, zaraz panu pokażę.

I trzaskając szufladami zaczynał szukać jakiegoś pisma z artykułem pełnym sprzeczności, a owa hałaśliwa krzątanka pobudzała jeszcze jego elokwencję.

Aleksander Aleksandrowicz lubił, żeby mu coś przeszkadzało w rozmowie, żeby te przeszkody usprawiedliwiały mamlące pauzy, przeciągłe „eee” i „mmm”. Robił się rozmowny w czasie poszukiwań jakiejś zgubionej rzeczy, na przykład przy szukaniu w mrocznym przedpokoju drugiego kalosza albo kiedy z ręcznikiem na ramieniu stał w drzwiach łazienki czy też przy podawaniu przez stół ciężkiego półmiska lub w czasie nalewania gościom wina.

Jurij Andriejewicz słuchał teścia z rozkoszą. Uwielbiał tę dobrze sobie znaną moskiewską śpiewną wymowę, z charakterystycznym dla rodziny Gromieków miękkim grasejowaniem, przypominającym mruczenie kota.

Górna warga Aleksandra Aleksandrowicza z podstrzyżonymi wąsikami lekko wydymała się nad dolną. Tak samo odstawała mu muszka pod szyją. Między tą wargą i muszką było jakieś podobieństwo, coś naiwnie dziecinnego, wzruszającego.

Późną nocą przed odejściem gości zjawiała się Szura Schlesinger. Przyszła prosto z jakiegoś zebrania, w żakiecie i robociarskiej czapce, energicznie wkroczyła do pokoju, i kolejno podając wszystkim rękę, natychmiast wybuchnęła żalami i pretensjami.

– Dzień dobry, Toniu. Dzień dobry, Sanieczka. Przyznacie chyba, że to świństwo. Wszędzie słyszę, że przyjechał, cała Moskwa o tym mówi, a ja się od was dowiaduję ostatnia. Ale do diabła z wami. Widać nie zasłużyłam sobie. Gdzie jest ten nasz wytęskniony? Pozwólcie mi przejść. Obstąpili go murem. No, witaj. Zuch, zuch z ciebie. Czytałam. Nic nie rozumiem, ale genialne. To widać od razu. Witam pana, panie Mikołaju Mikołajewiczu. Zaraz do ciebie wrócę, Juroczka. Mam z tobą do pomówienia o szczególnie ważnych sprawach. Witajcie, młodzieńcy. A, i ty tutaj, Gogoczka? Gęsi, gęsi, gęgawy, poleciały nad stawy?

Ostatni okrzyk skierowany był do dalekiego krewnego Gromieków Gogi, zagorzałego zwolennika wszelkich nowych prądów, którego za głupotę i skłonność do śmiechu zwano Głupim Jasiem, a z powodu wysokiego wzrostu i chudości – soliterem.

– A wy tu sobie jecie i pijecie. Zaraz was dogonię. Ach, moi państwo, moi państwo! Nic nie wiecie, pojęcia nie macie, co się wyprawia na świecie! Jakie rzeczy się dzieją! Idźcie na jakiegokolwiek prawdziwe zebranie mas, z autentycznymi robotnikami, z autentycznymi żołnierzami, nie takimi jak w książkach. Spróbujcie się tam choćby zająknąć o wojnie do zwycięskiego końca, a pokażą wam ten zwycięski koniec! Właśnie słuchałam jakiegoś marynarza! Juroczka, oszalałbyś! Co za zapał! Co za konsekwencja!

Wszyscy jej przerywali. Każdy krzyczał co innego. Szura przysiadła się do Jurija Andriejewicza, wzięła go za rękę, i pochylając ku niemu twarz, by przekrzyczeć hałas, wołała na jednym tonie, jak do słuchawki:

– Musisz kiedyś ze mną pójść, Juroczka. Pokażę ci ludzi. Musisz, rozumiesz, musisz jak Anteusz dotknąć ziemi. Czemu wytrzeszczasz oczy? Dziwisz mi się? Nie wiesz, że jestem starą weteranką, starą bestuzewką? Znam więzienia śledcze, walczyłam na barykadach! Tak! A coś ty myślał? O, my wcale nie znamy ludu! Idę prosto stamtąd, z samego epicentrum. Zakładam im bibliotekę.

Zdażyła już sobie podchmielić i było to wyraźnie widać. Ale i doktorowi szumiało w głowie. Nie zauważył, jak Szura znalazła się w jednym kącie pokoju, a on w drugim, przy końcu stołu. Stał i przemawiał, co go samego zaskoczyło. Nie od razu udało mu się przekrzyczeć hałas.

– Panowie... Chcę... Misza! Gogoczka!... Ale co robić, Toniu, skoro nie chcą słuchać? Panowie, pozwólcie mi powiedzieć dwa słowa. Nadciąga coś niebywałego, niezwykłego. Zanim nadejdzie tu do nas, posłuchajcie, czego sobie i wam życzę. Kiedy to nastąpi, daj nam Boże, byśmy nie utracili się nawzajem i byśmy nie utracili naszych dusz. Gogoczka, wiwatować będzie pan później. Jeszcze nie skończyłem. Przerwijcie rozmowy po kątach i słuchajcie uważnie.

W trzecim roku wojny w narodzie rozpowszechniło się przekonanie, że prędzej czy później zatrze się granica pomiędzy frontem a tyłami, morze krwi popłynie, zatopi tych, którzy się dekują, i tych w okopach. Ten potop to właśnie jest rewolucja.

W czasie jej trwania będzie się wam wydawać, tak jak nam na wojnie, że życie ustało, że skończyło się wszystko, co osobiste, że na świecie nie dzieje się nic poza zabijaniem i umieraniem, a jeżeli dożyjemy do wspomnień i pamiątek o tamtych czasach i przeczytamy te wspomnienia, przekonamy się, że w ciągu tych pięciu czy dziesięciu lat przeżyliśmy więcej niż inni przez całe stulecia.

Nie wiem, czy lud sam się podniesie i ruszy ławą, czy wszystko dokona się w jego imieniu. Wydarzenie tak doniosłe nie musi być spektakularne. Ja i tak w nie uwierzę. Byłoby czymś małostkowym doszukiwać się przyczyn tak tytanicznych wydarzeń. Te wydarzenia nie mają przyczyn. Tylko domowe kłótnie mają swoją genezę; ludzie szarpią się za włosy, tłuką talerze, a potem pojęcia nie mają, kto zaczął pierwszy. Natomiast wszystko, co jest naprawdę wielkie, nie ma początku jak wszechświat. Nagle ukazuje się w całej pełni, jak gdyby istniało zawsze lub jakby spadło z nieba.

Ja także uważam, że Rosji sądzone jest stać się pierwszym w dziejach świata krajem socjalizmu. Kiedy to nastąpi, długo będziemy ogłuszeni, a kiedy się ockniemy, nie odzyskamy już utraconej pamięci. Zapomnimy część przeszłości i nie będziemy szukać wyjaśnienia spraw niezwykłych. Nowy porządek równie zwyczajny jak las na horyzoncie czy obłoki nad głową otoczy nas ze wszystkich stron. I nie będzie istnieć nic innego.

Mówił coś jeszcze i przez ten czas zupełnie wytrzeźwiał. Nadal jednak niezbyt dobrze słyszał, co się mówi dokoła, i odpowiadał bez sensu. Czuł powszechną sympatię, ale nie mógł odegnać smutku, który wyprowadzał go z równowagi.

– Dziękuję, dziękuję – powiedział. – Nie zasłużyłem na tyle uczucia. Ale nie wolno kochać tak zapobiegliwie i skwapliwie, jak gdyby ze strachu, żeby potem nie trzeba było kochać jeszcze bardziej.

Wszyscy zaczęli się śmiać i klaskać, biorąc to za zamierzony dowcip, a on nie mógł sobie znaleźć miejsca na myśl o zagrażającym nieszczęściu i o tym, że na przyszłe wydarzenia nie ma żadnego wpływu mimo całego swego pragnienia dobra i szczęścia.

Goście zaczęli się rozchodzić. Twarze mieli wyciągnięte ze zmęczenia, a ustawiczne ziewanie wydłużało je jeszcze, upodabniając wszystkich do koni.

Rozsunięto zasłonę i otwarto okno. Ukazał się żółtawy świt, mokre niebo, zaciągnięte brudnymi, ziemisto-zielonkawymi chmurami.

– Chyba przeszła burza, kiedyśmy tu gadali – powiedział ktoś.

– Deszcz mnie złapał w drodze do was. Ledwie dobrnęłam – potwierdziła Szura Schlesinger.

W pustej i jeszcze ciemnej uliczce bębniły spadające z drzew krople i uporczywie ćwierkały przemoknięte wróble.

Nagła błyskawica przeorała niebo, huknęło i znów zapadła cisza. A potem przetoczyły się cztery głuche, spóźnione uderzenia, niby wielkie kartofle, wyrzucane na jesieni łopatą ze spulchnionej bruzdy.

Piorun oczyścił powietrze w dusznym, zadymionym pokoju. Nagle, niby ogniwa galwaniczne, stały się dostrzegalne części składowe istnienia – woda i powietrze, pragnienie radości, ziemia i niebo.

Uliczka rozbrzmiewała głosami rozchodzących się gości. Nadal rozmawiali głośno, ciągnąc spór rozpoczęty w domu. Głosy oddalały się, cichnąc stopniowo.

– Ależ późno – powiedział Jurij Andriejewicz. – Chodźmy spać. Ze wszystkich ludzi na świecie kocham tylko ciebie i tatę.

5

Minął sierpień, kończył się wrzesień. Nadciągało nieuniknione. Zbliżała się zima, a w świecie ludzi zaczynało się owe, podobne do zimowego, przesądzone z góry obumieranie, które unosiło się w powietrzu i było na ustach wszystkich.

Należało się przygotować do mrozów, porobić zapasy żywności i opału. Ale w dniach triumfu materializmu materia stała się pojęciem, żywność zaś i drwa zastąpił problem żywnościowy i opałowy.

Ludzie w miastach byli bezradni jak dzieci w obliczu niewiadomego, które obalało na swej drodze wszystkie ustalone nawyki i pozostawiało po sobie pustkę, choć samo było dziecięciem miasta i tworem jego mieszkańców.

Wszyscy wokół perorowali, oszukiwali samych siebie. Powszedniość jeszcze kulała, utykając wlokła się naprzód siłą przyzwyczajenia. Doktor jednak widział życie bez osłonek, widział, że jest ono skazane na zagładę, tak jak skazany był on i całe jego otoczenie. Czekały ich ciężkie próby, a może nawet zguba. Dni, które im pozostały, topniały w oczach.

Oszalałby chyba, gdyby nie codzienne sprawy, troski i kłopoty. Żona, dziecko, konieczność zdobycia pieniędzy – to był jego ratunek – cała ta powszedniość, pogodzenie się z losem, dom, praca, wizyty u chorych.

Zdawał sobie sprawę, że jest Pigmejem wobec potwornej maszyny przyszłości, bał się jej, kochał tę przyszłość i w głębi duszy był z niej dumny, i po raz ostatni, jak przy pożegnaniu, chciwymi oczyma natchnienia spoglądał na chmury i drzewa, na przechodniów na ulicy, na wielkie, walczące z kłeskami rosyjskie miasto, i gotów był w imię polepszenia wszystkiego złożyć siebie w ofierze, i był bezsilny.

Owo niebo i przechodniów najczęściej widział ze środka jezdni, przechodząc przez Arbat przy aptece Stowarzyszenia Lekarzy Rosyjskich, na rogu Starokoniuszennego.

Znów podjął pracę w swym dawnym szpitalu, tradycyjnie nazywanym Kriestowozdwiżenskim, chociaż stowarzyszenie o tej nazwie dawno zostało rozwiązane. Na razie jednak nie wymyślono jeszcze nowej odpowiedniej nazwy.

W szpitalu zaczęło się już rozwarstwienie. Ludziom o umiarkowanych poglądach, których tępota go irytowała, Żywago wydawał się niebezpieczny, radykałom zaś za mało czerwony. W ten sposób znalazł się pośrodku, oderwał się od jednego brzegu i nie przybił do drugiego.

Oprócz zwykłych obowiązków lekarskich dyrektor szpitala zlecił mu prowadzenie sprawozdawczości. Żywago przeglądał całe masy ankiet, kwestionariuszy i blankietów, sporządzał mnóstwo skomplikowanych wykazów. Umieralność, wzrost zachorowalności, sytuacja materialna pracowników, poziom ich uświadczenia obywatelskiego i procent uczestnictwa w wyborach, niezadowolające zaopatrzenie w żywność, opał i leki – wszystkim tym interesował się centralny urząd statystyczny i na wszystko należało udzielić odpowiedzi.

Doktor pracował nad tym przy swoim dawnym biurku i pod oknem pokoju lekarskiego. Całe stosy formularzy najrozmaitszych wzorów i formatów leżały przed nim, odsunięte na brzeg biurka. Oprócz prowadzonych regularnie notatek do swych prac z zakresu medycyny, czasem pisał urywkami swoją „Zabawę w ludzi”, posępny dziennik czy też pamiętnik z owych dni, składający się z prozy, wierszy i drobnych zapisków, powstałych pod wpływem myśli, że połowa ludzi przestała być sobą i udaje nie wiadomo kogo.

Jasny, słoneczny pokój z biało malowanymi ścianami zalany był kremowym światłem słońca złotej jesieni, charakterystycznym dla dni po Wniebowzięciu, kiedy to rankami ściskają przymrozki, a wśród przeredzonych wielobarwnych zarośli fruwać zimowe sikory i sroki. Niebo w takie dni wzbija się na niezwykłą wysokość i poprzez przezroczysty słup powietrza pomiędzy nim a ziemią napływa z północy lodowata ciemnobłękitna jasność, która sprawia, że wszystko wokół lepiej widać i słychać. Wszystkie odległe odgłosy zdają się dźwięczne, jakby zamrożone i bardzo wyraźne, mgliste dotychczas dale stają się czyste, jak gdyby otwierały widok poprzez całe życie na wiele lat naprzód. Trudno byłoby znieść owo rozrzedzenie, gdyby nie było ono tak krótkotrwałe i nie następowało pod koniec krótkiego jesiennego dnia na progu wczesnego zmierzchu.

Takie właśnie światło zalewało pokój lekarski, światło zachodzącego jesiennego słońca, soczyste, szkliste i wodniste, jak dojrzałe jabłko.

Doktor siedział przy biurku i maczając pióro w kałamarzu pisał powoli, a za wielkimi oknami przelatywały blisko i cicho jakieś ptaki, rzucając do wnętrza pokoju bezszelestne cienie, które pokrywały dłonie doktora, formularze na biurku, podłogę i ściany, i równie bezszelestnie znikwały.

– Klon opada – rzekł wchodząc anatomopatolog, mężczyzna niegdyś zażywny, teraz zaś wychudzony tak, że skóra na nim zwisała jak pusty worek. – Deszcze go polewały, szarpały wiatry i nie mogły pokonać. A teraz wystarczył jeden przymrozek!

Doktor podniósł głowę. Rzeczywiście, fruujące za oknem zagadkowe ptaki okazały się winnoognistymi liśćmi klonu, które, płynnie szybując w powietrzu, odlatywały daleko od drzew i opadały na szpitalny trawnik niby wypukłe pomarańczowe gwiazdy.

– Uszczelnił pan okna? – zapytał anatomopatolog.

– Nie – odrzekł Jurij Andriejewicz i pisał dalej.

– Jak to? Już najwyższy czas.

Jurij Andriejewicz milczał, pochłonięty pisaniem.

– Szkoda, że nie ma Tarasiuka – ciągnął anatomopatolog. – To była złota rączka. I buty naprawiał. I zegary. Wszystko umiał i wszystko potrafił zdobyć. A okna zakitować trzeba już teraz. Samemu.

– Nie mam kitu.

– Sam pan zrobi. Dam panu przepis. – I anatom wytłumaczył, jak się robi kit z pokostu i kredy. – A zresztą, jak pan chce. Widzę, że przeszkadzam.

Odszedł do drugiego okna i zajął się stojami z preparatami. Zaczęło się ściemniać. Po chwili anatom znów się odezwał:

– Oczy pan sobie popsuje. Ciemno już, a lampy nie dadzą. Chodźmy do domu.

– Jeszcze trochę popracuję, jakieś dwadzieścia minut.

– Jego żona jest tu salową?

– Czyja?

– Tarasiuka.

– Wiem.

– A on sam nie wiadomo gdzie. Myszkuje po całym kraju. Latem był tu dwa razy. Zaglądał do szpitala. Teraz jest gdzieś na wsi. Buduje nowe życie. To jeden z tych żołnierzy-bolszewików, których można spotkać na bulwarach i w pociągach. A chce pan poznać rozwiązanie tej zagadki? Zagadki Tarasiuka na przykład? Niech pan posłucha. To jest majster do wszystkiego. Niczego nie robi źle. Do czegokolwiek się weźmie, wszystko pali mu się w rękach. I to samo było z nim na wojnie. Wyuczył się jej jak każdego innego rzemiosła. Okazał się wspaniałym strzelcem. W okopach, w ubezpieczeniu. Oko i ręka niezawodne! Wszystkie odznaczenia dostał nie za odwagę, ale za celne strzelanie. Tak. Każde rzemiosło staje się dla niego pasją. Pokochał więc i wojenne. Przekonał się, że broń to jego siła, jego atut. No i sam zapragnął stać się siłą. Człowiek uzbrojony to nie zwykły śmiertelnik. W dawnych czasach tacy ludzie szli z oddziałów strzeleckich do band rozbójniczych. Niechby kto

teraz spróbował odebrać mu karabin! I nagle pada hasło o obróceniu bagnetu w inną stronę i tak dalej. No i obrócił. Ot, i cała historia. I cały marksizm.

– A w dodatku najprawdziwszy, wprost z życia. A co pan myślał?

Anatom odszedł od swego okna, poszperał wśród próbek, po czym zapytał:

– A jak tam zdun?

– Dzięki, że mi go pan polecił. Bardzo interesujący człowiek. Prawie godzinę rozmawialiśmy o Heglu i Benedetto Crocem.

– No chyba! Przecież to doktor filozofii uniwersytetu w Heidelbergu. A piecyk?

– Szkoda gadać.

– Dymi?

– Po prostu rozpacz.

– Źle założył rurę. Trzeba było wmontować ją w drzwiczki pieca, a on pewnie wystawił przez lufcik.

– Ależ wstawił w piec. A mimo to dymi.

– To znaczy, że nie znalazł przewodu kominowego i wprawił ją w kanał wentylacyjny. Albo w dymnik. Ach, szkoda, że nie ma Tarasiuka! Ale nie od razu Moskwę zbudowano. Palenie w piecu to nie gra na fortepianie. Trzeba się tego nauczyć. Ma pan zapas drewna?

– Skąd je wziąć?

– Przysłę panu stróża cerkiewnego. To złodziejaszek opałowy. Rozbiera parkany na opał. Ale uprzedzam – musi się pan targować, bo strasznie zdziera. Albo babę, specjalistkę od dezynsekcji.

Weszli do szatni, ubrali się i wyszli na ulicę.

– Po co mi dezynsekcja? – zapytał doktor. – U nas nie ma pluskiew.

– Co mają do tego pluskwy? Dziad o gruszce, a baba o pietruszce. Nie chodzi o pluskwy, ale o drzewo. Ta kobieta ma wręcz przedsiębiorstwo handlowe. Skupuje na opał domy i zręby. Jest solidnym dostawcą. Niech się pan nie potknie, strasznie tuk ciemno. Dawniej mogłem chodzić po tej dzielnicy z zawiązanymi oczami. Znałem tutaj każdy kamyczek. Urodziłem się tu, na Prieczystience. A odkąd zaczęto rozbierać parkany, z otwartymi oczyma niczego nie poznaję, jakbym się znalazł w obcym mieście. Ale za to jakież zakątki się teraz odsłoniły! Empirowe domki za żywopłotami, okrągłe ogrodowe stoły, na pół zbutwiałe ławeczki. Niedawno przechodziłem obok takiej zapuszczonej parceli u zbiegu trzech uliczek, patrzę, jakaś stuletnia staruszka grzebie kijaszkiem w ziemi. „Boże dopomóż, babciu, mówię, cóż to, kopiecie robaki, ryby chcecie łowić?” Oczywiście żartem. A ona na to jak najpoważniej: „Ależ skąd, łaskawco, pieczarek szukam.” I rzeczywiście, zrobiło się w mieście jak w lesie. Pachnie zbutwiałymi liśćmi, grzybami.

– Znam to miejsce. To między Sieriebrianym a Mołczanówką, prawda? Zawsze zdarzają mi się tam niespodzianki. Albo spotykam kogoś, kogo nie widziałem od dwudziestu lat, albo coś znajduję. I podobno tam na rogu zdarzają się napady rabunkowe. Zresztą nic dziwnego. Rozdroże. Jest tu cała masa przejść do zachowanych jeszcze spelunek Smoleńskiego. Ograbiają, rozbiorą i fiuuut, szukaj wiatru w polu.

– A latarnie tak słabo świecą. Ciemno, choć oko wykol. Łatwo zarobić guza.

6

Rzeczywiście, najrozmaitsze przypadki zdarzały się doktorowi w tym miejscu. Późną jesienią, na krótko przed październikowymi walkami, w ciemny zimowy wieczór natknął się na tym rogu na człowieka, leżącego bez przytomności na chodniku. Mężczyzna leżał z rozrzuconymi rękami, z głową wspartą o słup latarni. Nogi zwisały mu na jezdnię. Od czasu do czasu pojękiwał słabo. W odpowiedzi na głośne pytania doktora, który próbował go ocucić, wymamrotał coś bez związku i znów stracił przytomność. Głowę miał rozbitą i zakrwawioną, ale po pobieżnym badaniu okazało się, że kości czaszki są całe. Człowiek ten był bez wątpienia ofiarą zbrojnego napadu. Dwa czy trzy razy wyszeptał: „Teczka, teczka.”

Doktor zatelefonował z najbliższej apteki na Arbacie, wezwał przydzielonego do kliniki Kriestowozdwiżenskiej starego dorożkarza i zawiózł nieznanego do szpitala.

Poszkodowany okazał się znanym działaczem politycznym. Doktor wyleczył go i zyskał w nim na długie lata protektora, który w owych pełnych podejrzliwości i nieufności czasach wybawiał go z wielu kłopotliwych sytuacji.

7

Była niedziela. Doktor miał wolny dzień. Nie szedł do pracy. Na Siwcewym urządzono się już po zimowemu w trzech pokojach, tak jak proponowała Antonina Aleksandrowna.

Był zimowy, wietrzny dzień z nisko wiszącymi śniegowymi chmurami, ciemny i mroczny.

Rano napalono w piecyku. Zaczęło dymić. Antonina Aleksandrowna, która nie miała pojęcia o paleniu w piecach, dawała borykającej się z wilgotnymi drwami Niuszy bezsensowne i szkodliwe rady. Widząc to doktor, który wiedział, co należy zrobić, próbował się wtrącić, ale żona łagodnie brała go za ramię i wyprowadzała z pokoju, mówiąc:

– Idź do siebie. Zawsze, kiedy tyle mam na głowie, że już mi się w niej mać, ty mnie jeszcze rozpraszasz. Zrozum, że twoje uwagi tylko dolewają oliwy do ognia.

– O, właśnie, Toni, oliwa, to by było wspaniale! W piecyku natychmiast by się zapaliło. Ale w tym sęk, że nie widzę ani oliwy, ani ognia.

– To nie pora na żarty. Są takie chwile, kiedy nie ma się na nie ochoty.

Kłopoty z piecem zburzyły niedzielne plany. Wszyscy mieli nadzieję, że uporają się ze swymi zajęciami przed zmrokiem i wieczorem będą wolni, ale okazało się, że nic z tego. Obiad się spóźniał, spełził na niczym czyjś zamiar umycia głowy i różne inne projekty.

Wkrótce nadymiło się tak, że nie sposób było oddychać. Silny wiatr wpędzał dym z powrotem do pokoju, w którym unosiła się chmura czarnego kopcia niczym jakiś baśniowy potwór w odwiecznym borze.

Jurij Andriejewicz wygonił wszystkich do sąsiednich pokojów i otworzył lufcik. Połowę szczap z piecyka wyrzucił, a między pozostałymi ułożył ścieżkę z drobnych drzazg i kory brzozonej.

Przez lufcik wpadło świeże powietrze. Firanka rozkołysała się i wydeła. Z biurka sfrunęło kilka papierów. Wiatr zatrzasnął gdzieś jakieś drzwi i krążąc po wszystkich kątach, zaczął się uganiać za resztkami dymu jak kot za myszą.

Drwa w piecyku zajęły się i zatrzeszczały. Piecyk zachłysnął się płomieniem. Na jego żelaznym korpusie rozjarzyły się czerwone plamy suchotniczego rumieńca. Dym zaczął rzednąć i wkrótce całkiem się rozwiął. W pokoju zrobiło się jaśniej. Zapotniały okna, które Jurij Andriejewicz zakitował niedawno według wskazówek kolegi anatoma. Popłynęła fala tłustego zapachu kitu. Zapachniało stęchłymi przy piecyku drobno porąbanymi drwami: gorzkim, drapiącym w gardle śwędem świerkowej kory i wonną jak woda toaletowa, świeżą wilgotną osiką.

W tym momencie, równie szybko jak powiew wiatru przez lufcik, wpadł do pokoju Mikołaj Nikołajewicz, wołając:

– Na mieście walki. Junkrzy, popierający Rząd Tymczasowy, biją się z żołnierzami z garnizonu, którzy są po stronie bolszewików. Niemal na każdym kroku potyczki, ognisk powstańczych nie da się zliczyć. Po drodze do was dwa razy byłem w tarapatach, raz na rogu Wielkiej Dmitrowki, a drugi raz przy Bramie Nikickiej. Dotrzeć tu prostą drogą nie sposób, trzeba się przedzierać okrężną. Jura, szybko! Ubieraj się i wychodzimy. To trzeba zobaczyć. To jest historia. Coś takiego zdarza się raz w życiu.

Ale sam tak się zagadał, że minęły prawie dwie godziny, potem siedli do obiadu, a kiedy już wychodził, ciągnąc ze sobą doktora, przeszkodziło im nadejście Miszy Gordona. On również wpadł z tymi informacjami, co Mikołaj Nikołajewicz.

Przez ten czas sprawy posunęły się naprzód. Pojawiły się nowe szczegóły. Gordon mówił o wzmożonej strzelaninie i zabitych przechodniach, trafionych zbłąkanymi kulami. Poinformował, że zatrzymano ruch w mieście. On sam cudem się przedostał na ich ulicę, ale odwrót miał już odcięty.

Mikołaj Nikołajewicz nie uwierzył i spróbował wysunąć nos na ulicę, ale po minucie wrócił. Powiedział, że z ulicy nie ma wyjścia, że świszczą tam kule, odbijając z węglów kawałki cegły i tynku. Na ulicy nie ma żywego ducha, chodniki opustoszały.

Właśnie w tym okresie Saszeńka nabawił się przeziębienia.

– Sto razy mówiłem, żeby nie trzymać dziecka przy rozpalonym piecu – gniewał się Jurij Andriejewicz. – Przegrzanie jest o wiele gorsze niż trzymanie w chłodzie.

Saszeńkę rozboleło gardło i dostał wysokiej gorączki. Zawsze cechował go nienaturalny, mistyczny wręcz strach przed mdłościami i wymiotami, które teraz wciąż mu się majaczyły.

Odpychał rękę Jurija Andriejewicza z laryngoskopem, nie pozwalał wsunąć go sobie do gardła, zamykał buzię, krzyczał i krztusił się. Nie działały ani prośby, ani groźby. Nagle Saszeńka zapomniał się i szeroko, słodko ziewnął, co wykorzystał doktor, by błyskawicznie wsunąć synkowi do buzi łyżeczkę i przytrzymać nią język. Zdążył zobaczyć malinową krtań Saszeńki i obłożone nalotem, spuchnięte migdałki. Widok ten mocno go zaniepokoił.

Po jakimś czasie, za pomocą podobnych manipulacji, udało się doktorowi pobrać wymaz z gardła. Aleksander Aleksandrowicz miał mikroskop. Żywago wziął go i przeprowadził pobieżne badanie. Na szczęście nie był to dyfteryt.

Trzeciej nocy jednak Saszeńka dostał ataku fałszywego krupu. Płonął od gorączki i dusił się. Jurij Andriejewicz nie mógł patrzeć na cierpienia biednego dziecka, a nie potrafił mu nic pomóc. Toni zdawało się, że chłopczyk umiera. Brano go na rękę, noszono po pokoju, i to przynosiło mu ulgę.

Należało zdobyć mleko, wodę mineralną albo sodę, ale był to właśnie kulminacyjny moment walk ulicznych. Ani na chwilę nie milkła strzelanina, strzelano nawet z armat. Gdyby Jurij Andriejewicz z narażeniem życia przedostał się poza granice ostrzeliwanej strefy, to i tam nie znalazłby śladów życia, które zamarło w całym mieście do czasu, aż sytuacja definitywnie się wyjaśni.

Ale już była jasna. Zewsząd dochodziły słuchy, że robotnicy zdobywają przewagę. Walczyły jeszcze pojedyncze grupki junkrów, skłócone między sobą i pozbawione łączności z dowództwem.

Rejon ulicy Siwcew Wrażek leżał w strefie działań oddziałów żołnierskich, które atakowały śródmieście od strony Dorogomiłowa. Żołnierze z wojny niemieckiej i robotnicy-wyrostki, siedzący w wykopanym na ulicy okopie, znali już mieszkańców okolicznych domów i wymieniali przyjazne sąsiedzkie żarciki z tymi, którzy wyglądali z bram lub wychodzili na ulicę. W tej części miasta ruch uliczny stopniowo się odradzał.

Teraz wyszli ze swej trzydniowej niewoli Gordon i Mikołaj Nikołajewicz, którzy utknęli na ten okres u Żywagów. Jurij Andriejewicz był rad z ich obecności w trudnych dniach choroby Saszeńki, a Antonina Aleksandrowna wybaczała im rozgardiasz, jaki wnosili dodatkowo w ogólny chaos. Jednak z wdzięczności za gościnę obaj uważali za swój obowiązek zabawiać gospodarzy niekończącymi się rozmowami, i Jurij Andriejewicz był tak zmęczony tygodniowym przelewaniem z pustego w próżne, że ucieszył się z ich odejścia.

Żywagowie dowiedzieli się, że ich goście szczęśliwie dotarli do domów, jednocześnie jednak okazało się, że pogłoski o powszechnym zawieszeniu broni były przedwczesne. W rozmaitych punktach miasta nadal trwały walki, przez niektóre dzielnice nie można było przejść i doktor na razie wciąż nie mógł się dostać do swego szpitala, za którym już się stęsknił i w którym w szufladzie biurka leżała jego „Zabawa” i notatki naukowe.

Tylko w niektórych rejonach ludzie rankami wypuszczali się z domów gdzieś w pobliżu w poszukiwaniu chleba, zatrzymywali przechodniów niosących mleko i wypytywali jeden przez drugiego, gdzie można je dostać.

Czasem w całym mieście na nowo wybuchała strzelanina, znów rozpędzano przechodniów. Wszyscy się domyślali, że między walczącymi stronami toczą się jakieś rokowania, których pomyślny lub niepomyślny przebieg wyraża się w słabszej lub silniejszej strzelaninie.

Któregoś dnia pod koniec października wedle kalendarza starego stylu, o dziesiątej wieczorem Jurij Andriejewicz szedł szybko ulicą z zamiarem odwiedzenia (bez szczególnej potrzeby) jednego z kolegów, mieszkającego w pobliżu. Okolica, zazwyczaj tętniąca gwarem, była pustawa, przechodniów spotykało się rzadko.

Jurij Andriejewicz szedł śpiesznie. Prószył pierwszy lekki śnieżek z silnym i wciąż wzmagającym się wiatrem, który w oczach przerodził się w burzę śnieżną.

Jurij Andriejewicz skręcał z jednej uliczki w drugą i już stracił rachubę tych zakrętów, kiedy nagle zaczął walić gęsty śnieg i rozpętała się zamieć, zamieć, która w otwartym polu ściele się ze świstem po ziemi, a w mieście kołuje się w ciasnych zaułkach, jak gdyby zabłądziła.

Coś w tym rodzaju działo się także w świecie fizycznym i moralnym, daleko i blisko, na ziemi i w powietrzu. Gdzieś w oddali padały pojedyncze wystrzały z ocalałych wyseppek oporu. Na horyzoncie wyskakiwały i pękały jak pęcherze słabe zarzewia ugaszonych pożarów. Takie same kręgi i leje tworzyła śnieżycą, dymiąca pod nogami doktora na jezdni i chodnikach.

Na którymś skrzyżowaniu przegonił go z krzykiem: „Wiadomości z ostatniej chwili!”, mały gazeciarz z wielkim plikiem świeżych gazet pod pachą.

– Reszty nie trzeba – rzekł doktor. Chłopiec z trudem oddzielił przyklejony do pliku innych wilgotny arkusik, wetknął go doktorowi w rękę i dał nura w zadymkę równie szybko, jak z niej wychynął.

Doktor podszedł do pobliskiej latarni, aby natychmiast przeczytać najnowsze wiadomości.

Wydanie specjalne, zadrukowane tylko z jednej strony, zawierało komunikat rządowy z Piotrogradu o utworzeniu Rady Komisarzy Ludowych, o ustanowieniu w Rosji władzy sowieckiej i wprowadzeniu w państwie dyktatury proletariatu. Dalej następowały pierwsze dekrety nowej władzy i rozmaite informacje telegraficzne i telefoniczne.

Zamieć smagała doktora po oczach i pokrywała linijki druku szarą i szeleszczącą śnieżną krupą. Ale nie to przeszkadzało mu w czytaniu. Wielkość i wiekopomność tej chwili wstrząsnęły nim i nie pozwalały się opamiętać.

Aby mimo wszystko doczytać do końca, zaczął się rozglądać w poszukiwaniu jakiegoś oświetlonego miejsca, osłoniętego przed śniegiem. Okazało się, że znów trafił na swoje zakłete skrzyżowanie i stoi na rogu Sieriebriannego i Mołczanowki, przed bramą wysokiego czteropiętrowego domu z oszklonymi drzwiami i obszernym hallem, oświetlonym elektrycznością.

Doktor wszedł do środka i w głębi sieni pod żarówką zagłębił się w czytaniu depesz.

Na górze nad jego głową dały się słyszeć kroki. Ktoś schodził po schodach, zatrzymując się często, jak gdyby w niezdecydowaniu. I rzeczywiście, schodzący nagle się rozmyślił, zawrócił i wbiegł na górę. Gdzieś otwarto drzwi i napłynęły falą dwa głosy, zniekształcone dudniącym echem tak, że nie sposób było stwierdzić, czy są męskie, czy kobiece. Następnie znów trzasnęły drzwi i nieznajomy ponownie zaczął zbiegać na dół, tym razem bardziej zdecydowanie.

Jurij Andriejewicz, pochłonięty całkowicie czytaniem, nie podnosił oczu znad gazety. Nie zamierzał ich podnosić i patrzeć na obcego. Ten jednak, zbiegłszy na dół, zatrzymał się gwałtownie. Jurij Andriejewicz podniósł głowę i spojrział na niego.

Był to młody chłopak lat może osiemnastu w sztywnym reniferowym kożuchu futrem na wierzch, jak noszą na Syberii, i takiej samej futrzanej czapce. Miał smagłą twarz o wąskich kirgiskich oczach. Było w tej twarzy coś arystokratycznego, jakaś migająca isierka, jakaś wstydliva subtelność, która robi wrażenie czegoś bardzo odległego. Zdarza się u osób mieszanej krwi.

Chłopiec wyraźnie był w błędzie, biorąc Jurija Andriejewicza za kogoś innego. Patrzył na doktora ze wstydliwą niepewnością, jak gdyby go znał, ale nie miał odwagi przemówić. Aby położyć kres nieporozumieniu, Jurij Andriejewicz zmierzył go chłodnym, odpychającym spojrzeniem.

Zmieszany chłopiec bez słowa skierował się ku wyjściu. Tu obejrzał się jeszcze raz, otworzył ciężkie, spaczone drzwi, i zatraskując je ze zgrzytem, wyszedł na ulicę.

W jakies dziesięć minut po nim wyszedł i doktor. Zapomniał o chłopcu i o koledze, którego chciał odwiedzić. Pod silnym wrażeniem przeczytanych wiadomości ruszył do domu. Po drodze uwagę jego odwróciła i pochłonęła inna sprawa, codzienny drobiazg, który w owych dniach miał ogromne znaczenie.

Niedaleko od domu natknął się w ciemnościach na olbrzymią stertę desek i bali, zwaloną w poprzek jezdni przy chodniku. Tutaj w zaułku mieściła się jakaś instytucja, do której przywieziono widocznie opał, pochodzący z jakiegoś rozebranego podmiejskiego domu. Bale nie mieściły się na dziedzińcu i zatarasowały część przylegającej doń ulicy. Tej góry drewna pilnował wartownik z karabinem, który chodził po podwórzu i od czasu do czasu wyglądał w zaułek.

Jurij Andriejewicz bez zastanowienia wykorzystał moment, kiedy wartownik zawrócił na podwórze, a poryw wiatru zakręcił w powietrzu szczególnie gęstą chmurę śniegu. Podeszedł do stosu desek od strony, gdzie był cień i nie padało światło latarni, ostrożnie rozkołysał i wysunął leżącą na samym dole ciężką kłodę. Z trudem wywlókł ją spod stosu, zarzucił na ramię i nie czując jej ciężaru (własny ładunek nie ciąży), ukradkiem, przemykając się w cieniu pod murami, przyniósł ją do siebie, na Siwcew Wrażek.

Było to bardzo na czasie, gdyż w domu skończył się opał. Kłodę przepiłowano i narąbano całą masę drobnych klocków. Jurij Andriejewicz rozpałał w piecyku, siedząc w kucki przed dygocącymi i brzęczącymi drzwiczkami. Aleksander

Alaksandrowicz przysunął do piecyka fotel i usiadł, by się pogrzać. Żywago wyciągnął z kieszeni marynarki gazetę i wręczył ją teściowi.

– Widział ojciec? Proszę czytać i podziwiać.

Wciąż w kucki, przewracając drwa w piecyku małym pogrzebaczem, doktor głośno rozmawiał sam ze sobą.

– Cóż to za wspaniałe zabieg chirurgiczny! Wziąć i za jednym zamachem artystycznie wyciąć stare śmierdzące wrzody! Zwyczajny, bez owijania w bawełnę, wyrok śmierci wydany na wiekową niesprawiedliwość, która przywykła, by się jej kłaniano w pas.

W tym, że tak nieustraszenie to zrealizowano, jest coś bliskiego, narodowego, znanego od dawna. Coś z bezkompromisowego oświecicielstwa Puszkina, coś z Tołstojowskiej bezwzględnej wierności faktom.

– Puszkina? Co mówisz? Zaraz skończę. Nie mogę przecież jednocześnie czytać i słuchać – przerwał zięciowi Aleksander Alaksandrowicz, opacznie biorąc do siebie monolog, który doktor wygłaszał sobie pod nosem.

– A co tu jest genialne przede wszystkim? Gdyby komuś dano zadanie stworzenia nowego świata, rozpoczęcia nowej ery, zażądałby niewątpliwie, by mu najpierw opróżniono miejsce pod to przedsięwzięcie. Czekaliby, aż skończą się dawne wieki, by dopiero wówczas przystąpić do budowy nowych, potrzebna by mu była okrągła data, czysta, nie zapisana stronica.

A tu, proszę bardzo. To coś niebywałego, cud historii, to objawienie, wykrzyczane w największym gąszczu codzienności, bez oglądania się na nią. Zostało rozpoczęte nie od zarania, lecz od środka, bez z góry ustalonych terminów, w pierwszym powszednim dniu, jaki się nawinął, w godzinach szczytu tramwajów miejskich. To jest najgenialniejsze. Tak niestosowne i niewczesne może być tylko coś, co jest naprawdę wielkie.

9

Nadeszła zima, taka, jak przewidywano. Nie była jeszcze tak przerażająca, jak dwie następne, ale podobna do nich, głodna i chłodna, z burzeniem wszystkiego, co znane, i przebudową egzystencji od podstaw, pełna nieludzkich wysiłków, by ucześcić się odchodzącego życia.

Było ich trzy, trzy straszne zimy, jedna po drugiej, i nie wszystko, co, jak się wydaje z perspektywy lat, miało miejsce zimą z siedemnastego na osiemnasty rok, nastąpiło rzeczywiście wtedy: zdarzyło się chyba jednak później. Owe kolejne zimy zwały się w jedną i trudno je było rozróżnić.

Dawne życie i nowy ład jeszcze nie dawały się pogodzić. Nie było między nimi zacieklej wrogości, jak rok później, w czasie wojny domowej, ale brakowało też łączności. Były to strony rozstawione oddzielnie, jedna naprzeciw drugiej, nie uzupełniające się nawzajem.

Nowe wybory do władz przeprowadzono wszędzie, w administracjach domów, w organizacjach, w urzędach i instytucjach usługowych. Zmieniano skład osobowy.

We wszystkich tych miejscach zaczęto wyznaczać komisarzy z nieograniczonymi pełnomocnictwami, ludzi o żelaznej woli, czarnych skórzanych kurtkach, uzbrojonych w nagany i inne środki zastraszania, ludzi, którzy rzadko się golili i jeszcze rzadziej sypiali.

Działacze ci świetnie znali ów wytwór mieszczańskiego środowiska, drobnego posiadacza obligacji państwowych, przypochebnego kołtuna, i bez cienia litości, z mefistofelesowskim uśmieszkiem, rozmawiali z nim jak ze schwytanym na gorącym uczynku złodziejaszkiem.

Ludzie ci wywracali wszystko na nice, jak nakazywał program, i jedno przedsiębiorstwo za drugim, jedna spółka za drugą stawały się bolszewickie.

Szpital Kriestowozdwiżenski nosił teraz nazwę Drugiego Szpitala Zreformowanego. Tu także nastąpiły zmiany. Część personelu została zwolniona, inni odeszli sami, uważając, że praca tu jest im nie na rękę. Byli to dobrze zarabiający lekarze z modną praktyką, ulubieńcy pacjentów, deklamatorzy i blagierzy. Odejście ich podyktowane było przyczynami materialnymi, nie omieszkali jednak nadać mu pozorów demonstracji, utrzymując, że odeszli z przyczyn politycznych, zaczęli z lekceważeniem traktować tych, którzy pozostali, niemal ich bojkotować. Wśród owych pozostałych, pogardzanych, był także Żywago.

Wieczorami małżonkowie toczyli takie oto rozmowy:

– W środę nie zapomnij wstąpić do sutereny Towarzystwa Lekarskiego po przemrożone ziemniaki. Są tam dwa worki. Dowiem się dokładnie, o której będę mógł wyjść z pracy, żeby ci pomóc. Przywieziemy je we dwoje na sankach.

– Dobrze. Zdażymy, Juroczka. Połóż się lepiej. Już późno. Wszystkiego i tak nie załatwisz. Musisz odpocząć!

– Szerzy się epidemia. Ogólne wycieńczenie osłabia odporność. Na ciebie i tatę strach patrzeć. Trzeba jakoś temu zaradzić. Tak, ale jak? Za mało na siebie uważamy. Trzeba bardziej o siebie dbać. Słuchaj, nie śpisz?

– Nie.

– O siebie się nie boję, jestem wytrzymały, ale gdyby mnie mimo wszystko zmoгло, nie szalej, proszę cię, i nie trzymaj mnie w domu. Natychmiast do szpitala.

– Coś ty, Juroczka! Niech Pan Bóg broni! Żebyś tylko nie wykrakał!

– Pamiętaj, nie ma tam już ani ludzi uczciwych, ani przyjaciół. Ani tym bardziej kompetentnych. Gdyby się coś stało, możesz zaufać tylko Piczużkowowi. Oczywiście, jeżeli on sam będzie zdrowy. Nie śpisz?

– Nie.

– Poszli sobie, łobuzy, na lepszy zarobek, a teraz się okazuje, że to było dla zasady, z poczucia obywatelskiego obowiązku. Przy spotkaniu ledwie rękę raczą podać. „Pracuje pan u nich?” – i podnoszą brwi. „Pracuję – mówię – i wybaczy pan, ale dumny jestem z naszej nędzy i szanuję tych, którzy czynią nam zaszczyt, obarczając nas tą nędzą.”

Na długi czas stałym pożywieniem większości stało się proso na wodzie i zupa z łbów śledziowych. Smażone śledziowe tuszki stanowiły drugie danie. Jedzono nie zmielone żyto i ziarno pszenicy, w którym gotowano kaszę.

Pewna znajoma profesorka nauczyła Tonię piec chleb razowy w palenisku pieca kaflowego częściowo na sprzedaż, aby w ten sposób usprawiedliwić palenie jak za dawnych lat w kaflowym piecu. Dzięki temu można było odpocząć od tymczasowego piecyka, który dymił, słabo grzał i zupełnie nie trzymał ciepła.

Chleb udawał się Antoninie Aleksandrownie bardzo dobrze, ale z handlu nim nic nie wyszło. Trzeba było zrezygnować z nierealnych planów i na powrót uruchomić wzgardzony piecyk. Żywagowie klepali biedę.

Któregoś ranka, kiedy Jurij Andriejewicz jak zwykle wyszedł do pracy, a na opał zostały tylko dwa polana, Tonia włożyła futerko, w którym z powodu wycieńczenia marzła nawet w ciepłe dni, i wyruszyła „na łowy”.

Z pół godziny snuła się po pobliskich uliczkach, dokąd zajeżdżali czasem chłopci z okolicznych wsi z jarzynami i ziemniakami. Trzeba było na nich polować, gdyż wieśniaków z wozami często aresztowano.

Wkrótce natrafiła na cel swych poszukiwań. Młody krzepki dryblas w jermaku, idąc obok swych małych jak zabawka sanek, skręcił za Antoniną Aleksandrowną za róg i ostrożnie wprowadził ładunek na podwórze Gromieków.

W łubianym koszu sań pod rogożą leżała niewielka kupka brzozowych okrąglaków, nie grubszych niż poręcze ganków w starych dworach na zeszlowiecznych fotografiach. Antonina Aleksandrowna wiedziała, ile są warte – niby brzoza, a najgorszy gatunek, świeżo zrąbane, nie nadające się na opał. Ale nie było wyboru ani czasu do namysłu.

Młody wieśniak pięcioma czy sześcioma nawrotami wniósł drwa do mieszkania, a w zamian za nie zniósł na plecach i ułożył w saniach małą szafę z lustrem jako prezent dla młodej żony. Umawiając się na następny raz w sprawie kartofli, mimochodem oszacował wzrokiem stojące przy drzwiach pianino.

Jurij Andriejewicz po powrocie z pracy nie skrytykował żoninego zakupu. O wiele sensowniej byłoby porąbać na szczapy szafę, ale nie mogliby się na to zdobyć.

– Widziałeś kartkę na stole? – spytała Tonia.

– Od dyrektora szpitala? Mówili mi, wiem już. Wezwanie do chorej. Oczywiście pójdę. Odpocznę trochę i pójdę. Ale to kawał drogi. Gdzieś przy Bramie Triumfalnej. Mam zapisany adres.

– Proponują dziwne honorarium. Widziałeś? Przeczytaj jednak. Butelkę niemieckiego koniaku albo parę damskich pończoch za wizytę. Tym chcą skusić. Kto to może być? Zły smak i całkowita nieznanomość obecnego życia. Chyba jacyś nowobogacy.

– Tak, to zaopatrzeniowiec.

Zaopatrzeniowcami, koncesjonariuszami i pełnomocnikami nazywano drobnych prywatnych przedsiębiorców, którym władze, po zlikwidowaniu handlu prywatnego, dawały w momentach kryzysowych pewne przywileje, zawierając z nimi umowy i kontrakty na rozmaite dostawy.

Nie trafiali w ich szeregi byli właściciele starych firm, wielcy przedsiębiorcy, którzy po ciosie, jaki im zadano, już się nie podnieśli. Do kategorii tej należeli jednodniowi aferzyści, wydobyli z dna przez wojnę i rewolucję, nowi przybysze bez rodowodu.

Doktor napił się zabelonego mlekiem wrzątku z sacharyną i wyruszył do chorej.

Chodniki jeszcze pokrywał całun głębokiego śniegu, rozpościerający się między dwoma szeregami domów. Śnieżna pokrywa sięgała miejscami aż do okien parteru. Na całej tej przestrzeni snuły się milczące, półżywe cienie, niosące na grzbietach lub wiozące na sankach nędzne zapasy żywności. Pojazdów konnych prawie nie było.

Na domach pozostały gdzieniegdzie stare szyldy. Mieszczące się pod nimi sklepiki i spółdzielnie, nie mające zresztą żadnego związku z treścią szyldów, były zamknięte; zakratowane lub zabite deskami okna ziały pustką. Sklepiki były nieczynne i puste nie tylko z braku towaru, lecz także dlatego, że reorganizacja wszystkich dziedzin życia, w tym również handlu, realizowana była na razie tylko w ogólnych zarysach i nie objęła jeszcze drobnej własności prywatnej.

11

Dom, do którego wezwano Żywagę, mieścił się u wylotu Brzeskiej, niedaleko Rogatki Twerskiej.

Był to koszarowy ceglany budynek o przedpotopowej architekturze, z podwórzem od tyłu i trzema kondygnacjami drewnianych galeryjek wzdłuż murów otaczających podwórze.

Odbywało się właśnie wyznaczone wcześniej ogólne zebranie lokatorów z udziałem przedstawicielki rady dzielnicowej, kiedy nagle zjawiła się w kamienicy komisja wojskowa, sprawdzająca pozwolenia na broń i rekwirująca broń posiadaną nielegalnie. Dowódca oddziału poprosił delegatkę, by zaczekała, zapewniając, że rewizja nie potrwa długo, sprawdzeni lokatorzy kolejno wrócą i przerwane zebranie będzie można prowadzić dalej.

Kiedy Żywago zbliżył się do bramy domu, obchód miał się już ku końcowi i na tapecie było właśnie mieszkanie, w którym na niego czekano. Żołnierz z karabinem na sznurku, który stał na straży przy schodach wiodących na jedną z galerii, stanowczo odmówił przepuszczenia doktora, ale w sprzeczkę wmieszał się dowódca oddziału, który kazał Jurija Andriejewicza przepuścić i zgodził się poczekać z rewizją, dopóki doktor nie zbada chorej.

Jurija Andriejewicza powitał właściciel mieszkania, uprzejmy młody człowiek o smagłej matowej twarzy i ciemnych melancholijnych oczach. Był bardzo przejęty chorobą żony, grożącą rewizją i przesadnym szacunkiem, jaki żywił dla medycyny i jej adeptów.

Aby ułatwić doktorowi pracę i oszczędzić mu czasu, starał się mówić jak najkrócej, ale właśnie ów pośpiech sprawiał, że jego wyjaśnienia były rozwlekłe i bezładne.

Mieszkanie, stanowiące mieszaninę luksusu i tandety, umeblowane było rzeczami, skupionymi naprędce z myślą o ulokowaniu pieniędzy w czymś trwałym. Zdekompletowane garnitury mebli uzupełniono przypadkowymi sprzętami bez pary.

Gospodarz przypuszczał, że żona zapadła na jakąś chorobę nerwową z przestרחu. Opowiedział z wieloma zbędnymi szczegółami, że sprzedano im za bezcen stary zepsuty zegar z kurantem, który już od dawna nie chodził. Nabyli go tylko jako osobliwość, jako rzadki przykład sztuki zegarmistrzowskiej. (zaprowadził doktora do przyległego pokoju, by pokazać zegar). Nawet nie wierzyli, że da się naprawić. I nagle latami nie nakręcany zegar ruszył sam z siebie, wydzwonił dzwoneczkami skomplikowanego menueta i stanął. Żona ogromnie się przeraziła, opowiadał młody człowiek; była przekonana, że wybiła jej ostatnia godzina, no i teraz leży, bredzi, nie je, nie pije i nie poznaje go.

– Więc przypuszcza pan, że to wstrząs nerwowy? – zapytał z powątpiewaniem Jurij Andriejewicz. – Proszę mnie zaprowadzić do chorej.

Weszli do sąsiedniego pokoju z porcelanowym żyrandolem i dwoma mahoniowymi stolikami po obu stronach szerokiego małżeńskiego łóżka. Na brzegu łóżka, z kołdrą naciągniętą pod brodę, leżała drobna kobieta o wielkich czarnych oczach. Widząc wchodzących mężczyzn, zaczęła ich odpędzać, wymachując wydobytą spod kołdry ręką, z której zsunął się aż do pachy szeroki rękaw szlafroka. Nie poznawała męża, i zupełnie jakby była sama w pokoju, zaczęła cicho śpiewać jakąś smutną piosenkę; piosenka tak ją rozżaliła, że rozplakała się jak dziecko, powtarzając wśród szlochów, że chce do domu.

Doktor próbował się do niej zbliżyć to z jednej, to z drugiej strony, ale nie dawała się zbadać, za każdym razem odwracając się plecami.

– Powinienem ją zbadać – powiedział Jurij Andriejewicz – ale i tak wszystko jest jasne. To tyfus plamisty, dość ciężki przypadek. Bardzo cierpi, biedna. Radziłbym umieścić ją w szpitalu. Chodzi tu nie o wygody, jakie może jej pan zapewnić, ale o stały nadzór lekarski, niezbędny w pierwszych tygodniach choroby. Czy może pan załatwić jakiś dojazd, dorożkę, albo chociażby domowe sanki, żeby odwieźć chorą? Oczywiście trzeba ją przedtem dobrze otulić. Wypiszę panu skierowanie.

– Mogę. Postaram się. Ale niech pan chwilę zaczeka. Czy to naprawdę tyfus? To okropne!

– Niestety tak.

– Boję się, że ją utracę, jeśli się rozdzielimy. Naprawdę nie mógłby pan leczyć jej w domu, przychodzić w miarę możliwości jak najczęściej? Obiecuję wynagrodzenie, jakiego tyłka pan zażąda.

– Przecież już panu tłumaczyłem. Trzeba jej bezustannie pilnować. Proszę posłuchać. Dam panu dobrą radę. Niech pan wytrzyma dorożkarza choćby spod ziemi, a ja wypiszę skierowanie. Najlepiej załatwić to w tutejszym komitecie

domowym. Potrzebna będzie pieczętka komitetu domowego i jeszcze kilka formalności.

12

Lokatorzy, u których już zakończono rewizję, jeden po drugim wracali w ciepłych chustkach i futrach do nieopalonego pomieszczenia po dawnym magazynie sklepu nabiałowego, które obecnie zajął komitet domowy.

W jednym końcu pokoju stało biurko i kilka krzesel, których jednak było za mało, by usadzić takie mnóstwo ludzi. Ustawiono więc dokoła na podobieństwo ławek długie, obrócone do góry dnem skrzynki po jajkach. Stos tych skrzynek w drugim końcu pokoju sięgał sufitu. Tam też zmieciono pod ścianę zmarznięte wióry, posklejane w kłębki zawartością potłuczonych jaj. Hałaśliwie buszowały wśród nich szczury, od czasu do czasu wybiegając na środek kamiennej podłogi i znów kryjąc się w wiórach.

Za każdym razem jedna z lokatorek, krzykliwa i zapłynięta tłuszczem, z wrzaskiem wskakiwała na skrzynkę. Unosiła brzeżek spódnicy kokieteryjnie rozcapierzonymi palcami, tupiała drobno nogami w modnych bucikach z wysoką cholewką i umyślnie ochryplym głosem, udając pijaną, krzyczała:

– Olka, Olka, tu u ciebie szczury biegają! Poszedł won, wstrętny! Ajajaj, rozumie, ścierwo! Rozzłościł się. Ojej, włazi na skrzynkę! Żeby tylko pod spódnicę nie wlaź. Oj, boję się, boję się! Odwróćcie się, panowie mężczyźni. O, przepraszam, zapomniałam, że teraz nie ma mężczyzn, tylko towarzysze i obywatele.

Hałaśliwa baba miała na sobie rozpięte karakułowe futro. Pod futrem jak rzadki kisiel trząsał się podwójny podbródek, wydatny biust i obciążony jedwabną suknią brzuch. Najwidoczniej kiedyś uchodziła za piękność wśród podrzędnych kupców i ich subiektów. Wąziutkimi szparkami zerknęły spod zapuchniętych powiek jej świńskie oczka. Kiedyś, w zamierzchłych czasach, jakaś rywalka cisnęła w nią butelką z kwasem, ale chybiła i tylko kilka bryzgów wypaliło w lewym kącie ust dwa lekkie ślady, tak nieznaczne, że niemal kuszące.

– Nie drzyj się, Chrapugina. Pracować nie można – mówiła siedząca za biurkiem kobieta, przedstawicielka rady dzielnicowej, którą wybrano na przewodniczącą zebrania.

Starzy lokatorzy kamienicy znali ją jeszcze z dawnych czasów i ona ich dobrze знаła. Przed zebraniem nieoficjalnie, półgłosem, rozmawiała z ciotką Fatimą, starą dozorczynią domu, która kiedyś wraz z mężem i dziećmi gnieździła się w brudnej suterenie, teraz zaś przeprowadziła się wraz z córką do dwóch widnych pokoi na pierwszym piętrze.

– No, więc o co chodzi, Fatimo? – pytała przewodnicząca.

Fatima skarżyła się, że nie radzi sobie sama jedna z takim dużym i gęsto zaludnionym domem, a pomocy znikąd, bo nikt nie przestrzega rozłożonego na wszystkich lokatorów obowiązku sprzątnięcia domu i podwórza.

– Nie martw się, Fatimo, przytrzymy im rogów, bądź spokojna. Cóż to za komitet? Wprost nie do pomyślenia! Ukrywa się tu element przestępczy, mieszkają bez zameldowania, osoby podejrzanego konduity. Popędzimy im kota i wybierzemy drugi komitet. Zrobię cię administratorką, nie wykręcaj się. Stróżka zaczęła błagać, by przewodnicząca tego nie robiła, ale ta nawet nie słuchała. Obrzuciła wzrokiem pomieszczenie, stwierdziła, że obecnych jest dostatecznie dużo, poprosiła o ciszę i w krótkich słowach zagała zebranie. Potępiła bierność dotychczasowego komitetu mieszkańców, zaproponowała wysunięcie kandydatów do nowego komitetu i przeszła do innych spraw. Następnie, jakby mimochodem, powiedziała:

– A więc, towarzysze. Powiem otwarcie. Wasza kamienica jest duża, nadaje się na burzę. Bywa, że delegaci zjeżdżają się na narady i nie ma ich gdzie umieścić. Zapadła decyzja o przekazaniu budynku do dyspozycji rady dzielnicowej z przeznaczeniem na hotel dla przyjezdnych i o nadaniu mu imienia towarzysza Tiwierzina, który mieszkał tu przed zesłaniem, o czym wszystkim wiadomo. Są sprzeciwy? Teraz co do opróżnienia domu. Nastąpi to jeszcze nieprędko, macie rok czasu. Lokatorom pracującym przydzielimy inne mieszkania, a nie pracujących uprzedzamy, by znaleźli sobie sami lokum w ciągu dwunastu miesięcy.

– A kto tu jest nie pracujący? Nie ma tu takich! Wszyscy pracują! – zaczęło krzyczeć ze wszystkich stron; ktoś wołał przeraźliwie:

– To jest wielkomocarstwowy szowinizm! Teraz wszystkie narodowości są równe. Ja wiem, do czego pijecie!

– Nie wszyscy naraz! Bo nie wiem, komu mam odpowiadać. Jakie narodowości? Co ma do tego narodowość, obywatelu Wałdyrkin? Na przykład Chrapugina to żadna narodowość, a ją też wysiedlimy.

– A spróbuj! Zobaczymy, jak mnie wysiedlisz, stary, materacu! Na dziesięciu stołkach siedzi! Wykrzykiwała rozgorączkowana Chrapugina, obsypując delegatkę bezsensownymi obelgami.

– A to żmija! A to szejtanka! Wstydu nie masz! – oburzała się Fatima.

– Nie wtrącaj się, Fatimo. Dam sobie radę. Przestań, Chrapugina. Jak ci tylko pofolgować, to na głowę wleziesz! Zamknij się, mówię, bo zaraz cię wydam władzom, nie czekając, aż cię przyłapią na pędzeniu samogonu i prowadzeniu burdelu.

Harmider doszedł do zenitu. Nikogo nie dopuszczano do słowa. W tej chwili do magazynu wszedł doktor. Poprosił stojącego przy drzwiach mężczyznę o wskazanie kogoś z komitetu domowego. Ten złożył dłonie w trąbkę i przekrzykując zgiełk, wyskandował:

– Ga-li-ul-li-na! Chodź tu. Ktoś do ciebie.

Doktor nie wierzył własnym uszom. Podeszła doń chuda, lekko przygarbiona kobieta, dozorczyńni. Żywagę zdumiało niezwykle podobieństwo matki i syna. Na razie jednak nic po sobie nie pokazał, tylko powiedział:

– Jedna z tutejszych lokatorek zachorowała na tyfus (tu wymienił nazwisko). Trzeba zastosować środki ostrożności, by nie roznieść zarazy. Poza tym chorą należy

odwieźć do szpitala. Sporządzę dokument, który komitet musi poświadczyć. Jak i gdzie mogę to zrobić?

Stróżka zrozumiała, że pytanie dotyczy przywiezienia chorej, a nie sporządzenia skierowania.

– Po towarzyszkę Dieminą przyjedzie dorożka z rady dzielnicowej – powiedziała.

– Towarzyszka Diemina dobra kobieta, poproszę i odstąpi dorożka. Nie martw się, towarzyszu doktorze, przywieziemy twoją chorą.

– Ja nie o to pytałem! Chodzi o jakiś ką, gdzie mógłbym wypisać skierowanie. Ale jeżeli będzie też dorożka... Przepraszam, czy pani jest matką porucznika Osipa Himazetdinowicza Galiullina? Byłem z nim razem na froncie.

Dozorczyńni drgnęła całym ciałem, zbladła i chwytając doktora za rękę powiedziała:

– Chodźmy stąd. Porozmawiamy na podwórzu.

Ledwie wyszli za próg, zaczęła mówić pośpiesznie:

– Ciszej, na miłość boską, bo usłyszą. Nie gub mnie. Jusupka zła droga poszedł. Ty sam powiedz, Jusupka kto? Jusupka czeladnik, u majstra. Jusup musi rozumieć, że prostym ludziom teraz lepiej, to i ślepy widzi, co tu dużo gadać. Ja nie wiem, jak ty myślisz, tobie może wolno, a dla Jusupki grzech, Bóg nie daruje. Jusupa ojciec w wojsku przepadł, zabili, i to jak, ani twarzy nie zostawili, ani rąk, ani nóg.

Nie mogła mówić dalej, machnęła tylko ręką, usiłując opanować wzburzenie. Po chwili odezwała się znowu:

– Chodźmy. Ja ci zaraz sprowadzę dorożka. Ja wiem, ktoś ty. On tu był dwa dni, opowiadał. Ty, mówił, znasz Larę Giszarównę. Dobra dziewczyna. Przychodziła do nas, pamiętam. A teraz jaka będzie, kto ją wie. Jakże to tak, żeby panowie przeciw panom poszli? A dla Jusupki grzech. Chodźmy, poprosimy o dorożka. Towarzyszka Diemina da. A towarzyszkę Dieminę to wiesz, kto? Ola Diemina, u mamusi Lary Giszarówny podręczną była. Widzisz kto. I też stąd. Z tego podwórza. Chodźmy.

13

Ściemniło się już zupełnie. Zapadła noc. Tylko biały krążek światła z kieszonkowej latarki Dieminej skakał o kilka kroków przed nimi z zaspą na zaspę i bardziej zbijał z tropu, niż oświetlał idącym drogę. Dokoła była noc, za nimi pozostał dom, w którym tyle osób ją znało, gdzie bywała jako dziewczynka, gdzie, jak mówiono, dorastał jej późniejszy mąż, Antipow.

Diemina zapytała żartobliwie opiekuńczym tonem:

– Naprawdę dojdziecie sami bez latarki? Co? Bo mogę ją wam dać, towarzyszu doktorze. Kiedyś na serio się w niej durzyłam, kochałam ją bez pamięci, kiedy byłyśmy dziewczynkami. Mieli zakład krawiecki, pracownię. Byłam tam podręczną. A w tym roku się widziałyśmy. W przelocie. Była w Moskwie przejazdem. Mówię jej: gdzie się wybierasz, głupia? Zostałabyś lepiej tutaj. Zamieszkałybyśmy razem, znalazłabym ci pracę. Ale gdzie tam! Nie chce. Cóż, jej sprawa. Przez rozum za Paszkę wyszła, a nie z serca, i od tej pory taka się zrobiła szalona. Wyjechała.

– Co pani o niej sądzi?

– Ostrożnie. Tu ślisko. Tyle razy mówiłam, żeby nie wylewali pomyj pod drzwiami – jak groch o ścianę. Co o niej myślę? Jak to co myślę? Co tu myśleć. Czasu nie ma. O, tutaj mieszkam. Ukryłam przed nią, że jej brata, wojskowego, bodaj rozstrzelano. A jej matkę, moją dawną chlebodawczynię, chyba uda mi się uratować, załatwiam to. No, idę, do widzenia.

Rozstali się. Światło latarki Dieminej skierowało się na wąskie kamienne schody i pomknęło w górę, oświetlając pomazane ściany brudnej klatki schodowej, a doktor pozostał w ciemności. Na prawo biegła Sadowa-Triumfalna, na lewo Sadowa-Karetna. W czarnej dali na czarnym śniegu nie były to już ulice w zwykłym tego słowa znaczeniu, ale jak gdyby dwie leśne przesieki w gęstej tajdze kamiennych gmachów, jak w nieprzebytych ostępach Uralu czy Syberii.

W domu było jasno, ciepło.

– Co tak późno? – spytała Antonina Aleksandrowna i, nie czekając na odpowiedź, ciągnęła:

– W czasie twojej nieobecności zdarzyła się niezwykła rzecz. Dziwne, niewytłumaczalne zjawisko. Zapomniałam ci powiedzieć. Wczoraj tata zepsuł budzik i był zrozpaczony. Ostatni zegar w domu. Zaczął naprawiać, rozkręcał, grzebał, bez rezultatu. Zegarmistrz na rogu zażądał trzech funtów chleba, zdzierstwo. Co robić? Tata zupełnie się załamał. I nagle, wyobraź sobie, godzinę temu przeraźliwe, ogłuszające dzwonięcie. Budzik! Wziął i ruszył, wyobraź sobie!

– To wybiła moja tyfusowa godzina – zawołał Jurij Andriejewicz i opowiedział rodzinie o chorej z kurantami.

14

Na tyfus zachorował jednak o wiele później. Tymczasem zaś klęski nękające rodzinę Żywasów osiągnęły apogeum. Ginęli z nędzy. Jurij Andriejewicz odszukał owego działacza partyjnego, którego uratował po napadzie rabunkowym. Człowiek ten robił dla doktora, co mógł. Wybuchła jednak wojna domowa i protektor Żywagi był wciąż w rozjazdach. Poza tym, zgodnie ze swymi przekonaniem, uważał ówczesne trudności za coś naturalnego i ukrywał, że sam również głoduje.

Jurij Andriejewicz próbował się zwrócić do zaopatrzeniowca spod Rogatki Twerskiej, ale minęły miesiące, ślad po nim zaginął i o jego wyleczonej żonie także nic nie było wiadomo. W kamienicy mieszkali już inni lokatorzy. Diemina była na froncie, administratorce Galiullinej doktor nie zastał.

Pewnego razu dostał urzędowy przydział na drewno, które trzeba było przywieźć z dworca Windawskiego. Szedł niekończącą się ulicą Mieszczańską, prowadząc woźnicę i klacz wiozącą to nieoczekiwane bogactwo. Nagle spostrzegł, że Mieszczańska przestaje być jakby Mieszczańską, że kręci mu się w głowie i nie może się utrzymać na nogach. Zrozumiał, że stało się najgorsze, że to tyfus. Upadł. Woźnica położył go na saniach. Doktor nie pamiętał, jak dowieziono go do domu.

Przez dwa tygodnie z przerwami był w malignie. Majaczyło mu się, że na jego biurku Tonia postawiła dwie Sadowe, z lewej strony Sadową-Karetną, z prawej Sadową-Triumfalną, i przysunęła do nich bliziotko stojącą lampę, gorącą, oślepiającą, pomarańczową. Na ulicach zrobiło się jasno. Można pracować. I doktor pisze.

Pisze z zapalem i niezwykle udatnie to, co zawsze chciał i dawno powinien był napisać, ale nigdy nie mógł, a teraz mu się udaje. I tylko czasami przeszkadza mu pewien chłopiec o wąskich kirgiskich oczach, w rozpiętym reniferowym kożuchu, jakie nosi się na Syberii czy na Uralu.

Jest oczywiste, że ten chłopiec to duch jego śmierci albo po prostu jego śmierć. Ale jak może być jego śmiercią, skoro pomaga mu pisać poemat, czyż ze śmierci może być pożytek, czyż śmierć może być pomocna?

Doktor pisze poemat nie o zmartwychwstaniu i nie o złożeniu do grobu, ale o dniach, które upłynęły pomiędzy tymi wydarzeniami. Pisze poemat „Zamęt”.

Zawsze chciał napisać o tym, jak przez trzy dni burza czarnej, pełnej robactwa ziemi osacza i szturmuje nieśmiertelne wcielenie miłości, nacierając na nie swymi bryłami i grudami, zupełnie tak, jak fale morskiego przyboju nadlatują z rozbiegu i grzebią pod sobą brzeg. Jak przez trzy dni szaleje, atakuje i cofa się czarna ziemna burza.

I prześladowały go dwa rymowane wersy:

„Dotknąć choć raz

i

zbudzić się czas.”

Dotknąć choć raz chciałoby i piekło, i rozkład, i gnicie, i śmierć, a zarazem dotknąć chciałoby i wiosna, i Magdalena, i życie. I – zbudzić się czas. Trzeba się zbudzić i wstać. Trzeba zmartwychwstać.

Zaczął wracać do zdrowia. Początkowo, jak nawiedzony, nie doszukiwał się związku między zjawiskami, niczego nie pamiętał, niczemu się nie dziwił. Żona karmiła go białym chlebem z masłem i poila herbatą z cukrem, kawą. Zapomniał, że tego przecież teraz nie ma, i cieszył się smacznym jedzeniem, jak poezją i baśnią, jak czymś, co się prawie należy rekonwalescentowi. Ale gdy tylko mógł już myśleć przytomniej, zaraz zapytał żonę:

– Skąd to masz?

– To wszystko dał twój Grania.

– Jaki Grania?

– Grania Żywago.

– Grania Żywago?

– No tak, twój omski brat Jewgraf. Twój brat przyrodni. Kiedy leżałeś nieprzytomny, ciągle nas odwiedzał.

– W reniferowym kożuchu?

– Tak, tak. Więc go widziałeś w malignie, spotkał cię w jakimś domu na schodach, wiem, opowiadał mi. Wiedział, kim jesteś, i chciał się przedstawić, ale napędziłeś mu okropnego strachu! Uwielbia cię, zaczytuje się twoimi wierszami. Wytrzasnął spod ziemi takie rzeczy! Ryż, rodzynki, cukier. Teraz wyjechał do domu. I nas zaprasza. Jest taki dziwny, tajemniczy. Myślę, że ma jakiś romans z władzami. Mówił, że na rok, dwa trzeba gdzieś wyjechać z wielkich miast, „posiedzieć na ziemi”. Radziłam się go w sprawie posiadłości Krügerów. Bardzo radził pojechać. Moglibyśmy uprawiać ogród. Las byłby pod ręką. Nie można przecież dać się prowadzić na rzeź pokornie jak barany.

W kwietniu tegoż roku Żywagowie całą rodziną wyjechali na daleki Ural, do dawnego majątku Warykino, w pobliżu Juriatina.

Część siódma

W podróży

1

Nadeszły ostatnie dni marca, dni pierwszego w tym roku ciepła, fałszywe zwiastuny wiosny, po których zawsze rokrocznie następowało silne ochłodzenie.

W domu Gromieków pośpiesznie gotowano się do wyjazdu. Lokatorom, których w zagęszczonym domu było teraz więcej niż wróbli na ulicy, tłumaczono, że to generalne porządki wielkanocne.

Jurij Andriejewicz był przeciwny wyjazdowi. Nie przeszkadzał w przygotowaniach, uważał bowiem, że cały plan jest nierealny, i miał nadzieję, że w decydującym momencie weźmie w łeb. Ale sprawy posuwały się naprzód i były już na ukończeniu. Nadszedł czas, by poważnie porozmawiać.

Na specjalnie zwołanej naradzie rodzinnej doktor przedstawił żonie i teściowi swe zastrzeżenia.

– A więc uważacie, że nie mam racji i że jedziemy? – zakończył swe wywody. Głos zabrała Tonia.

Mówisz, że trzeba poczekać rok czy dwa, aż zostaną wprowadzone nowe ustawy gruntowe, że będzie można załatwić skrawek ziemi pod Moskwą na ogród. Ale nie radzisz, jak mamy się utrzymać przez ten czas. A to jest najważniejsze, to właśnie chcielibyśmy usłyszeć.

– Zupełny absurd – podtrzymał córkę Aleksander Aleksandrowicz.

– Dobrze, poddaję się – zgodził się Żywago. – Powstrzymuje mnie tylko całkowita niepewność. Puszczamy się w drogę na oślep, nie mając zielonego pojęcia o miejscu, do którego jedziemy. Spośród trzech osób, które mieszkały w Warykinie, dwie, mama i babcia, już nie żyją, a trzecia, dziadek Krüger, jeżeli jeszcze żyje, siedzi za kratkami jako zakładnik.

W ostatnim roku wojny coś tam zrobił z lasami i fabryką, sprzedał je fikcyjnie jakiejś podstawionej osobie czy bankowi, a może na kogoś przepisał. Nie wiemy o tej transakcji. Czyja to jest teraz ziemia, nie w sensie własności, którą niech diabli porwą, ale kto za nią odpowiada? Kto nią zarządza? Czy rąbią las? Czy fabryka działa? I wreszcie, jakie tam są władze i jakie będą, kiedy tam dotrzemy. Dla was zbawczą kotwicą jest Mikulicyn, którego imię tak lubicie powtarzać. Ale kto wam powiedział, że ten stary zarządca żyje i nadal jest w Warykinie? I co my o nim wiemy, poza tym, że dziadek z trudem wymawiał jego nazwisko, dzięki czemu właśnie je zapamiętaliśmy?

Ale o czym tu dyskutować? Postanowiliście jechać. Zgoda. Trzeba się tylko dowiedzieć, jak to się teraz załatwia. Nie ma co odkładać.

2

Aby się o to dowiedzieć, Jurij Andriejewicz poszedł na dworzec Jarosławski.

Tłum wyjeżdżających napierał na bariery, przecinające halę, w której na kamiennej posadzce leżeli ludzie w szarych płaszczach, kręcili się z boku na bok, kasłali i soplowali, a kiedy zaczynali rozmawiać, to zawsze nienaturalnie głośno, nie mogąc przewidzieć siły, z jaką głosy odbijają się od dudniących sklepień.

Przeważnie byli to chorzy, którzy przeszli tyfus plamisty. Z uwagi na przepełnienie w szpitalach wypisywano ich na drugi dzień po kryzysie. Jurij Andriejewicz jako lekarz, sam się stykał z taką koniecznością, nie wiedział jednak, że tych nieszczęśników jest tak wielu i że ich przytułkiem są dworce.

– Musi pan zdobyć skierowanie – radził mu bagażowy w białym kitlu. – Trzeba się dowiadywać codziennie. Pociągi to teraz rzadkość, jak się zdarzy. No i rozumie się... (Bagażowy potarł kciukiem dwa sąsiednie palce.) Mąka czy co tam jeszcze. Nie posmarujesz – nie pojedziesz. No, a to... (pstryknął się w grdykę) rzecz niezawodna...

3

Jakoś w tym czasie poproszono Aleksandra Aleksandrowicza na kilka konsultacji do Najwyższej Rady Gospodarczej, a Jurija Andriejewicza – do ciężko chorego członka rządu.

Otrzymali za to obaj wynagrodzenie w najlepszej w owych czasach formie – przydziały do jednego z pierwszych elitarnych punktów zaopatrzeniowych.

Punkt mieścił się w jakichś magazynach garnizonowych przy klasztorze Simonowskim. Doktor z teściem minęli dwa przechodnie dziedzińce, cerkiewny i koszarowy, i wprost z dworu weszli pod kamienne sklepienie głębokiej, obniżającej się stopniowo piwnicy. Szerszy koniec pomieszczenia zamykała długa lada, za którą, czasem wychodząc do składu po towar, spokojny, flegmatyczny magazynier ważył i wydawał żywność, zamaszycie wykreślając z listy kolejno wydawane produkty.

Odbiorców było niewielu.

– Proszę o opakowanie – zwrócił się magazynier do profesora i doktora, rzuciwszy okiem na ich przydziały. Oczy wprost wyszły im na wierzch, gdy magazynier w nastawione poszewki od jaśków i poduszek zaczął im sypać mąkę, kaszę, makaron i cukier, włożył słoinek, mydło i zapalki i dodał jeszcze po kawałku czegoś, opakowanego w papier, co potem, w domu, okazało się kaukaskim serem.

Zięć i teść z pośpiechem powiązali masę swych drobnych węzłków w dwa duże, aby jak najszybciej zejść z oczu magazynierowi, który przytłaczał ich swą wielkodusznością.

Wyszli z piwnicy, upojeni nie zwierzęcą radością, lecz myślą, że i oni nie na próżno żyją na świecie, że nie są darmożjadami i że zasłużyli na pochwałę i uznanie młodej pani domu.

Podczas gdy mężczyźni biegali po urzędach, załatwiając skierowania i dokumenty zabezpieczające mieszkanie przed rekwizycją, Antonina Aleksandrowna wybierała rzeczy do zapakowania.

Chodziła zatroskana po trzech pokojach, należących oficjalnie do rodziny Gromieków, i bez końca obracała w rękach każdy drobiazg, zanim go odłożyła na stos rzeczy przygotowanych do spakowania.

Tylko niewielka część dobytku miała stanowić osobisty bagaż podróжных, cała reszta stanowiła zapas środków wymiennych, potrzebnych w drodze i po przybyciu na miejsce.

Przez otwarty lufcik wpadało wiosenne powietrze, pachnące świeżo nadgryzioną paryską bułką. Na dworze piały koguty i krzyczały bawiące się dzieci. Im bardziej wietrzono pokój, tym wyraźniejszy stawał się zapach naftaliny, którą pachniały wyjęte z kufrów zimowe rzeczy.

W związku z tym, co należy ze sobą zabrać, a co zostawić, istniała cała teoria, opracowana przez osoby, które wyjechały wcześniej i których obserwacje przekazywali sobie ich pozostali w mieście znajomi.

Zalecenia te w formie krótkich, stanowczych wskazówek, tak mocno utkwiły w głowie Toni, że wydawało się jej, że słyszy je z podwórza wraz z ćwierkaniem wróbli i krzykami rozbawionej dzieciarni, jak gdyby podpowiadał je z zewnątrz jakiś tajemniczy głos.

„Materiały, materiały – mówił ów głos – najlepiej w kuponach, ale w drodze może być rewizja, więc to niebezpieczne. Najrozsądniej skrojone i sfastrygowane, ale żeby udawały gotową odzież. W ogóle tkaniny, pasmanterię, można też odzież, najlepiej wierzchnią, niezbyt znoszoną. Jak najmniej kłopotów, nic ciężkiego. Ponieważ często trzeba będzie przenosić wszystko samemu – zapomnieć o koszach i walizkach. Garstkę rzeczy pozostałą po wielokrotnej selekcji powiązać w tłumoki, które może nieść kobieta lub dziecko. Z praktyki wiadomo, warto wziąć sól i tytoń, ale to duże ryzyko. Pieniądze w kienkach. Najtrudniejsza sprawa to dokumenty.” I tak dalej, i tak dalej.

W przeddzień wyjazdu rozpętała się zamieć śnieżna. Wiatr wzbijał pod niebo szare chmury wirujących płatków, które białą zawieruchą wracały na ziemię, pędziły w głąb ciemnej ulicy i zaścięły ją białym całunem.

Wszystko było już spakowane. Opiekę nad pokojami i pozostawionym w nich dobytkiem powierzono niemłodemu małżeństwu, moskiewskim krewnym Jegorowny, których Antonina Aleksandrowna poznała ubiegłej zimy, wymieniając za ich pośrednictwem rozmałą starzyznę, odzież i niepotrzebne meble na drwa i ziemniaki.

Na Markiele nie można było polegać. W milicji, którą wybrał sobie za klub polityczny, nie skarżył się, że byli kamienicznicy, Gromiekowie wypijają jego krew, ale niejako poniewczasie zarzucał im, że przez wszystkie minione lata trzymali go w mrokach niewiedzy, z rozmysłem ukrywając przed nim fakt, że ludzkość pochodzi od małpy.

Ową parę więc krewnych Jegorowny, byłego urzędnika izby handlowej i jego żonę, Antonina Aleksandrowna ostatni raz oprowadzała po pokojach, pokazywała, które klucze są od jakich zamków i gdzie co leży, otwierała i zamykała wraz z nimi szafy, wysuwała i zasuwała szuflady, wszystkiego uczyła i wyjaśniała.

Stoły i krzesła w pokojach odsunięto pod ściany, podróżne tłumoki odciągnięto na bok, ze wszystkich okien zdjęto firanki. Zadymka śmielej niż w okresie zimowej przytulności zaglądała przez nagie okna do opustoszałych pokoi. Każdemu coś przypominała. Jurijowi Andriejewiczowi dzieciństwo i śmierć matki, Toni i jej ojcu – zgon i pogrzeb Anny Iwanowny. Wszyscy mieli uczucie, że jest to ich ostatnia noc w domu, którego już nigdy nie zobaczą. Mylili się co prawda, ale pod wpływem owego błędnego przypuszczenia, którym zresztą żadne nie dzieliło się z innymi, wspominali w głębi duszy życie, jakie upłynęło pod tym dachem, i walczyli z cisnącymi się do oczu łzami.

Nie przeszkadzało to jednak Antoninie Aleksandrownie w zachowywaniu wobec obcych zasad dobrego tonu. Podtrzymywała bez chwili przerwy rozmowę z kobietą, której przekazywała opiekę nad domem. Tonia wyraźnie wyolbrzymiała znaczenie tej przysługi. Żeby nie płacić za nią czarną niewdzięcznością, co chwila przepraszała i wychodziła do sąsiedniego pokoju, przynosząc stamtąd w prezencie dla owej pani to jakąś chustę, to bluzkę, to kawałek perkalu czy muślinu. I wszystkie materiały były ciemne w białą kratkę lub groszki, tak jak biało cętkowana była ciemna śnieżna ulica, zagładająca w ten pożegnalny wieczór przez nagie, nie zasłonięte okna.

6

Wyruszali na dworzec o świcie. O tej porze mieszkańcy domu zazwyczaj jeszcze spali. Lokatorka Zieworodkina, stała inicjatorką wszelkich zbiorowych akcji, obiegła śpiących sąsiadów, pukając do drzwi i krzycząc:

– Uwaga, uwaga, towarzysze! Do pożegnania! Weselej, raźniej! Byli właściciele Garumieko wyjeżdżają.

Lokatorzy wysypali się do sieni i na kuchenny ganek (wejście frontowe było teraz przez cały rok zamknięte) i stanęli półkolem na schodkach jak do wspólnej fotografii.

Wszyscy ziewali i garbili się, aby nie zjechały im z ramion narzucone w pośpiechu cienkie, wiatrem podszyte paletka, i przebierali z zimna gołymi nogami, wsuniętymi w ogromniaste walonki.

Markieł, cudem prawdziwym w tych bezalkoholowych czasach, zdążył się już ożłopać jakiegoś okropieństwa i walił się jak podcięty kosą na poręcze schodów, grożąc ich złamaniem. Proponował, że zawiezie rzeczy na dworzec, i obrażał się, że odrzucają jego pomoc. Ledwie się od niego odczepili.

Na dworze było jeszcze ciemno. W bezwietrznym powietrzu śnieg walił gęstszy niż poprzedniego dnia. Duże kosmate płatki opadały leniwie i nisko nad ziemię i jeszcze zwalniały, niepewne, czy mają spaść na nią, czy nie.

Gdy wyszli ze swej uliczki na Arbat, zrobiło się nieco jaśniej. Śnieżyca zasłaniała ulicę białą opadającą firanką, której frędzle kołysały się i plątały pod nogami idących, a im się zdawało, że nie posuwają się naprzód, tylko drepczą w miejscu.

Na ulicy nie było żywego ducha. Nikt nie szedł naprzeciw podróżnych z ulicy Siwcew Wrażek. Wkrótce dogoniła ich pusta dorożka, zaprzężona w ubieloną klacz, tak oblepiona śniegiem, że wyglądała jak unurzana w rzadkim cieście. Woźnica za bajeczną sumę, która w owym czasie i tak miała wartość kopiejki, usadowił ich wszystkich z bagażami w dorożce, oprócz Jurija Andriejewicza, który postanowił pójść na dworzec pieszo, z pustymi rękami.

7

Na dworcu Antonina Aleksandrowna z ojcem już zajmowali miejsca w ogromnej kolejce, ściśniętej barierami drewnianych przegródek. Do pociągu wsiadało się teraz nie z peronów, ale o dobre pół wiorsty dalej, wprost z torów pod semaforem wyjazdowym, gdyż nikt nie odśnieżał dojazdu do rampy i połowa terenu dworca pokryta była lodem i nieczystościami, tak że parowozy nie mogły tam dojechać.

Niusza i Szuroczka nie tkwili w tłumie wraz z matką i dziadkiem. Przechadzali się na wolnej przestrzeni po ogromnej hali dworca, od czasu do czasu zaglądając stamtąd, by sprawdzić, czy już nie czas przyłączyć się do starszych. Oboje cuchnęli mocno naftą, którą dla ochrony przed tyfusowymi wszami wysmarowano im obficie kostki nóg, nadgarstki i szyje.

Na widok wchodzącego męża Antonina Aleksandrowna pomachała mu ręką i krzyknęła z daleka, w której kasie stemplują służbowe dokumenty podrózne. Doktor udał się w tym kierunku.

– Pokaż, jakie pieczątki przybili – powiedziała żona, gdy wrócił. Doktor podał jej przez barierę plik złożonych papierków.

– To jest pieczątką do wagonu delegacyjnego – odezwał się z tyłu sąsiad Antoniny Aleksandrowny, odczytując jej przez ramię stempel na zaświadczeniu. Sąsiad z przodu, najwyraźniej formalista, znający na pamięć wszelkie przepisy, wyjaśnił to bliżej:

– Z tą pieczątką macie prawo żądać miejsca w wagonie pasażerskim, to znaczy osobowym, jeżeli takowe będą w składzie.

Teraz zainteresowała się tym cała kolejka.

Odezwały się głosy:

– Trzeba najpierw znaleźć te osobowe. To będzie słono kosztować. Teraz i za miejsce na buforze ludzie są wdzięczni.

– Nie słuchajcie ich, obywatelu delegacie. Lepiej posłuchajcie, co ja wam powiem. Teraz oddzielne pociągi nie chodzą, jest jeden zbiorowy, i dla wojskowych, i dla aresztantów, i dla bydła, i dla ludzi. Gadać można wszystko, co ślina na język

przyniesie, ale po co człowieka zbijać z pantałyku, trzeba mu wytłumaczyć, żeby wiedział.

– Akurat, wytłumaczyłeś. Znalazł się mądrala. Stempel do delegacyjnego to jeszcze nie wszystko. Przyjrzyj im się najpierw, a potem gadaj. Czy z takim wyglądem można do delegacyjnego? W delegacyjnym jadą sami swoi. Taki marynarz ma bystre oko i w dodatku nagan na sznurze. Od razu zobaczy, że to klasa posiadająca i przy tym doktor, z byłych jaśnie panów. No to marynarz łap za nagan, i utłucze go, jak muchę.

Nie wiadomo dokąd zaprowadziłoby owo współczucie dla doktora i jego rodziny, gdyby nie nowa okoliczność.

Już od jakiegoś czasu tłum rzucał spojrzenia przez szerokie okno z grubymi lustrzanymi szybami. W dalekiej perspektywie, za szeregami długich dachów ocieniających perony, widniał obraz padającego na tory śniegu. Z tej odległości zdawało się, że płatki niemal nieruchomo wiszą w powietrzu i osiadają powoli jak rozmiękle w wodzie okruszyny chleba, którymi karmi się ryby.

W tę odległą perspektywę, już od dawna grupkami i pojedynczo zdążali jacyś ludzie. Dopóki przechodzili pojedynczo, brano te niewyraźnie majaczące za drżącą siatką śniegu postacie za kolejarzy. Nagle jednak ruszyli zwartą grupą. W głębi, tam, dokąd zdążali, zadymił parowóz.

– Otwierajcie drzwi, oszuści! – zaczęto wrzeszczeć w kolejce. Tłum zakołysał się i runął ku wyjściu. Tylne szeregi napierały na idących z przodu.

– Patrz, co się wyrabia! Tu zagrozdili murem, a tam się pchają bez kolejki, od tyłu! Zapchają wszystkie wagony, a my tu mamy stać jak barany! Otwierajcie, dranie, bo wyłamiemy drzwi. Ej, chłopcy, razem pchajmy!

– I komu ci durnie zazdrozczą – odezwał się wszystko wiedzący formalista. – To zmobilizowani do armii pracy z Piotrogradu. Najpierw ich skierowano do Wołogdy, na Front Północny, a teraz pędzą na Wschodni. Przymusowo. Pod konwojem. Do kopania okopów.

8

Byli w drodze już trzy dni, ale niezbyt się oddalili od Moskwy. Za oknami rozciągał się zimowy krajobraz: szyny, pola, dachy, wsie – wszystko tonęło w śniegu.

Rodzinie Żywagów udało się zająć lewy narożnik górnej półki przy mętym podłużnym okienku umieszczonym pod samym sufitem. Zmieścili się tam wszyscy, całe rodzinne kółko. Antonina Aleksandrowna po raz pierwszy jechała wagonem towarowym. Przy wsiadaniu w Moskwie Jurij Andriejewicz na rękach podsadził obie kobiety przez ciężkie rozsuwane drzwi na wysoką podłogę wagonu. Później, w podróży, kobiety nabrały wprawy i wdrapywały się do ciepłuszki same. W pierwszym momencie wagony zrobiły na Toni wrażenie chlewów na kółkach. Była pewna, że rozleczą się w kawałki przy pierwszym wstrząsie czy szarpnięciu. Ale oto już trzeci dzień rzucało nimi w przód i w tył i waliło na bok przy zmianie prędkości lub na zakrętach, i trzeci dzień pod podłogą drobno stukały osie jak pałeczki

nakręcanego bębenka-zabawki, a podróż przebiegała pomyślnie, i obawy Antoniny Aleksandrowny nie znajdowały potwierdzenia.

Na stacjach przy krótkich peronach zatrzymywała się tylko część długiego pociągu, składającego się z czterdziestu trzech wagonów (Żyragowie jechali w czternastym) – czoło, tył albo środek.

W pierwszych wagonach jechali wojskowi, w środkowych ludność cywilna, a w tylnych ludzie zmobilizowani do armii pracy.

Było ich około pięciuset osób w różnym wieku i różnych profesji.

Osiem wagonów, w których jechali, przedstawiało niezwykle widok. Obok dobrze ubranych bogaczy, petersburskich giełdźarzy i adwokatów, można było zobaczyć zaliczonych do klasy wyzyskiwaczy dorożkarzy, cykliniarzy, łaźiebnych, tatarskich handlarzy starzyzną, wariatów, zbiegłych z rozwiązanych szpitali, drobnych przekupniów i mnichów.

Bogacze siedzieli bez marynarek wokół rozpalonych do czerwoności piecyków na krótko spiłowanych klockach, opowiadając coś sobie jeden przez drugiego i głośno się śmiejąc. Ci ludzie mieli znajomości. Nie załamywali rąk. Wiedzieli iż zabiegają o zwolnienie wpływowi krewni, w najgorszym wypadku zaś mogli wykupić się w drodze.

Pozostali, w wysokich butach i rozchełstanych kaftanach lub długich, wypuszczonych na portki koszulach, brodaci i bez bród, stali w otwartych drzwiach dusznych ciepłuszek, trzymając się futryn i żelaznych poręczy, spoglądali ponuro na mijane osiedla i ludzi i z nikim nie rozmawiali. Ci nie mieli żadnych znajomości. Na nic nie liczyli.

Nie wszyscy ci ludzie zmieścili się w przeznaczonych dla nich wagonach. Część jechała w środku składu wraz z wolnymi pasażerami. W czternastej ciepłuszce również.

9

Zazwyczaj, kiedy pociąg zbliżał się do jakiejś stacji, leżąca na górze Antonina Aleksandrowna unosiła się w niewygodnej pozie na tyle na ile pozwalał niski strop, zwieszała głowę z półki, i patrząc przez szparę uchylonych drzwi oceniała, czy miejscowość jest interesująca z punktu widzenia wymiany towarowej, czy warto schodzić z pryczy i wysiadać z wagonu.

Tak było i teraz. Zbudził ją z drzemki wolniejszy bieg pociągu. Ciepłuszka coraz częściej podskakiwała ze stukotem na licznych zwrotnicach, co było zapowiedzią jakiejś większej stacji i dłuższego postoju.

Antonina Aleksandrowna usiadła przygięta, przetarła oczy, poprawiła włosy, zanurzyła rękę w worku z rzeczami i wygrzebała z samego dna ręcznik wyszywany w koguciki, parobków, koła i duchy.

Zbudził się również doktor, pierwszy zeskoczył z półki i pomógł zejść żonie.

Obok otwartych drzwi wagonu w ślad za budkami dróżników i latarniami przepływały już przystacyjne drzewa, wyciągające w stronę pociągu obciążone

płatami śniegu gałęzie, niby ręce podające na powitanie chleb i sól. Jako pierwsi, jeszcze w biegu, wyskakiwali na nietknięty śnieg marynarze i pędem, wyprzedzając wszystkich, biegli za róg stacyjnego budynku, gdzie zazwyczaj, w cieniu bocznej ściany, ukrywały się przekupki, nielegalnie handlujące jedzeniem.

Czarne mundury marynarzy, rozwiewające się wstążki czapek i rozkloszowane spodnie przydawały ich krokom zdecydowania i szybkości; rozstępowano się przed nimi jak przed rozpedzonymi narciarzami czy łyżwiarzami.

Za węglem stacji, chowając się jedna za drugą, podniecone jakby im wrócono z kart, stały gęsiego chłopki z pobliskich wsi z ogórkami, twarogiem, gotowaną wołowiną i żytnimi placuszkami z serem, jeszcze ciepłymi i pachnącymi, gdyż przykryto je dla ochrony przed zimnem pikowanymi kołderkami. Baby i dziewczuchy w kożuchach i ciepłych chustach czerwieniły się jak maki słysząc niektóre żarty marynarzy, a jednocześnie bały się ich jak ognia, gdyż właśnie przeważnie z marynarzy formowano rozmaite oddziały do walki ze spekulacją i nielegalnym handlem.

Zmieszanie wieśniaczek trwało krótko. Pociąg stanął. Zaczęli napływać inni pasażerowie, zawrzała ożywiony handel.

Antonina Aleksandrowna z przewieszonym przez ramię ręcznikiem obchodziła przekupki udając, że idzie na zaplecze stacji umyć się śniegiem. Już kilka razy zawołano za nią ze straganów:

– Hej, miastowa, ile chcesz za ten ręcznik?

Ale Antonina Aleksandrowna nie oglądając się szła z mężem dalej.

Na końcu szeregu stała kobieta w czarnej chuście w pąsowy deseń. Na widok haftowanego ręcznika jej bezczelne oczy zabłyśły. Rozejrzała się na boki i upewniwszy się, że nikąd nie grozi niebezpieczeństwo, szybko podeszła tuż do Antoniny Aleksandrowny i, ukazując spod płachty swój towar, wyszeptwała szybko i gorączkowo:

– Zobacz no. Widziałaś coś takiego? Nie skusisz się? NO, nie zastanawiaj się, bo cię podkupią. Dawaj ręcznik za połetek.

Tonia nie rozumiała ostatniego słowa i spytała:

– Co mówisz, kochana?

Chłopka nazywała połetkiem połówkę zająca, przeciętego wzdłuż i upieczonego w całości, od głowy do ogona.

– No – powtórzyła – oddaj ręcznik za połetek, mówię. Co się tak patrzysz? Boisz się, że to pies? Mój mąż jest myśliwym. To zajac, zajac.

Dobito targu. Każdej ze stron zdawało się, że dokonała niezwykle korzystnej transakcji i że strona przeciwna poniosła równie niewielką stratę. Toni zrobiło się wstyd, że tak nieuczciwie nabrała biedną wieśniaczkę, ta zaś zadowolona z zamiany, chcąc co prędzej opuścić miejsce przestępstwa zawołała handlującą nie opodal sąsiadkę i ruszyła wraz z nią do domu wydeptaną w śniegu, niknącą w dali ścieżką.

W tym momencie w tłumie zrobiło się zamieszanie. Gdzieś zaczęła krzyczeć jakaś staruszka:

– Dokąd to, kawalerze? A pieniądze? Kiedyś ty mi je dał, bezwstydniku? Ach, ty brzuch nienasycone! Mówi się do niego, a on nawet się nie obejrzy. Stój, mówię ci, stój, panie towarzyszu! Ratunku! Rozbój! Rabują! To ten, to ten, trzymajcie go!

– Który?

– O, ten gołowąs, idzie i jeszcze się śmieje.

– Ten z dziurą na łokciu?

– No tak, tak! Trzymajcie łajdaka!

– To ten, co ma łatę na rękawie?

– No tak, tak! O, mój Boże, ograbił mnie!

– Co się tu dzieje?

– Kupował od babki pierogi, mleko, napchał sobie kałdun i w nogi. A ona teraz płacze, rozpacza.

– Nie można tego tak zostawić. Trzeba go złapać.

– Idź, spróbuj. Cały obwieszony bronią. Akurat da cię się złapać.

10

W czternastej ciepłuszce pod strażą konwojenta Woroniuka jechało kilku zmobilizowanych do armii pracy. Wyróżniali się spośród nich trzej: były kasjer sklepu monopolowego z Piotrogradu Prochor Charitonowicz Prituljew, „kasowy”, jak go nazywano w ciepłuszce, szesnastoletni Wasia Brykin, praktykant ze sklepu żelaznego, i siwy rewolucjonista-spółdzielca, Kostojed-amurski, który zwiedził wszystkie katorgi ze starego reżimu, a teraz, w nowym, otwierał następną serię.

Wszyscy ci ludzie byli sobie obcy, złapani zupełnie przypadkowo, i poznali się dopiero w podróży. Okazało się, że kasjer Prituljew i uczeń Wasia Brykin są krajanami, obaj pochodzą spod Wiatki, z okolic, przez które pociąg miał za jakiś czas przejeżdżać.

Prituljew, mieszczuch z Małmyża, był przysadzisty, ostrzyżony na jeża, dziobaty i brzydki. W ciasnym kitlu na czarno przepoconym pod pachami, wyglądał jak piersiasta baba w obcisłym sarafanie. Był milczący niby kamienny bożek i całymi godzinami w zamyśleniu do krwi rozdrapywał na swych piegowatych dłoniach brodawki, tak że zaczynały ropieć.

Rok temu siedł sobie pewnego jesiennego dnia Newskim i na rogu Litientiejnego trafił w obławę uliczną. Kazano mu się wylegitymować. Okazało się przy tym, że jest posiadaczem kartki żywnościowej dla niepracujących, na którą zresztą nigdy niczego nie wydawano. Został zatrzymany i wraz z innymi, aresztowany na tej samej podstawie, odprowadzony pod strażą do koszar. Zebraną w ten sposób partię, tak jak skompletowaną wcześniej do kopania okopów na Froncie Archangielskim, zamierzano początkowo wysłać do Wołogdy, ale później zawrócono ją z drogi i skierowano przez Moskwę na Front Wschodni.

Prituljew miał żonę w Łudze, gdzie pracował przed wojną, zanim podjął pracę w Petersburgu. Na wieść o nieszczęściu, jakie go spotkało, żona rzuciła się na

poszukiwania do Wołogdy, żeby go uwolnić. Po drodze jednak się rozminęli i zabiegi żony poszły na marne. Wszystko się poplątało.

W Petersburgu Prituljew mieszkał u swej konkubiny Pelagii Niłowny Tiagunowej. Zatrzymano go na rogu Newskiego akurat w momencie, kiedy się z nią pożegnał, zamierzając iść w jakiejś sprawie w drugą stronę. Widział jeszcze z daleka jej sylwetkę, która wkrótce zniknęła w tłumie przechodniów na Litiejnym.

Owa Tiagunowa, pulchna postawna mieszcza o ładnych rękach i grubym warkoczu, który z głębokim westchnieniem przerzucała przez ramię na piersi, z własnej woli towarzyszyła Prituljewowi w podróży eszelonem.

Nie wiadomo, co w takiej pokrace jak Prituljew widziały Ignące doń kobiety. Oprócz Tiagunowej, w drugiej tiepłuszce, o kilka wagonów w stronę lokomotywy, jechała inna znajoma Prituljewa, która nie wiadomo jakim sposobem znalazła się w pociągu. Była to Ogryzkowa, jasnowłosa, chuda dziewczyna, „wągier” i „szprycowa”, jak nazywała ją obelżywie Tiagunowa.

Rywalki były ze sobą na noże i starały się schodzić sobie z oczu. Ogryzkowa nigdy nie zjawiała się w tiepłuszce. Było zagadką, jak udało się jej spotkać z obiektem swych uczuć. Może zadowalała się kontemplowaniem go z daleka, kiedy wraz z innymi pasażerami ładował do pociągu drwa i węgiel.

11

Historia Wasi była inna. Ojciec jego zginął na wojnie. Matka wysłała Wasię na naukę do wujka do Pitra.

Zimą wuja, który był właścicielem sklepika żelaznego w Pasażu Apraksińskim, wezwano do Rady dla złożenia zeznań podatkowych. Pomylił drzwi i zamiast do pokoju wymienionego w wezwaniu, trafił do sąsiedniego. Mieściła się tam akurat komisja poborowa armii pracy i tłoczyło się mnóstwo ludzi. Kiedy zebrała się dostateczna liczba wezwanych, przyszli czerwonoarmiści, otoczyli zebranych i poprowadzili ich na nocleg do koszar Siemionowskich, a rankiem następnego dnia odstawili na pociąg, jadący do Wołogdy.

Wieść o zatrzymaniu tak wielkiej liczby ludzi szybko rozeszła się po mieście. Następnego dnia mnóstwo osób przyszło na dworzec pożegnać swych bliskich. Przyszedł także Wasia z ciotką, by odprowadzić wujka.

Wujek zaczął prosić konwojenta, by go wypuścił na chwilę za kratę do żony. Konwojentem był właśnie Woroniuk, który i teraz pilnował swej grupy w czternastej tiepłuszce. Nie chciał wypuścić wuja bez solidnej poręki, że ten wróci. Wujek i ciocia zaproponowali więc, że zostawią pod strażą siostrzeńca. Woroniuk się zgodził. Wasię wprowadzono za kratę, wuja zaś wyprowadzono. Ciocia i wujek już nie wrócili.

Kiedy podstęp się wydał, Wasia, który nie podejrzewał takiego oszustwa, wybuchnął płaczem. Tarzał się u nóg Woroniuka, całował go po rękach, ale bez rezultatu. Konwojent był nieubłagany, choć nie z wrodzonego okrucieństwa. Czasy były niespokojne, przepisy surowe. Konwojent odpowiadał własnym życiem za

każdego z powierzonych mu ludzi, figurujących na liście. W taki właśnie sposób Wasia trafił do armii pracy.

Spółdzielca Kostojed-Amurski, który cieszył się szacunkiem wszystkich więziennych dozorców za rządów carskich, i obecnie, i zawsze był z nimi za pan brat, nieraz zwracał uwagę naczelnika konwoju na tragiczną sytuację Wasi. Komendant przyznawał, że to z uwagi na trudności formalne nie można rozwikłać tej sprawy w drodze, i że ma nadzieję załatwić ją po przybyciu na miejsce.

Wasia był ładnym chłopcem o regularnych rysach; tak wyglądają na obrazach carscy dworzanie lub aniołowie. Był zdumiewająco niewinny i nie zepsuty. Najbardziej lubił siedzieć na podłodze u nóg dorosłych i obejmując kolana, z głową odrzuconą do tyłu, słuchać ich rozmów i opowieści. Wówczas z gry mięśni na jego twarzy, gdy powstrzymywał śmiech lub walczył ze łzami, można było odczytać treść opowieści. Temat rozmowy odbijał się na twarzy wrażliwego chłopca jak w lustrze.

12

Spółdzielca Kostojed siedział na górze u Żywagów i ciamkając ogryzał zajęczą łopatkę, którą go poczęstowano. Bał się przeciągów i przeziębienia. „Skąd tak ciągnie?” – pytał i ciągle przesiadał się w poszukiwaniu zacisznego miejsca. Wreszcie usadowił się tak, żeby na niego nie wiało, powiedział „teraz dobrze”, skończył ogryzać łopatkę, oblizał palce, wytarł je chusteczką do nosa, i podziękowawszy gospodarzom, oznajmił:

– To z okna tak wieje. Koniecznie trzeba uszczelnić. Ale wróćmy do tematu. Nie ma pan racji, doktorze. Pieczony zając to wspaniała rzecz. Ale wnioskować z tego, że wieś żyje w dobrobycie, to, za przeproszeniem, zbyt śmiało, to skok bardzo ryzykowny.

– Ależ co pan – oponował Jurij Andriejewicz. – Niech pan popatrzy na te stacje. Drzewa nie ścięte. A te stragany! Te baby! Aż miło spojrzeć. A więc gdzieś jest życie. Ktoś jest zadowolony. Nie wszyscy narzekają. I to usprawiedliwia wszystko inne.

– Byłoby dobrze, gdyby rzeczywiście tak się działo. Ale to nieprawda. Skąd pan to wziął? Niech pan pojedzie sto wiorst od stacji. Wszędzie nieustające powstania chłopskie. Zapyta pan, przeciw komu? Przeciw białym i przeciw czerwonym, w zależności od tego, czyja władza tam działa. Powie pan, aha, chłop jest wrogiem każdego porządku, sam nie wie, czego chce. Ale niech się pan wstrzyma z sądem. On wie to lepiej od pana, ale chce czegoś zupełnie innego niż pan czy ja.

Kiedy rewolucja go przebudziła, uznał, że spełnia się jego odwieczne marzenie o samodzielnym życiu, o anarchistycznej egzystencji opartej na własnej zagrodzie i pracy własnych rąk, bez zależności i powinności wobec kogokolwiek. A tymczasem z oków starej, obalonej państwowości trafił pod jeszcze większą presję nowego rewolucyjnego arcypanstwa. A teraz oto wieś miota się i nigdzie nie znajduje spokoju. A pan mówi, że chłopstwo jest szczęśliwe. Nic pan nie wie, mój drogi, i jak widzę, nie chce pan wiedzieć.

– Cóż, rzeczywiście nie chcę. Ma pan absolutną rację. Zaraz, chwileczkę! Po cóż mam wiedzieć i wszystkim się zamartwiać? Obecne czasy nie liczą się ze mną i narzucają mi, co chcą. Niechże więc pan pozwoli i mnie ignorować fakty. Mówi pan, że moje słowa nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. A czyż teraz w Rosji w ogóle jest jakaś rzeczywistość? Moim zdaniem tak ją zastraszone, że się ukrywa. Ja chcę wierzyć, że wieś wygrała i że rozkwita. Jeżeli nawet się mylę, to co mam robić? Czym żyć, kogo słuchać? A żyć muszę, mam rodzinę.

Jurij Andriejewicz machnął ręką i pozostawiając teściowi dalszy ciąg dyskusji z Kostojedem, przesunął się na brzeg pryczy i zwiesiwszy głowę, zaczął obserwować, co się dzieje na dole.

Toczyła się tam rozmowa między Prituljewem, Woroniukiem, Tiagunową i Wasią. Wjeżdżali w rodzinne okolice Prituljewa i Wasi. Prituljew przypominał sobie, na jakiej stacji się wysiadało i jak podróżowało się dalej, pieszo czy końmi, a Wasia, słysząc nazwy znajomych wiosek, zrywał się z płonącymi oczyma i w zachwycie je powtarzał; samo ich wyliczanie brzmiało dlań jak czarodziejska baśń.

– Wsiadaliście na Suchym Brodzie? – pytał zachłystując się. – No oczywiście. To nasz rozjazd! Nasza stacja! A potem chyba na Bujskie?

– Potem bujskim traktem.

– No właśnie mówię: bujskim. Wieś Bujskie. Znam! To nasz zakręt. Stamtąd jedzie się do nas na prawo. Na Wierietienniki... A do was, wujku Charitonyczu, chyba na lewo od rzeki? Rzekę Piełgę znacie? No jakże! To nasza rzeka. A do nas idzie się brzegiem, brzegiem. I nad tą rzeką, nad Piełgą, trochę wyżej, są nasze Wierietienniki, nasza wieś! W samym jarze! A brzeg tam stro-o-omy! Nazywają to u nas „schodkiem”. Jak się stanie na górze, strach popatrzeć w dół, taka stromizna. Nie daj Boże spaść. Naprawdę! Tam są kamieniołomy. Bierze się kamień na żarna. I w tych Wierietiennikach mieszka moja mamusia. I dwie siostrzyczki, Alonka i Ariszka. Moja mamusia to zupełnie jak wy, ciciu Pelagio, też taka młoda, bielutka. Wujku Woroniuk! Wujku Woroniuk! Błagam was, na rany Chrystusa... Wujku Woroniuk!

– „Nu szczo? Szczo ty zadołbyw, jak zozula: „wujku Woroniuk, wujku Woroniuk”? Chiba ja ne znaju, szczo ja ne ciocia? Szczo ty chcesz, szczo tobi treba? Szczob ja pustyw tebe tikat’? Szczo ty, skazywś? Ty dasz winta, a mni za to bude amiń, stienka?”

Pelagia Tiagunowa spoglądała z roztargnieniem gdzieś w bok i milczała. Gładziła Wasię po głowie i w zamyśleniu przebierała palcami jego jasne włosy. Od czasu do czasu pochyleniem głowy, spojrzeniem i uśmiechem dawała chłopcu do zrozumienia, żeby nie był głupi i nie rozmawiał przy wszystkich z Woroniukiem o takich sprawach, żeby poczekał, a wszystko się na pewno jakoś ułoży.

Kiedy minęli obszary Rosji środkowej i posunęli się na wschód, zaczęły się sypać niespodzianki. Mijali niespokojne miejscowości, leżące w strefie działania uzbrojonych band, miejsca stłumionych niedawno powstań.

Częstsze stały się postoje w polu, obchody wagonów przez oddziały zaporowe, rewizje bagaży, sprawdzanie dokumentów.

Pewnego razu pociąg zatrzymał się gdzieś w nocy. Nikt jednak nie zaglądał do wagonów, nie budzono ludzi. Jurij Andriejewicz, chcąc sprawdzić, czy nie zdarzyło się jakieś nieszczęście, wyskoczył z ciepłuszki.

Była ciemna noc. Pociąg bez widocznych przyczyn zatrzymał się w jakimś przypadkowym miejscu między stacjami, na odcinku obsadzonym świerkami. Drepcący przed ciepłuszką sąsiedzi, którzy wyskoczyli wcześniej, poinformowali doktora, że o ile im wiadomo, nic się nie stało, że to chyba maszynista sam zatrzymał pociąg pod pretekstem, że jest tu niebezpiecznie, i odmawia dalszej jazdy, dopóki dreznina nie sprawdzi całego odcinka. Podobno niektórzy z pasażerów poszli go prosić, by ruszył, a w razie czego mają go przekupić. Chodzą słuchy, że wmieszali się w sprawę marynarze, a już oni potrafią przełamać opór maszynisty.

Podczas tych wyjaśnień śnieżna gładzina nasypu obok parowozu rozświetliła się nagle, niby odbłaskiem ogniska, promienistym dymem z komina i paleniska parowozu. Jeden z ognistych języków nagle oświetlił kawałek śnieżnego pola i kilka czarnych postaci, przebiegających po ramie parowozu.

Na przedzie mignęła sylwetka maszynisty. Dobiegł do końca pomostu, podskoczył w górę, przeleciał przez bufory i zniknął z pola widzenia. To samo zrobili ścigający go marynarze. Również dobiegli do końca pomostu, skoczyli, mignęli w powietrzu i przepadli jak kamień w wodzie.

Jurij Andriejewicz, zainteresowany tym wydarzeniem, wraz z kilkoma ciekawskimi ruszył naprzód w stronę parowozu.

Na rozpościerającej się przed parowozem wolnej przestrzeni ukazał się ich oczom następujący widok: w bok od nasypu, z nietkniętego śniegu sterczał do połowy zagrzebany w zaspie maszynista. Otaczali go półkołem – jak naganiacze zwierzyne – marynarze, również po pas zanurzeni w śniegu.

Maszynista wrzeszczał:

– Piękne dzięki, albatrosy! A tom się doczekał! Z naganem na własnego brata, na robotnika! Dlaczego mówiłem, że pociąg dalej nie pójdzie? Towarzysze pasażerowie, sami widzicie, jakie to okolice. Włóczą się tu różni tacy, rozkręcają szyny. A mnie, taka wasza owaka mać, co do tego? A cholera wam w bok, mnie nie o siebie chodzi, ale o was, żeby wam się co nie stało. I oto mam co mam za moją troskę. No co, strzelajcie do mnie, minerzy! Towarzysze pasażerowie, jesteście świadkami, tu on, a tu ja – nie chowam się.

Z grupki stojącej na nasypie słyhać było ożywione głosy. Jedni krzyczeli stropieni:

– Ależ co ty?... Opamiętaj się... Nic ci się nie stanie. Kto by im na to pozwolił? Oni tylko tak.... Na postrach...

Inni głośno dopingowali:

– Dalej, dalej, zuchu! Parowóz, nie daj się!

Marynarz, który jako pierwszy wygramolił się ze śniegu i okazał się rudym olbrzymem z tak wielką głową, że jego twarz wydawała się zupełnie płaska,

spokojnie odwrócił się do tłumu i cichym basem, z ukrainizmami, jak Woroniuk, powiedział kilka słów z taką flegmą, że zabrzmiało to aż śmiesznie w tej niezwyklej sytuacji:

– Przepraszam, szczo ce za harmider? Żebyście się nie przeziębili na witr, hromadzianie. Hajda z mrozu do wagoniw!

Kiedy tłum stopniowo rozszedł się do swych ciepłuszek, rudy marynarz zbliżył się do maszynisty, który jeszcze nie całkiem przyszedł do siebie, i powiedział:

– Dosyć tej hysterii, towarzyszu mechaniku. Wyłaż z jamy i w drogę, pojichały.

14

Nazajutrz, jadąc wolno i co chwila przystając w obawie, by nie wypaść z zawianych śniegiem szyn, pociąg zatrzymał się na bezludnym pustkowiu, w którym nie od razu rozpoznano szczątki strawionej przez pożar stacji. Na zakopczonej fasadzie można było odcyfrować napis: „Niżny Kelmes”.

Ślady pożaru nosił nie tylko budynek stacyjny. Nieco z tyłu widniała opuszczona i zasypiana śniegiem osada, która podzieliła smutny los stacji.

Skrajny dom osady był cały zwęglony, w sąsiednim wyrwane narożne belki sterczały ku środkowi, wszędzie poniewierały się szczątki sań, zwalonych płotów, pogiętego żelastwa, potłuczonych naczyń. Zabrudzony popiołem i kopciem śnieg zionął wypalonymi do gołej ziemi łysinami. Z kałuż zlodowaciałych pomyj sterczały zmarznięte głownie, ślady ognia i gaszenia.

Stacja i osada nie były całkiem puste. Tu i tam kręcili się ludzie.

– Cała sloboda się paliła? – spytał ze współczuciem kierownik pociągu, kiedy spoza ruin wyszedł go powitać zawiadowca.

– Witam. Winszuję szczęśliwego przybycia. Palić tośmy się palili, ale tu była sprawa gorsza od pożaru.

– Nie rozumiem.

– Lepiej nie pytać.

– Czyżby Strielnikow?

– We własnej osobie.

– Czymżeście zawinili?

– Nie my. Nasza chata z kraja. Sąsiedzi. A nam się dostało przy okazji. Widzicie tę osadę w głębi? To właśnie winowajcy. Wieś Niżny Kelmes, gmina ust'-niemdińska. To wszystko przez nich.

– A co zrobili?

– Ach, popełnili bez mała siedem grzechów głównych. Rozpędzili u siebie komitet do spraw biedoty, to raz, sprzeciwili się dekretoowi o dostawie koni do Armii Czerwonej, a trzeba wam wiedzieć, że to sami Tatarzy, hodowcy koni, to dwa; i nie podporządkowali się rozkazowi o mobilizacji – to trzy. No więc widzicie.

– Tak, tak. Teraz wszystko jasne. I to za to ich ostrzelano?

– Właśnie.

– Z pociągu pancernego?

- Nie inaczej.
- Smutne. Naprawdę godne ubolewania. Zresztą to nie nasza sprawa.
- Tak, a w dodatku sprawa miniona. Niczym nowym nie mogę was pocieszyć. Będziecie musieli tu pozostać ze dwa dni.
- Żarty na bok; to nie jest zwykły pociąg. Wiozę uzupełnienie na front. I przyzwyczałem się jechać bez postojów.
- To nie żarty. Zasy, sami widzicie. Przez tydzień na całym odcinku szalał buran. Wszystko zasypane. A odśnieżyć nie ma komu. Połowa wsi się rozbiegła, a ci, co zostali, nie dają rady.
- A niechże was! Jestem zgubiony! Co teraz robić?
- Jakoś odśnieżymy i pojedziecie.
- Duże zatory?
- Nie za bardzo. Miejscami. Buran wiał ukośnie, pod kątem do nasypu. Najtrudniejszy jest odcinek środkowy. Trzy kilometry wykopu. Tam rzeczywiście będzie ciężko. Kompletnie zasypane. A dalej w porządku, tajga osłoniła. I przed wykopem na otwartej przestrzeni też nic strasznego. Tam wiatr zwiewał śnieg.
- A niech was diabli. Co za pech! Postawię na nogi cały pociąg, niech pomagają.
- Właśnie tak myślałem.
- Tylko nie ruszajcie marynarzy i czerwonogwardzistów. Jest cały eszelon armii pracy. Razem z wolnymi pasażerami będzie około siedmiuset.
- To nawet więcej niż trzeba. Jak tylko dowiozą łopaty, zaraz dostarczymy. Bo łopat brakuje. Posłaliśmy do sąsiednich wsi. Zdobędziemy.
- To dopiero nieszczęście, jak mi Bóg miły! Myślicie, że damy sobie radę?
- Oczywiście. Gromadą, jak to powiadają, miasta się zdobywa. A to jest kolej. Ważna arteria. Tylko pomóżcie.

15

Oczyszczanie torów trwało trzy doby. Cała rodzina Żywagów, łącznie z Niuszą, wzięła w nim czynny udział. Był to najlepszy okres ich podróży.

Okolica miała w sobie coś tajemniczego, nie dopowiedzianego. Wiało od niej pugaczowszczyzną, w ujęciu Puszkina, azjatyckością opisów Aksakowa.

Tajemniczości owego zakątka dopełniały zniszczenia i nieufność nielicznych ocalałych mieszkańców, którzy byli zastraszeni, unikali pasażerów pociągu i nawet nie kontaktowali się między sobą w obawie przed donosami.

Każda kategoria pasażerów pracowała osobno, a teren robót obstawiono strażą.

Odśnieżano całą linię naraz, w różnych miejscach pracowały oddzielne brygady. Pomiędzy oczyszczonymi odcinkami do samego końca pracy pozostawały góry nietkniętego śniegu, oddzielające od siebie poszczególne grupy. Owe góry usunięto dopiero w ostatniej chwili, po odśnieżeniu całej linii.

Dni były pogodne, mroźne. Podróżni spędzali cały czas na dworze i wracali do wagonów tylko na nocleg. Pracowali na zmiany, które były krótkie i nie męczące,

gdyż brakowało łopat, a pracujących było zbyt wielu. Tak lekka praca sprawiała tylko przyjemność.

Miejsce, w którym kopali Żywagowie, było odsłonięte, malownicze. Teren na wschód od torów opadał tu początkowo w dół, a następnie wznosił się łagodnie aż po sam horyzont.

Na wzniesieniu stał samotny, widoczny zewsząd dom. Otoczony był sadem, który latem na pewno się rozrastał, ale teraz nie osłaniał domu swymi rzadkimi, oszronionymi gałęziami.

Gruba warstwa śniegu wszystko wyrównywała i zaokrąglą, ale sądząc po większych nierównościach zbocza, których nie była w stanie ukryć w zaspach, wiosną na pewno z góry w prześwit biegnącego pod nasypem wiaduktu wpadał krętym wąwozem strumień, teraz dokładnie schowany pod głębokim śniegiem, jak dziecko przykryte z głową puchową kołdrą.

Czy dom był zamieszkały, czy stał pustką i niszczał, zarekwirowany przez gminny lub powiatowy zarząd ziemski? Gdzie byli jego mieszkańcy i co się z nimi stało? Uciekli za granicę? Zginęli z rąk chłopstwa? A może ciesząc się dobrą opinią, urządzili się w powiecie jako wykształceni specjaliści? Czy Strielnikow ich oszczędził, jeżeli pozostali tu do ostatniej chwili, czy też wraz z kułakami padli ofiarą represji?

Dom budził zaciekawienie i milczał smutnie. Ale pytań się wówczas nie zadawało i nikt na nie nie odpowiadał. A słońce rozjarzało gładzinę śniegu tak białym blaskiem, że można było oślepnąć. Jakież równiutkie kęsy wykrawały łopaty z jego powierzchni! Jakież suche, diamentowe iskry zapalały się na jego ściętych łopata krawędziach! I jakże to przypomina owe dni odległego dzieciństwa, kiedy w jasnym, obszytym galonem baszłyku i w kożuszku z haftkami, mocno wszytymi w czarne, kędzierzawe futro, mały Jura wykrawał na podwórzu z takiego właśnie oślepiającego śniegu piramidy i klocki, torty śmietankowe, twierdze i pieczary! Ach, jak cudownie było wtedy żyć, ileż było rzeczy do oglądania, ileż pyszności do jedzenia!

Ale i te trzy dni na powietrzu dawały złudzenie sytości. Zresztą nie bez powodu. Wieczorami rozdzielano między pracujących gorący, świeży pytlowy chleb, który przywożono nie wiadomo skąd, nie wiadomo z czyjego polecenia. Chleb miał lśniący, spękany po bokach smaczny wierzch i gruby, wspaniale przyrumieniony spód z zapieczonymi w nim maleńkimi węgielkami.

16

Pasażerowie przywiązali się do ruin stacji tak, jak przywiązują się turyści do górskiego schroniska. Utkwiło im w pamięci jego położenie, wygląd budynków, szczególnie uszkodzeń.

Wracali na stację wieczorami, o zachodzie słońca, które jakby przez pamięć o przeszłości, nadal zachodziło w tym samym miejscu, za starą brzozą, rosnącą przy samym oknie pokoju telegrafisty.

Zewnętrzna ściana w tym miejscu runęła do środka, nie sięgając jednak tylnego kąta pokoju, na wprost ocalałego okna. W tym miejscu zachowało się wszystko: kawowe tapety, kaflowy piec z okrągłą dachówką, osłoniętą miedzianą pokrywą na łańcuszku i spis inwentarza w czarnej ramce na ścianie.

Słońce, dosięgnąwszy ziemi, dokładnie tak samo jak przed katastrofą, muskało kafle, zapalało się brązowym żarem na kawowych tapetach i niby cienki szal rozwieszało na ścianie cień brzozowych gałązek.

W drugiej części budynku były zabite na głucho drzwi do pokoju lekarskiego. Na drzwiach widniał, sporządzony prawdopodobnie w pierwszych dniach rewolucji lutowej, albo tuż przedtem, następujący napis:

„Oдноśnie do lekarstw i środków opatrunkowych szanowni pacjenci proszeni są póki co się nie martwić. Z wyżej wymienionego powodu drzwi opieczętuję, o czym podaje do wiadomości starszy felczer Ust'-niemdy taki to a taki.”

Kiedy odgarnięto ostatnie góry śniegu spomiędzy odśnieżonych odcinków, ukazała się w całej okazałości równa, prosta jak strzała linia torów. Po jej bokach ciągnęły się białe zwały odgarniętego śniegu, obramowane na całej długości dwiema ścianami czarnego lasu.

Jak okiem sięgnąć, w różnych miejscach stały na torach gromadki ludzi z łopatami. Po raz pierwszy ujrzeli się nawzajem wszyscy naraz i zdumieni się, że jest ich tak wielu.

17

Ogłoszono, że mimo późnej pory i nadchodzącej nocy pociąg ruszy za kilka godzin. Jurij Andriejewicz i Antonina Aleksandrowna poszli ostatni raz nasycić wzrok pięknem odśnieżonej linii. Na nasypie nie było już nikogo. Doktor z żoną postali chwilę, popatrzyli w dal, wymienili kilka uwag i zawrócili ku swej ciepłuszce.

W powrotnej drodze usłyszeli gniewne, przeraźliwe krzyki kłócących się kobiet. Natychmiast rozpoznali głosy Ogryzkowej i Tiagunowej. Obie kobiety szły w tym samym kierunku, co doktor z żoną, od czoła ku tyłowi pociągu, ale po stronie stacji, a Jurij Andriejewicz z Tonią szli lasem. Rozdzielała ich nieprzerwana ściana wagonów. Kobiety szły to szybciej, to wolniej, zostając w tyle lub wyprzedzając Żywagów.

Obie były okropnie wzburzone. Co chwila zawodziły je siły, a sądząc po głosach, które wzbijały się aż do krzyku lub cichły niemal do szeptu, nogi chyba zapadały im się w śnieg albo w ogóle odmawiały posłuszeństwa.

Widocznie Tiagunowa goniła Ogryzkową i doganiając, prawdopodobnie puszczała w ruch pięści. Obsypywała rywalkę wyszukanymi obelgami, które w ustach tej przystojnej, majestatycznej kobiety brzmiały sto razy bardziej wulgarnie niż ordynarne wymysły mężczyzn.

– Ach, ty dziwko, ach, ty wyciruchu! – krzyczała Tiagunowa. – Człowiek kroku postąpić nie może, żeby się na nią nie nadziać, kiecką zamiata, ślepiami przewraca!

Mało ci, suko, mojego głupka, jeszcze gały wybałuszasz na dzieciaka, zadem wywijasz, małoletniego chcesz zepsuć!

– A ty co, ślub z Wasieńką brałaś?

– Ja ci pokażę ślub, ty mordo niewyparzona, ty zarazo! Nie przywódź mnie do grzechu, bo żywa z moich rąk nie wyjdiesz!

– No, no, tylko bez bicia! Ręce przy sobie, wariatko! Czego ode mnie chcesz?

– A chcę, żebyś zdechła, gnido, mendo, parszywa kocico, bezwstydnico jedna!

– Co tu o mnie gadać, wiadomo, jestem suka i kocica, jasne. Ty za to wielka pani. W ryszotku urodzona, w bramie ślub brałaś, szcur ci brzuch zrobił, jeżaś urodziła... Na pomoc, ratunku, dobrzy ludzie! Zabije mnie na śmierć ta łajdaczka. Ratujcie dziewczynę, ujmijcie się za sierotą...

– Chodźmy prędzej. Nie mogę tego słuchać, to wstrętne – zaczęła popędzać męża Antonina Aleksandrowna. – To się musi źle skończyć.

18

Nagle wszystko się zmieniło, okolica i pogoda. Skończyła się równina, tory biegly teraz wśród gór – po wzgórzach i wzniesieniach. Ustał wiatr północny, który dał przez ostatnie dni. Z południa wionęło ciepłem jak z pieca.

Lasy rosły tu tarasami na zboczach gór. Tam, gdzie przecinały je tory kolei, pociąg musiał się najpierw wspinać stromo pod górę, a następnie zjeżdżać w dół łagodnym zboczem, stękając wpełzał w gąszcz i ledwie się włókł, zupełnie jak stary leśnik, który prowadzi za sobą tłum podróżnych, rozglądających się bystro na boki.

Ale patrzeć jeszcze nie było na co. W głębi lasu było spokojnie, sennie jak zimą. Tylko czasem pojedyncze krzewy i drzewa z szelestem uwalniały dolne gałęzie z osiadającego stopniowo śniegu jak z rozpiętych obroży lub kołnierzyków.

Jurija Andriejewicza ogarnęła senność. Przez wszystkie te dni wylegiwał się u siebie na górze, spał, budził się, rozmyślał i słuchał. Ale słuchać także na razie nie było czego.

19

Podczas kiedy doktor się wysypiał, wiosna topiła i rozpuszczała całą tę masę śniegu, który spadł w Moskwie w dzień odjazdu i padał przez całą drogę, cały ten śnieg, który przez trzy dni kopali i rozgrzebywali w Ust'-Niemdzie, i który ogromnymi, grubymi warstwami zalegał tysiącwiostowe przestrzenie.

Początkowo śnieg topniał od spodu, niepostrzeżenie i ukradkiem. Kiedy zaś połowa tej heroicznej pracy została wykonana, nie można już było jej ukryć, cud ukazał się wszystkim oczom. Spod zsuniętego śnieżnego całunu wybiegła zgiefkiwa woda. Nieprzebyte leśne ostępy zadygotały. Wszystko się w nich przebudziło.

Woda rozhulała się wszędzie. Spadała z urwisk, tworzyła sadzawki, rozlewała się szeroko. Wkrótce gąszcz leśny napełnił się jej szumem, parą i zapachem. Po lesie jak

zmije rozpełzły się strumienie, które więzły i nikły w tamującym ich bieg śniegu, z sykiem płynęły po równych miejscach i waliły się w dół, rozsypane w wodny pył. Ziemia nie wchłaniała już więcej wilgoci. Z oszałamiających wyżyn, niemal spod obłoków, wypijały tę wilgoć swymi korzeniami odwieczne świerki, a u ich stóp jak piwo na brzegu kufła osiadały kłęby obsychającej białoburej piany.

Wiosna niczym wino uderzała do głowy niebu, które mętniało w odurzeniu i pokrywało się obłokami. Nad lasem płynęły niskie wełniste chmury z obwisłymi brzegami, z których tryskały ciepłe, pachnące ziemią i potem deszcze, zmywając z gleby ostatnie kawałki pokruszonego, czarnego lodowego pancerza.

Jurij Andriejewicz obudził się, podciągnął ku kwadratowemu oknu, z którego wyjęto szybę, wsparł się na łokciu i jął nasłuchiwać.

20

W miarę zbliżania się do okręgu górniczego okolica stawała się bardziej ludna, odległości pomiędzy stacjami krótsze. Coraz częściej zmieniali się też pasażerowie. Na niewielkich stacyjkach wsiadało i wysiadał sporo osób. Ludzie jadący niedaleko nie rozsiadali się na długo i nie kładli się spać, lecz lokowali się w nocy gdzieś przy drzwiach w środku tiepłuszki, rozmawiali półgłosem o znanych tylko im lokalnych wydarzeniach, i wysiadali na najbliższym rozjeździe lub stacji.

Z przypadkowych wypowiedzi autochtonów, zmieniających się w ciągu ostatnich trzech dni, Jurij Andriejewicz wywnioskował, że na północy biali mają przewagę i że zajęli albo zamierzają zająć Juriatin. Poza tym, jeśli dobrze usłyszał i jeżeli nie był to jakiś imiennik jego towarzysza z mieluziejewskiego szpitala, siłami białych na tym odcinku dowodził dobrze mu znany Galiullin.

Jurij Andriejewicz nie pisał ani słowa o tych swoich domysłach, aby niepotrzebnie nie niepokoić bliskich, dopóki pogłoski się nie potwierdzą.

21

Na początku nocy obudziło doktora niejasne, ale silne uczucie szczęścia. Pociąg stał na jakiejś stacji. Dokoła rozpościerał się szklany zmierzch białej nocy. W owym świetlistym mroku było coś subtelnego i potężnego, coś co sugerowało rozległą i otwartą przestrzeń dokoła, co podpowiadało, że rozjazd ów położony jest na wyżynie i że roztacza się z niego szeroki, swobodny widok.

Po peronie niegłośno rozmawiając, przechodziły obok tiepłuszki bezszelestnie stąpające cienie. To również rozczuliło Jurija Andriejewicza. W tej ostrożności kroków i głosów dopatrzył się troski o śpiących pasażerów, jak to bywało dawniej, przed wojną.

Mylił się. Na peronie gadano hałaśliwie i stukano butami jak wszędzie. Ale w pobliżu był wodospad, który rozszerzał granice białej nocy powiewem świeżości i swobody. Właśnie wodospad nappełnił doktora we śnie uczuciem szczęścia. Ciągły,

nieustający szum spadającej wody dominował nad wszystkimi dźwiękami stacji i nadawał im mylące pozory ciszy.

Doktor, nie domyślając się istnienia wodospadu, ale zmożony niepojętą rzeźkością tutejszego powietrza, znowu mocno zasnął.

Na dole w ciepłuszce rozmawiali dwaj mężczyźni. Jeden pytał drugiego:

– No jak, poskromiliście tych swoich? Przytarliście im rogów?

– Sklepikarzom?

– No tak, handlarzom mąką.

– Uspokoiliśmy. Teraz chodzą jak w zegarku. Jakiśmy niektórych dla przykładu wykończyli, to reszta spokorniała. Wzięliśmy kontrybucję.

– Dużoście wzięli od gminy?

– Czterdzieści tysięcy.

– Bujasz!

– Czemu bym miał bujać?

– Kurczę blade! Czterdzieści tysięcy!

– Czterdzieści tysięcy pudów.

– A niech was wszyscy diabli, zuchy! Zuchy!

– Czterdzieści tysięcy pytlowej.

– Właściwie nic dziwnego. Okolica pierwsza klasa. Największy handel mąką. Jakby pojechali w górę Ryńwy do Juriatina, to wieś za wsią, przystanie, same punkty skupu mąki. Bracia Szerstobitowowie, Pieriekatczikow z synami, hurtownik na hurtowniku!

– Nie drzyj się tak. Ludzi pobudzisz.

– Dobra, dobra.

Jeden z rozmówców ziewnął. Drugi zaproponował:

– Przekimamy się trochę? Zdaje się, że rusza.

W tym momencie od tyłu runął narastający, ogłuszający huk, który przytłumił szum wodospadu, i po sąsiednim torze obok stojącego eszelonu przemknął całym pędem pośpieszny starego typu, zagwizdał, zagrzmiął i mignawszy światłami znikł w oddali.

Na dole znów zaczęto rozmawiać.

– No, teraz krewa. Postoimy tu dłużej.

– Tak, nieprędko ruszemy.

– Wygląda, że to Strielnikow. Specjalny pociąg pancerny.

– Tak, to chyba on.

– Na Galejewa ruszył.

– Na kogo, na kogo?

– Ataman Galejew. Gadają, że stoi z grupą Czechów pod Juriatinem. Zajął, taka jego mać, wszystkie przystanie i trzyma. Ataman Galejew. A może księżę Galilejew. Nie pamiętam.

– Nie ma takich książąt. To pewnie Ali Kurban. Poplątało ci się.

– Może i Kurban.

– A, to co innego.

Nad ranem Jurij Andriejewicz obudził się po raz drugi. Znowu śniło mu się coś miłego. Nie miało przepelniające go uczucie błogostanu i wyzwolenia. Pociąg znów stanął, może już na nowej stacji, a może na starej. Znow szumiał wodospad, najprawdopodobniej ten sam, choć możliwe, że inny.

Doktor natychmiast zaczął zasypiać i poprzez drzemkę mającyla mu się jakaś biegania i zamieszanie. Kostojed kłócił się z dowódcą konwoju, obaj krzyczeli. Na dworze zrobiło się jeszcze przyjemniej. Czuło się powiew czegoś nowego, czego nie było przedtem, czegoś czarodziejskiego, wiosennego, czarniawo-białego, ulotnego, nieważkiego niby atak zamieci śnieżnej w maju, kiedy mokre, topniejące płatki spadając na ziemię nie ubielają jej, lecz czynią jeszcze czarniejszą. Pachniało czymś przezroczywym, czarniawo-białym, wonnym. „Czeremcha!” – odgadł we śnie Jurij Andriejewicz.

Rankiem Antonina Aleksandrowna mówiła:

– Jesteś jakiś dziwny, Jura. Pełen sprzeczności. Czasem wystarczy, że mucha przeleci, a ty się budzisz i do rana nie możesz zmrużyć oka, a tu hałas, kłótnie, zamęt, a ciebie nie sposób się dobudzić. W nocy uciekli kasjer Prituljew i Wasia Brykin. Tak, wyobraź sobie! I Tiagunowa, i Ogryzkowa. Zaczekaj, to jeszcze nie wszystko. I Woroniuk. Tak, tak, uciekł, uciekł. Pomyśl tylko. A teraz słuchaj. Jak uciekli, razem czy osobno, i w jakiej kolejności – to absolutna zagadka. Cóż, przypuśćmy, że Woroniuk, kiedy stwierdził ucieczkę, chciał uniknąć odpowiedzialności. Ale reszta? Czy wszyscy uciekli z własnej woli, czy kogoś usunięto siłą? Podejrzana jest na przykład sprawa kobiet. Kto kogo zabił, Tiagunowa Ogryzkową czy Ogryzkowa Tiagunową, nie wiadomo. Dowódca konwoju biega z jednego końca pociągu na drugi i wykrzykuje: „Jak śmiecie dawać sygnał do odjazdu? W imieniu prawa żądam, aby zatrzymano eszelon do momentu ujęcia zbiegów.” A kierownik pociągu nie chce ustąpić: „Pan oszalał, mówi. Wiozę uzupełnienie na front, to sprawa priorytetowa. I miałbym czekać na tę pańską parszywą bandę? Też pomyśl!” I obaj, proszę ciebie, z pretensjami do Kostojeda. Że to niby on, spółdzielca, człowiek rozsądny, był tuż obok, i nie powstrzymał żołnierza, nieświadomionego ciemniaka, od takiego fatalnego kroku. „I w dodatku narodnik” – mówią. Kostojed oczywiście ma gotową odpowiedź. „Ciekawe! – powiada. – A więc waszym zdaniem aresztant powinien pilnować konwojenta? Stawiacie sprawę na głowie!” Ja cię trącam, szarpnię za ramię. „Jura – krzyczę – wstawaj, ucieczka!” Gdzie tam! Armaty by cię nie zbudziły... Ale przepraszam, o tym później. A na razie... Ojej!... Tato, Jura, patrzcie, jak cudnie!

Przed okienkiem, przy którym leżeli, rozciągała się bezkresna tafla wody. Gdzieś wylała rzeka i woda z jej bocznej odnogi podeszła tuż pod nasyp. Z perspektywy górnej pryczy wydawało się, że idący płynnie pociąg ślizga się po wodzie.

Gdzieniedzie jej gładzina powleczone była stalowym błękitem, a po całej powierzchni upalny ranek rozrzucił lustrzane tłuste blaski, jak kucharka, która piórkiem umaczanym w maśle posmaruje skórę gorącego placka.

W owym rozlewisku, które zdawało się nie mieć kresu, wraz z łąkami, rowami i krzewami tonęły słupy białych obłoków, niby pale wbite w dno.

Gdzieś pośrodku rozlewiska widniało wąskie pasemko łądu z podwójnymi drzewami, rosnącymi w górę i w dół między ziemią a niebem.

– Kaczki! Stadko młodych! – krzyknął Aleksander Aleksandrowicz, patrząc w tamtą stronę.

– Gdzie?

– Przy wysepce. Nie tam patrzysz. Bardziej na prawo. O, do diabła, odleciały, spłoszyły się.

– Aha, widzę. Muszę z ojcem o czymś porozmawiać. Nie teraz, innym razem. A nasi rekruci armii pracy i damy świetnie zrobili, że uciekli. I sędzę, że uciekli spokojnie, nikomu nic złego nie robiąc. Po prostu spłynęli jak woda.

24

Skończyła się północna biała noc. Wszystko stało się widoczne, ale trwało, jakby nie dowierając samemu sobie, jak zmyślenie, fantazja: góra, zagajnik, urwisko.

Zagajnik dopiero zaczynał się zielenić. Kwitło w nim kilka krzewów czeremchy, rosnących tuż pod urwiskiem, na wąskim, również urwistym tarasie.

Nie opodal był wodospad. Widać go było jedynie z drugiej strony lasku, ze skraju urwiska. Wasia aż do zupełnego zmęczenia chodził tam patrzeć na wodospad, napawający go grozą i zachwytem.

Wodospad nie miał wokół nic równego sobie, żadnego godnego partnera. Był przerażający w tej swojej wyjątkowości, która czyniła zeń istotę obdarowaną życiem i świadomością, bajecznego smoka lub bazyliuszka, który zbiera haracz i pustoszy okolicę.

W połowie wysokości skalnej ściany wodospad natrafiał na wystający kamienny ząb i rozdzielał się na dwie części. Górny słup wody był prawie nieruchomy, w dwóch dolnych zaś ani na chwilę nie ustawał ledwie dostrzegalny ruch, kołysanie z boku na bok, jak gdyby wodospad wciąż się ślizgał i łapał równowagę, i mimo tej chwiejności jednak utrzymywał się na nogach.

Wasia leżał na skraju zagajnika na rozesłanym kozuchu. O świcie z góry sfrunął duży ptak o ciężkich skrzydłach, zatoczył płynny krąg nad laskiem i siadł na wierzchołku jodły niedaleko miejsca, w którym leżał Wasia. Chłopiec podniósł głowę, popatrzył na granatowe podgardle i szaroniebieską pierś kraski i w zachwycie wyszeptał głośno jej uralską nazwę: „rońża”. Potem wstał, podniósł z

ziemi kozuch, narzucił go na ramiona i przeciąwszy polankę podszedł do swej towarzyszki.

– Chodźmy, ciociu – powiedział. – Ależ zmarzliście, ząb na ząb wam nie trafia. No, co tak patrzycie, jakbyście się przelękli? Mówię wam po ludzku, trzeba iść. W naszej sytuacji trzeba iść do wsi. We wsi swoich nie skrzywdzą, ukryją. Bo tak to po dwóch dniach bez jedzenia umrzemy z głodu. Pewnie wujek Woroniuk krzyku narobił i już nas szukają. Trzeba iść, ciociu Pałaszo, powiem wprost, trzeba uciekać. Co ja mam z wami zrobić, ciociu, przez całą noc aniście słowa nie rzekli. Pewnie zmartwienie mowę wam odebrało. Ale czym się martwicie? Ciocię Katię, Katię Ogryzkową, niechącyście wypchnęli z wagonu, potrąciliście bokiem, sam widziałem. Ona potem wstała z trawy cała i zdrowa, wstała i pobiegła. I tak samo wujek Prochor, Prochor Charitonycz. Dogonią nas, znowu będziemy wszyscy razem, zobaczycie. Najważniejsze, żebyście się nie zadreczali, to i gadać zaczniecie.

Tiagunowa podniosła się z ziemi i biorąc Wasię za rękę powiedziała cicho:

– Chodźmy, ptaszyno.

25

Wagony skrzypiąc wspinały się w górę po wysokim nasypie. Rósł pod nim młody mieszany las, nie sięgający doń wierzchołkami. W dole rozciągały się łąki, z których niedawno spłynęła woda. Na przemieszanej z piaskiem trawie leżały bezładnie podkłady kolejowe. Widocznie przygotowano je do spławu na pobliskim wyrębie, skąd woda zmyła je i przyniosła tutaj.

Młody las poniżej nasypu był jeszcze prawie nagi, jak zimą. Tylko w pączkach, którymi był cały zakapany jak woskiem, załęgło się coś dziwnego, jakiś nieporządek, jakby błoto czy opuchlizna, i tym czymś dziwnym, tym błotem i nieporządkiem było życie, obejmujące zielonym płomieniem liści pierwsze rozwijające się drzewa.

Tu i ówdzie przeżyły się męczeńsko brzozy, przeszyte ząbkami i strzałami wilgotnych listeczków. Na oko można było określić, czym pachniały. Pachniały tym, czym lśniły. Lśniły spirytusem drzewnym, z którego robi się lakiery.

Wkrótce pociąg dotarł do miejsca, skąd prawdopodobnie zmyło belki podkładów. Na zakręcie ukazała się przesieka, zasypana wiórami i szczapami, z sągiem belek pośrodku. Przy wyrębie maszynista zahamował. Pociąg drgnął i zatrzymał się, lekko pochylony na wysokim łuku zakrętu.

Z parowozu rozległo się kilka krótkich szczekliwych gwizdków i jakieś wołanie. Pasażerowie i bez tych sygnałów wiedzieli, że maszynista zatrzymał pociąg, by się zaopatrzyć w opał.

Rozsunięto drzwi ciepłuszek. Na plant wysypało się co najmniej tyle osób, ile liczy ludność niewielkiego miasteczka, wszyscy oprócz zmobilizowanych z przednich wagonów, których zawsze zwalniano od wspólnych prac i którzy teraz także nie brali w nich udziału.

Stos leżących na polanie szczap nie wystarczał do napełnienia tendra. Należało dodatkowo rozpiłować pewną ilość długich, trzysążniowych belek.

W wyposażeniu brygady parowozowej znajdowały się piły. Rozdzielono je pomiędzy chętnych, którzy podzielili się na pary. Profesor i doktor również dostali piłę.

Z żołnierskich ciepłuszek wychylały się przez rozsunięte drzwi roześmiane gęby. Młodzieńców, którzy nigdy nie byli w ogniu, starszych uczniów szkół morskich, jakby przez pomyłkę wtłoczono do wspólnego wagonu z surowymi, dzieciatymi robotnikami, co również nigdy nie wachali prochu i dopiero przeszli przeszkolenie; chłopcy umyślnie hałasowali i dokazywali wraz z nieco starszymi marynarzami, aby nie myśleć o tym, co ich czeka. Wszyscy czuli, że czas próby jest już bliski.

Żartownisie przeprowadzali niosących piły mężczyzn i kobiety, chichotami i kpinkami.

– Hej, dziadku! Czemu nie powiesz: ja się do pracy fizycznej nie nadaję, mamka mnie jeszcze nie odstawiła od piersi! E, Mawra! Uważaj, nie odpiłuj sobie kiecki, bo ci będzie wiało! Ty, dziewczyno! Nie idź do lasu, lepiej wyjdź za mnie za męża!

26

W lesie było kilka kozłów, zrobionych ze związanych na krzyż wbitych w ziemię drągów. Jeden kozioł był wolny. Jurij Andriejewicz i Aleksander Aleksandrowicz tu właśnie zaczęli piłować.

Był to ten moment wiosny, kiedy ziemia ukazuje się spod śniegu, niemal w tej samej postaci, w jakiej pół roku przedtem się pod nim skryła. Las dyszał wilgocią i był zasypany zeszłorocznym listowiem, niby nie sprzątnięty pokój, w którym podarto na strzępy nagromadzone przez lata rachunki, listy i zawiadomienia, i nie zdążono ich zanieść.

– Nie tak szybko, zmęczy się ojciec – mówił doktor do teścia, starając się przeprowadzić piłę wolniej i bardziej równomiernie. Zaproponował odpoczynek.

Las rozbrzmiewał ochrypłym dzwonieniem innych pił, przesuwających się w przód i w tył to miarowo, to chaotycznie. Gdzieś w oddali próbował swych sił pierwszy słowik. Z jeszcze większymi przerwami gwizdał czarny drozd, jak gdyby przedmuchiwał zatkany flet. Nawet para z lokomotywy wzbijała się w niebo ze śpiewnym bulgotem, niby mleko podgrzewane na maszynie w dzieciennym pokoju.

– Chciałeś ze mną o czymś pomówić – przypomniał Aleksander Aleksandrowicz. – Pamiętasz? Przejeżdżaliśmy przez rozlewisko, leciały kaczki, ty się zamyśliłeś i powiedziałeś: „Muszę z ojcem porozmawiać.”

– Ach, tak. Nie wiem, jak to najlepiej powiedzieć. Widzi ojciec, zagłębiają się coraz bardziej... Tu cały kraj fermentuje. Wkrótce dojedziemy na miejsce. Nie wiadomo, co tam zastaniemy. Na wszelki wypadek musimy się umówić. Nie chodzi mi o przekonania. Byłoby głupotą omawiać je i ustalać w czasie krótkiej rozmowy w lesie. Znamy się nawzajem bardzo dobrze. My troje: ojciec, ja, Tonia, wraz z innymi ludźmi naszej epoki stanowimy jeden świat, różnimy się między sobą tylko stopniem postrzegania go. Nie o to mi chodzi. To sprawy elementarne. Chcę mówić o czym

innym. Musimy się zawczasu umówić, jak się zachowywać w pewnych sytuacjach, żebyśmy się nie rumienili za siebie nawzajem i niczym haniebnym nie splamili.

– Wystarczy. Rozumiem. Podoba mi się twój sposób stawiania sprawy. Znalazłeś właściwe słowa. Oto co ci powiem o sobie. Pamiętasz tę noc, kiedy przyniosłeś gazetę z pierwszymi dekretami, zimą, w czasie zamieci? Pamiętasz, jakie to było niesłychanie kategoryczne? Ta prostolinijność była rozbijająca. Ale takie sprawy istnieją w swej pierwotnej czystości jedynie w głowach swych twórców, i to tylko w pierwszy dzień ich ogłoszenia. Już następnego dnia jezuickość polityki wywraca je na nice. Cóż mam ci powiedzieć? Ta filozofia jest mi obca. Ta władza jest przeciw nam. Mnie nie pytano o zgodę na to burzenie. Ale zaufano mi, a moje uczynki, nawet jeśli spełniałem je pod przymusem, do czegoś mnie zobowiązują.

Tonia pyta, czy nie spóźnimy się na porę sadzenia warzyw w ogrodzie. Co mam jej odpowiedzieć? Nie znam tutejszej gleby. Jakie tu są warunki klimatyczne? Zbyt krótkie lato. Czy tu w ogóle coś dojrzewa? No tak, ale czy jedziemy tak daleko po to, by uprawiać warzywnik? Tu nie pasuje nawet porzekadło: „jechać siedem wiorst, żeby siorbnąć kisielu”, bo tych wiorst jest niestety trzy czy cztery tysiące. Nie, szczerze mówiąc, wlecemy się tak daleko w zupełnie innym celu. Jedziemy tam, by popróbować egzystencji zgodnej z dzisiejszymi normami i jakoś się dołączyć do trwonienia byłych dziadkowych lasów, maszyn i inwentarza. Nie po to, by odtworzyć jego majątek, ale by go zrujnować, by razem rozrzucić tysiące, a żyć za kopiejkę i to koniecznie w sposób nowoczesny, zupełnie niewyobrażalny, chaotyczny. Choćbyś mnie obsypał złotem, nie przyjmę fabryki na starych zasadach, nawet w prezencie. Byłoby to równie dziwaczne jak powrót do biegania nago albo wtórny analfabetyzm. Tak, skończyła się w Rosji historia własności prywatnej. A my, Gromiekowie, pozbyliśmy się wszelkiej zachłanności już w poprzednim pokoleniu.

27

Gorąco i zaduch były takie, że nie dało się spać. Głowa doktora pływała w pocie na mokrej poduszce.

Zsunął się ostrożnie z półki i cichutko, żeby nikogo nie zbudzić, uchylił drzwi wagonu.

Wionęło mu w twarz wilgocią, lepłą jak pajęczyna, muskająca twarz w piwnicy. „Mgła – pomyślał. – Mgła. Na pewno dzień będzie gorący, parny. To dlatego tak trudno się oddycha i tak ciężko na sercu.”

Przed zejściem na plant zatrzymał się chwilę w drzwiach nasłuchując.

Pociąg stał na jakiejś dużej stacji, pewnie węzłowej. Wagony tonęły w ciszy i mgle, a przy tym w jakimś niebycie i opuszczeniu, jak gdyby o nich zapomniano – znaczyło to, że skład stał na peryferiach stacji, i że między nim a dalekimi budynkami stacyjnymi ciągnęła się bezkresna sieć torów.

Z oddali dobiegały dwa rodzaje dźwięków.

Z tyłu, tam, skąd przyjechali, rozlegało się miarowe plaskanie, jak gdyby płukano bieliznę albo jakby wiatr trzepał mokrym płótnem flagi o drzewce.

Z przodu dobiegał łoskot, który sprawił, że doktor, znający odgłosy wojny, drgnął i wyteżył słuch.

„Działa dalekiego zasięgu” – uznał, wsłuchując się w równe, miarowe huczenie na niskiej, powściągliwej nucie.

„A więc to tak. Dojechalismy do samego frontu” – pomyślał Jurij Andriejewicz, pokręcił głową i zeskoczył z wagonu na ziemię.

Przeszedł kilka kroków do przodu. Za dwoma następnymi wagonami pociąg się kończył. Skład stał bez parowozu, który odjechał dokądś wraz z odczepionymi przednimi wagonami.

„To dlatego tak sobie wczoraj dodawali animuszu – pomyślał doktor. – Widać czuli, że gdy tylko dojadą, natychmiast rzucą ich prosto w ogień.”

Obszedł koniec pociągu z zamiarem przejścia przez tory i odszukania drogi na stację. Nagle zza wagonu wyrósł jak spod ziemi wartownik z karabinem i niegłęboko warknął:

– Gdzie? Przepustka!

– Jaka to stacja?

– Nijaka. A ty kto?

– Jestem lekarzem z Moskwy. Jadę z rodziną tym transportem. Oto moje dokumenty.

– Na diabła mi twoje dokumenty? Co to ja, głupi, żeby po ciemku papierki czytać i oczy sobie psuć? Widzisz, że mgła. I bez dokumentów na wiorstę widać, jaki z ciebie lekarz. O, tam, takie doktory jak ty grzeją z dwunastocalówek. Warto by cię porządnie stuknąć, ale za wcześnie. Marsz nazad, pókiś cały.

„Bierze mnie za kogoś innego” – pomyślał doktor, ale nie było sensu dyskutować z wartownikiem. Lepiej się rzeczywiście oddalić, póki nie jest za późno. Doktor ruszył w przeciwną stronę.

Strzelanina za jego plecami umilkła. Tam był wschód. W dymiącym oparze wzeszło słońce i mętnie przeświecało między strzępkami przepływającej mgły, jak migają nagie ciała w kłębach mydlanej łąziebnej pary.

Doktor szedł wzdłuż wagonów. Minał je wszystkie i szedł dalej. Z każdym krokiem stopy zapadały mu się głębiej w wilgotny piasek.

Odgłosy miarowego pluskania zbliżały się. Teren opadał łagodnie. Po kilku krokach doktor zatrzymał się przed niewyraźnym kształtem, któremu mgła nadała nieprawdopodobnie wielkie rozmiary. Jeszcze krok i na wprost Jurija Andriejewicza wychynęły z mgły rufy wyciągniętych na brzeg łodzi. Stał na brzegu szerokiej rzeki, która powoli i ze znużeniem pluskała leniwą falką o burty rybackich barkasów i deski drewnianej przystani.

– Kto ci pozwolił się tutaj szwendać? – zapytał, odklejając się nagle od brzegu, drugi wartownik.

– Co to za rzeka? – mimo woli wymknęło się doktorowi, chociaż za żadne skarby nie chciał o nic pytać po niedawnym doświadczeniu.

Wartownik zamiast odpowiedzieć wsadził do ust gwizdek, ale nie zdążył go użyć. Pierwszy żołnierz, którego chciał wezwać gwizdkiem i który, jak się okazało,

niepostrzeżenie szedł krok w krok za Jurijem Andriejewiczem, sam podszedł do kolegi i zaczął rozmawiać.

– Tu się nie ma co zastanawiać. Od razu widać, co to za ptaszek. „Co to za stacja, jaka rzeka?” Wszystko, żeby oczy zamydlić. Jak uważasz, od razu na cypel czy najpierw do wagonu? – Myślę, że do wagonu. Niech komendant powie.

– Dowód osobisty – warknął drugi wartownik i chwycił w garść plik wyciągniętych przez doktora zaświadczeń.

– Popilnuj go, ziomku – zwrócił się do kogoś trzeciego i wraz z pierwszym wartownikiem ruszył torami w kierunku stacji.

Wtedy, jakby dla wyjaśnienia sytuacji, poruszył się i odezwał leżący na ziemi człowiek, prawdopodobnie rybak:

– Twoje szczęście, że cię prowadzą do samego komendanta. Może tam twój ratunek, miły panie. Tylko nie miej do nich pretensji. To ich obowiązek. Czasy są ludowe. Może to i lepiej. Łapia i łapia tutaj takiego jednego. No i pomyśleli, że to ty. Myślą sobie: mamy go, wroga klasy robotniczej. A to pomyłka. Ty w razie czego domagaj się samego szefa. A im się nie dawaj. Ci tacy uświadomieni, że nie daj Boże. Wykończyć cię to dla nich jak splunąć. Powiedzą ci – idziemy, to nie idź. Powiedz: ja chcę do samego szefa.

Jurij Andriejewicz dowiedział się od rybaka, że rzeka, nad którą stoi, to słynna żeglowna rzeka Ryńwa, że stacja w pobliżu to Razwilje, rzeczne, fabryczne przedmieście Juriatina. Dowiedział się, że Juriatin, leżący o dwie czy trzy wiorsty dalej w górę rzeki, cały czas odbijano: i chyba już odbito białym. Rybak odpowiedział, że w Razwilju były rozruchy, które bodaj stłumiono, i że dookoła panuje taka cisza, bo tereny przylegające do stacji opróżniono z ludności cywilnej i otoczono silnym kordonem. Doktor dowiedział się wreszcie, że wśród stojących na torach pociągów, w których mieszczą się instytucje wojskowe, znajduje się pociąg specjalny miejscowego komisarza wojskowego Strielnikowa, i że tam właśnie wartownicy zanieśli dokumenty.

Po jakimś czasie przybył stamtąd po doktora nowy wartownik, różniący się od swych poprzedników tym, że włókł karabin kolbą po ziemi albo przestawiał go przed sobą, jak gdyby prowadził pod rękę pijanego kompana, który bez tej pomocy runąłby na ziemię. Wartownik zaprowadził doktora do wagonu komisarza.

W jednej z dwóch, połączonych obitym skórą przejściem, salonek, do której wartownik, powiedziawszy hasło, wprowadził doktora, słychać było śmiech i krzątanie; po ich wejściu natychmiast zapadła cisza.

Wartownik poprowadził doktora wąskim korytarzykiem do obszernego środkowego przedziału. Panowała tu cisza i porządek. W czystym, wygodnym pomieszczeniu pracowali schludni, przyzwoicie ubrani ludzie. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie doktor kwaterę sztabową bezpartyjnego wojskowego specjalisty, który w krótkim czasie stał się sławą i postrachem całej okolicy.

Z pewnością jednak centrum jego działań mieściło się nie tutaj, ale gdzieś dalej, w sztabie frontu, w pobliżu terenu działań wojennych, tu zaś znajdowała się jego osobista kancelaria i jego kwatery podróżna.

Dlatego właśnie było tu tak spokojnie jak w korytarzach zakładu kąpielowego, obitych korkiem i wyścielonych dywanami, po których bezszelestnie stąpa obsługa w miękkich pantoflach. W środkowej części wagonu, pokrytej dywanem, mieściła się niegdyś salka restauracyjna. Teraz obrócono ją na biuro. Stało tu kilka biurka.

„Zaraz” – powiedział młody wojskowy, który siedział najbliżej wejścia, po czym wszyscy inni, siedzący przy biurkach, uznali, że mogą zapomnieć o doktorze i przestali zwracać na niego uwagę. Ten sam wojskowy obojętnym skinieniem głowy odprawił wartownika, który odszedł, hałaśliwie szurając kolbą karabinu po metalowych prętach korytarza.

Doktor już od progu rozpoznał swoje dokumenty. Leżały na brzegu ostatniego biurka przed niemłodym oficerem o prezencji dawnego pułkownika. Był to jakiś statystyk wojskowy. Pomrukując pod nosem zaglądał do informatorów, przeglądał mapy wojskowe, coś obliczał, porównywał, wycinał i naklejał. W pewnej chwili powiódł wzrokiem po oknach i powiedział: „Będzie dziś gorąco”, jak gdyby wyciągnął ten wniosek dopiero z przeglądu wszystkich okien i jak gdyby nie wystarczyło do tego spojrzenie w jedno z nich.

Po podłodze między biurkami czołgał się technik wojskowy, naprawiając jakiś uszkodzony kabel. Kiedy wlaź pod biurko młodego oficera, ten wstał, aby mu nie przeszkadzać. Tuż obok maszynistka w męskiej bluzie khaki szamotała się z zepsutą maszyną; kartka zjechała za bardzo w bok i zaklinowała się w ramie. Młody oficer stanął za nią i patrząc z góry również badał przyczynę uszkodzenia. Technik przyczołgał się do maszynistki i zaczął oglądać dźwignię i transporter od dołu. Oficer o wyglądzie pułkownika wstał z za swego biurka i przyłączył się do nich. Wszyscy zajęli się maszyną.

Uspokoilo to nieco doktora. Trudno było przypuszczać, by ludzie, lepiej niż on wiedzący, co go czeka, tak beztrudnie zajmowali się głupstwami w obecności skazańca.

„A zresztą, kto ich wie? – myślał. – Skąd się bierze ten ich spokój? Obok grzmia armaty, giną ludzie, a oni mówią o gorącym dniu nie w sensie gorącej walki, ale upału. Może tyle się już napatrzyli, że utracili wrażliwość?”

I dla zabicia czasu zaczął patrzeć przez cały przedział w przeciwległe okna.

Przed pociągiem z tej strony ciągnęły się tory i było widać na górze stację Razwilje i przedmieścia o tej samej nazwie.

Z torów prowadziły na stację nie malowane drewniane schody z trzema podestami.

Na szynach rozpościerało się wielkie cmentarzysko parowozów. Stare lokomotywy bez tendrów, z kominami w kształcie czasz i cholew od butów stały zwrócone ku sobie frontem pośród szczątków zniszczonych wagonów.

Cmentarzysko parowozów na dole i cmentarzysko przedmieścia, pogiecie żelastwo na torach i pordzewiałe dachy i szyldy tworzyły obraz zniszczenia i zgrzybiałości, a nad tym wszystkim zwieszało się białe niebo, obgotowane we wczesnym porannym skwarze.

W czasie pobytu w Moskwie Jurij Andriejewicz zapomniał, jak wiele było dawniej w miastach szyldów, i jaką ogromną część fasad te szyldy zasłaniały. Tutejsze szyldy przypominały mu o tym. Połowę napisów z uwagi na wielkość liter można było odczytać z pociągu. Szyldy wisały tak nisko nad krzywymi oknami koślawych parterowych budynków, że niskie domki niknęły pod nimi jak głowy wiejskich dzieciaków w nisko nasuniętych tatulowych czapkach.

Tymczasem mgła zupełnie się rozwiązała. Jej ślady pozostały tylko na lewej stronie nieba, daleko na wschodzie. Ale i one drgnęły, poruszyły się i rozsunęły jak części teatralnej kurtyny.

Tam właśnie, o jakieś trzy wiorsty od Razwilja, na górze, powyżej przedmieścia, ukazało się duże miasto, okręgowe czy gubernialne. Słońce przydawało jego barwom żółci, odległość upraszczała zarysy. Miasto leżało tarasami na wzniesieniu niby góra Athos lub klasztor eremitów na tanim jarmarcznym obrazku, dom na domu i ulica nad ulicą, z wielkim soborem na szczycie.

„Juriatin! – ze wzruszeniem pomyślał doktor. – Obiekt wspomnień nieboszczki Anny Iwanowny i częstych wzmianek siostry Antipowej! Tyle razy słyszałem od nich o tym mieście, i oto w jakich okolicznościach widzę je po raz pierwszy!”

W tej chwili uwagę pochylonych nad maszyną wojskowych zwróciło coś, co się działo za oknem. Odwrócili się w tym kierunku i doktor również tam spojrział.

Po schodach prowadzono na stację kilku jeńców czy aresztantów, a wśród nich rannego w głowę gimnazjalistę. Już go gdzieś opatrzone, ale spod opatrunku sączyła się krew, którą rozmazywał dłonią po ogorzałej, spoconej twarzy.

Młodzieniec, w asyście dwóch czerwonoarmistów zamykających pochód, zwracał uwagę zdecydowaniem bijącym z pięknej twarzy i budził współczucie na myśl, że tak młody człowiek jest już buntownikiem, ale on i jego eskorta przyciągali wzrok również swym niedorzecznym zachowaniem. Wciąż robili to, czego robić nie należało.

Z obandażowanej głowy gimnazjalisty co chwila zsuwała się czapka. Zamiast ją zdjąć i nieść w rękę, co chwila ją poprawiał i urażając się w ranę naciągał głębiej, w czym pomagali mu z gotowością obaj żołnierze.

W tej przeczącej zdrowemu rozsądkowi niedorzeczności było coś symbolicznego i wieloznacznego, co sprawiło, że doktor zapragnął wybiec na schody i zatrzymać gimnazjalistę sentencją, która cisnęła mu się na usta. Chciał krzyknąć i do młodzieńca, i do ludzi w wagonie, że ratunek leży nie w przestrzeganiu form, ale w uwolnieniu się od nich.

Żywago spojrział w bok. Na środku przedziału stał Strielnikow, który właśnie tu wszedł równym, szybkim krokiem.

Jakże mógł doktor pośród nieprzebranego mnóstwa nieokreślonych postaci nie spotkać do tej pory tak silnej indywidualności, jak ten oto człowiek? Jak to się stało, że życie nie zetknęło ich ze sobą? Że nie skrzyżowały się ich drogi?

Nie wiedzieć czemu, od razu stało się oczywiste, że ten człowiek to wprost uosobienie silnej woli. Tak dalece był tym, czym chciał być, że wszystko w nim i na nim wydawało się wzorcem. I jego zgrabna, pięknie osadzona głowa, i szybki krok, i długie nogi w wysokich butach, być może brudnych, ale robiących wrażenie wyczyszczonych, i jego bluza z szarego sukna, być może wymięta, ale wyglądająca na wyprasowaną i płócienną.

Tak oddziaływał talent, naturalny, nie znający sztuczności, czujący się jak u siebie w domu w każdej sytuacji.

Ten człowiek musiał mieć jakiś dar, niekoniecznie wrodzony. Ów dar, przebijający z każdego jego ruchu, mógł być darem naśladowania. W tych czasach wszyscy kogoś naśladowali. Sławne postacie historyczne. Spotkanych na froncie albo w miastach w czasie zamieszek ludzi, którzy podziałali na wyobraźnię. Towarzyszy, którzy wysunęli się do pierwszych szeregów. Po prostu jeden drugiego.

Strielnikow przez uprzejmość nie okazał, że obecność obcego człowieka dziwi go lub krępuje. Przeciwnie, zwrócił się do wszystkich tak, jakby i doktora zaliczał do ich grona, i powiedział:

– Gratuluję. Odparliśmy ich. Wydaje się, że to jakaś zabawa w wojnę, a nie poważna sprawa, bo to przecież Rosjanie, tak samo jak my, tylko chodzą im po głowie głupstwa, z którymi nie chcą się rozstać i które będziemy musieli wybijać im z głowy siłą. Ich dowódca był moim przyjacielem. Jego pochodzenie jest jeszcze bardziej proletariackie niż moje. Wychowywaliśmy się na jednym podwórku. Wiele dla mnie w życiu zrobił i mam wobec niego zobowiązania. Cieszę się, że odrzuciłem go za rzekę, a może i dalej. Gurian, szybko nawiążcie łączność. Nie sposób polegać tylko na gońcach i telegrafii. Zauważyliście, jaki upał? A jednak udało mi się pospać z półtorej godziny. Aha... – Połapał się nagle i obrócił w stronę doktora. Przypomniał sobie, czemu go obudzono. Zbudzono go z powodu jakiegoś głupstwa, w związku z którym stoi tu ten zatrzymany.

„To on – pomyślał Strielnikow, mierząc doktora od stóp do głów badawczym spojrzeniem. – Ależ nic podobnego! A to durnie!” – Roześmiał się i zwrócił do Jurija Andriejewicza.

– Przepraszam, towarzyszu. Wzięto was za kogoś innego. Moi wartownicy się pomylili. Jesteście wolni. Gdzie jest książeczka pracy towarzysza? Aha, to są wasze dokumenty. Przepraszam za niedyskrecję, pozwoliłem sobie zerknąć. Żywago... Żywago... To coś jakby z Moskwy... Wiecie co, mimo wszystko pozwólcie na chwilę do mnie. Tu jest sekretariat, a mój wagon obok. Nie zatrzymam was długo.

Kimże jednak był ten człowiek? Zdumiewające, że na takie stanowisko dostał się i zdołał na nim utrzymać bezpartyjny, którego nikt nie znał, gdyż pochodził wprawdzie z Moskwy, ale po ukończeniu studiów wyjechał na prowincję i został nauczycielem, w czasie wojny zaś trafił do niewoli, gdzie przebywał jeszcze do niedawna, i uważano, że poległ.

Rekomendował go i ręczył za niego postępowy kolejarz Tiwierzin, w którego domu Strielnikow wychowywał się jako mały chłopiec. Ludzie, od których zależały w owych czasach nominacje, zaufali Tiwierzinowi. W tej epoce bezmiernego patosu i najskrajniejszych poglądów rewolucyjność Strielnikowa, również nie cofającego się przed niczym, wyróżniała się swym autentyzmem i fanatyzmem nie zapożyczonym, lecz będącym naturalną konsekwencją całego jego życia.

Strielnikow nie zawiodł pokładanych w nim nadziei. Jego przebieg służby z ostatniego okresu wymieniał akcję w Ust'-Niemdzie i Niżnym Kelmiesie, sprawę chłopów z Gubasowa, którzy stawili zbrojny opór oddziałowi aprowizacyjnemu, i sprawę ograbienia transportu z żywnością przez czterysty pułk piechoty na stacji Miedwieżja Pojma. W jego ankiecie znajdowała się sprawa żołnierzy, którzy niczym Stieńka Razin wznieśli powstanie w mieście Turkatuj i z bronią w ręku przeszli na stronę białogwardzistów, oraz sprawa puczu wojskowego na przystani rzecznej Czirkun Us i zamordowania dowódcy, który pozostał wierny Sowietom.

Na wszystkie te miejscowości Strielnikow spadał jak grom z jasnego nieba, sądził, skazywał, wykonywał wyroki, szybko, surowo, bez wahania.

Jego rozjazdy pociągiem pancernym położyły kres szerzącej się wokół dezercji. Weryfikacja przeprowadzona w punktach rekrutacyjnych wszystko zmieniła. Nabór do Armii Czerwonej przebiegał sprawnie, komisje poborowe pracowały gorączkowo.

Wreszcie, w ostatnich dniach, kiedy biali zaczęli nacierać z północy i sytuację uznano za groźną, Strielnikowowi poruczono nowe zadania, teraz już bojowe, strategiczne i operacyjne. Rezultaty jego ingerencji nie dały na siebie czekać.

Strielnikow wiedział, że plotka nadała mu przydomek Rasstrielnikow, ale spokojnie przeszedł nad tym do porządku; nie bał się niczego.

Pochodził z Moskwy i był synem robotnika, który w tysiąc dziewięćset piątym został skazany za udział w rewolucji. Strielnikow w tym czasie nie należał do ruchu rewolucyjnego, gdyż był jeszcze mały, a potem, w czasie studiów, dlatego, że młodzi ludzie z ubogich środowisk, kiedy uda im się dostać na wyższe uczelnie, cenią to bardziej i uczą się pilniej niż dzieci ludzi zamożnych. Nie trafił więc w wir fermentu, jaki panował wśród dobrze sytuowanych studentów. Opuścił uniwersytet z ogromnym zasobem wiedzy. Wykształcenie historyczno-filozoficzne uzupełnił sam studiami matematycznymi.

Zgodnie z prawem nie był zobowiązany do służby wojskowej, ale poszedł na front jako ochotnik, w randze podchorążego, dostał się do niewoli i pod koniec

siedemnastego roku, dowiedziawszy się, że w Rosji wybuchła rewolucja, uciekł do kraju.

Wyróżniały go dwie cechy, dwie pasje.

Myślał niezwykle jasno i poprawnie i posiadał w najwyższym stopniu dar czystości moralnej i prawości, jego uczucia były gorące i szlachetne.

Do tego jednak, by zostać uczonym, torującym nowe drogi, umysłowi jego brakło daru spontaniczności, siły, która nieoczekiwanymi odkryciami zakłóca bezpłodną harmonię naukowych hipotez.

Do tego zaś, by czynić dobro, jego pryncypialności brakowało niepryncypialności serca, które nie zna przypadków ogólnych, tylko jednostkowe, i które jest wielkie tym, że czyni małe.

Strielnikow od dzieciństwa dążył do ideałów najbardziej wzniosłych i jasnych. Uważał, że życie to ogromny hipodrom, na którym ludzie, uczciwie przestrzegając zasad, prześcigają się w dążeniu do doskonałości.

Kiedy się okazało, że to nie tak, nie przyszło mu do głowy, że jest w błędzie, upraszczając porządek świata. Ukrył głęboko rozczarowanie i zatopił się w marzeniu o tym, by stać się kiedyś sędzią w sprawie pomiędzy życiem i wykoślawiającymi je mrocznymi mocami, by stanąć w obronie tego życia i pomścić je.

Rozczarowanie uczyniło go okrutnym. Rewolucja go uzbroiła.

31

– Żywago, Żywago – powtarzał nadal Strielnikow, już w swoim wagonie. – Nazwisko jakby kupieckie. Albo szlacheckie. No jakże: doktor z Moskwy. Do Warykina. Dziwne. Z Moskwy nagle do takiego zapadłego kąta.

– Właśnie w tym celu jadę. W poszukiwaniu ciszy. W głąsę, w zapomnienie.

– Proszę, proszę, jaka poezja. Warykino? Znam tutejszą okolicę. To dawne zakłady Krügera. Czy to przypadkiem nie krewny? Jesteście spadkobiercami?

– Po co ta ironia? Czemu zaraz „spadkobiercy”? Chociaż moja żona rzeczywiście...

– Aha, no więc widzicie sami. Stęskniliście się za białymi? No to muszę was rozczarować. Spóźniliście się. Okręg został oczyszczony.

– Nadal pan szydzi?

– I w dodatku – doktor. Wojskowy. A wojna trwa. To już jest mój resort. Dezerter. Zieloni także kryją się po lasach. Szukają ciszy. Na jakiej podstawie?

– Byłem dwukrotnie ranny i zostałem zwolniony jako niezdalny do służby.

– I zaraz pewnie przedstawię dokument Narkomprosu czy Narkomzdrawu, przedstawiający was jako „człowieka prawdziwie sowieckiego”, „sympatyka”, i zaświadczający waszą „lojalność”. Teraz na świecie panuje sądny dzień, proszę łaskawego pana, wszędzie apokaliptyczne istoty z mieczami i skrzydlate bestie, a nie całkowicie sympatyzujący i lojalni doktorzy. Zresztą, powiedziałem, że jesteście wolni i nie cofnę tego. Ale tylko tym razem. Mam przecucie, że jeszcze się spotkamy, a wtedy rozmowa będzie inna, strzeżcie się.

Groźba i wyzwanie nie speszyły doktora.

– Wiem, co pan o mnie myśli – powiedział. – Z pańskiego punktu widzenia ma pan absolutną rację. Ale dyskusję, do której chce mnie pan wciągnąć, całe życie prowadzę w duchu z wyimaginowanym oskarżycielem i miałem czas na dojście do pewnych wniosków. W dwóch słowach nie da się tego powiedzieć. Pozwoli pan więc, że odejdę bez wyjaśnień, jeżeli rzeczywiście jestem wolny, a jeżeli nie – jestem do pańskiej dyspozycji. Nie mam się z czego przed panem tłumaczyć.

Rozmowę przerwał brzęczyk telefonu. Naprawiono kabel.

– Dziękuję, Gurian – powiedział Strielnikow, podnosząc słuchawkę i dmuchając w nią kilka razy. – Mój drogi, przyslijcie kogoś, kto odprowadzi towarzysza Żywagę. Żeby znowu się coś nie stało. I połączcie mnie z Rozwiljem, z zarządem kolejowym Czeka.

Po wyjściu doktora Strielnikow zatelefonował na stację.

– Przeprowadzili tędy jakiegoś chłopca; naciąga czapkę na uszy, a głowa w bandażach. Skandal. Tak. Udzielić pomocy lekarskiej, jeśli trzeba. Tak, jak źrenicy oka, bo odpowiecie osobiście przede mną. I rację żywnościową w razie potrzeby. Tak. A teraz do rzeczy. Mówi się, jeszcze nie skończyłem. O, cholera, ktoś się włączył. Gurian! Gurian! Rozłączono mnie.

„Może to któryś z moich uczniów – myślał, czekając na ponowne połączenie z dworcem. – Dorósł i powstaje przeciwko nam.”

Strielnikow przeliczył w myśli lata swej belferki, wojny i niewoli, sprawdzając, czy suma odpowiada wiekowi chłopca. Potem przez otwarte okno wagonu zaczął wypatrywać w widniejącej na horyzoncie panoramie miasta dzielnicy nad rzeką, przy wjeździe do Juriatina, gdzie było ich mieszkanie. Może żona jest tam jeszcze do tej pory? Ach, pójść do nich! Zaraz, natychmiast! Tak, ale czy to do pomyślenia? To jest przecież zupełnie inne życie. Trzeba najpierw zakończyć to nowe, zanim się wróci do tamtego, przerwane. To kiedyś nastąpi, na pewno. Tak, ale kiedy, kiedy?

Księga druga

Część ósma

Przyjazd

1

Pociąg, który dowiózł rodzinę Żywagów do tego miejsca, stał jeszcze na boczniczy, zasłonięty innymi składami, ale czuło się, że więź z Moskwą, trwająca przez całą drogę, tego ranka zerwała się, skończyła.

W tym punkcie zaczynało się nowe terytorium, inny świat prowincji, ciężącej ku innemu, własnemu centrum.

Tutejsi ludzie znali się nawzajem lepiej niż mieszkańcy stolicy. Chociaż ze strefy kolei Juriatin – Razwilje usunięto obcych i otoczono ją kordonem czerwonych wojsk, miejscowi podróżni spod miasta w niepojęty sposób przedostawali się na tory, „przenikali”, jak się teraz mówiło. Już wleźli do wagonu, zapełnili wejścia do ciepłuszek, chodzili po torach wzdłuż pociągu i stali na nasypach przy drzwiach do swych wagonów.

Wszyscy ci ludzie znali się nawzajem, nawoływali się z daleka, witali. Ubierali się i mówili nieco inaczej niż w stolicach, jedli co innego, mieli inne nawyki.

Ciekawe byłoby się dowiedzieć, czym żyli, dzięki jakim moralnym i materialnym rezerwom utrzymywali się przy życiu, jak walczyli z trudnościami, jak omijali prawo.

Odpowiedź nadeszła niezwłocznie w jak najbardziej żywej formie.

2

W towarzystwie wartownika, wlokącego po ziemi karabin i podpierającego się nim jak kosturem, doktor wracał do swego pociągu.

Było parno. Słońce rozpalało szyny i dachy wagonów. Czarna od ropy naftowej ziemia płonęła żółtym odbłaskiem jak pozłotą.

Wartownik ryjąc w pyle kolbą karabinu, zostawiał za sobą podłużny ślad. Karabin hałaśliwie zawadzał o podkłady. Wartownik mówił:

– Pogoda się ustaliła. Najlepszy czas, żeby siać jare – owies, pszenicę albo na ten przykład proso. A na grykę za wcześnie. Grykę u nas sieją na Akulinę. Ja z Morszczan, z tambowskiej guberni, nietutejszy. Ech, towarzyszu doktorze! Żeby nie ta mątwą domowa, nie ta parszywa kontra, czy ja bym w taki czas włóczył się po obcych stronach? Przeleciała nam drogę jak ten czarny kot klasowy i widzicie, co się wyrabia!

– Dziękuję. Sam wejść – wymawiał się Jurij Andriejewicz od zaofiarowanej pomocy. Pasażerowie wychylali się z ciepłuszki, wyciągali ręce, by go podsadzić. Doktor podciągnął się na rękach, wdrapał się do wagonu, wstał i uściskał żonę.

– No, nareszcie. Chwała Bogu, że wszystko się tak skończyło – powtarzała Antonina Aleksandrowna. – Zresztą, to szczęśliwe zakończenie to dla nas nie nowina.

– Jak to nie nowina?

– Myśmy wszystko wiedzieli.

– Skąd?

– Wartownicy nas informowali. Przecież nie znieśliśmy takiej niepewności. I tak oboje z tatą omal nie oszaleliśmy. Popatrz, śpi, nie dobudzisz się go. Zwalił się jak snop po tym zdenerwowaniu i śpi jak kamień. Są nowi pasażerowie. Zaraz cię z niektórymi zapoznam. Ale najpierw posłuchaj, co tu wszyscy mówią. Cały wagon winszuje ci szczęśliwego ocalenia. To właśnie jest mój mąż! – zmieniła nagle temat, odwróciła się i przez ramię przedstawiła doktora jednemu z nowych pasażerów, który tkwił w ścisłości daleko w głębi ciepłuszki.

– Samdiewiatow – dało się stamtąd usłyszeć i nad gęstwą obcych głów uniósł się miękki kapelusz i jakiś człowiek zaczął się przeciskać przez tłum w stronę doktora.

„Samdiewiatow – zastanawiał się tymczasem Jurij Andriejewicz. – Wyobrażałem sobie, że będzie to jakaś staroruska postać, jak z bylin, z rozłożystą brodą, w kaftanie i nabijanym pasie. A to raczej ktoś z cyganerii artystycznej, szpakowate kędziory, wąsy, hiszpanka.”

– No, co, napędził panu strachu Strielnikow, niech się pan przyzna.

– Nie, skądże! Rozmowa była poważna. W każdym razie to człowiek mocny, wybitny.

– No jakże. Słyszałem co nieco o tej osobistości. Pochodzi nie stąd, ale od was, z Moskwy, jak i wszystkie nasze nowości w ostatnich czasach. Także przywiezione ze stolicy. Jakbyśmy sami na to nie mogli wpaść.

– To jest Anfim Jefimowicz, Juroczka – człowiek wszystko wiedzący. Słyszał o tobie, o twoim ojcu, zna mojego dziadka, zna wszystkich. Poznajcie się, panowie. I Antonina Aleksandrowna spytała mimochodem, obojętnie:

– Na pewno zna pan także tutejszą nauczycielkę, Antipową? – na co Samdiewiatow odpowiedział równie obojętnie:

– A na co pani Antipowa?

Jurij Andriejewicz słyszał to, ale nie podtrzymał rozmowy. Antonina Aleksandrowna ciągnęła:

– Anfim Jefimowicz jest bolszewikiem. Strzeż się, Juroczka, miej się z nim na baczności.

– Naprawdę? Nigdy bym nie przypuszczał. Wygląda pan raczej na jakiegoś artystę.

– Ojciec mój miał zajazd. Siedem trójek chodziło w rozjazdach. A ja mam wyższe studia. I jestem rzeczywiście socjaldemokratą.

– Posłuchaj, Juroczka, co mówi Anfim Jefimowicz. A tak nawiasem, niech się pan nie gniewa, to takie imiona, że język można połamać. Tak, tak, posłuchaj, Juroczka, co ci powiem. Mamy szczęście. Juriatin-Miasto nas nie przyjmuje. W mieście pożary i wysadzono most, nie można przejechać. Pociąg puszcza objazdem na drugą linię, właśnie na tę, na którą musimy się dostać, tam gdzie jest Torfiana. Pomyśl tylko! Nie trzeba się będzie przesiadać i taszczyć rzeczy przez całe miasto z dworca na dworzec. Ale za to porządnie nas wytrzęsą, zanim ruszymy. Pociąg będzie długo manewrować. Anfim Jefimowicz wszystko mi wytłumaczył.

4

Przewidywania Antoniny Aleksandrowny spełniły się. Pociąg, w którym przestawiano wagony i doczepiano nowe, bez końca jeździł tam i z powrotem po zatłoczonych torach. Jeździły po nich również inne transporty, które długo tarasowały wyjazd na otwartą przestrzeń.

Miasto, zasłonięte wzgórzami, ginęło w oddali i tylko od czasu do czasu ukazywało na horyzoncie dachy domów, wierzchołki kominów fabrycznych, krzyże na cerkiewnych dzwonnicach. Paliło się jedno z przedmieść. Wiatr znosił w bok dymy, które niby rozwiana końska grzywa słały się po całym niebie.

Doktor i Samdewiatow siedzieli na podłodze w drzwiach ciepłuszki, z nogami zwieszonymi na zewnątrz. Samdewiatow ciągle tłumaczył coś Jurijowi Andriejewiczowi, wskazując ręką w dal. Chwilami łoskot rozkołysanego wagonu zagłuszał jego słowa i nie sposób było cokolwiek usłyszeć. Jurij Andriejewicz prosił o powtórzenie, Anfim Jefimowicz pochylał ku niemu twarz i podnosząc głos krzyczał mu prosto w ucho.

– Tu spalili iluzjon „Gigant”. Siedzieli tam junkrzy. Ale poddali się wcześniej. A w ogóle, walka się jeszcze nie skończyła. Widzi pan te czarne kropki na dzwonnicy? To nasi. Wypędzają Czechów.

– Nic nie widzę. Jak pan to wszystko rozróżnia?

– A to palą się Chochriki, przedmieście rzemieślnicze. Kołodziejewo, z placem targowym jest bardziej w bok. Interesuje mnie to, bo na targowisku stoi nasz dom zajezdny. Pożar nie jest duży. Śródmieście na razie nietknięte.

– Proszę powtórzyć. Nie słyszę.

– Mówię, że śródmieście, centrum miasta. Sobór, biblioteka. Moje nazwisko, Samdewiatow, to zruszczone San Donato. Podobno wywodzimy się od Diemidowów.

– Znowu nic nie zrozumiałem.

– Mówię, że Samdewiatowowie to rosyjska wersja nazwiska San Donato. Podobno pochodzimy od Diemidowów. Książęta Diemidowowie San Donato. A może to zwykła bujda. Legenda rodzinna. A ta miejscowość nazywa się Spirkin Niz. Wille, promenada. Dziwna nazwa, nieprawdaż?

Przed nimi rozciągało się pole, poprzecinane w różnych miejscach odnogami linii kolejowych. Siedmiomilowymi krokami biegły po nim, nikiąc za nieboskłonem, słupy telegraficzne. Szeroka, moszczona droga wiła się wstęgą, rywalizując pięknnością z linią torów. To nikiła za widnokretem, to wychylała się zza niego falistym łukiem zakrętu i znowu znikwała.

– To nasz słynny trakt, biegnący przez całą Syberię, opiewany przez katorżników. A obecnie teren działań naszej partyzanki. W ogóle nieźle tu jest. Zadamowi się pan, przywyknie. Polubi pan nasze miejskie osobliwości, nasze hydranty na skrzyżowaniach, które zimą stają się czymś w rodzaju damskich klubów pod gołym niebem.

– Nie zamieszkamy w mieście, tylko w Warykinie.

– Wiem. Pańska żona mi mówiła. To wszystko jedno. I tak będzie pan przyjeżdżać do miasta w interesach. Zgadłem na pierwszy rzut oka, kto to taki. Oczy. Nos. Czoło. Wykapany Krüger. Wdała się w dziadka. W tych stronach wszyscy pamiętają Krügera.

Na skrajach pola sterczały wysokie zbiorniki ropy o okrągłych ściankach. Na wysokich słupach wisiały reklamy przedsiębiorstw przemysłowych. Jedna z nich dwukrotnie rzuciła się doktorowi w oczy:

„Moreau Wietczynkin. Siewniki. Młockarnie.”

– Solidna była firma. Produkowała świetne maszyny rolnicze.

– Nie słyszę. Co pan mówi.

– Firma, mówię. Rozumie pan – firma. Wyrabiała maszyny rolnicze. Spółka akcyjna. Mój ojciec był udziałowcem.

– A mówił pan, że miał zajazd.

– Zajazd zajazdem. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Ojciec nie był głupi i lokował pieniądze w różnych przedsiębiorstwach. Miał też udział w iluzjonie „Gigant”.

– Jest pan, jak widzę, z tego dumny.

– Z ojcowskiego sprytu? Oczywiście!

– A pańska socjaldemokracja?

– A cóż to ma wspólnego z socjaldemokracją, na miłość boską. Gdzie jest powiedziane, że człowiek o poglądach marksistowskich musi być fajtlapą? Marksizm to nauka pozytywna, nauka o rzeczywistości, filozofia warunków historycznych.

– Marksizm i nauka? Dyskutować o tym z człowiekiem prawie nieznanym to co najmniej lekkomyślność. A niech tam. Marksizm ma zbyt mało opanowania, aby być nauką. Nauka jest zrównoważona. Marksizm i obiektywizm? Nie znam kierunku bardziej wyizolowanego i dalekiego od faktów. Każdy stara się sprawdzić sam siebie w praktyce, a przedstawiciele władzy dla stworzenia legend o własnej nieomyślności na wszelkie sposoby odwracają się od prawdy. Polityka do mnie nie przemawia. Nie lubię ludzi obojętnych na prawdę.

Samdewiatow uważał słowa doktora za żarty dowcipnego dziwaka. Śmiał się tylko i nie zaprzeczał.

Pociąg tymczasem wciąż manewrował. Za każdym razem, kiedy dojeżdżał do wyjazdowej zwrotnicy pod semaforem, niemłoda dróżniczka z uwiązaną u pasa bańką mleka przekładała robótkę na drutach do jednej ręki, pochylała się, przekładała zwrotnicę i pociąg zaczynał się cofać. Kiedy toczył się do tyłu, kobieta groziła mu pięścią.

Samdewiatow wziął ten gest do siebie. „O co jej chodzi? – myślał. – To ktoś znajomy. Czy nie Kuncewa? Chyba ona. Chociaż nie, co też ja? Raczej nie. Za stara jak na Głazkę. I co ja mam z tym wspólnego? W całej matuszce Rosji przewroty, bałagan na kolejach, ona się złości, co skupia się na mnie, i grozi mi pięścią. A, do diabła z nią, też mam nad czym łamać sobie głowę!”

Wreszcie dróżniczka machnęła chorągiewką, zawołała coś do maszynisty i przepuściła pociąg poza semafor na wolną drogę. Kiedy zrównała się z nią ciepłuszka czternasta, pokazała język siedzącym na podłodze gadułom. Samdewiatow znów się zamyslił.

5

Kiedy przedmieścia płonącego miasta, cylindryczne rezerwuary, słupy telegraficzne i reklamy handlowe umknęły w dal i znikły, ukazały się zaś inne widoki, laski i górki z prześwitującymi meandrami traktu, Samdewiatow powiedział:

– Musimy wstać i pożegnać się. Zaraz wysiadam. A i państwo na następnej stacji. Uważajcie, żeby nie przegapić.

– Chyba świetnie pan zna tutejsze strony?

– Do obłądu. W promieniu stu wiorst. Jestem przecież prawnikiem. Dwadzieścia lat praktyki. Różne sprawy. Rozjazdy.

– I teraz też?

– A jakże.

– A jakież sprawy mogą się teraz toczyć?

– Najrozmaitsze. Sprawy starych niedotrzymanych umów, operacji, zobowiązań – całe mnóstwo, po dziurki w nosie.

– Czyż sprawy tego rodzaju nie zostały anulowane?

– Formalnie tak. Ale w praktyce ma się do czynienia z rzeczami, które się nawzajem wykluczają. Z jednej strony nacjonalizacja przedsiębiorstw, z drugiej opał dla rady miejskiej, transport konny dla rolniczej rady gubernialnej. A przy tym każdy chce żyć. To są charakterystyczne bolączki okresu przejściowego, kiedy teoria jeszcze nie współgra z praktyką. I tu właśnie potrzebni są ludzie myślący, obrotni, z charakterem, tacy jak ja. „Błogosławiony mąż, który za radą nie chodzi – zarobię od każdego, czy uczciwy, czy złodziej.” A czasem i po mordzie nałożę, jak powiadał mój ojciec. Pół guberni korzysta z moich usług. Będę do państwa wpadać w sprawie zaopatrzenia w drewno. Oczywiście konno, jak koń mi wydobrzeje. Ostatni koń mi okula! Bo gdyby był zdrowy, nie trząsłbym się teraz tym gruchotem. To diabelstwo

ledwie się wlecze, a mówi się, że to maszyna. Przydam się panu w Warykinie. Znam waszych Mikulicyków jak własne pięć palców.

– Wie pan, po co tu przyjechaliśmy, zna pan nasze zamiary?

– Mniej więcej. Domyślam się co nieco. Odwieczna tęsknota człowieka do ziemi. Marzenie o tym, by się móc wyżywić pracą własnych rąk.

– I co? Zdaje się, że pan tego nie aprobuje? Co pan o tym sądzi?

– Jest to marzenie naiwne, idylliczne. Ale czemu nie? Boże dopomóż. Ale wątpię w powodzenie tego planu. To utopia. Chałupnictwo.

– Jak nas potraktuje Mikulicyn?

– Nie wpuści za próg, przepędzi miotłą i będzie miał rację. Ma tu i tak sodomę i gomorę, koniec świata, zakłady nieczynne, robotnicy się rozbiegli, środków do życia brak, głód i nagle zjawia się państwo, za przeproszeniem, jak dopust boży. Jeżeli nawet was pozabija, ja go rozgrzeszę.

No, proszę, pan, bolszewik, też nie może zaprzeczyć, że to nie jest życie, ale coś zupełnie nieprawdopodobnego, fantasmagoria, nonsens.

– Oczywiście. Ale jest to konieczność historyczna. Trzeba przez to przejść.

– Czemu zaraz konieczność?

– Dziecko pan jest, czy pan udaje? Spadł pan z księżycy? Pasibrzuchy i pasożyty jeździli na głodujących ludziach pracy jak na łysej kobyle, zamęczali ich na śmierć i tak miało pozostać nadal? Czy naprawdę nie rozumie pan, jak słuszny był gniew ludu, pragnienie sprawiedliwego życia, poszukiwanie prawdy? A może pan sądzi, że radykalny przewrót można było osiągnąć w dumach państwowych, drogą parlamentarną, i że można się obejść bez dyktatury?

– Mówimy o różnych sprawach i choćbyśmy dyskutowali całą wieczność, nie dogadamy się. Byłem nastawiony bardzo rewolucyjnie, ale teraz myślę, że przemocą niczego się nie osiągnie. Do dobra należy zachęcać po dobroci. Ale nie o to chodzi. Wróćmy do Mikulicyna. Jeżeli to prawda, co nas tam czeka, to po co jechać? Musimy zawrócić.

– Nonsens. Po pierwsze, czy tylko Mikulicynowie są na świecie? Po drugie, Mikulicyn jest zbrodniczo dobry, dobry do przesady. Pokrzyczy, pożałduje się i zmięknie, własną koszulę odda, podzieli się ostatnim kęsem. – I Samdewiatow opowiedział następującą historię.

6

– Dwadzieścia pięć lat temu Mikulicyn, student Instytutu Technologicznego, przyjechał z Petersburga. Został tu zesłany pod nadzór policyjny. Przyjechał, otrzymał u Krügera stanowisko zarządcy i ożenił się. Były tu u nas cztery siostry Tuncew, o jedną więcej niż u Czechowa – zalecali się do nich wszyscy juriański studenci – Agrafiena, Jewdokia, Głafira i Serafina Sewerynowne. Przeżywano je

Siewieriankami, parafrazując imię ojca.¹⁰ I właśnie z najstarszą Siewierianką ożenił się Mikulicyń.

Wkrótce urodził im się syn. Dureń ojciec, zafascynowany ideą wolności, ochrzcił chłopca rzadkim imieniem Liberiusz. Liberiusz, zdrobniale Liwka, wyrastał na łobuziaka, objawiając jednocześnie rozmaite nieprzeciętne zdolności. Wybuchła wojna. Liwka sfalszował metrykę i, mając wówczas piętnaście lat, uciekł jako ochotnik na front. Agrafiena Sewerynowna, w ogóle chorowita, nie zniosła tego ciosu, położyła się do łóżka, nie wstała więcej i umarła zeszłej zimy przed samą rewolucją.

Skończyła się wojna. Wrócił Liberiusz. Jako kto? Jako bohaterski podchorąży odznaczony trzema krzyżami, no i oczywiście jako frontowy delegat-bolszewik w propagandowym nimbie. Słyszał pan o leśnych braciach?

– Przykro mi, ale nie.

– No to nie ma sensu opowiadać, bo efekt będzie połowiczny. No i nie ma pan po co patrzeć z wagonu na trakt. Bo co tu jest ciekawego? Teraz – partyzantka. A cóż to są partyzanci? To główne kadry wojny domowej. Dwa pierwiastki składają się na tę siłę. Organizacja polityczna, która wzięła na siebie kierowanie rewolucją, i prości żołnierze, którzy po przegranej wojnie wypowiedzieli posłuszeństwo starej władzy. Z połączenia tych dwóch czynników powstało wojsko partyzanckie. Jego skład jest bardzo zróżnicowany. Głównie są to średniorolni chłopci, ale jednocześnie znajdzie pan tu kogo tylko dusza zapagnie. Są i biedniacy, i zbiegli mnisi, i wojujący z tatusiami kułaccy synkowie. Są ideowi anarchiści i powsinogi bez dokumentów, i przerośnięci nicponie, wyrzuceni z gimnazjów. Są junkrzy austriaccy, zwabieni obietnicą wolności i powrotu do kraju. I właśnie jednym z oddziałów tej wielotysięcznej ludowej armii, zwanym leśnymi braćmi, dowodzi towarzysz Lesnych, Liwka, Liberiusz Awierkijewicz, syn Awierkija Stiepanowicza Nikulicyńa.

– Co pan powie?

– To, co pan słyszy. Ale idźmy dalej. Po śmierci żony Awierkij Stiepanowicz ożenił się powtórnie. Nowa żona, Helena Pawłowna – to pensjonarka, przywieziona wprost z gimnazjum do ołtarza. Jest naiwna z natury, ale z wyrachowaniem udaje naiwną, młodziutka, ale już się odmładza. Nic, tylko ćwierka, szczebiocze, robi z siebie niewiniątko, głuptaska, skowroneczka. Gdy tylko pana zobaczy, zacznie egzaminować. „Kiedy urodził się Suworow?” „Proszę wymienić przypadki równości trójkątów.” I będzie triumfować, gdy pan obleje ten egzamin i poczuje się niezręcznie. Ale za kilka godzin sam pan ją zobaczy i osądzi, czy mój opis jest trafny.

Sam Mikulicyń ma inne słabostki: fajka i seminaryjna starosłowiańszczyzna: „O plemię niewierne i przewrotne! Dopóki będę z wami?” (Mat. 17, 16.) Niegdyś zamierzał zawodowo związać się z morzem i w instytucie był na wydziale budowy okrętów. Pozostało mu to w wyglądzie i sposobie bycia. Goli się gładko, całymi dniami nie wyjmując z ust fajki, cedzi słowa przez zęby uprzejmie, flegmatycznie.

¹⁰ Siewierianka (ros.) – mieszkanka Północy.

Dolna szczęka wysunięta, jak to u palaczy, zimne szare oczy. Ach, omal nie zapomniałem o jeszcze jednym szczególe: eserowiec, tutejszy delegat do Zgromadzenia Ustawodawczego.

– Ależ to przecież bardzo ważne. Więc ojciec i syn są na noże? Przeciwnicy polityczni?

– Formalnie tak. A w rzeczywistości tajga z Warykinem nie walczy. Ale idźmy dalej. Pozostałe panny Tuncew, szwagierki Awierkija Stiepanowicza, są do dziś w Juriatinie. Stare panny. Zmieniły się czasy, zmieniły i dziewczęta.

Najstarsza z nich, Awdotia Sewerynowna, jest bibliotekarką w czytelnicy miejskiej. Miła czarnulka, do przesady nieśmiała. Ni z tego, ni z owego czerwieni się jak piwonie. Na przykład: w czytelnicy napięta, grobowa cisza, a ona nagle dostaje ataku swego chronicznego kataru, kichnie ze dwadzieścia razy i ze wstydu gotowa się zapaść pod ziemię. I co na to poradzić? Nerwy. Średnia, Głafira Sewerynowna, jest błogosławieństwem sióstr. Energiczna, pracowita. Żadnej pracy się nie boi. Panuje jednogłośnie opinia, że partyzancki watażka Lesnych wdał się w tę ciotkę. Dopiero co pracowała w spółdzielni krawieckiej czy dziewiarskiej, i ani się człek obejrzy, a już jest fryzjerką. Zwrócił pan uwagę, jak na torach pod Juriatinem dróżniczka pogroziła nam pięścią? Masz babo placek, pomyślałem, Głafira pracuje teraz na kolei. Ale to chyba nie ona. Tamta była za stara.

Najmłodsza, Simuszka, to dopust boży dla rodziny. Dziewczyna wykształcona, odczytana. Uczyla się filozofii, lubiła poezję. I oto w czasie rewolucji, pod wrażeniem podniosłej atmosfery, pochodów ulicznych, przemówień z trybun, zwariowała, dostała manii religijnej. Siostry wychodzą do pracy, drzwi na klucz, a ona hyc przez okno i wychodzi na ulicę, zwołuje ludzi, zapowiada powtórne nadejście Mesjasza, koniec świata. Ale ja się zagadałem, a tu zaraz moja stacja. Państwo na następnej. Proszę się przygotować.

Kiedy Anfim Jefimowicz wysiadł z pociągu, Tonia powiedziała:

– Nie wiem, jak ty sądzisz, ale według mnie tego człowieka zsyła nam Opatrzność. Myślę, że odegra jakąś dobroczynną rolę w naszym życiu tutaj.

– Bardzo możliwe, Tonieczko. Ale niezbyt mnie cieszy, że rozpoznają cię tu z powodu podobieństwa do dziadka, i że tak dobrze go tu pamiętają. Nawet Strielnikow, kiedy powiedziałem o Warykinie, zapytał złośliwie: „Warykino, zakłady Krügera? Państwo przypadkiem nie krewni? Spadkobiercy?” Boję się, że będziemy tu bardziej na widoku niż w Moskwie, skąd uciekliśmy w pogoni za anonimowością. Oczywiście, teraz już za późno.

Za późno płakać nad rozlanym mlekiem. Ale lepiej nie rzucać się w oczy, trzeba żyć cicho i skromnie. W ogóle mam złe przeczucia. Budźmy naszych, trzeba spakować rzeczy, ściągnąć rzemieniami i przygotować się do wysiadania.

Antonina Aleksandrowna stała na peronie w Torfianej, po raz nie wiadomo który przeliczając osoby i bagaże, żeby się upewnić, że niczego nie zostawili w pociągu.

Czuła pod nogami ubity piasek peronu, a jednak nie opuszczała jej obawa, by nie przejechać stacji, nadal miała w uszach stukot jadącego pociągu, chociaż widziała na własne oczy, że pociąg stoi przed nią przy peronie. To sprawiało, że nie mogła nic zobaczyć, usłyszeć i uświadomić sobie.

Jadący dalej pasażerowie zegnali ją z góry, z wysokości ciepłuszki, ale nie dostrzegali ich. Nie zauważyła, że pociąg odszedł, i spostrzegła jego zniknięcie dopiero, gdy uwagę jej przyciągnął dotychczas zasłonięty przez wagony widok torów, zielonego pola i niebieskiego nieba.

Budynek stacji był murowany, przed wejściem stały po obu stronach dwie ławki. Moskiewscy podróżni z ulicy Siwcew Wrażek byli jedynymi pasażerami, jacy wysiedli w Torfianej. Złożyli bagaże i usiedli na jednej z ławek.

Zaskoczyła ich panująca na stacji cisza, pustka i schludność. Wydawało im się czymś niezwykłym, że nikt się dokoła nie tłoczy, nie wymyśla. Życie na tym partykularzu nie nadążało za biegiem historii, zostawało w tyle. Miało dopiero dorosnąć do stołecznego zdziwienia.

Stacja tonęła wśród brzozowego zagajnika. W pociągu, kiedy tu dojeżdżali, zrobiło się ciemno. Na rękach i twarzach, na czystym, wilgotnym, żółtym piasku peronu, na ziemi i na dachach kładły się ruchliwe cienie, rzucane przez ledwie się kołyszące wierzchołki drzew. Świergot ptaków wśród liści był równie świeży jak one. Czyste jak sama niewinność, nasyczone dźwięki rozlegały się przesywająco po całym lesie. Przecinały go dwa szlaki, kolej i gościniec, i gęstwina jednakowo osłaniała je swymi rozwiewającymi się, opuszczonymi ku dołowi gałęziami, które wyglądały jak brzegi szerokich, opadających rękawów.

Nagle Antoninie Aleksandrownie otworzyły się oczy i uszy. Do jej świadomości dotarło wszystko naraz. Dźwięczny śpiew ptaków, czystość leśnego zakątka, niczym nie zakłócony, rozlewający się dokoła spokój. Tonia miała w myśli gotowe zdanie: „Nie wierzyłam, że dojedziemy bez szwanku. Przecież ten twój Strielnikow mógł tylko udać wielkoduszność, wypuścić cię, a tu zatelegrafować, żeby nas wszystkich zatrzymano, jak tylko wysiadziemy. Nie wierzę w ich szlachetność, mój kochany. To wszystko jedynie na pokaz.” Ale zamiast tego na widok roztaczającego się wokół piękna powiedziała tylko: – Jak ślicznie! – i nie mogła mówić więcej, zaczęły ją dusić łzy i głośno się rozpłakała.

Słyszając jej łkanie, z budynku stacji wyszedł staruszek zawiadowca. Drobnymi kroczkami przydreptał do ławki, uprzejmie podniósł rękę do daszka mundurowej czapki z czerwonym denkiem i zapytał:

- Może przynieść panience kroperek na uspokojenie? Z dworcowej apteczki.
- To głupstwo. Dziękuję, nie trzeba.
- To przez kłopoty w podróży, niepokój. To się często zdarza. Poza tym ten afrykański upał, rzadki w tych stronach. I w dodatku wydarzenia w Juriatinie.
- Widzieliśmy z pociągu pożar.
- Państwo z samej Rosji, jeśli się nie mylę.

– Tak, z Białokamiennej.¹¹

– Z Moskwy? No to nie ma się co dziwić, że nerwy u łaskawej pani nie w porządku. Podobno nie został kamień na kamieniu.

– Przesada. Ale to fakt, żeśmy się wszystkiego napatrzyli. To jest moja córka, to zięć. To ich synek. A to nasza młoda niania Niusza.

– Witam, witam. Bardzo mi miło. Już mnie uprzedzono. Anfim Jefimowicz Samdewiatow telefonował z rozjazdu Sakmy. Doktor Żywago z rodziną z Moskwy, prosię mu, powiada, udzielić wszelkiej pomocy. Doktor to chyba pan, prawda?

– Nie, doktor Żywago to on, mój zięć, a ja mam inną specjalność, rolniczą; profesor agronomii Gromieko.

– Przepraszam, pomyliłem się. Przepraszam. Bardzo mi miło poznać państwa.

– A więc, sądząc z tego, co pan mówi, zna pan Samdewiatowa?

– A któż by go nie znał? To nasz czarodziej, nasza nadzieja, karmiciel. Bez niego dawno byśmy tu nogi wyciągnęli. Tak i tak, powiada, udziel wszelkiej pomocy. Tak jest, ja na to. Obiecałem. Więc może konika, jeżeli potrzebny, a może mógłbym jeszcze czymś służyć? Państwo dokąd?

– Do Warykina. Czy to daleko?

– Do Warykina? A ja się zastanawiałem, kogo pańska córka tak mi przypomina! Więc państwo do Warykina! Teraz wszystko rozumiem. Przecież myśmy z Iwanem Ernestowiczem razem budowali tę kolej. Zaraz wszystko załatwię, urządzę, zawołam człowieka, zdobędziemy furmankę. Donat! Donat! Zanieś rzeczy, na razie do poczekalni. Tak, a jak będzie z koniem? Leć, bracie, do herbaciarni, zapytaj, czy pożyczą. Chyba rano Wakch mi tu mignął. Zapytaj, może jeszcze nie odjechał. Powiedz, że trzeba zawieźć do Warykina cztery osoby, bagażu tyle co nic. Przyjezdni. Szybko. A łaskawej pani dam ojcowską radę. Umyślnie nie pytam o stopień pokrewieństwa pani z Iwanem Ernestowiczem, i prosię być ostrożną w tych sprawach. Nie otwierać serca przed każdym. Czasy są takie, że sama pani wie.

Na dźwięk imienia Wakch Żywagowie spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Pamiętali jeszcze opowieści nieboszczki Anny Iwanowny o legendarnym kowalu, który wykuł sobie trwałe żelazne wnętrzości, i inne miejscowe baśnie i legendy.

8

Wóz ciągnęła biała, świeżo oźrebiona kobyła, którą poganiał wielkouchy, rozczochrany, biały jak gołąb starzec. Wszystko miał białe, ale z różnych powodów. Jego nowe łapcie nie zdążyły się jeszcze znosić i pociemnieć, a portki i koszula wyblakły i zbiełały ze starości.

Za białą kobyłą, wyrzucając wysoko chrząstkowate nogi, które nie zdążyły jeszcze okrzepnąć, biegł wrony, czarny jak noc źrebaczek o kędzierzawym łebku, podobny do wystruganej z drzewa zabawki.

¹¹ Popularne określenie Moskwy. (Przyp. tłum.).

Furmanka podskakiwała na wybojach i siedzący z brzegu podróżni trzymali się boków wozu, żeby nie wypaść. W sercach czuli wielki spokój. Spełniało się ich marzenie, zbliżali się do celu podróży. Cudny, pogodny dzień rozciągał się jakby, przedłużał szczerze swe ostatnie, przedwieczne godziny.

Droga biegła to przez las, to przez rozległe polany. W lesie szturchańce konarów zbijały podróżnych w gromadkę, ludzie garbili się, chmurzyli, ciasno do siebie przytuleni. W odsłoniętych miejscach, gdzie sama przestrzeń w przypływie wzruszenia jak gdyby zdejmowała czapkę, ludzie prostowali grzbiety, siadali wygodniej, potrząsali głowami.

Okolica była górzysta. Góry jak zwykle miały własne oblicze, własny niepowtarzalny wygląd. Potężnymi, wyniosłymi cieniami ciemniały w oddali, w milczeniu obserwując jadących. Kojący różowy poblask sunął polem za podróżnymi, uspokajał i dodawał otuchy.

Wszystko im się podobało, wszystko ich zdumiewało, najbardziej zaś nie milknąca gadanina starego dziwnego woźnicy, w której ślady zapomnianych staroruskich form, naleciałości tatarskie i miejscowe regionalizmy mieszały się z niezrozumiałymi wyrazami jego własnego wynalazku.

Kiedy żrebak zostawał w tyle, kobyła zatrzymywała się i czekała na niego, on zaś doganiał ją płynnie powolnymi, miękkimi susami. Stąpając niepewnie na swych długich iksowatyach nóżkach, podchodził z boku do furmanki i, wsuwając maleńki łebek na długiej szyi pod hołoblę, ssał matkę.

– Mimo wszystko nie rozumiem – wołała do męża Antonina Aleksandrowna, dzwoniąc zębami od wstrząsów wozu. Mówiła wolno, ostrożnie, by przy nieoczekiwanym szarpnięciu nie odgryźć sobie języka. – Czyż to możliwe, żeby to był ten sam Wakch, o którym opowiadała mama? Pamiętasz, takie tam banialuki. Kowal, któremu w bójce odbito kiszki, i zmajstrował sobie nowe. Słowem, kowal Wakch Żelazne Brzuch. Przecież wiem, że to bajki. Ale czy o nim? Czyżby to był ten sam?

– Oczywiście, że nie. Po pierwsze, sama mówisz, że to bajka, folklor. Po drugie, ta bajka w czasie, kiedy mama to opowiadała, miała już z górą sto lat. Ale czemu tak głośno, staruszek usłyszysz i obrazi się.

– Nic nie usłyszysz – jest trochę głuchawy. A gdyby nawet usłyszał, nie zrozumie – jest głupkowaty.

– Ej, Fiodorze Niefiedyczu! – nie wiadomo czemu męskim imieniem popędził stary kobyłę, doskonale, lepiej niż jego pasażerowie wiedząc, że jest ona kobyłą. – Ależ upał diabelski! Jako w piecu babilońskim młodzianków judejskich! No, czorcie nie nażarty! Wio, mazepo!

Raptem zaczął wyśpiewywać urywki czastuszek, śpiewanych dawniej w tutejszych zakładach.

*Żegnaj, żegnaj mi, kantorze,
żegnaj mi, kopalnio,
przejadł mi się pański chleb,*

*wody także dosyć mam.
Kole brzegu płynię tabędź,
wodę pod się zgarnia,
nie od wódki się zataczam,
Wańkę mi w rekruty wzięli.
Alem ja nie głupi, Maszo,
szczwany, Maszo, ze mnie lis.
Pójdę do Sielawy miasta,
najmę się do pracy.*

– Ej, kobyło, we łbie ci się zaćmiło! Patrzajcie, ludzie, jakie ścierwo, jaka bestyja! Ty ją chlast, a ona ci złaż. No, Fiedia, dziadzie, kiedy pojedziem? Ten las się nazywa tajga i nie ma końca. Siła tamój narodu chrześcijańskiego, y, y! Tamój leśne bracia. Ej, Fiedia, znowu stanęła, diabllica, siła nieczysta!

Nagle obejrzał się i, patrząc przenikliwie na Antoninę Aleksandrownę, powiedział:

– Myślisz, młoducho, że ja nie wiem, skądęś ty taka? Głupiaś, jak widzę. A ja, żebym się tak pod ziemię zapadł, jeśli cię nie poznałem. Poznałem! Gałom własnym nie wierzę, wykapany Grigow! (Gałami nazywał oczy, Grigowem – Krügera.) – A może ty wnuczka? Ja bym nie miał oka na Grigowa? Całe życie przy nim byłem, zęby na nim zjadłem. W każdym fachu, w każdym zakładzie! I cieślą górniczym byłem, i przy wyciągu, i przy koniach. Wišta! Znowu stoi, jak bez nóg! Na anioła chińskiego, słyszysz, czy nie? Ty sobie myślisz, jaki to Wakch, czy aby nie kowal? Aleś dziwna, dobrodziejko, taka niby bystra, a głupia. Ten twój Wakch Postanogow miał na przezwisko. Postanogow Żelazne Brzucho, już półsta lat, jak w ziemi leży. A ja teraz na odwrót, Niechonoszyn. Imię to samo – imienniki, można powiedzieć, a nazwisko inne, niejednemu psu Burek.

Potem stary powoli, na swój sposób, opowiedział pasażerom wszystko, co już wiedzieli o Mikulicynach od Samdewiatowa. Jego nazywał Mikulicz, a ją Mikuliczna. Obecną żonę zarządcy nazywał drugoślubną, o „najpierwszej nieboszczce niebodze” mówił, że była miodową kobietą, białym cherubinem. Gdy rozmowa zesła na przywódcę partyzantów Liberiusza i starzec dowiedział się, że do Moskwy jego sława nie dotarła i nic tam nie słyszano o leśnych braciach, wydawało mu się to nieprawdopodobne.

– Nie słyszeliście? O towarzyszu Leśnym nie słyszeliście? Na anioła chińskiego, to na co Moskwa ma uszy?

Zaczynało się zmierzchać. Przed podróżnymi biegły, wydłużając się coraz bardziej, ich własne cienie. Droga prowadziła przez rozległe pustkowie. Tu i ówdzie rosły samotne kępy zdrewniałych łodyg lebiody, bodiaku i wierzbówki, ukończone kiśćmi kwiatów. Podświetlone od dołu promieniami zachodzącego słońca, przybierały widmowe kształty rozstawionych na polu nieruchomych konnych wartowników.

Daleko na przedzie równinę zamykało biegnące w poprzek drogi wysokie podłużne wzniesienie, pod którym można się było domyślić parowu albo koryta rzeki. Zupełnie, jakby niebo przegrodzono tam murem z bramą, ku której wiodła droga.

Na szczycie stromizny rysował się biały, wydłużony parterowy dom.

– Widzisz dom na pagórze? – zapytał Wakch. – Tam twój Mikulicz i Mikuliczna. A pod nimi rozpadlina, jar, nazywa się Szut'ma.

Dwa strzały karabinowe, jeden po drugim, przetoczyły się w tej stronie, budząc drobne, mnożące się echa.

– Co to? Czy to partyzanci, dziadku? Do nas strzelają?

– Niech was Chrystus ma w opiece. Jakie partyzanty? To Stiepanycz w Szut'mie wilki straszy.

9

Pierwsze spotkanie przyjezdnych z gospodarzami odbyło się na podwórzu dyrektorskiego domku. Rozegrała się kłopotliwa scena, początkowo milcząca, a potem hałaśliwa i bezsensowna.

Helena Pawłowna wracała z wieczornej przechadzki po lesie. Promienie zachodu ciągnęły się jej śladem przez cały las od drzewa do drzewa i były prawie tego samego koloru, co jej złociste włosy. Helena Pawłowna miała na sobie lekką letnią suknię. Była mocno zarumieniona i ocierała chusteczką rozpaloną twarz. Odśloniętą szyję przecinała z przodu gumka, na której chwiał się odrzucony na plecy słomkowy kapelusz.

Z przeciwnej strony zbliżał się ze strzelbą jej mąż, który wracał z parowu i zamierzał właśnie przystąpić do oczyszczania zadymionych łuf, gdyż, jak stwierdził przy rozładowywaniu broni, były mocno zanieczyszczone.

Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, po kamieniach brukowanego wjazdu na podwórze dziarsko i hałaśliwie wjechał Wakch ze swoją niespodzianką.

Goście zsiadli z furmanki i Aleksander Aleksandrowicz w pośpiechu, zacinając się, zdejmując i wkładając kapelusz, zaczął tłumaczyć, o co chodzi.

Na kilka chwil zaskoczeni gospodarze popadli w prawdziwe, nie udawane osłupienie, a nieszczęśliwi zakłopotani goście palili się ze wstydu. Sytuacja była zrozumiała bez żadnych wyjaśnień nie tylko dla uczestników tej sceny, dla Wakcha, Niuszy i Szuroczki. Skrępowanie udzieliło się także kobyle i żrebakowi, złocistym promieniom słońca i komarom, które wirowały wokół Heleny Pawłowny i siadały jej na twarzy i szyi.

– Nie rozumiem – przerwał wreszcie milczenie Awierkij Stiepanowicz. – Nie rozumiem, nic nie rozumiem i nigdy nie rozumiem. Cóż tu jest u nas takiego, kurort, biali, kraj mlekiem i miodem płynący? Czemu wybór padł właśnie na nas, czemu przyniosło was akurat tutaj?

– Ciekawe, czyście się państwo zastanowili, jaka to odpowiedzialność dla Awierkija Stiepanowicza?

– Lenoczko, nie przeszkadzaj. Tak, właśnie. Żona ma zupełną rację. Czy pomyśleliście państwo, jaki to dla mnie kłopot?

– No, dobrze, dobrze. Ale pan nas nie zrozumiał. O co nam chodzi? Chcemy bardzo mało, tyle co nic. To nie jest żaden zamach na państwa i na wasz spokój. Jakiś kął w pustym, rozwalającym się budynku. Klin nikomu niepotrzebnej, leżącej odłogiem ziemi na warzywnik. No i wóz drew z lasu, kiedy nikt nie zobaczy. Czyż to tak wiele, czyż chcemy państwa ograbić?

– Tak, ale świat jest wielki. Co my z tym mamy wspólnego? Czemu ten zaszczyt spadł właśnie na nas, a nie na kogoś innego?

– Słyszeliśmy o panu i mieliśmy nadzieję, że i pan o nas słyszał. Sądzieliśmy, że nie jesteśmy tu intruzami, że trafimy nie do obcych.

– Ach, więc chodzi o Krügera, o to, że jesteście krewnymi? Że też ośmiela się pan przyznawać do takich rzeczy w tych czasach!

Awierkij Stiepanowicz miał regularne rysy, włosy odrzucał do tyłu, stąpał szeroko, całą stopą, i latem nosił kosoworotkę przepasaną plecionym sznurkiem z chwastami. W dawnych czasach tacy mężczyźni parali się rozbojem na rzekach, teraz zaś stworzyli typ wiecznego studenta, marzycielskiego nauczyciela.

Młodość poświęcił ruchowi wyzwolenczemu, rewolucji i bał się tylko, że jej nie dożyje, albo że rewolucja, kiedy się już rozpęta, swym umiarkowaniem nie zaspokoi jego radykalnych i krwawych pragnień. I oto rewolucja nadeszła i przerosła jego najśmielsze oczekiwania, a on, urodzony i wieczny miłośnik robotników, który jako jeden z pierwszych założył w fabryce „Światogor Bohater” komitet zakładowy i ustanowił kontrolę robotniczą, został na lodzie, bez możliwości działania w opuszczonej osadzie, z której uciekli już robotnicy, opowiadający się tu częściowo za mieńszewikami. I teraz ta nedorzeczna niespodzianka, ci nieproszeni następcy Krügera wydawali mu się złośliwym szyderstwem losu i przepełnili czarę jego gorzkości.

– Nie, to są cuda-niewidy. Po prostu niewiarygodne. Czy pan rozumie, jakie to dla mnie niebezpieczne, w jakiej mnie to stawia sytuacji? Widać naprawdę oszalałem. Nie rozumiem, nic nie rozumiem i nigdy nie zrozumiem.

– Ciekawe, czy państwo zdają sobie sprawę, że my tu i tak żyjemy jak na wulkanie?

– Zaraz, Lenoczko. Żona ma absolutną rację. Pieskie życie, dom wariatów. Cały czas między młotem a kowadłem, bez wyjścia. Jedni wieszają na mnie psy, że mój syn jest czerwony, bolszewik, ulubieniec ludu. Innym się nie podoba, że mnie samego wybrano do Zgromadzenia Ustawodawczego. Nikomu nie mogę dogodzić! Tylko się szamoczę. A tu jeszcze wy. Będzie mi bardzo przyjemnie iść za was pod ścianę.

– Ależ co pan! Proszę się opamiętać! Bóg z panem!

Po jakimś czasie Mikulicyn, udobruchany nieco, powiedział:

– No, pokłóciliśmy się tu na dworze i dosyć. Możemy kontynuować w domu. Oczywiście czarno widzę przyszłość, ale to jeszcze ciemna woda wśród obłoków, mętne wróżby. Jednakowoż nie jesteśmy janczary żadne ani bisurmany. Nie

wygnamy was do lasu na pożarcie Michajle Potapyczowi. Myślę, Lenko, że najlepiej umieścić ich w pokoju z palmami, obok gabinetu. A potem pomyślimy, gdzie mają się urządzić, sądzę, że ulokujemy ich w parku. Proszę do domu. Proszę bardzo. Wakch, wnoś rzeczy. Pomóż gościom.

Wakch, wykonując polecenie, tylko wzdychał:

– Matko-dziewico! Dobra tyle, co u włóczęgów. Same tobołki. Ani jednej walizy!

10

Nadeszła chłodna noc. Przyjezdni umyli się. Kobiety zajęły się urządzeniem noclegu w przeznaczonym dla gości pokoju. Szuroczka, przyzwyczajony do tego, że jego naiwne sentencje, wygłaszane dzieciennym językiem, dorośli przyjmują zawsze z zachwytem, co sprawiało, że chłopiec, chcąc utrafić w ich gust, chętnie i z upodobaniem wyplatał androny, czuł się nie w sosie. Dzisiaj jego paplanina nie budziła entuzjazmu, nie zwracano na niego uwagi. Był niezadowolony, że nie zabrali do domu czarnego źrebaczka, a kiedy ktoś krzyknął nań, by się uspokoił, Szura rozpląkał się głośno, w obawie, żeby go, jako niegrzecznego i nie nadającego się dla rodziców chłopczyka, nie odesłano z powrotem do sklepu z dziećmi, z którego, jak sobie wyobrażał, zaraz po przyjściu na świat dostarczono go rodzicom. Głośno wypowiadał te swoje obawy, ale jego miłe gaworzenie nie wywołało tego wrażenia co zwykle. Dorośli, skrepowani pobytem w obcym domu, krzatali się szybciej niż zazwyczaj, w milczeniu, zaprzątnięci własnymi troskami. Szuroczka czuł się pokrzywdzony i kwilił, jak mówią nianie. Nakarmiono go i z trudem ułożono spać. Wreszcie usnął. Służąca Mikulicyńów Ustinja zabrała do siebie Niuszę, aby dać jej kolację i wtajemniczyć ją w domowe sekrety. Antoninę Aleksandrownę i panów gospodarze zaprosili na wieczorną herbatę.

Aleksander Aleksandrowicz i Żywago przeprosili na chwilę i wyszli na ganek odetchnąć świeżym powietrzem.

– Ile gwiazd! – odezwał się Aleksander Aleksandrowicz.

Było ciemno. Teść i zięć, stojąc na ganku w odległości dwóch kroków, nie widzieli się nawzajem. Z tyłu, zza węgła domu, światło lampy padało z okna do parowu. W smudze blasku rysowały się zamglone w wilgotnym chłodzie krzaki, drzewa i jakieś niewyraźne przedmioty. Szarawe pasmo nie obejmowało rozmawiających i jeszcze bardziej zagęszczało ciemność wokół nich.

– Jutro z rana trzeba będzie obejrzeć przybudówkę, którą nam przeznaczył, i jeżeli nadaje się do zamieszkania, od razu wziąć się do remontu. Kiedy będziemy doprowadzać do porządku nasz kącik, gleba rozmarznie, ziemia się nagrzej. Wtedy, nie zwlekając ani chwili, zabierzemy się do grządek. Zdaje mi się, że gospodarz mimochodem obiecał odstąpić kartofle sadzeniaki.

– Obiecał, obiecał. I różne nasiona też. Słyszałem na własne uszy. A domek, który nam proponuje, widzieliśmy przejeżdżając przez park. Wie ojciec gdzie? To oficyny dworskie, zarośnięte pokrzywą. Przybudówka jest drewniana, a dwór murowany. Pokazywałem ojcu z furmanki, pamięta ojciec? Tam właśnie porobiłbym grządki.

Sądzę, że są tam resztki kwietnika. Tak mi się wydawało z daleka. Ale mogę się mylić. Ścieżki trzeba będzie zostawić, ominąć, ale ziemia starych klombów na pewno jest porządnie wilgotna i nawieziona gnijącymi roślinami.

Jutro zobaczymy. Nie wiem. Grunt jest na pewno strasznie zarośnięty trawą i twardy jak kamień. Przy dworze był chyba ogród warzywny. Może kawałek zachował się jeszcze i leży odłogiem. Jutro wszystko się wyjaśni. Rankami są tu pewnie ciągle przymrozki. W nocy mróz będzie na pewno. Jakie to szczęście, że jesteśmy już tutaj, na miejscu. Możemy sobie pogratulować. Podoba mi się tu. Jest ładnie.

– Bardzo sympatyczni ludzie. Zwłaszcza on. Ona jest trochę zmanierowana. Z jakiegoś powodu niezadowolona z siebie, coś się jej w samej sobie nie podoba. Stąd się bierze ta nieustanna gadatliwość, to udawanie głuptaska. Jak gdyby chciała co prędzej odwrócić uwagę od swego wyglądu, zapobiec niekorzystnemu wrażeniu. I to że zapomina zdjąć kapelusz i nosi go na ramionach, to także nie roztargnienie. To rzeczywiście do niej pasuje.

– Ale chodźmy do pokoju. Zbyt długo tu tkwimy. Nie wypada.

Po drodze do oświetlonego stołowego, gdzie przy okrągłym stole pod wiszącą lampą gospodarze wraz z Antoniną Aleksandrowną popijali herbatę z samowara, teść i zięć przeszli przez ciemny gabinet dyrektora.

Było tam szerokie na całą ścianę okno z jednej tafli szkła, wychodzące na parów. Z okna, o ile zdążył zauważyć doktor zaraz po przybyciu, kiedy było jeszcze widno, otwierał się widok na całą równinę za parowem, przez którą przejeżdżali z Wakchem. Przy oknie stał szeroki, także na całą ścianę, stół kreślarski. Leżała na nim wzdłuż strzelba myśliwska, krótsza niż stół, co podkreślało jeszcze jego ogromne rozmiary.

Teraz, przechodząc przez gabinet, Jurij Andriejewicz znów z zazdrością popatrzył na okno z rozległym widokiem, na wielki stół, ocenił rozmiary dobrze umeblowanego pokoju, i była to pierwsza rzecz, jaką powiedział, kiedy podeszli z teściem do stołu herbacianego.

– Jakie to piękne okolice. I jaki pan ma wspaniały gabinet, zachęcający do pracy, budzący natchnienie.

– Pije pan w szklance czy w filiżance? I jaką pan lubi, słabą czy mocną?

– Popatrz, Jura, jaki stereoskop zmajstrował syn Awierkija Stiepanowicza, kiedy był mały.

– Do tej pory jeszcze nie dorósł, nie ustatkował się, chociaż wywalcza dla władzy sowieckiej okręg za okręgiem od Komuczu.

– Jak pan powiedział?

– Komucz.¹²

– Cóż to jest?

¹² Komucz – Komitet Członków Zgromadzenia Ustawodawczego (rząd białogwardyjsko_ eserowski w Samarze w 1918 r.) – (przyp. tłum.).

– To wojska Rządu Syberyjskiego, walczące o przywrócenie władzy Zgromadzenia Ustawodawczego.

– Przez cały dzień nieustannie słyszymy pochwały pod adresem pańskiego syna. Może pan być z niego dumny.

– Te widoki Uralu, podwójne, przestrzenne, to też jego prace; fotografował je obiektywem własnej roboty.

– Czy te ciasteczka są na sacharynie? Przepyszne.

– Ależ co pani! W takiej głuszy sacharyna? Skądże! To najprawdziwszy cukier. Przecież i do herbaty podawałam go w cukiernicy, nie zauważyła pani?

– Tak, rzeczywiście. Oglądałam fotografie. I herbata też chyba prawdziwa?

– „Z kwiatkiem”. Oczywiście.

– A skąd?

– Mamy takiego znajomego, „stoliczku nakryj się”. Znany działacz o bardzo krańcowych poglądach. Oficjalny przedstawiciel Gubernialnej Rady do spraw Rolnictwa. Od nas wywozi do miasta drzewo, a nam załatwia po znajomości kaszę, masło, mąkę. Siwierka (tak nazywała męża), Siwierka, przysuń mi cukiernicę. A teraz ciekawe, czy pan powie, w którym roku umarł Gribojedow?

– Urodził się chyba w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym piątym. A kiedy umarł, dokładnie nie pamiętam.

– Jeszcze herbaty?

– Nie, dziękuję.

– A teraz jeszcze jedno. Proszę powiedzieć, między jakimi państwami został zawarty pokój w Nimwegen?¹³

– Nie zamęczaj państwa, Lenoczko. Pozwól im ochłonać po podróży.

– Jeszcze jedno mnie interesuje. Proszę wymienić rodzaje szkieł powiększających i powiedzieć, kiedy otrzymujemy obraz rzeczywisty, odwrócony, prawidłowy i pozorny?

– Skąd ma pani takie wiadomości z fizyki?

– Mieliśmy w Juriatinie wspaniałego matematyka. Uczył w dwóch gimnazjach, w męskim i u nas. Jak on tłumaczył! Jak sam Pan Bóg! Cały materiał podawał już przeżuty, gotowy. Nazywał się Antipow. Był żonaty z tutejszą nauczycielką. Dziewczęta szalały za nim, wszystkie się w nim kochały. Poszedł jako ochotnik na wojnę i już nie wrócił, poległ. Mówią, że ten nasz bicz boży i kara niebieska, komisarz Strielnikow, to Antipow, który ożył. To oczywiście legenda. Zbyt nieprawdopodobne, a zresztą, kto wie. Wszystko być może. Jeszcze filiżankę?

¹³ Miasto nad Renem, w którym w 1678 r. zawarto traktat pokojowy, kończący wojnę Francji z pierwszą koalicją, złożoną z Holandii, Austrii, Hiszpanii, Brandenburgii, Danii. Po stronie Francji walczyła Szwecja. (przyp. tłum.)

Część dziewiąta

Warykino

1

Zimą, kiedy miał więcej czasu, Jurij Andriejewicz zaczął prowadzić różnego rodzaju zapiski. Zanotował na przykład:

„Jakże często latem miało się ochotę powtórzyć za Tiutczewem:

*O jakież lato, co za lato!
To jakby dni zaczarowanie;
zabłyło nam, całemu światu,
tak dziwnie i niespodziewanie!...¹⁴*

Jakie to szczęście pracować na siebie i rodzinę od świtu do zmierzchu, wznosić dach nad głową, uprawiać ziemię w trosce o wyżywienie, budować własny świat na podobieństwo Robinsona, naśladować Stwórcę kreującego wszechświat, w ślad za własną matką wciąż na nowo sprowadzać siebie na świat!

Ileż myśli przemyka przez głowę, ileż nowych spraw można przemyśleć, kiedy ręce zajęte są ciężką fizyczną pracą na roli lub przy ciesiołce; kiedy człowiek stawia sobie rozsądne, fizycznie rozwiązywalne zadania, przynoszące w nagrodę radość i powodzenie; kiedy sześć godzin pod rząd ociosuje coś siekierą lub kopie ziemię pod gołym niebem, które parzy aż swym dobroczynnym oddechem. I to, że tych przelotnych myśli, domysłów i porównań nie utrwała się na papierze, lecz zapomina, nie jest stratą, lecz odkryciem. Miejski pustelnik, pobudzający mocną czarną kawą lub tytoniem gnuśny system nerwowy i wyobraźnię, nie zna najpotężniejszego narkotyku, którym jest prawdziwa bieda i mocne zdrowie.

Nie wyciągam wniosków i nie propaguję Tołstojowskich idei sprostaczenia i powrotu do ziemi, nie obmyślam własnej poprawki do socjalizmu i jego kwestii agrarnej. Ja tylko stwierdzam fakt, i nie podnoszę naszego przypadkowego losu do godności systemu. Nasz przykład jest dyskusyjny i nie nadaje się do wyprowadzania wniosków. Nasze gospodarstwo jest niejednolite. Tylko niewielką jego część, zapas ziemniaków i warzyw, zawdzięczamy pracy własnych rąk. Cała reszta pochodzi z innego źródła.

Uprawiamy ziemię bezprawnie, samowolnie, ukrywając to przed władzami. Nasze wyręby w lesie to kradzież, nieusprawiedliwiona faktem, że kradniemy z kieszeni państwa, a w przeszłości – Krügera. Ośłania nas pobłażliwość Mikulicyna, który żyje mniej więcej tak

¹⁴ (Przekład Józefa Waczkowa)

samo, ratują nas odległości, oddalenie od miasta, gdzie na razie, na szczęście, nikt nie wie o naszych oszustwach.

Zarzucałem medycynę i ukrywam, że jestem lekarzem, aby nie krępować własnej swobody. Ale zawsze jakaś dobra dusza na krańcu świata wywacha, że w Warykinie zamieszkał doktor, i wlecze się trzysta wiorst po poradę, to z kurką, to z jajeczkami, to znów z masełkiem czy czymś tam jeszcze. Żeby nie wiem jak się wymawiał od wynagrodzenia, nie sposób go nie przyjmować, bo ludzie nie wierzą w skuteczność bezpłatnych, darmowych porad. A więc co nieco przynosi mi też praktyka lekarska. Ale główną podporą naszą i Mikulicyków jest Samdiewiatow.

To wprost nie do wiary, z jakich przeciwieństw składa się ten człowiek. Naprawdę jest po stronie rewolucji i całkowicie zasługuje na zaufanie, jakim go darzy Juriatińska Rada Miejska. Ma tak rozległe pełnomocnictwa, że mógłby rekwirować i wywozić drzewo z warykińskiego lasu, wcale się nie opowiadając nam i Mikulicynom, a my byśmy nawet okiem nie mrugnęli. Z drugiej strony, gdyby chciał okradać skarb państwa, mógłby spokojnie chować do kieszeni wszystko, czego dusza zapagnie, i też nikt by nawet nie pisnął. Nie musi się z nikim dzielić i nikogo przekupywać. A więc co go skłania do troszczenia się o nas, do pomagania Mikulicynom i zaopatrywania wszystkich w okolicy, na przykład zawiałowcy stacji w Torfianej? Wciąż jest w rozjazdach i coś zdobywa, i przywozi, analizuje i objaśnia „Biedy” Dostojewskiego i „Manifest komunistyczny” równie porywająco, i wydaje mi się, że gdyby nie komplikował sobie życia bez potrzeby, w sposób tak lekkomyślny i oczywisty, to umarłby z nudów.”

2

Nieco później doktor zanotował:

„Zamieszkaliśmy w oficynie starego dworu, w dwóch pokojach drewnianej przybudówki, którą za dziecinnych lat Anny Iwanowny Krüger przeznaczył dla kilku wybranych spośród służby – dla szwaczki, zarządzającej i starej niańki.

Mieszkanie było porządnie zrujnowane, ale naprawiliśmy je dość szybko. Przy pomocy fachowców przebudowaliśmy wychodzący na dwa pokoje piec i teraz daje on więcej ciepła.

W tej części parku ślady dawnego rozplanowania znikły zupełnie pod nową roślinnością, która rozkrzewiła się wszędzie. Teraz, zimą, kiedy wszystko wokół zmartwiało i żywe nie przesłania umarłego, zasypane śniegiem ślady przeszłości występują wyraźniej.

Mieliśmy szczęście. Jesień była sucha i ciepła. Ziemniaki zdążyliśmy wykopać przed porą deszczową i nadejściem chłódów. Po odliczeniu ziemniaków, które zwróciliśmy Mikulicynom, zostało nam około dwudziestu worków; złożyliśmy je w głównym sąsięku piwnicy i przykryliśmy sianem i starymi podartymi kocami. Stoją tu również dwie beczki ogórków, które zakisiła Tonia, i tyleż beczek kiszonej kapusty. Świeża kapusta wisi powiązana po dwie główki na słupach podtrzymujących strop. Zapasy marchwi zakopaliśmy w suchym piasku. Mamy też dostateczną ilość rzodkwi, buraków i rzepy, a na górze w mieszkaniu mnóstwo grochu i bobu. DREW zgromadzonych w szopie wystarczy do wiosny. Lubię zimą ciepły zapach piwnicy, bijący w nos warzywami, ziemią i śniegiem, gdy rankiem, jeszcze przed zimowym

świtem, ze słabym, gotowym lada chwila zgasnąć światełkiem w ręku podnoszę klapę w podłodze.

Wyjdzie człowiek z szopy, a tu dzień jeszcze nie zaświtał. Skrzywnie drzwiami albo kichnie, albo po prostu śnieg zachrzęści pod stopą, a już z ogrodowej grządki ze sterzczącymi spod śniegu kapuścianymi głąbami wypryskują i rzucają się do ucieczki zające, pozostawiając na śniegu tu i tam zamaszyste ślady. I w całej okolicy jeden za drugim zaczynają ujadać psy. Ostatnie koguty piaty już wcześniej, teraz się nie odezwą. I budzi się świt.

Prócz śladów zajęcy całą bezkresną równinę śnieżną przecinają tropy rysy, ciągnące się dółek w dółek równiutkimi łańcuszkami. Ryś chodzi jak kot, łapka za łapką i, jak powiadają, odbywa w nocy wielowiorstowe spaceru.

Zastawia się na nie sidła, zwane tutaj „słopcami”. Zamiast rysy wpadają w nie biedne szaraki, które wyjmując się z potrzasków zupełnie zmarznięte, skostniałe i na wpół zasypane śniegiem.

Na początku, wiosną i latem, było nam bardzo ciężko. Pracowaliśmy ponad siły. Teraz, w zimowe wieczory, odpoczywamy. Dzięki Anfimowi, który zaopatruje nas w naftę, zbieramy się wokół lampy. Kobiety szyją albo robią na drutach, ja albo Aleksander Aleksandrowicz czytamy głośno. W piecu napalone, ja, jako z dawna uznany palacz, pilnuje, żeby w porę zasunąć szyber i nie wypuścić ciepła. Jeżeli nie dopalona szczapa nie pozwala zasunąć szybra, wynoszę ją biegiem, całą dymiącą, za próg i rzucam jak najdalej w śnieg. Jak płonąca pochodnia, sypiąc iskrami, szczapa leci w powietrzu, oświetlając skraj czarnego śpiącego parku z białymi czworokątami trawników, syczy i gaśnie spadając w zaspę.

Bez końca czytamy „Wojnę i pokój”, „Eugeniusza Oniegina” i wszystkie poematy, czytamy w rosyjskim przekładzie „Czerwone i czarne” Stendhala, „Opowieść o dwóch miastach” Dickensa i opowiadania Kleista.”

3

Na przedwiośniu doktor zapisał:

„Zdaje mi się, że Tonia jest w poważnym stanie. Powiedziałem jej to. Nie podziela moich przypuszczeń, ale ja jestem tego pewien. Nawet przed wystąpieniem bardziej bezspornych symptomów nie mogę się mylić co do tych wcześniejszych, mniej uchwytnych.

Twarz kobiety się zmienia. Nie można powiedzieć, że brzydnie. Ale wygląd, nad którym kobieta dotychczas całkowicie panowała, wymyka się spod jej kontroli, zaczyna podlegać czemuś, co dopiero nastąpi, co wyłoni się z niej i nie jest już nią samą. Owo wymykanie się wyglądu kobiety spod jej kontroli przybiera postać fizycznego zagubienia, w którym przygasa jej twarz, grubieje skóra i oczy zaczynają błyszczeć inaczej, nie tak, jakby chciała, zupełnie jak gdyby kobieta, nie mogąc sobie z tym wszystkim poradzić, przestała się tym w ogóle zajmować.

Zawsze byliśmy sobie z Tonią bliscy. Ale ten pracowity rok zbliżył nas jeszcze bardziej. Przyglądałem się, jak jest przemyślna, silna i nieumęczona, jak zręcznie potrafi ułożyć sobie pracę, aby przy wykonywaniu różnych robót tracić jak najmniej czasu.

Zawsze mi się zdawało, że każde poczęcie jest niepokalane, że w dogmacie dziewictwa Bogarodzicy wyrażona jest cała idea macierzyństwa.

Każdą rodzącą oświecła ten sam blask samotności, opuszczenia, pozostawienia samej sobie. Mężczyzna jest tak dalece zbędny w tej najistotniejszej chwili, jak gdyby go w ogóle nie było i jakby to wszystko spadło po prostu z nieba.

Kobieta sama wydaje na świat swe potomstwo, sama usuwa się z nim na drugi plan egzystencji, tam, gdzie jest spokój i gdzie bez obawy można ustawić kołyskę. Sama w milczącej pokorze karmi i wychowuje dziecko.

Matkę Boską proszą: „Módl się za nami do Syna i Boga Twego.” Wkładają jej w usta słowa psalmu: „I rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim, iż wejrzał na pokorę służebnicy swojej. Oto bowiem błogosławioną zwać mnie będą wszystkie narody.” Tak mówi o swym dziecięciu, które ją wywyższy. („Moc najwyższa mnie wstawiła”), które jest jej chwałą. I tak może powiedzieć każda kobieta. Jej Bóg jest w jej dziecięciu. Matkom wielkich ludzi znane jest chyba to uczucie. Ale właściwie wszystkie matki są matkami wielkich ludzi i nie ich to wina, że życie później sprawia im zawód.”

4

„Bez końca, wciąż na nowo czytamy „Eugeniusza Oniegina” i poematy. Wczoraj był tu Anfim, przywiózł masę prezentów. Łasujemy, oświeciliśmy rzeszę dom. Niekończące się rozmowy o sztuce.

Od dawna uważam, że sztuka to nie nazwa jakiejś kategorii czy dziedziny, obejmującej niezliczone mnóstwo pojęć i rozgąszczających się zjawisk, ale przeciwnie, coś wąskiego i skoncentrowanego, określenie jakiegoś pierwiastka, wchodzącego w skład dzieła, nazwa siły w nim zastosowanej lub sprawy w nim wyrażonej.

Sztuka nigdy nie wydawała mi się przedmiotem czy rodzajem formy, lecz raczej tajemniczym i ukrytym elementem treści. Jest to dla mnie jasne jak dzień, czuję to wszystkimi tkankami mojej istoty, ale jak mam tę myśl wyrazić i sformułować?

Dzieła sztuki mają wieloraką wymowę: mówią tematami, tezami, fabułą, bohaterami. Ale przede wszystkim mówią tkwiącym w nich artyzmem. Artyzm na stronicach „Zbrodni i kary” jest bardziej wstrząsający niż zbrodnia Raskolnikowa.

Sztuka pierwotna, sztuka egipska, grecka, nasza to zapewne na przestrzeni wielu tysiącleci jedna i ta sama, pozostająca wciąż w liczbie pojedynczej sztuka. To jakaś myśl, jakaś maksyma o życiu, zawierająca tak wiele treści, że nie sposób jej rozbić na słowa, i kiedy ziarnko owej siły wejdzie w skład jakiejś bardziej złożonej mieszaniny, szczypta artyzmu zdominuje całą resztę i okaże się istotą, duszą i osnową obrazu.”

5

„Jestem trochę przeziębiony. Kaszlę i chyba mam lekką gorączkę. Przez cały dzień dławi mnie gdzieś w krtani, zaciska gardło. Źle ze mną. To aorta. Pierwsza zapowiedź dziedzictwa po biednej mamie, która całe życie chorowała na serce. Czyżby to była prawda? Tak wcześnie? W takim razie niezbyt długo pożyję na tym świecie.

W pokoju jest lekki swąd. Pachnie prasowaniem. Prasują i co chwila z dopiero co rozpalonego pieca dokładają rozżarzonych węgli do żelazka, które zgrzyta zasuwką jak zębami. Coś mi to przypomina. Nie mogę sobie przypomnieć co. Ta krótka pamięć to z powodu choroby.

Z radości, że Anfim przywiózł dobre mydło, urządzono w domu generalne pranie i Szuroczka dwa dni biega samopas. Kiedy piszę, włazi pod stół, siada na poprzeczce między stołowymi nogami i naśladując Anfima, który za każdym swym przyjazdem wozi go w saniach, udaje, że także wiezie mnie w wiejskich sankach.

Kiedy wyzdrowieję, będę musiał pojeździć do miasta, poczytać coś z etnografii tej krainy, z historii. Podobno jest tu wspaniała biblioteka miejska, która powstała z bogatych darów kilku ofiarodawców. Chciałbym pisać. Muszę się śpieszyć. Ani się człowiek obejrzy, jak już będzie wiosna, a wtedy nie starczy czasu na czytanie i pisanie.

Coraz bardziej boli mnie głowa. Źle spałem. Miałem jakiś zagmatwany sen, jeden z tych, które się zapomina zaraz po przebudzeniu. Sen wyleciał mi z głowy, w świadomości pozostała tylko przyczyna przebudzenia. Obudził mnie kobiecy głos, który we śnie rozlegał się dokoła.

Zapamiętałem jego brzmienie i, odtwarzając go w pamięci, przebiegałem myślą znajome kobiety, zastanawiając się, która z nich mogła mieć ten piersiowy, cichy, soczysty głos. Okazało się, że żadna. Pomyślałem, że może przeszkadza mi zbyt przyzwyczajenie do Toni, które przytępia mój słuch, jeśli o nią chodzi. Spróbowałem zapomnieć, że jest moją żoną, i przeniosłem jej obraz na odległość wystarczającą dla wykrycia prawdy. Nie, to nie był również jej głos. Tak więc zagadka pozostała niewyjaśniona.

A propos snów. Uważa się powszechnie, że w nocy śni się zazwyczaj to, co w dzień, na jawie, wywarło najsilniejsze wrażenie. Moje obserwacje wskazują na coś wręcz przeciwnego.

Nieraz zauważyłem, że właśnie rzeczy ledwie dostrzeżone w czasie dnia, niesformułowane wyraźnie myśli, wypowiedziane mimochodem słowa, które przeszły bez echa, wracają w nocy w namacalnym kształcie i stają się tematem snów, jakby w zadośćuczynieniu za to, że wzgardzono nimi na jawie."

6

„Jasna mroźna noc. Widoczność niezwykle dobra, ostra. Ziemia, powietrze, księżyc i gwiazdy są skute, sklepane przez mróz w jedną całość. W parku w poprzek alejek drzewa rzucają wyraźne cienie, które wydają się wypukłe, toczone. Ciągle mi się majaczy, że jakieś czarne postacie w różnych miejscach bez końca przechodzą przez drogę. Duże gwiazdy wiszą w lesie pomiędzy gałęziami jak niebieskie latarnie z miki. Całe niebo usiane jest drobnymi rumiankami niby łąka w lecie.

W coraz dłuższe wieczory rozmowy o Puszkynie. Omawialiśmy jego licealne wiersze z pierwszego tomu. Jakże wiele zależało od wyboru metrum!

W wierszach wielozgłoskowych szczytem młodzieńczych ambicji był Arzamas¹⁵, pragnienie, aby nie pozostać w tyle za starszymi, zamydlić stryjaskowi oczy mitologizmami, napauszoną, domniemanym zepsuciem i epikureizmem, przedwczesnym, udawanym zdrowym rozsądkiem.

Ale gdy tylko od naśladowania Osiana czy Parny'ego albo od „Wspomnień w Carskim Siole” młody człowiek przechodził do krótkiego wersu „Miasteczka”, „Listu do siostry” czy późniejszego kiszyniowskiego „Do mego kałamarza, lub do metrum „Postania do Judina”, w młodzieńcu budził się cały późniejszy Puszkina.

Do wiersza, jak do pokoju przez okno, wdzierało się z ulicy światło i powietrze, zgiełk życia, przedmioty i treści. Przedmioty świata zewnętrznego, przedmioty codziennego użytku, rzeczowniki cisnęły się, nacierały, zaczynały panować nad wierszem, wypierając mniej określone części mowy. Przedmioty, przedmioty, przedmioty rymowaną kolumną ustawiały się na krawędziach wiersza.

Zupełnie jakby ten, znakomity później, Puszkiniowski czterostopowy jamb stał się jakąś jednostką pomiarową rosyjskiego życia, miarą długości, miarą wziętą z całej rosyjskiej egzystencji, wziętą tak, jak się obrysowuje stopę, by zrobić but, albo określa rozmiar rękawiczki, by ją dopasować do dłoni.

Tak właśnie później rytmy mówiącej Rosji, zaśpiewy jej potocznego języka wyraził miarą wierszową Niekrasow w swym trzystopowym dolniku i daktylu.”

7

„Tak bym chciał obok pracy w ogrodzie czy praktyki lekarskiej móc robić coś, co po mnie zostanie, coś ważnego, pisać jakąś pracę naukową albo jakiś utwór artystyczny.

Każdy rodzi się Faustem, aby wszystko poznać, wszystkiego doświadczyć, wszystko wyrazić. Na to, by Faust został uczonym, złożyły się pomyłki jego poprzedników i współczesnych. W nauce krok naprzód zaczyna się zgodnie z zasadą negacji, od odrzucenia panujących przesądów i fałszywych teorii. Na to, by Faust został artystą, wpłynęły zaraźliwe przykłady nauczycieli. Krok naprzód w sztuce zgodnie z zasadą przyciągania zaczyna się od naśladownictwa i kontynuacji ulubionych poprzedników.

Cóż więc przeszkadza mi pracować, leczyć i pisać?

Sądzę, że nie bieda i tułaczka, nie niepewność życia i ciągłe zmiany, ale dominujący w naszych czasach duch górnolotnych frazesów, które tak się rozpowszechniły, chociażby: jutrzeńka przyszłości, budowa nowego świata, pochodnia ludzkości. Słucha człowiek i początkowo myśli – jakaż ogromna fantazja, jakież bogactwo! A w rzeczywistości ta pretensjonalność wypływa z braku talentu.

Bajeczne są tylko rzeczy przyziemne, gdy muśnie je ręka geniusza. Najlepszym nauczycielem w tym względzie jest Puszkina. Jakże on wystawia uczciwą pracę, obowiązek,

¹⁵ Arzamas – istniejące w latach 1815-1818 w Petersburgu kółko literackie, skupiające zwolenników sentymentalizmu i wczesnego romantyzmu. Puszkina został przyjęty do arzamasu, początkowo zaocznie, jeszcze jako licealista. (przyp. tłum.)

codzienne obyczaje! Teraz słowa mieszczanin, filister brzmią u nas jak zarzut. Puszkina uprzedził te zarzuty w swoim „Rodowodzie”:

*Mieszczanin jestem, więcej nic.*¹⁶

I w „Podróży Oniegina”:

*Gosposia – moim ideałem,
marzeniem – nie młodzieńczy żar,
lecz spokój, co mi wiernie służy,
i garnek barszczu, aby duży.*¹⁷

Z całej rosyjskiej literatury lubię teraz najbardziej rosyjską dziecięcość Puszkina i Czechowa, ich nieśmiałą bez troskę wobec takich głośnych problemów, jak ostateczne cele ludzkości i ich własne zbawienie. Oni również orientowali się w tym wszystkim doskonale, ale gdzie im było do takiego zarozumiałstwa – i to do nich nie pasowało! Gogol, Tołstoj, Dostojewski przygotowywali się na śmierć, niepokoili, szukali sensu życia, robili rachunek sumienia, ci zaś do końca byli pochłonięci bieżącymi drobiazgami artystycznego powołania i wśród nich niepostrzeżenie przeżyli życie jako coś równie osobistego, prywatnego, i teraz ta prywatność stała się wspólną sprawą, jak zerwane z drzewa niedojrzałe jabłka sama dojrzewa w potomnych, wypełniając się coraz większą słodyczą i głębszym sensem.”

8

„Pierwszy zwiastun wiosny – odwilż. Powietrze pachnie blinami i wódką jak w zapusty, kiedy sam kalendarz zdaje się dowcipkować. Słońce w lesie mruży sennie maślane oczka, sennie opuszcza rzęsy igieł las, w południe tłusto lśnią kałuże. Przyroda ziewa, przeciąga się, odwraca na drugi bok i znów zasypia.

W siódmym rozdziale „Eugeniusza Oniegina” wiosna, stojący pustką po wyjeździe Oniegina dwór, grób Leńskiego, nisko, nad wodą, u stóp wzgórza.

*I sołowiej, wiesny lubownik,
Pojet wsju nocz. Cwietiot szypownik.*¹⁸

Dlaczego „lubownik”? Tak w ogóle to epitet ten jest zupełnie na miejscu. Rzeczywiście „lubownik”, kochanek. Poza tym – rym do słowa „szypownik”. Ale czy nie kryje się tu również dźwiękowy obraz Sołowieja-rozbójnika z bylin?

Bylina nazywa go zbój Sołowiej, syn Odichmantjowy. Jakże pięknie o nim mówi:

¹⁶ Przekład Juliana Tuwima

¹⁷ Przekład Adama Ważyka.

¹⁸ Tam słowik, ulubieniec wiosny, noc całą śpiewa; kwitną głogi. – Przekład Adama Ważyka.

*I od tego poświstu słowiczego,
i od tego poryku zwierzowego
wszystkie trawy-murawy pokładają się,
wszystkie kwiatki lazurowe osypują się,
ciemne lasy ku ziemi przyginają się,
co tam ludzi jest – trupem padają.¹⁹*

Przyjechaliśmy do Warykina wczesną wiosną. Niebawem wszystko się zazieleniło, szczególnie w Szut'mie, jak nazywają tu jar pod domem Mikulicynów – czeremcha, olcha, leszczyna. Kilka nocy później zakłaskały słowiki.

I znowu, jakbym je słyszał po raz pierwszy, byłem zdumiony tym, jak bardzo się różni ten śpiew od innych ptasich poświstów, i jak ogromny skok, bez żadnych stopniowych przejść, robi przyroda, by osiągnąć bogactwo i niezwykłość tego kląskania. Jakaż różnorodność treli, jakaż siła tego wyraźnego, daleko rozchodzącego się dźwięku! U Turgieniewa jest gdzieś opis tych wyświstów i turlikania jak z fujarki roztańczonego leśnego licha. Wyróżniają się zwłaszcza dwa motywy: pośpieszne, poządlliwe, przepiękne „ciach-ciach-ciach”, czasem potrójne, czasem sypiące się bez liku. W odpowiedzi na ten zew krzewy, całe w rosie, otrząsają się zalotnie i podrygują jak od łaskotek. I drugi motyw, który rozpada się na trzy sylaby, przyzywające, przejęte, błagalne niczym prośba czy zaklęcie: „Oc-knij się, oc-knij się, oc-knij się!” „

9

„Wiosna. Szykujemy się do prac w ogrodzie. Nie mam czasu na prowadzenie dziennika. A tak przyjemnie było robić te notatki. Trzeba je będzie odłożyć do zimy.

Parę dni temu, tym razem rzeczywiście w zapusty, w czasie roztopów, po wodzie i błocie wejeżdża saniami na podwórze jakiś chory chłop. Oczywiście odmatwiam przyjęcia. „Nie miej mi za złe, mój drogi, przestałem się tym zajmować – nie mam ani należytego zestawu leków, ani niezbędnych narzędzi.” Ale nie udało mi się wykręcić. „Pomóż mi, doktorze. Skóra mi złazi. Zlituj się. Całe ciało chore.”

Cóż było robić? Serce nie kamień. Postanowiłem go przyjąć. „Rozbieraj się.” Badam. „Masz gruźlicę skóry.” Krzątam się wokół niego, zerkając z ukosa na butlę z karbolem. (Na miły Bóg, nie pytajcie, skąd mam tę butlę i jeszcze kilka najpotrzebniejszych rzeczy! To wszystko – Samdiewiatow.) Patrę – wejeżdżają na podwórze drugie sanie, z nowym chorym, jak pomyślałem w pierwszej chwili. I zwala się nam jak z nieba brat Jewgraf. Najpierw biorą go w obroty domownicy. Tonia, Szuroczka, Aleksander Aleksandrowicz. Potem i ja kończę z pacjentem i przyłączam się do reszty towarzystwa. Zaczyna się wypytywanie – jak, skąd? On się jak zwykle wykręca, wywija, żadnej konkretnej odpowiedzi, uśmiechy, cuda, zagadki.

¹⁹ Przekład Tadeusza Mongirda

Gościł u nas prawie dwa tygodnie, często wyjeżdżając do Juriatina, i nagle znikł, jakby się zapadł pod ziemię. Zdążyłem przez ten czas zauważyć, że ma jeszcze większe wpływy niż Samdiewiatow, a jego interesy i kontakty są jeszcze bardziej tajemnicze. Skąd się tu wziął? Skąd ta jego potęga? Czym się zajmuje? Przed odjazdem obiecał, że ułatwi nam prowadzenie gospodarstwa, tak żeby Tonia miała czas na wychowanie Szury, a ja na zajęcie się medycyną i literaturą. Zapytaliśmy, co zamierza w tym celu zrobić. Znowu wymijające milczenie i uśmiechy. Ale nie kłamał. Znosi się na to, że warunki naszego życia rzeczywiście się poprawią.

Zdumiewająca sprawa! To mój brat przyrodni. Nosi to samo nazwisko. A mówiąc szczerze, znam go mniej niż innych.

Oto już drugi raz wdziera się w moje życie jak dobry duch, wybawca, rozwiązujący wszystkie trudności. Może w każdym życiorysie obok działających w nim osób musi uczestniczyć nieznana tajemnicza siła, postać niemal symboliczna, która przybywa na pomoc nie wzywana, a w moim życiu rolę tej dobroczynnej ukrytej sprężyny gra mój brat Jewgraf."

Na tym kończą się zapiski Jurija Andriejewicza. Później już ich nie prowadził.

10

Jurij Andriejewicz przeglądał zamówione książki w czytelni Juriatińskiej Biblioteki Miejskiej. W dużej, na sto miejsc, sali o wielu oknach stało kilka rzędów długich stołów, węższymi krawędziami do okien. Zamykano czytelnię o zmierzchu. Wiosną miasto nie było wieczorami oświetlone. Ale Żywago i tak nigdy nie siedział do zmroku i nie pozostawał w mieście dłużej niż do obiadu. Konia, którego dawali mu Mikulicynowie, zostawiał w zajeździe Samdiewiatowa, czytał całe rano, a w połowie dnia wyruszał konno z powrotem do Warykina.

Przed owymi wyjazdami do biblioteki Jurij Andriejewicz rzadko bywał w Juriatinie, nie miał tu nic specjalnego do załatwienia, toteż słabo znał miasto, i kiedy na jego oczach salę zaczynali stopniowo wypełniać mieszkańcy Juriatina, siadając to z dala, to zupełnie blisko, doktor miał uczucie, że zapoznaje się z miastem, stojąc na jednym z jego ruchliwych skrzyżowań i że to nie czytelnicy napływają do sali, ale zbiegają się tu domy i ulice, na których ci ludzie mieszkają.

Jednak przez okna czytelni widać było także rzeczywisty Juriatin, prawdziwy i nie wymyślony. Pod największym, środkowym oknem stał zbiornik z przegotowaną wodą. Czytelnicy dla odpoczynku wychodzili na papierosa na schody, otaczali zbiornik, pili wodę, wylewając resztki do umywalni, i tłoczyli się przy oknie, podziwiając panoramę miasta,

Publiczność była tu dwojakiego rodzaju – zamieszkała tu od dawna miejscowa inteligencja – tych była większość – i prosty lud.

Pierwsi, pośród których przeważały kobiety, ubogo odziane, zaniedbane, mieli chorowite, mizerne twarze, obrzmiałe z różnych powodów – z głodu, od żółtaczki, od puchliny wodnej. Byli to stali bywalcy czytelni, którzy znali osobiście pracowników biblioteki i czuli się tu jak u siebie w domu.

Ludzie prości, o ładnych, zdrowych twarzach, przyzwoicie, odświętnie ubrani, wchodzili do sali nieśmiało i ze skrzepowaniem jak do cerkwi i robili więcej hałasu, niż to było przyjęte, nie dlatego, że nie znali panujących tu zwyczajów, ale właśnie dlatego, że chcieli wejść bezszelestnie, a nie potrafili zapanować nad swymi krokami i głosami.

Na wprost okna była nisza, w której na podwyższeniu, odgrodzonym wysoką barierą od reszty sali, pracował stary bibliotekarz i jego dwie pomocnice. Jedna z nich, gniewna, w wełnianej chustce, bez końca zdejmowała i wkładała na nos pince-nez, kierując się najwyraźniej nie potrzebą widzenia, lecz zmiennością swych nastrojów. Druga, w czarnej jedwabnej bluzce, była chyba chora, gdyż prawie nie odejmowała chusteczki od ust i nosa, mówiła i oddychała w chusteczkę.

Bibliotekarze mieli takie same obrznięte, wydłużone twarze, jak połowa czytających, taką samą zwiotczałą, obwisłą skórę, zielonkawoziemistą, koloru kiszzonego ogórka z szarą pleśnią, i wszyscy troje na zmianę robili jedno i to samo, odczytując rewersy z zamówieniami, wydając i przyjmując z powrotem książki, a w przerwach pracując nad jakimiś sprawozdaniami.

Nagle, w wyniku niepojętego skojarzenia, patrząc na rzeczywiste miasto za oknem i wyobrażone w czytelni, widząc trupio opuchnięte twarze, jak gdyby wszyscy mieli nadczynność tarczycy, Jurij Andriejewicz przypomniał sobie niezadowoloną dróżniczkę na torach pod Juriatinem w dniu ich przyjazdu i panoramę miasta widoczną z oddalenia, i Samdewiatowa siedzącego na podłodze wagonu, i jego objaśnienia. Te objaśnienia, których wysłuchał tak daleko od miasta i tak dawno. Żywago chciał powiązać z tym, co widział teraz z bliska, w samym środku obrazu. Nie pamiętał jednak określić Samdewiatowa i nic mu z tego nie wychodziło.

11

Jurij Andriejewicz, obłożony książkami, siedział w najdalszym końcu sali. Miał przed sobą roczniki statystyczne miejscowego urzędu ziemskiego i kilka prac etnograficznych dotyczących tych okolic.

Próbował zamówić jeszcze dwie rozprawy na temat buntu Pugaczowa, ale bibliotekarka w jedwabnej bluzce szeptem, przez przyciśniętą do ust chusteczkę, poinformowała go, że nie wydaje się tylu książek naraz jednemu czytelnikowi, i że aby otrzymać interesujące go prace, musi zwrócić część informatorów i pism.

W związku z tym Jurij Andriejewicz zaczął starannie i szybciej przeglądać zamówione pozycje, aby zatrzymać tylko najpotrzebniejsze, a resztę wymienić na interesujące go prace historyczne. Szybko kartkował tomy i przebiegał wzrokiem nagłówki. Był tym całkowicie pochłonięty i nie rozglądał się na boki. Nie przeszkadzało mu, że sala jest tak zatłoczona, nie rozpraszało to jego uwagi. Dobrze się przyjrzał swym sąsiadom i widział ich oczyma duszy, nie podnosząc oczu znad książek, przekonany, że ich skład nie zmieni się do momentu jego wyjścia, tak jak nie ruszą się z miejsca cerkwie i budynki miasta widoczne przez okno.

Tymczasem słońce nie stało w miejscu. Wciąż posuwając się naprzód, obeszło w ciągu tych godzin wschodni narożnik biblioteki. Teraz świeciło w okna południowej ściany, oślepiając siedzących w pobliżu i przeszkadzając im czytać.

Przeziębiona bibliotekarka zeszła z ogrodzonego podwyższenia i skierowała się ku oknom. Wisały na nich marszczone, opuszczone zasłony z białej tkaniny, które przyjemnie łagodziły światło. Bibliotekarka opuściła je na wszystkich oknach prócz jednego. To ostatnie, zacienione, pozostawiła nie osłonięte. Następnie pociągając za sznurek otworzyła w nim oberluft i zaczęła kichać.

Kiedy kichnęła po raz dziesiąty czy dwunasty, Jurij Andriejewicz domyślił się, że jest to szwagierka Mikulicyna, jedna z sióstr Tuncew, o których opowiadał Samdiewiatow. W ślad za innymi czytelnikami doktor podniósł głowę i popatrzył w jej kierunku.

Wtedy zauważył, że w sali nastąpiła zmiana. W przeciwnym końcu zjawiała się nowa czytelniczka. Jurij Andriejewicz natychmiast poznał Antipową. Siedziała zwrócona plecami do pierwszych stołów, gdzie ulokował się doktor, i półgłosem rozmawiała z przeziętą bibliotekarką, która stała pochylona nad nią i coś jej szeptała. Rozmowa ta najwidoczniej miała dobroczynny wpływ na bibliotekarkę. Wyleczyła się błyskawicznie nie tylko ze swego dokuczliwego kataru, ale i z nerwowego napięcia. Rzucając Antipowej ciepłe, pełne wdzięczności spojrzenie, odjęła od ust chusteczkę, wsunęła ją do kieszeni i wróciła na swoje miejsce za balustradą, szczęśliwa, pewna siebie i uśmiechnięta.

Ta drobna, wzruszająca scena nie uszła uwagi obecnych. Z wielu punktów sali kierowały się ku Antipowej życzliwe spojrzenia i uśmiechy. Z tych błahych oznak Jurij Andriejewicz wywnioskował, że Lara jest tu znana i lubiana.

12

W pierwszym porywie doktor chciał wstać i podejść do Larysy Fiodorowny. Po chwili jednak wzięty górę obce jego naturze skrupowanie i sztuczność, które zawsze wobec niej odczuwał. Postanowił jej nie przeszkadzać i nie przerywać sobie pracy. Żeby uniknąć pokusy spoglądania w jej stronę, postawił krzesło bokiem do stołu, prawie tyłem do innych, i zagłębił się w swoich książkach, trzymając jedną w ręku przed sobą, a drugą na kolanach.

Myśli jego ulatywały jednak od przedmiotu studiów za siódmą górę i rzekę. Bez żadnego związku z nimi zrozumiał nagle, że głos, który słyszał we śnie pewnej zimowej nocy w Warykinie, był głosem Lary. Wstrząsnęło nim to odkrycie; zwracając na siebie powszechną uwagę, gwałtownie przestawił krzesło na dawne miejsce, tak, żeby móc lepiej widzieć Antipową, i zaczął na nią patrzeć.

Widział ją z półobrotu, prawie z tyłu. Była w jasnej kraciatej bluzce ściągniętej paskiem i czytała z zajęciem, zapominając o całym świecie, jak dziecko, z głową przechyloną nieco w bok, na prawe ramię. Chwilami w zadumie wznosiła oczy w górę albo mrużąc je spoglądała gdzieś przed siebie, a potem znowu opierała głowę

na ręce i szybko, zamazyście notowała ołówkiem w zeszycie jakieś fragmenty z książki.

Jurij Andriejewicz znów się utwierdzał w swych dawnych obserwacjach, poczynionych w Mieluziejewie. „Ona nie chce się podobać – myślał – być piękną, czarującą. Ma w pogardzie tę stronę kobiecej natury i chce się jak gdyby ukarać za to, że jest tak piękna. I ta dumna wrogość wobec samej siebie czyni ją dziesięć razy bardziej porywającą.

Piękne jest wszystko, co robi. Czyta w taki sposób, jak gdyby nie była to najwznioślejsza czynność człowieka, ale coś najprostszego, dostępnego nawet zwierzętom. Jakby nosiła wodę albo obierała kartofle.”

Te rozważania uspokoiły doktora. Na serce spłynęło mu niezwykle ukojenie, a myśli przestały się rozbiegać i przeskakiwać z jednego przedmiotu na drugi. Uśmiechnął się mimo woli. Obecność Lary podziałała na niego tak samo, jak na nerwową bibliotekarkę.

Nie troszcząc się o to, jak stoi jego krzesło, i nie poddając się roztargnieniu, doktor przez godzinę czy półtorej pracował w skupieniu i jeszcze pilniej niż przed przyjściem Antipowej. Przewertował wznoszącą się przed nim górę książek, wybrał to, co najpotrzebniejsze, i nawet zdążył przy okazji połączyć dwa zamieszczone tam artykuły. Uznał, że na razie na tym poprzestanie, i zaczął zbierać książki, by je odnieść na stół bibliotekarki. Opuściły go wszelkie uboczne myśli, zakłócające mu spokój. Z czystym sumieniem i zupełnie bez żadnej złej myśli stwierdził, że uczciwie odrobił lekcję, czym zasłużył na radość spotkania z dawną znajomą. Kiedy jednak wstał i rozejrzał się po czytelnicy, nie zobaczył już Antipowej, nie było jej na sali.

Na pulpicie, gdzie doktor przeniósł swe książki i broszury, leżały jeszcze tomy, które zwróciła Lara. Wszystko to były podręczniki marksizmu. Widocznie jako dawna nauczycielka, która znów wróciła do zawodu, Lara samodzielnie uzupełniała swe wykształcenie polityczne.

Z książek wystawały zamówienia Antipowej na kolejne pozycje z katalogu. Widoczny był na nich jej adres. Jurij Andriejewicz przepisał go, dziwiąc się jego oryginalności: „Kupiecka, naprzeciw domu z figurami”.

Doktor zaraz kogoś zapytał i dowiedział się, że określenie „dom z figurami” jest w Juriatinie równie popularne jak w Moskwie nazwy cyrkułów pochodzące od parafii cerkiewnych czy w Petersburgu nazwa „Pod pięcioma węglami”.

Nazywał się tak stalowoszary dom z kariatydami i figurami muz z bębenkami, lirami i maskami w rękach, wystawiony w ubiegłym stuleciu przez jakiegoś kupca-teatromana jako pomieszczenie jego domowego teatru. Spadkobiercy sprzedali dom gildii kupieckiej, od której wzięła nazwę ulica. Dom z figurami był punktem orientacyjnym w całej okolicy. Teraz mieścił się w nim miejski komitet partii i na pochyłej podmurówce, wyższej z jednej strony, gdyż teren był spadzisty, tam gdzie dawniej rozklejano afisze cyrkowe i teatralne, wisiały teraz dekrety i obwieszczenia rządowe.

Był zimny, wietrzny dzień, początek maja. Jurij Andriejewicz pozałatwiał w mieście swoje sprawy, zajrzał na chwilę do biblioteki i nagle zmienił plany, postanawiając odnaleźć Larysę Fiodorownę.

Po drodze często zatrzymywał go wiatr, wzbijając mu przed twarzą kłęby piasku i kurzu. Doktor odwracał się, mrużył oczy, pochylał głowę i przeczekawszy, aż pył opadnie, ruszał dalej.

Antipowa mieszkała na rogu Kupieckiej i zaułka Nowoswałocznego, naprzeciw ciemnego, prawie granatowego domu z figurami, który doktor zobaczył teraz po raz pierwszy. Dom rzeczywiście pasował do swej nazwy i budził jakiś dziwny niepokój.

Główną jego część otaczały kariatydy wysokie na półtora przeciętnego ludzkiego wzrostu. Doktorowi wydało się na moment, pomiędzy dwoma porywami wiatru, które przesłoniły fasadę, że wszystkie mieszkancki domu wyszły na balkon i przechylone przez balustradę, patrzą na niego i na ciągnącą się w dole ulicę Kupiecką.

Do domu Larysy Fiodorowny prowadziły dwa wejścia, frontowe i kuchenne od strony zaułka. Doktor, nie wiedząc o istnieniu pierwszego wejścia, wybrał drugie.

Kiedy skręcił z zaułka w bramę, wiatr wzbił ku niebu ziemię i śmieci z całego podwórza, zasłaniając je zupełnie. Za tą czarną zasłonę rzuciły się spod jego nóg rozgdakane kury, uciekające przed kogutem.

Kiedy chmura pyłu się rozviała, doktor zobaczył przy studni Antipową. Wicher zaskoczył ją, gdy miała już wodę w obu wiadrach i koromysło na lewym ramieniu. Na głowie dla ochrony przed kurzem miała pośpiesznie przewiązaną chustkę, z węzłem nad czołem; kolanami zaciskała wzdymające się na wietrze poły szlafroka. Właśnie ruszyła w kierunku domu, ale zatrzymał ją nowy poryw wiatru, który zerwał jej z głowy chustkę, rozwiał włosy i poniósł chustkę w stronę płotu i wciąż jeszcze gdaczących kur.

Jurij Andriejewicz pobiegł za chustką, podniósł ją i podał Antipowej, która, oniemiała, stała wciąż przy studni. Zawsze naturalna i powściągliwa, ani słowem nie okazała swego zdziwienia i zmieszania. Wyrwał się jej tylko okrzyk:

- Żywago!
- Laryso Fiodorowno!
- Jakim cudem? Skąd pan się tu wziął?
- Proszę postawić wiadra. Ja zaniosę.
- Nigdy nie zawracam z połowy drogi, nigdy nie rzucam zaczętej pracy. Jeżeli pan do mnie, to chodźmy.
- A do kogóż by?
- Kto pana wie.
- A jednak pozwoli pani, że przełożę koromysło z pani ramienia na swoje. Nie mogę patrzeć beczynn timer, jak pani pracuje.

– Też mi praca. Nie pozwalam. Zachłapie pan schody. Lepiej niech pan powie, jakie wiatry tu pana przywiały? Jest pan tu już ponad rok i wciąż pan nie miał czasu?

– Skąd pani wie?

– Świat jest pełen plotkarzy. A poza tym widziałam pana w bibliotece.

– Czemu się pani do mnie nie odezwała?

– Nie będzie pan chyba twierdził, że mnie pan nie widział.

Za kołyszącą się lekko pod ciężarem rozhuśtanych wiader Larysą Fiodorowną doktor wszedł pod niskie sklepienie. Było to kuchenne wejście przez sutereneń. Tutaj Lara szybko przykucnęła, postawiła wiadra na glinianej podłodze, uwolniła ramię od koromysła, wyprostowała się i zaczęła wycierać ręce małą chusteczką, która zjawiła się nie wiadomo skąd.

– Chodźmy, przeprowadzę pana wewnętrznym przejściem na frontowe schody. Tam jest jasno. Zaczeka pan tam, ja wniosę wodę tędy, trochę sprzątnę na górze, przebiorę się. Widzi pan, jakie mam schody. Żeliwne, ażurowe stopnie. Z góry wszystko przez nie widać. To stary dom. W czasie ostrzału trochę ucierpiał. Strzelano przecież z dział. Widzi pan, kamienie się rozsunęły. Między cegłami dziury, szczeliny. Właśnie w tej dziurze chowamy z Katięnką klucz i zasłaniamy go cegłą, kiedy wychodzimy z domu. Niech pan to zapamięta. Gdy mnie pan kiedyś może odwiedzi i nikogo nie zastanie, bardzo proszę sobie otworzyć, wejść i czuć się jak u siebie w domu. A ja tymczasem wrócę. Teraz klucz też jest tutaj. Ale nie jest mi potrzebny, wejdem od tyłu i otworzę drzwi od środka. Najgorsza rzecz tutaj to szczury. Straszliwe mnóstwo, rady sobie dać nie można. Skaczą po głowach. To stary budynek, ściany rozchwiane, wszędzie szpary. Gdzie mogę, zalepiam, walczę z tą plagą, ale niewiele pomaga. Może by pan kiedyś wpadł i pomógł? Razem uszczelnimy podłogi, przybijemy listwy. Dobrze? No, proszę zostać na podeście i podumać sobie o czymś. Długo tu pana trzymać nie będę, zaraz zawołam.

Jurij Andriejewicz w oczekiwaniu na zaproszenie zaczął błędzić wzrokiem po odrapanych ścianach i żeliwnych płytach schodów. Rozmyślał: „W czytelnicy porównywałem jej sposób czytania z zapałem i pasją prawdziwej roboty, z pracą fizyczną. I na odwrót, wodę nosi, jakby czytała, lekko, bez wysiłku. I ta płynność jest we wszystkim, co robi. Jak gdyby rozpęd do życia wzięła już dawno, w dzieciństwie, i teraz wszystko, co robi, dokonywało się z rozbiegu, samo przez się, z łatwością. Widać to i w linii jej pleców, kiedy się pochyla, i w uśmiechu, który rozchyła jej wargi i zaokrągla podbródek, i w jej słowach, i myślach.”

– Żywago! – rozległo się z drzwi mieszkania na piętrze. Doktor wszedł na schody.

14

– Proszę dać rękę i posłusznie iść za mną. Są tu dwa pokoje, w których jest ciemno, w dodatku zawałone pod sufit. Może pan na coś wpaść i uderzyć się.

– Rzeczywiście, to jakiś labirynt. Zabłądziłbym tutaj. Czemu tak? Remont?

– Ach nie, skądże. Nie o to chodzi. To cudze mieszkanie. Nawet nie wiem czyje. Mieliliśmy własne, służbowe, w gmachu gimnazjum. Kiedy gimnazjum zajął wydział

kwaterunkowy Rady Miejskiej, przydzielono nam z córką część tego opuszczonego mieszkania. Były tu meble dawnych właścicieli. Dużo mebli. Ja nie potrzebuję cudzego. Przeniosłam ich rzeczy do tych dwóch pokoi, a okna zamalowałam na biało. Niech pan nie puszcza mojej ręki, bo się pan zgubi.

Tak. Na prawo. No, minęliśmy już te ostępy. To są drzwi do mnie. Zaraz będzie jasno. Próg, niech się pan nie potknie.

Jurij Andriejewicz wszedł za swą przewodniczką do pokoju i zobaczył na wprost drzwi okno. Zdumiał go widok, który się przez nie otwierał. Okno wychodziło na podwórze, na tyły sąsiednich domów i na miejskie pustkowia nad rzeką. Pasły się tam owce i kozy, zamiatając pył swą długą sierścią jak połami rozpiętych szub. Oprócz tego na dwóch słupach, frontem do okna, sterczała znana doktorowi reklama: „Moreau i Wietczynkin. Siewniki. Młockarnie.”

Pod wrażeniem tego szyldu doktor bez wstępów zaczął opisywać Larysie Fiodorownie swój przyjazd na Ural. Zapomniał o pogłoskach, utożsamiających Strielnikowa z mężem Lary i bez zastanowienia opowiedział o swym spotkaniu z komisarzem w wagonie. Ta część opowieści wywarła na niej szczególne wrażenie.

– Widział pan Strielnikowa? – przerwała impulsywnie. – Na razie nic więcej panu nie powiem. Ale to nadzwyczajne! To po prostu przeznaczenie, żeście się spotkali. Kiedyś to panu wytłumaczę, będzie pan zdumiony. Jeżeli dobrze zrozumiałam, zrobił na panu wrażenie raczej sympatyczne niż przykre.

– Tak, chyba tak. Powinienem być czuć do niego niechęć. Przejeżdżaliśmy przez miejsca, gdzie dokonał krwawych rozpraw i wszystko obrócił w perzynę. Spodziewałem się, że spotkam żołdaka oprawcę albo okrutnego rewolucyjnego maniaka, a nie znalazłem ani jednego, ani drugiego. To dobrze, kiedy człowiek zawodzi nasze oczekiwania, kiedy nie odpowiada z góry powziętym wyobrażeniom. Typowość to koniec człowieka, to wyrok na niego. Jeżeli się nie da go podciągnąć pod żaden wzorzec, jeżeli nie jest typowy, to znaczy, że spełnia co najmniej połowę wymagań, jakie się stawia człowiekowi. Jest panem samego siebie, zdobył już szczytę nieśmiertelności.

– Podobno jest bezpartyjny.

– Tak sądzę. Co w nim budzi życzliwość? To człowiek skazany. Myślę, że źle skończy. Odkupi zło, które przyniósł. Samowolni tyrani rewolucji są groźni nie jako złoczyńcy, ale jako nie kierowane mechanizmy, jako wykolejone pociągi. Strielnikow jest równie szalony jak oni, ale on oszalał nie na punkcie teorii, lecz tego, co przeżył i przecierpiał. Nie znam jego tajemnicy, ale jestem pewien, że ją ma. Jego sojusz z bolszewikami to przypadek. Dopóki jest im potrzebny, tolerują go, bo im to na rękę. Ale gdy tylko potrzeba ta zniknie, bez litości odrzucą go precz jak wielu innych wojennych specjalistów.

– Tak pan myśli?

– Na pewno.

– Czy nie ma dla niego ratunku? Na przykład w ucieczce?

– Dokąd, Laryso Fiodorowno? Tak się robiło dawniej, za carów. A teraz – niech pani próbuje.

– Szkoda. Obudził pan we mnie swym opowiadaniem współczucie dla niego. A pan się zmienił. Dawniej nie osądzał pan rewolucji tak surowo, z takim rozdrażnieniem.

– Chodzi o to, Laryso Fiodorowno, że wszystko ma swoje granice. Przez ten czas musiałem dojść do jakichś wniosków. A okazało się, że dla inspiratorów rewolucji cały ten zamęt przemian i przewartościowań to jedyny rodzimy żywioł, że niczym się ich bardziej nie udelektuje niż wydarzeniem na miarę całej kuli ziemskiej. Ich cel to budowa światów, etapy przejściowe. Niczego innego się nie uczyli, niczego nie umieją. A wie pani, skąd się bierze ta krzątanina wiecznych przygotowań? Z braku określonych umiejętności, z braku talentu. Człowiek rodzi się po to, by żyć, a nie, by się przygotowywać do życia. I samo życie, zjawisko życia, dar życia są tak porywająco prawdziwe! Więc po co zastępować je dziecinną arlekinadą niedojrzałych pomysłów, tymi uciezkami uczniów do Ameryki, jak u Czechowa? Ale dość o tym. Teraz moja kolej na zadawanie pytań. Dojeżdżaliśmy do miasta rankiem w dniu waszego przewrotu. Była pani wtedy w wielkich opałach?

– A jakże! Oczywiście. Wszędzie pożary. Same o małosmy się nie spaliły. Dom się zatrzęsł, mówiłam panu. Na podwórzu przy bramie do tej pory leży niewypał. Grabieże, strzelanina, gwałty. Jak przy każdej zmianie władzy. W tym czasie byliśmy już mądrzy, doświadczeni. Nie był to pierwszy przewrót. A co się działo za białych! Zabójstwa z za węgla z powodu porachunków osobistych, szantaże, bachanalie! No tak, ale nie powiedziałam panu najważniejszej rzeczy. O naszym Galiullinie! Kiedy przyszli Czesi, został szalenie ważną szyszką. Czymś w rodzaju generała-gubernatora.

– Wiem. Słyszałem. Widywała go pani?

– Bardzo często. Ilu osobom uratowałam życie dzięki niemu! Ilu ukryłam! Trzeba mu oddać sprawiedliwość. Zachowywał się bez zarzutu, rycersko, nie tak jak różne drobne płotki, kozacy esaulowie i policjanci. A przecież wtedy ton nadawały właśnie miernoty, a nie porządni ludzie. Galiullin bardzo mi pomógł w wielu sprawach, jestem mu wdzięczna. Jesteśmy przecież starymi znajomymi. Często jako dziewczynka przybiegałam na podwórze, na którym się wychował. W tej kamienicy mieszkali robotnicy kolejowi. W dzieciństwie widziałam z bliska biedę i ciężką pracę. Dlatego mój stosunek do rewolucji jest inny niż pański. Jest mi ona bliższa, lepiej ją rozumiem. I nagle ten chłopiec, syn stróża, zostaje pułkownikiem. A może nawet białym generałem. Nie mam nic wspólnego z wojskiem i słabo się orientuję w stopniach. Jestem nauczycielką historii. Tak to było, Żywago. Wielu osobom pomogłam. Chodziłam do niego. Wspominaliśmy pana. We wszystkich władzach mam tu znajomości i protektorów, i od każdej władzy doznaję przykrości i strat. To tylko w złych powieściach ludzie są podzieleni na dwa obozy i nie stykają się ze sobą. A w rzeczywistości wszystko się tak przeplata! Jakimż trzeba być niepoprawnym zerem, żeby grać w życiu tylko jedną rolę, znaczyć zawsze jedno i to samo! Aha, więc jesteś tutaj?

Do pokoju weszła ośmioletnia dziewczynka z dwoma ciasno splecionymi warkoczykami. Wąskie, szeroko rozstawione oczy nadawały jej wygląd figlarny i

psotny. Kiedy się śmiała, robiły się skośne. Już za drzwiami odgadła, że matka ma gościa, ale kiedy stanęła w progu, zrobiła zdziwioną minkę, dygnęła i wbiła w doktora uważne, śmiałe spojrzenie przedwcześnie dojrzałego, rosnącego samotnie dziecka.

– Moja córka, Katieńka. Polecam łaskawym względom.

– Pokazywała mi pani w Mieluziejewie zdjęcia, Ależ urosła, zmieniła się!

– A więc jesteś w domu? A ja myślałam, że na dworze. Nie słyszałam, jak weszłaś.

– Wyjmuję klucz z dziury, a tam, o, takie szczurzyisko! Ja w krzyk i w nogi. Myślałam, że umrę ze strachu.

Katieńka opowiadała, strojąc urocze minki, przewracając filuternie oczami i wysuwając usteczka w ciup jak rybka.

– No, idź do siebie. Zaraz namówię wujka, żeby został na obiedzie, wyjmę kaszę z duchówki i zawołam cię.

– Dziękuję, ale muszę odmówić. W związku z moimi wyjazdami do miasta je się u nas obiad o szóstej. Nie zwykłem się spóźniać, a jazda potrwa z górą trzy godziny, jeśli nie dłużej. Dlatego przyszedłem do pani tak wcześnie – przepraszam – i wkrótce muszę iść.

– Jeszcze tylko pół godzinki.

– Z przyjemnością.

15

– A teraz – szczerłość za szczerłość. Strielnikow, o którym pan opowiadał, to mój mąż, Pasza, Paweł Pawłowicz Antipow, którego szukałam na froncie i w którego rzekomą śmierć, jakże słusznie, nie uwierzyłam.

– Nie jestem zaskoczony. Słyszałem tę bajkę i uważam, że to bzdura. Dlatego właśnie tak się zapomniałem i z całą swobodą rozmawiałem o nim z panią, jak gdybym nigdy nie słyszał tych pogłosek. Są bez sensu. Widziałem tego człowieka. Jak w ogóle można przypuszczać, że pani ma z nim coś wspólnego?

– A jednak tak, Juriju Andriejewiczu. Strielnikow to Antipow, mój mąż. Podzielał powszechną opinię. Katieńka także o tym wie i jest dumna z ojca. Strielnikow to przybrane nazwisko, pseudonim, jakich używali wszyscy rewolucjoniści. Z jakiegoś powodu musi żyć i działać pod przybranym nazwiskiem.

Zdobywał Juriatin, zasypywał nas pociskami, wiedział, że tu jesteśmy, i ani razu nie sprawdził, czy żyjemy, żeby nie zdradzić swej tajemnicy. Oczywiście, to był jego obowiązek. Gdyby zapytał, jak ma postąpić, poradziłybyśmy mu to samo. Pan także pewnie powie, że moja nietykalność, znośne warunki, mieszkanie przydzielone przez radę miejską i tak dalej, to pośrednie dowody jego troski o nas! Nie przekona mnie pan! Być tu obok i oprzeć się pokusie zobaczenia nas! To mi się nie mieści w głowie, to przekracza moją zdolność pojmovania. To coś, czego nie rozumiem, nie życie, ale jakieś rzymskie patriotyczne męstwo, jedna z tych obecnych mądrości. Ale poddaję się pańskiej sugestii i zaczynam dać w tę samą dudkę. Nie chcę tego. Nasze poglądy są różne. Jakieś sprawy nieuchwytny, nie zobowiązujące rozumiemy

jednakowo. Ale w sprawach o szerszym zasięgu, w filozofii życia będziemy przeciwnikami. Wróćmy jednak do Strielnikowa.

Teraz jest na Syberii i ma pan rację, także dotarły do mnie o nim takie pogłoski, że serce mi lodowacieje. Jest teraz na Syberii, na jednym z naszych najbardziej wysuniętych odcinków, gromi swego kompana z podwórka, a potem towarzysza broni, nieszczęsnego Galiullina, który wie o naszym małżeństwie i który w swej niezwyklej subtelności nigdy nie dał mi tego odczuć, chociaż na wspomnienie Strielnikowa pieni się i wprost wychodzi z siebie. Tak, teraz on jest na Syberii.

A kiedy był tutaj (był tu długo i przez cały czas mieszkał w wagonie na torach, gdzie pan go widział), ciągle marzyłam, by spotkać go jakoś przypadkiem, niespodziewanie. Czasem jeździł do sztabu, który mieścił się w dawnej siedzibie wojskowego zarządu Zgromadzenia Ustawodawczego. I jaki dziwny kaprys losu! Wejście do sztabu było w tej samej oficynie, w której dawniej przyjmował mnie Galiullin, kiedy chodziłam wstawiać się za kimś. Była na przykład głośna historia w Korpusie Kadetów, kadeci zaczęli strzelać do nielubianych pedagogów pod pretekstem, że sympatyzują z bolszewikami. Albo kiedy się zaczęły prześladowania i pogromy Żydów. A propos. Jeżeli mieszkamy w mieście i zajmujemy się pracą umysłową, to połowę naszych znajomych stanowią właśnie Żydzi. I w momentach takich pogromów, kiedy zaczynają się te ohydne okropności, oprócz oburzenia, wstydu i litości dręczy nas uczucie dokuczliwego rozdwojenia, myśl, że nasze współczucie jest w połowie wykoncypowane, z nieprzyjemnym, nieszczerym odcieniem.

Ludzie, którzy kiedyś wyzwolili ludzkość z jarzma pogaństwa i teraz też licznie się poświęcają w imię uwolnienia jej od niesprawiedliwości społecznej, nie są w stanie uwolnić się od samych siebie, od wierności wobec przestarzałego, przedpotopowego miana, które utraciło znaczenie, nie mogą wznieść się ponad samych siebie i przemieszać się całkowicie z innymi, dla których podstawy religijne sami stworzyli i którzy byliby im tak bliscy, gdyby oni, Żydzi, znali ich lepiej.

To prawda, że właśnie prześladowania skłaniają ich do tej bezsensownej i zgubnej pozy, do tej wstydlivej, przynoszącej tylko klęski, desperackiej izolacji, ale jest w tym także jakaś wewnętrzna siła, historyczne, wielowiekowe znużenie. Nie lubię ich ironicznego dodawania sobie otuchy, pospolitego ubóstwa pojęć, nieśmiałej wyobraźni. To mnie drażni jak rozmowy starców o starości i chorych o chorobach. Zgadza się pan ze mną?

– Nie myślałem o tym. Mam kolegę, niejakiego Gordona, on jest tego samego zdania co pani.

– No więc tam chodziłam czatować na Paszę. W nadziei, że właśnie przyjdzie lub wyjdzie. Kiedyś w oficynie była kancelaria generała gubernatora. Teraz na drzwiach jest tabliczka: „Biuro skarg i zażaleń”. Może pan widział? To najładniejsze miejsce w mieście. Plac przed wejściem wyłożony jest kostką. Za placem park miejski. Kaliny, klony, głogi. Stawałam na chodniku w grupce interesantów i czekałam. Oczywiście nie domagałam się, by mnie przyjął, nie mówiłam, że jestem żoną. On nosi przecież inne nazwisko. Zresztą, co ma do tego głos serca? Oni kierują się zupełnie innymi

zasadami. Na przykład jego rodzony ojciec. Paweł Fierapontowicz Antipow, były zesłaniec polityczny, robotnik, pracuje tu gdzieś niedaleko w sądzie. W miejscu swego dawnego zesłania. I jego przyjaciel, Tiwierzin. Są członkami trybunału rewolucyjnego. I co pan powie? Syn nie ujawnił się także ojcu i ten traktuje to jako normalną rzecz, nie obraża się. Skoro syn się konspiruje, to znaczy, że tak trzeba. To nie są ludzie, to kamienie. Zasady. Dyscyplina.

A poza tym, gdybym nawet udowodniła, że jestem żoną, cóż z tego? Czy to są czasy dla żon? Światowy proletariąt, przebudowa świata, to co innego, to rozumiem. A poszczególne dwunożne istoty w rodzaju jakiejś tam żony to tfu, ostatnia pchła albo wesz.

Adiutant obchodził interesantów, wypytywał. Niektórych wpuszczał. Nie podawałam nazwiska, na pytanie, w jakiej sprawie, mówiłam, że w osobistej. Z góry było wiadomo, że to beznadziejne, że odmówią. Adiutant wzruszał ramionami, przyglądał mi się podejrzliwie. No i ani razu Paszy nie zobaczyłam.

I pan myśli, że on ma nas dosyć, że przestał kochać, zapomniał? Przeciwnie! Ja go dobrze znam! Wykoncypował to wszystko z nadmiaru uczuć! On chce wszystkie te wojenne laury rzucić nam do stóp, żeby nie wracać z pustymi rękami, ale w glorii sławy, jako zwycięzca! Unieśmiertelnić nas, olśnić! Jak dziecko!

Do pokoju znów weszła Katieńka. Larysa Fiodorowna chwyciła zdumioną córeczkę na rękę i zaczęła ją huścić, laskotać, całować i dusić w objęciach.

16

Jurij Andriejewicz wracał konno z miasta do Warykina. Przejeżdżał tędy już nie wiadomo który raz. Przywykł do tej drogi, zobojętniała mu i nie dostrzegał jej.

Zbliżał się do leśnych rozstajów, gdzie od drogi do Warykina odgałęziła się boczna droga do rybackiej osady Wasiljewskoje nad rzeką Sakmą. Na rozstajach stał trzeci w okolicy słup z rolniczą reklamą. Zazwyczaj doktor dojeżdżał tu o zachodzie słońca. Teraz też zaczęło się zmierzchać.

Minęły z górą dwa miesiące od czasu, kiedy z jednej ze swych wypraw do miasta Żywago nie wrócił na noc do domu i został u Larysy Fiodorowny, a w domu powiedział, że interesy zatrzymały go w mieście i zanocował w zajeździe Samdiewiatowa. Od dawna był na ty z Antipową i mówił jej Lara, a ona jemu – Żywago. Jurij Andriejewicz oszukiwał Tonię i ukrywał przed nią sprawy coraz poważniejsze i niedopuszczalne. Było to coś niesłychanego.

Kochał Tonię wręcz do ubóstwienia. Spokój wewnętrzny żony był mu droższy ponad wszystko. Stał na straży jej czci, troszczył się o to bardziej niż jej rodzony ojciec i niż ona sama. W obronie jej zranionej dumy własnymi rękami rozszarpałby krzywdziciela. A oto tym krzywdzicielem stał się on sam.

W domu, w gronie rodziny, czuł się jak nie wykryty zbrodniarz. Nieświadomość domowników, ich zwykła serdeczność wręcz go zabijały. Nagle w czasie ożywionej rozmowy przypominał sobie swą winę, drętwiał i przestawał słyszeć i rozumieć wszystko dokoła.

Jeśli zdarzało się to przy stole, nie przełknięty kęs stawał mu kością w gardle, doktor odkładał łyżkę i odsuwał talerz. Dusił go łzy. „Co ci jest? – dziwiła się Tonia. – Pewnie usłyszałeś w mieście jakąś złą nowinę. Kogoś wsadzili? A może rozstrzelali? Powiedz mi. Nie obawiaj się, że mnie zdenerwujesz. Będzie ci lżej.”

Czy zdradził Tonie, przekładając nad nią inną? Nie, nikogo nie wybierał, nie porównywał. Obce mu były idee „wolnej miłości”, frazesy o „prawie i potrzebie uczuć”. Podłością zdawało mu się mówienie i myślenie o takich sprawach. Nie zrywał w życiu „kwiatów rozkoszy”, nie zaliczał siebie do półbogów i nadludzi, nie oczekiwał szczególnych przywilejów czy pobbżazania. Przygniatał go ciężar nieczystego sumienia.

Co będzie dalej? – pytał czasem sam siebie i nie znajdował odpowiedzi; liczył na coś nierealnego, na zbieg jakichś nieprzewidzianych okoliczności, który przyniesie rozwiązanie.

Ale teraz było inaczej. Postanowił przeciąć ten węzeł. Wiózł do domu gotową decyzję. Postanowił przyznać się do wszystkiego Toni, wybbżagać przebaczenie i więcej nie spotykać się z Larą.

Co prawda, nie wszystko było tu takie proste. Zdawało mu się, że niezbyt jasno dał Larze do zrozumienia, że zrywa z nią raz na zawsze, na wieki wieków. Powiedział jej dziś rano, że zamierza wyznać wszystko Toni i że ich dalsze spotkania są niemożliwe, ale teraz miał uczucie, że powiedział to zbyt miękko, nie dość kategorycznie.

Larysa Fiodorowna nie chciała zasmucać Żywagi przykrymi scenami. Wiedziała, że on i tak cierpi. Usiłowała go wysłuchać jak najspokojniej. Rozmawiali w pustym, nie zamieszkanym pokoju dawnych właścicieli, wychodzącym na Kupiecką. Po policzkach Lary płynęły łzy, których wcale nie czuła, płynęły jak krople padającego właśnie deszczu po twarzach kamiennych posągów naprzeciwko, na domu z figurami. Zupelnie szczerze, bez fałszywej wielkoduszności, cicho powtarzała: „Rób tak, jak będzie najlepiej dla ciebie, nie zważaj na mnie. Ja wszystko zniosę.” I nie wiedziała, że płacze, i nie ocierała łez.

Na myśl o tym, że Lara zrozumiała go opacznie i że pozostawił ją w błędzie, z próżnymi nadziejami, doktor gotów był zawrócić i popędzić do miasta, żeby wyjaśnić niedomówienia, a przede wszystkim, aby się z nią pożegnać dużo goręcej i czulej, tak jak powinno wyglądać prawdziwe pożegnanie na całe życie, na zawsze. Z trudem się przemógł i jechał dalej.

W miarę jak zniżało się słońce, las wypełniał chłód i ciemność. Zapachniało wilgotnymi liśćmi rozgrzanej łąziebnej miotełki, niczym w przedsionku łaźni. W powietrzu, niby sbbławiki na wodzie, wisiały nieruchomo roje komarów, brzęczących cienko i unisono, na jednej nucie. Jurij Andriejewicz rozgniałał ich całe mnóstwo na czole i szyi, z dźwięcznymi klepnięciami dłoni po spoconym ciele zdumiewająco harmonizowały inne dźwięki towarzyszące jeździe wierzchem: skrzypienie popręgów, ciężkie zamaszyste uderzenia kopyt na odlew po cmokającym błocie i suche, trzaskające salwy końskich wiatrów. Nagle w oddali, tam gdzie zachodziło słońce, zakląskał słowik.

„Ocknij się! Ocknij się!” – wołał i namawiał, i brzmiało to zupełnie jak na Wielkanoc: „Duszo moja! Duszo moja! Wstań, która śpisz!”

Nagle olśniła Żywagę prosta myśl. Po co się spieszyć? Nie złamie słowa, które dał samemu sobie. Wyzna swe winy. Ale gdzie jest powiedziane, że ma się to stać dzisiaj? Tonia jeszcze o niczym nie wie. Jeszcze nie jest za późno, by odłożyć wyjaśnienia do następnego razu. On tymczasem jeszcze raz pojedzie do miasta. Rozmowę z Larą trzeba doprowadzić do końca, z całą głębią i szczerością, okupującą wszystkie cierpienia. O, jak to dobrze! I jakie to dziwne, że wcześniej o tym nie pomyślał!

Na myśl, że jeszcze raz zobaczy Larę, Jurij Andriejewicz o mało nie oszalał z radości. Serce zaczęło mu walić. Znow miał przedsmak cudownych przeżyć.

Bierwionowe podmiejskie domki, drewniane chodniki. Idzie do niej. Zaraz, w Nowoswałocznym, skończy się pustkowie i drewniana część miasta, zacznie się murowana. Domki przedmieścia migają, przemykają obok jak stronicie szybko kartkowanej książki, nie tak, jak kiedy się je odwraca wskazującym palcem, ale tak, jak kiedy naciska się je opuszką kciuka i z trzaskiem puszcza. Aż dech zapiera! Ona mieszka o tam, w tamtym końcu. Pod białym prześwitem roz pogodzonego pod wieczór deszczowego nieba. Jakże on kocha te znajome domki na drodze do niej! Miałby ochotę pochwyć je z ziemi na ręce i wycalować! A te jednookie facjatki, nasadzone na bakier na dachy! Jagódki odbitych w kałużach świateł i latarni! Pod tym białym pasmem deszczowego ulicznego nieba. Tam znowu otrzyma w darze z rąk Stwórcy to boskie dzieło, ten biały czar. Drzwi otworzy otulona w coś ciemnego postać. I obietnica jej bliskości, powściągliwej, chłodnej jak jasna północna noc, niczyjej, do nikogo nie należącej, podpływnie naprzeciw niby pierwsza fala morza, do którego podbiega się w ciemności piaszczystym brzegiem.

Jurij Andriejewicz rzucił wodze, pochylił się w siodle, objął konia za szyję i wtulił twarz w jego grzywę. Koń zrozumiał tę pieszczotę jako wezwanie do szybszego biegu i ruszył w skok.

W płynnym galopie, w przerwach pomiędzy rzadkimi, prawie niedostrzegalnymi zetknięciami konia z ziemią, która wciąż odrywała się od kopyt i ulatywała do tyłu, Jurij Andriejewicz oprócz uderzeń serca, rozkołysanego z radości, słyszał jeszcze jakieś krzyki, które, jak sądził, tylko mu się majaczą.

Ogłuszył go bliski wystrzał. Doktor podniósł głowę, chwycił cugle i skrócił je. Rozpędzony koń rozkraczył się, zrobił kilka skoków w bok, cofnął się i jął przysiadac na zadzie, zamierzając stanac dęba.

Droga przed doktorem rozwidlała się. Tuż obok w promieniach zachodu gorzał szylid „Moreau i Wietczynkin. Siewniki. Młockarnie”. Droge tarasowali trzej uzbrojeni jeźdźcy. Uczeń szkoły realnej w mundurowej czapce i kamizeli przepasanej na krzyż taśmami nabożów, kawalerzysta w oficerskim płaszczu i barankowej czapce i dziwny, wyglądający jak maskaradowy przebieraniec grubas w pikowanych portkach, waciaku i nisko nasuniętym popim kapeluszu o szerokim rondzie.

- Ani kroku, doktorze – równym, spokojnym głosem powiedział najstarszy ranga – kawalerzysta w barankowej czapce. – Jeżeli będziecie posłuszni, gwarantujemy całkowite bezpieczeństwo. W przeciwnym wypadku, proszę się nie gniewać, ale zastrzelimy. Zabito nam w oddziale felczera. Mobilizujemy was przymusowo jako lekarza. Zsiądźcie z konia i przekażcie cugle mojemu młodemu towarzyszowi. Przypominam. W razie najmniejszej próby ucieczki nie będziemy się patyczkować.
- Pan jest synem Mikulicyna? Liboriusz, towarzysz Lesnych?
 - Nie, jestem jego szefem łączności, nazywam się Kamiennodworski.

Część dziesiąta

Na wielkim trakcie

1

Ciągnęły się tu miasta, wsie, zajazdy. Miasto Kriestowozdwiżensk, stacja Omielczyno, Pażyńsk, Tysiackie, przysiółek Jaglińskie, Słoboda Zwonarska, zajazd Wolne, Gurtowszczyki, Trzebież Kieżemska, stacja Kaziejewo, słoboda Kutiejny Posad, wioska Mały Jermołaj.

Pomiędzy nimi przebiegał stary, najstarszy na Syberii, odwieczny pocztowy trakt. Przekrawał miasta na pół niby bochenki chleba nożem głównej ulicy, przez wsie śmigał nie oglądając się, odrzucając daleko za siebie stojące szpalery chat lub wyginając je w łuk czy haczyk nagłym zakrętem.

W odległej przeszłości, zanim jeszcze przeprowadzono kolej przez Chodatskie, po trakcie mknęły pocztowe trojki. W jedną stronę wlokły się tabory z herbatą, zbożem i żelazem z tutejszych hut, w drugą pędzono etapem pod strażą piesze partie aresztantów, Szli w nogę, jednocześnie podzwaniając łańcuchami, straceńcy, szalone pałki, straszni jak błyskawice niebieskie. I wokół szumiały lasy, ciemne, nieprzebyte.

Trakt żył niby jedna rodzina. Znały się jak bliscy krewni miasta z miastami, wioski z wioskami. W Chodatskiem, na przecięciu traktu z koleją żelazną, były warsztaty remontu parowozów, zakłady mechaniczne pracujące dla potrzeb kolei, klepała biedę stłoczona w koszarach hołota, chorowała, marła. Zesłańcy polityczni z wykształceniem technicznym po odbyciu katorgi zostawali tu na osiedleniu jako majstrowie.

Wzdłuż całej tej linii dawno już obalono pierwsze Sowiety. Przez jakiś czas utrzymywał się tu syberyjski Rząd Tymczasowy, a teraz władzę nad całą prowincją objął najwyższy rządca Kołczak.

2

Na jednym z odcinków trakt długo wspinał się pod górę. Otwierał się stąd coraz szerszy widok. Zdawało się, że wznoszeniu się terenu i rozszerzaniu widnokągu nie będzie końca. I kiedy ludzie i konie zatrzymywali się zmęczeni dla nabrania tchu, wzniesienie się kończyło. Przed nimi pod most rzucała się z góry bystra rzeka Kieżma.

Za rzeką na jeszcze większej stromiźnie ukazywały się ceglane mury klasztoru Wozdwiżeńskiego. Droga obiegała dołem klasztorne wzgórze i kilkoma zakolami wśród podmiejskich zagród przemykała się do środka miasta. Tam jeszcze raz przecinała skraj klasztornych posiadłości na głównym placu, na który wychodziły

pomalowane na zielono żelazne klasztorne wrota, na łuku bramy wisiała ikona obramowana półkolistym napisem: „Raduj się, życie niosący krzyżu, niezachwiane jest zwycięstwo wiary”.

Był koniec zimy, Wielki Tydzień, koniec wielkiego postu. Śnieg na drogach czerniał, zaczynał topnieć, a na dachach był jeszcze biały i nawisał grubymi wysokimi czapami.

Chłopcom, którzy odwiedzali dzwonników na dzwonnicy Wozdwiżeńskiej, domy w dole wydawały się podobne do zsuniętych na kupkę małych szkatulek i szafeczek. Wokół domów snuły się małe jak kropeczki czarne ludziki. Niektóre można było rozpoznać po ruchach. Przechodnie czytali rozlepiony na murze rozkaz najwyższego rządcy o mobilizacji trzech kolejnych roczników.

3

Noc przyniosła wiele niespodzianek. Zrobiło się niezwykle ciepło, jak na tak wczesną porę roku, Drobnymi perełkami siał deszcz, tak ulotny, że zdawał się nie docierać do ziemi, lecz mgiełką wodnego pyłu rozpląwać się w powietrzu. Ale było to tylko złudzenie. Ciepłej, ciurkającej strumykami wody było dostatecznie dużo, by zmyć do czysta śnieg z ziemi, która teraz była cała czarna i lśniąca jak od potu.

Karłowate jabłonie, całe w pączkach, niepojętym sposobem zwieszały gałęzie przez płoty na ulicę. Po drewnianych chodnikach bębniły spadające z gałęzi krople. Ich nierytmiczny werbel rozlegał się po całym mieście.

Na podwórzu fotografa od samego rana czekał i skomlał uwiązany na łańcuchu szczeniak Tomik i, rozdrażniona chyba jego szczekaniem, krakała na całe miasto wrona w sadzie Gałuzinów.

Do kupca Lubieznowa w dolnej części miasta przewieziono trzy furmanki z ładunkiem. Kupiec odmawiał przyjęcia transportu, twierdząc, że to pomyłka i że nigdy takiego towaru nie zamawiał. Dziarscy woźnicy z uwagi na późną porę wpraszali się do niego na nocleg. Kupiec wymyślał, przeganiał ich i nie otwierał bramy. Ich kłótnie również było słychać w całym mieście.

O godzinie siódmej czasu cerkiewnego, czyli zgodnie ze zwykłą rachubą czasu o pierwszej w nocy, poruszył się lekko najcięższy dzwon cerkwi Wozdwiżeńskiej i popłynęła zeń, mieszając się z ciemną wilgocią deszczu, fala cichego, mrocznego i słodkiego dudnienia. Odbiła się od dzwonu jak zmyta powodzią bryła ziemi, kiedy odrywa się od brzegu i tonie, rozpuszcza się w rzece.

Była to noc ze środy na Wielki Czwartek, dzień Dwunastu Ewangelii. W głębi, za ażurową zasłoną deszczu, poruszyły się i popłynęły ledwie widoczne światełka i oświetlone nimi czoła, nosy, twarze. Wierni szli na jutrznię.

Po kwadransie na chodniku od strony klasztoru rozległy się czyjeś kroki. To sklepikarka Gałuzina wracała do domu z dopiero co rozpoczętej jutrzni. Szła nierówno, to podbiegając, to zatrzymując się, w narzuconej na głowę chustce i rozpiętym futrze. Zrobiło jej się słabo w zaduchu cerkwi i wyszła na powietrze, a

teraz było jej wstyd i żałowała, że nie została na nabożeństwie i już drugi rok nie przystępuje do komunii. Nie to jednak było przyczyną jej smutku. Zmartwiło ją rozklejone wszędzie obwieszczenie o mobilizacji, która objęła jej nieszczęsnego głuptaska, syna Tierieszę. Odpędzała tę myśl, ale przypominały jej o tym bielejące w ciemności plakaty.

Dom był tuż-tuż, za rogiem, ale na dworze czuła się lepiej. Chciała pobyc trochę na powietrzu, nie miała ochoty wracać do dusznego mieszkania.

Ogarnęły ją smutne myśli. Gdyby zechciała wypowiedzieć je głośno, wszystkie po kolei, nie starczyłoby jej słów i czasu do samego świtu. Ale tu, na ulicy, niewesołe refleksje nadlatywały całymi stadami i mogła się z nimi rozprawić w parę minut, przemierzając dwa, trzy razy drogę od klasztoru do placu.

Święta za pasem, a w domu ani żywej duszy, wszyscy się rozjechali, zostawili ją samą. A co, może nie samą? Oczywiście, że samą. Wychowanka Ksiusza się nie liczy. Zresztą, cóż Ksiusza? Cudza dusza to zupełnie niewiadoma. Może jest przyjacielem, może wrogiem, może ukrytą rywalką? Jest pasierbicą męża, Własa, z jego pierwszego małżeństwa. A może nie pasierbicą, ale nieślubną córką? A może wcale nie jest córką, tylko zupełnie kimś innym? Czy można zgłębić duszę mężczyzny? Chociaż właściwie nic złego nie można o tej dziewczynie powiedzieć. Mądra, ładna, wzorowa. O wiele mądrzejsza od głupego Tierieszki i od swego ojczyma.

No i oto tuż przed świętami wszyscy oni ją opuścili, rozlecieli się tu i tam.

Mąż Własuska wyruszył na trakt wygłaszać mowy do nowozaciężnych, zachęcać ich do orężnego czynu. A lepiej by się, dureń jeden, o rodzonygo syna zatroszczył, wyratował go ze śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Syn Tierieszka też nie wytrzymał, uciekł z domu przed samymi świętami. Pojechał do krewnych do Kutiejnego Posadu rozerwać się, pocieszyć w zmartwieniu. Wyrzucili biedaczka ze szkoły realnej. Zimował w tyłu klasach po dwa lata i dobrze, a z ósmej go bez litości wypędzili.

Ach, co za zmartwienie! Mój Boże! Zrobiło się tak źle, że wprost ręce opadają. I wszystko z rąk leci, żyć się nie chce! Czemu tak się stało? Czy dlatego, że jest rewolucja. Ach nie, nie! To wszystko przez wojnę. Wybili na wojnie sam kwiat mężczyzn i zostały tylko nędzne wyskrobki.

Czy tak było w rodzinnym domu? Ojciec był dostawcą, niepijący, piśmienny, w domu dobrobyt. I dwie siostry, Pola i Ola. Były do siebie podobne tak jak ich imiona, śliczne, jedna w drugą. I przychodzili do ojca majstrowie ciesielscy, postawni, przystojni, elegancy. Albo znowu dla kaprysu – biedy przecież w domu nie było – postanowiły robić na drutach sześciokolorowe szaliki. I cóż, okazały się takimi mistrzyniami, że szaliki słynęły w całym powiecie. Zresztą wszystko wtedy cieszyło dostatkiem i urodą – nabożeństwa w cerkwi, tańce, ludzie, obyczaj, choć przecież rodzina wywodziła się z prostego ludu, z chłopów i robotników. I Rosja też była wtedy jak panna na wydaniu, miała prawdziwych wielbicieli, prawdziwych obrońców, nie to co dzisiejsi. A teraz złuszczyła się ze wszystkiego pozłota, i tylko motłoch adwokacki i żydowski dzień i noc przeżuwa słowa, dławi się nimi. Własuska i jego kompani próbują szampanem i dobrymi chęciami przywabić na

nowo stare złote czasy, ale czyż w ten sposób można odzyskać utraconą miłość? Kamienie trzeba tłuc na drodze, by ją zdobyć, góry przenosić, ziemię ryć!

4

Gałuzina już kilka razy dochodziła do targowego placu Kriestowozdwiżeńska. Stąd na lewo prowadziła droga do jej domu. Za każdym razem jednak rozmyślała się, zawracała i znów zagłębiała się w przylegające do klasztoru zaułki.

Plac targowy miał rozmiary wielkiego pola. Dawniej w dni targowe chłopci zastawiali go całkowicie swymi wozami. Jednym końcem plac dochodził do wylotu Jelenińskiej, drugą stronę otaczały krzywym łukiem niewielkie parterowe lub jednopiętrowe domy. We wszystkich mieściły się spichrze, kantory, sklepiki i warsztaty rzemieślnicze.

W spokojnych czasach siadywał tu z gazetą, na krześle ustawionym przed żelaznymi drzwiami swego sklepu, niedźwiedziowaty gbur w okularach i długim surducie, antyfeminista Briuchanow, który handlował skórami, dziegiem, kołami, uprzężą, owsem i sianem.

Tu na wystawie, w małym, mętym okienku, całymi latami pokrywało się kurzem kilka kartonowych pudełek ze ślubnymi świecami, przybranymi we wstążki i bukietki. Za okienkiem, w pustym pokoiku bez mebli i niemal bez towaru, jeśli nie liczyć kilku leżących na stosiku płatków wosku, nikomu nie znani pełnomocnicy jakiegoś nie wiadomo gdzie mieszkającego świecowego potentata zawierali idące w tysiące rubli transakcje na mastyks, wosk i świece.

Tutaj, pośrodku handlowego ciągu, znajdował się duży, trzyokienny sklep kolonialny Gałuzinów. Trzy razy dziennie zamiatano tu nie malowaną, kostropatą podłogę, posypując ją uprzednio fusami herbaty, którą subiekci i pryncypał pili bez umiaru przez cały dzień. Tu młoda pryncypałowa chętnie i często siadywała przy kasie. Jej ulubionym kolorem był lila, fiolet, kolor uroczystych szat cerkiewnych, rozkwitłego bzu, jej najlepszej aksamitnej sukni i jej kielichów do wina. Kolor szczęścia, kolor wspomnień, kolor minionych dziewczęcych lat Rosji wydawał się teraz także jasnoliliowy. I lubiła siedzieć w sklepie przy kasie, gdyż fioletowy półmrok tego pomieszczenia, pachnący krochmalem, cukrem i ciemnoniliowym karmelem ze smorodiny przypominał jej ulubioną barwę.

Tutaj na rogu, obok składu drewna, stał jednopiętrowy dom z szarej tarcicy, stary, rozsiadły na cztery strony niby zużyty rydwan. Były w nim cztery mieszkania. Prowadziło do nich dwoje drzwi po obu stronach fasady. Lewą połowę parteru zajmował skład apteczny Załkinda, prawą biuro notariusza. Nad apteką mieszkał z liczną rodziną damski krawiec Szmulowicz. Naprzeciw krawca, pod notariuszem, gnieździło się wielu lokatorów, których profesje widniały na pokrywających całe drzwi szyldzikach i tabliczkach. Tu naprawiano zegarki i obuwie. Tu mieli pracownię fotograficzną dwaj wspólnicy Żuk i Sztrodach, tu mieścił się zakład grawerski Kamińskiego.

Z uwagi na ciasnotę w zatłoczonym mieszkaniu młodzi pomocnicy fotografów, retuszer Sienia Magidson i student Błażein, urządzili sobie rodzaj laboratorium na podwórzu w komórce przy drewni. Teraz także chyba tam pracowali, sądząc po złym oku czerwonej lampy, mrugającym z okienka komórki. Właśnie pod tym okienkiem siedział na łańcuchu skomlaący na całą Jelenińską piesek Tomik.

„Stłoczyli się tu całym kahałem – pomyślała Gałuzina, mijając szary dom. – Przybytek nędzy i brudu.” Natychmiast jednak stwierdziła, że Włas Pachomowicz nie ma racji ze swoją żydofobią. Ludzie ci są zbyt drobnymi płótkami, żeby coś znaczyć w dziejach państwa. A zresztą, wystarczy zapytać starego Szmulowicza, skąd się bierze chaos i zamęt, a ten zgarbi się, wykrzywi gębę i powie szczerząc zęby: „Lejbusiowe sztuczki”.

Ach, ależ o czym, no o czym ona myśli? Czym sobie nabija głowę? Czyż o to chodzi? Czyż w tym cała bieda? Cała bieda w miastach, na nich opiera się Rosja. Zaimponowała nam inteligencją, zachciało nam się dorównać miastowym i nie daliśmy rady. Oderwali się od swojego brzegu, a do cudzego nie dobiliśmy.

A może jest odwrotnie, może całe to zło bierze się z ciemnoty? Uczony widzi wszystko na wylot, z góry przewiduje. A my jesteśmy mądrzy dopiero po szkodzie. Jak w ciemnym lesie żyjemy. Chociaż teraz i wykształconym nie lekko. Głód wygnał ich z miast. I jak się w tym połapać? Sam diabeł nie zrozumie.

No i czyż nie lepiej mają się nasi wiejscy krewniacy? Sielitwinowie, Szełaburiniowie, Pamfil Pałych, bracia Nestor i Pankrat Modychowcie? Sami są sobie panami, sami decydują. Zagrody przy trakcie nowe, oczu oderwać nie można. U każdego po piętnaście dziesięcin zasiewów, konie, owce, krowy, świnie. Zapas zboża na trzy lata. Sprzęt – palce lizać. Maszyny rolnicze. Kołczak im nadskakuje, ciągnie do siebie, komisarze namawiają do leśnego wojska. Z wojny wrócili obwieszeni krzyżami i od razu ich ciągną na instruktorów. Czy masz stopień oficerski, czy nie, jeśli znasz się na rzeczy, zawsze jesteś potrzebny. Nie zginiesz.

No, ale czas do domu. Po prostu nie wypada kobiecie tak długo spacerować. Co innego we własnym ogrodzie. Ale tam takie roztopy, że można ugrzęznąć w błocie. No, zrobiło się jakby trochę lżej.

Gałuzina zaplątała się ostatecznie w swych rozmyślaniach, zgubiła wątek i ruszyła do domu. Zanim jednak przekroczyła próg, otupując buty przed gankiem, przebiegła oczyma duszy jeszcze mnóstwo różnych rzeczy.

Przyszli jej na myśl obecni przywódcy z Chodatskiego, o których sporo wiedziała, zesłańcy polityczni ze stolic, Tiwierzini, Antipow, anarchista Wdowiczenko-Czarny Sztandar, miejscowy ślusarz Gorszenia Bieszny. Wszystko to byli ludzie nie w ciemną bici. Sporo już w swoim życiu namęcili i zdaje się, że znowu coś zamyślają, coś szykują. Nie mogą bez tego żyć. Spędzili życie przy maszynach i sami są bezlitośni i zimni jak maszyny. Chodzą w krótkich marynarkach naciągniętych na fufajki, palą papierosy w kościanych firkach i, żeby się czymś nie zarazić, piją przegotowaną wodę. Nic nie wskóra Własuszką, oni wszystko wykreją po swojemu, zawsze postawią na swoim.

Zacząła myśleć o sobie. Wiedziała, że jest ładna, nietuzinkowa, że dobrze się trzyma, że rozumna i w ogóle niezła z niej kobieta. Żadna z tych zalet nie cieszyła się uznaniem w tej prowincjonalnej dziurze, a może i nigdzie. Podejrzewała, że nieprzyzwoite kuplety o głupiej babie przezwiskiem Sientieturicha, znane na całym Zauralu, z których można było zacytować jedynie:

*Sientieturicha podwodę sprzedała,
za tę forszę bałałajkę dostała,*

a dalej już same sprośności, w Kriestowozdwizeńsku śpiewano z myślą o niej.

5

Nie zatrzymując się w przedpokoju, przeszła w futrze do swej sypialni. Okna pokoju wychodziły na ogród. Teraz, w nocy, cienie nagromadzone pod oknem wewnątrz i za oknem na zewnątrz wyglądały niemal jak lustrzane odbicia. Obwisłe okienne draperie przypominały workowato zwisające gałęzie drzew, nagich i czarnych, o niewyraźnych zarysach. Połyskliwą jak tafta ciemność zimowej nocy rozgrzewał przebijający spod ziemi w sadzie czarnoliliowy żar nadchodzącej wiosny. W pokoju mniej więcej tak samo oddziaływały na siebie dwa pokrewne pierwiastki – zaduch zakurzonych, źle wytrzepanych kotar łagodziło i upiększało ciemnofioletowe jarzenie nadchodzącego święta.

Bogurodzica na ikonie wysuwała ze srebrnej koszulki wąskie, zwrócone ku górze, smagłe dłonie. W każdej dłoni trzymała dwie greckie litery, pierwszą i ostatnią, swej bizantyjskiej nazwy: Mater Theou. Obsadzona w złotej podstawce ciemna jak kałamarnicza lampa z granatowego szkła rozsiewała po dywanie migotliwe gwiazdziste blaski.

Zrzucając chustkę Gałuzina odwróciła się niezręcznie i znów poczuła kolnięcie w boku i ucisk pod łopatką. Krzyknęła z przestrochu i jęła mamrotać szybko: „Pocieszycielko strapionych, Matko najczystsza, Matko nieustającej pomocy, Opiekunko” – i rozplakała się. Kiedy ból ucichł, zaczęła się rozbierać. Haftki na karku przy kołnierzyku i na plecach sukni wyslizgiwały jej się z palców i chowały w zakładkach popielatej tkaniny. Odnajdywała je z trudem.

Do pokoju weszła zbudzona jej przyjściem Ksiusza.

– Czemu mama siedzi tak po ciemku? Przyniosę lampę, dobrze?

– Nie trzeba. I tak widać.

– Mateczko, Olgo Niłowno, proszę pozwolić, ja rozepnę. Nie trzeba się wysilać.

– Palce odmawiają posłuszeństwa, rozpacz. Że też ten krawiec nie potrafi przyszyć haftek po ludzku, ślepa kura. Warto by spruć wszystko i rzucić mu w gębę.

– Pięknie śpiewali w cerkwi. Noc taka cicha, że aż tu dolatywało.

– Tak, ładnie. Ale ja się źle czuję, moja droga. Znowu klucie, tu i tu. Wszędzie. Za jakie grzechy? Nie wiem, co robić.

– Homeopata Stydowski zawsze mamie pomagał.

– Jego rady zawsze były nie do zastosowania. To konował ten twój homeopata. Do niczego. To po pierwsze. A po drugie wyjechał. Wyjechał, wyjechał. Zresztą nie tylko on. Wszyscy przed świętami wynieśli się z miasta. Jakby się spodziewali trzęsienia ziemi.

– Ale ten węgierski doktor, co jest w niewoli, dobrze mamie radził.

– Znowu pleciesz bzdury. Mówię ci, nikogo nie ma, wszyscy się rozleźli. Lajos Kerenyi razem z innymi Madziarami jest teraz za linią demarkacyjną. Wzięli biedaczka do służby w Armii Czerwonej.

– Ale przecież mamie się to wszystko tylko wydaje. To nerwica serca. W takim wypadku zwykła sugestia czyni cuda. Pamięta mama tę żołnierkę-znachorkę, jak świetnie zamawiała mamy chorobę? Jak ręką odjął. Zapomniałam, jak ona się nazywa, ta żołnierka, jak jej na imię.

– No nie, ty naprawdę uważasz mnie za ciemną babę. Pewnie śpiewasz Sientieturichę za moimi plecami.

– Na miłość boską! Grzeszy mama! Niech lepiej sobie mama przypomni, jak się nazywa ta żołnierka. Mam to na końcu języka. Nie uspokoję się, dopóki sobie nie przypomnę.

– Ma więcej imion niż kiecek. Wiem, o które ci chodzi. Nazywają ją i Kubaricha, i Miedwiedicha, i Złydaricha. I ma jeszcze z dziesięć innych przezwisk. Jej też tutaj nie ma. Skończyły się gościnne występy i szukaj wiatru w polu. Zamknęli służebnicę bożą w kieżemskim więzieniu. Za usunięcie płodu i jakieś proszki. A ta, proszę cię, zamiast jęczeć w lochu, dała drapaka gdzieś na Daleki Wschód. Mówię ci przecież, że wszyscy puciekali. Włas Pachomycz, Tieriesza, ciocia Pola-złote-serduszko. Nie żartuję, z uczciwych kobiet zostałyśmy w całym mieście tylko my, dwie idiotki. I żadnej pomocy lekarskiej. Jak się co stanie, to koniec, nikogo się nie doprosisz. Słyszałam, że w Juriatinie jest jakaś znakomitość z Moskwy, profesor, syn samobójcy, kupca syberyjskiego. Zanim się namyśliłam, żeby go wezwać, ponastawiali na drodze dwadzieścia czerwonych kordonów. Mysz się nie prześliznie. Ale dość o tym. Idź spać, ja też się położę. Zawraca ci w głowie ten student Błażein. Nie zapieraj się. I tak się nie wykręcisz, spiekłaś raka. Pracuje ten twój nieszczęsny student nad zdjęciami w świętą noc, wywołuje i odbija moje zdjęcia. Sam nie śpi i innym spać nie daje. Tomik ujada tam u nich na całe miasto. I wrona, ścierwo, rozkrakała się u nas na jabłoni, widzę, że znów nie zasnę przez całą noc. A ty czego się właściwie dąsasz, panno obrażalska? Po to są studenci, żeby się podobać dziewczętom.

6

– Czego ten kundel się tak wydziera? Trzeba zobaczyć, co się dzieje. Przecież nie szczeka bez powodu. Zaczekaj, Lidoczka, pies cię drapał, zamknij się na chwilę. Trzeba zbadać sytuację. Jeszcze nie daj Boże esauły tu wpadną. Nie wychodź, Ustin. I ty zostań, Siwobluj. Obejdzcie się bez was.

Przedstawiciel centrali, nie słysząc próśb, by zaczekał i przestał mówić, kontynuował pospiesznie, znużonym głosem:

– Syberyjskie władze burżuazyjno-wojskowe swą polityką grabieży, podatków, gwałtów, rozstrzeliwań i tortur powinny otworzyć oczy błądzącym. Są wrogo nastawione nie tylko do klasy robotniczej, ale właściwie do całego pracującego chłopstwa. Chłopstwo Syberii i Uralu powinno zrozumieć, że tylko w sojuszu z proletariatem miejskim i żołnierzami, w sojuszu z biedotą kirgiską i buriacką...

Wreszcie dosłyszał, że mu przerywają, umilkł, otarł chustką spoconą twarz, opuścił ze znużeniem opuchnięte powieki, zamknął oczy.

Stojący w pobliżu doradzali półgłosem:

– Odpocznij krzyneń. Napij się wody.

Zaniepokojonemu partyzanckiemu przywódcy zameldowano:

– Czego się denerwujesz? Wszystko w porządku. Lampka sygnałowa na oknie. Mówiąc obrazowo, punkt obserwacyjny pożera oczami okolicę. Uważam, że można kontynuować prelekcję. Mówcie, towarzyszu Lidoczka.

Ze środka dużej szopy usunięto drzewo. Odbywało się tu nielegalne zebranie. Jako parawan służył sięgający do sufitu sąg drzewa, który oddzielał opróżnioną połowę szopy od przybudówki i wejścia. Na wypadek niebezpieczeństwa przygotowano zejście pod podłogę i wyjście piwnicami na tyły ślepej uliczki Konstantynowskiej za murami klasztoru.

Prelegent, w czarnej płócienniej mycce przykrywającej całą łysinę, z matową jasnooliwkową twarzą i czarną brodą aż do uszu, cierpiał na nerwową potliwość i co chwila oblewał się potem. Chciwie zapalał okurek papierosa od strumienia gorącego powietrza ze stojącej na stole lampy naftowej i pochylał się nisko nad rozrzuconymi na blacie papierami. Przebiegał je z nerwowym pośpiechem krótkowzrocznymi oczkami, jak gdyby obwąchując, i ciągnął bezbarwnym, zmęczonym głosem:

– Ów sojusz biedoty miejskiej i wiejskiej można zrealizować tylko poprzez sowiety. Chcąc nie chcąc, chłopstwo syberyjskie będzie teraz dążyć do tego samego, o co już od dawna walczy syberyjski robotnik. Wspólnym zaś ich celem jest obalenie znienawidzonego przez lud samowładztwa admirałów i atamanów i ustanowienie władzy sowietów chłopskich i żołnierskich drogą powszechnego ludowego powstania zbrojnego. Z uzbrojonymi po zęby oficersko-kozackimi najemnikami burżuazji powstańcy będą musieli prowadzić regularną frontową wojnę, uporczywą i długotrwałą.

Znowu przerwał, otarł pot, zamknął oczy. Ktoś wbrew regulaminowi wstał i podniósł rękę, chcąc dorzucić jakąś uwagę.

Przywódcą partyzantów, a ściślej dowódcą okręgu kieżemskiego zauralskiej partyzantki, siedział pod samym nosem prelegenta w wyzywająco niedbałej pozie i przerywał mu grubiańsko, bez żadnego szacunku. Nie chciało się wierzyć, by taki młody człowiek, niemal chłopiec, dowodził całymi armiami i związkami taktycznymi, by go słuchano i bano się. Siedział, otulając ręce i nogi połami kawalerskiego płaszcza. Górna część płaszcza i rękawy, przerzucone przez oparcie

krzesła, odsłaniały tors w wojskowej bluzie ze śladami sprutych pagonów podchorążego.

Po obu jego stronach stali dwaj milczący junacy z ochrony, jego rówieśnicy, w białych poszarzałych już baranich kurtkach z kędzierzawą karakułową obszywką. Ich przystojne kamienne twarze nie wyrażały nic prócz ślepego oddania przywódcy i gotowości na wszystko, czego od nich zażąda. Nie interesowali się zebraniem, poruszonymi na nim problemami, przebiegiem dyskusji, nic nie mówili i nie uśmiechali się.

Oprócz nich w szopie było jeszcze dziesięć czy piętnaście osób. Jedni stali, inni siedzieli na podłodze z nogami wyciągniętymi na całą długość albo zgiętymi w kolanach, oparci o ścianę z okrągłych belek, uszczelnionych mchem.

Dla gości honorowych ustawiono krzesła. Siedzieli na nich trzej czy czterej robotnicy, starzy uczestnicy pierwszej rewolucji. Był wśród nich posepny, bardzo zmieniony Tiwierzin i zawsze mu potakujący jego przyjaciel, stary Antipow. Zaliczono ich do kategorii niemal bogów, którym rewolucja złożyła u stóp wszystkie swe dary i ofiary. Siedzieli w milczeniu jak surowe posągi, z których pycha wytrawiła wszystko, co żywe, ludzkie.

Były też w szopie inne postacie, zasługujące na uwagę. Ani przez chwilę nie pozostając w spokoju, wstawał z podłogi i siadał z powrotem, przechadzał się i przystawał pośrodku szopy filar rosyjskiego anarchizmu, Wdowiczenko Czarny Sztandar, otyły olbrzym z wielką głową, wielkimi ustami i lwią grzywą, oficer z czasów jeśli nie ostatniej wojny, rosyjsko-tureckiej, to w każdym razie – rosyjsko-japońskiej, marzyciel, wiecznie zatopiony w swych mrzonkach.

Z powodu niezmiernej dobroduszości i olbrzymiego wzrostu, który przesłaniał mu zjawiska mniejszych rozmiarów, słuchał bez należytej uwagi, i rozumiejąc wszystko na opak, brał opinie przeciwne za swoje własne i ze wszystkim się zgadzał.

Obok niego siedział na podłodze jego znajomy, leśny myśliwy i łowca zwierząt Swirid. Swirid nie uprawiał co prawda roli, ale jego chłopskość przeglądała przez wycięcie czarnej sukiennej rubachy, którą zbierał w garść wraz z wiszącym na szyi krzyżykiem i drapał się nią po piersiach. Był to pół krwi Buriat, serdeczny i prostoduszny, z włosami splecionymi w cienkie warkoczyki, rzadkimi wąsami i jeszcze rzadszą bródką, składającą się z kilku kosmyków. Mongolskie rysy postarzały jego twarz, która co chwila marszczyła się w życzliwym uśmiechu.

Prelegent, objeżdżający Syberię z instrukcją wojenną Komitetu Centralnego, bujał myślami w obszarach, które dopiero miał poznać. Większość obecnych na zebraniu osób traktował obojętnie, ale jako rewolucjonista i miłośnik ludu od wczesnej młodości, z uwielbieniem spoglądał na siedzącego naprzeciw młodego dowódcę. Nie tylko wybaczał młodzieńcowi wszystkie jego grubiaństwa, które zdawały mu się głosem rdzennej rewolucyjności, ale wręcz z zachwytem przyjmował jego nonszalanckie wyskoki; tak się czasem podoba zakochanej kobiecie bezceremonialność wybranka.

Wodzem partyzantów był syn Mikulicyna Liberiusz, prelegentem z centrali – były spółdzielca, sympatyzujący w przeszłości z socjalistami, Kostojed-Amurski. W

ostatnich czasach zrewidował swe poglądy, w kilku obszernych elaboratach złożył samokrytykę i nie tylko został przyjęty do partii komunistycznej, ale wkrótce po przyjęciu skierowany do takiej właśnie odpowiedzialnej pracy.

Pracę tę, choć bynajmniej nie był wojskowym, powierzono mu w uznaniu jego rewolucyjnego stażu, jego więziennej tułaczki oraz w przekonaniu, że jako były spółdzielca powinien dobrze znać nastroje mas na objętej powstaniem zachodniej Syberii. W tym zaś wypadku ta domniemana wiedza była ważniejsza niż doświadczenie wojskowe.

Wolta przekonań politycznych zmieniła Kostojeda nie do poznania. Zmieniła jego wygląd zewnętrzny, gesty, sposób bycia. Nikt nie pamiętał, by dawny Kostojed był kiedyś łysy i brodaty. Ale może to było przebranie? Partia zaleciła mu ścisłą konspirację. Używał pseudonimów Bieriendiej i towarzysz Lidoczka.

Kiedy ucichł gwar, wywołany niewczesnym oświadczeniem Wdowiczenki, że zgadza się z odczytanymi punktami instrukcji, Kostojed podjął:

– W celu możliwie najpełniejszego pokierowania rozrastającym się ruchem mas chłopskich należy niezwłocznie nawiązać łączność ze wszystkimi oddziałami partyzanckimi, znajdującymi się w rejonie komitetu gubernialnego.

Następnie zaczął mówić o ustaleniu punktów kontaktowych, haseł, szyfrów i sposobów łączności. Potem znów przeszedł do szczegółów:

– Zawiadomić oddziały, w jakich punktach znajdują się magazyny broni, umundurowania i żywności, należące do białych instytucji i organizacji, gdzie są przechowywane środki pieniężne i jaki jest system ich ochrony.

Należy dokładnie, ze wszystkimi szczegółami, rozpracować sprawę organizacji oddziałów, dowódców, dyscypliny wojskowej, konspiracji, łączności oddziałów ze światem zewnętrznym, stosunku do miejscowej ludności, wojenno-rewolucyjnego sądu polowego, taktyki dywersji na terytorium przeciwnika, a mianowicie niszczenia mostów, linii kolejowych, statków, barek, stacji, warsztatów, ich wyposażenia technicznego, telegrafu, kopalń, środków żywności.

Liberiusz w końcu nie wytrzymał. Wszystko to wydawało mu się dyletanckim bełkotem, nie mającym nic wspólnego ze sprawą.

– Wspaniały wykład – powiedział. – Wezmę to pod uwagę. Zdaje się, że wszystko, to trzeba przyjąć bez zastrzeżeń, żeby nie utracić poparcia Armii Czerwonej.

– Oczywiście.

– I co mam robić, moja śliczna Lidoczko, z twoją szkolną ściągaczką, skoro, pies cię drapał, moje siły w składzie trzech pułków, w tym artylerii i konnicy, już dawno są w marszu i wspaniale biją przeciwnika?

„Coś wspaniałego! Co za siła!” – myślał Kostojed.

Rozmowę przerwał Tiwierzin. Nie pochwalał lekceważącego tonu Liberiusza.

– Przepraszam, towarzyszu prelegencie – odezwał się. – Nie jestem pewien, czy prawidłowo zapisałem jeden punkt z instrukcji. Odczytam go. Chciałbym się upewnić: „Bardzo pożądana jest obecność w komitecie starych frontowców, którzy w czasie rewolucji byli na froncie i należeli do organizacji żołnierskich. Jest pożądaną,

aby w skład komitetu weszli jeden lub dwóch podoficerów i technik wojskowy.”
Towarzyszu Kostojed, czy to jest zapisane prawidłowo?

– Tak. Słowo w słowo. W porządku.

– W takim razie pozwólcie, że zrobię jedną uwagę. Niepokoi mnie ten punkt o specjalistach wojskowych. My, robotnicy, uczestnicy rewolucji dziewięćset piątego roku, nie ufamy wojskowym. Zawsze kiedyś wylezie z nich kontrrewolucja.

Dokoła rozległy się głosy:

– Dostyc tego! Rezolucja! Rezolucja! Czas się już rozejść. Jest późno.

– Podzielałam zdanie większości – wtrącił grzmiącym basem Wdowiczenko. – Mówiąc językiem poetyckim, chodzi o to, że instytucje polityczne powinny wyrastać z dołu, na zasadach demokratycznych, jak zasadzone w ziemi flance. Nie wolno ich wbijać z góry, jak słupy ogrodzenia. Na tym polegał błąd dyktatury jakobińskiej, i dlatego Konwent został zmiążdżony przez termidorczyków.

– To jasne jak słońce – poparł towarzysza tułaczki Swirid. – To zrozumie nawet małe dziecko. Trzeba było wcześniej pomyśleć, teraz już za późno. Teraz musimy walczyć i przeć do przodu, żeby tam nie wiem co. No bo jak to wygląda – zamachnęliśmy się i w nogi? Skorośmy nawarzyli piwa, to musimy je wypić. Skorośmy sami wleźli w wodę, to nie krzyczymy, że toniemy.

– Rezolucja! Rezolucja! – domagano się ze wszystkich stron. Dyskutowano jeszcze trochę, coraz bardziej bez sensu, trzy po trzy, i o świcie zamknięto zebranie. Dla ostrożności rozchodzili się pojedynczo.

7

Było na trakcie pewne malownicze miejsce. Leżące na stromym stoku i rozdzielone bystrą rzeczką Pażynką dotykały się niemal: wieś Kutiejny Posad w górnej części zbocza i osada Mały Jermołaj poniżej. W Kutiejnym żegnano świeżo zmobilizowanych poborowych, a w Małym Jermołaju, pod przewodnictwem pułkownika Strese, zasiadała jeszcze jedna komisja poborowa, która po wielkanocnej przerwie znowu badała rekrutów z Małego Jermołaja i kilku sąsiednich gmin. Z tego powodu we wsi znajdowała się policja konna i kozacy.

Trzeci już dzień, nietypowo zarówno na późną Wielkanoc, jak i na wczesną wiosnę, było ciepło i pogodnie. Stoły z poczęstunkiem dla rekrutów stały w Kutiejnym Posadzie na dworze, pod gołym niebem, na poboczu traktu, by nie tamować ruchu. Zestawiono je niezbyt równo – niby długa, wygięta kiszka ciągnęły się pod białymi obrusami, które zwisały aż do ziemi.

Przyjęcie dla poborowych było składkowe. Podstawę poczęstunku stanowiły resztki z wielkanocnego stołu, dwie wędzone szynki, kilka bab, dwa, trzy serniki. Na całej długości stołu stały miski z solonymi grzybami, ogórkami i kiszoną kapustą, talerze grubo pokrajanego wiejskiego chleba, szerokie półmiski z kraszankami, ułożonymi w wysokie stosiki. Przeważały tu kolory różowy i niebieski.

Na trawie obok stołów walały się skorupy niebieskie, różowe i od wewnętrznej strony białe. Niebieskie i różowe były widoczne spod marynarek koszule chłopców,

niebieskie i różowe – suknie dziewcząt. Niebieskie było niebo. Różowe – obłoki, płynące w górze tak powoli i równo, jak gdyby niebo płynęło wraz z nimi.

Różowego koloru była przepasana plecionym jedwabnym pasem koszula Włosa Pachomowicza Gałuzina, który właśnie, drobno stukając obcasami wysokich butów i wyrzucając nogi na prawo i lewo, zbiegł z wysokich schodków ganku Pafnutkinów w stronę stołów – dom stał nad stołami, na górze – i zaczął:

– Tą szklanicą rodzimego samogonu spełniam zamiast szampana za wasze zdrowie, chłopcy. Chwała wam i żyjcie długie lata, młodzieńcy! Panowie poborowi! Pragnę wam pogratulować jeszcze z wielu innych powodów i okoliczności. Proszę o uwagę. Rozpościera się przed wami długa droga, droga krzyżowa, na której będziecie nadstawiać pierś w obronie ojczyzny przed gwałcicielami, co zalali ojczyste pola bratobójczą krwią. Naród pragnął bez rozlewu krwi ocenić zdobycze rewolucji, ale ponieważ partia bolszewików okazała się służalcami zagranicznego kapitału, Zgromadzenie Ustawodawcze – największa nadzieja narodu – zostało rozpedzone brutalną przemocą bagnetów i krew leje się bezbronnym strumieniem. Młodzi ludzie! Wysoko nieście zhańbiony sztandar rosyjskiego oręża, tak jak my, którzy tyle zawdzięczamy naszym szlachetnym sojusznikom, okryliśmy się sromotą patrząc, jak w ślad za czerwonymi zuchwale podnoszą głowę Austria i Niemcy. Bóg jest z nami, chłopcy – mówił jeszcze Gałuzin, ale słowa jego zagłuszyły okrzyki „hura” i propozycje, by podrzucić go w górę. Podniósł szklanę do ust i zaczął miarowymi łykami pić źle oczyszczoną siwuchę. Trunek ten zupełnie mu nie smakował. Przywykł do win gronowych o bardziej wyszukanym bukiecie. Ale świadomość ofiary poniesionej dla powszechnego pożytku napęniała go głęboką satysfakcją.

– Orzeł z twego ojca, nie ma co, zdolny, bestia, do przemówień! Niech się schowa ten cały Milukow z Dumy. Jak Boga kocham – usiłując przekrzyczeć pijacki zgiełk, wychwalał mówcę płaczącym się językiem Goszka Riabych, kompan Tierientija Gałuzina i jego sąsiad przy stole. – Słowo daję, orzeł. Pewnie nie bez powodu tak się stara. Chce cię gadaniem od żołnierki wykręcić.

– Coś ty, Goszka! Wstydzilibyś się. Też wymyślił, „wykręcić”! Jak dostanę wezwanie na ten sam dzień co ty, to zobaczysz, jak wykręci. Trafimy do jednego oddziału. Wyrzucili mnie właśnie ze szkoły, dranie. Mama rozpacza, boi się, żebym nie poszedł na ochotnika, bo wtedy będę szeregowcem. A tata rzeczywiście, uroczyście przemówienie wygłasza, że mucha nie siada. Mistrz. A co najważniejsze – to u niego rzecz wrodzona. Żadnego systematycznego wykształcenia.

– Słyszałeś o Sańce Pafnutkinie?

– Słyszałem. To prawda, że się zaraził?

– Nieuleczalnie. Skończy jako tabetyk. Sam sobie winien. Uprzedzali go, nie chodź do niej. Wszystko zależy od tego, z kim się człowiek zada.

– I co z nim teraz będzie?

– Tragedia. Chciał się zastrzelić. Dzisiaj staje na komisję w Jermołaju, może go wezmą. Jak nie, to pójdę, mówi, do partyzantki. Zemszczę się za wrzody na ciele społeczeństwa.

– Słuchaj, Goszka. Mówisz, że się zaraził. Ale jak się do nich nie chodzi, to można na co innego zachorować.

– Wiem, o co ci chodzi. Widać sam to robisz. To nie choroba, ale zboczenie.

– W mordę ci dam, Goszka, za takie słowa. Jak śmiesz obrażać kolegę, łgarzu parszywy!

– Żartowałem, uspokój się. Co innego ci chciałem powiedzieć. Byłem przed świętami w Pażyńsku. Jeden przyjezdny miał tam odczyt o „wyzwoleniu osobowości”. Bardzo było ciekawe. Podoba mi się takie coś. Zapiszę się, taka wasza mać, do anarchistów. Mówił, że siła tkwi w naszym wnętrzu. Płeć, mówił, czy charakter to przejawy zwierzęcej elektryczności. Geniusz, co? Ale się schlałem! I wrzeszczą naokoło piąte przez dziesiąte, że ogłuchnąć można. Mówię ci, świński cycku, maminsynku jeden, zamknij się.

– Powiedz mi, Goszka, jeszcze jedno. Nie znam jeszcze tych wszystkich słów socjalistycznych. Na przykład sabotażysta. Co to za słowo? Co znaczy?

– Jestem wprawdzie specem od tych słów, ale mówiłem ci, Tierieszka, że jestem pijany. Sabotażysta to taki, co jest z kimś w jednej szajce. Jak ci powiedzą, że jesteś sowatażnik²⁰, to znaczy, że jesteś z tej samej watahy. Rozumiesz, jołopie.

– Tak właśnie myślałem, że to obelga. A co do siły elektrycznej, to racja. Chciałem kiedyś zamówić sobie w Petersburgu elektryczny pas z ogłoszenia. Za zaliczeniem pocztowym. Dla podniesienia aktywności. A tu nagle nowy przewrót. Nie pora na pasy.

Tierintiej nie dokończył. Krzyki pijanych głosów zagłuszył przeraźliwy huk niedalekiego wybuchu. Zgiełk przy stole na sekundę ucichł. Po chwili odezwał się znów, jeszcze głośniejszy i bardziej beładny. Część biesiadników zerwała się z miejsc. Ci, co mieli mocniejsze głowy, utrzymali się na nogach. Inni, zataczając się, próbowali odejść na bok, ale bez powodzenia – zwalili się pod stół i natychmiast usnęli. Kobiety zaczęły pisać. Zrobił się popłoch.

Włas Pachomycz rozglądał się dokoła w poszukiwaniu winnego. Początkowo myślał, że huknęło gdzieś w Kutiejnym, może nawet całkiem niedaleko, w pobliżu stołów. Wyprężył szyję, twarz mu spurpurowiała i wrzasnął na całe gardło:

– Co za Judasz wkradł się w nasze szeregi i paskudzi? Który to sukinsyn bawi się granatami? Ktokolwiek by to był, choćby mój własny syn, zaduszę gadzinę! Nie będziemy tolerować takich żartów, obywatele! Żądam zorganizowania obławy. Weźmiemy w pierścień wieś Kutiejny Posad! Złapiemy prowoka! Nie pozwolimy draniowi uciec!

Początkowo słuchano go. Potem uwagę zebranych odwrócił słup czarnego dymu, wolno wzbijający się w niebo w Małym Jermołaju. Wszyscy popędzili nad urwisko, żeby zobaczyć, co się tam dzieje.

²⁰ Nieprzetłumaczalna gra słów: sabotażysta (ros. sabotażnik) i człowiek z tej samej watahy (ros. sowatażnik). (przyp. tłum.)

Z płonącego budynku jermołajskiego zarządu gminnego wybiegło kilku rozebranych rekrutów, jeden zupełnie bosi i nagi, tylko w naciągniętych w pośpiechu portkach, i pułkownik Strese z kilkoma wojskowymi z komisji poborowej. Kozacy i milicjanci na koniach, wyciągniętych w pędzie jak wijące się żmije, miotali się w różnych kierunkach po osadzie, wymachując nahajkami. Kogoś szukali, kogoś chwyтали. Tłum ludzi biegł drogą do Kutiejnego. Z jermołajewskiej dzwonnicy doganiały ich drżące i trwożne dźwięki bijącego na alarm dzwonu.

Dalsze wydarzenia potoczyły się ze straszliwą szybkością. O zmierzchu Strese ze swymi kozakami wjechał do Kutiejnego Posadu. Otoczyli wieś posterunkami i zaczęli przeszukiwać każdy dom, każdą zagrodę.

W tym czasie połowa biesiadników była już pijana w sztok; spali kamiennym snem z głowami na stołach lub leżąc na ziemi. Kiedy się okazało, że do wsi przyjechała milicja, było już ciemno.

Kilku młodych ludzi rzuciło się do ucieczki przez opłotki; popędzając się nawzajem kopniakami i szturchańcami, wleźli pod nie dochodzący do ziemi zrąb pierwszego z brzegu spichrza. Po ciemku trudno się było połapać, czyj to spichrz, ale sądząc po zapachu ryb i nafty, była to piwnica spółdzielni spożywców.

Zbiegowie nie mieli nic na sumieniu i ucieczka była błędem z ich strony. Większość zrobiła to w pijackiej panice, bez zastanowienia. Paru z nich miało znajomości, które, jak sądzą, mogły się wydać podejrzanym i zgubić ich. Teraz przecież każda rzecz nabierała politycznego zabarwienia. Łobuzerie i chuligaństwo w strefie sowieckiej oceniano jako oznakę przynależności do czarnosecińców, w strefie białogwardyjskiej zaś swawolnicy uważani byli za bolszewików.

Okazało się, że chłopcy nie byli pod podłogą pierwsi. Przestrzeń między ziemią a podłogą spichrza była pełna ludzi. Ukrywało się tu kilka osób z Kutiejnego i kilka z Jermoła. Ci z Kutiejnego byli kompletnie pijani. Część chrapała z jęklwym poświstem, zgrzytając zębami i stękając, inni mieli mdłości i wymiotowali. Było ciemno choć oko wykol, duszno i smrodliwie. Ci, którzy wleźli ostatni, dla bezpieczeństwa zawalili otwór od środka ziemią i kamieniami. Wkrótce chrapanie i jęki pijanych całkiem ustały. Zapadła cisza. Wszyscy spokojnie spali. Tylko w jednym kącie słychać było szepty dwóch szczególnie niespokojnych: przestraszonego śmiertelnie Tierientija Gałuzina i Koški Niechwalonycha, zabijaki z Jermołaja:

– Ciszej, nie drzyj się, sukinsynu, zgubisz wszystkich, czarcie zasmarkany. Słyszysz, ludzie Stresiego wszędzie myszkują. Skręcili z opłotków, idą ulicą, zaraz tu będą. O, już są. Siedź cicho, ani mru-mru, bo cię uduszę. No, twoje szczęście, są już daleko. Przeszli obok. Ki diabeł cię podkusił? Patrzcie go, jołopa, on też się ukrywa! A kto by cię palcem tknął?

– Słyszę, Goszka wrzeszczy: chowaj się, łachudro! No to wlażłem.

– Goszka to co innego. Całą rodzinę Riabychów mają na oku: nieprawomyślni. Mają krewnych w Chodatskiem, majstrów, robotników. Nie szarp się, osłe jeden, leż spokojnie. Wszędzie kup nasadzili i narzygali. Jak się poruszysz, to i sam się wysmarujesz, i mnie gównem wypaćkasz. Nie czujesz, jak śmierdzi? Wiesz, po co Strese lata po wsi? Szuka tych z Pażyńska, obcych.

– Jak to się stało, Kośka? Od czego się zaczęło?

– Przez Sańkę to całe zamieszanie, przez Sańkę Pafnutkina. Stoimy w szeregu na golasa przed komisją. Przychodzi kolej na Sańkę. A ten się nie rozbiera. Był podpity, przyszedł na komisję na bańce. Pisarz mu zwraca uwagę. Rozbierajcie się, mówi. Grzecznie. Na „wy” się do Sańki zwraca. Pisarz wojskowy. A Sańka do niego po chamsku: „Nie rozbiore się. Nie chcę części ciała wszystkim pokazywać.” Że to niby się wstydzi. I podsuwa się boczkiem do pisarza, jakby się chciał zamachnąć i dać mu w zęby. Tak. No i co powiesz? Aniśmy się obejrżeli, jak Sańka się nachylił, cap stolik pisarza za nogę i ze wszystkim, co tam było, z kałamarzem, ze spisem poborowych buch na ziemię! W drzwiach zarządu stanął Strese. Nie zniosę tego warcholstwa, krzyczy, ja wam pokażę bezkrwawą rewolucję i nieposzanowanie prawa w miejscu urzędowym! Kto zaczął?

A Sańka do okna. „Ratuj się, kto może, krzyczy, zabierajcie ubranie! Koniec z nami tutaj, towarzysze!” Ja za ubranie, odziałem się w biegu i do Sańki. Sańka wybił pięścią szybę i smyk na dwór, szukaj wiatru w polu. Ja za nim. I jeszcze ktoś. I w nogi. A za nimi już huzia, pogoń. Zapytasz może, z jakiego powodu to wszystko? Nikt nic nie rozumie.

– A bomba?

– Co bomba?

– Kto rzucił bombę? No, nie bombę, granat?

– Boże, czy ty myślisz, że to my?

– No a kto?

– Skąd mogę wiedzieć. Ktoś inny. Widział, że zamieszanie, to pomyślał: skorzystam z tego i gminę wysadzę. A posądzą innych. Jakiś polityczny. Przecież politycznych, tych z Pażyńska, pełno tutaj. Cicho. Zamknij się. Jakies głosy. Słyszysz, ludzie Stresego wracają. No, to koniec. Nie ruszaj się, mówię. Głosy zbliżały się. Skrzypiały buty, dzwoniły ostrogi.

– Niech się pan nie upiera. Mnie nie tak łatwo nabrać. Ja nie z tych. Gdzieś tu na pewno ktoś rozmawiał – słycać było władczy głos pułkownika, z wyraźnym petersburskim akcentem.

– Mogło się waszej wielmożności zdawać, przekonywał starosta z Małego Jermołaja, handlarz ryb, stary Otwiażystin. – Cóż dziwnego, że rozmawiali, przecie to wieś, a nie cmentarz. Może i gdzieś rozmawiali. Przecie nie mieszkają tu nieme stworzenia. A może kogo domowy we śnie dusi.

– No, no! Ja wam pokażę udawać nawiedzonego, prostaczka bożego! Domowy! Za bardzoście się tu rozpuścili. Żeby wam tylko międzynarodówka do łbów nie strzeliła, bo wtedy będzie za późno! Domowy!

– Na litość boską, wasza wielmożność, panie pułkowniku! Jaka znowu międzynarodówka? Toż to osły patentowane, ciemnota. Ze starych modlitewników ledwie dukają piąte przez dziesiąte. Gdzie im do rewolucji?

– Wszyscy tak gadacie do pierwszej poszlaki. Przeszukać pomieszczenie spółdzielni od góry do dołu. Przetrasnąć wszystkie skrzynie, zajrzeć pod lady. Obszukać sąsiednie zabudowania.

– Tak jest, wasza wielmożność.

– Pafnutkina, Riabycha, Niechwalonycha żywych lub martwych. Wytrzasnąć, choćby spod ziemi. I tego szczeniaka Gałuzinów. To nic, że tatuś wygłasza patriotyczne mowy, oczy zamydla. Przeciwnie. To nie uspi naszych podejrzeń. Jak sklepikarz tak peroruje, to znaczy, że sprawa cuchnie. To jest podejrzane i wbrew naturze. Mam tajne doniesienia, że oni w swoim domu w Kriestowozdwiżeńsku ukrywają politycznych, organizują nielegalne zebrania. Złapać mi chłopaka. Jeszcze nie wiem, co z nim zrobię, ale jeżeli coś wyjdzie na jaw, powieszę bez litości, dla ostrzeżenia.

Obława ruszyła dalej. Kiedy odeszli na przyzwoitą odległość, Kośka Niechwalonych zapytał zmartwiałego ze strachu Tierieszkę:

– Słyszałeś?

– Tak – wyszeptał ten nieswoim głosem.

– Teraz my obaj, Sańka i Goszka mamy jedną drogę – do lasu. Nie mówię, że na zawsze. Dopóki się nie opamiętają. A jak się utemperują, zobaczymy. Może da się wrócić.

Część jedenasta

Leśne wojsko

1

Już drugi rok spędzał Jurij Andriejewicz w niewoli u partyzantów. Granice tej niewoli były bardzo niewyraźne. Miejsce, w którym trzymano doktora, nie było ogrodzone. Nie strzeżono, nie obserwowano go. Partyzanckie wojsko wciąż się przenosiło z miejsca na miejsce i Jurij Andriejewicz odbywał przemarsze razem z nimi. Partyzanci nie separowali się, nie odgradzali od mieszkańców okolic, przez które przechodzili. Przeciwnie, mieszały się z nimi, wtapiali w nich.

Zdawało się, że nie istnieje żadna zależność, żadna niewola, że doktor jest na swobodzie, tylko nie umie z niej korzystać. Jego uzależnienie, niewola nie różniły się niczym od innych rodzajów przymusu w życiu, tak samo niedostrzegalnych i nieodczuwalnych, które także wydają się czymś nie istniejącym, chimerą, wymysłem. Mimo braku kajdan, łańcuchów i straży doktor zmuszony był podporządkowywać się swej niewoli, pozornie jakby zmyślonej.

Trzy próby ucieczki od partyzantów skończyły się fiaskiem. Uszły mu na sucho, ale było to igranie z ogniem. Więcej już tego nie próbował. Dowódca partyzantów Liberiusz Mikulicyń odnosił się do doktora życzliwie, umieścił go w swym namiocie, lubił jego towarzystwo. Jurijowi Andriejewiczowi ciążyła jednak ta narzucona zażyłość.

2

Był to okres prawie nieustannego marszu partyzantów na wschód. Czasem zdawał się on częścią planu powszechnej ofensywy w celu wyparcia Kołczaka z zachodniej Syberii, czasem zaś, kiedy biali zachodzili na tyły partyzantów i próbowali wziąć ich w okrążenie, ruch w tym kierunku zamieniał się w odwrót. Doktor długo nie mógł się połapać w tych niuansach.

Miasteczka i wsie, przez które szli partyzanci, czasem równoległe do traktu, a czasem samym traktem, były białe lub czerwone, w zależności od kaprysu wojennej fortuny. Z ich wyglądu rzadko można było odgadnąć, jaka panuje tam władza.

W momentach przechodzenia przez owe miasteczka i osady chłopskiego pospolitego ruszenia najważniejszym elementem ich oblicza stawała się właśnie ta przeciągająca przez nie armia. Domy po obu stronach drogi zdawały się cofać i zapadać pod ziemię, a grzęznący w błocie jeźdźcy, konie, działa, i rośli strzelcy z plecakami wyrastali powyżej domów.

Pewnego razu w jednym takim miasteczku doktor przejmował zajęty jako zdobywcza wojenna skład angielskich medykamentów, który porzuciła przy odwróceniu oficerska formacja Kappela.

Był ciemny, deszczowy dzień, w którym dominowały dwie barwy. Wszystko, co było oświetlone, wydawało się białe, wszystko, co nieoświetlone – czarne. W duszy Żywagi panował taki sam uproszczony mrok, bez łagodnych przejść i półcieni.

Droga, całkowicie rozjeżdżona przez częste wojenne przemarsze, była jednym strumieniem czarnej brei, przez który nie wszędzie można było przejść w bród. Przez ulicę przechodziło się w kilku, bardzo odległych od siebie miejscach, do których dotrzeć można było tylko robiąc po obu stronach wielkie obejścia. Przy takiej właśnie okazji doktor spotkał w Pażyńsku swą dawną towarzyszkę podróży, Pelagię Tiagunową.

Poznała go pierwsza. On nie od razu się połapał, kim jest ta kobieta o znajomej twarzy, która rzuca mu przez drogę, jak z jednego brzegu kanału na drugi, dwojakiego rodzaju spojrzenia – to wyrażające gotowość przywitania się z nim, jeśli ją pozna, to znów chęć wycofania się.

Po chwili wszystko sobie przypomniał. Wśród obrazów zatłoczonego towarowego wagonu, tłumu ludzi pędzonych do armii pracy, ich konwojentów i pasażerki z przerzuconymi na pierś warkoczami zobaczył w środku tej kompozycji także swoją rodzinę. Napłynęły wyraziste wspomnienia rodzinnego exodusu sprzed dwóch lat. Ukazały mu się kochane twarze, za którymi tak strasznie się stęsknił.

Ruchem głowy wskazał kobiecie miejsce w górze ulicy, gdzie przechodziło się po wystających z błota kamieniach, doszedł tam, przeprawił się na drugą stronę i przywitał z Tiagunową.

Opowiedziała mu mnóstwo rzeczy. Przypomniała o bezprawnie zabranym do armii pracy ładnym niewinnym chłopcu Wasi, który jechał z nimi w jednej tiepluszce, i opisała swe życie we wsi Wierietieniuki u matki chłopca. Było jej tam bardzo dobrze, ale ludzie wytykali jej, że jest wśród nich obca, przybłęda, podejrzewali, że jakoby żyje z Wasią. Musiała wyjechać, żeby jej całkiem nie zakrakali. Zamieszkała w Kriestowozdwiżeńsku u siostry, Olgi Gałuzinej. Do Pażyńska zwabiły ją pogłoski o tym, że widziano tu Prituljewa. Wieści okazały się fałszywe, ale ona dostała tu pracę i zamieszkała na stałe.

Tymczasem ludziom bliskim jej sercu przydarzyło się nieszczęście. Z Wierietieniuki nadeszły wieści, że przeprowadzono tam karną ekspedycję za odmowę repartycji żywnościowych. Podobno dom Brykinów spłonął i zginął ktoś z rodziny Wasi. W Kriestowozdwiżeńsku zarekwirowano Gałuzinom dom i dobytek. Gałuzina aresztowana czy nawet rozstrzelana, a jego syn przepadł bez wieści. Początkowo zrujnowana Olga Gałuzina przymierała głodem, a teraz służy za wikt u swych wiejskich krewnych w Słobodzie Zwonarskiej.

Tiagunowa pracowała jako pomywaczka właśnie w pażyńskiej aptece, którą miał zarekwirować doktor. Dla wszystkich pracowników apteki, w tym także dla Tiagunowej, rekwizycja oznaczała ruinę, ale doktor nie był w stanie temu zapobiec. Tiagunowa była obecna przy przekazywaniu lekarstw.

Furmankę Jurija Andriejewicza podstawiono na tyły apteki pod drzwi magazynu. Wynoszono stamtąd paki, butle oplecione wikliną i skrzynie.

Wraz z ludźmi smutnie przyglądała się załadunkowi stojąca w boksie chuda, sparszywiła kobyła aptekarza. Deszczowy dzień chylił się ku zachodowi. Niebo trochę się przetało. Na chwilę ukazało się ściśnięte między chmurami słońce. Zachodziło właśnie. Jego promienie bryzgały ciemnym brązem na dziedziniec, wyłaczając złowieszczo kałuże rzadkiego nawozu. Wiatr nie marszczył ich powierzchni, gęsta maź gnojówki była za ciężka, by się poruszyć. Za to deszczowa woda na szosie falowała drobno i lśniła cynobrem.

A wojsko szło i szło poboczem drogi, obchodząc i objeżdżając najgłębsze jeziora i kałuże. W zarekwirowanej partii leków znalazł się cały słoik kokainy, którą w ostatnich czasach zaczął wachać dowódca partyzantów.

3

U partyzantów doktor po uszy tonął w pracy. Zimą tyfus plamisty, latem – dyzenteria, a prócz tego w okresach działań wojennych coraz więcej rannych.

Mimo niepowodzeń i prawie nieustannego odwrotu, szeregi partyzantów wciąż uzupełniali nowi powstańcy z okolic, przez które przechodziły chłopskie oddziały, i uciekinierzy z obozu nieprzyjaciela. W ciągu półtora roku, które doktor spędził u partyzantów, ich wojsko zwiększyło się dziesięciokrotnie. Na zebraniu podziemnego sztabu w Kriestowozdwiżeńsku Liberiusz Mikulicyn, podając liczebność swych sił, powiększył je mniej więcej dziesięć razy. Teraz rzeczywiście osiągnęły tę wielkość.

Jurij Andriejewicz miał pomocników, świeżo upieczonych sanitariuszy z niejakim doświadczeniem. Jego prawą ręką w sprawach leczenia byli węgierski komunista i lekarz wojskowy, były jeniec Lajos Kerényi, którego w obozie nazywano „towarzysz Łajuszczy²¹”, i chorwacki felczer Angelar, również jeniec austriacki. Z lekarzem Jurij Andriejewicz porozumiewał się po niemiecku; felczer, rodem ze słowiańskich Bałkanów, rozumiał odrobinę po rosyjsku.

4

Zgodnie z międzynarodową konwencją Czerwonego Krzyża lekarze i personel oddziałów sanitarnych nie mogą brać zbrojnego udziału w operacjach bojowych. Raz jednak doktor wbrew swej woli musiał naruszyć tę zasadę. Trafił w polu w sam środek walki i musiał się ostrzeliwać wraz z innymi.

Łańcuch partyzantów, w którym zaskoczony ogniem doktor zaległ obok telegrafisty, zajmował skraj lasu. Za nimi była tajga, przed nimi – odsłonięta polana, otwarta przestrzeń, po której szli do ataku biali.

²¹ Szczekający (ros.)

Zbliżali się wciąż i byli już niedaleko. Doktor widział ich wyraźnie, każdą twarz. Byli to chłopcy i młodzieńcy z cywilnych warstw stolicy i ludzie starsi, rezerwiści. Ton nadawała jednak młodzież, studenci pierwszych roczników i gimnazjaliści z ostatnich klas, którzy niedawno zaciągnęli się na ochotnika.

Doktor nie znał żadnego z nich, ale twarze większości wydawały mu się znajome, zwyczajne, jak gdyby już gdzieś je widział. Przypominali mu dawnych kolegów ze szkoły. Może to byli ich młodsi bracia? Zdawało mu się, że innych widział znowu w teatrze czy w tłumie na ulicy w dawnych czasach. Ich wyraziste, sympatyczne twarze były jakieś bliskie, swojskie.

Walka w służbie obowiązku, tak jak to rozumieli, budziła ich entuzjazm i niepotrzebną, wyzywającą brawurę. Szli rozsypani w rzadką tyralierę, wyprostowani na całą wysokość, przewyższając wojskową postawą zawodowych gwardzistów. Lekceważąc niebezpieczeństwo, nie próbowali podbiegać czy padać, chociaż na polanie były wzgórki i kępy, za którymi można się było ukryć. Kule partyzantów kładły ich niemal pokotem.

Na środku rozległego nagiego pola, po którym szli biali, stało martwe osmalone drzewo. Zwęglił je piorun albo płomień ogniska, a może rozszczepiły i osmałiły poprzednie walki. Każdy z atakujących strzelców-ochotników zerkał na nie, walcząc z pokusą schowania się za pnem, by móc bezpieczniej i pewniej celować, po czym odrzucał tę myśl i szedł dalej.

Partyzanci mieli ograniczoną ilość amunicji. Trzeba ją było oszczędzać. Był rozkaz, poparty prywatną umową, aby strzelać z bliskiego dystansu, z tyłu karabinów, ile było widocznych celów.

Doktor leżał bez broni na trawie i obserwował walkę. Cała jego sympatia była po stronie bohatersko ginących dzieci. Z całego serca życzył im powodzenia. Byli to potomkowie rodzin, zapewne bliskich mu duchem, wychowaniem, zasadami moralnymi, przekonaniem.

Mignęła mu myśl, by wybiec do nich na polanę, poddać się, i w ten sposób wyrwać się z niewoli. Ale był to krok niebezpieczny, ryzykowny.

Zanim z podniesionymi w górę rękami dobiegłby do środka polany, mogli do niego strzelić z obu stron, w pierś albo w plecy, swoi – za zdradę, obcy – nie orientując się w jego zamiarach. Nieraz przecież był w podobnej sytuacji, przeanalizował wszystkie możliwości i od dawna uważał te plany za nierealne. Pogodzony więc ze swą rozterką doktor nadal leżał na brzuchu twarzą do polany, bez broni, i obserwował z trawy przebieg walki.

Jednak bezczynna obserwacja tej kipiącej wokół walki na śmierć i życie była nie do zniesienia ponad ludzkie siły. I nie chodziło tu o wierność wobec obozu, do którego przykuła go niewola, i nie o jego własne bezpieczeństwo, ale o podporządkowanie się biegowi wydarzeń, prawom tego, co rozgrywało się przed nim i wokół niego. Bierność wobec tych wydarzeń była wbrew jego zasadom. Musiał robić to, co robili inni. Toczyła się bitwa. Do niego i jego towarzyszy strzelano. Musiał się ostrzeliwać.

I kiedy leżący obok telefonista zadygotał konwulsyjnie, a potem zastygł nieruchomo, wyciągnięty na całą długość, Jurij Andriejewicz, przyczołgał się do niego, zdjął mu torbę, wziął karabin i powróciwszy na dawne miejsce jął strzelać raz za razem.

Litość jednak nie pozwalała mu strzelać do młodzieńców, których podziwiał i którym sprzyjał, a strzelanie na oślep w powietrze było zajęciem głupim i niepotrzebnym, zaprzeczeniem jego intencji. Wybierając więc chwile, kiedy między nim i jego celem nie znajdował się nikt z atakujących, zaczął strzelać do opalonego drzewa. Miał w tym swoje wyliczenie.

Celując i, w miarę jak obraz w celowniku stawał się coraz wyraźniejszy, powoli i nie do końca naciskając spust, by niechcący nie strzelić za wcześnie, zanim opuszczenie kurka i wystrzał nie nastąpią same przez się, jakby niespodzianie, doktor zaczął rutynowo, celnie zestrzeliwać z martwego drzewa niższe uschnięte gałęzie.

Ale o zgrozo! Choć tak się pilnował, by kogoś nie trafić, nacierający pojawiali się w decydującym momencie między nim a drzewem i przecinali linię celownika w chwili strzału. Dwóch doktor zranił, a trzeciego nieszczęśnika, który runął w pobliżu drzewa, kosztowało to życie. Wreszcie dowództwo białych, przekonawszy się o bezcelowości próby, dało rozkaz do odwrotu.

Partyzantów było mało. Ich główne siły odeszły w bok, walcząc z większymi siłami przeciwnika. Oddział nie ścigał wycofujących się, by się nie zdradzić, że jest tak nieliczny.

Felczer Angelar prowadził na skraj lasu dwóch sanitariuszy z noszami. Doktor kazał im zająć się rannymi, a sam podszedł do leżącego bez ruchu telefonisty. Miał słabą nadzieję, że ten może jeszcze oddycha i można go będzie uratować. Ale telefonista był martwy. Żeby się o tym przekonać ostatecznie, Jurij Andriejewicz rozpiął mu koszulę na piersiach i posłuchał serca. Nie biło. Na szyi zabitego wisiał na sznurku szkaplerz. Jurij Andriejewicz zdjął go. Była w nim zaszyta w szmatkę, zetlała i wytarta na zgięciach karteczka. Doktor rozłożył jej rozpadające się cząstki.

Karteczka zawierała wyjątki z psalmu dziewięćdziesiątego ze zmianami i przekręceniami, jakie lud wnosi w modlitwy, które stopniowo z kopii na kopię, oddalają się od oryginału. Urywki cerkiewnosłowiańskiego tekstu były w modlitwie przepisane po rosyjsku.

W psalmie są słowa: „Kto żywie we wspomózeniu Najwyższego.” W modlitewce był to nagłówek: „Żywe wspomózenie.” Werset psalmu: „Nie ulękiesz się... strzały lecącej we dnie”, zamienił się w słowa otuchy: „nie bój się strzały lecącej wojny.” „Bo poznał imię moje” – mówi psalm. A modlitewka: „Późne imię moje.” „Z nim jestem w ucisku, wybawię go...” zamieniło się w: „Cisnę w jamę go...”

Tekst tego psalmu uważano za cudotwórczy, chroniący przed kulami. Nosili go jako talizman żołnierze jeszcze w czasie minionej wojny imperialistycznej. Minęły dziesięciolecia i dużo później zaczęli zaszywać go w ubranie aresztanci i powtarzali w myślach więźniowie, kiedy wzywano ich na nocne przesłuchania.

Od telefonisty Jurij Andriejewicz przeszedł na polanę do zabitego przez siebie młodego białogwardzisty. Na pięknej twarzy młodzieńca malowała się niewinność i wszechwybaczące cierpienie. „Dlaczego go zabiłem?” – pomyślał doktor.

Rozpiął płaszcz zabitego i szeroko rozrzucił poły. Na podszewce kaligraficznym pismem troskliwa i kochająca ręka, pewnie matczyzna, wyhaftował imię i nazwisko poległego – Sierioża Rancewicz.

Spod kołnierzyka koszuli Sierioży wysunął się i zawisł na łańcuszku krzyżyk, medalik i jakiś płaski złoty futeralik czy tabliczka z uszkodzonym wierzchem, jakby zadrapano go gwoździem. Futeralik był uchylony. Wypadł z niego złożony papierek. Doktor rozwinął go i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Był to ten sam psalm dziewięćdziesiąty, tyle że drukowany i w wersji oryginalnej, cerkiewnosłowiańskiej.

W tej chwili Sierioża jęknął i poruszył się. Jak się potem okazało, był ogłuszony, miał lekką kontuzję wewnętrzną. Zbłąkana kula trafiła w matczyzny amulet i to uratowało mu życie. Ale co zrobić z tym nieprzytomnym chłopcem?

Rozbestwienie walczących dochodziło w tym czasie do ostatnich granic. Jeńców nie doprowadzano żywych do miejsca przeznaczenia, nieprzyjacielskich rannych dobijano na polu.

Przy płynnym składzie leśnych oddziałów, do których wciąż wstępowali nowi ochotnicy lub uciekali do nieprzyjaciela starzy żołnierze, można było, zachowując ścisłą tajemnicę, podać Rancewicza za nowego, świeżo przybyłego ochotnika.

Jurij Andriejewicz zdjął z zabitego telefonisty ubranie i z pomocą Angelara, którego dopuścił do spisku, przebrał nieprzytomnego młodzieńca.

Doktor i felczer wyleczyli go. Kiedy Rancewicz całkowicie odzyskał siły, wypuścili go, chociaż nie ukrywał przed swymi wybawcami, że wróci do wojsk Kołczaka i będzie nadal walczył z czerwonymi.

5

Jesienią obóz partyzancki stał w Lisim Otku – na wysokim, porośniętym lasem wzgórzu, które oblewała z trzech stron bystra, podmywająca brzegi, spieniona rzeczka.

Przed partyzantami zimowali tu kappelowcy. Przy pomocy okolicznej ludności zbudowali w lesie umocnienia, a wiosną je opuścili. Teraz w ich ocalałych schronach, okopach i podziemnych przejściach ulokowali się partyzanci.

Liberiusz Awierkijewicz dzielił swą ziemiankę z doktorem. Już drugą noc nie dawał mu spać i wciąż z nim rozmawiał.

– Chciałbym wiedzieć, co teraz porabia mój czcigodny rodzic, fater-pater.

„Mój Boże, jak ja nie cierpię tego błazeńskiego tonu – wzdychał w duchu doktor.
– A przecież to wykapany ojciec!”

O ile mogę wnosić z naszych poprzednich rozmów, poznał pan dość dobrze Awierkija Stiepanowicza. I zdaje się, że jest pan o nim pochlebnego zdania. Prawda, łaskawco?

– Liboriusz Awierkijewiczu, jutro mamy spotkanie przedwyborcze na „bujwisczu”. Prócz tego za pasem sąd nad sanitariuszami za pędzenie bimbru. Nie przygotowaliśmy jeszcze z Lajosem materiałów do tej sprawy. Musimy to jutro zrobić. A ja nie spałem dwie noce. Odłóżmy tę rozmowę. Niech się pan zlituje.

– Nie, nie, wróćmy do Awierkija Stiepanowicza. Co pan sądzi o staruszkę?

– Pański ojciec, Liboriusz Awierkijewiczu, jest jeszcze młody. Czemu pan tak o nim mówi? Ale odpowiem panu. Mówiłem panu często, że słabo się orientuję w poszczególnych gradacjach tej socjalistycznej mieszaniny i nie widzę szczególnej różnicy między bolszewikami i innymi socjalistami. Pański ojciec jest jednym z tych, którym Rosja zawdzięcza zamieszki i rozruchy ostatnich lat. Awierkij Stiepanowicz to typ rewolucjonisty. Tak samo jak pan jest przedstawicielem rosyjskiego fermentu.

– Czy to ma być pochwała, czy zarzut?

– Jeszcze raz proszę: odłóżmy dyskusję do stosowniejszej chwili. Poza tym, zwracam panu uwagę na kokainę, którą znów pan wacha bez opamiętania. Zabiera ją pan samowolnie z powierzonych mi zapasów. Kokaina jest potrzebna do innych celów, nie mówiąc już o tym, że to trucizna i że ja odpowiadam za pańskie zdrowie.

– Znowu pan nie był wczoraj na zajęciach. Ma pan atrofię instynktu społecznego jak niepiśmienna baba albo gnuśny, zatwardziały kołtun. A przecież jest pan lekarzem, człowiekiem czytany, i nawet podobno sam pan pisze. Niech mi pan wytłumaczy, jak pan to godzi?

– Nie wiem jak. Pewnie wcale, ale cóż robić. Jestem godny politowania.

– Ta pokora jest gorsza niż pycha. Zamiast się tak zjadliwie uśmiechać, zapoznałby się pan lepiej z programem naszych kursów, a wtedy przyzna pan, że ta wyniosłość jest nie na miejscu.

– Bóg z panem, Liboriusz Awierkijewiczu! Jaka znowu wyniosłość? Chylę czoło przed waszą działalnością oświatową. Lista zagadnień powtarza się we wszystkich zawiadomieniach. Czytałem ją. Znam pańskie myśli na temat rozwoju duchowego żołnierzy. Jestem nimi zachwycony. Wszystko, co pan mówi o stosunku żołnierza ludowej armii do towarzyszy broni, do słabszych, bezbronnych, do kobiet, do idei cnoty i honoru, to przecież prawie to samo, co się składa na ideologię sekty duchoborców, to rodzaj tołstojowszczyzny, marzenie o godnej egzystencji, to wypełniało moje młodzieńcze lata. Więc czy mógłbym się śmiać z tych rzeczy?

Ale, po pierwsze, idee powszechnego doskonalenia się w tej formie, w jakiej zaczęto je propagować po październiku, nie budzą we mnie entuzjazmu. Po drugie to wszystko jest jeszcze dalekie od realizacji, a za samo tylko mówienie o tym zapłacono takim morzem krwi, że chyba cel ten nie uświęca środków. Po trzecie, i to jest najważniejsze, kiedy słyszę o przebudowie życia, tracę panowanie nad sobą i popadam w rozpacz.

Przebudowa życia! O tym mogą mówić tylko ludzie, którzy może niejedno widzieli, ale nie znają życia, nie wyczuli jego ducha, istoty. Dla nich egzystencja to kawałek surowego, nie uszlachetnionego ich dotykaniem materiału, który domaga się od nich obróbki. A życie nigdy nie bywa materiałem, substancją. Życie jest, jeśli chce pan wiedzieć, wiecznie odnawiającym się, zmieniającym samoistnie pierwiastkiem,

ono samo się przerabia i przetwarza, jest czymś o wiele wyższym niż wasze prymitywne teorie.

– A jednak śmiem pana zapewnić, że obecność na zebraniach i obcowanie z naszymi wspaniałymi, cudownymi ludźmi poprawiłoby panu nastrój. Nie popadałby pan w melancholię. Ja wiem, skąd się ona bierze. Jest pan przygnębiony, że nas tłuką, i nie widzi pan wyjścia. Ale nigdy nie należy popadać w panikę, przyjacielu. Wiem o sprawach o wiele straszniejszych, dotyczących mnie osobiście – na razie nie mogę ich ujawnić – ale nie tracę opanowania. Nasze niepowodzenia są chwilowe. Zguba Kołczaka jest nieunikniona. Niech pan zapamięta moje słowa. Zobaczy pan. Zwycięzimy. Odwagi.

„Nie, to nieprawdopodobne! – myślał Żywago. – Co za naiwność! Jaka ślepotą! Powtarzam mu ciągle, że nasze poglądy są sprzeczne, porwał mnie siłą i siłą tu trzyma, i wyobraża sobie jeszcze, że niepowodzenia mnie przygnębiają, a jego prognozy i nadzieje dodają mi otuchy. Co za zaślepienie! Interesy rewolucji i istnienie systemu słonecznego to dla niego jedno i to samo!”

Aż się wzdrygnął. Nic nie odpowiedział, tylko wzruszył ramionami, nie próbując nawet ukrywać, że naiwność Libieriusza wyczerpała jego cierpliwość i że siłą się hamuje. Libieriusz to spostrzegł.

– Gniewasz się, Jowiszu, a więc nie masz racji – powiedział.

– Niechże pan wreszcie zrozumie, że to wszystko do mnie nie przemawia. „Jowisz”, „nie popadać w panikę”, „jeśli się powiedziało A, trzeba powiedzieć B”, „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść” – wszystko to banały, frazesy, które mnie nie przekonują. Powiem A, ale nie powiem B, choćby pan pękł. Zakładam, że jesteście luminarzami i wyzwolicielami Rosji, że gdyby nie wy, Rosja by zginęła, utonęła w nędzy i ciemnocie, ale i tak nic mnie to nie obchodzi, mam was gdzieś, nie lubię was, idźcie wszyscy do diabła.

Wasi duchowi przywódcy szermują przysłowiami, ale zapomnieli o najważniejszym: „pod przymusem nikt miły nie będzie”, i uparcie wyzwalają i uszczęśliwiają, zwłaszcza tych, którzy ich o to nie proszą. Pan sobie pewnie wyobraża, że nie ma dla mnie miłszego miejsca na świecie niż pański obóz i pańskie towarzystwo. Że powinienem pana błogosławić i dziękować za moją niewolę, za to, że uwolnił mnie pan od rodziny, od syna, od domu, od mojej pracy, od wszystkiego, co jest mi drogie i czym żyłem.

Są pogłoski, że do Warykina wkroczył nieznany nierosyjski oddział. Podobno wszystko tam zrujnowano i rozgrabiono. Kamiennodworski temu nie zaprzecza. Podobno mojej i pańskiej rodzinie udało się uciec. Jacyś mityczni skośnoocy w waciakach i papachach w straszny mróz przeszli Ryńwę po lodzie, bez jednego słowa wystrzelali wszystko, co żywe w osadzie, a następnie znikli równie tajemniczo, jak się pojawili. Co panu o tym wiadomo, czy to prawda?

– Brednie. Wymysły. Rozdmuchane przez plotkarzy nie potwierdzone brednie.

– Jeżeli jest pan tak dobry i wielkoduszny, jak w pańskich instrukcjach o wychowaniu żołnierzy, to niech mnie pan puści wolno. Wyruszę na poszukiwania swoich, o których nawet nie wiem, czy żyją i gdzie są. A jeżeli nie, to niech pan

zamilknie z łaski swojej i zostawi mnie w spokoju, bo cała reszta mnie nie interesuje i nie odpowiadam za siebie. A poza tym, do jasnej cholery, mam chyba prawo po prostu chcieć spać!

Jurij Andriejewicz rzucił się na pryczę twarzą do poduszki. Ze wszystkich sił starał się nie słuchać tłumaczeń Liberiusza, który nadal go uspokajał, że na wiosnę biali na pewno zostaną rozbici. Skończy się wojna domowa, nastanie wolność, dostatek i pokój. Wtedy nikt się nie ośmieli zatrzymywać doktora. A na razie trzeba pocierpieć. Tyle się już przeżyło, tyle było ofiar, że nie trzeba już będzie długo czekać. A zresztą, dokąd by teraz doktor poszedł? Dla jego własnego dobra nie można go puścić samopas.

„Jak katarynka! Miele i miele tym językiem! Jak mu nie wstyd tyle lat przeżuwać jedną i tę samą prymkę? – wzdychał gniewnie w duchu Jurij Andriejewicz. – Upaja się własnym krasomówstwem, kokainista przeklęty. Z nocy robi dzień, ani spać, ani wytrzymać z nim nie można. Ach, jak ja go nienawidzę! Bóg mi świadkiem, że kiedyś go zamorduję.

Toniu, moja biedna dziewczynko! Czy żyjesz, gdzie jesteś? Boże, przecież ona już dawno musiała urodzić! Jak przeszedł poród? Czy mam synka, czy córeczkę? Kochani moi wszyscy, co się z wami dzieje? Toniu, mój wieczny wyrzucie sumienia! Laro, boję się wymówić twoje imię, żeby wraz z nim nie wyzionąć ducha. Ach, Boże, Boże! A ten wciąż peroruje, nie może się pohamować, ohydne, gruboskórne zwierzę! O, kiedyś nie wytrzymam i zabiję go, zabiję!”

6

Minęło babie lato. Nastaly pogodne dni złotej jesieni. W zachodniej części Lisiego Otku wystawała z ziemi drewniana wieżyczka dawnej strażnicy. Jurij Andriejewicz miał się tu spotkać ze swym asystentem, doktorem Lajosem, aby omówić pewne wspólne sprawy. Przyszedł o wyznaczonej porze i czekając na kolegę przechadzał się po zimnym nasypie zapadniętego okopu, wchodził do strażnicy i wyglądał przez puste strzelnice gniazd karabinowych na rozciągające się za rzeką leśne dale.

Jesień zarysowała już w lesie wyraźną granicę między drzewami iglastymi i liściastymi. Pierwsze jeżyły się w głębi ponurą, niemal czarną ścianą, drugie ognistoczerwonymi plamami świeciły w prześwitach niby starodawny gródek z kremem i teremami o złotych dachach, zbudowany z bierwion w leśnych ostępach.

Ziemia w rowie, pod nogami doktora i w koleinach leśnej drogi, stwardniałej już od przymrozków, była gęsto zasypana suchymi, drobnymi, zwiniętymi w trąbkę liśćmi wierzby. Jesień pachniała owym gorzkim brązowym listowiem i mnóstwem innych przypraw. Jurij Andriejewicz wdychał chciwie zmieszane korzenne aromaty lodowatych kiszonych jabłek, gorzkiej suchości, słodkiej wilgoci i błękitnego wrześniowego śwędu, przypominającego parę zalanego wodą ogniska i świeżo ugaszonego pożaru.

Nie spostrzegł, jak z tyłu podszedł do niego Lajos.

– Witajcie, kolego – powiedział po niemiecku.

Zaczęli omawiać bieżące sprawy.

– Mamy trzy punkty. Bimbrownicy, reorganizacja lazaretu i apteki i trzeci, zatwierdzony na moje nalegania, o leczeniu chorych umysłowo ambulatoryjnie w warunkach polowych. Może pan nie widzi takiej konieczności, ale wedle moich obserwacji wariujemy, drogi Lajos, a choroby umysłowe są w dzisiejszych czasach zaraźliwe, mają charakter epidemiczny.

– To bardzo ciekawe zagadnienie. Przejdę do tego później. A teraz taka sprawa. W obozie ferment. Los bimbrowników budzi współczucie. Wiele osób niepokoi się także o swe rodziny, które uciekły ze wsi przed białymi. Część partyzantów odmawia wyjścia z obozu, gdyż zbliża się tu tabor z ich żonami, dziećmi i starcami.

– Tak, trzeba będzie na nich poczekać.

– I wszystko to przed wyborami wspólnego dowództwa, któremu mają podlegać także inne oddziały, nie związane z naszym. Ja myślę, że jedynym kandydatem jest towarzysz Liborius. Grupa młodzieży wysuwa innego, Wdowiczenkę. Popiera go obce nam ugrupowanie, związane z bimbrownikami, synowie kułaków i sklepikarzy, kołczakowscy dezercerzy. Oni szemrzą najbardziej.

– Jak pan myśli, co będzie z sanitariuszami, którzy pędzili i sprzedawali bimber?

– Według mnie skazą ich na rozstrzelanie i ułaskawią, zawieszą wykonanie wyroku.

– Zagadaliśmy się. Wróćmy do naszych spraw. Reorganizacja lazaretu. To chciałbym omówić przede wszystkim.

– Dobrze. Ale muszę powiedzieć, że w pańskiej propozycji, dotyczącej profilaktyki psychiatrycznej nie widzę nic dziwnego. Jestem tego samego zdania. Zaczynają się mnożyć choroby psychiczne jak najbardziej typowe dla dzisiejszych czasów, wywołane bezpośrednimi historycznymi uwarunkowaniami epoki. Jest tu żołnierz armii carskiej, człowiek uświadomiony, o wrodzonym instynkcie klasowym, Pamfil Pałych. Zwariował właśnie na tym punkcie, ze strachu o swoich bliskich, na myśl o tym, co się z nimi stanie, jeżeli on zginie, a oni trafią w ręce białych i będą musieli za niego odpowiadać. Bardzo skomplikowana psychika. Zdaje się, że jego rodzina jest w taborze bieżerców i dogania nas. Za słabo znam język i nie mogę go dokładnie wypytać. Niech pan zapyta Angelara albo Kamiennodworskiego. Trzeba by go zbadać.

– Znam Pałycha bardzo dobrze. Jakżeby nie mógł go nie znać. Przez jakiś czas byliśmy razem w radzie wojennej. Taki czarny, brutalny, o niskim czole. Nie rozumiem, co pan w nim widzi dobrego. Zawsze się opowiadał za środkami ostatecznymi, okrucieństwami, egzekucjami. I zawsze był dla mnie odpychający. Dobra. Zajmę się nim.

Było jasno, słonecznie, sucho i pogodnie jak przez cały ubiegły tydzień. Z głębi obozu dobiegał niewyraźny, niby daleki szum morza, gwar wielkiego ludzkiego skupiska. Słysząc było na przemian kroki w lesie, głosy, stuk siekier, dzwonienie

kowadeł, rzenie koni, ujadanie psów i pianie kogutów. Po lesie snuły się tłumy ogorzałych, uśmiechających się białymi zębami ludzi. Jedni znali doktora i kłaniali mu się, inni, nieznajomi, mijali go bez powitania.

Wprawdzie partyzanci nie zgadzali się na wymarsz z Lisiego Otku, dopóki ich nie dogonią uciekające na furmankach rodziny, ale tabor uciekinierów był już o kilka dni drogi od obozu i w lesie odbywały się przygotowania do rychłej likwidacji obozowiska i przeniesienia go dalej na wschód. Coś naprawiano, czyszczono, zabijano gwoździami skrzynie, przeliczano podwoły i badano ich sprawność.

Pośrodku lasu była spora wydeptana polana, rodzaj kurhanu czy grodziska, zwana przez miejscowych „bujwiszczem”. Tu odbywały się zazwyczaj wojskowe wiece. Dziś także zwołano tu ogólne zebranie, by ogłosić jakiś ważny komunikat.

W lesie było jeszcze dużo nie pożółkłej zieleni. W głębi wszystko na razie było świeże i zielone. Zniżające się popołudniowe słońce przesywało las od tyłu swymi promieniami. Liście przepuszczały światło i jarzyły się od spodu zielonym ogniem butelkowego szkła.

Na otwartej łączce nie opodał swego archiwum szef łączności Kamiennodworski palił przejrzone i niepotrzebne szpargały ze zdobytej kancelarii pułkowej Kappela, wraz ze stertami własnych sprawozdań. Ognisko rozpalono pod słońce, które przeświecało przez przejrzyste płomienie jak przez listowie. Ognia nie było widać i tylko rozedrgane, opalizujące niby mika gorące powietrze, wskazywało, że coś się tutaj pali.

Las barwił się tu i ówdzie różnymi dojrzalymi jagodami: ozdobnymi gronkami serdecznika, ceglasto-brunatnym, zwiotczałym dzikim bzem i mieniącymi się białomalinowymi kiściami kaliny. Podzwaniając szklanymi skrzydełkami, wolno płynęły powietrzem ważki, cętkowane i przejrzyste jak ogień i las.

Jurij Andriejewicz od dzieciństwa lubił las, prześwietlony wieczorną zorzą. W takich chwilach zdawało mu się, jakby i jego przesywały na wskroś snopy światła, jakby dar życia wlewał się strumieniem w jego pierś, przenikał całą jego istotę i parą skrzydeł wydostawał się spod łopatek na zewnątrz. Ten młodzieńczy praobraz, który kształtuje się w każdym człowieku na całe życie i który wydaje mu się potem jego wewnętrznym obliczem, osobowością, odezwał się w duszy doktora z całą swą pierwotną siłą i sprawił, że przyroda, las, wieczorne zorze i wszystko wokół zaczęło się przeobrażać w równie pierwotny i uniwersalny obraz dziewczyny. „Lara!” – wyszeptał z zamkniętymi oczyma, zwracając się myślą ku całemu swemu życiu, całemu bożemu światu, całej, rozpościerającej się przed nim, rozświetlonej słońcem przestrzeni.

Ale zwykła codzienność trwała nadal, w Rosji była Rewolucja Październikowa, a on siedział w niewoli u partyzantów. Zupełnie sobie tego nie uświadamiając, doktor podszedł do ogniska, do Kamiennodworskiego.

– Likwiduje pan kancelarię? Jeszcze pan wszystkiego nie spalił?

– Gdzie tam! Wystarczy jeszcze na długo.

Doktor czubkiem buta trącił i rozsypał jedną stertę papierów. Była to sztabowa korespondencja telegraficzna białych. Przyszło mu do głowy przypuszczenie, że

może natknie się w tych papierkach na nazwisko Rancewicza. Nadzieja okazała się jednak płonna. Były to nieciekawe, zesłoroczne szyfrowane informacje, pełne niezrozumiałych skrótów. Na przykład: „Omsk genkwatnajw pierwszego kopia Omsk nasztabokr omskiego mapa czterdzieści wiorst Jenisejskiego nie nadesłano.” Doktor rozrzucił nogą drugą kupkę. Wysunęły się z niej protokoły dawnych zebrań partyzanckich. Na wierzchu leżała kartka: „Bardzo pilne. Urlopy. Ponowne wybory do komisji rewizyjnej. Bieżące. Z uwagi na brak dowodów winy przeciw nauczycielce ze wsi Ignatodworce, rada wojskowa stwierdza, że...”

Kamiennodworski wyjął tymczasem coś z kieszeni, podał doktorowi i powiedział:

– Oto dyspozycje dla pańskiego oddziału medycznego na wypadek wyjścia z obozu. Furmanki z rodzinami partyzantów są już blisko. Dziś jeszcze zostaną uregulowane wszystkie sporne kwestie. Lada dzień ruszymy.

Doktor rzucił okiem na papier i jęknął.

– To mniej, niż dostałem ostatnim razem. A przybyło tylu rannych! Lekko ranni pójdą pieszo, ale tych jest znikoma liczba. Na czym powiozę ciężko rannych? A lekarstwa, a sprzęt?

– Jakoś się ścieśnicie. Trzeba się przystosować do okoliczności. A teraz inna sprawa. Mamy do pana prośbę. Jest tu towarzysz, zahartowany w bojach, lojalny, oddany sprawie i świetny żołnierz. Coś się z nim złego dzieje.

– Pałych? Mówił mi Lajos.

– Tak. Niech pan go zbada.

– To jakaś choroba psychiczna?

– Tak przypuszczam. Jakieś czorciki, jak mówi. Pewnie halucynacje. Bezsenna. Bóle głowy.

– Dobrze. Pójdę zaraz. Mam teraz czas. Kiedy zaczyna się zebranie?

– Myślę, że już się zaczynają zbierać. Ale po co to panu? Widzi pan, ja nie poszedłem. Obejdą się tam bez nas.

– No to pójdę do Pamfiła. Chociaż taki jestem śpiący, że lecę z nóg. Liboriusz Awierkiejewicz lubi po nocach filozofować, zagadał mnie na śmierć. Którędy mam iść do Pamfiła? Gdzie on sypia?

– Zna pan młody brzeźniak za zwirowiskiem? Taki brzozowy młodnik.

– Znajdę.

– Tam są na polance namioty dowództwa. Daliśmy jeden Pamfiłowi. Czeka na rodzinę. Żona i dzieci jadą do niego w taborze. No więc jest w jednym z namiotów. Na prawach dowódcy batalionu. Za swoje rewolucyjne zasługi.

W drodze do Pamfiła doktor poczuł, że nie jest w stanie iść dalej. Był bardzo zmęczony. Nie mógł przewyciężyć senności po tylu kolejnych nie dospanych nocach. Można by było wrócić do schronu i trochę się zdrzemnąć. Ale Jurij Andriejewicz bał się tam iść, bo w każdej chwili mógł zajrzeć Liboriusz i przeszkodzić mu.

Położył się w lesie na polance zasłanej złotymi liśćmi, które spadły z rosnących dokoła drzew. Liście układały się na łączce w kratkę, szachownicę. Tak samo padały na ten złoty kobierzec promienie słońca. Ćmiło w oczach od tych pstrzących się, krzyżujących barw, które usypiały jak czytanie drobnego druku lub czyjeś monotonne mamrotanie.

Doktor wyciągnął się na jedwabistych, szeleszczących liściach. Głowę opartą na łokciu położył na mchu, który jak poduszka otulał guzowate korzenie drzewa, i natychmiast usnął. Pstrokacizna słonecznych cętek pokryła jego wyciągnięte na ziemi ciało, czyniąc je niewidocznym w kalejdoskopie promieni i liści, zupełnie jak gdyby włożył czapkę-niewidkę.

Zbyt jednak pragnął snu, zbyt go potrzebował, i to go wkrótce zbudziło. Bezpośrednie przyczyny działają tylko we właściwych proporcjach. Odchylenia od tych proporcji wywołują przeciwny skutek. Znużona, spragniona odpoczynku świadomość gorączkowo pracowała na jałowym biegu, urywki myśli, pędzące jak wichry i wirujące, zdawały się postukiwać niby zepsuty mechanizm. Ów duchowy zamęt męczył i irytował Żywagę. „Ach, ten łajdak Liberiusz – oburzał się. – Mało mu tego, że jest teraz na świecie mnóstwo powodów, które mogą każdego doprowadzić do obłądzenia. Musi jeszcze tą niewolą, swoją przyjaźnią i kretyńską gadaniną robić ze zdrowego człowieka neurastenika. Kiedyś go naprawdę zamorduję.”

Jak kolorowy, składający się i rozkładający strzępek materiału, przyleciał ze słonecznej strony brązowo nakrapiany motyl. Doktor sennym wzrokiem obserwował jego lot. Motyl siadł na tym, co najbardziej przypominało jego ubarwienie, na nakrapianej brązowo korze sosny, i zlał się z nią całkowicie. Niknął na niej tak samo, jak niknął przed cudzym wzrokiem Jurij Andriejewicz pod drżącą siatką słonecznych plam i cieni.

Ogarnęły go znajome myśli, które poruszał czasem ubocznie w swych pracach na tematy medyczne. Myślał o woli i celowości jako rezultatach doskonalącego się przystosowania. O mimikrze, o naśladownictwie i barwach ochronnych. O tym, że wyżyć mogą tylko osobniki najbardziej przystosowane, o tym, że być może droga doboru naturalnego jest właśnie drogą do ukształtowania się i powstania świadomości. Cóż to jest podmiot? Cóż to jest przedmiot? Jak zdefiniować ich tożsamość? W rozważaniach doktora Darwin zderzał się z Schellingiem, a przelatujący motyl z nowoczesnym malarstwem, ze sztuką impresjonistyczną. Doktor myślał o tworzeniu, twórcach, twórczości i przetwarzaniu.

Znowu zasnął i po minucie znów się obudził. Obudziła go tocząca się w pobliżu cicha rozmowa. Z kilku słów, które go doleciały, Żywago domyślił się, że mowa jest o czymś tajemniczym, zakazanym. Spiskowcy widocznie go nie spostrzegli, nie podejrzewali, że ktoś jest w pobliżu. Gdyby się teraz poruszył i zdradził swą obecność, mógłby przypłacić to życiem. Jurij Andriejewicz przytaił się, znieruchomiał i zaczął słuchać.

Niektóre głosy znał. Były to szumowiny, wyrzutki, które wkręciły się do partyzantki: Sańka Pafnutkin, Goszka Riabych, Kośka Niechwalonych i czeplający się ich Tierientij Gałuzin, inicjatorzy wszystkich świństw i skandali. Towarzyszył im

też Zahar Gorazdych, typ jeszcze bardziej podejrzany, który maczał palce w aferze bimbrowniczej, ale na razie nie został pociągnięty do odpowiedzialności jako ten, który wydał głównych winowajców. Zdziwiła Jurija Andriejewicza obecność partyzanta ze „srebrnej roty”, Siwobluja, który należał do osobistej ochrony dowódcy. Zgodnie z tradycją czasów Razina i Pugaczowa, za zaufanie okazywane mu przez Liberiusza nazywano go uchem atamana. A więc on także brał udział w spisku.

Spiskowcy rozmawiali z ludźmi podesłanymi z najbliższych podjazdów nieprzyjaciela. Parlamentariuszy nie było wcale słychać, tak cicho umawiali się ze zdrajcami, i tylko po przerwach w szepcie spiskowców Jurij Andriejewicz domyślał się, że teraz mówią przedstawiciele przeciwnika.

Najwięcej gadał ochryplym, zdartym głosem, przeklinając co chwila, pijak Zachar Gorazdych. Był chyba głównym prowodyrem.

– Słuchajcie teraz wszyscy. Najważniejsze – cichcem i ani pary z gęby. Jak który się załame i doniesie – widzicie finkę? Tą finką wypuszczę wam flaki. Jasne? Teraz już ani w tę, ani w tę, tak czy owak szubienica. Musimy zasłużyć na ułaskawienie. Trza wyciąć kawał, jakiego świat nie widział, coś specjalnego. Oni chcą go mieć żywego, związanego. Teraz chodzą słuchy, że do tych lasów podchodzi ichni setnik Gulewoj. (Podpowiedziano mu właściwe nazwisko, ale nie dosłyszał i poprawił się: „generał Galejew”.) Taka okazja drugi raz się nie nadarzy. To są ichni delegaci. Oni wam wszystko wyłożą. Mówią, że koniecznie związanego, żywcem. Sami spytajcie towarzyszy. Mówcie, jeden za drugim. Powiedzcie coś, bracia.

Zaczęli mówić obcy wysłannicy. Jurij Andriejewicz nie mógł pochwycić ani słowa. Milczenie trwało jednak tak długo, że mógł sobie wyobrazić, iż przybysze przedstawiają szczegółowy plan akcji. Znowu przemówił Gorazdych.

– Słyszeliście, braciszkowicie? Teraz sami widzicie, jakie nam się trafiło ziółko. I za takiego mamy się poświęcać? Czy to jest w ogóle człowiek? To jest opętaniec, nawiedzony, ni to niedorostek, ni to pustelnik. Ja ci dam rzeć, Tierieszka! Czego zęby szczerzysz, sodomito? Nie mówi się tobie do śmiechu. Tak. Coś niby dzieciuch-pustelnik. Spróbuj go słuchać, to cię przerobi całkiem na mnicha i wykastruje. Te jego przemówienia! „Wytępimy w środowisku”, „precz z plugawymi słowami”, „walka z pijaństwem”, „stosunek do kobiet”. Czy tak w ogóle można żyć? Na koniec powiem tak. Dziś wieczorem przy brodzie na rzece, tam gdzie leżą kamienie. Zwabię go na polanę, nawalimy się kupą. Poradzić sobie z nim to żadna sprawa. Tyle co raz splunąć. W czym kłopot? Oni chcą go koniecznie żywcem. Żeby związać. Ale jak zobaczę, że nie wychodzi, to sam się z nim rozprawię, załatwię go własnymi rękami. Oni przyślą swoich do pomocy.

„Przecież tym łotrom chodzi o Liberiusza! – myślał ze zgrozą i oburzeniem Jurij Andriejewicz, zapominając, ile razy sam przeklinał swego dręczyciela i życzył mu śmierci. – Ci niegodziwcy chcą go wydać białym albo zabić. Jak temu zapobiec? Podejdę niby przypadkiem do ogniska i nie wymieniając żadnych nazwisk powiadomię Kamiennodworskiego. I jakoś ustrzegę Liberiusza od zasadzki.”

Kamiennodworskiego nie było na dawnym miejscu. Ognisko się dopalało. Pilnował go, żeby ogień się nie rozprzestrzenił, jego zastępca.

Zamach nie doszedł jednak do skutku. Został udaremniony. O spisku, jak się okazało, wiedziano. Tego dnia zdemaskowano go ostatecznie i ujęto spiskowców. Siwobluj grał tu podwójną rolę konfidenta i prowokatora. Doktor poczuł jeszcze większy wstręt.

9

Nadeszły wieści, że uciekinierki z dziećmi są już tylko o dwa dni marszu od obozu. W Lisim Otoku szykowano się do rychłego spotkania z rodzinami, a następnie do zwinięcia obozu i wymarszu. Jurij Andriejewicz poszedł do Pamfiła Pałycha.

Zastał go u wejścia do namiotu z siekierą w ręku. Przed namiotem leżał wysoki stos ściętych na żerdzie młodych brzozek. Pamfił nie ociosał ich jeszcze. Jedne były ścięte tu właśnie i wałąc się na ziemię wbiły w wilgotny grunt ostrza złamanych gałęzi. Inne Pamfił przywłókł z pobliza i rzucił na wierzch stosu. Kołysząc się na sprężystych podwiniętych gałęziach, brzozy nie przylegały ani do ziemi, ani jedna do drugiej. Zdawały się odpychać rękami od Pamfiła i całym lasem żywej zieleni zagradzały mu wejście do namiotu.

– To na przyjęcie drogich gości – wyjaśnił Pamfił. – Dla żony i dzieciaków namiot będzie za niski. I w czasie deszczu go zalewa. Chcę podeprzeć dach żerdziami. Właśnie narąbałem drągów.

– Mylisz się, Pamfił, jeśli myślisz, że twojej rodzinie pozwolą mieszkać w namiocie. Kto to widział, żeby cywile, kobiety i dzieci mieszkaly razem z wojskiem? Zostawiaj ich w taborze gdzieś na skraju obozu. Jak będziesz miał wolny czas, proszę bardzo, chodź sobie do nich jak na randkę. A czy ich wpuszczą do namiotu, wątpię. Zresztą nie o to chodzi. Słyszałem, że chudniesz, przestałeś jeść i pić, nie sypiasz. A tymczasem wyglądasz nieźle. Tylko trochę zarosłeś.

Pamfił Pałych był krzepkim chłopiskiem o czarnych skołtunionych włosach i brodzie i guzowatym czole, które robiło wrażenie podwójnego na skutek bardzo grubej kości czołowej, niby pierścień lub miedziana obręcz opasującej mu skronie. Nadawało mu to nieprzyjemny, złowrogi wygląd, jakby wiecznie zezował spode łba.

Na początku rewolucji, kiedy się obawiano, że tak jak w dziewięćset piątym będzie ona tylko krótkotrwałym incydentem w dziejach oświeconych wyższych warstw, a nizin społecznych nie obejmie i nie umocni się w nich, starano się ją ze wszystkich sił rozpropagować, zrewolucjonizować lud, zastraszyć go, podbehtać i rozjuszyć.

W owych pierwszych dniach ludzi, którzy jak żołnierz Pamfił Pałych, bez żadnej agitacji, zażartą zwierzęcą nienawiścią nienawidzili inteligentów, szlachty i oficerów, pełna zapału lewicowa inteligencja uważała wręcz za odkrycie i ogromnie ceniła. Ich rozbestwienie uważano za szczyt uświadczenia klasowego, ich barbarzyństwo za wzorzec proletariackiej twardości i instynktu rewolucyjnego. Taką właśnie sławę

zyskał Pamfil. Cieszył się doskonałą opinią wśród dowódców partyzanckich i partyjnych agitatorów.

Jurijowi Andriejewiczowi ten ponury i niekomunikatywny osiłek z jego bezdusnością i ubóstwem zainteresowań wydawał się nienormalnym degeneratem.

– Wejźmy do namiotu – zaprosił Pamfil.

– Nie, po co. Zresztą nie przeleżę. Na dworze przyjemniej.

– Dobra. Niech ci będzie. To naprawdę nora. Pogadamy na dłużycach (tak nazywał obalone drzewa).

Usiedli na sprężynujących brzozowych pniach.

– Bajka, jak powiadają, prędko się baje, lecz nieprędko rzecz się staje. A mojej bajki prędko się nie da opowiedzieć. W trzy lata wszystkiego nie wyłożysz. Nie wiem, od czego zacząć. No więc chyba tak. Żyliśmy sobie z żoną, młodzi. Ona na gospodarstwie. Ja pracowałem na roli, nie skarżyłem się. Dzieci. Wzięli mnie do wojska. Pognali na wojnę. Wojna. Co by ci o niej powiedzieć? Widziałeś ją, towarzyszu doktorze. Potem rewolucja. Przejrzałem. Otworzyły się żołnierzowi oczy. Nie ten najgorszy wróg, co jest Niemcem, obcym, ale swój. Żołnierze światowej rewolucji, bagnety w ziemię, do domu z frontu, na burżujów! I w ten deseń. To ty wszystko sam wiesz, towarzyszu lekarzu wojskowy. I tak dalej. Wojna domowa. Przystaję do partyzantów. Teraz opuszczę dużo, bo nigdy nie skończę. Minęło czasu małowiele, i co ja widzę w danej chwili? Ten pasożyt wycofał z rosyjskiego frontu pierwszy i drugi pułk stawropolski i pierwszy orenburski kozacki. Cóż to, dzieciak jestem, nie rozumiem? Cóż to, nie służyłem w wojsku? Marne nasze widoki, doktorze, przegrana sprawa. Czego chce to ścierwo? Chce się na nas zwalić całą chmarą. Chce nas wziąć w okrążenie.

Teraz w chwili obecnej mam żonę, dzieciaki. Jeśli on wygra, gdzie przed nim uciekną? Czy jemu przyjdzie do głowy, że oni niewinni, że stali z boku? Nawet o tym nie pomyśli. Za mnie mojej żonie ręce zwiąże, weźmie na tortury, za mnie żonę i dzieci zamęczy, wszystkie kosteczki im policzy. No i jak tu jeść i spać? Choćby człek był z żelaza, to oszaleje.

– Dziwny jesteś, Pamfil. Nie rozumiem cię. Całymi latami obchodziłeś się bez nich, nic o nich nie wiedziałeś, nie tęskniłeś. A teraz lada dzień ich zobaczysz i zamiast się cieszyć, to ich z góry oplakujesz.

– Co było kiedyś, a co teraz, to wielka różnica. Zwycięża nas białogwardyjska gadzina. Zresztą nie o mnie chodzi. Mnie śmierć pisana. Taki widać mój los. Ale przecież swoich kochanych ze sobą na tamten świat nie wezmę. Dostaną się w łapy pohańcowi, a on całą krew z nich wypuści po kropelce.

– I stąd te czorciki? Podobno zwidują ci się jakieś czorciki?

– No dobra, doktorze. Nie wszystko ci powiedziałem. Nie powiedziałem najważniejszego. Dobra. Słuchaj mojej gorzkiej prawdy, nie miej żalu, że ci wszystko w oczy wygarnę.

Wielu waszych wyprawiłem na tamten świat, wiele na mnie krwi pańskiej i oficerskiej, i nic. Ani liczby, ani imion nie pamiętam, wszystko spłynęło jak woda po gęsi.

Tylko jeden nieszczęśnik nie wychodzi mi z głowy, stuknąłem go i nie mogę zapamiętać. Za co ja tego chłopaczka zabiłem? Rozśmieszył mnie, że mało nie pękłem. Ze śmiechu go zastrzeliłem, niechcący. Za nic.

To było w czasie lutowej. Za Kiereńskiego. Zbuntowaliśmy się. To było po kolei. Przysłali do nas smarkacza agitatora, żeby nas językiem do ataku poderwał. Żebyśmy walczyli do zwycięskiego końca. Taki kadecik przyjechał nas językiem nawracać. Szczuplutki. Miał takie hasło: do zwycięskiego końca. Wskoczył z tym hasłem na beczkę strażacką, stała beczka na stacji. Wskoczył, znaczy, na beczkę, żeby z wysoka nawoływać do boju, a tu kłapa mu się pod nogami omsknęła i on w wodę. Wleciał do beczki. Ale było śmiechu! Ażem się zatoczył. Umrę ze śmiechu, myślę, pęknię! A miałem w rękach karabin. A śmieję się i śmieję, nie mogę za nic przestać. Jakby mnie łaskotał. No i wycelowałem, i położyłem go na miejscu. Sam nie wiem, jak to się stało. Jakby mi ktoś rękę podbił. No i stąd te moje czorciki. Po nocach stacja mi się majaczy. Wtedy było śmiesznie, a teraz żal.

- To było w Mieluziejewie, na stacji Biriucze?
- Nie pamiętam.
- Zbuntowaliście się razem z ludźmi z Zybuszyna?
- Nie pamiętam.
- Jaki to był front? Na jakim froncie? Na zachodnim?
- Może i na zachodnim. Możliwe, nie pamiętam.

Część dwunasta

Szron na jarzębinie

1

Rodziny partyzantów od dawna już podążały na furmankach za wojskiem, z dziećmi i dobytkiem. Za taborem bieżeńców, z tyłu, pędzono ogromne stado bydła, przeważnie krów, liczące kilka tysięcy sztuk.

Wraz z żonami partyzantów pojawiła się w obozie nowa postać, żołnierka Złydaricha lub Kubaricha, konowalka, weterynarka, parająca się potajemnie wrózeniem.

Chodziła w nałożonej na bakier furażerce, w zielonkawym szynelu szkockich strzelców królewskich, pochodzącym z angielskich dostaw dla Najwyższego Dowództwa, i zapewniała, że przerobiła te rzeczy z aresztanckiej czapki i kitla, i że czerwoni uwolnili ją jakoby z więzienia w Kieźmie, gdzie Kołczak trzymał ją nie wiadomo za co.

Partyzanci rozbili właśnie nowy obóz. Miał to być postój tymczasowy, dopóki nie przeprowadzą zwiadu w okolicy i nie znajdą miejsca na stały obóz zimowy. Okoliczności jednak złożyły się inaczej i partyzanci zmuszeni byli zimować właśnie w tym miejscu.

Nowe obozowisko niczym nie przypominało porzuconego niedawno Lisiego Otku. Była to gęsta, nieprzebyta tajga. W jedną stronę, od drogi i obozu, nie miała końca. W pierwszych dniach, kiedy wojsko rozbijało nowy biwak i rozlokowywało się na postój, Jurij Andriejewicz miał trochę wolnego czasu. Zagłębiał się w las w kilku kierunkach, chcąc go zbadać, i przekonał się, jak łatwo tu zabłądzić. Dwa zakątki zwróciły jego uwagę w czasie tego pierwszego obchodu.

Po wyjściu z obozu i z lasu, który teraz był jesiennie nagi i widoczny na wskroś, jakby utworzono w jego pustkę wrota, rosła ładna jarzębina, jedyne drzewo, które zachowało rdzawe, rude listowie. Rosła na pagórku nad porośłym kępami trzęsawiskiem i wyciągała w górę, ku ołowianemu, zwiastującemu jesienną słotę niebu, płaskie szerokie tarczki swych twardych purpurowych jagód. Zimowe ptaszki o czerwonym jak zimowe zorze upierzeniu, gile i sikory, siadały na jarzębinie, powoli, wybrednie dziobały duże jagody i przelykały je z wysiłkiem, zadzierając w górę łebki i wyciągając szyjki.

Jakaś serdeczna bliskość nawiązywała się pomiędzy ptakami i drzewem. Jak gdyby jarzębina wszystko to widziała, opierała się długo, a potem dawała za wygraną i litując się nad ptaszkami ustępowała, rozpinając się i podawała im pierś, niby mamka niemowlętom. „Co mam z wami robić, zdawała się mówić. No, jedzcie mnie, jedzcie. Na zdrowie.” I uśmiechała się.

Drugie miejsce w lesie było jeszcze piękniejsze.

Leżało na wzniesieniu. Wzniesienie to, o kształcie namiotu czy szałas, z jednej strony kończyło się stromym urwiskiem. Zdawało się, że w dole pod urwiskiem powinno być coś innego niż na górze – rzeka, jar albo porośnięta nie koszoną trawą łąka. Tymczasem w dole znajdowało się jakby lustrzane odbicie tego, co na górze, tyle że w zapierającej dech głębi, tak nisko, że rosnące tu drzewa sięgały tylko do krawędzi górnego tarasu. Widocznie był to skutek obsunięcia się ziemi.

Jak gdyby ten surowy, podobłoczny, potężny las potknął się i jak długi poleciał w dół, gdzie zamiast runąć pogruchotany, w ostatniej chwili cudem utrzymał się na nogach, gdzie teraz cały i zdrowy rośnie i szumi w dole.

Leśne wzgórze wyróżniało się jednak inną osobliwą cechą. Otaczały je dokoła pionowe, stojące sztorcem granitowe skały. Przypominały płaskie, ociosane płyty prehistorycznych dolmenów. Kiedy Jurij Andriejewicz po raz pierwszy trafił na ów taras, gotów był dać głowę, że to miejsce ze skałami nie jest dziełem natury, lecz nosi ślady rąk ludzkich. Mogła tu być w dawnych czasach jakaś świątynia pogańska, gdzie odprawiano obrzędy i składano ofiary.

W tym właśnie miejscu w zimny pochmurny poranek wykonano wyrok śmierci na jedenastu najbardziej winnych spiskowcach i dwóch sanitariuszchimbrownikach.

Przyprowadziło ich tu około dwudziestu najbardziej oddanych rewolucji partyzantów z ludźmi z ochrony sztabu na czele. Konwój stanął półkołem wokół skazańców i z karabinami w rękach, następując szybkim marszem, zapędził ich na skalisty skraj polany, skąd nie było innej ucieczki niż skok w przepaść.

Przesłuchania, długi pobyt pod strażą i przeżyte poniżenia pozbawiły skazanych ludzkiego wyglądu. Byli zarośnięci, szerniali, wyczerpani i straszni jak widma.

Odebrano im broń na początku śledztwa. Nikomu nie przyszło do głowy obszukać ich ponownie przed wykonaniem wyroku. Wyglądałoby to na dodatkową podłość, na naigrzanie się z ludzi w obliczu śmierci.

Nagle idący obok Wdowiczenki jego przyjaciel, również ideowy anarchista Rżanicki, oddał trzy wystrzały w kierunku konwoju, celując do Siwobluja. Rżanicki był świetnym strzelcem, ale ręka drżała mu ze zdenerwowania i chybił. I znów ta sama delikatność i współczucie dla byłych towarzyszy sprawiły, że straż nie rzuciła się na Rżanickiego ani nie odpowiedziała na jego zamach przedwczesną salwą. Rżanickiemu pozostały jeszcze trzy naboje, ale zapominając o nich ze wzburzenia i wściekłości, że chybił, cisnął browning na skały. Broń wypaliła po raz czwarty, raniąc w nogę skazanego Paczkolę.

Sanitariusz Paczkola krzyknął, chwycił się za nogę i upadł, pojękując z bólu. Idący obok Pafnutkin i Gorazdych podnieśli go, chwycili pod ręce i powlekli, aby go w zamieszaniu nie zdeptano, gdyż wszyscy inni byli zupełnie nieprzytomni. Paczkola szedł w stronę skalistego urwiska, na które spychano skazanych, podskakując, kulejąc, nie mógł stąpać na przestrzelonej nodze i bez przerwy krzyczał. Jego nieludzkie wrzaski udzieliły się innym. Wszyscy jak na komendę

stracili panowanie nad sobą. Zaczęło się coś nieopisanego. Posypały się wymysły, błagania, skargi, klątwy.

Młodziutki Gałuzin zrzucił z głowy gimnazjalną czapkę z żółtym otokiem, którą jeszcze nosił, ukląkł i wraz z tłumem zaczął się czołgać na kolanach ku strasznym skałom. Co chwila kłaniał się do ziemi konwojowi, zanosił się płaczem i błagał półprzytomnie, przeciągle:

– Zawiniłem, bracia, zmiłujcie się, już nigdy nie będę. Nie gubcie mnie. Nie zabijajcie. Jeszcze wcale nie żyłem, za młody jestem, by umierać. Dajcie mi jeszcze pożyć, mamę, moją mamę choć razik jeszcze zobaczyć. Przebaczenie, bracia, zlitujcie się. Nogi wam będę całować, wodę wam będę na grzbiecie wozić. Oj, biada mi, biada – zginąłem. Mamusiu, mamusiu...”

Ktoś ze środka tłumu lamentował:

– Towarzysze kochani, najmilsi! Jakże to? Opamiętajcie się. Razem na dwóch wojnach krew przelewaliśmy. Staliśmy ramieniem w ramię, wojowaliśmy. Zlitujcie się, darujcie. Póki życia waszej dobroci nie zapomnimy, zasłużymy na nią, czynami dowiedziemy. Czyście ogłuchli, że nie odpowiadacie? A żeby was!

Do Siwoblują krzyczano:

– Ach, ty Judaszu, zdrajco! Jacyż z nas przy tobie zdrajcy? Sam, psie jeden, jesteś potrójny zdrajca, żeby cię powiesili! Carowi swojemu przysięgałeś, zabiłeś swego cara prawowitego, nam przysięgałeś wierność, zdradziłeś. Całuj swego czorta, Leśnego, pókiś go nie zdradził. Bo zdradzisz.

Wdowiczenko nawet w obliczu śmierci pozostał wierny sobie. Wysoko trzymał głowę z siwymi rozwianymi włosami i głośno, aby go wszyscy słyszeli, jak komunard do komunarda przemawiał do Rżanickiego:

– Nie ponizaj się, Bonifacy! Twój protest do nich nie dotrze. Nie rozumieją ciebie ci nowi oprycznicy, kaci nowej inkwizycji. Ale nie upadaj na duchu. Historia wszystko wyjaśni. Potomni postawią pod pręgierzem Burbonów komisarskiej tyranii i ich ciemne postęпки. Umieramy jako męczennicy idei w zaraniu światowej rewolucji. Niech żyje rewolucja ducha! Niech żyje światowa anarchia!

Salwa z dwudziestu karabinów, oddana na jakąś niedosłyszalną komendę, którą posłyszeli tylko strzelcy, skosiła połowę skazańców, większość od razu na śmierć. Resztę zabito drugą salwą. Najdłużej drgał chłopiec, Tieriesza Gałuzin, ale i on wreszcie zmarł, wyciągnięty bez ruchu.

2

Nie od razu zrezygnowano z zamiaru przeniesienia obozu na zimę w inne miejsce, bardziej na wschód. Długo przeprowadzano zwiad i objazdy okolicy po drugiej stronie traktu wzdłuż bytsko-kieżemskiego działu wodnego. Libierusz często wychodził z obozu do tajgi i pozostawiał doktora samego.

Na przeniesienie się było jednak za późno i nie było dokąd się przenieść. Partyzanci przeżywali okres największych niepowodzeń. Przed swą ostateczną klęską biali postanowili jednym uderzeniem raz na zawsze skończyć z

nieregularnym leśnym wojskiem i otoczyli je połączonymi siłami wszystkich frontów. Napierano na partyzantów ze wszech stron. Byłaby to dla nich katastrofa, gdyby promień okążenia był mniejszy. Ratowało ich to, że oskrzydlenie było bardzo rozległe, prawie nieodczuwalne. W przededniu zimy nieprzyjaciel nie był w stanie ściągnąć swych flank przez nieprzebytą, bezkresną tajgę, ciasniej otoczyć chłopskich oddziałów.

W każdym razie przeniesienie się dokądkolwiek stało się niemożliwe. Oczywiście, gdyby istniał plan translokacji zapewniający określone korzyści militarne, można by się było przebić przez linię okążenia na nowe pozycje. Takiego planu jednak nie było. Ludzie opadli z sił. Młodzi dowódcy, sami też przygnębieni, utracili autorytet wśród swych podwładnych. Starsi co wieczór zbierali się na radę wojenną, na której przedstawiano sprzeczne decyzje.

Trzeba było zaprzestać poszukiwań innego zimowiska i umocnić się w głębi zajętych już ostępów. Zimą, w czasie wielkich śniegów, miejsce to było niedostępne dla przeciwnika, słabo zaopatrzonego w narty. Trzeba się było okopać i zgromadzić zapasy żywności.

Partyzancki kwatermistrz Bisiurin meldował, że brakuje mąki i kartofli. Bydła było dość i Bisiurin przewidywał, że zimą podstawę wyżywienia stanowić będzie mięso i mleko.

Brakowało odzieży zimowej. Część partyzantów chodziła półnago. Wybito więc wszystkie psy w obozie i ludzie znający się na kuśnierstwie szyli serdaki z psich skór futrem na wierzch.

Doktorowi odmawiano środków opatrunkowych. Furmanki także były teraz potrzebne do ważniejszych celów. W czasie ostatniego przemarszu najczęściej chorych niesiono pieszo na noszach przez czterdzieści wiorst.

Z lekarstw pozostała Jurijowi Andriejewiczowi tylko chinina, jodyna i sól Glauberska. Jodyna, konieczna do operacji i opatrunków, była w postaci krystalicznej. Należało ją rozpuszczać w spirytusie. Pożalowano teraz zlikwidowania bimbrowni i zwrócono się do najmniej winnych bimbrowników, których swego czasu ulaskawiano, z poleceniem, by naprawili zniszczoną aparaturę albo sporządzili nową. Wznowiono fabrykę samogonu dla celów leczniczych. W obozie wszyscy tylko mrugali do siebie i kiwali głowami. Znowu zaczęło się pijaństwo i ogólny rozkład.

Moc upędzonego alkoholu osiągała prawie sto procent. W tak mocnym płynie dobrze się rozpuszczały preparaty krystaliczne. Później, na początku zimy, nalewką z tegoż bimbru na korze chinowej Jurij Andriejewicz leczył przypadki tyfusu plamistego, które powtórzyły się z nastaniem chłodów.

W tym czasie doktor widział Pamfiła Pałycha z rodziną. Żona jego i dzieci całe lato spędzili w ucieczkach, na pełnych kurzu drogach, pod gołym niebem. Byli przestraszeni przeżyтыми okropnościami i spodziewali się nowych. Tułaczka

wycisnęła na nich niezatarte piętno. Żona i troje dzieci Pamfiła, synek i dwie córki, mieli jasne, spłowiałe na słońcu, lniane włosy i białe, surowe brwi na czarnych, ogorzałych, spalonych wiatrem twarzach. Dzieci były zbyt małe, by przeżycia odbiły się na nich w jakiś sposób, ale z twarzy matki groza i niebezpieczeństwa stały wszelkie oznaki życia i pozostawiły tylko suchą regularność rysów, wargi zaciśnięte w niteczkę, napiętą nieruchomość cierpienia, wciąż gotowego do samoobrony.

Pamfił kochał ich wszystkich, szczególnie dzieci, bez pamięci, i ze zręcznością, która zdumiewała doktora, wycinał im różkiem dobrze wyostrzonej siekiery zabawki z drzewa, zajaczki, niedźwiadki, koguciki.

Kiedy rodzina przyjechała, Pamfił poweselał, nabrał otuchy, zaczął wracać do zdrowia. Ale oto rozeszła się wiadomość, że z uwagi na szkodliwy wpływ, jaki wywiera obecność rodziny na nastroje w obozie, partyzanci zostaną rozłączeni ze swymi bliskimi, obóz uwolniony od niepotrzebnego cywilnego obciążenia i tabor bieżących pod dobrą ochroną na zimę stanie obozem gdzieś dalej. Rozmów o tej rozłące było więcej niż rzeczywistych przygotowań. Doktor nie wierzył, że środek ten zostanie zastosowany. Ale Pamfił spochmurniał i powrócił znów do niego dawne czorciki.

4

Kilka przyczyn złożyło się na to, że na progu zimy obóz przeżył długi okres niepokoju, niepewności, groźnych i skomplikowanych sytuacji, dziwnych wydarzeń.

Biali zakończyli planowane okrążanie powstańców. Na czele tej operacji stali generałowie Wicyn, Quadri i Basałygo, którzy słynęli z twardości i niezachwianej stanowczości. Już same ich nazwiska przejmowały grozą żony powstańców w obozie i ludność cywilną, która jeszcze nie opuściła rodzinnych stron i pozostawała w swych wsiach daleko za nieprzyjacielskim kordonem.

Jak już wspomniano, nie dało się przewidzieć sposobów, jakimi nieprzyjaciel mógłby zawęzić pierścień blokady. Co do tego można było być spokojnym. Ale nie sposób też było ignorować okrążenia. Pokora wobec sytuacji moralnie wzmacniała przeciwnika. Z pułapki, nawet niegroźnej, trzeba było próbować się wyrwać, by zademonstrować swe siły bojowe.

W tym celu wydzielono dwa oddziały partyzanckie i zgrupowano je na wprost zachodniego łuku pierścienia. W wyniku wielodniowych zażartych walk partyzanci zadali nieprzyjacielowi klęskę, przerwali w tym miejscu blokadę i przedostali się na tyły wroga.

Przez wolną przestrzeń w miejscu przerwania pierścienia otworzył się dostęp do tajgi, do powstańców. Runęły, aby się do nich przyłączyć, nowe tłumy bieżących. W tym strumieniu cywilnej ludności byli nie tylko krewni partyzantów. Przerażone represjami białych całe okoliczne chłopstwo ruszyło z miejsca, porzuciło swe zgłiszcza i, co naturalne, usiłowało się połączyć z leśnym wojskiem, w którym widziało swego obrońcę.

W obozie jednak próbowano się uwolnić nawet od własnych darmozjadów i zupełnie się nie interesowano obcymi i nowymi. Partyzanci wyjeżdżali na spotkanie uciekinierów, zatrzymywali ich w drodze i kierowali w bok, do młyna na Czylimskiej Trzebieży, nad rzeczką Czylimką. Osada na tej porębie, utworzona z dworaków pobudowanych przy młynie, nazywała się Dwory. Właśnie w Dworach zamierzano rozbić zimowe obozowisko bieżenców i umieścić skład wydzielonej dla nich żywności.

W czasie podejmowania tych decyzji inne sprawy toczyły się swoją koleją i dowództwo nie nadążało za nimi.

Zwycięstwo odniesione nad nieprzyjacielem skomplikowało się. Biali przepuścili zwycięską grupę partyzantów w głąb kraju, po czym z powrotem zamknęli przerwany pierścień. Oddział, który przedarł się na ich tyły i oderwał od głównych sił, miał odcięty powrót do tajgi.

Z uciekinierkami też działo się źle. W gęstych, nieprzebytych ostępach łatwo się rozminąć. Ludzie, wysłani naprzeciw bieżenców, nie mogli natrafić na ich ślad i wracali z niczym, a kobiety rozszalałym strumieniem parły w głąb tajgi, dokonując po drodze cudów przedsiębiorczości: walały po obu stronach las, budowały mosty i tamy, przecierały drogi.

Wszystko to było wbrew zamierzeniom leśnego sztabu i wywracało do góry nogami plany Liberiusza i jego prognozy.

5

Dlatego właśnie się wściekał, stojąc ze Swiridem nie opodal traktu, który na niewielkim odcinku przechodził tu przez tajgę. Na drodze stali jego dowódcy, sprzecając się, czy przecinać przewody biegnącego wzdłuż drogi telegrafu, czy nie. Ostatecznie decydujące słowo należało do Liberiusza, który zagadał się z myśliwym. Liberiusz machał ręką do oficerów, że zaraz podejdzie, żeby nie odchodzili i zaczekali.

Swirid długo nie mógł się pogodzić ze skazaniem i rozstrzelaniem Wdowiczenki, który nie zawinił niczym poza tym, że jego wpływ, podważający autorytet Liberiusza, groził rozłamem w obozie. Swirid chciał odejść od partyzantów, znowu żyć samodzielnie, swobodnie jak dawniej. Ale niestety. Wynajął się, zaprzedał – czekał go los rozstrzelanych, gdyby teraz opuścił leśnych braci.

Pogoda była najgorsza, jaką można sobie wyobrazić. Ostry porywisty wiatr niósł nad ziemią poszarpane kłaki chmur, czarne jak kłęby lecącego kopcina. Nagle zaczynał z nich sypać śnieg z gorączkowym pośpiechem, w jakimś białym opętaniu.

W jednej chwili dał zaciągała się białym całunem, ziemię zaścielała biała kołdra. W następnej chwili kołdra zniknęła, tajała do cna. Ukazywała się czarna jak węgiel ziemia, obramowana u góry skośnymi zaciekami padających gdzieś daleko deszczów. Ziemia nie wchłaniała już więcej wody. W chwilach przejaśnień chmury się rozchodziły, jak gdyby ktoś na górze, przewietrzając niebo, otwierał okna, połyskujące zimną bielą szyb. Nie wsiąkająca w glebę nieruchoma woda

odpowiadała z ziemi takimi samymi otwartymi na oścież oknami kałuż i jezior, pełnych takiego samego blasku.

Słota ślizgała się dymnym oparem po terpentynowo-żywicznych igłach boru, nie przenikając w nie, jak nie przesiąka woda przez ceratę. Na przewodach telegraficznych wisiały, nanizane niczym paciorki, krople deszczu. Wisiały gęsto, jedna przy drugiej, i nie spadały.

Swirid należał do grupy wysłanej w głąb tajgi naprzeciw uciekinierek. Chciał opowiedzieć szefowi o tym, czego był świadkiem. O bałaganie, wynikającym z różnych sprzecznych, ale równie niewykonalnych rozkazów. O okrucieństwach, jakich się dopuszczała najsłabsza, rozbestwiona część kobiecego motłochu. Idące pieszo z tobołami, workami i niemowlętami na ręku młode matki, które straciły pokarm, padały z nóg i w przystępie szału porzucały dzieci na drodze, wytrząsały mąkę z worków i ruszały z powrotem. Lepsza szybka śmierć, twierdziły, niż długa z głodu. Lepiej trafić w ręce wroga niż w szpony leśnych drapieźników.

Inne, najsilniejsze, dawały przykład wytrzymałości i odwagi, nieznaney nawet mężczyznom. Swirid miał jeszcze mnóstwo innych informacji. Chciał przestrzec komendanta przed zagrażającym obozowi niebezpieczeństwem nowego powstania, groźniejszego niż to stłumione, i nie znajdował słów, gdyż niecierpliwość Liberiusza, który go z irytacją popędzał, odebrała mu mowę. A Liberiusz co chwila przerywał Swiridowi nie tylko dlatego, że czekano nań na drodze, machano i wołano, ale dlatego, że przez ostatnie dwa tygodnie bez przerwy ktoś do niego przychodził z tymi wieściami i komendant wszystko to już wiedział.

– Nie popędzaj mnie, towarzyszu komendancie. Ja i tak nie jestem mowny. Słowa mi więzną w zębach, jeszcze się udławię. Co ja ci mówię? Idź do taboru bieżenców, powiedz kobietom uciekinierkom, co i jak. Widzisz, jak się rozpuściły. Pytam cię, co to jest, czy „wszyscy na Kołczaka”, czy babskie pobojojwisko?

– Krócej, Swirid. Widzisz, że mnie wołają. Nie przeciągaj struny.

– Teraz o tej czarownicy, diablidy Złydarisze, pies z nią tańcował, nie wiadomo, co za jedna. Mówi, przypiszcie mnie do bydła na weterankę.

– Weterynarkę, Swirid.

– A co ja gadam? Toż mówię – weterankę, co by zwierzęcą zarazę leczyć. A teraz gdzie jej tam do twoich bydlatek, zamieniła się w matkę-popówkę, stołowierkę, krowie jutrznie odprawia, coraz to nowe kobitki bieżęńskie na złą drogę sprowadza. Tak i tak, mówi, do siebie żal miejcie, tak to jest, jak się leci z zadartą kiecką za czerwonym sztandarem. Na drugi raz nie lećcie.

– Nie rozumiem, o jakich ty uciekinierkach mówisz? O naszych, partyzanckich, czy o jakichś innych?

– Wiadoma rzecz, że o innych. O nowych, nietutejszych.

– Przecież miały rozkaz iść do osady Dwory, do młyna na Czylimce. Skąd się tu wzięły?

– Ale, osada Dwory. Po twoich Dworach dawno zgliszcza zostały, popieliszcza. I młyn, i cała trzebież wypalona. Przyszły nad Czylimkę, patrzą – gołe pustkowie.

Połowa rozum postradała, wyją jak wilki i nazad do białych. A inne hołoble obróciły i tutaj całym taborem.

– Przez taką gęstwinę, przez bagna?

– A piły i siekiery to co? Posłali do nich naszych chłopów dla ochrony, i ci pomogli. Gadają, że trzydzieści wiorst drogi porąbały. Z mostami, bestie jedne. I pomyśleć tylko – baby. Takie coś zrobią, cholery, że przez trzy dni byś nie wymyślił.

– Bałwan! Czego ty się cieszysz, durniu, trzydzieści wiorst drogi! To przecież na rękę Wicynowi i Quadriemu. Otworzyły wjazd do tajgi. Można nawet artylerię wprowadzić.

– Zaporę. Oddział zaporowy wystaw i koniec.

– Jakoś z bożą pomocą sam na to wpadłem.

6

Dni zrobiły się krótsze. O piątej już się ściemniało. Przed zmrokiem Jurij Andriejewicz przeszedł przez trakt w miejscu, gdzie kilka dni wcześniej Liberiusz sprzeczał się ze Swiridem. Doktor szedł do obozu. W pobliżu polany i górki, na której rosła jarzębina, uważana za słupek graniczny obozu, usłyszał czupurny, zadzierzysty głos Kubarichy, swej rywalki, jak żartem nazywał znachorkę. Jego konkurentka z krzykliwym popiskiwaniami wywodziła jakąś wesołą, dziarską nutę, pewnie czastuszki. Słuchano jej. Przerzywały śpiew wybuchy śmiechu kobiet i mężczyzn. Potem wszystko umilkło. Pewnie ludzie się rozeszli.

Wówczas Kubaricha zaczęła śpiewać inaczej, półgłosem, pewna, że jest zupełnie sama. Jurij Andriejewicz uważnie, by nie wpaść w bagno, wolno szedł w ciemnościach ścieżką, która okalała polankę pod jarzębiną. Nagle zatrzymał się jak wryty. Kubaricha śpiewała jakąś starą rosyjską pieśń. Doktor jej nie znał. Może była to improwizacja? Rosyjska pieśń jest jak woda w stawie. Zdaje się, że stoi i trwa w bezruchu. A w głębinie bezustannie wypływa z jazu i spójność jej powierzchni jest pozorny.

Wszelkimi sposobami, powtórzeniami, paralelizmami, powstrzymuje bieg rozwijającej się stopniowo akcji. Potem dociera do jakiejś granicy, nagle się otwiera i wszystkich zaskakuje. Tak wyraża się powściągliwa, panująca nad sobą tęskna siła. Jest to daremna próba powstrzymania słowami czasu. Kubaricha ni to śpiewała, ni to mówiła:

Biegał zając po świecie, po bożym.

Po świecie bożym, po śniegu białym,

biegał szarak kole jarzębiny-drzewa.

Biegał szarak, jarzębinie uskarżał się.

Mam ja, zając, serce bojaźliwe,

serce bojaźliwe, tchórzliwe.

Boję się ja, zając, tropu zwierzowego,

tropu zwierzowego,

*niesytego brzucha wilczego.
Zlituj się nade mną, krzewie jarzębiny,
krzewie jarzębiny, piękna jarzębino-drzewo.
Nie daj swojej kraszy złemu wrogowi,
złemu wrogowi, czarnemu krukowi.
Rozsyp kraśne grona garścią po wietrze,
garścią po wietrze, po śniegu, po białym.
Potem pognaj hen, w rodzinne strony,
do skrajnego domu, domu u opłotków.
W skrajne z brzegu okno, do tamtej alkowy,
kiedy pod zamknięciem dziewczyna się kryje,
moja miła, moja wytęskniona.
I na uszko powiedz mojej najmilejszej
słowo gorące, palące.
Umieram w niewoli, biedny ja żołnierzyk,
tęskno żołnierzowi na obczyźnie żyć,
ale wyrwę ja się z niewoli, z tej gorzkiej,
do mojej jagódki, mojej krasawicy.*

7

Żołnierka Kubaricha zamawiała chorą krowę Palichy, żony Pamfiła, Agafii Fotjewny, potocznie zwanej Fatiewną. Krowę wyprowadzono ze stada i postawiono w zaroślach, przywiązana za rogi do drzewa. Przy przednich nogach krowy siedziała na pniaku właścicielka, przy tylnych, na ławeczce do dojenia, żołnierka-wróżycha.

Reszta ogromnego stada tłoczyła się na niewielkiej polance. Ciemny bór obstępował je ze wszystkich stron ścianą wysokich jak góry, trójkątnych świerków, które zdawały się siedzieć na ziemi na szerokich zadach swych rozcapierzonych dolnych gałęzi.

Na Syberii hodowano jakąś jedną, premiiowaną szwajcarską rasę krów. Prawie wszystkie jednej maści, czarne w białe łaty, krowy, nie mniej niż ludzie, były udręczone niedostatkiem paszy, długimi przemarszami, nieznośną ciasnotą. Przyciśnięte do siebie bokami, szalały od ścisku. W tym opętaniu zapominały o swej płci i z rykiem, jak byki, właziły jedna na drugą, z trudem dźwigając w górę ciężkie wymiona. Jałówki z zadartymi ogonami wyrwały się spod nich i, obłamując krzewy i gałęzie, uciekały w gąszcz, dokąd rzucali się za nimi w pogoń starcy-pastuchy i mali pastuszkowie.

Zupełnie tak samo, uwięzione w ciasnym kręgu, który zakreślały na zimowym niebie wierzchołki świerków, równie burzliwie i bezładnie tłoczyły się, stawały dęba i pchały się na siebie śniegowe czarno-białe chmury nad leśną polaną.

Gromadka gapiów, stojąca nie opodal, przeszkadzała znachorce. Zmierzyła ich od stóp do głów złym wzrokiem, ale byłoby poniżej jej godności przyznać się, że ją krępują. Powstrzymywała ją przed tym aktorska miłość własna. Udawała więc, że ich nie dostrzega. Doktor obserwował ją niewidoczny, z tylnych rzędów.

Po raz pierwszy przyjrzał się jej dokładnie. Była w swej nieodstępnej angielskiej furażerce i zielonkawym płaszczu po interwentach, z niedbale odgiętymi klapami. Zresztą jej niemłoda twarz o namiętnych, dumnych rysach, którą odmładzały czarne oczy i brwi, mówiła wyraźnie, że jest jej zupełnie obojętne, co ma na sobie.

Jurija Andriejewicza zdumiał natomiast wygląd żony Pamfiła. Prawie jej nie poznał. W ciągu kilku dni strasznie się postarzała. Jej wytrzeszczone oczy niemal wyskakiwały z orbit. Na szyi, wyciągniętej jak hołobła, pulsowała wzdęta żyła. Oto co z nią zrobiły skrywane obawy.

– Nie daje mleka, gołąbeczko – mówiła Agafia. – Myślałam, że jest na wycieleniu, ale nie, już dawno pora na mleko, a ona nie daje.

– Akurat, na wycieleniu. Tu na cycu wrzód wąglik. Dam ci maść z ziołami do smarowania. I, rozumie się, odczynię.

– I drugą mam biedę – mąż.

– Zamówię, żeby nie zdradzał. To się da zrobić. Zacznie się tak kleić do ciebie, że go nie oderwiesz. Mów o trzeciej biedzie.

– Ale nie zdradza. Lepiej by już zdradzał. W tym właśnie bieda, że na odwrót, jeszcze bardziej do mnie i dzieci przyrósł, aż usycha z kochania. Wiem, co on myśli. Myśli tak – obozy rozdziela, wyślą nas w różne strony. Trafimy w ręce Basałygi, a jego przy nas nie będzie. Nie będzie komu nas bronić. Oni nas będą męczyć, cieszyć się z naszej męki. Znam ja jego myśli. Żeby tylko czegoś sobie nie zrobił.

– Pomyślimy. Zaradzimy smutkowi. Mów o trzeciej biedzie.

– Ale nie ma trzeciej. To już wszystko, krowa i mąż.

– Aleś ty uboga w biedy, kochana! Patrzaj, jak Pan Bóg cię miłuje. Takiego szczęścia to ze świecą szukać. Tylko dwie biedy masz, biedulko, a i to jedna – kochający mąż. Co mi dasz za krowę? Zaraz zacznę odczyniać.

– A co byś chciała?

– Bochen sitkowego i męża.

Dokoła rozległy się chichoty.

– Żartujesz chyba?

– No, jeśli to za drogo, to opuszczę bochen. Dobijemy targu tylko na męża.

Śmiech zabrzmiał jeszcze głośniejsze.

– Jak się nazywa? Nie mąż – krowa.

– Krasawa.

– Tu chyba z pół stada tych Krasaw. No, dobrze. W imię boże zaczynam.

I zaczęła zamawiać. Najpierw jej zaklęcia odnosiły się rzeczywiście do krowy. Potem wpadła w zapał i wygłosiła Agafii całe pouczenie o czarach i ich zastosowaniu. Jurij Andriejewicz słuchał zafascynowany tego bredzenia, jak niegdyś w drodze z Rosji europejskiej na Syberię słuchał kwiecistej paplaniny woźnicy Wakcha.

Żołnierka mówiła:

– Ciotko Margoško, przyjdź do nas w gości. We wtorek, we środę, odwróć nam szkodę. Niechaj los się odmienia, czyrak schodzi z wymienia. Stój grzecznie, Krasawka, bo wywróci się ławka. Nie ruszaj z kopyta, jeno stój jak wryta. Stój sobie, a mleko niechaj płynie rzeką. Pokrako, straszaku, strup zeszkrob parszywy i wyrzuć w pokrzywy. Mocne jak carowe słowo znachorowe.

Wszystko trza znać, Agafiuszko, odczynianie, zaczynianie, słowo uroczne, słowo oduroczne. Ty na ten przykład patrzysz i myślisz: las. A to nieczysta siła z hufcami anielskimi się ściera, walczą jak nasi z Basałygowymi.

Albo teraz popatrzaj, gdzie ja ci pokażę. Nie tam patrzysz, miła. Ty oczami patrzaj, a nie karkiem, i patrzaj, gdzie ci palcem pokazuję. O, o. Myślisz, że co to jest? Myślisz, że ptak gniazdo wił? Akurat. To właśnie podstęp biesowski. To rusałka swojej córce wianek plotła. Słyszy, że ludzie idą – i wyrzuciła. Spłoszyli ją. W nocy skończy, doplecie – zobaczysz.

Albo znowuż ten wasz sztandar czerwony. Co myślisz? Myślisz, że to flaga? A to wcale nie flaga, tylko dziewczki-morowicy mamidło, malinowa chusta; mamidło, powiadam, a dlaczego mamidło? Żeby młodym chłopcom chustką machać, tumanić, młodych chłopców wabić na ubój, na śmierć, mór nasyłać. A wyście uwierzyli – flaga, i schodzi się ze wszystkich stron proletariat i biedota.

Teraz wszystko trza wiedzieć, matko Agafio, wszystko, wszystko, co i jak. Jaki ptak, jaki kamień, jaka trawa. Teraz na ten przykład ptak to będzie dziwoptak szpak. A zwierz to będzie borsuk.

Albo na ten przykład zechcesz się z kimś pomiłować, to tylko powiedz. Kogo chcesz, ci naraję. Nawet waszego naczelnika Lesnycha, nawet Kołczaka, nawet carewicza-Iwana. Myślisz, że się przechwalam, łzę? A właśnie, że nie łzę. No, patrzaj, słuchaj. Przyjdzie zima, zacnie zadymka w polu tumany wzbijać, wiry kręcić. Ja ci w ten słup śniegowy, ten kołowrót śnieżny nóż wetknę, wbiję nóż w śnieg aż po samą rękojęść, i cały od krwi czerwony ze śniegu wyciągnę. Widziałaś coś takiego? Aha, a myślałaś, że łzę. A skąd się bierze, powiedz, w zawierusze śnieżnej krew? To przecie wicher, powietrze, śnieżny pył. Ano właśnie, kumo, to nie wicher, nie zawieja, ale rozwódka dziwożona wiedźma dzieciątko swoje zagubiła, szuka po polu, płacze, nie może znaleźć. I w nią mój nóż ugodzi. Dlatego krew. Ja ci tym nożem, czyj zechcesz, ślad wykroję i jedwabiem do koszuli przyszyję. I zacnie nawet Kołczak, nawet Strielnikow, nawet jakiś nowy car krok w krok za tobą chodzić, gdzie ty, tam i on. A tyś myślała, że łzę, myślałaś, że zwołuję ze wszystkich stron proletarię i nędzotę.

Albo znowuż teraz kamienie z nieba padają, padają jak deszcz. Wyjdzie człowiek za próg z domu, a tu na niego kamienie. Albo też ludzie widzieli, jak jeźdźcy przejeżdżali konno po niebie, konie kopytami zawadzały o dachy. Albo w dawnych czasach byli czarownicy, co wskazywali: ta kobieta ma w sobie ziarno, ta miód, ta znowuż kunie futro. I rycerze tym kobietom obnażali ramię, jak się otwiera skrzynię, i wyjmowali mieczem z łopatki u jednej miarę pszenicy, u drugiej popielicę, u trzeciej plaster miodu.

Zdarza się czasem w życiu wielkie i silne uczucie. I zawsze jest w nim cząstka litości. Przedmiot naszego uwielbienia wydaje nam się skrzywdzoną ofiarą tym bardziej, im bardziej kochamy. U niektórych mężczyzn współczucie dla kobiety przechodzi wszelkie wyobrażenie. Ich wrażliwość stawia ją w nieprawdopodobnych sytuacjach, które mogą zaistnieć jedynie w wyobraźni, są zazdrośni o powietrze, które ją otacza, o prawa natury, o tysiąclecia, jakie upłynęły przed jej pojawieniem się na świecie.

Jurij Andriejewicz był dostatecznie odczytany, by w ostatnich słowach wiedźmy domyślić się początkowych fragmentów jakiegoś latopisu, Nowogrodzkiego czy Hipackiego, zamienionych w apokryf przez nawarstwione deformacje. Całymi wiekami przekręcali je znachorzy i bazarze, ustnie przekazywano je z pokolenia na pokolenie. A jeszcze wcześniej plątali i wypaczali tekst skrybowie.

Czemu tak nim owładnęła tyrania legendy? Czemu bełkotliwe brednie, bezsensowne fantazje potraktował jak coś realnego?

Larze obnażono lewe ramię. Tak jak się wkłada klucz w drzwiczki tajemnej skrytki w szafie, obrotem miecza otwarto jej łopatkę. W głębi odsłoniętego wnętrza duszy ukazały się przechowywane tam tajemnice. Obce miasta, w których bywała, obce ulice, obce domy, obce przestrzenie ciągnęły się jak wstęgi, jak rozwijające się motki, całymi zwojami wypadały na zewnątrz.

O, jakże ją kochał! Jakże była piękna! Właśnie tak, jak zawsze sobie wyobrażał i marzył, tak, jak pragnął! Ale co było tym pięknem, jaka jej część? Coś takiego, co można by nazwać lub wyróżnić? O, nie, nie! To była owa niezrównana śmigła linia, którą jednym szybkim pociągnięciem obrysowywał ją od góry do dołu Stwórca, i w tym boskim kształcie oddał ją w ręce jego duszy, jak owinięte szczelnie w prześcieradło wykąpane dziecko.

A gdzież on jest teraz i co się z nim dzieje? Las, Syberia, partyzanci. Są otoczeni, i on podzieli ich wspólny los. Co za diabelstwo, co za niebywała historia. I znów doktorowi zaczęło się mącić w oczach i w głowie. Wszystko jęło się rozplýwać przed jego wzrokiem. W tej chwili zamiast spodziewanego śniegu zaczął kropić deszcz. Jak przerzucony nad ulicą od domu do domu wielki transparent, popłynął powietrzem z jednej leśnej polany na drugą niewyraźny, ale powiększony wielokrotnie zarys jednej cudownej, boskiej twarzy. I ta twarz płakała, a wzmagający się deszcz całował ją i zraszał.

– Idź – mówiła wróżka do Agafii – odczyńska twoją krowę. – Wyzdrowieje. Módl się do Matki Boskiej. Albowiem ona jest przybytkiem i księgą słowa zwierzęcego.

Toczyły się walki u zachodnich granic tajgi. Ale była ona tak wielka, że na pozór rozgrywało się to na dalekich rubieżach imperium, a zagubiony w ostępach obóz był tak liczny, że choć mnóstwo ludzi wychodziło z niego do boju, jeszcze więcej zawsze zostawało, i nigdy nie pustoszał.

Dudnienie odległej bitwy prawie nie docierało do obozu. Nagle przez las przetoczyło się kilka wystrzałów. Nastąpiły jeden po drugim zupełnie blisko, i zaraz przeobraziły się w gęstą, bezładną strzelaninę. Ludzie na odgłos strzałów rzucili się w rozsypce do ucieczki. Partyzanci z oddziałów pomocniczych pobiegli do swych furmanek. Zrobił się popłoch. Wszyscy zaczęli się przygotowywać do walki.

Wkrótce popłoch minął. Alarm był fałszywy. Ale nagle ludzie znowu zaczęli ścigać w miejsce, gdzie strzelano. Tłum rósł. Podchodzili wciąż nowi.

Cizba otaczała leżący na ziemi okrwawiony ludzki szczątek. Okaleczony człowiek ledwie dyszał. Miał odrąbaną prawą rękę i lewą nogę. Było niepojęte, jak na pozostałej ręce i nodze ów nieszczęśnik doczołgał się do obozu. Odrąbane kończyny jak straszne krwawe tłumoki miał przywiązane na plecach wraz z długim napisem na deseczce, gdzie wśród wymyślnych przekleństw stwierdzano, że zostało to zrobione w odwecie za bestialstwa takiego to a takiego czerwonego oddziału, z którym partyzanci z leśnego bractwa nie mieli nic wspólnego. Prócz tego dodano, że tak będzie się postępować z każdym, jeżeli w podanym niżej terminie partyzanci nie poddadzą się i nie złożą broni w ręce przedstawicieli wojsk korpusu Wicyna.

Męczennik-kaleka, brocząc krwią, przerywanym głosem i płaczącym się językiem, co chwila tracąc przytomność, opowiadał o mękach i torturach w oddziałach wojskowo-śledczych i karnych generała Wicyna. Śmierć przez powieszenie, na którą go skazano, zamieniono mu w drodze łaski na odcięcie ręki i nogi, by go w tym stanie wypuścić na postrach do obozu partyzanckiego. Do pierwszej linii obozowych wart nieśli go na rękach, a potem położyli na ziemi i kazali się czołgać, poganiając go z daleka wystrzałami w powietrze.

Zamęczony ledwie poruszał ustami. Żeby zrozumieć jego niewyraźny bełkot, ludzie słuchali go nisko pochyleni.

– Strzeżcie się, bracia – mówił. – On się przedarł.

– Posłaliśmy oddział zaporowy. Tam jest wielka bitwa. Zatrzymamy ich.

– Wyrwę zrobi. Wyrwę. On chce niespodzianie. Ja wiem. Oj, nie mogę, bracia. Widzicie, krew ze mnie uchodzi, krwią kaszlę. Zaraz umrę.

– Poleż, odpocznij. Nic nie mów. Nie pozwólcie mu mówić, bestie. Widzicie, że mu to szkodzi.

– Żywego miejsca na mnie nie zostawił, krwiopijca, pies. Krwią, powiada, własną będziesz się myć, mów, kim jesteś. A jak ja mogę mu to powiedzieć, bracia, skoro jestem prawdziwy, najprawdziwszy dezenter? Tak. Od niego przeszedłem do waszych.

– Ciągłe mówisz – kto się tam u nich nad tobą znęcał?

– Oj, bracia, na wnątrzu pali. Dajcie kapkę odpocząć. Zaraz powiem. Ataman Bekieszyn. Pułkownik Strese. Ludzie Wicyna. Wy tu w lesie nic nie wiecie. W mieście lament. Z żywych ludzi żelazo topią. Z żywych pasy drą. Wciągną za kołnierz nie wiadomo gdzie, w jakieś ciemności. Macasz dokoła – klatka, wagon. W klatce ze czterdziestu luda w samej bieliźnie. Ani się spodziewasz, a tu otwierają klatkę i łapska pchają. I pierwszego z brzegu. Wyciągają. Tak jakby kury rznęli. Jak Boga kocham. Tego powiesić, tego pod wyciory, tamtego na śledztwo. Tłuką do krwi, rany

posypują solą, polewają wrzątkiem. Jak się zrzyga albo zrobi pod siebie, zmuszają – żryj. A co z dziećmi, a co z kobietami, o Boże jedyny!

Nieszczęśnik był już w agonii. Nie skończył mówić, krzyknął i skonał. Jakoś wszyscy to od razu odgadli, zaczęli zdejmować czapki, żegnać się.

Wieczorem obleciała cały obóz druga nowina, jeszcze straszniejsza.

Pamfil Pałych był w tłumie stojących wokół umierającego. Widział go, słyszał jego opowieść, przeczytał pogrożki na deseczce.

Dreńczący go stale strach o los bliskich w razie jego śmierci napłynął z niesłychaną siłą. W wyobraźni już widział ich poddanych powolnym torturom, widział wykrzywione cierpieniem twarze, słyszał jęki i wołanie o ratunek. Żeby wybawić ich od przyszlých mąk i skrócić własne, w szaleństwie rozpaczy sam ich pozabijał. Zarąbał żonę i troje dzieci tą samą, ostrą jak brzytwa siekierą, którą wycinał dziewczynkom i ukochanemu synkowi Flonuszce zabawki z drzewa.

O dziwo, nie popełnił samobójstwa zaraz potem. O czym myślał? Czego mógł oczekiwać? Jakie miał zamiary? Był przecież prawdziwym szaleńcem, człowiekiem bezpowrotnie skończonym.

Podczas gdy Liberiusz, doktor i członkowie rady wojskowej naradzali się, co z nim zrobić, Pałych chodził swobodny po obozie, z głową zwieszoną na piersi, niczego nie widząc mętnie żółtymi, patrzącymi spode łba oczyma. Nie schodził mu z twarzy tępy, błędzący uśmiech nieludzkiego, nie ukojonego cierpienia.

Nikt się nad nim nie litował. Wszyscy od niego uciekali. Odzywały się głosy, nawołujące do samosądu, ale nie znajdowały poparcia.

Nie miał już co robić na świecie. O brzasku zniknął z obozu, jak ucieka przed samym sobą chore na wściekliznę zwierzę.

9

Już dawno nadeszła zima. Trwały trzaskające mrozy. W mroźnej mgłę pojawiały się poszarpane dźwięki i kształty, stały, poruszały się, nikły. Słońce, nie to, do którego przywykli ludzie na ziemi, ale jakieś inne, zamienione, purpurową kulą wisiąło w lesie. Rozchodziły się od niego z wysiłkiem, powoli jak we śnie albo w baśni, promienie gęstego jak miód, bursztynowego światła i po drodze zastygły w powietrzu i przymarzały do drzew.

Ledwo dotykając ziemi wypukłą podeszwą i budząc za każdym krokiem wściekły chrzęst śniegu, we wszystkich kierunkach stąpały niewidzialne nogi w walonkach, a dopełniające je postacie w baszłykach i kożuszkach osobno przepływały powietrzem, jak ciała niebieskie wirujące w przestworzach.

Znajomi zatrzymywali się i rozmawiali. Zbliżali do siebie spurpurowiałe niczym w łaźni twarze z oblodzonymi miotełkami bród i wąsów. Kłęby gęstej, zawieszistej pary buchały im z ust, zbyt wielkie w porównaniu ze skąpymi, jakby odmrożonymi słowami ich krótkich rozmów.

Na ścieżce zderzyli się Liberiusz i doktor.

– Ach, to pan? Kopę lat! Wieczorem zapraszam do mojej ziemianki. Zanocuje pan u mnie. Wspomnimy stare czasy, pogadamy. Mam wiadomości.

– Umyślny wrócił? Są wieści o Warykinie?

– O mojej i pańskiej rodzinie nie ma w doniesieniu ani słowa. Ale z tego akurat wyciągam pocieszające wnioski. Znaczący, że się w porę uratowali. Bo inaczej byłaby o nich wzmianka. Zresztą o wszystkim pogadamy przy spotkaniu. A więc czekam na pana.

W ziemiance doktor powtórzył pytanie:

– Niech pan tylko powie, co pan wie o naszych rodzinach?

– Znow nie chce pan widzieć dalej swego nosa. Nasi są, jak sądzę, zdrowi i bezpieczni. Ale nie o nich chodzi. Mam wspaniałe nowiny. Chce pan mięsa? Cielęcina na zimno.

– Nie, dziękuję. Niech się pan nie rozprasza. Do rzeczy.

– Trudno. A ja zjem. W obozie szkorbut. Ludzie zapomnieli, co to takiego chleb, zielenina. Trzeba było jesienią w sposób bardziej zorganizowany zbierać orzechy i jagody, dopóki były tu uciekinierki. Ale mówiłem, że nasze sprawy stoją wprost świetnie. Stało się to, co przepowiadałem. Lody ruszyły. Kołczak cofa się na wszystkich frontach. Jest to całkowita, rozrastająca się żywiołowo klęska. Widzi pan? Co mówiłem? A pan kwękał.

– Kiedyż to kwękałem?

– Stale. Zwłaszcza kiedy Wicyn nas przyciskał.

Doktor przypomniał sobie niedawno minioną jesień, rozstrzelanie buntowników, dzieciobójstwo i żonobójstwo Pałycha, krwawe jatki i rzeź, która nie miała końca. Biali i czerwoni prześcigali się w okrucieństwach, każdy następny odwet był straszniejszy niż poprzedni, wielokrotnie pomnożony. Mdliło od krwi, krew podchodziła do gardła i uderzała do głowy, zalewała oczy. To nie było bynajmniej kwękanie, to było coś zupełnie innego. Ale jak to wyjaśnić Liberiuszowi?

W ziemiance pachniało aromatyczną spalenizną. Swąd osiadał na podniebieniu, kręcił w nosie, drapał w gardle. Wnętrze oświetlone było cieniutko ponacinanymi łuczycami w żelaznym trójnożnym kaganku. Kiedy łuczycywo się dopalało, zwęglony koniuszek spadał w podstawioną miednicę z wodą, i Liberiusz wtykał w pierścień nowe, zapalone.

– Widzi pan, co palę. Olej się skończył. Przesuszyli my drwa. Za szybko się wypala łuczycywo. Tak, szkorbut w obozie. Co pan tak patrzy, doktorze. Powinien pan zebrać sztab, naświetlić sytuację, wygłosić dla kierownictwa odczyt o szkorbutcie i środkach zaradczych.

– Na miłość boską, niech mnie pan nie dręczy. Co pan wie konkretnie o naszych rodzinach?

– Mówiłem już panu, że żadnych dokładnych informacji o nich nie ma. Ale nie powiedziałem, co wiem z ostatnich komunikatów ogólnowojskowych. Wojna domowa skończona. Kołczak rozbity ze szczętem. Armia Czerwona ściga go linią kolejową na wschód, żeby zepchnąć w morze. Druga część Armii Czerwonej podąża, aby się z nami połączyć i wspólnymi siłami przystąpić do likwidacji jego liczących,

rozsianych wszędzie tyłów. Południe Rosji jest oczyszczone. Nie cieszy się pan? Jeszcze panu mało?

– Nieprawda. Cieszę się. Ale gdzie są nasze rodziny?

– W Warykinie ich nie ma, i to wielkie szczęście. Legendy, które opowiadał latem Kamiennodworski, wprowadzi się nie potwierdziły – pamięta pan głupie pogłoski o napadzie na Warykino jakiegoś zagadkowego plemienia? – ale osada całkowicie opustoszała. Widocznie coś tam się jednak działo, i bardzo dobrze, że obie nasze rodziny zawczasu stamtąd się wyniosły. Miejmy nadzieję, że się uratowały. Takie są, jak twierdzi mój zwiad, przypuszczenia paru osób, które tam zostały.

– A Juriatin? Co się tam dzieje? W czyich jest rękach?

– Też opowiadają jakieś brednie. Na pewno pomyłka.

– A konkretnie?

– Rzekomo są tam jeszcze biali. To kompletny absurd, zupełnie niemożliwe. Zaraz to panu udowodnię.

Liberiusz wstawił w kaganek nowe łuczywo, rozłożył obszarpaną mapę sztabową, podwijając pod spód niepotrzebne części, i zaczął tłumaczyć z ołówkiem w ręku.

– Niech pan patrzy. Na wszystkich tych odcinkach biali zostali wyparci. O tutaj, tutaj i tutaj, w całym tym kole. Patrzy pan uważnie?

– Tak.

– Nie mogą się znajdować na kierunku Juriatina. W przeciwnym razie, jako że łączność została przecięta, trafiliby w potrzask. Tego nie mogą nie rozumieć ich generałowie, jakkolwiek byliby nieudolni. Włożył pan kozuch? Dokąd to?

– Przepraszam, ja na chwilę. Zaraz wrócę. Nadymione tu machorką i swędem łuczywa. Niedobrze mi. Poodycham świeżym powietrzem.

Doktor wyszedł z ziemianki i zmiotł rękawicą śnieg z grubej kłody, którą położono tu, by można było siedzieć przed wejściem. Usiadł na niej, pochylił się i zamyślił z głową wspartą na rękach. Zimowa tajga, leśny obóz, osiemnaście miesięcy spędzonych u partyzantów jakby nie istniały. Zapomniał o nich. Oczyma wyobraźni widział swoich bliskich. Snuł domysły, jeden straszniejszy od drugiego.

Oto Tonia idzie polem wśród zamieci z Szuroczką na rękach. Otula go w koc, nogi zapadają się jej w śnieg. Z wysiłkiem je wyciąga, a zamieć ją zasypuje, wicher przewraca na ziemię, Tonia upada i podnosi się, nie ma sił utrzymać się na osłabionych, drżących nogach. O, ale on przecież wciąż zapomina, zapomina. Ona ma dwoje dzieci i młodsze karmi. Obie ręce ma zajęte, jak uciekinierki nad Czylimką, które z rozpacz i napięcia ponad siły postradały zmysły.

Obie ręce ma zajęte, a dokoła nikogo, kto mógłby jej pomóc. Tata Szuroczki nie wiadomo gdzie się obraca, jest daleko, zawsze daleko, przez całe życie z dala od nich. Zresztą czy to jest w ogóle tatuś, czy tacy są prawdziwi tatusiowie? A gdzie jest jej własny tatuś, gdzie Aleksander Aleksandrowicz, gdzie Niusza? Gdzie wszyscy inni? O, lepiej nie zadawać sobie tych pytań, lepiej nie myśleć, lepiej się nie zastanawiać.

Doktor podniósł się z kłody z zamiarem zejścia z powrotem do ziemianki. Nagle jednak myśli jego przybrały inny kierunek. Rozmyślił się i postanowił nie wracać na dół do Liberiusza.

Narty, worek z sucharami i inne rzeczy konieczne do ucieczki dawno już sobie zgromadził. Zakopał je w śniegu za linią wart obozowych pod wielką jodłą, którą dla pewności naznaczył jeszcze specjalnym nacięciem. Ruszył w tę stronę wydeptaną wśród zasp ścieżką. Była jasna noc. Świecił księżyc w pełni. Doktor wiedział, gdzie zostały rozstawione na noc stráže, i ominął je pomyślnie. Ale przy polanie z oblodzoną jarzębiną z daleka zawołał nań wartownik i podjechał do niego ślizgiem, stojąc prosto na rozpędzonych nartach.

– Stać! Bo będę strzelać! Kto idzie? Odpowiadaj.

– Coś ty, bracie, oszalałeś? Swój. Nie poznajesz? Doktor Żywago.

– Przepraszam! Nie gniewaj się, towarzyszu Żelwak²². Nie poznałem. Ale chociaż ty Żelwak, dalej cię nie puszczę. Wszystko musi być, jak należy, po porządku.

– No to słuchaj. Hasło: Czerwona Syberia, odzew: Precz z interwentami.

– A to inna sprawa. Idź, gdzie chcesz. Kiego diabła łazisz po nocy? Ktoś zachorował?

– Nie mogę spać i pić mi się chce. Pomyślałem sobie, że się przejdę, zjem trochę śniegu. Zobaczyłem jarzębinę z mrożonymi jagodami i chciałem trochę pojeść.

– To są właśnie pańskie fanaberie, zimą po jagody. Trzy lata skórę łoimy, łoimy, niceśmy nie wybili. Żadnego uświadomienia. Idź po swoją jarzębiną, wariacie. Nie żałuję ci.

I rozpędzając się coraz bardziej, wartownik, odepchnąwszy się mocno, stojąc odjechał w bok na długich świszczących nartach i zaczął się oddalać po nietkniętym śniegu coraz bardziej i bardziej za cienie, jak przerzedzone włosy, zimowe krzaczki. A ścieżka, po której szedł doktor, przywiodła go do wspomnianej przed chwilą jarzębiny.

W połowie pokrywał ją śnieg, a w połowie zmarznięte liście i jagody; wyciągała dwie zaśnieżone gałązki w stronę doktora. Jurij Andriejewicz przypomniał sobie duże ręce Lary, krągłe, szczodre, i chwytając gałązki, przyciągnął drzewo ku sobie. Jarzębina w odpowiedzi jak gdyby świadomie obsypała go śniegiem od stóp do głów. Doktor mamrotał, nie rozumiejąc, co mówi, i nie zdając sobie z tego sprawy:

– Zobaczę cię, piękności ty moja nieopisana, królowo moja, jarzębinko, sercem ukochana.

Noc była jasna. Świecił księżyc. Żywago pobrnął w głąb tajgi do znajomej jodły, odkopał swoje rzeczy i odszedł z obozu.

²² Guz, narośl (ros.); w wymowie rosyjskiej słowa *Żywago* i *żelwak* brzmia podobnie (przyp. tłum.).

Część trzynasta

Naprzeciw domu z figurami

1

Po krzywej stromiznie w kierunku Małej Spaskiej i Nowoswałocznego zbiegała Wielka Kupiecka. Spoglądały na nią domy i cerkwie z położonych wyżej części miasta. Na rogu stał ciemnoszary dom z figurami. Na ogromnych czworokątnych kamieniach jego opadającego ukośnie fundamentu czerniały świeżo rozlepione numery gazet rządowych, rządowe dekrety i zarządzenia. Niewielkie grupki przechodniów długo stały na chodniku, czytając w milczeniu tę literaturę. Po niedawnej odwilży zrobiło się sucho, mroźno. Mróz wyraźnie wzrastał. Było zupełnie jasno w porze, o której jeszcze niedawno zapadał zmrok. Właśnie minęła zima. Pustkę opróżnionego miejsca zapełniło światło, które nie odchodziło i pozostawało wieczorami. Światło to wzruszało, ciągnęło gdzieś w dal, budziło lęk i niepokój.

Niedawno z miasta odeszli biali, poddawszy je czerwonym. Skończyły się ostrzały, przelew krwi, wojenne alarmy. To także budziło obawy i niepokoje, tak jak odejście zimy i przyrost wiosennego dnia.

Obwieszczenia, które w świetle dłuższego dnia czytali przechodnie, głosiły:

„Do wiadomości mieszkańców. Książeczki pracy dla zamożnych wydaje się po 50 rubli sztuka w Wydziale Apropowizacyjnym Rady Miejskiej, Oktiabraska, dawniej Generałgubernatorska, 5, pokój 137.

Nieposiadanie książeczki pracy, a zwłaszcza fałszowanie wpisów, będzie karane z całą surowością stanu wojennego. Dokładna instrukcja posługiwania się książeczkami pracy opublikowana jest w numerze 86(1013). „Wiadomości Juriatińskiego Komitetu Wykonawczego” za rok bieżący i wywieszona w Wydziale Apropowizacyjnym Rady Miejskiej, pokój 137.”

W drugim obwieszczeniu informowano o dostatecznej ilości znajdujących się w mieście zapasów żywności, które rzekomo tylko ukrywa burżuazja, by zdeorganizować dystrybucję i posiać chaos w zaopatrzeniu. Obwieszczenie kończyło się słowami:

„Osoby, którym udowodni się posiadanie i ukrywanie zapasów żywności, będą rozstrzeliwane na miejscu.”

Trzecie obwieszczenie zawierało zachętę:

„W celu właściwej organizacji dostaw żywności osoby nie należące do klasy wyzyskiwaczy mogą się organizować w komuny spożywcze. O szczegółach można się informować w Wydziale Apropowizacyjnym Rady Miejskiej, Oktiabraska, dawniej Generałgubernatorska, 5, pokój 137.”

Wojskowych ostrzegano:

„Osoby, które nie oddały broni albo noszą ją bez odpowiedniego zezwolenia nowego wzorca, będą ścigane z całą surowością prawa. Zezwolenia wymienia się w Juriatińskim Komitecie Rewolucyjnym, Oktiabrskaja 6, pokój 63.”

2

Do grupy czytających podszedł wychudzony mężczyzna, dawno nie myty, co sprawiało, że wydawał się śniady; wygląd miał zdziczały, na plecach węzełek, w ręku kij. W jego długich włosach nie było siwizny, ale ciemnoblonde broda zaczynała siwieć. Był to doktor Jurij Andriejewicz Żywago. Kozuch chyba dawno mu zabrano w drodze albo zamienił go na żywność. Miał na sobie zniszczone cudze palto z za krótkimi rękawami, które wcale nie grzało.

W worku pozostała mu nie dojeżdżona pięćka chleba, wyżebrana w ostatniej wsi, do jakiej wstąpił po drodze, i kawałek słoniny. Jakąś godzinę wcześniej wszedł do miasta od strony linii kolejowej i potrzebował całej godziny, by się dowlec od rogatek do tego skrzyżowania – tak był zmęczony marszem przez ostatnie dni i słaby. Często przystawał i powstrzymywał się siłą, by nie paść na ziemię i nie zacząć całować kamieni miasta, którego już się nie spodziewał zobaczyć i którego widok cieszył go jak widok żywej istoty.

Bardzo długo, przez połowę swej pieszej wędrówki, szedł wzdłuż linii kolejowej. Była nieczynna, zapuszczona i cała zasypana śniegiem. Przechodził obok całych białogwardyjskich pociągów, pasażerskich i towarowych, które stanęły z powodu śnieżycy, powszechnej kłęski Kołczaka i braku paliwa. Pociągi te, które utknęły w drodze, zatrzymały się na zawsze i znikły pod śniegiem, ciągnęły się niemal nieprzerwanym łańcuchem przez wiele dziesiątków wiorst. Służyły jako twierdze zbrojnym szajkom, które grabiły podróżnych na drogach, stanowiły przytulisko dla ukrywających się przestępców i zbiegów politycznych, mimowolnych włóczęgów tego okresu, ale przede wszystkim były wspólnymi mogiłami i kryptami grobowymi dla zmarłych od mrozu i tyfusu, który szalał w okolicy i pustoszył całe wsie.

Czasy te potwierdziły stare przysłowie: człowiek człowiekowi wilkiem. Wędrowiec na widok innego wędrowca skręcał w bok, przechodzień zabijał przechodnia, żeby samemu nie zostać zabitym. Zdarzały się pojedyncze przypadki kanibalizmu. Przestały istnieć ludzkie prawa cywilizacji. Teraz rządziły zwierzęce. Ludziom śniły się prehistoryczne sny epoki kamiennej.

Pojedyncze cienie, skradające się czasem bokiem drogi, lekko przebiegające ścieżkę daleko na przedzie, cienie, które Jurij Andriejewicz, kiedy tylko mógł, starannie omijał, często wydawały mu się znajome, gdzieś już spotkane. Majaczyło mu się, że wszystkie one są z oddziału partyzanckiego. Przeważnie się mylił, ale raz wzrok go nie oszukał. Wyrostek, który wypełził ze śniegowej góry, kryjącej korpus międzynarodowego wagonu sypialnego, i po załatwieniu potrzeby dał nurka z powrotem w zaspę, rzeczywiście należał do leśnych braci. Był to rzekomo rozstrzelany Tierientiej Gałuzin. Nie dobito go, długo leżał nieprzytomny, potem się

ocknął, odczłgał od miejsca kaźni, ukrywał się w lasach, wyleczył rany i teraz ukradkiem, pod innym nazwiskiem, wędrował do swoich do Kriestowozdwiżeńską, po drodze ukrywając się przed ludźmi w zasypanych pociągach.

Owe obrazy i widoki robiły wrażenie czegoś niezemskiego, transcendentalnego. Zdawały się być częstkami jakichś nieznsanych, kosmicznych bytów, przez pomyłkę przeniesionych na Ziemię. I tylko przyroda pozostała wierna historii i ukazywała się oczom taka, jak przedstawiali ją artyści nowych czasów.

Zdarzały się ciche zimowe wieczory, jasnoszare, ciemnoróżowe. Na tle jasnej zorzy rysowały się czarne wierzchołki brzóz, cienkie jak znaki starożytnego pisma. Pod szarą mgiełką cienkiego lodu płynęły czarne strumienie pomiędzy brzegami białego śniegu, wznoszącego się niczym góry, podpłyniętego od spodu rzezną wodą. I właśnie taki wieczór, mroźny, mgliście szary, rozczulający jak bazie na wierzbie, miał za godzinę czy dwie nastąpić naprzeciw domu z figurami w Juriatinie.

Doktor podszedł do tablicy ogłoszeniowej na kamiennej ścianie domu, by przejrzeć obwieszczenia rządowe. Ale jego wzrok co chwila padał na przeciwną stronę ulicy, w górę, na kilka okien pierwszego piętra w domu naprzeciwko. Te wychodzące na ulicę okna były kiedyś zamalowane tonem. W znajdujących się za nimi dwóch pokojach stłoczono meble właścicieli. Chociaż mróz zaciągnął dolną część szyb cienką kryształową skorupką, było widać, że okna są teraz przejrzyste, że ton został zmyty. Co oznaczała ta zmiana? Może Lara wyjechała, w mieszkaniu są nowi lokatorzy i wszystko jest teraz inaczej?

Niepewność denerwowała doktora. Nie mógł opanować niepokoju. Przeszedł przez ulicę, wszedł frontowym wejściem do sieni i zaczął się wspinać po znajomych i tak drogich jego sercu schodach. Jakże często w leśnym obozie wspominał szczegóły ażurowego wzoru żeliwnych stopni. Na jednym z podestów, gdy się spojrzało przez ażurową kratkę w dół, można było zobaczyć zwalone pod schodami pogięte wiadra, balie i połamane krzesła. Tak było i teraz. Nic się nie zmieniło wszystko było jak dawniej. Doktor poczuł niemal wdzięczność dla schodów, za to, że pozostały wierne dawnym czasom.

Kiedyś w drzwiach był dzwonek. Ale zepsuł się i nie działał już dawniej, przed leśną niewolą doktora. Żywago chciał zastukać do drzwi, lecz spostrzegł, że są zamknięte na ciężką kłódkę, przełożoną przez pierścienie, po barbarzyńsku wkręcone w okładzinę starych dębowych drzwi z pięknymi, odłupanymi gdzieniegdzie intarsjami. Dawniej taki wandalizm byłby nie do pomyslenia. Używano zamków, które wprawiano w drzwi, a jeśli się psuły, to od tego byli ślusarze, żeby je naprawiać. Ten błahy drobiazg świadczył wymownie o ogólnym zubożeniu, które ostatnio jeszcze bardziej wzrosło.

Doktor był pewien, że Lary i Katieńki nie ma w domu, w Juriatinie, a może nawet w ogóle na świecie. Był przygotowany na najstraszniejsze rozczarowanie. Tylko dla spokoju sumienia postanowił poszukać klucza w dziurze, której tak się bał on i Katieńka, i uderzył nogą w ścianę, by nie natrafić tam ręką na szczura. Nie miał nadziei, że cokolwiek znajdzie w umówionym miejscu. Dziura była zastawiona cegłą. Jurij Andriejewicz wyjął ją i wsunął rękę w głąb. Cud! Klucz i list. List dosyć

długi, na dużej kartce. Doktor podszedł do okienka na podeście. Jeszcze większy cud, jeszcze bardziej niewiarygodny! List był do niego! Szybko przeczytał:

„Boże, co za szczęście! Podobno żyjesz, znalazłeś się. Widziano Cię w okolicy, ktoś przybiegł i powiedział mi. Przypuszczam, że przede wszystkim pójdziesz do Warykina i jadę tam do Ciebie z Katieńką. Na wszelki wypadek klucz zostawiam na dawnym miejscu. Czekaj na mój powrót, nigdzie nie odchodź. Tak, nie wiesz, że teraz jestem we frontowej części mieszkania, w pokojach od ulicy. Zresztą, sam się zorientujesz. W domu pustki, bieda. Musiałam sprzedać część mebli właścicieli. Zostawiam trochę jedzenia, przede wszystkim gotowane kartofle. Przyciskaj pokrywkę na garnku żelazkiem albo czymś ciężkim, jak ja to zrobiłam, żeby nie dobrały się szczury. Szaleję z radości.”

Tu kończyła się pierwsza strona listu. Doktor nie zwrócił uwagi, że kartka jest zapisana także na odwrocie. Podniósł rozłożony na dłoniach arkusik do ust, a potem, nie patrząc, złożył go i wsunął wraz z kluczem do kieszeni. Straszny, raniący ból domieszał się do jego szalonej radości. Skoro ona otwarcie, bez żadnych obaw jedzie do Warykina, znaczy to, że rodziny tam nie ma. Oprócz niepokoju, wywołanego tym faktem, poczuł na myśl o bliskich nieznośny ból i smutek. Czemu ani słowem nie wspomniała o nich i o tym, gdzie są, jak gdyby w ogóle nie istnieli?

Ale nie było czasu do zastanowienia. Na ulicy zaczęło się ściemniać. Mnóstwo rzeczy trzeba było zdążyć zrobić przed zmrokiem. Sprawą niecierpiącą zwłoki było zapoznanie się z rozwieszonymi na ulicy dekretami. Czasy były niebezpieczne. Można było przez nieświadomość przypłacić życiem naruszenie jakiegoś zarządzenia. I doktor, nie otwierając mieszkania i nie zdejmując węzła z utrudzonego ramienia, zszedł na ulicę i zbliżył się do ściany, obklepionej na wielkiej przestrzeni różnymi drukami.

3

Były to artykuły z gazet, protokoły przemówień na zebraniach i dekryty. Jurij Andriejewicz szybko przebiegał wzrokiem nagłówek „O zasadach rekwizycji i opodatkowania klas posiadających. O kontroli robotniczej. O komitetach fabrycznych”. Były to rozporządzenia nowych władz miasta, anulujące dotychczasowe przepisy. Władze przypominały o swych niezachwianych podstawach, o których może mieszkańcy miasta zapomnieli podczas tymczasowych rządów białych. Ale Jurijowi Andriejewiczowi zakręciło się w głowie od niekończących się, jednostajnych powtórzeń. Z jakiego okresu były te nagłówki? Co to za napisy? Zeszłoroczne? Jeszcze wcześniejsze? Jeden jedyny raz w życiu zachwyił się kategorięnością tego języka i prostotą tej myśli. Czyż za ten nieostrożny zachwył musi zapłacić tym, że już nigdy w życiu nie zobaczy nic prócz tych, nie zmieniających się przez długie lata szalonych okrzyków i żądań, im dalej, tym bardziej nie życiowych, niezrozumiałych i niewykonalnych? Czy naprawdę ową chwilą zbyt wielkiej wrażliwości pogrzebał się na zawsze?

Wpadł mu w oko fragment jakiegoś sprawozdania. Przeczytał:

„Informacje o głodzie dowodzą niewiarygodnej bierności miejscowych organizacji. Fakty nadużyć są oczywiste, szerzy się potworna spekulacja, ale co zrobiło biuro miejscowych organizacji zawodowych, co zrobiły miejskie i okręgowe komitety fabryczne? Dopóki nie przeprowadzi się masowych rewizji w magazynach stacji Juriatin Towarowy, na odcinku Juriatin-Razwilje i Razwilje-Rybałka, dopóki nie zastosuje się surowych środków terroru wobec spekulantów, z rozstrzelaniem na miejscu włącznie, nie zapobiegnie się głodowi.”

„Godne zazdrości zaślepienie! – myślał doktor. – O jakim zbożu jest tu mowa, skoro dawno nie ma go w przyrodzie? Jakie klasy posiadające, jacy spekulanci, skoro dawno zostali unicestwieni treścią poprzednich dekretów? Jacy chłopci, jakie wsie, skoro one w ogóle nie istnieją? Jak można tak zapomnieć o własnych wytycznych i przedsięwzięciach, które już dawno nie pozostawiły kamienia na kamieniu? Kimże trzeba być, żeby z takim niestygnącym gorączkowym żarem bredzić rok po roku na nie mające racji bytu, dawno wyczerpane tematy, i nic nie wiedzieć, niczego wokół siebie nie widzieć!”

Doktorowi zakręciło się w głowie. Stracił świadomość i zemdlny upadł na chodnik. Kiedy się ocknął i ludzie pomogli mu wstać, ktoś zaproponował, że odprowadzi go tam, gdzie się udaje. Podziękował za pomoc, i wytłumaczył, że idzie tylko na drugą stronę, naprzeciwno.

4

Jeszcze raz wszedł na górę i zaczął otwierać drzwi do mieszkania Lary. Na klatce schodowej było jeszcze zupełnie jasno, wcale nie ciemniej, niż kiedy wchodził po raz pierwszy. Stwierdził z wdzięcznością i radością, że słońce go nie popęda.

Szczęknienie otwieranych drzwi wywołało w mieszkaniu popłoch. Puste pod nieobecność ludzi pomieszczenie powitało go zgrzytem i brzękiem przewracających się blaszanek. Szczury całym ciałem klapały na podłogę i rozbiegały się we wszystkie strony. Doktor poczuł się nieswojo, zdając sobie sprawę z własnej bezbronności wobec tej ohydy, której namnożyło się tu pewnie całe mnóstwo.

Postanowił, przed urządzeniem się tu jakoś na nocleg, przede wszystkim zabezpieczyć się przed tą inwazją, schować się w jakimś dobrze zamkniętym pokoju i zatkać tłuczonym szkłem i kawałkami blachy wszystkie szczurze dziury.

Z przedpokoju skręcił w lewo, do nieznanej mu części mieszkania. Minął ciemny pokój przechodni i znalazł się w drugim, jasnym, z dwoma oknami wychodzącymi na ulicę. Na wprost okien po drugiej stronie ciemniał dom z figurami. Dolną część jego muru pokrywały rozlepione gazety. Przechodnie czytali je, stojąc plecami do okien.

Światło w przedpokoju i na zewnątrz było takie samo, młode, nieokrzepłe, wieczorne światło wczesnej wiosny. Światło wewnątrz i na zewnątrz było tak identyczne, jak gdyby pokój nie był oddzielony od ulicy. Była tylko jedna różnica. W sypialni Lary, gdzie się znajdował Jurij Andriejewicz, było chłodniej niż na zewnątrz, na Kupieckiej.

Kiedy doktor zbliżał się do miasta pod koniec swej wędrówki i szedł godzinę czy dwie temu ulicami, osłabł tak bardzo, że się przestraszył, myśląc, iż jest to oznaką nadchodzącej choroby.

Teraz jednakowe oświetlenie domu i na dworze cieszyło go tak samo bez przyczyny. Strumień wychłodzonego powietrza, ten sam na dworze co w mieszkaniu, jednoczył go z przechodniami na wieczornej ulicy, z nastrojami w mieście, z życiem na ziemi. Jego obawy rozwiały się. Nie myślał już, że zachoruje. Wieczorna przezroczystość wiosennego, przenikającego wszędzie światła zdawała mu się zapowiedzią spełnienia dalekich i pięknych nadziei. Wierzył, że wszystko zmieni się na lepsze, że on wszystko w życiu osiągnie, wszystkich odszuka i pogodzi, wszystko domyśli do końca i wyrazi. I radości spotkania z Larą oczekiwał jak pierwszego dowodu na to.

Poprzednia bezsilność ustąpiła miejsca szaleńczemu podnieceniu i nieokiełznanej energii. Ożywienie to było pewniejszym symptomem nadchodzącej choroby niż niedawne osłabnięcie. Jurij Andriejewicz nie mógł usiedzieć na miejscu. Znow go ciągnęło na ulicę, zresztą nie bez powodu.

Przed urządzeniem się tutaj chciał się ostrzyc i zgolić brodę. W tym celu już przechodząc przez miasto zaglądał w witryny dawnych zakładów fryzjerskich. Część z nich stała pusta lub była wykorzystana w innych celach. Inne po prostu zamknięto. Nie było gdzie się ostrzyc i ogolić. Własnej brzytwy Jurij Andriejewicz nie miał. Wybawić go z kłopotu mogłyby nożyce, gdyby znalazł takowe u Lary. Ale nie znalazł ich, przeszukując z gorączkową niecierpliwością rzeczy na toaletce.

Przypomniał sobie, że na Małej Spaskiej była kiedyś pracownia krawiecka. Pomyślał, że jeśli zakład nie zawiesił działalności i nadal pracuje, i jeśli on zdąży tam przed zamknięciem, będzie mógł poprosić o nożyczki którąś ze szwaczek. I jeszcze raz wyszedł na ulicę.

5

Pamięć go nie zawiodła. Pracownia była na dawnym miejscu, czynna. Zajmowała pomieszczenie sklepowe na poziomie chodnika, z witryną na całą szerokość i wejściem od ulicy. Przez okno widać było wewnątrz aż do przeciwległej ściany. Szwaczki pracowały na oczach przechodniów.

W pokoju panowała straszna ciasnota. Oprócz prawdziwych krawcowych podjęły tu pewnie pracę amatorki, starzejące się panie z towarzystwa, po to, by otrzymać książeczki pracy, o których była mowa w dekrete na murze domu z figurami.

Ich ruchy można było od razu odróżnić od fachowych ruchów prawdziwych szwaczek. W pracowni szyto odzież wojskową, watowane spodnie, fufajki i kurtki oraz robiono, co Jurij Andriejewicz widział już w obozie partyzanckim, pozszywane z różnobarwnych psich skór komicznie wyglądające serdaki. Niezręcznymi palcami, podsuwając podwinięte dla obrębenia brzegi pod igły maszyn do szycia, szwaczki-amatorki z trudem radziły sobie z tą niezwykłą, na poły kuśnierską robotą.

Jurij Andriejewicz zastukał w okno i poprosił gestem, by go wpuszczono. Odpowiedziano mu również na migi, że nie przyjmuje się zamówień od osób prywatnych. Jurij Andriejewicz nie dawał za wygraną i powtarzając swe gesty nalegał, by go wpuszczono do środka i wysłuchano. Przeczącymi gestami dano mu do zrozumienia, że tu jest pilna robota, żeby dał spokój, nie przeszkadzał i poszedł sobie. Jedna ze szwaczek zrobiła zdumioną minę i ze zniecierpliwieniem wysunęła przed siebie złożoną w łódeczkę dłoń, zapytując wzrokiem, czego mu właściwie trzeba. Doktor dwoma palcami, wskazującym i środkowym, pokazał ruch nożyczek. Szwaczki nie zrozumiały tego gestu. Uznały, że to coś nieprzyzwoitego, że doktor się z nimi drażni i zaczepia je. Z powodu obszarpanego wyglądu i dziwnego zachowania robił wrażenie chorego albo niespełna rozumu. W pracowni szwaczki chichotały, śmiały się i machały na niego rękami, odpędzając od okna. Wreszcie doktor postanowił poszukać wejścia od podwórza i odnalazłszy drzwi do pracowni, zastukał.

6

Otworzyła niemłoda śniada szwaczka w ciemnej sukni, surowa, zapewne kierowniczką zakładu.

– A to dopiero, przyczepił się! Dopust boski, słowo daję. No, prędzej, czego chcecie? Nie mam czasu.

– Potrzebuję nożyczek, proszę się nie dziwić. Chcę wypożyczyć na chwilę. Tu na miejscu zetnę brodę i oddam z podziękowaniem.

W oczach krawcowej pojawiło się nieufne zdziwienie. Było wyraźnie widać, że wąpi we władze umysłowe rozmówcy.

– Idę z daleka. Dopiero teraz przyszedłem do miasta, zarosłem. Chciałbym się ostrzyć. I ani jednego fryzjera. No więc spróbowałbym sam, ale nie mam nożyczek. Proszę mi pożyczyć.

– Dobrze. Ostrzygę was. Ale uprzedzam. Jeżeli macie jakiś inny cel, jakieś podstępny, zmianę wyglądu dla zamaskowania czy jakieś sprawy polityczne, nic z tego. Nie będziemy narażać dla was życia, doniesiemy, gdzie trzeba. Takie teraz czasy.

– Na miłość boską, cóż to za podejrzenia!

Krawcowa wpuściła doktora, wprowadziła do bocznego pokoju wąskiego jak schowanko, i po chwili już siedział na krześle, jak u fryzjera, cały obwiązany mocno ściskającym szyję, zatkniętym za kołnierz prześcieradłem.

Krawcowa poszła po narzędzia i wkrótce wróciła z nożyczkami, grzebieniem, kilkoma maszynkami różnej wielkości, rzemieniem i brzytwą.

– Wszystkiego w życiu próbowałam – wyjaśniła widząc zdumienie doktora, że wszystko jest w pogotowiu. – Pracowałam jako fryzjerka. Na tamtej wojnie, jako siostra miłosierdzia, nauczyłam się strzyć i golić. Brodę najpierw obetniemy nożyczkami, a potem zgolimy do czysta.

– Włosy proszę z łaski swojej ostrzyć krótko.

– Postaram się. Taki pan inteligentny, a udaje głupiego. Teraz dni liczy się nie na tygodnie, ale na dekady. Dziś siedemnasty, a w dni z siódmką fryzjerzy mają wolne. Niby to pan nie wie.

– Ależ słowo daję. Czemu miałbym udawać? Powiedziałem przecież, że idę z daleka. Jestem nietutejszy.

– Spokojnie. Niech się pan nie rusza. Bo mogę skaleczyć. A więc przyjezdny? Czym pan jechał?

– Na własnych nogach.

– Traktem pan szedł?

– Część drogi traktem, a resztę torami. A ile pociągów pod śniegiem! Różne, sypialne, specjalne.

– O, tu jeszcze został kawałek. Zaraz zgolimy i gotowe. W sprawach rodzinnych?

– Gdzież tam rodzinnych! W sprawach dawnego zrzeczenia towarzystw kredytowych. Jestem inspektorem terenowym. Posłali mnie na objazd rewizyjny. Diabli wiedzą dokąd. Utknąłem na Syberii Wschodniej. A z powrotem ani rusz. Pociągi przecież nie chodzą. Musiałem iść pieszo, trudna rada. Szedłem półtora miesiąca. Napatrzyłem się takich rzeczy, że przez całe życie nie da się opowiedzieć.

– I nie potrzeba opowiadać. Zaraz pana nauczę różnych mądrości. A teraz niech pan zaczeka. Proszę lustro. Niech pan wyjmie rękę spod prześcieradła i weźmie. Proszę popatrzeć. No, jak się panu podoba?

– Według mnie za długo. Można by krócej.

– Włosy nie będą się trzymać. A teraz o wszystkim najlepiej milczeć. Towarzystwa kredytowe, sypialne pociągi pod śniegiem, inspektorzy i rewizorzy, lepiej będzie, jak pan zapomni nawet tych słów. Bo może pan tak wdepnąć! Nie pasuje kwiatek do kożucha, nie na czasie takie rzeczy. Lepiej niech pan kłamie, że jest doktorem albo nauczycielem. No, brodę ścięłam, teraz będziemy golić do czysta. Namydlimy się, czyk-czyk, i odmłodniejemy o dziesięć lat. Pójdę nagrzać wody.

„Kim jest ta kobieta? – myślał tymczasem doktor. – Mam uczucie, że coś nas wiąże i że powinienem ją znać. To coś, co widziałem albo słyszałem. Pewnie mi kogoś przypomina. Ale kogo, do licha?”

Krawcowa wróciła.

– A teraz będziemy golić. Tak, teraz lepiej nie gadać byle czego. To odwieczna prawda. Słowo jest srebrem, a milczenie złotem. Jakies tam pociągi specjalne i towarzystwa kredytowe. Lepiej niech pan coś wymyśli, że jest pan doktorem czy nauczycielem. A czego się pan napatrzył, niech pan zatrzyma dla siebie. Kogo pan teraz tym zadziwi? Brzytwa nie dokucza?

– Trochę boli.

– Szarpie, musi szarpać, wiem. Niech pan trochę pocierpi, kochany. Inaczej się nie da. Włos odrósł i pogrubiał, skóra się odzwyczaiła. Tak. Przeżyciami się teraz nikogo nie zadziwi. Ludzie to i owo widzieli. I my też zaznaliśmy nieszczęść. Co się tu działo za atamanów! Porwania, morderstwa, groźby. Polowania na ludzi. Na przykład jeden drobny satrapa, saponowiec, miał jakiś żal do pewnego porucznika. Posłał żołnierzy, żeby urządzili zasadzkę w pobliżu podmiejskiego lasku, naprzeciw

domu Krapulskiego. Rozbroili i pod strażą do Razwilja. A w Razwilju było wtedy to samo, co się teraz nazywa gubernialna Czeka. Miejsce straceń. Czemu pan tak szarpie głową? Drapie? Wiem, kochany, wiem. Nic na to nie poradzę. Tu trzeba golić pod włos, a włos jak szczecina. Twardy. Miejsce straceń. Żona dostała hysterii. Żona tego porucznika. Kola! Mój Kola! I prosto do komendanta. To znaczy, tak się tylko mówi, że prosto. Kto by ją wpuścił. Wszędzie potrzebna protekcja. Tu pewna osoba z sąsiedniej ulicy miała dojsie do komendanta i za wszystkimi się wstawiała. Był to człowiek wyjątkowo humanitarny, nie to co inni, wrażliwy. Generał Galiullin. A dokoła samosady, bestialstwo, dramaty zazdrości. Zupełnie jak w hiszpańskich romansach.

„Mówi o Larze – domyślił się doktor, ale z ostrożności nie próbował się wdawać w bardziej szczegółowe dopytywania. – A kiedy powiedziała „jak w hiszpańskich romansach”, znowu mi to coś przypomniało. Właśnie przez to niepasujące tu określenie, wstawione ni w pięć, ni w dziewięć.”

– Teraz oczywiście jest zupełnie inaczej. Chociaż śledztw, donosów i egzekucji i teraz po dziurki w nosie. Ale jeśli chodzi o idee, to całkiem co innego. Po pierwsze, nowa władza. Rządzą od niedawna, nie zdążyli się jeszcze rozsmakować. Po drugie, cokolwiek by się rzekło, są po stronie prostego ludu i w tym jest ich siła. Było nas, licząc i mnie, cztery siostry. Wszystkie pracowałyśmy. Naturalnie sympatyzujemy z bolszewikami. Jedna siostra nie żyje, była żoną politycznego. Jej mąż pracował jako zarządca w jednej z tutejszych fabryk! Ich syn, mój siostrzeniec, stoi na czele naszych wiejskich powstańców, można rzec – znakomitość.

„Ano właśnie! – olśniło Jurija Andriejewicza. – To jest ciotka Liberiusza, tutejsza sława i szwagierka Mikulicyna, fryzjerka, krawcowa, dróżniczka, wszystkim tu znana złota rączka. Ale mimo to nic nie powiem, żeby się nie zdradzić.”

– Mój siostrzeniec od dzieciństwa miał pociąg do ludu. Wychowywał się u ojca między robotnikami, w zakładach „Światogor Bohater”. Zakłady warykińskie, może pan słyszał? Ale co my tu wyprawiamy? Ach, ja idiotka skończona! Pół brody ogolone, a pół nie. Tak to jest, jak się człowiek zagada. A pan czemu mnie nie powstrzymał, widział pan przecież! Mydło na twarzy wyschło. Pójdę podgrzać wodę, bo ostygła.

Kiedy Tuncewa wróciła, Jurij Andriejewicz zapytał:

– Warykino to przecież jakaś głusza, przez Boga i ludzi zapomniana, tam chyba nie docierają żadne wstrząsy?

– Tak się tylko mówi, zapomniana. Ta głusza przeżyła chyba więcej niż my. Przez Warykino przechodziły jakieś szajki, nie wiadomo czyje. Nie mówili po naszymu. Dom za domem wyprowadzali na dwór i rozstrzeliwali. I odchodzili nie mówiąc ani słowa. I ciała tak zostały na śniegu. Było to przecież zimą. Czemu pan się ciągle tak szarpie? O mało panu gardła brzytwą nie poderżnęłam.

– Mówiła pani, że szwagier mieszkał w Warykinie. Też go nie ominęły te okropności?

– Nie, dlaczego. Bóg łaskaw. Zdążył się z żoną wynieść na czas. Z nową, drugą żoną. Gdzie są, nie wiadomo, ale jest pewne, że się uratowali. Tam w ostatnich

czasach wprowadzili się nowi ludzie. Rodzina z Moskwy, przyjezdni. Ci wyjechali jeszcze wcześniej. Młodszy z mężczyzn, lekarz, głowa rodziny, zaginął bez wieści. Ale co to znaczy bez wieści? Tak się tylko mówi, że bez wieści, żeby bliskich nie zasmuć. A tak naprawdę należy przypuszczać, że nie żyje, zabity. Szukali go, szukali i nie znaleźli. Tymczasem drugiego, starszego, wezwano do Moskwy. To profesor. Od rolnictwa. Słyszałam, że dostał wezwanie od rządu. Przez Juriatin przejechali jeszcze przed drugim przyjściem białych. A pan znowu swoje, drogi towarzyszu! Jak się klient tak wierci i szarpie pod brzytwą, nietrudno go zarząć. Zbyt wiele pan żąda od fryzjera.

„A więc są w Moskwie!”

7

„W Moskwie! W Moskwie!”, śpiewało mu w duszy przy każdym kroku, kiedy po raz trzeci wchodził po żeliwnych schodach. Puste mieszkanie znów go powitało harmidrem skaczących, padających i uciekających szczurów, Jurij Andriejewicz był przekonany, że w pobliżu tego obrzydlistwa ani na chwilę nie zmruży oka, choćby nie wiadomo jak był zmęczony. Przygotowania do noclegu zaczął od zatkania szczurzych dziur. Na szczęście w sypialni nie było ich tak dużo, o wiele mniej niż w pozostałych częściach mieszkania, gdzie i podłogi, i listwy były w gorszym stanie. Ale trzeba się było śpieszyć. Zbliżała się noc. Co prawda, w kuchni czekała, pewnie w nadziei na jego przyście, zdjęta ze ściany i wypełniona do połowy naftą lampa, a obok w uchylonym pudełku leżało kilka zapalek, dziesięć, jak policzył Jurij Andriejewicz. Ale i jedno, i drugie, i naftę, i zapałki, lepiej było oszczędzać. W sypialni znalazł się jeszcze kaganek z knotem i resztkami oliwy, którą pewnie szczury wypłyły prawie do dna.

W niektórych miejscach przyścienne listwy odstawały od podłogi. Jurij Andriejewicz wbił w szpary kilka warstw ułożonych płasko odłamków szkła, ostrzami do środka. Drzwi sypialni dobrze przylegały do progów. Można je było szczelnie zamknąć i w ten sposób całkowicie odgrodzić sypialnię z zatkanymi szparami od reszty mieszkania. Uporanie się z tym wszystkim zabrało Jurijowi Andriejewiczowi niewiele ponad godzinę.

W narożniku sypialni stał skośnie piec kaflowy z rzeźbionym zwieńczeniem, nie dochodzącym do sufitu. W kuchni leżało z dziesięć wiązek szczap. Jurij Andriejewicz postanowił ograbić Larę z dwóch naręczy i przykłęknawszy na jedno kolano, zaczął nakładać drwa na lewą rękę. Przeniósł je do sypialni, położył pod piecem, zapoznał się z jego budową i sprawdził z grubsza, w jakim jest stanie. Chciał zamknąć pokój na klucz, ale zamek był zepsuty, więc wetknął w drzwi gruby zwitek papieru, żeby się nie otwierały, i bez pośpiechu zaczął rozpalać w piecu.

Wkładając polana do pieca, spostrzegł na jednym z nich pieczęć i rozpoznał ją ze zdziwieniem. Były to ślady starej wypalonej cechy, dwie początkowe litery D i K, wskazujące z jakiego składu pochodzi drewno. Tymi literami kiedyś za Krügera

cechowano końce belek z Działki Kułabyszewskiej w Warykinie, kiedy fabryki sprzedawały nadmiar drzewa opałowego.

Fakt, że Lara miała w swym gospodarstwie ten właśnie gatunek drewna, wskazywał na to, że zna ona Samdiewiatowa i że ten się o nią troszczy, tak jak kiedyś zaopatrywał we wszystkie potrzebne rzeczy doktora i jego rodzinę. Odkrycie to było dla doktora jak nóż w serce. Już przedtem ciążyła mu pomoc Anfima Jefimowicza. Teraz krępujące poczucie zaciągniętych zobowiązań skomplikowała jeszcze udręka niepewności.

Wątpliwe, czy wyświadcza Larze te dobrodziejstwa jedynie na piękne oczy. Jurij Andriejewicz przypominał sobie swobodne maniery Anfima Jefimowicza i kobiecą lekkomyślność Lary. To niemożliwe, żeby między nimi nic nie było.

W piecu z trzaskiem rozpałały się suche, kułabyszewskie drwa, i w miarę jak zajmowały się płomieniem, słabe podejrzenia Jurija Andriejewicza stawały się pełną zazdrości pewnością.

Ale duszę miał tak zmaltretowaną, że jeden ból wypierał drugi. Mógł nie odpędzać tych podejrzeń. Myśli same, bez żadnego wysiłku z jego strony, przeskakiwały z przedmiotu na przedmiot. Z nową siłą napłynęły myśli o rodzinie i przesłoniły na jakiś czas zazdrosne fantazje.

„Więc jesteście w Moskwie, moi ukochani?” Zdawało mu się teraz, że Tuncewa zapewniła go o ich szczęśliwym przybyciu na miejsce. „A więc znowu, tym razem beze mnie, przebyliście tę długą, trudną drogę? Jak dojechaliście? Co to za wezwanie, które otrzymał Aleksander Aleksandrowicz? Pewnie zaproszenie z Akademii do wznowienia wykładów? Co zastaliście w domu? I w ogóle czy ten dom jeszcze istnieje? Boże, jakież to trudne i bolesne! O, nie myśleć, nie myśleć! Jakże się te myśli płaczą! Co się ze mną dzieje, Toniu? Chyba jestem chory. Co będzie ze mną i z wami wszystkimi, Toniu, Tonieczko, Toniu, Szuroczko, Aleksandrze Aleksandrowiczu! Przecz oddaliłeś mnie od oblicza swego, światłości niezachodząca? Czemu przez całe życie wy się oddalacie ode mnie? Czemu zawsze jesteśmy rozdzieleni? Ale wkrótce się połączymy, spotkamy, prawda? Piesz do was dotrę, jeżeli nie można inaczej. Zobaczymy się. Wszystko znów będzie dobrze, prawda?”

Ale że też ziemia jeszcze mnie nosi, skoro ciągle zapominam, że Tonia miała rodzić i pewnie urodziła! Już nie po raz pierwszy o tym zapominam. Jak przeszedł poród? Jak urodziła? Po drodze do Moskwy byli w Juriatinie. Lara co prawda ich nie zna, ale ta krawcowa i fryzjerka, obca zupełnie osoba, wiedziała o ich losach, a Lara ani słowem nie zająknęła się o nich w liście. Jakaż dziwna niewrażliwość, obojętność! Równie niewytłumaczalna, jak to przemilczanie stosunków z Samdiewiatowem.”

Tu Jurij Andriejewicz obrzucił sypialnię innym, podejrzliwym spojrzeniem. Wiedział, że wśród stojących i rozwieszonych dokoła rzeczy nie ma ani jednej, która byłaby własnością Lary, i że meble nieznanymi, ukrywającymi się właścicieli żadną miarą nie mogą świadczyć o jej gustach.

Mimo to jednak nagle poczuł się nieswojo pośród tych mężczyzn i kobiet, spoglądających nań ze ścian, z powiększonych fotografii. Powiało nań wrogością od pokraccznych mebli. Poczuł się w tej sypialni obcy i niepotrzebny.

A on, głupiec, tyle razy wspominał ten dom, stęsknił się za nim, i wchodził do tego pokoju nie jak do pomieszczenia, ale jak w swą tęsknotę za Larą! Pewnie taka uczuciowość jest bardzo śmieszna dla kogoś patrzącego z boku. Czy tak żyją, zachowują się i okazują swe uczucia ludzie silni, energiczni, przystojni, tacy jak Samdewiatow? I czemu Lara ma woleć jego brak charakteru i mętny, nierealny język jego uwielbienia? Czyż tak bardzo jest jej potrzebny ten galimatias? Czy w ogóle chce być taką, jaką on ją widzi?

A jak on ją widzi? I na to pytanie zawsze ma gotową odpowiedź.

Oto wiosenny wieczór na podwórzu. Powietrze pełne dźwięków. Głosy bawiących się dzieci dobiegają z różnej odległości, jakby na znak, że przestrzeń jest na wskroś żywa. I owa dal – to Rosja, niezrównana, sławna za morzami jego rodzicielka, męczennica, uparta, szalona, ubóstwiana ze swymi wiecznymi, wzniosłymi i zgubnymi wyskokami, których nigdy nie można przewidzieć! O, jak cudownie jest istnieć! Jak cudownie jest żyć na świecie i kochać życie! O, jak zawsze ma się ochotę powiedzieć dziękuję samemu życiu, samemu istnieniu, powiedzieć im to wprost!

I to właśnie jest Lara. Z życiem i istnieniem nie można rozmawiać, a ona jest ich przedstawicielką, ich wyrazem, darem słuchu i słowa, ofiarowanym bezgłośnym pierwiastkiem istnienia.

I nieprawdą, po tysiącokroć nieprawdą jest to, co tu o niej naopowiadał w chwili zwątpienia. Bo właśnie w niej wszystko jest doskonale i bez skazy!

Wzrok przesłoniły mu łzy zachwytu i skruchy. Otworzył drzwiczki pieca i poruszył drwa pogrzebaczem. Rozpłomieniony czysty żar odsunął w głąb, a nie dopalone szczapy ku przodowi, gdzie ciąg był silniejszy. Przez chwilę nie zamykał drzwiczek. Sprawiał mu rozkosz dotyk ciepła i światła na twarzy i rękach. Ruchliwy odblask płomienia całkowicie go otrzeźwił. O, jakże mu jej teraz brakowało, jak bardzo potrzebował w tej chwili czegoś, co pochodziło od niej, co się dotykalnie z nią łączyło!

Wyjął z kieszeni jej pomięty liścik. Wyciągnął go odwrotną stroną, nie tą, którą przedtem czytał, i dopiero teraz spostrzegł, że kartka jest zapisana także na odwrocie. Wygładził pognieciony papierek i w tańczącym blasku buzującego pieca przeczytał:

„O swojej rodzinie chyba wiesz. Są w Moskwie. Tonia urodziła córeczkę.” Dalej było kilka zamazanych linijek, a potem: „Wykreśliłam, bo to głupio brzmi w liście. Porozmawiamy w cztery oczy. Śpieszę się, biegnę załatwić konia. Nie wiem, co zrobię, jeśli mi się to nie uda. Będzie kłopot z Katieńką...” Koniec zdania był zatarty i nieczytelny.

„O konia poszła prosić Anfima i widocznie go dostała, skoro wyjechała – rozważał spokojnie Jurij Andriejewicz. – Gdyby miała w tym względzie zupełnie czyste sumienie, nie wspominałaby o tym szczególnie.”

Kiedy piec się nagrzał, doktor zasunął szyber i zjadł co nieco. Po posiłku ogarnęła go niepokonana senność. Nie rozbierając się padł na kanapę i mocno usnął. Nie słyszał ogłuszającego, bezwstydnego harmidru, jaki podniosły szczury za drzwiami i ścianami pokoju. Przyśniły mu się kolejno, jeden po drugim, dwa ciężkie sny. Znajdował się w Moskwie, w pokoju, przed zamkniętymi na klucz oszklonymi drzwiami, które dla pewności jeszcze przyciągał ku sobie za klamkę. Za drzwiami szamotał się, płakał i prosił, by go wpuścić, jego synek Szuroczka w paletku, marynarskich spodenkach i czapeczce, śliczny i nieszczęśliwy. Gdzieś z tyłu za chłopcem, obryzgując i jego, i drzwi, z hukiem i szumem leciał wodospad zepsutej rury wodociągowej czy kanalizacyjnej, normalne zjawisko tej epoki, albo może rzeczywiście drzwi tarasowały jakiś dziki górski wąwóz z pędzącym wściekle strumieniem i nagromadzony tam przez wieki zimnem i ciemnością.

Łoskot spadających mas wodnych napawał chłopca śmiertelnym przerażeniem. Nie było słyhać, co krzyczy. Huk zagłuszał jego wołanie. Ale Jurij Andriejewicz widział, jak jego usta wymawiają: „Tatusiu! Tatusiu!”

Doktorowi pękało serce. Całym swym jestestwem pragnął pochwycić chłopca na ręce, przycisnąć do piersi i uciekać z nim nie oglądając się, gdzie oczy poniosą.

A jednak, zalany łzami, przyciągał do siebie klamkę zamkniętych drzwi i nie wpuszczał chłopca, składając go w ofierze źle pojętemu poczuciu honoru i obowiązku wobec kobiety, która nie była matką chłopca i lada chwila miała wejść z drugiej strony do pokoju.

Jurij Andriejewicz obudził się w pocie i łzach. „Mam gorączkę. Jestem chory – pomyślał zaraz. – To nie tyfus. To jakieś ciężkie, niebezpieczne zmęczenie, które przybrało formę choroby, jakaś niemoc z kryzysem, jak przy wszystkich poważnych infekcjach. I teraz zachodzi pytanie, co weźmie górę, życie czy śmierć. Jak mi się chce spać!” I znowu zasnął.

Przyśnił mu się ciemny zimowy poranek na oświetlonej latarniami rojnej moskiewskiej ulicy, chyba przed rewolucją, sądząc z wczesnego ulicznego ożywienia, z dzwonienia pierwszych tramwajów, ze światła latarni, przecinających żółtymi pasmami szary przed świtem śnieg na jezdniach.

Śniło mu się długie, ciągnące się przez wiele okien mieszkanie niewysoko nad ulicą, całe wychodzące na jedną jej stronę, na pierwszym piętrze, z opuszczonymi nisko, aż do podłogi firankami. W mieszkaniu spali w różnych pozach ludzie w ubraniach, jak to bywa w podróży, i panował nieporządek niczym w wagonie. Na zatłuszczonych gazetach leżały resztki jedzenia, ogryzione kości pieczonych kur, skrzydełka i udka, stały zdjęte na noc i ustawione parami na podłodze buty przebywających tu w gościnie krewnych, znajomych, przyjezdnych i bezdomnych. Po mieszkaniu biegała bezszelestnie z kąta w kąt zaaferowana gospodyni, Lara, w pośpiesznie narzuconym szlafroku, a trop w trop za nią natarczywie chodził on, bez przerwy coś niezręcznie tłumacząc, ona zaś nie miała dla niego ani chwili czasu i na

jego wyjaśnienia odpowiadała w biegu tylko zwróceniem głowy w jego stronę, łagodnym zdumionym spojrzeniem i niewinnymi wybuchami swego niezwykłego srebrzystego śmiechu, jedynymi formami bliskości, jakie im jeszcze pozostały. Jakże daleka, chłodna i ponętna była ta, której wszystko oddał, którą nad wszystko przełożył i przez porównanie, z którą wszystko inne zdegradował i pozbawił wartości.

9

Nie on sam, ale coś bardziej uniwersalnego, bardziej ogólnego niż on, szlochało i płakało w nim łagodnymi jasnymi słowami, świecącymi w ciemności jak fosfor. I wraz ze swą płaczącą duszą płakał on sam. Było mu żal siebie.

„Jestem chory – myślał w chwilach przytomności, pomiędzy pasmami snu, maligny i omdleń. – To jednak jest jakiś tyfus, nie opisany w podręcznikach, którego nie przerabialiśmy na medycynie. Trzeba by coś ugotować, trzeba jeść, bo umrę z głodu.”

Przy pierwszej jednak próbie podniesienia się na łokciu przekonywał się, że nie ma sił się poruszyć, i tracił przytomność albo zasypiał.

„Jak długo leżę w tym ubraniu? – zastanawiał się w czasie jednego z przebłysków świadomości. – Ile godzin? Ile dni? Kiedy padłem, zaczynała się wiosna. A teraz jest szron na oknie. Taki porowaty i brudny, że aż ciemno się zrobiło w pokoju.”

W kuchni szczury brzęczały pozzrucanymi talerzami, biegały w górę po ścianie, ciężkimi cielskami waliły się na podłogę, ohydnie piszczały kontraltowymi płaczliwymi głosami.

I znowu spał i budził się, i widział, że okna w śnieżnej siatce szronu nasączają się różowym żarem zorzy, która czerwieni się w nich jak wino nalane w kryształowe kielichy. I nie wiedział, i pytał sam siebie, jaka to zorza, poranna czy wieczorna.

Raz wydało mu się, że słyszy zupełnie blisko ludzkie głosy i załamał się, sądząc, że zaczyna tracić rozum. Zalany łzami z litości nad samym sobą, bezdźwięcznym szepciem utyskiwał na niebo, że odwróciło się odeń i opuściło go. „Przecż oddaliłeś mnie od oblicza swego, światłości niezachodząca? I okryły mnie, przekłętego, wrogie ciemności?”

I nagle zrozumiał, że nie śni, że jest to najprawdziwsza prawda, że jest rozebrany, umyty, i leży w czystej koszuli nie na kanapie, ale w świeżo poślanyim łóżku, i że, mieszając swoje włosy z jego włosami i jego łzy ze swoimi, wraz z nim płacze, siedzi przy jego łóżku i pochyla się nad nim Lara. I stracił przytomność ze szczęścia.

10

W niedawnej malignie zarzucał niebu obojętność, a niebo całą swą szerokością pochylało się nad jego łóżem i wyciągało doń dwie duże, białe, obnażone do ramion

kobiece ręce. Ciemniało mu w oczach z radości i tak, jak się popada w omdlenie, zapadał się w otchłań szczęśliwości.

Przez całe życie zawsze coś robił, wiecznie był zajęty, pracował w domu, leczył, myślał, studiował, tworzył. Jak dobrze było przestać działać, walczyć, myśleć i na jakiś czas pozostawić ten trud naturze, a samemu stać się rzeczą, zamysłem, tworem w jej łaskawych, zachwycających, roztaczających piękno rękach!

Jurij Andriejewicz szybko wracał do zdrowia. Karmiła go i oddechowała Lara swą troskliwością, swym łabędziobiałym urokiem, swym dyszącym wilgotnie, gardłowym szeptem swych pytań i odpowiedzi.

Ich prowadzone półgłosem rozmowy, nawet najbliższe, były pełne znaczeń, jak dialogi Platona.

Jeszcze bardziej niż wspólnota dusz jednoczyła ich przepaść, oddzielająca oboje od świata zewnętrznego. Obojgu było jednakowo niemiłe wszystko, co jest fatalnie typowe we współczesnym człowieku, jego wyuczony entuzjazm, krzykliwa wzniosłość i owa śmiertelna przyziemność, którą tak starannie rozprzestrzeniają nieliczni pracownicy nauki i sztuki po to, by geniusz nadal pozostawał wielką rzadkością.

Wielka była ich miłość. Ale kochają wszyscy, nie dostrzegając niezwykłości tego uczucia.

Dla nich zaś – i na tym polegała ich wyjątkowość – chwile, kiedy na podobieństwo powiewu wieczności w ich efemeryczną ludzką egzystencję wdzierał się powiew namiętności, były minutami odkryć i poznawania wciąż nowych rzeczy o sobie i życiu.

11

– Musisz koniecznie wrócić do swoich. Nie przetrzymam cię tu ani o jeden dzień dłużej, niż trzeba. Ale sam widzisz, co się dzieje. Ledwieśmy się połączyli z Rosją Sowiecką, jak już nas pochłonęła jej ruina. Dziury zatyka się Syberią i Wschodem. Przecież ty nic nie wiesz. Podczas twojej choroby tak wiele się w mieście zmieniło! Zapasy z naszych składów przewożą do centrum, do Moskwy. Dla niej to kropla w morzu, te ładunki giną w niej jak w beczce bez dna, a my zostajemy bez żywności. Poczta nie działa, przerwano ruch pasażerski, chodzą tylko transporty ze zbożem, w mieście znów szemranie, jak przed powstaniem Gajdy, i znowu w odpowiedzi na wszelkie przejawy niezadowolenia szaleje Czeriezwyczałka.

I jakże ty wyruszysz w takim stanie, sama skóra i kości, ledwie się dusza w tobie kołacze? Znowu pieszo? Przecież nie dojdiesz! Musisz okrzepnąć, nabrać sił, wtedy to inna sprawa.

Nie śmiem ci radzić, ale na twoim miejscu, zanim wyruszysz do swoich, popracowałabym trochę, oczywiście jako lekarz, to jest w cenie. Poszłabym na przykład do naszego wydziału zdrowia. Mieści się tam, gdzie dawny zarząd lekarski.

No bo sam powiedz. Syn syberyjskiego milionera, który się zastrzelił, żona – córka tutejszego fabrykanta i obszarnika. Byłeś u partyzantów i uciekłeś. Cokolwiek by się rzekło, jest to odejście z szeregów rewolucyjnych, dezercja. W żadnym wypadku nie możesz siedzieć beczynn timer, jako liszeniec²³. Moja sytuacja też jest niepewna. Ja także pójdę do pracy, do gubernialnego wydziału oświaty ludowej. Mnie również grunt się pali pod nogami.

– Jak to się pali? A Strielnikow?

– Właśnie z powodu Strielnikowa. Już przedtem ci mówiłam, jak wielu on ma wrogów. Armia Czerwona odniosła zwycięstwo. Teraz bezpartyjnych wojskowych, którzy byli blisko naczelnego dowództwa i zbyt wiele wiedzą wyrzucą na zbity pysk. Dobrze jeszcze, jeżeli wyrzucą, a nie stracą, żeby nie pozostawić śladów. Pasza jest w pierwszych szeregach tych ludzi. Był na Dalekim Wschodzie. Słyszałam, że uciekł i ukrywa się. Podobno go szukają. Ale dość o tym. Nie lubię płakać, a jeżeli powiem o nim choć jedno słowo więcej, czuję, że się rozbeczę.

– Kochałaś go, kochasz go jeszcze teraz?

– Przecież wyszłam za niego za mąż, to mój mąż, Juroczka. To piękny, czysty charakter. Głęboko wobec niego zawiniłam. Nie zrobiłam mu nic złego, powiedzieć tak byłoby kłamstwem. Ale on jest człowiekiem wspaniałym, wielkiej, wielkiej prawości, a ja – łajdaczka, nie dorastam mu do pięt. To cała moja wina. Ale proszę cię, dość o tym. Kiedyś sama do tego wrócę, obiecuję ci. Jakaż cudowna jest ta twoja Tonia. Jak z Botticellego. Byłam przy jej porodzie. Strasznie się zbliżyłyśmy. Ale i o tym pomówimy innym razem, proszę cię. Tak, no więc idźmy oboje do pracy. Będziemy pracować i co miesiąc otrzymywać pensję w miliardach. Do ostatniego przewrotu były u nas w obiegu syberyjskie kredyty. Zniesiono je całkiem niedawno i przez długi czas, przez całą twoją chorobę, żyliśmy bez pieniędzy. Wyobraź sobie. Trudno w to uwierzyć, ale jakoś sobie radziliśmy. Teraz do dawnego urzędu skarbowego przywieziono cały pociąg papierowych pieniędzy, podobno czterdzieści wagonów. Są wydrukowane na wielkich arkuszach w dwóch kolorach, niebieskim i czerwonym, jak znaczki pocztowe, i podzielone na małe odcinki. Niebieskie po pięć milionów odcinek, a czerwone po dziesięć. Wycierają się, złe farby, kolor się ściera.

– Widziałem te pieniądze. Wprowadzono je tuż przed naszym wyjazdem z Moskwy.

12

– Co robiłaś tak długo w Warykinie? Przecież tam nikogo nie ma, pustki. Co cię tam zatrzymało?

²³ Przed przyjęciem Konstytucji 1936 roku człowiek, należący do klasy wyzyskiwaczy, polityczny przeciwnik władzy radzieckiej, pozbawiony (liszennyj) prawa wyborczego i innych praw obywatelskich. (Przyp. tłum.)

– Sprzątałam z Katieńką wasz dom. Bałam się, że pierwsze kroki skierujesz tam. Nie chciałam, żebyś zastał mieszkanie w takim stanie.

– W jakim? Co tam takiego, bałagan, nieporządek?

– Nieporządek. Brudno. Sprzątnęłam.

– Uchylasz się od odpowiedzi. Czegóż nie dopowiadasz, coś ukrywasz. Ale jak nie chcesz, nie będę się dopytywać. Opowiedz mi o Toni. Jak ochrzciła córeczkę?

– Masza. Po twojej matce.

– Opowiedz mi o nich.

– Proszę cię, kiedy indziej. Mówiłam ci, że ledwie powstrzymuję łzy.

– Samdewiatow, który ci dał konia, to interesująca postać. Jak sądzisz?

– Bardzo.

– Ja przecież znam Anfima Jefimowicza bardzo dobrze. Był naszym przyjacielem domu, pomagał nam tutaj, na nowym miejscu.

– Wiem. Opowiadał mi.

– Pewnie się przyjaźnicie? Tobie także stara się pomóc?

– Po prostu obsypuje mnie dobrodziejstwami. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

– Wyobrażam sobie. Jesteście pewnie w bliskich, koleżeńskich stosunkach, za pan brat? Na pewno zaleca się do ciebie na całego.

– A jakże. Nie odstępuję mnie na krok.

– A ty? Ale wybaczone. Przekraczam dozwolone granice. Z jakiej racji cię wypytuję? Przepraszam. To nie wypada.

– O, proszę cię bardzo. Na pewno interesuje cię co innego – charakter naszych stosunków? Chcesz wiedzieć, czy w naszą zażyłość nie zakradło się coś bardziej osobistego? Oczywiście, że nie. Zawdzięczam Anfimowi Jefimowiczowi nieprawdopodobnie wiele, jestem u niego zadłużona po uszy, ale choćby mnie ozłocił, choćby oddał za mnie życie, nie zbliżyłoby to mnie do niego ani na krok. Od urodzenia nie lubię ludzi tego obcego mi pokroju. W sprawach życiowych ci przedsiębiorczy, pewni siebie, rozkazujący mężczyźni są niezastąpieni. Ale w sprawach serca owo kogucie, wąsate męskie samozadowolenie jest odrażające. Zupełnie inaczej rozumiem bliskość i życie. Ale to jeszcze nie wszystko. Z moralnego punktu widzenia Anfim Jefimowicz przypomina mi innego mężczyznę, o wiele bardziej odpychającego, przez którego stałam się właśnie taka, któremu zawdzięczam, że jestem tym, czym jestem.

– Nie rozumiem. Co masz na myśli? Wytłumacz. Jesteś najlepsza ze wszystkich ludzi na świecie.

– Ach, Juroczka, jak tak można? Ja z tobą rozmawiam poważnie, a ty wyskakujesz z komplementami jak w salonie. Pytasz, jaka jestem. Jestem nadłamana, ze skazą na całe życie. Przedwcześnie, zbrodniczo wcześniej ktoś uczynił mnie kobietą, wtajemniczył w najgorsze strony życia w fałszywej, bulwarowej interpretacji; zadufany w sobie, niemłody pasożyt tamtych czasów, biorący z życia pełnymi garściami, pozwalający sobie na wszystko.

– Domyślam się. Coś takiego przypuszczałem. Ale zaczekaj. Mogę sobie wyobrazić twój niedzieliący ból wtedy, strach, brak doświadczenia, pierwszą krzywdę niedoroślej dziewczynki. Ale to przecież dawne czasy. Chcę przez to powiedzieć, że ubolewać nad tym teraz powinnaś nie ty, ale ludzie, którzy cię kochają, na przykład ja. To ja powinienem rwać sobie włosy z głowy i rozpaczać, że się spóźniłem, że nie byłem wtedy przy tobie, by zapobiec temu, co się stało, jeśli to rzeczywiście jest twoją tragedią. Zdumiewające. Zdaje mi się, że mocno, śmiertelnie, namiętnie mogę być zazdrosny tylko o kogoś niższego, obcego. Rywalizacja z wyższym budzi we mnie zupełnie inne uczucia. Gdyby bliski mi duchem, lubiany przeze mnie człowiek pokochał tę samą kobietę co ja, miałbym uczucie smutnego zbratania z nim, a nie przykrej rywalizacji. Oczywiście ani przez chwilę nie mógłbym się z nim dzielić przedmiotem mego ubóstwienia. Ale ustąpiłbym z uczuciem zupełnie innego cierpienia niż zazdrość, nie takim palącym i krwawym. To samo odczułbym w zetknięciu z artystą, który by mnie pokonał swym talentem w podobnych pracach jak moje. Na pewno zrezygnowałbym ze swych poszukiwań, które powtarzałyby tylko jego zwycięskie próby.

Ale odbiegłem od tematu. Myślę, że nie kochałbym cię tak bardzo, gdybyś nie miała na co się żalić i czego żałować. Nie lubię sprawiedliwych, którzy nie padają, nie potykają się. Ich cnota jest martwa i mało warta. Nie poznali piękna życia.

– A ja mówię właśnie o tym pięknie. Mnie się zdaje, że aby je dostrzec, trzeba nietkniętej wyobraźni, dziewiczej wrażliwości. A to akurat mi odebrano. Może ukształtowałyby się we mnie własne poglądy na życie, gdybym od pierwszych kroków nie widziała go naznaczonego cudzym upodlającym piętnem. Ale to nie wszystko. Przez to, że w moje rozpoczynające się życie wtargnęła ta niemoralna, lubieżna miernota, nie ułożyło się także moje późniejsze małżeństwo ze wspaniałym, nieprzeciętnym człowiekiem, który mnie bardzo kochał i któremu odpowiadałam tym samym.

– Zaczekaj. O mężu opowiesz mi później. Powiedziałem ci, że zazdrość budzi we mnie zawsze ktoś niżej niż ja stojący, a nie równy mi. O męża nie jestem zazdrosny. A tamten?

– Jaki „tamten”?

– Ten łajdak, który cię zgubił. Kto to był?

– Dostyc znany moskiewski adwokat. Był kolegą mego ojca, a po śmierci taty pomagał materialnie mamie, kiedy byliśmy w biedzie. Kawaler, zamożny. Pewnie oczerniając go tak dodaję mu znaczenia, którego nie posiadał, i ubarwiam jego postać. A był to osobnik bardzo pospolity. Jeżeli chcesz, podam ci jego nazwisko.

– Nie trzeba. Wiem. Raz go widziałem.

– Naprawdę?

– Kiedyś w hotelu, kiedy truła się twoja matka. Późnym wieczorem. Byliśmy jeszcze dziećmi, uczniami.

– A, pamiętam ten wypadek. Przyjechaliście i staliście po ciemku w przedpokoju apartamentu. Może sama nigdy bym sobie nie przypomniała tej sceny, ale ty już raz

mi pomogłeś wydobyć ją z niepamięci. Zdaje się, że przypomniałeś mi to w Mieluziejewie.

– I był tam Komarowski.

– Tak? Zupełnie możliwe. Nietrudno było zobaczyć nas razem. Często się spotykaliśmy.

– Czemu się zaczerwieniłaś?

– Na dźwięk słowa „Komarowski” w twoich ustach. Z zaskoczenia.

– Razem ze mną był wtedy tam twój kolega z klasy. Powiedział mi, że poznał w Komarowskim człowieka, którego pierwszy raz widział przypadkiem, w niezwykle okolicznościach. Kiedyś w podróży ten chłopiec, gimnazjalista, Michał Gordon, był świadkiem samobójstwa mojego ojca – milionera-przemysłowca. Misza jechał tym samym pociągiem co on. Ojciec rzucił się w biegu z pociągu, żeby ze sobą skończyć. Towarzyszył mu Komarowski, jego doradca prawny. Komarowski poił ojca, zagmatwał jego sprawy, doprowadził go do bankructwa i popchnął do zguby. On jest winien jego samobójstwa i mojego sieroctwa.

– Niemożliwe! Jakież to znamienne szczegóły! To rzeczywiście prawda? Więc on był także twoim złym duchem? Jakże nas to zbliża! To po prostu przeznaczenie!

– I właśnie o niego jestem zazdrosny jak szalowiec, ślepo.

– Co ty? Przecież ja go nie tylko nie kocham. Ja nim gardzę.

– Czy naprawdę tak dobrze znasz samą siebie? Natura ludzka, a szczególnie kobieca, jest tak ciemna i pełna sprzeczności! Jakąś częścią swojej odrazy należysz może do niego bardziej niż do kogokolwiek innego, kogo kochasz z własnej woli, bez przymusu.

– Jakie straszne jest to, co mówisz. Jak zwykle mówisz tak trafnie, że przeciwna naturze rzecz wydaje mi się prawdą. Ale wobec tego jakież to okropne!

– Uspokój się. Nie słuchaj mnie. Chciałem powiedzieć, że jestem zazdrosny o coś ciemnego, nieświadomionego, o coś, czego nie sposób wytłumaczyć, czego niepodobna się domyślić. Jestem zazdrosny o szczegóły twojej toalety, o krople potu na twojej skórze, o unoszące się w powietrzu zarazki, które mogą zatruć twoją krew. I jak o taką zarazę jestem zazdrosny o Komarowskiego, który odbierze mi cię kiedyś, tak jak kiedyś rozdzielili nas twoja lub moja śmierć. Wiem, że to wygląda jak stek bredni. Nie potrafię wyrazić tego zgrabniej i bardziej zrozumiale. Kocham cię bezrozumnie, bez pamięci, nieskończenie.

13

– Opowiedz mi coś więcej o swoim mężu. „W jedną księgę niedoli ze mną zapisany”²⁴ – jak mówił Szekspir.

– Z czego to?

– Z „*Romea i Julii*”.

²⁴ przekład Józefa Paszkowskiego

– Mówiłam ci o nim dużo w Mieluziejewie, kiedy go szukałam. I potem tu, w Juriatinie, kiedyśmy się spotkali po raz pierwszy, kiedy mi powiedziałeś, że chciał cię aresztować w swoim wagonie. Myślę, że ci opowiadałam, a może i nie, może mi się tak tylko wydaje, że widziałam go raz z daleka, kiedy wsiadał do auta. Nie wyobrażasz sobie, jak go ochraniano. Zauważyłam, że się prawie nie zmienił. Ta sama piękna, uczciwa, stanowcza twarz, najuczciwsza ze wszystkich twarzy, jakie w życiu widziałam. Ani cienia sztuczności, mężny charakter, całkowity brak jakiegokolwiek pozy. Tak było zawsze i tak pozostało. Ale jedną zmianę dostrzegłam i zaniepokoiło mnie to. W jego twarzy pojawiło się coś abstrakcyjnego, co pozbawiło ją barw. Żywa ludzka twarz stała się symbolem, zasadą, odbiciem idei. Serce mi się ścisnęło na ten widok. Zrozumiałam, że to wpływ sił, w których władanie się oddał, sił wzniosłych, ale zabijających i bezlitosnych, które kiedyś nie oszczędzą i jego. Wydało mi się, że został napiętnowany ręką przeznaczenia. Ale może się myłę. Może zasugerowałam się twoimi słowami, kiedy opisywałeś mi wasze spotkanie. Przy całej identyczności naszych uczuć tyle przecież od ciebie przyjąłem!

– Nie, opowiedz mi o waszym życiu przed rewolucją.

– Już we wczesnym dzieciństwie zaczęłam marzyć o czystości. On był jej uosobieniem. Przecież jesteśmy nieomal z jednego podwórka. Ja, on, Galiullin. Byłam jego dziecięcą fascynacją. Zamierał, drętwiał na mój widok. To pewnie źle, że mówię to i wiem o tym. Ale byłoby jeszcze gorzej, gdybym udawała nieświadomą. Byłam jego dziecięcą namiętnością, owym niewolniczym uczuciem, które się ukrywa, którego dziecinna duma nie pozwala okazać i które bez słów wypisane jest na twarzy i dla każdego widoczne. Przyjaźniliśmy się. Różniliśmy się od siebie tak bardzo, jak bardzo ty i ja jesteśmy do siebie podobni. Wybrałam go wówczas nie sercem. Postanowiłam złączyć swe życie z tym cudownym chłopcem, gdy tylko oboje dorośniemy, i w duchu już wtedy się z nim zaręczyłam.

A pomyśl, jakie on ma zdolności! Wprost niezwykle! Syn prostego dróżnika czy stróża kolejowego, tylko samym talentem i upartą pracą osiągnął – o mało nie powiedziałam „stopień”, a powinnam była powiedzieć – szczyty nowoczesnej wiedzy uniwersyteckiej w dwóch specjalnościach, matematycznej i humanistycznej. To przecież nie żarty!

– Co w takim razie rozbiło wasze pożycie, skoro się nawzajem tak kochaliście?

– Ach, jak trudno na to odpowiedzieć. Zaraz ci to opowiem. Ale to dziwne, Czyż ja, słaba kobieta, mam tłumaczyć tobie, takiemu mądrymu, co się teraz dzieje z życiem w ogóle, z życiem ludzi w Rosji, i dlaczego rozpadają się rodziny, w tym także twoja i moja? Zupełnie jakby chodziło tu o ludzi, o dobrane lub niedobrane charaktery, o miłość i niemiłość. Wszystko, cośmy stworzyli, ustalili, wszystko, co się odnosi do codziennego bytu, gniazda rodzinnego i ładu, wszystko to rozsypało się w proch wraz z przewrotem w całym społeczeństwie i wraz z jego przebudową. Pozostała tylko jedna niezyciowa, nie mająca zastosowania siła – nagie, oskubane do nitki uczucie, dla którego nic się nie zmieniło, gdyż ono zawsze zięblo, drżało i ciągnęło ku drugiemu, najbliższemu, tak samo obnażonemu i samotnemu. My oboje jesteśmy jak pierwsi ludzie Adam i Ewa, którzy nie mieli się czym okryć w

początkach świata, my też jesteśmy teraz tak samo nadzy i bezdomni w jego końcu. Jesteśmy ostatnim wspomnieniem o wszystkim tym nieopisanie wielkim, co powstało na świecie w ciągu tysięcy lat dzielących ich i nas, i na pamiątkę tych cudów, co już nie istnieją, oddychamy i kochamy, i płaczemy, i trzymamy się siebie, lgniemy jedno do drugiego.

14

Po krótkiej przerwie podjęła już o wiele spokojniej:

– Powiem ci. Gdyby Strielnikow znowu stał się Paszeńką Antipowem, gdyby przestał szaleć i buntować się, gdyby czas się cofnął, gdyby gdzieś w oddali, na krańcu świata, cudem zabłysło okno naszego domu z lampą i książkami na biurku Paszy, chyba bym na kolanach się tam poczołgała. Nie oparłabym się wołaniu przeszłości, wołaniu wierności. Poświęciłabym wszystko. Nawet to, co najdroższe. Ciebie. I moją bliskość z tobą, taką lekką, niewymuszoną, naturalną. O, przebac. Nie wiem, co mówię. To nieprawda.

Rzuciła mu się z płaczem na szyję. Uspokoiała się jednak bardzo szybko i ocierając łzy powiedziała:

– Ale to jest przecież ten sam głos obowiązku, który gna cię do Toni. Boże, jacy my jesteśmy biedni! Co z nami będzie? Co mamy robić?

Kiedy uspokoiła się już zupełnie, dodała:

– Ale nie powiedziałam ci, dlaczego rozpadło się nasze szczęście. Później zrozumiałam to jasno. Opowiem ci. To będzie opowieść nie tylko o nas. Taki jest los wielu rodzin.

– Mów, moja mądralinko.

– Pobraliśmy się przed samą wojną, na dwa lata przed jej wybuchem. I gdy tylko zaczęliśmy żyć samodzielnie, urządziliśmy dom, wypowiedziano wojnę. Jestem teraz pewna, że to wojna była przyczyną wszystkiego, wszystkich późniejszych nieszczęść, które do dziś prześladowają nasze pokolenie. Dobrze pamiętam dzieciństwo. Przypadło na czasy kiedy panowały jeszcze pojęcia minionego, pokojowego wieku. Ludzie ufali głosowi rozsądku. To, co podpowiadało sumienie, uważali za rozwiązanie jedyne i konieczne. Śmierć człowieka z ręki drugiego człowieka była rzadkością, zjawiskiem niezwykłym, nietypowym. Zabójstwa, jak zakładano, zdarzały się tylko w tragediach, powieściach detektywistycznych i w gazetach, ale nie w prawdziwym życiu.

I nagle ten przeskok od pogodnego, niewinnego umiaru w krew i krzyki, w całkowite szaleństwo i zdziczenie zabijania, na każdym kroku i w każdej godzinie, zabijania usankcjonowanego i pochwalanego.

Chyba nigdy takie rzeczy nie uchodzą płazem. Pamiętasz pewnie lepiej niż ja, jak wszystko od razu zaczęło się obracać w ruinę. Kursowanie pociągów, zaopatrzenie w żywność, podstawy życia rodzinnego, normy moralne.

– Mów, mów. Wiem, co powiesz dalej. Jak ty to świetnie rozumiesz! Jaka to przyjemność cię słuchać.

– Wtedy przyszła nieprawda na ziemię rosyjską. Największym nieszczęściem, rdzeniem przyszłego zła była utrata wiary w wartość własnego zdania. Ludzie wyobrazili sobie, że czasy, w których kierowano się nakazami poczucia moralnego, minęły, że teraz należy śpiewać jednym głosem i żyć wedle obcych, narzuconych wszystkim wyobrażeń. Rozpanoszyła się władza frazesu, najpierw monarchistycznego, a potem – rewolucyjnego.

To powszechne otumanienie ogarnęło wszystkie dziedziny życia. Wszystko znalazło się pod jego wpływem. Nie oparł się temu zgubnemu oddziaływaniu także nasz dom. Coś się w nim zachwiało. Zamiast beztroskiej żywości, zawsze panującej w naszym kółku, przenikała do naszych rozmów szczypta idiotycznej deklamacji, jakieś narzucone, na pokaz, wymądrzanie się na obowiązujące ogólne tematy. Czyż tak subtelny i wymagający wobec siebie człowiek jak Pasza, który bezbłędnie odróżniał istotę rzeczy od jej pozorów, mógł przejść obojętnie obok tego fałszu i nie zauważyć go?

I tu popełnił fatalny błąd, który zadecydował o wszystkim, co nastąpiło później. Znamię czasów, zło społeczne wziął za zjawisko domowe, wewnętrzne. Nienaturalność tonu, oficjalną sztuczność naszych rozważań zastosował do siebie, przypisał ją temu, że jest człowiekiem oschłym, przeciętnym, zamkniętym w sobie. Tobie pewnie wydaje się niewiarygodne, że takie głupstwa mogły coś znaczyć we wspólnym życiu. Ty nie możesz sobie wyobrazić, jakie to było ważne, ile głupstw narobił Pasza z powodu tego dziecinnego przekonania.

Poszedł na wojnę, czego nikt od niego nie wymagał. Zrobił to, żeby uwolnić nas od siebie, od swej przytłaczającej, jak sądził, obecności. Od tego zaczęły się jego szaleństwa. Z jakąś młodzieńczą, fałszywie pojętą ambicją obraził się na coś takiego w życiu, na co się nikt nie obraża. Zaczął mieć pretensje do przebiegu wydarzeń, do samej historii. Rozpoczął zatarg z historią i po dziś dzień wyrównuje z nią porachunki. Stąd się biorą jego wyzywające szaleństwa. Zmierza ku nieuniknionej zgubie przez tę głupią ambicję. O, gdybym mogła go ocalić!

– Jakże ty nieprawdopodobnie czysto i mocno go kochasz! Kochaj go, kochaj. Nie jestem o niego zazdrosny, nie będę ci przeszkadzać.

15

Niepostrzeżenie przyszło i odeszło lato. Doktor wyzdrowiał. W oczekiwaniu na ewentualny wyjazd do Moskwy podjął tymczasem pracę w trzech miejscach. Pieniądze szybko traciły wartość i to zmuszało do harówki na kilku posiadach.

Doktor wstawał przy pianiu kogutów, wychodził na Kupiecką i szedł nią w dół obok iluzjonu „Gigant” i dawnej drukarni uralskiego wojska kozackiego, przemianowanej obecnie na „Czerwonego Zecera”. Na rogu Grodzkiej, na drzwiach zarządu, witała go tabliczka „Biuro zażaleń”. Przecinał na ukos plac i wychodził na Małą Bujanówkę. Potem mijał zakłady Stenhope'a i przez tylne podwórze szpitala wchodził do ambulatorium szpitala wojskowego, gdzie było główne miejsce jego pracy.

Przez pół drogi szedł pod cienistymi, zwieszającymi się nad ulicą drzewami, obok wymyślnych, przeważnie drewnianych domków o spadzistych dachach, z siatkowymi ogrodzeniami, ozdobnymi bramkami i rzeźbionymi okiennicami.

W sąsiedztwie ambulatorium, w dawnym sadzie kupcowej Goriegladowej, stał oryginalny niewysoki dom w staroruskim stylu. Był oblicowany wzorzystymi glazurowanymi płytkami niby starodawne dwory moskiewskich bojarów.

Z ambulatorium Jurij Andriejewicz trzy czy cztery razy w dekadzie szedł do dawnego domu Ligettich na Starej Miaskiej, na posiedzenia mieszczącego się tam juriatińskiego wydziału zdrowia.

W zupełnie innej, odległej części miasta stał dom, ofiarowany miastu przez ojca Anfima, Jefima Samdiewiatowa, ku uczczeniu pamięci jego żony, która zmarła przy porodzie, wydając na świat Anfima. W domu tym mieścił się założony przez Samdiewiatowa Instytut Ginekologii i Położnictwa. Teraz miały w nim siedzibę przyspieszone kursy medyczno-chirurgiczne imienia Róży Luksemburg. Jurij Andriejewicz wykładał tam patologię ogólną i kilka innych przedmiotów nadobowiązkowych.

Wracał ze wszystkich tych zajęć przed nocą, zmęczony i głodny, i zastawał Larysę Fiodorownę w wirze domowych kłopotów, przy kuchni albo przy balii. Przy tych prozaicznych, codziennych pracach, potargana, z zakasanyimi rękawami i podwiniętą spódnicą, przerażała go niemal swą królewską, zapierającą dech urodą, bardziej, niż gdyby zastał ją przed wyjazdem na bal, wyższą, jakby urosła, na wysokich obcasach, w wieczorowej sukni z dekoltem i szeroką, szeleszczącą spódnicą.

Gotowała albo prała, a potem resztą mydlanej wody myła podłogi w mieszkaniu. Albo znów spokojna, mniej rozgorączkowana, prasowała bieliznę, swoją, jego i Katieńki. Albo, uporawszy się z gotowaniem, praniem i sprzątaniami, uczyła Katieńkę. Albo, zagłębiona w podręcznikach, zajmowała się własnym szkoleniem politycznym przed podjęciem pracy w nowej, zreformowanej szkole.

Im bliższe były mu ta kobieta i ta dziewczynka, tym mniej się ośmielał traktować je po rodzinnemu, tym surowszy był zakaz, jaki nałożył na swe myśli w poczuciu obowiązku wobec własnej rodziny i wobec swego bólu z powodu złamanej wierności. Nie było w tym ograniczeniu nic obraźliwego dla Lary i Katieńki – przeciwnie, ten nierodzinny sposób kochania zawierał w sobie całe morze szacunku, wykluczające nonszalancję i familiarność.

Ale owo rozdwojenie męczyło i raniło, i Jurij Andriejewicz przywykł do niego tak, jak się przywyka do nie zagojonej, otwierającej się często rany.

Minęły tak dwa czy trzy miesiące. Kiedyś w październiku doktor powiedział do Larysy Fidorowny:

– Wiesz, chyba będę musiał odejść z posady. Stara, powtarzająca się wiecznie historia. Zaczyna się, że nie można lepiej. „Jesteśmy zawsze radzi uczciwej pracy. A

tym bardziej myślom, szczególnie nowym. Jakże ich nie cenić? Serdecznie witamy. Pracujcie, walczcie, poszukujcie.”

W praktyce zaś okazuje się, że pod słowem myśli rozumie się tylko ich pozór, słowne ozdobniki do wychwalania rewolucji i ludzi sprawujących władzę. To jest męczące i dokuczliwe. Nie jestem specjalistą w tej dziedzinie.

I oni chyba rzeczywiście mają rację. Jasne, że nie jestem z nimi. Ale trudno mi pogodzić się z myślą, że to są bohaterowie, świetlane postacie, a ja – nędzna duszyczka, opowiadająca się po stronie ciemnoty i zniewolenia człowieka. Słyszałaś kiedyś nazwisko Mikołaja Wiedieniapina?

– Oczywiście. Zanim ciebie poznałam, i później, z niektórych twoich opowieści. Często o nim mówi Simoczka Tuncewa. Jest jego kontynuatorką. Przyznaję jednak ze wstydem, że jego książek nie czytałam. Nie lubię prac poświęconych wyłącznie filozofii. Według mnie filozofia powinna być skąpo wydzielaną przyprawą do sztuki i życia. Zajmowanie się tylko nią jest równie dziwne jak jedzenie samego chrzanu. Ale przepraszam, przerwałam ci moimi głupimi uwagami.

– Nie, przeciwnie. Zgadzam się z tobą. Ten sposób myślenia jest mi bardzo bliski. Aha, więc co do wuja, Może rzeczywiście jego wpływ mnie wykoślawił. Ale przecież oni sami krzyczą jak jeden mąż: genialny diagnosta, genialny diagnosta. To prawda, rzadko się myślę w rozpoznawaniu choroby. Ale to właśnie jest ta nienawistna im intuicja, którą rzekomo grzeszę, poznanie całkowite, obejmujące cały obraz.

Mam hyzia na punkcie mimikry, zewnętrznego przystosowania się organizmów do barwy otoczenia. Właśnie tu, w tym upodobnianiu się barw, kryje się zaskakujące przejście od świata zewnętrznego do wewnętrznego.

Ośmieliłem się napomknąć o tym na wykładzie. I zaczęło się! „Idealizm, mistyka. Filozofia naturalna Goethego, neoschellingianizm.”

Muszę odejść. Z wydziału zdrowia i z instytutu zwolnię się na własną prośbę, a w szpitalu postaram się utrzymać, dopóki mnie nie wyrzucą. Nie chcę cię straszyć, ale mam chwilami wrażenie, że lada dzień mnie aresztują.

– Niech Bóg broni, Juroczka! Do tego, na szczęście, jeszcze daleko. Ale masz rację. Nie zawadzi być ostrożniejszym. O ile udało mi się zaobserwować, każde wprowadzenie nowej władzy przechodzi przez kilka etapów. Na początku jest to triumf rozumu, duch krytycyzmu, walka z przesądami.

Potem następuje drugi okres. Biorą górę mroczne siły „podszywających się”, fałszywych sympatyków. Wzrasta podejrzliwość, donosy, intrygi, nienawiść. I masz rację, jesteśmy na początku tej drugiej fazy.

Przykładów nie trzeba daleko szukać. Z Chodackiego przeniesiono tutaj do kolegium trybunału rewolucyjnego dwóch starych skazańców politycznych, byłych katorżników, robotników, Tiwierzina i Antipowa.

Obaj świetnie mnie znają, a jeden jest ojcem mego męża, moim teściem. Ale właśnie od momentu ich przeniesienia, od niedawna, zaczęłam drzeć o życie moje i Katieńki. Po nich wszystkiego się można spodziewać. Antipow nie lubi mnie. Może się zdarzyć, że pewnego pięknego dnia oni mnie i nawet Paszę zgładzą w imię wyższej rewolucyjnej sprawiedliwości.

Dalszy ciąg tej rozmowy odbył się niedługo potem. Właśnie w tym czasie przeprowadzono nocną rewizję w domu numer czterdzieści osiem na Małej Bujanowce, niedaleko ambulatorium, u wdowy Goriegladowej. Znalezione tam skład broni i wykryto organizację kontrrewolucyjną. W mieście przeprowadzono wiele aresztowań, rewizje i areszty wciąż trwały. Chodziły słuchy, że część podejrzanych uciekła za rzekę. Można było usłyszeć takie na przykład przypuszczenia: „A co im to pomoże? Rzeka rzece nierówna. Różne rzeki bywają. Na przykład w Błagowieszczeńsku nad Amurem na jednym brzegu jest władza sowiecka, a na drugim Chiny. Skoczył w wodę, przepłynął, i adieu, szukaj wiatru w polu. To jest rzeka jak się patrzy. To zupełnie inna rozmowa.”

– Atmosfera się zagęszcza – mówiła Lara. – Skończyły się dla nas bezpieczne czasy. Aresztują nas bez wątpienia, ciebie i mnie. Co wtedy będzie z Katieńką? Jestem matką. Muszę zapobiec nieszczęściu i coś wymyślić. Muszę mieć w tej samej sprawie gotową decyzję. Tracę rozsądek na samą myśl.

– Zastanówmy się. Co na to można poradzić? Czy jesteśmy w stanie odwrócić ten cios? To jest przecież sprawa najważniejsza.

– Uciekać nie możemy i nie mamy dokąd. Ale możemy się usunąć gdzieś w cień, na drugi plan. Na przykład wyjechać do Warykina. Myślałam już o domu w Warykinie. To bardzo daleko i wszystko tam strasznie zapuszczone. Ale tam nie rzucalibyśmy się tak w oczy jak tutaj. Nadchodzi zima. Podjęłabym się przezimowania tam. Zanimby do nas dotarli, zyskalibyśmy rok życia, a to już sukces. W utrzymaniu kontaktu z miastem pomógłby nam Samdewiatow. Może by się zgodził nas ukrywać. No, co ty na to? To prawda, że nie ma tam teraz żywej duszy, straszna pustka. W każdym razie tak było w marcu, kiedy tam byłam. I podobno są wilki. To okropne. Ale ludzie, zwłaszcza ludzie w rodzaju Antipowa czy Tiwierzina, są teraz groźniejsi niż wilki.

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć. Przecież sama ciągle mnie wyrzucasz do Moskwy, namawiasz, żebym nie odkładał wyjazdu. Teraz jest z tym łatwiej. Dowiadywałem się na dworcu. Widocznie machnęli ręką na spekulantów. Zdaje się też, że nie wszystkich gapowiczów zabierają z pociągów. Zmęczyło ich już rozstrzeliwanie i rozstrzeliwują rzadziej.

Martwię się, że na żaden list do Moskwy nie dostałem odpowiedzi. Muszę tam dotrzeć i zbadać, co się dzieje z rodziną. Sama mi to powtarzasz. No więc jak mam rozumieć to, co mówisz o Warykinie? Czyżbyś chciała sama, beze mnie, wypuścić się w tę straszną głuszę?

– Nie, bez ciebie jest to oczywiście nie do pomyślenia.

– I sama wysyłasz mnie do Moskwy?

– Tak, to konieczne.

– Posłuchaj. Wiesz co? Mam wspaniały plan. Pojedźmy do Moskwy. Weź Katieńkę i jedźcie razem ze mną.

– Do Moskwy? Czyś ty oszalał? Z jakiej racji? Nie, muszę zostać. Muszę być w pogotowiu gdzieś w pobliżu. Tu się decyduje los Paszy. Muszę poczekać na rezultat, żeby w razie potrzeby być pod ręką.

- No więc pomyślmy o Katieńce.
- Zagląda do mnie czasem Simuszka, Sima Tuncewa. Niedawno rozmawialiśmy o tobie.
- A jakże. Często ją u ciebie widuję.
- Dziwię ci się. Gdzie mężczyźni mają oczy? Na twoim miejscu na pewno bym się w niej zakochała. Co za wdzięk! Co za uroda! Wzrost. Figura. Inteligancja. Oczytanie. Dobroć. Jasność sądów.
- Tego dnia, gdy wróciłem tu z niewoli, goliła mnie jej siostra, krawcowa Głafira.
- Wiem. Siostry mieszkają razem z najstarszą, Awdotią, bibliotekarką. Uczciwa, pracowita rodzina. Chcę je prosić, żeby w najgorszym wypadku, kiedy nas aresztują, wzięły Katieńkę pod opiekę. Ale jeszcze się nie zdecydowałam.
- No, to tylko w ostatecznym wypadku. A do takiego nieszczęścia może z Bożą pomocą nie dojdzie.
- Mówią, że Sima jest trochę stuknięta. Rzeczywiście, trudno ją nazwać zupełnie normalną. Ale to wynika z jej głębokich przemyśleń i oryginalności. Jest fenomenalnie wykształcona, ale nie po inteligencku, lecz jak człowiek z ludu. Ma poglądy uderzająco podobne do twoich. Z lekkim sercem powierzyłabym jej Katieńkę na wychowanie.

17

Doktor znowu był na dworcu i wrócił z niczym, mocno zawiedziony. Wszystko pozostało w zawieszaniu. Nie wiadomo było, co czeka jego i Larę. Dzień był zimny i ciemny, jak przed pierwszym śniegiem. Niebo nad skrzyżowaniami, gdzie było go widać więcej niż nad wąskimi ulicami, miało zimowy wygląd.

Kiedy Jurij Andriejewicz przyszedł do domu, zastał bawiącą z wizytą u Lary Simuszkę. Rozmowa ich miała charakter wykładu, który Sima wygłaszała gospodyni. Doktor nie chciał im przeszkadzać. Poza tym miał ochotę побыć trochę sam. Panie rozmawiały w sąsiednim pokoju. Drzwi były uchylone, i zasłonięte portierą, przez którą było słycać każde słowo.

- Będę szyc, niech pani nie zwraca na to uwagi, Simoczko. Zamieniam się w słuch. Swego czasu na studiach chodziłam na wykłady z historii i filozofii. Pani sposób myślenia bardzo mi odpowiada. Poza tym słuchanie pani to dla mnie wielka ulga. Ostatnio nie dosypiamy po nocach z powodu różnych trosk. Mam obowiązek wobec Katieńki zapewnić jej bezpieczeństwo na wypadek ewentualnych nieprzyjemności, jakie nas czekają. Muszę trzeźwo o niej myśleć. I nie bardzo potrafię. Z przykrością zdaję sobie z tego sprawę. Smutno mi także ze zmęczenia i niedosypiania. Rozmowy z panią mnie uspokajają. Poza tym lada chwila zacznie padać śnieg. A kiedy pada śnieg, jakaż to rozkosz słuchać długich i mądrych rozważań. Kiedy pada śnieg i zerknie się z ukosa w okno, ma się wrażenie, jak gdyby ktoś szedł przez podwórze w stronę domu, prawda? Niech pani zaczyna, Simoczko. Słucham.

- Na czym stanęliśmy ostatnim razem?

Jurij Andriejewicz nie dosłyszał, co powiedziała Lara. Zaczął się przysłuchiwać uważnie słowom Simy.

– Można tu użyć słów „kultura”, „epoki”. Ale każdy rozumie je inaczej. Ponieważ więc ich sens jest niejasny, zastąpimy je innymi określeniami.

Powiedziałabym, że człowiek składa się z dwóch pierwiastków. Z Boga i pracy. Rozwój ducha ludzkiego rozpada się na oddzielne prace, trwające ogromnie długo. Realizowane były przez całe pokolenia i następowały kolejno jedna po drugiej. Taką pracą był Egipt, taką pracą była Grecja, taką pracą było poznawanie Boga przez proroków biblijnych. Ostatnia z tych prac, najbliższa nam w czasie, niczym innym na razie nie zastąpiona, dokonująca się całym duchowym wysiłkiem obecnych czasów, to chrześcijaństwo.

Żeby ukazać pani w całej świeżości, w sposób zaskakujący, nie tak, jak pani sama wie i przywykła to widzieć, lecz prościej i bardziej bezpośrednio, te nowe i niezwykle rzeczy, które przyniosło chrześcijaństwo, przeanalizuję wraz z panią kilka fragmentów z tekstów liturgicznych, tylko odrobinę, i to w wielkim skrócie.

Większość pieśni pochwalnych jest połączeniem obrazów ze Starego i Nowego Testamentu. Z pojęciami starego świata o krzewie gorejącym, o wyjściu Izraela z Egiptu, o młodziankach w piecu ognistym, o Jonaszu w brzuchu wieloryba i tak dalej, zestawione są pojęcia nowe, na przykład teorie o niepokalanym poczęciu i zmartwychwstaniu.

W owych częstych, niemal stałych połączeniach szczególnie wyraźnie występują staroświeckość starych pojęć i nowoczesność nowych oraz różnice między nimi.

Mnóstwo tekstów porównuje niepokalane poczęcie Marii Panny z przejściem Żydów przez Morze Czerwone. Na przykład w pieśni *„Zapisał się ongi w Morzu Czerwonym obraz niepokalanej niewiasty”* są słowa: *„Morze po przejściu Izraelowym ostało się nieprzebrodzonym, niewinna po narodzinach Emanuelowych ostała się cnotą.”* A więc morze po przejściu Izraela znów stało się nieprzebyte, a Dziewica, porodziwszy Pana, pozostała nie tknięta. Jakiego rodzaju zjawiska się tu porównuje? Oba są nadprzyrodzone, oba uznawane za cud. W czym więc dopatrywały się cudu czasy najdawniejsze, pierwotne, i czasy nowe, postrzymskie, które posunęły się daleko do przodu?

W pierwszym wypadku na rozkaz wodza narodu, patriarchy Mojżesza, na skinienie jego czarodziejskiej różdżki, rozstępuje się morze, przepuszcza cały naród, nieprzebrane, składające się z setek tysięcy rzesze, a kiedy przeszedł ostatni człowiek, zamyka się, pokrywa i topi egipskich prześladowców. Jest to widowisko w duchu starożytności, żywioł posłuszny rozkazom czarownika, olbrzymie, tłoczące się rzesze, niby rzymskie legiony w marszach, naród i wódz, rzeczy widzialne i słyszalne, ogłuszające.

W drugim wypadku dziewica – przeciętność, na którą starożytny świat nie zwróciłby uwagi – w tajemnicy i ukradkiem daje życie dziecięciu, wydaje na świat cud życia, żywot wszystkich ludzi, jak Go potem nazywają. Narodziny te są nieprawne nie tylko z punktu widzenia uczonych, jako nieślubne. Przeczą również prawom natury. Dziewica rodzi nie z konieczności, lecz cudem, natchniona duchem

Bożym. Jest to to samo natchnienie, na którym Ewangelia, przeciwstawiająca zwyczajności wyjątkowość i dniom powszednim świętość, pragnie zbudować życie, na przekór wszelkiemu przymusowi.

Jakaż to doniosła zmiana! W jaki sposób dla nieba (bo trzeba na to patrzeć oczami nieba, bo wszystko to dokonuje się w obliczu nieba, w świętym aspekcie jedyności) – w jaki sposób dla nieba jednostkowa ludzka sprawa, błaha z punktu widzenia starożytności, stała się równie doniosła jak przesiedlenie całego narodu?

Coś przemieściło się w świecie. Skończył się Rzym, władza większości, narzucona orężnie konieczność życia wspólnie, całym narodem. Wodzowie i narody odeszli w przeszłość.

Zastąpiła je jednostka, zapowiedź wolności. Żywot pojedynczego człowieka stał się boską przypowieścią, nappełnił swą treścią przestrzenie wszechświata. Jak powiada jedna z pieśni na Zwiastowanie, Adam chciał zostać Bogiem i zbłądził, nie został nim, a teraz Bóg staje się człowiekiem, by uczynić Adama Bogiem („Człowiekiem staje się Bóg, i Bogiem czyni Adama”).

Zaraz powiem pani coś jeszcze na ten temat – ciągnęła Sima. – Ale na razie mała dygresja. Z punktu widzenia ochrony matek, walki z wyzyskiem, nasze rewolucyjne czasy są niezwykle, to czasy znamienne, których zdobycze pozostaną na zawsze. Ale co się tyczy narzucanego teraz rozumienia życia, filozofii szczęścia, po prostu nie mogę uwierzyć, że jest to mówione poważnie, to taki śmieszny przeżytek. Te deklamacje o wodzach i narodach mogłyby nas cofnąć do czasów Starego Testamentu, do plemion pasterskich i patriarchów, gdybyśmy byli w stanie zawrócić życie wstecz i odrzucić historię na całe tysiąclecia wstecz. Na szczęście to niemożliwe.

Teraz kilka słów o Chrystusie i Magdalenie. Nie z opowieści ewangelicznych, ale modłów na Wielki Tydzień, chyba na Wielki Wtorek czy Środę. Ale pani sama wszystko to dobrze zna, Laryso Fiodorowno. Po prostu chcę pani coś niecoś przypomnieć, a bynajmniej nie zamierzam pani pouczać.

Pasja w języku starosłowiańskim oznacza, jak pani świetnie wie, przede wszystkim cierpienie, mękę Pańską, „Pan, gotując się na mękę dobrowolną”²⁵. Poza tym, słowo to oznacza we współczesnym języku rosyjskim grzeszne skłonności i pożądanie. „Namiętności skalały duszą moją i stałem się jako bydlę”, „Wygnańcy z raj, okiełznaniem naszych namiętności szukajmy powrotu” i tak dalej. Jestem chyba bardzo zepsuta, ale nie lubię wielkopostnych lekcji na ten temat, poświęconych powściągnięciu zmysłów i umartwianiu ciała. Zawsze mi się wydaje, że te prymitywne, płaskie modły, pozbawione właściwej innym tekstom poezji, układali brzuchaci, lśniący od tłuszczu mnisi. I nie o to chodzi, że oni sami nie żyli wedle przykazań i oszukiwali innych. Niechby nawet żyli zgodnie z nakazami sumienia. Chodzi nie o nich, ale o treść tych fragmentów. Te ubolewania przydają nadmiernego znaczenia różnym ułomnościom ciała, temu, czy jest ono dobrze

²⁵ Strast' (ros.) – cierpienie, pasja, namiętność.

odżywione, czy umartwione. To wstrętne. Tutaj coś brudnego, nieistotnego, drugoplanowego wynosi się niesłusznie i wbrew naturze na piedestał. Przepraszam, że się ociążam z powiedzeniem najważniejszego. Zaraz wynagrodzę pani tę zwłokę.

Zawsze się zastanawiałam, dlaczego wzmianki o Magdalenie występują w przededniu Wielkiejnocy, u progu śmierci Chrystusa i jego zmartwychwstania. Nie znam przyczyny, ale przypomnienie o tym, czym jest życie, jest bardzo na miejscu w chwili pożegnania z nim i w przededniu jego powrotu. Teraz proszę posłuchać, z jaką prawdziwą pasją, z jaką bezwzględną bezpośredniością się o tym mówi.

Nie jest pewne, czy chodzi tu o Magdalene, czy o Marię Egipcjanke, czy o jakas inną Marię. Jakkolwiek by było, prosi ona Boga: „Rozwiąż dług, jako ja włosy.” To znaczy: „Odpuść mi moją winę, jak ja rozpuszczam włosy.” Jakże namacalnie wyrażone jest tu pragnienie przebaczenia, skrucha! Można go wręcz dotknąć rękami.

I podobny okrzyk w innym wersie na ten sam dzień, bardziej szczegółowy, gdzie raczej niewątpliwie mówi się o Magdalenie.

Tutaj ze strasznym realizmem rozpacza ona nad przeszłością, nad tym, że każda noc rozpała w niej dawne zakorzenione nawyki. „Jako noc jest we mnie niepowstrzymana wszeteczność, mroczna i bezksiężycowa grzeszna gorliwość.” Prosi Chrystusa, by przyjął jej łzy i skruchę, by nakłonił ucha jej serdecznym westchnieniom, by mogła otrzeć jego przeczyste nogi włosami, których płaszczem okryła się w raju przerażona i zawstydzona Ewa. „Niechaj ucałuję przeczyste twe nogi i otrę je włosami mej głowy, jako i Ewa w raju uszy swe strachem porażone nimi okryła.” I zaraz potem wykrzykuje: „Grzechów moich bezlik i wyroków twoich bezdeń któż zmierzy?” Jakaż to intymna bliskość, jakież zrównanie Boga i życia, Boga i człowieka, Boga i kobiety!

18

Jurij Andriejewicz wrócił z dworca zmęczony. Był to jego wolny dzień, przypadający raz w dekadzie. Zazwyczaj w takie dni wysypiał się za cały tydzień. Siedział na kanapie, czasem półleżał, czasem w ogóle się kładł. Chociaż słyszał Simeę poprzez przyływy senności, jej wywody sprawiały mu przyjemność. „Oczywiście, zaczerpnęła to od wujka Koli – myślał. – Ale jaka jest zdolna i inteligentna!”

Zeskoczył z kanapy i podszedł do okna. Wychodziło na podwórze tak jak okno w sąsiednim pokoju, gdzie Lara i Simuszka teraz niewyraźnie coś szeptały.

Pogoda się psuła. Na dworze zrobiło się ciemno. Przyleciały dwie sroki i zaczęły krążyć, wypatrując, gdzie by tu usiąść. Wiatr napuszał i rozwiewał lekko ich pióra. Sroki siadły na wieku pojemnika na śmieci, przeleciały na płot, sfrunęły na ziemię i zaczęły chodzić po podwórzu.

„Sroki zapowiadają śnieg” – pomyślał doktor. I w tej chwili usłyszał zza portiery:

– Sroki zapowiadają wieści – mówiła Sima do Lary. Wybierają się do pani goście. Albo dostanie pani list.

Po jakimś czasie za drzwiami zadzwonił dzwonek na drucie, który Jurij Andriejewicz niedawno naprawił. Zza portiery wyszła Larysa Fiodorowna i

szybkimi krokami poszła do przedpokoju otworzyć. Z rozmowy toczącej się przy drzwiach Jurij Andriejewicz zorientował się, że przyszła siostra Simy, Głafira Sewerynowna.

– Pani po siostrę? – zapytała Larysa Fiodorowna. – Simuszka jest u nas.

– Nie, nie po nią. Ale właściwie dlaczego? Pójdziemy razem, jeżeli ona wybiera się do domu. List do pani przyjaciela. Powinien dziękować Bogu, że kiedyś pracowałam na poczcie. Przez ileż rąk ten list przeszedł i po znajomości trafił w moje. Z Moskwy. Szedł pięć miesięcy. Nie mogli odnaleźć adresata. A ja przecież wiem, kim on jest. Golił się kiedyś u mnie.

List, długi, wielostronicowy, zatłuszczony, w rozpieczętowanej i zblakłej kopercie, był od Toni. Doktor nie uświadamiał sobie, jak list znalazł się w jego rękach, nie zauważył, jak Lara wręczyła mu kopertę. Zaczynając czytać list pamiętał jeszcze, w jakim jest mieście i w którym mieszkaniu, ale w miarę czytania tracił tę świadomość. Sima przywitała się z nim, pożegnała i wyszła, co zupełnie do niego nie dotarło. Stopniowo zapominał coraz bardziej, gdzie jest i co się wokół niego dzieje.

„Jura – pisała Antonina Aleksandrowna – czy wiesz, że mamy córkę? Ochrzciliśmy ją Masza, na pamiątkę nieboszczki mamy Marii Nikołajewny.

A teraz inna sprawa. Kilku wybitnych działaczy społecznych, profesorów z partii kadeckiej i prawicowych socjalistów, Mielgunowa, Kiesewettera, Kuskową, paru innych oraz stryja Mikołaja Aleksandrowicza Gromiekę, tatę i nas, jako członków jego rodziny, wysyłają z Rosji za granicę.

Jest to nieszczęście, szczególnie, że Ciebie nie ma, ale trzeba się podporządkować i dziękować Bogu za tak łagodną formę wygnania w takich strasznych czasach; mogło przecież być gorzej. Gdybyś się odnalazł i był tutaj, pojechałbyś z nami. Ale gdzie teraz jesteś? Posyłam ten list na adres Antipowej, ona Ci go przekaże, jeśli Cię odnajdzie. Dręczy mnie obawa, czy później, jeżeli to nam sążone, i Ty się odnajdziesz, obejmie Cię jako członka naszej rodziny, zezwolenie na wyjazd, które myśmy wszyscy otrzymali. Wierzę, że żyjesz i odnajdziesz się. Podpowiada mi to moje kochające serce i polegam na jego instynkcie. Możliwe, że kiedy się odnajdziesz, warunki życia w kraju będą już łagodniejsze i sam będziesz mógł załatwić sobie indywidualne zezwolenie na wyjazd za granicę, i wszyscy znowu będziemy razem. Ale pisząc to, sama nie wierzę w możliwość takiego szczęścia.

Całe nieszczęście polega na tym, że ja Cię kocham, a Ty mnie nie kochasz. Staram się odnaleźć sens tego potępienia, zrozumieć go, usprawiedliwić, szukam go w sobie, analizuję całe nasze życie i wszystko, co wiem o sobie samej i nie widzę przyczyny, i nie mogę sobie przypomnieć, co zrobiłam i czym ściągnęłam na siebie to nieszczęście. Ty patrzysz na mnie jakoś przewrotnie, niedobrymi oczyma, widzisz mnie wykoślawioną, jak w krzywym lustrze.

A ja Cię kocham. Ach, jak ja Cię kocham, gdybyś to mógł sobie wyobrazić! Kocham wszystko, co jest w tobie niezwykłego, wszystkie wady i zalety, wszystkie cechy zwykłe, tak mi drogie w ich niezwykłym połączeniu, Twoją uszlachetnioną wewnętrznymi treściami twarz, która bez tego wydawałaby się może nieładna, talent

i rozum, które jak gdyby zajęły miejsce nie istniejącej woli. Wszystko to jest mi drogie i nie znam człowieka lepszego niż Ty.

Ale posłuchaj, wiesz, co Ci powiem? Gdybyś nawet nie był mi tak drogi, gdybyś nie podobał mi się tak bardzo, i tak nie byłaby dla mnie zrozumiała smutna tajemnica mego wewnętrznego chłodu, i tak myślałabym, że Cię Kocham. I z samego tylko strachu przed poniżeniem, jakim jest zabójcza kara braku miłości, nieświadomie unikałabym myśli o tym, że Cię nie Kocham. Moje własne serce ukryłoby to przede mną, bo brak miłości jest prawie jak zabójstwo, a nikomu nie mogłabym zadać takiego ciosu.

Chociaż nic jeszcze nie postanowiono ostatecznie, najprawdopodobniej pojedziemy do Paryża. Znajdę się w dalekich krajach, dokąd wożono Cię jako dziecko i gdzie wychowywali się tata i stryj. Tata kazał Ci się kłaniać. Szura wyrósł, nie jest może ładny, ale duży i silny. Na wspomnienie o Tobie zawsze gorzko płacze. Nie mogę dłużej. Serce pęka mi od łez. Żegnaj. Błogosławię Cię znakiem krzyża na całą nieskończoną rozłąkę, na ciężkie próby, niepewność, na całą Twoją długą, mroczną drogę. O nic Cię nie obwiniam, nie stawiam żadnych zarzutów, ułóż sobie życie tak, jak chcesz, byleby tylko Tobie było dobrze.

Przed wyjazdem z tego strasznego i tak fatalnego dla nas Uralu dość blisko poznałam Larysę Fiodorownę. Jestem jej wdzięczna, była przy mnie w trudnych chwilach i pomogła mi przy porodzie. Muszę szczerze przyznać, że jest ona dobrym człowiekiem, ale nie ukrywam, że jest również całkowitym moim przeciwieństwem. Ja przyszedłam na świat, aby upraszczać życie i szukać słusznej drogi, a ona, aby je utrudniać i sprowadzać na manowce.

Żegnaj, muszę kończyć. Przyszli po list i czas się pakować. O Jura, Jura, mój Kochany, drogi mąż, ojciec moich dzieci, czemu tak jest? Przecież my się nigdy więcej, nigdy nie zobaczymy. A więc napisałam te słowa, czy pojmujesz ich znaczenie? Czy Ty to rozumiesz, rozumiesz, popędzają mnie i jest to jak znak, że przyszli po mnie, by zaprowadzić na stracenie. Jura! Jura!"

Jurij Andriejewicz oderwał od listu nieobecne, pozbawione łez oczy, spoglądające w przestrzeń, suche z rozpacz, opustoszone cierpieniem. Niczego dokoła siebie nie widział, na nic nie reagował.

Za oknem zaczął padać śnieg. Wiatr unosił go w bok, coraz szybciej i coraz gęstsze tumany, jak gdyby chciał w ten sposób coś nadrobić, i Jurij Andriejewicz patrzył przed siebie w okno, i zdawało mu się, że to nie śnieg pada, ale on czyta nadal list Toni, i przemykają migocząc nie suche gwiazdki śniegu, lecz maleńkie plamki białego papieru pomiędzy czarnymi literkami, białe, białe, bez końca, bez końca.

Jęknął mimo woli i chwycił się za pierś. Poczował, że mdleje, zrobił kilka niepewnych kroków w stronę kanapy i upadł na nią bez przytomności.

Część czternasta

Znowu w Warykinie

1

Zima była w pełni. Śnieg walił wielkimi płatami. Jurij Andriejewicz przyszedł do domu ze szpitala.

– Komarowski przyjechał – złamanym, ochryłym głosem powiedziała Lara, wychodząc mu naprzeciw. Stali w przedpokoju. Lara była zmieszana, wyglądała jak zbita.

– Gdzie? Do kogo? Jest u nas?

– Oczywiście, że nie. Był rano i chciał przyjść wieczorem. Niedługo się zjawi. Musi z tobą porozmawiać.

– Po co przyjechał?

– Nie wszystko zrozumiałam. Mówi, że jest tu przejazdem w drodze na Daleki Wschód, że specjalnie zrobił koło i zбочył do nas do Juriatina, żeby się z nami zobaczyć. Przede wszystkim w sprawie twojej i Paszy. Dużo mówił o was obu. Twierdzi, że wszyscy troje, to jest ty, Patula i ja, jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie, i że tylko on może nas uratować, jeżeli go posłuchamy.

– Wychodzę. Nie chcę go widzieć.

Lara rozplakała się, próbowała upaść przed doktorem na kolana i obejmując jego nogi, przywrzeć do nich głową, ale Jurij Andriejewicz siłą ją przytrzymał.

– Zostań, zrób to dla mnie, błagam cię. Ja się wcale nie boję zostać z nim sam na sam, z żadnego powodu. Ale to takie nieprzyjemne. Wybaw mnie od spotkania z nim w cztery oczy. Poza tym, to jest człowiek praktyczny, bywały. Może naprawdę coś nam poradzi. To naturalne, że masz do niego wstręt. Ale proszę, przemóż się. Zostań.

– Co się z tobą dzieje, mój aniele? Uspokój się. Co robisz? Nie rzucaj mi się do nóg. Wstań. Rozchmurz się. Przegnaj te widziadła, które cię prześladują. On rzeczywiście przestraszył cię na całe życie. Jestem przy tobie. Jeżeli będzie trzeba, jeżeli mi każesz, zabiję go.

Po półgodzinie zapadł wieczór. Zrobiło się zupełnie ciemno. Już od pół roku dziury w podłodze były uszczelnione. Jurij Andriejewicz obserwował, czy nie pojawiają się nowe, i w porę je zatykał. W domu był teraz wielki puszysty kot, który spędzał czas w nieruchomej, zagadkowej kontemplacji. Szczury nie uciekły z mieszkania, ale stały się ostrożniejsze.

Na przyjęcie Komarowskiego Lara nakroiła czarnego kartkowego chleba i postawiła na stole talerz z kilkoma gotowanymi kartoflami. Postanowili przyjąć gościa w dawnym stołowym pokoju poprzednich właścicieli, który nadal pełnił tę

samą funkcję. Stał tu duży, dębowy stół obiadowy i wielki ciężki kredens z takiego samego ciemnego dębu. Na stole umieszczono przenośny kaganek doktora – flaszkę oleju rycynowego z wpuszczonym w nią knotem.

Komarowski zjawił się z grudniowego mroku cały zasypany śniegiem, który walił na dworze. Śnieg odpadał warstwami od jego futra, czapki i kaloszy i topniał całymi płatami, tworząc na podłodze kałuże. Mokre wąsy i broda, które Komarowski obecnie zapuścił, oblepione śniegiem wyglądały jak przyprawione, błazeńskie. Miał na sobie surdut w dobrym stanie i sztuczkowe spodnie. Zanim się przywitał i cokolwiek powiedział, długo rozczesywał kieszonkowym grzebykiem wilgotne, zlepione włosy i wycierał chustką do nosa mokre wąsy i brwi. Potem w milczeniu, znacząco wyciągnął jednocześnie obie ręce, lewą do Larysy Fiodorowny, a prawą do Żywagi.

– Możemy się uważać za znajomych – zwrócił się do Jurija Andriejewicza. – Byłem przecież tak blisko z pańskim ojcem – pewnie pan o tym wie. Skonał na moich rękach. Przyglądam się panu i szukam podobieństwa. Nie, chyba nie wdał się pan w ojca. To była szeroka natura. Porywczy, prędki. Sądząc z wyglądu, jest pan raczej podobny do matki. To była łagodna kobieta. Marzycielka.

– Larysa Fiodorowna prosiła, żebym pana wysłuchał. Mówiła, że ma pan do mnie jakąś sprawę. Uległem jej prośbom. Nasza rozmowa jest w pewnym sensie wymuszona. Z własnej woli nie szukałbym znajomości z panem i nie uważam, abyśmy byli znajomymi. Proszę więc: do rzeczy. Czym mogę panu służyć?

– Witajcie, moi kochani. Wszystko, ale to wszystko widzę na wylot i wszystko absolutnie rozumiem. Przepraszam za śmiałość, ale państwo strasznie do siebie pasujecie. Tworzycie w najwyższym stopniu dobraną parę.

– Muszę panu przerwać. Proszę nie mieszać się do spraw, które pana nie dotyczą. Nikt nie oczekuje od pana sympatii. Zapomina się pan.

– A pan niech tak od razu nie wybucha, młody człowieku. Jednak nie, raczej wdał się pan w ojca. Taki sam narwaniec. A więc pozwólcie, moje dzieci, że wam pogratuluję. Niestety, państwo nie tylko w moich oczach, ale w rzeczywistości jesteście dziećmi, które o niczym nie wiedzą, nad niczym się nie zastanawiają. Jestem tu dopiero dwa dni i dowiedziałem się o was więcej, niż sobie wyobrażacie. Nie wiedząc o tym, stoicie na skraju przepaści. Jeżeli w jakiś sposób nie zażegna się niebezpieczeństwa, dni waszej wolności, a może i życia, będą policzone.

Istnieje pewien komunistyczny styl. Niewiele osób spełnia jego wymogi. Ale nikt tak wyraźnie nie naruszył tego sposobu życia i myślenia, jak pan, Juriju Andriejewiczu. Nie należy drażnić bestii. Pan jest dla tego świata szyderstwem, obrazą. I gdyby jeszcze była to pańska tajemnica. Ale są tu wpływowi ludzie z Moskwy, którzy doskonale znają pańskie wnętrze. Oboje jesteście strasznie nie w guście tutejszych kapłanów Temidy. Towarzysze Antipow i Tiwierzin ostrzą sobie zęby na Larysę Fiodorownę i na pana.

Pan jest mężczyzną, wolnym kozakiem, czy jak się to nazywa. Pan ma całkowite prawo do szaleństw, do ryzykowania własnego życia. Ale Larysa Fiodorowna nie

jest wolna. Jest matką. W jej rękach spoczywa życie dziecka, jego los. Jej nie wolno fantazjować, bujać w obłokach.

Cały ranek poświęciłem na namowy, przekonywania, że musi potraktować poważniej tutejszą sytuację. Nie chce mnie słuchać. Niechże pan użyje swego autorytetu, niech pan wpłynie na Larysę Fiodorownę. Nie wolno jej igrać z bezpieczeństwem Katieńki, nie powinna lekceważyć moich ostrzeżeń.

– Nigdy w życiu nikogo nie przekonywałem i do niczego nie zmuszałem. Szczególnie moich bliskich. Larysa Fidorowna może pana słuchać albo nie. To jej sprawa. Poza tym przecież zupełnie nie mam pojęcia, o co chodzi. Nie wiem, co pan nazywa swymi ostrzeżeniami.

– No nie, pan mi coraz bardziej przypomina swego ojca. Był równie nieustępliwy. A więc przejdźmy do spraw najważniejszych. Proszę jednak uzbroić się w cierpliwość, gdyż są to rzeczy dość skomplikowane. Proszę słuchać i nie przerywać.

Na górze szykują się wielkie zmiany. Tak, tak, wiem to z bardzo wiarygodnego źródła, możecie mi wierzyć. Chodzi o przejście na system bardziej demokratyczny, o ustępstwa wobec powszechnej praworządności, i jest to sprawa najbliższej przyszłości.

Ale właśnie w związku z tym instytucje karne, które zostaną zlikwidowane, będą pod koniec tym bardziej surowe i z tym większym pośpiechem zaczną wyrównywać tutaj swoje rachunki. Pańska zguba jest już za pasem Juriju Andriejewiczu. Pańskie nazwisko jest na liście. Nie żartuję, sam to widziałem, może mi pan wierzyć. Niech pan pomyśli o swym ocaleniu, bo będzie za późno.

Ale to wszystko na razie wstęp. Przejdę teraz do sedna sprawy.

W Primorju nad Oceanem Spokojnym koncentrują się siły polityczne, które pozostały wierne obalonemu Rządowi Tymczasowemu i rozwiązanemu Zgromadzeniu Ustawodawczemu. Zjeżdżają się członkowie Dumy, działacze społeczni, najwybitniejsi przedstawiciele dawnych ziemstw, finansisci, przemysłowcy. Generałowie-ochotnicy zbierają tam resztki swych armii.

Władza sowiecka patrzy przez palce na tworzenie się Republiki Dalekowschodniej. Istnienie takiego tworu na kresach jest jej na rękę, gdyż stanowi on bufor pomiędzy czerwoną Syberią i światem zewnętrznym. Skład rządu republiki będzie mieszany. Ponad połowę stanowisk Moskwa obsadza komunistami, aby z ich pomocą w sprzyjającym momencie dokonać przewrotu i przejąć republikę. Jest to zamiar całkiem przejrzysty i chodzi tylko o to, by umiejętnie wykorzystać czas, jaki pozostał.

Kiedyś przed rewolucją prowadziłem sprawy braci Archarowów, Mierkułowów i innych domów handlowych i bankowych we Władywostoku. Jestem tam znany. Nieoficjalny emisariusz tworzącego się rządu, częściowo tajnie, częściowo za oficjalną aprobatą władz sowieckich, przywiózł mi propozycję, bym został w rządzie dalekowschodnim ministrem sprawiedliwości. Zgodziłem się i jadę tam. Wszystko to, jak już mówiłem, odbywa się za wiedzą i milczącym poparciem władzy sowieckiej, ale nie tak otwarcie, by można było to rozgłaszać.

Mogę zabrać ze sobą pana i Larysę Fiodorownę. Stamtąd bez trudu przedostanie się pan drogą morską do swoich. Oczywiście wie pan już o ich wyjeździe. To głośna sprawa, mówi o tym cała Moskwa. Obiecałem Larysie Fiodorownie, że odwrócę cios, grożący Pawłowi Pawłowiczowi. Jako członek samodzielnego i uznanego oficjalnie rządu odszukam Strielnikowa we wschodniej Syberii i ułatwię mu przejście do naszego obwodu autonomicznego. Jeżeli nie uda mu się uciec, zaproponuję, żeby go wydano w zamian za jakąś osobę zatrzymaną przez sojuszników i cenną dla moskiewskich władz centralnych.

Larysa Fiodorowna z trudem nadażała za treścią rozmowy, której sens chwilami się jej wymykał. Ale przy ostatnich słowach Komarowskiego, dotyczących bezpieczeństwa doktora i Strielnikowa, otrząsnęła się z zamyślenia, zaczęła słuchać uważnie i wtrąciła zarumieniona:

– Rozumiesz chyba, Juroczka, jakie to jest ważne dla ciebie i Paszy?

– Jesteś zbyt ufna, kochanie. Nie można luźnych projektów brać za rzecz już dokonaną. Nie twierdzę, że Wiktor Ippolitowicz świadomie wodzi nas za nos. Ale przecież to wszystko jest jeszcze palcem na wodzie pisane! A teraz, Wiktorze Ippolitowiczu, proszę wysłuchać mnie. Wdzięczny jestem panu za troskę o moje losy, ale czy pan naprawdę myśli, że pozwolę panu o nich decydować? Co się zaś tyczy pańskiej troski o Strielnikowa, nad tym powinna się zastanowić Lara.

– Do czego się sprowadza cała sprawa? Do tego, czy mamy z nim jechać, tak jak proponuje, czy nie. Wiesz doskonale, że bez ciebie nie pojedę.

Komarowski sięgał często po rozwodniony spirytus, który Jurij Andriejewicz przyniósł z ambulatorium i postawił na stole, jadł kartofle i stopniowo robił się coraz bardziej pijany.

2

Było już późno. Knot kaganka, oczyszczany od czasu do czasu z kopcia, rozpałał się z trzaskiem i jaskrawo oświetlał pokój. Potem znowu wszystko pograżało się w mroku. Gospodarzom chciało się spać i musieli porozmawiać w cztery oczy. A Komarowski wciąż siedział. Jego obecność ciążyła im jak widok ciężkiego dębowego kredensu, przytłaczała jak lodowaty grudniowy mrok za oknem.

Patrzył nie na nich, ale gdzieś ponad ich głowami, wbijając pijane wytrzeszczone oczy w jakiś daleki punkt, i sennym, płaczącym się językiem wyplatał i wyplatał coś okropnie nudnego o jednym i tym samym. Jego konikiem był teraz Daleki Wschód. Przeżuwał w kółko ten temat, rozwijając przed Larą i doktorem swe poglądy na polityczne znaczenie Mongolii.

Jurij Andriejewicz i Larysa Fiodorowna nie spostrzegli, w którym momencie rozmowy uczeplił się tej Mongolii. To, że przeoczyli tę chwilę, czyniło temat jeszcze bardziej dokuczliwym.

Komarowski mówił:

– Syberia, to naprawdę Nowa Ameryka, jak ją nazywają, kryje w sobie przebogate możliwości. To kolebka wielkiej przyszłości Rosji, gwarancja naszej demokracji,

rozkwitu, politycznego uzdrowienia. Jeszcze więcej kuszących możliwości zawiera przyszłość Mongolii, Mongolii Zewnętrznej, naszego wielkiego dalekowschodniego sąsiada. Co o niej wiecie? Ziewacie bez żenady i bezmyślnie wytrzeszczacie oczy, a tymczasem jest to terytorium o powierzchni półtora miliona wiorst kwadratowych, niezbadane bogactwa naturalne, kraj prehistoryczny, dziewiczy, po który wyciągają chciwe ręce Chiny, Japonia i Ameryka, ze szkodą dla naszych rosyjskich interesów, uznawanych przez wszystkich rywali, przy dowolnym rozdziale stref wpływów w tym dalekim zakątku kuli ziemskiej.

Chiny ciągną zyski z feudalno-teokratycznego zacofania Mongolii, wywierając wpływ na jej lamów i chutuktów.²⁶ Japonia opiera się na tamtejszych książętach pańszczyźnianych, po mongolsku – choszunach.²⁷ Czerwona komunistyczna Rosja znajduje sojusznika w chamdżisie, to jest organizacji rewolucyjnej zbuntowanych mongolskich pastuchów. Co do mnie, chciałbym widzieć Mongolię dobrze prosperującą pod rządami wybranego w wolnych wyborach kurułtaju. Pana osobiście powinna interesować sprawa następująca: jeden krok przez granicę mongolską i ma pan świat u stóp, jest pan wolnym ptakiem.

Larysę Fiodorownę irytowały te rozwlekłe dywagacje na nudny temat, nie mający z ich problemami żadnego związku. Doprowadzona do ostateczności nudną, przeciągającą się wizytą, stanowczo podała Komarowskiemu rękę na pożegnanie i bez ogródek, z nie ukrywaną niechęcią, powiedziała:

– Już późno. Musi pan iść. Chce mi się spać.

– Myślę, że nie będzie pani tak niegościnna i nie wyrzuci mnie za drzwi w taką pogodę. Nie wiem, czy nie zabłądzą po nocy w obcym, nie oświetlonym mieście.

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć i nie zasiadywać się.

– O, czemu pani rozmawia ze mną tak ostro? Nawet pani nie zapytała, czy mam tu jakąś przystań.

– To mnie wcale nie interesuje. Na pewno nie pozwoli się pan skrzywdzić. A jeżeli wprasza się pan na nocleg, nie położę pana przeciw we wspólnym pokoju, gdzie śpimy razem z Katieńką. W innych nie poradzi pan sobie ze szczurami.

– Nie boję się szczurów.

– Jak pan chce.

3

– Co się z tobą dzieje, mój aniele? Już któraś noc nie śpisz, przy stole nie tykasz jedzenia, i przez cały dzień chodzisz jak błędna. I ciągle myślisz, i myślisz. Co cię dręczy? Nie wolno tak folgować przykrym myślom.

²⁶ Chutuktu (mong.) – „święty”, tytuł wyższych dostojników lamajskich w przedrewolucyjnej Mongolii. (Przyp. tłum.)

²⁷ Choszuny (mong.) – właściwie „chorągwie”, jednostki administracyjne, wprowadzone w XVII w. przez Mandżurów. Rządzili nimi chasakowie. (Przyp. tłum.)

– Znowu był tu stróż Izot ze szpitala. Ma tu konszachty z praczką. No i przy okazji zajrzał, żeby mnie pocieszyć. To straszny sekret, powiada. Nie ominie kryminał tego twojego. Złapią go, jak nie dziś, to jutro. A zaraz potem i ciebie, nieszczęsną. Skąd ci to przyszło do głowy, Izot, pytam. Już ja wiem, on na to, bądź spokojna. W połkanie gadali. W ten sposób, jak się pewnie domyślasz, sparafrazował Ispołkom.²⁸

Larysa Fiodorowna i doktor roześmiali się.

– Ma absolutną rację. Niebezpieczeństwo jest tuż-tuż. Trzeba natychmiast zniknąć. Pytanie tylko gdzie. O wyjeździe do Moskwy nawet nie ma co myśleć. Przygotowania do takiego wyjazdu byłyby zbyt skomplikowane i zaraz zwróciłyby uwagę. A trzeba to załatwić chyłkiem, żeby nikt nic nie zauważył. Wiesz co, moje ty szczęście? Zrobimy chyba tak, jak chciałaś. Na jakiś czas musimy się zapaść pod ziemię. Niech to więc będzie Warykino. Wyjedziemy tam na jakieś dwa tygodnie czy miesiąc.

– Dziękuję ci, kochany, dziękuję. O, jak się cieszę. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo wszystko w tobie sprzeciwia się tej decyzji. Ale przecież nie chodzi tu o wasz dom. Życie w nim byłoby rzeczywiście nie do pomyślenia. Widok opustoszałych pokoi, wyrzuty, wspomnienia. Czyż ja tego nie rozumiem? Budowanie szczęścia na cudzym cierpieniu, deptanie tego, co jest drogie sercu i święte. Nigdy nie przyjąłabym od ciebie takiej ofiary. Ale nie o to nawet chodzi. Wasz dom jest tak zrujnowany, że chyba nie dałoby się doprowadzić go do stanu używalności. Miałam raczej na myśli opuszczone mieszkanie Mikulicyńców.

– Wszystko to prawda. Dzięki ci za zrozumienie. Ale zaczekaj chwilę. Ciągle chcę cię zapytać i ciągle zapominam. Gdzie jest Komarowski? Jeszcze tutaj czy już wyjechał? Nic o nim nie słyszałem od czasu tej kłótni, kiedy go zrzuciłem ze schodów.

– Ja też nic nie wiem. Ale Bóg z nim. Na co ci on?

– Przekonuję się coraz bardziej, że powinniśmy byli różnie potraktować jego propozycję. Nasze sytuacje są różne. Ty masz pod opieką córkę. Gdybyś nawet chciała zginąć razem ze mną, nie masz do tego prawa.

Wróćmy jednak do sprawy Warykina. Rozumie się, że to szaleństwo zakopać się w tej dzikiej głuszy podczas ostrej zimy, bez zapasów, bez sił, bez nadziei. Ale musimy być szaleni, moje serce, jeżeli nic prócz szaleństwa nam nie pozostało. Poniżymy się jeszcze raz. Wyżebrzemy od Anfima konia. Poprosimy go, albo nawet nie jego, lecz podległych mu spekulantów, o mąkę i kartofle w charakterze pożyczki bez żadnej realnej gwarancji. Namówimy go, żeby w zamian za okazane dobrodziejstwo złożył nam wizytę nie teraz, natychmiast, ale dopiero wtedy, kiedy będzie potrzebował konia. Pobędziemy trochę sami. Jedźmy, moje serce. Przez

²⁸ Ispołkom – Komitet Wykonawczy; połkan – półkoń, centaur, popularne w Rosji imię psów. (Przyp. tłum.)

tydzień porąbiemy i spalimy masę drzewa, którego bardziej zapobiegliwemu gospodarzowi starczyłoby na cały rok.

I jeszcze jedno. Wybacz mi mieszanie, jakie przebija z moich słów. Jakże bym chciał rozmawiać z tobą bez tego idiotycznego patosu! Ale przecież naprawdę nie mamy wyboru. Nazywaj to, jak chcesz, ale zguba rzeczywiście puka do naszych drzwi. Mamy do dyspozycji zaledwie kilka dni. Poświęcimy je na pożegnanie z życiem, na ostatnie spotkanie przed rozłąką. Pożegnamy się ze wszystkim, co nam było drogie, z naszymi utartymi pojęciami, z marzeniami o życiu, z tym, co nam nakazywało sumienie, pożegnamy się z nadziejami, pożegnamy się ze sobą. Powierzmy sobie raz jeszcze nasze tajemne nocne zaklęcia, wielkie i ciche jak nazwa azjatyckiego oceanu. Nie bez powodu stoisz u końca mego życia, mój ukrywany, zakazany aniele, pod niebem wojen i powstań; kiedyś pod spokojnym niebem dzieciństwa tak samo stanęłaś u progu mego życia.

Tamtej nocy, w kawowym mundurku gimnazjalnym, w półmroku, za przepierzeniem pokoju hotelowego, byłaś zupełnie taka sama jak teraz i równie oszałamiająco piękna.

Często potem próbowałem określić i nazwać to światło oczarowania, które we mnie wówczas zasiałaś, ten stopniowo blaknący promień i zamierający dźwięk, które od tamtej pory ogarnęły całą moją istotę i stały się kluczem do wszystkiego, co istnieje na świecie, dzięki tobie.

Kiedy jak cień w szkolnym mundurku wyłoniłaś się z mroku hotelowego pokoju, ja, chłopiec, który niczego o tobie nie wiedział, w męce przyciągającej mnie ku tobie siły zrozumiałem: ta szczuplutka, drobniutka dziewczynka jest naładowana do ostatnich granic, jak elektrycznością, całą kobiecością świata. Gdybym podszedł do niej blisko albo dotknął jej palcem, iskra oświecili cały pokój i albo zabije mnie na miejscu, albo na całe życie naelektryzuje magnetycznym, skarżącym się smutkiem i tęsknotą. Byłem przepelniony musującymi łzami, wszystko we mnie iskrzyło się i płakało. Było mi śmiertelnie żal siebie, chłopca, i ciebie, dziewczynki. Cała moja istota dziwiła się i pytała: jeżeli tak boleśnie jest kochać i pochłaniać elektryczność, to chyba o wiele boleśniej jest być kobietą, być elektrycznością, siac miłość.

No, nareszcie to powiedziałem. Od tego można oszaleć. I w tym jestem ja cały.

Larysa Fiodorowna leżała na brzegu łóżka, ubrana; źle się czuła. Zwinęła się w kłębek i nakryła chustą. Jurij Andriejewicz siedział obok na krześle i mówił cicho, z przerwami. Czasem Lara unosiła się na łokciu, podpierając podbródek dłonią i z rozchylonymi ustami patrzyła na Jurija Andriejewicza. Czasem przytulała się do jego ramienia i nie czując własnych łez, płakała cicho i szczęśliwie. Wreszcie wychyliła się ku niemu z łóżka i wyszeptwała radośnie:

– Juroczka! Juroczka! Jakiś ty mądry. Ty wszystko wiesz, wszystkiego się domyślasz, Juroczka, ty jesteś moją twierdzą i ostoją, i ucieczką, niechże mi Bóg wybaczy bluźnierstwo. O, jaka jestem szczęśliwa! Jedźmy, jedźmy, kochany mój. Tam, na miejscu, powiem ci, co mnie niepokoi.

Doktor pomyślał, że Lara nawiązuje do swych mylnych chyba przypuszczeń, że jest w ciąży, i powiedział:

– Ja wiem.

4

Wyjechali z miasta rankiem szarego, zimowego dnia. Był to dzień powszedni. Ludzie szli ulicami w swoich sprawach. Często trafiali się znajomi. Na wyboistych skrzyżowaniach przy starych hydrantach stały kolejki mieszkanek, które nie miały w domach wody, z odstawionymi na bok wiadrami i koromysłami. Doktor powstrzymywał rwącą się naprzód Sawraskę Samdiewiatowa, szarogniadą kędzierzawą kobyłę rasy wiackiej, którą kierował ostrożnie, objeżdżając tłoczące się gospodynie. Rozpędzone sanie zjeżdżały w bok z wypukłej, zalanej wodą i oblodzonej jezdni, i wpadały na chodnik, uderzając o latarnie i słupy.

Pędem dogonili idącego ulicą Samdiewiatowa i wyprzedzili go nie oglądając się, by sprawdzić, czy nie poznał ich i swego konia i czy nie krzyczy za nimi. W innym miejscu w ten sam sposób, bez powitania, przegonili Komarowskiego, stwierdzając mimochodem, że jest on jeszcze w Juriatinie.

Głafira Tuncewa zawołała na całą ulicę z przeciwległego chodnika:

– A mówili, że wyjechaliście wczoraj. I jak tu wierzyć ludziom? Po kartofle? – i pokazując na migi, że nie słyszy odpowiedzi, pomachała im ręką na pożegnanie.

Na widok Simy zatrzymali się na górcie, w niewygodnym miejscu, gdzie trudno było utrzymać sanie. Konia zaś i tak trzeba było ciągle powstrzymywać, mocno naciągając lejce. Sima była od góry do dołu opatulona dwiema czy trzema chustkami, co nadawało jej figurze sztywność okrągłego polana. Sztywnym krokiem podeszła do sań n aśrodek jezdni i pożegnała się, życząc szczęśliwej drogi.

– Kiedy wrócicie, będziemy musieli porozmawiać, Juriju Andriejewiczu.

Wreszcie wyjechali z miasta. Chociaż doktor jeździł czasem tą drogą w zimie, pamiętał ją raczej w letniej szacie i teraz nie poznawał.

Worki z żywnością i resztę bagażu wepchnęli głęboko w siano, ku przodowi sań, pod nogi, i tam mocno przytroczyli. Jurij Andriejewicz powoził, klęcząc na dnie rozłożystych łubianych sań, zwanych tu półkoszkiem, albo siedząc bokiem na brzegu, ze zwieszonymi na zewnątrz nogami w walonkach Samdiewiatowa.

Po południu, kiedy, jak to bywa zimą, na długo przed zachodem słońca zaczęło się wydawać, że dzień ma się ku końcowi, Jurij Andriejewicz jął niemiłosiernie okładać batem Sawraskę. Klacz pomknęła jak strzała. Półkoszek niczym łódka wzlatywał w górę i w dół, nurkując w nierównościach rozjeżdżonej drogi. Katia i Lara były w futrach, które krępowwały ich ruchy. Gdy sanie podskakiwały na poboczach i wybojach, obie krzyczały i śmiały się do rozpuku, przetaczając się z jednego brzegu sań na drugi i jak nieruchawe tobołki zapadając się w siano. Czasem doktor umyślnie, dla żartu, najeżdżał jedną płozą na śnieżny pagórek, przechylał sanie na bok i bez żadnego szwanku wyrzucał Katię i Larę w śnieg. Sam jechał kawałek na brzuchu, uczepiony lejc, potem zatrzymywał Sawraskę, stawiał sanie na płozach i dostawał burę od Lary i Kati, które otrzepywały się i siadały na saniach, roześmiane i rozgniewane.

– Pokażę wam miejsce, gdzie mnie zatrzymali partyzanci – obiecał im doktor, kiedy oddalili się już od miasta, ale nie mógł spełnić obietnicy, gdyż zimowa nagość lasów, martwy spokój i pustka zmieniły okolicę nie do poznania. – O tu! – wykrzyknął, omyłkowo biorąc pierwszą przydrożną reklamę Moreau i Więczyńki za drugą, w lesie, przy której go porwano. Kiedy zaś przejeżdżali obok drugiego słupa, który stał na dawnym miejscu, w gęstwinie przy odnodze na Sakmy, nie można go było dostrzec poprzez mieniącą się w oczach koronkę gęstego szronu, który upodobił las do srebrno-czarnego filigranu. I nie dostrzegli reklamy.

Do Warykina wpadli, kiedy było jeszcze jasno, i stanęli przed starym domem Żywagów, ponieważ był on na drodze pierwszy, przed domem Mikulicynów. Wdarli się do domu z pośpiechem, jak grabieżcy – wkrótce miało się ściemnić. W środku już było ciemno. Jurij Andriejewicz w pośpiechu nie spostrzegł wszystkich zniszczeń i całej ohydy wnętrza. Część znajomych mebli ocalała. W pustym Warykinie nie miał kto doprowadzić do końca rozpoczętego dzieła zniszczenia. Z dobytku rodzinnego doktor nie znalazł nic. Ale nie było go przecież przy wyjeździe rodziny, nie wiedział, co ze sobą wzięli, a co zostawili. Lara tymczasem mówiła:

– Musimy się pośpieszyć. Zaraz zapadnie noc. Nie ma czasu na rozmyślanie. Jeżeli mamy zostać tutaj, to – konia do stajni, żywność do sieni, a my tu, do pokoju. Ale jestem przeciwna takiej decyzji. Dostatecznie już mówiliśmy na ten temat. Będzie ci ciężko a więc i mnie także. Co tu było, wasza sypialnia? Nie, pokój dziecienny. Łóżeczko twojego syna. Dla Kati będzie za małe. Z drugiej strony – okna całe, sufity i ściany bez szpar. Prócz tego wspaniały piec, zachwyciłam się nim już za poprzednim pobytym. I jeżeli nalegasz, żebyśmy jednak zostali tutaj, chociaż jestem temu przeciwna, to ja zrzucam futro i do roboty. Przede wszystkim trzeba napalić. Palić, palić i jeszcze raz palić. Przez pierwszą dobę dzień i noc bez przerwy. Ale co ci jest, kochany? Nic nie mówisz.

– Zaraz. To nic. Przepraszam cię. Ale wiesz, rzeczywiście zobaczymy lepiej u Mikulicynów.

I pojechali dalej.

5

Dom Mikulicynów był zamknięty na kłódkę, przeciągniętą przez klamry zasuw. Jurij Andriejewicz długo ją wyłamywał i wreszcie wyrwał z mięsem, wraz z pozostałymi na śrubach kawałkami odłupanego drewna. Podobnie jak do tamtego domu, wpadli do środka w pośpiechu, nie rozbierając się, i w futrach, czapkach i walonkach przeszli do dalszych pokoi.

Rzucił im się od razu w oczy niezwykle porządek wśród rzeczy i w niektórych częściach domu, na przykład w gabinecie Awierkija Stiepanowicza. Ktoś tu mieszkał, i to zupełnie niedawno. Ale kto? Jeżeli to byli gospodarze albo jedno z nich, to gdzie się podziali i dlaczego drzwi wejściowe zamknęli nie na zamek, ale na dorobioną kłódkę? Poza tym, gdyby to byli gospodarze i gdyby mieszkali tu stale, dom byłby posprzątaný całkowicie, a nie częściowo. Coś mówiło przybyszom, że to nie

Mikulicynowie. A wobec tego kto? Niepewność ta nie zaniepokoiła doktora i Lary. Nie próbowali łamać sobie nad tym głowy. Czyż mało było teraz opuszczonych domostw z rozkradzionym częściowo dobytkiem? Mało ukrywających się i prześladowanych? „Pewnie to jakiś biały oficer, którego poszukują – pomyśleli oboje. – Jeżeli tu przyjdzie, jakoś się dogadamy i zżyjemy.”

I znowu, jak niegdyś, Jurij Andriejewicz stanął jak wryty na progu gabinetu, podziwiając jego wielkość, zachwycony szerokim wygodnym stołem u okna. I znowu pomyślał o tym, jak taka przytulność usposabia i dodaje ochoty do cierpliwej, owocnej pracy.

Wśród zabudowań gospodarczych na podwórzu Mikulicynów była przylegająca do stodoły stajnia, niestety zamknięta. Jurij Andriejewicz nie wiedział, w jakim jest stanie. Żeby nie tracić czasu, postanowił na pierwszą noc postawić konia w stodole, którą dało się łatwo otworzyć. Wyprzągnął Sawraskę, i kiedy ostygła, napoił ją przyniesioną ze studni wodą. Chciał jej dać siana z dna sań, ale pod ciężarem pasażerów starło się na pył i nie nadawało się na paszę dla konia. Na szczęście na szerokim strychu nad stodołą i stajnią znalazło się w kątach pod ścianami dość siana.

Noc przespali przykryci futrami, nie rozbierając się, szczęśliwie, mocno i słodko, jak śpią dzieci po całym dniu biegania i figlów.

6

Kiedy wstali, Jurij Andriejewicz zaczął od samego rana tęsknie spoglądać na kuszący stół przy oknie. Aż go ręce swędziały, by usiąść do pisania. Odłożył jednak tę przyjemność na wieczór, kiedy Lara i Katieńka położą się spać. A na razie, aby doprowadzić do porządku przynajmniej dwa pokoje, pracy było po uszy.

W marzeniach o wieczornej pracy doktor nie stawiał sobie żadnych ważnych celów. Ogarnęła go po prostu zwykła tęsknota za piórem, atramentem i pisaniem.

Chciał trochę pobazgrać, co nieco zanotować. Na początek zadowoliliby się przypomnieniem i zapisaniem dawnych, nie zapisanych myśli, żeby pogimnastykować zeszytwniałe, drzemiące bez ruchu zdolności. Później zaś – miał nadzieję – jemu i Larze uda się pozostać tu dłużej i będzie dość czasu, by zabrać się do czegoś nowego i znaczącego.

– Jesteś zajęty? Co robisz?

– Rozpalam i rozpalam. A co?

– Potrzebna mi balia.

– Przy takim paleniu drzewa starczy najwyżej na trzy dni. Trzeba się wybrać do naszej dawnej szopy. Bo może tam coś jeszcze jest. Jeżeli drzewa zostało sporo, obrócę kilka razy i przywiozę je tutaj. Zabiorę się do tego jutro. Prosiłaś o balię. Gdzieś ją widziałem, ale wyobraź sobie, że pojęcia nie mam gdzie.

– To samo ze mną. Gdzieś ją widziałam i zapomniałam. Pewnie stoi nie na swoim miejscu i dlatego zapomnieliśmy. Ale trudno. Chciałam ci powiedzieć, że grzeję dużo wody do sprzątania. W tej, co zostanie, wypiorę coś dla siebie i Kati. Daj przy okazji

wszystkie swoje brudne rzeczy. Wieczorem, kiedy już posprzątam i jako tako się urządzimy, umyjemy się wszyscy przed snem.

– Zaraz przygotuję bieliznę. Dzięki. Szafy i wszystkie ciężkie meble odsunąłem od ściany, tak jak prosiłaś.

– Dobrze. Zamiast w balii przepłuczę rzeczy w miednicy do zmywania. Tylko że jest bardzo zatłuszczona, Trzeba zmyć tłuszcz ze ścianek.

– Kiedy piec się rozpali, zamknę go i wrócę do przeglądania reszty skrzynek. Co krok to nowe znaleziska w szufladach i komodzie. Mydło, zapalniczki, ołówki, papier, przybory do pisania. I takie same niespodzianki na wierzchu, nie schowane. Na przykład lampa na stole, pełna nafty. To nie po Mikulicynach, przecież wiem. Z jakiegoś innego źródła.

– Mamy nieprawdopodobne szczęście! I to wszystko zostawił ten tajemniczy mieszkaniec. Jak u Juliusza Verne'a. Ach, no popatrz. Znowu się zagadaliśmy, mieliśmy językami, a mnie woda kipi w saganie.

Krzętała się, biegali tu i tam po pokojach, ciągle coś przenosząc i w pośpiechu wpadali na siebie albo na Katieńkę, która stawała im na drodze lub kręciła się pod nogami. Dziewczynka snuła się z kąta w kąt, przeszkadzając w sprzątanii, i dąsała się, kiedy zwracano jej uwagę. Marzła i skarżyła się na zimno.

„Biedne te dzisiejsze dzieci, ofiary naszego cygańskiego życia, mali, cisi towarzysze naszych tułaczek” – myślał doktor i pocieszał dziewczynkę:

– Nie gniewaj się, kochanie. Nie ma co się dąsać. Nie kapryś. Piec jest rozpalony do czerwoności.

– Piecowi może jest ciepło, a mnie zimno.

– Pocierp troszkę, Katusza. Wieczorem rozpalę jeszcze raz, a mama mówi, że cię wykąpie, słyszałaś? A na razie masz, łap. I rzucał na podłogę stare zabawki Liberiusza z wyziębionego składziku, całe i popsute, klocki, wagony i lokomotywy, pokratkowane i oznaczone cyframi arkusze kartonu do gier z pionkami i kostką.

– Ależ co pan, Juriju Andriejewiczu – obrażała się Katieńka jak dorosła. – To są cudze zabawki. I dla małych dzieci. A ja jestem duża.

Po chwili jednak sadowiła się wygodnie na dywanie i rozmaite zabawki zmieniały się w jej rękach w materiał budowlany, z którego Katieńka budowała dla przywiezionej z miasta lalki Ninki domostwo o wiele wygodniejsze i trwalsze niż wszystkie cudze, zmieniające się przytuliska, po których ją ciągnano.

– Co za instynkt gospodarności, jakież odwieczny pociąg do własnego gniazda i ładu! – mówiła Larysa Fiodorowna, obserwując z kuchni zabawę córeczki. – Dzieci są całkowicie szczerze, nie wstydzą się prawdy, a my z obawy, by nie wyglądać na zacofanych, gotowi jesteśmy zaprzedać to, co nam najdroższe, chwylimy to, co nas odpycha, i potakujemy temu, czego nie rozumiemy.

– Znalazła się balia – przerwał jej doktor, wychodząc z ciemnej sieni. – Rzeczywiście była gdzie indziej. Na podłodze pod przeciekającym sufitem; widocznie stała tam od jesieni.

Na obiad, ugotowany na trzy dni ze świeżo napoczętych zapasów, Larysa Fiodorowna podała rzeczy niebywale, kartoflanę i pieczoną baraninę z kartoflami. Zachwycona Katieńka nie mogła się nałasować, zanosila się śmiechem i dokazywała, a potem, objedzona i znużona ciepłem, nakryła się mamina chustką i słodko zasnęła na kanapie.

Larysa Fiodorowna, prosto z kuchni, zmęczona, spocona i senna jak córka, zadowolona z wrażenia, jakie wywołał jej kunszt kulinarny, usiadła przy niesprzątniętym stole, aby odpocząć. Upewniwszy się, że dziewczynka śpi, oparła się pięścią na stole i z głową na dłoni zaczęła mówić:

– Nie szczeniłabym sił i w tym znajdowałabym szczęście, gdybym tylko miała pewność, że to nie na próżno, że to prowadzi do jakiegoś celu. Musisz mi ciągle przypominać, że jesteśmy tu po to, aby być razem. Dodawaj mi otuchy i nie pozwalaj się opamiętać. Bo prawdę mówiąc, jeżeli spojrzeć na to trzeźwo, co my tu robimy, co się tu dzieje? To napad na cudzy dom, włamaliśmy się, rządzymy się jak u siebie i wciąż dodajemy sobie ostrogi tym pośpiechem, żeby nie widzieć, że to nie życie, ale spektakl teatralny, nie na serio, ale „na niby”, jak mówią dzieci, że to teatrzyk kukielkowy i pusty śmiech.

– Ale sama nalegałaś na ten wyjazd, mój aniele. Przypomnij sobie, że długo nie chciałem się na to zgodzić.

– To prawda. Nie przeczę. Znowu ja jestem winna. Tobie wolno się wahać, zastanawiać, a ja muszę być zawsze konsekwentna i logiczna. Weszliśmy do domu, zobaczyłeś łóżeczko syna i zrobiło ci się słabo, o mało nie zemdlałeś z bólu. Masz do tego prawo, a mnie tak nie wolno, obawa o Katieńkę i myśli o przyszłości muszą ustąpić wobec mojej miłości do ciebie.

– Larusza, aniele, opamiętaj się. Nigdy nie jest za późno na to, by się rozmyślić, odstąpić od decyzji. Ja pierwszy radziłem ci, żebyś poważnie potraktowała słowa Komarowskiego. Mamy konia. Chcesz, to jutro pojedziemy do Juriatina. Komarowski jeszcze tam jest, nie wyjechał. Widzieliśmy go przecież z sań na ulicy, a on nas chyba nie zauważył. Na pewno go jeszcze zastaniemy.

– Jeszcze nic właściwie nie powiedziałam, a ty już masz nutki niezadowolenia w głosie. No powiedz, czyż nie mam racji? Ukrywać się w tak niepewny sposób, na chybił trafił, można było i w Juriatinie. A jeśli już szukać ratunku, to bardziej pewnego, w sposób przemyślany, tak jak proponował to ten człowiek, doświadczony i trzeźwy, chociaż taki wstrętny. Tutaj przecież jesteśmy, bo ja wiem, chyba w większym niebezpieczeństwie niż gdziekolwiek indziej. Bezkresna równina, przewiewana wiatrami. I my sami jak palec. Przez noc może nas zasypać śnieg i już się nie odkopimy. Albo zjawi się nasz tajemniczy dobroczyńca, który okaże się rozbójnikiem i zamorduje nas. Czy masz przynajmniej broń? No widzisz, nie. Boję się twojej beztroski, którą mnie zarażasz. Dlatego mam taki zamęt w myślach.

– Ale w takim razie czego ty chcesz? Co mam zrobić?

– Sama nie wiem, co ci odpowiedzieć. Utrzymuj mnie w ciągłym poddaństwie. Przypominaj mi bezustannie, że jestem twoją niewolnicą, która ślepo cię kocha i nad niczym się nie zastanawia. Wiesz, co ci powiem? Nasi bliscy, twoi i moi, są tysiąc razy lepsi od nas. Ale czyż o to chodzi? Dar miłości jest jak każdy inny dar. Może być nawet wielki, ale nie urzeczywistni się bez błogosławieństwa. A nas jak gdyby nauczono się całować w niebie i jako dzieci zesłano na ziemię w tym samym czasie, byśmy mogli na sobie wypróbować tę umiejętność. To jakiś szczyt zgodności, nie ma stron, nie ma stopni, nie ma spraw wyższych i niższych, wszystko jest równie cenne, wszystko sprawia radość, wszystko stało się duszą. Ale w tym dzikim, czyhającym na każdym kroku uczuciu jest jakieś zakazane, dziecinne, nieokiełznane. To rozpasany, niszczycielski żywioł, wrogi domowemu spokojowi. Moim obowiązkiem jest bać się go i nie ufać mu.

Objęła go za szyję i walcząc ze łzami kończyła:

– Każde z nas jest w innej sytuacji, rozumiesz? Tobie skrzydła dane są po to, byś ulatywał na nich w obłoki, a mnie, kobiecie, po to, by przyspaść do ziemi i skrzydłami osłaniać pisklę przed niebezpieczeństwem.

Strasznie mu się podobało wszystko, co mówiła, ale nie okazał tego, by nie popaść w ckliwość. Powstrzymał się i powiedział:

– Nasze koczownicze życie rzeczywiście jest fałszywe i przesadzone. Masz głęboką słuszność. Ale nie myśmy je wymyślili. Ta szaleńcza szamotanina jest udziałem wszystkich, leży to w duchu epoki.

Sam dziś rano myślałem mniej więcej o tym samym. Chcę dołożyć wszelkich starań, żeby zostać tu jak najdłużej, Nie potrafię wyrazić, jak bardzo stęskniłem się za pracą. Nie chodzi mi o uprawę ziemi. Raz już całą rodziną się w to wdrożyliśmy i nawet z powodzeniem. Ale nie miałbym sił powtórzyć tego jeszcze raz. Nie o tym myślę.

Życie wszędzie powoli zaczyna się uładzać. Może kiedyś znowu zaczną wydawać książki.

Właśnie o tym myślałem. Czyż nie można by się dogadać z Samdewiatowem, żeby przez pół roku żywił nas na własny rachunek pod gwarancją pracy, którą bym tymczasem pisał, na przykład podręcznik medycyny albo jakiś utwór artystyczny, tom wierszy powiedzmy. Albo przypuśćmy, że podjąłbym się przetłumaczenia z obcego języka jakiejś wybitnej książki o światowym znaczeniu. Znam dobrze kilka języków, a niedawno przeczytałem ogłoszenie dużego petersburskiego wydawnictwa, które wydaje tylko przekłady. Prace tego rodzaju będą na pewno stanowić wartość wymienną, którą można obrócić na pieniądze. Byłbym szczęśliwy, mogąc się zająć czymś w tym rodzaju.

– Dobrze, żeś mi o tym przypomniał. Też dzisiaj myślałam o czymś podobnym. Ale nie wierzę, że się tu utrzymamy. Przeciwnie, mam przecucie, że zanieś nas wkrótce gdzieś dalej. Ale póki mamy do dyspozycji tę przystań, chciałabym cię o coś prosić. Poświęć mi kilka godzin i zapisz, proszę, wszystko to, co recytowałeś mi czasem z pamięci. Połowa z tego się zagubiła, a druga nie została zapisana, i boję się,

że później wszystko zapomnisz i to się zmarnuje; sam mówiłeś, że często ci się to zdarzało.

8

Pod wieczór wszyscy umyli się gorącą wodą, której dużo zostało po praniu. Lara wykąpała Katieńkę. Jurij Andriejewicz z błogim uczuciem czystości siedział przy biurku tyłem do pokoju, w którym Lara, pachnąca, otulona w płaszcz kąpielowy, z mokrymi włosami zawiniętymi w turban z ręcznika, układała spać Katieńkę i sama przygotowywała się do snu. Czując już przedsmak bliskiej, pełnej skupienia pracy, doktor odbierał wszystko, co się działo wokół, przez mgiełkę rozczulenia i wszechuogólniających rozważań.

Była pierwsza w nocy, kiedy Lara, która dotychczas udawała tylko, że śpi, rzeczywiście zasnęła. Świeża bielizna na niej, na Katieńce i na łóżku aż lśniła, czysta, wyprasowana, koronkowa. Nawet w tych latach Larze udawało się jakoś krochmalic bieliznę.

Jurija Andriejewicza otaczała błoga, pełna szczęścia, słodko oddychająca życiem cisza. Łagodne, żółtawe światło lampy padało na białe arkusze papieru i złocistym blikiem pływało po powierzchni atramentu w kałamarzu. Za oknem błękitniała mroźna zimowa noc. Jurij Andriejewicz przeszedł do sąsiedniego, zimnego i nie oświetlonego pokoju, skąd lepiej było widać to, co na zewnątrz, i popatrzył w okno. Światło księżyca w pełni nadawało śnieżnej polanie niemal dotykalaną lepkość białka lub barby klejowej. Mroźna noc była nieprawdopodobnie piękna. Na duszę doktora spłynęło ukojenie. Wrócił do jasnego, ciepłego pokoju i zabrał się do pisania.

Zamaszystym pismem, chcąc, by wygląd zapisanego tekstu odzwierciedlał żywe poruszenia ręki i miał własne oblicze i wymowę, doktor odtworzył i zapisał w ulepszonej, zmienionej wersji to, co najlepiej pamiętał: „Gwiazdę wigilijną”, „Noc zimową” i sporo innych tego rodzaju wierszy, które potem zostały zapomniane, zagubiły się i nikt ich nie odnalazł.

Następnie od rzeczy przemyślanych i ukończonych przeszedł do rozpoczętych niegdyś i zarzuconych, odtworzył ich nastrój i zaczął szkicować ciąg dalszy, bez najmniejszej nadziei, że je teraz ukończy. Później wpadł w trans i z zapalem zabrał się do nowych rzeczy.

Po dwóch czy trzech bez wysiłku zapisanych strofach i kilku metaforach, które go same zaskoczyły, praca tak go porwała, że poczuł zbliżanie się tego, co nazywamy natchnieniem. W takiej chwili układ sił, kierujących twórczością, staje jak gdyby na głowie. Górę bierze nie człowiek i nie stan jego duszy, dla którego poszukuje wyrazu, ale i język, którym pragnie go wyrazić. Język, owo źródło i skarbnica piękna i sensu, sam zaczyna myśleć i mówić za człowieka i cały staje się muzyką, nie w aspekcie zewnętrznego, słuchowego brzmienia, ale w aspekcie bystrości i siły swego wewnętrznego nurtu. Wówczas na podobieństwo pędzącego ogromu rzeki, która samym swym ruchem obtacza kamienie dna i porusza koła młyńskie, płynąca mowa wedle własnych praw tworzy po drodze, mimochodem, metrum i formę, i tysiące

innych form i kształtów jeszcze ważniejszych, ale dotychczas nie znanych, nie dostrzeżonych, nie nazwanych.

W takich chwilach Jurij Andriejewicz miał wrażenie, że najważniejszą pracę wykonuje nie on, ale coś wyższego niż on, co stoi nad nim i kieruje nim, i że tym czymś jest światowa myśl i poezja, i to, co ją czeka w przyszłości, kolejny krok, którego musi dokonać w swym historycznym rozwoju. I czuł, że jest tylko przyczyną i punktem odniesienia owego ruchu.

Pozbył się wyrzutów sumienia, opuściło go niezadowolenie z samego siebie i poczucie własnej nicości. Odwrócił się i rozejrzał dokoła.

Widział na śnieżnobiałych poduszkach głowy śpiących Lary i Katieńki. Czystość bielizny, czystość pokoi, czystość ich zarysów, zlewając się z czystością nocy, śniegu, gwiazd i księżyca w jedną, przelewającą się przez jego serce falę, pobudzała go do radosnego płaczu w poczuciu triumfującej czystości istnienia.

„Boże! Boże! – chciał wyszeptać. – I to wszystko dla mnie! Za co otrzymuję tak wiele? Czemu dopuściłeś mnie ku sobie, czemu pozwoliłeś mi zabłądzić na tę twoją bezcenną ziemię, pod te twoje gwiazdy, do stóp tej szalonej, pokornej, bezradnej, najcudowniejszej?”

Była trzecia, kiedy Jurij Andriejewicz oderwał wzrok od biurka i papierów. Z abstrakcyjnego skupienia, w które tak całkowicie się pogrążył, wracał do siebie, do rzeczywistości, szczęśliwy, silny, spokojny. Nagle w ciszy dalekich przestrzeni, rozciągających się za oknem, usłyszał żalony, smutny dźwięk.

Przeszedł do sąsiedniego, nie oświetlonego pokoju, żeby stamtąd wyjrzeć oknem. Przez te kilka godzin, które spędził przy pisaniu, szyby zdążyły się pokryć szronem i nie można było przez nie nic zobaczyć. Jurij Andriejewicz odciągnął na bok zwinięty dywan, który położono pod drzwiami, żeby nie wiało, narzucił na ramiona futro i wyszedł na ganek.

Oślepił go biały blask, którym płonął na nie zacienionej przestrzeni oświetlony księżycem śnieg. Początkowo nie mógł nic rozróżnić i zobaczyć. Po chwili jednak usłyszał osłabione odległością, gardłowe, skomlące wycie i spostrzegł na skraju polany za parowem cztery wydłużone cienie, nie większe niż maleńkie kreski.

Wilki stały rzędem, z pyskami zwróconymi w stronę domu i podnosząc łby wyły do księżyca, albo do lśniących srebrnym odbłaskiem okien domu Mikulicynów. Przez kilka chwil stały nieruchomo, ale ledwie doktor zorientował się, że to wilki, po psiemu, z podkulonymi ogonami uciekły truchcikiem z polany, jak gdyby dotarła do nich jego myśl. Nie zdążył zauważyć, w jakim kierunku pobiegiły.

„Przykra niespodzianka! – pomyślał. – Tylko tego brakowało. Może mają legowisko gdzieś tu w pobliżu, u nas, pod bokiem? Może nawet w parowie? To straszne! I na domiar nieszczęścia Sawraska Samdiewiatowa w szopie. Na pewno wyczuły konia.”

Postanowił na razie nic nie mówić Larze, żeby jej nie straszyc, wszedł do środka, zamknął zewnętrzne drzwi, przymknął następne, prowadzące z zimnej części domu do ciepłej, zatkał szpary i podszedł do biurka.

Lampa paliła się jasno i przytulnie jak przedtem. Ale nie mógł już pisać. Nie mógł się uspokoić. Nie przychodziło mu do głowy nic prócz wilków i innych groźących kłopotów. Był zresztą już zmęczony. Wtedy zbudziła się Lara.

– A ty ciągle płoniesz i migoczesz, moja jasna świeczuszek! – powiedziała cichym, ochryplym z senności szeptem. – Usiądź tu na chwilę obok mnie. Opowiem ci, co mi się śniło.

Doktor zgasił lampę.

9

Kolejny dzień znów minął w łagodnym szaleństwie. W domu znalazły się saneczki. Zaczerwieniona Katieńka, w futerku, z głośnym śmiechem zjeżdżała na nie odmiecione ścieżki ogródka z lodowej góry, którą jej zrobił doktor, mocno ubiwszy śnieg łopata i polawszy wodą. Bez końca, z zastygłym na buzi uśmiechem, wdrapywała się na górkę i wciągała na sznurku saneczki.

Było zimno, mróz wyraźnie rósł. Pogoda była słoneczna. Śnieg żółcił się w promieniach południowego słońca i w jego miodową żółć wlewał się, niby słodki syrop pomarańczowy, osad wczesnego wieczoru.

Z powodu wczorajszego prania i kąpieli w domu zrobiło się wilgotno. Szyby zaciągnęły się grubym szronem, na wilgotnych od pary tapetach porobiły się od sufitu do podłogi czarne zacieki. W pokojach było ciemno i nieprzytulnie. Jurij nosił drwa i wodę, kontynuował zwiedzanie domu, robiąc coraz to nowe odkrycia, i pomagał Larze, od rana zajętej domowymi pracami.

Znów w samym środku jakiejś pracy ich ręce spotkały się i pozostawały jedna w drugiej; stawiali przenoszony właśnie ciężar w połowie drogi na podłodze i tracili siły w przypiływie otumaniającej, nieprzewyciężonej czułości. Znowu wszystko leciało im z rąk i wylatywało z głowy. Znowu mijały minuty, stawały się godzinami i oboje z przerażeniem wracali do rzeczywistości, przypominając sobie pozostawioną bez dozoru Katieńkę albo nie nakarmionego i nie napojonego konia, i na złamanie karku pędzili, by to nadrobić, dręczeni wyrzutami sumienia.

Doktora z niewyspania łupało w głowie. Czuł w niej słodką mgiełkę jak po przepiciu i ćmiącą, błogą słabość w całym ciele. Niecierpliwie oczekiwał wieczoru, by wrócić do przerwanej nocnej pracy.

Już teraz połowę pracy wykonywała za niego owa senna mgiełka, której był pełen on sam, która powlekała wszystko dokoła i otulała jego myśli. Niewyraźne zarysy, jakie nadawała wszystkiemu, zapowiadały przyszłą doskonałość ich ostatecznego ucieleśnienia. Dokuczliwa całodzienna beczynność była koniecznym przygotowaniem do pracowitej nocy, podobnie jak pierwsze niewyraźne brulionowe szkice.

W tym znużeniu i rozleniwieniu żadna rzecz nie pozostawała nie tknięta, nie przetworzona. Wszystko zmieniało się i przybierało inny wygląd.

Jurij Andriejewicz czuł, że jego marzenia o pozostaniu na dłużej w Warykinie nie spełnią się, że bliska jest pora jego rozłąki z Larą, że ją na pewno utraci, a wraz z nią

także chęć do życia, a może i samo życie. Smutek zżerał mu serce. Jeszcze bardziej jednak męczyło go oczekiwanie wieczoru i pragnienie wyplakania tego smutku w takich słowach, które każdego pobudziłyby do płaczu.

Wilki, o których myślał cały dzień, nie były już wilkami na śniegu w świetle księżyca, lecz stały się tematem wilków, obrazem wrogiej siły, która postawiła sobie za cel zgubić jego Larę albo wygnać ich z Warykina. Koncepcja tej wrogiej siły rozwijała się i pod wieczór osiągnęła takie rozmiary, jak gdyby w Szut'mie pojawiły się ślady przedpotopowego potwora i jak gdyby w parowie czyhał olbrzymi smok, żądny krwi doktora i ostrzący zęby na Larę.

Nadszedł wieczór. Tak jak poprzedniego dnia doktor zapalił lampę na biurku. Lara i Katiénka położyły się spać wcześniej niż wczoraj.

Rzeczy napisane w nocy rozpadły się na dwie kategorie. Tematy znane, zanotowane na nowo w poprawionej wersji, były zapisane czysto, kaligraficznie. Nowe rzeczy zostały naszkicowane w skrótach, z kleksami i nieczytelnie.

Odcyfrowując tę bazgraninę, doktor poczuł jak zwykle rozczarowanie. W nocy te brulionowe fragmenty wzruszały go do łez i oszałamiały nieoczekiwanymi odkryciami. Teraz te właśnie domniemane odkrycia okazały się niestety wyraźnie naciągnięte i sztuczne.

Przez całe życie marzył o oryginalności, wygładzonej i przytłumionej, pozornie nie istniejącej i ukrytej pod powszechnie znanymi i stosowanymi formami, przez całe życie dążył do wypracowania powściągliwego, niewymuszonego stylu, przy którym czytelnik i słuchacz chłoną treść, nie dostrzegając, w jaki sposób to się dzieje. Przez całe życie zabiegał o styl nie rzucający się w oczy, nie zwracający niczyjej uwagi i był teraz przerażony, widząc, jak daleki jest jeszcze od tego ideału.

We wczorajszych szkicach chciał za pomocą środków najprostszych, graniczących z dziecinnym gaworzeniem i naiwnością kołysanki, wyrazić swój pomieszany nastrój miłości i strachu, tęsknoty i męstwa, tak, by wypłynął on jakby niezależnie od słów, sam przez się.

Teraz, nazajutrz, przeglądając te próby, doszedł do wniosku, że brak im koncepcji, która łączyłaby w całość rozpadające się strofy. Stopniowo zamazując to, co napisał przedtem, Jurij Andriejewicz zaczął w tej samej lirycznej tonacji pisać legendę o świętym Jerzym. Rozpoczął od pięciostopowca, długiego, dającego rozległe możliwości, ale niezależna od treści, właściwa dla samego metrum harmonijność drażniła go swą sztuczną, fałszywą śpiewnością. Porzucił pretensjonalne metrum z cezurą i zawęził wers do czterech stóp, tak jak się w prozie zwalcza rozwlekłość. Teraz pisało mu się trudniej, ale ciekawiej. Robota zaczęła posuwać się szybciej, ale mimo to zakradała się w nią niepotrzebna gadatliwość. Zmusił się, by skrócić wers jeszcze bardziej. W wierszu trzystopowym słowom zrobiło się ciasno, resztki senności rozwiały się, doktor przebudził się, zapalił, krótkość linijek wiersza sama podpowiadała, czym je zapełnić. Podmioty, zaledwie naszkicowane słowami, zaczęły nie na żarty ożywać we wspomnieniach. Usłyszał tętent konia, stąpającego po powierzchni wiersza, jak słyhać koński inochód w jednej z ballad Chopina. Jerzy Zwycięzca galopował na koniu po bezkresnej

przestrzeni stepu, Jurij Andriejewicz widział z tyłu, jak maleje, oddala się. Pisał z gorączkowym pośpiechem, ledwie nadążając zapisywać słowa i wersy, pojawiające się akurat w samą porę.

Nie zauważył, jak Lara wstała z łóżka i podeszła do biurka. Wydawała się drobna i szczupła, i wyższa niż w rzeczywistości w swojej nocnej koszuli do pięt. Jurij Andriejewicz drgnął zaskoczony, kiedy stanęła obok, blada, przerażona, wyciągając do niego rękę szepnęła:

– Słyszysz? Pies wyje. Nawet dwa. Ach, to straszne, to taki zły znak! Jakoś doczekamy do rana i jedziemy, jedziemy. Nie zostanę tu dłużej ani chwili.

Godzinę później, po długich namowach, Larysa Fiodorowna uspokoiła się i znowu zasnęła. Jurij Andriejewicz wyszedł na ganek. Wilki były bliżej niż poprzedniej nocy. I znowu nie zauważył, w którą stronę odeszły. Stały w gromadce i nie zdążył ich policzyć. Zdawało mu się, że jest ich teraz więcej.

10

Nadszedł trzynasty dzień ich pobytu w Warykinie, niczym nie różniący się od poprzednich. Tak samo ubiegłej nocy wyły wilki, które znikły były w środku tygodnia. Larysa Fiodorowna znów wzięła je za psy i przestraszona złym znakiem postanowiła wyjechać nazajutrz rano. Wciąż wpadała z nastroju równowagi w ataki rozpaczliwego niepokoju, co było rzeczą naturalną u pracowitej kobiety, nie przyzwyczajonej do codziennych wylewów szczerości i do luksusu nieustających, nie umiarkowanych pieaszczot.

Wszystko się powtarzało z absolutną dokładnością, toteż kiedy tego ranka, w drugim tygodniu pobytu, Larysa Fiodorowna znów, jak tyle razy przedtem, zaczęła się wybierać w drogę powrotną, można było pomyśleć, że przeżytego w przerwie półtora tygodnia wcale nie było.

Znowu w pokojach było wilgotno i ciemno, gdyż dzień był szary i pochmurny. Mróz zelżał. Z ciemnego, pokrytego niskimi chmurami nieba lada chwila mógł sypnąć śnieg. Duchowe i fizyczne znużenie z powodu ciągłego niedosypiania pozbawiło doktora sił. Myśli mu się plątały, z osłabienia było mu ciągle zimno, i zacierając zmarznięte ręce chodził skulony po nie opalonym pokoju, nie wiedząc, co postanowi Larysa Fiodorowna i do czego, zgodnie z jej życzeniem, będzie musiał się zabrać.

Jej zamiary były niejasne. Teraz oddałaby pół życia za to, żeby oboje nie byli tak chaotycznie wolni, lecz zmuszeni się podporządkować, choćby najsurowszemu, raz na zawsze narzuconemu prawu, żeby chodzili do pracy, żeby mieli obowiązki, żeby ich życie było rozsądne i uczciwe.

Dzień rozpoczęła jak zwykle, pościeliła łóżka, sprzątnęła i pozamiatała pokoje, podała śniadanie doktorowi i Kati. Potem zaczęła się pakować i poprosiła, by doktor zaprzęgnął konia. Jej postanowienie o wyjeździe było stanowcze i niezachwiane.

Jurij Andriejewicz nie próbował tego Larze wyperswadować. Powrót do miasta w kulminacyjnym momencie aresztowań, po niedawnym zniknięciu, był czystym

szaleństwem. Równie nierozsądnie było jednak siedzieć samotnie, bez broni, w tej pełnej własnych niebezpieczeństw, głuchej, strasznej, zimowej pustyni.

Poza tym ostatnie naręcza siana, które doktor wygrzebywał z sąsiednich szop, już się kończyły, a na nowe nie było nadziei. Oczywiście, gdyby była możliwość urzędowania się tu na stałe, doktor objechałby okolicę i zatroszczył się o uzupełnienie zapasów paszy i żywności. W wypadku jednak krótkiego i problematycznego pobytu nie warto było robić tego zwiadu. Machnął więc na wszystko ręką i poszedł zaprzęgać.

Nie umiał tego robić, i chociaż Samdewiatow go uczył, Jurij Andriejewicz zapomniał jego wskazówek. Mimo to jednak zrobił niezręcznymi rękami wszystko, co trzeba. Ozdobną skuwkę rzemienia, mocującego duhę do hołbli, przeciągnął pod rzemieniem na dyszlu i okręcił ów rzemień kilkakrotnie na końcu hołbli, potem, wpierając nogę w bok kobyły, ściągnął mocno kleszcze chomąta, po czym, poprawiwszy jeszcze to i owo, podprowadził konia do ganku, przywiązał i poszedł zawiadomić Larę, że można jechać.

Lara była straszliwie zdenerwowana. Obie z Katieńką były już ubrane do wyjazdu, rzeczy spakowane, ale Larysa Fiodorowna załamywała ręce i powstrzymując łzy prosiła Jurija Andriejewicza, by na chwilę usiedli, rzucała się na fotel i wstawiała, przy czym, przerywając sobie często okrzykiem „prawda?” na wysokiej, śpiewnej, żalostnej nucie, szybko, chaotycznie mówiła:

– To nie moja wina. Sama nie wiem, jak to się stało. Ale czy możemy teraz jechać? Wkrótce będzie ciemno. Noc zaskoczy nas w drodze. I akurat w tym twoim strasznym lesie. Prawda? Zrobię, jak każesz, ale sama nie podejmę decyzji. Coś mnie powstrzymuje. Mam złe przeczucia. A ty jak chcesz. Prawda? Czemu milczysz i nie powiesz ani słowa? Zmarnowaliśmy całe rano, nie wiadomo na co straciliśmy pół dnia. Jutro to się już nie powtórzy, będziemy bardziej przewidujący, prawda? Może zostać jeszcze na jedną noc? Jutro wstaniemy wcześniej, wyjedziemy o świcie, o siódmej albo o szóstej. Jak myślisz? Napalisz w piecu, popiszesz przez jeszcze ten zimowy wieczór, przenocujemy tu jeszcze raz. Ach, to by było wspaniale, cudownie! Czemu nic nie mówisz? Znowu jestem czemuś winna, ja nieszczęśliwa!

– Przesadzasz. Do zmierzchu jeszcze daleko. Jest jeszcze wcześniej. Ale niech będzie, jak chcesz. Dobrze. Zostaniemy. Tylko uspokój się. Popatrz, jaka jesteś zdenerwowana. Rzeczywiście, rozpakujmy się, zdejmijmy futra. O, Katieńka mówi, że jest głodna. Zjemy coś. Masz rację, wyjazd dzisiaj byłby zbyt nagły, bez przygotowania. Ale nie przejmuj się tak i nie płacz, na miłość boską. Zaraz napalę. Ale przedtem, skoro już zaprzęgałem konia, pojedę jeszcze raz po drewno do naszej dawnej szopy, bo tu już wcale nie ma. A ty nie płacz. Zaraz wrócę.

Na śniegu przed szopą widniały ślady płóz, kilka zakoli, z poprzednich przyjazdów Jurija Andriejewicza. Śnieg przed progiem był zdeptany i zaśmiecony po wczorajszym noszeniu drewna.

Chmury, które rano zaciągały niebo, rozeszły się. Niebo się przejaśniło. Zrobiło się mroźno. Warykiński park, który otaczał dom w pewnej odległości, przylegał blisko do szopy, jakby po to, by spojrzeć doktorowi w twarz i o czymś mu przypomnieć. Śnieg leżał tej zimy głęboką warstwą, powyżej progu szopy. Drzwi zniżyły się, szopa jak gdyby się zgarbiła. Z jej dachu tuż nad głową doktora niby kapelusz gigantycznego grzyba zwieszała się czapa nawianego śniegu. Wprost nad dachem, jak dotknięty ostrzem śnieg, płonął szarym żarem sierp młodego, nowo narodzonego księżycyca.

Chociaż był jeszcze dzień i zupełnie widno, doktor miał uczucie, że stoi późnym wieczorem w ciemnym wiecznym lesie swego życia. Taki mrok miał w duszy, tak mu było smutno. I młody księżyc jak zwiastun rozłąki, jak symbol samotności płonął niemal na poziomie jego twarzy.

Doktor padał ze zmęczenia. Przerzucając drwa przez próg szopy na sanie, brał mniejsze naręcza polan niż zwykle. Przenoszenie na zimnie oblodzonych polan z przymarzniętym śniegiem sprawiało ból nawet przez rękawice. Ruch nie rozgrzał Jurija Andriejewicza. Coś się zatrzymało w jego wnętrzu i pękło. Kłął na czym świat stoi swój nieszczęsny los i błagał Boga, by zachował i ustrzegł życie tej pięknej, smutnej, pokornej, czystej. A księżyc wciąż wisiał nad szopą, płonął i nie grzał, świecił i nie oświeślał.

Nagle kobyła, zwracając łeb w kierunku, skąd przyjechali, zarżała najpierw cicho i nieśmiało, a potem głośno i pewnie.

„Dlaczego rży? – pomyślał doktor. – Z czego się cieszy? To niemożliwe, żeby rżała ze strachu. Konie nie rżą ze strachu, co za głupstwa. Przecież nie jest tak głupia, żeby przywoływać rzeniem wilki, jeżeli je poczuła. I jak wesoło rży. Widocznie na myśl o domu, chce wracać. Poczekaj, zaraz ruszymy.”

Na załadowanych drwach Jurij Andriejewicz położył przyniesione z szopy szczapy i wielki, wygięty jak cholewa buta kawał kory brzozonej na podpałkę. Przewiązał przykryte rogożą drwa sznurkiem i idąc obok sań powiózł ładunek do szopy Mikulicynów.

Kobyła znowu zarżała w odpowiedzi na wyraźne rzenie jakiegoś konia, gdzieś daleko, w innej stronie. „U kogo to? – pomyślał z trwogą doktor. – Myśleliśmy, że Warykino jest puste. Widać myliliśmy się.” Ani mu w głowie nie powstało, że mają gości, że rzenie konia dobiega od strony ganku Mikulicynów, z ogrodu. Wprowadził Sawraskę od tyłu, od strony zabudowań fabrycznych; zasy pyłała przed jego wzrokiem frontową część domu.

Bez pośpiechu (czemu miał się śpieszyć?) zrzucił drwa w szopie, wyprzągnął konia, sanie pozostawił w szopie, a konia odprowadził do pustej, wyziębionej stajni. Zostawił go w prawym narożnym boksie, gdzie mniej wiało, przyniósł z szopy kilka naręczy siana, które tam jeszcze zostało, i położył je na pochyłej kracie żłobu.

Z niepokojem w sercu szedł do domu. Przed gankiem stał zaprzężony do bardzo szerokich chłopskich sań z wygodnym koszem dobrze odżywiony wrony ogier. Obok konia przechadzał się, poklepując go po bokach i oglądając mu pęciny, równie gładki i syty nieznamy dryblas w porządnym kaftanie.

Z domu dobiegał gwar. Jurij Andriejewicz, chociaż nie chciał podsłuchiwać i nie mógł czegokolwiek usłyszeć, mimo woli zwolnił kroku i stanął jak wryty. Nie rozróżniał słów, ale rozpoznał głosy Komarowskiego, Lary i Katieńki. Widocznie byli w pierwszym pokoju niedaleko wejścia. Komarowski sprzeczał się z Larą i, sądząc z brzmienia jej głosu, Lara była zdenerwowana, płakała i już to ostro oponowała, już to przyznawała mu rację. Jurij Andriejewicz na podstawie jakichś niejasnych oznak wyobraził sobie, że Komarowski mówi w tej chwili właśnie o nim, przypuszczalnie w tym duchu, że jest on człowiekiem niepewnym („sługa dwóch panów” – przewidziało się doktorowi), że nie wiadomo, co mu jest droższe, rodzina czy Lara, i że Lara nie może na nim polegać, bo jeżeli mu zaufa, „będzie gonić dwa zajęcia i zostanie z niczym”. Jurij Andriejewicz wszedł do domu.

W pierwszym pokoju rzeczywiście stał Komarowski, nie rozebrany, w futrze do pięć. Lara trzymała Katieńkę za poły futerka, usiłując zapiąć kołnierz i nie trafiając haftką w pętelkę. Gniewała się na córeczkę, krzyczała, żeby dziecko przestało się wiercić i wyrwać, a Katieńka skarżyła się: „Mamo przestań, udusisz mnie.” Wszyscy byli ubrani, gotowi do wyjazdu. Kiedy wszedł Jurij Andriejewicz, Lara i Wiktor Ippolitowicz rzucili się ku niemu, wołając jedno przez drugie,

– Gdzie się podziewałeś? Jesteś nam tak potrzebny!

– Witam pana, Juriju Andriejewiczu! Mimo tych przykrych słów, któreśmy sobie powiedzieli ostatnim razem, znów, jak pan widzi, zjawiam się nieproszony.

– Dzień dobry, Wiktorze Ippolitowiczu.

– Gdzie byłeś tak długo? Wysłuchaj, co on mówi, i szybko decyduj za siebie i za mnie. Nie ma czasu. Trzeba się śpieszyć.

– Ale czemu stoimy? Niech pan siada, Wiktorze Ippolitowiczu. Jak to gdzie byłem, Laroczko? Wiesz przecież że pojechałem po drewno, a potem wyprzęgałem konia. Wiktorze Ippolitowiczu, proszę usiąść.

– Nie jesteś zaskoczony? Dlaczego nie okazujesz zdziwienia? Żałowaliśmy, że ten człowiek wyjechał i że nie przyjęliśmy jego propozycji, a tymczasem on się zjawia, a ty się wcale nie dziwisz. I jeszcze bardziej zaskakujące są nowe wiadomości, które przywiózł. Niech mu pan opowie, Wiktorze Ippolitowiczu.

– Nie wiem, co ma na myśli Larysa Fiodorowna, ale mam do powiedzenia rzeczy następujące. Umyślnie rozpuszczałem pogłoski o swym wyjeździe, a tymczasem zostałem jeszcze na kilka dni, żebyście, pan i Larysa Fiodorowna, jeszcze raz przemyśleli sprawy, o których mówiliśmy, i po dojrzałym namyśle powzięli być może mniej pochopną decyzję.

– Ale dłużej tego odkładać nie można. Teraz jest najważniejszy moment do wyjazdu. Jutro rano... Ale lepiej niech ci to opowie Wiktor Ippolitowicz.

– Zaraz, Laroczko. Przepraszam, Wiktorze Ippolitowiczu. Dlaczego stoimy tu w futrach? Rozbierzmy się i usiądźmy. To jest przecież poważna rozmowa. Nie można tak na łapu-capu. Pan wybaczy, Wiktorze Ippolitowiczu. Nasz zatarg dotyczy pewnych subtelnych, intymnych spraw. Nie wypada ich roztrząsać, byłoby to śmieszne. Nigdy nie myślałem o wyjeździe z panem. Co innego Larysa Fiodorowna. W rzadkich chwilach, kiedy nasze niepokoje dotyczyły spraw różnych i kiedyśmy

sobie uświadamiali, że nie jesteśmy jedną istotą, ale dwiema, o dwóch różnych losach, uważałem, że Lara powinna, zwłaszcza ze względu na Katię, poważnie się zastanowić nad pańską propozycją. Zresztą ona ciągle to robi, wciąż wraca do tych możliwości.

– Ale tylko pod warunkiem, że i ty byś pojechał.

– Obojgu nam jest jednakowo trudno wyobrazić sobie naszą rozłąkę, ale może trzeba się przemóc i ponieść tę ofiarę. Bo o moim wyjeździe z wami mowy być nie może.

– Ale przecież ty jeszcze o niczym nie wiesz. Najpierw posłuchaj. Jutro rano... Wiktorze Ippolitowiczu!

– Larysa Fiodorowna ma chyba na myśli informacje, które przywiozłem i już jej przekazałem. Na torach w Juriatinie stoi pod parą pociąg specjalny Rządu Dalekowschodniego. Wczoraj przybył z Moskwy i jutro rusza dalej. Jest to pociąg naszego Ministerstwa Komunikacji. Składa się w połowie z międzynarodowych wagonów sypialnych.

Muszę jechać tym pociągiem. Zagwarantowano mi miejsca dla osób z mojego departamentu. Jechalibyśmy komfortowo. Taka okazja więcej się nie nadarzy. Wiem, że pan nie rzuca słów na wiatr i nie zmieni swej decyzji o pozostaniu. I jest pan człowiekiem stanowczym, wiem. Ale mimo wszystko. Proszę się przełamać ze względu na Larysę Fiodorownę. Słyszał pan, że ona bez pana nie pojedzie. Proszę z nami jechać, jeżeli nie do Władywostoku, to przynajmniej do Juriatina. A potem zobaczymy. Ale w tym wypadku musimy się śpieszyć. Nie możemy tracić ani minuty. Mam tu woźnicę, nie umiem powozić. Nie zmieścimy się w piątkę w moich saniach. Jeżeli się nie mylę, ma pan konia Samdewiatowa. Mówił pan, że jeździł nim po drewno. Jest jeszcze zaprzężony?

– Nie, wyprzągłem go.

– Więc niech pan czym prędzej zaprzęga. Mój woźnica panu pomoże. A zresztą, wie pan co? Pal diabli drugie sanie. Jakoś dojedziemy moimi. Tylko szybciej, na miłość boską. Zabierzcie na drogę jedynie rzeczy najpotrzebniejsze, to, co jest pod ręką. Dom niech zostanie tak jak jest, nie zamknięty. Trzeba ratować życie dziecka, a nie dobierać klucze do zamków.

– Nie rozumiem pana, Wiktorze Ippolitowiczu. Mówi pan tak, jakbym się już zgodził jechać. Jedźcie z Bogiem, jeżeli Lara tak chce. A o dom proszę się nie martwić. Zostanę i po waszym wyjeździe sprzątnę i zamknę.

– Co ty wygadujesz, Jura? Po co te bzdury, w które sam nie wierzysz? „Jeżeli Larysa Fiodorowna już postanowiła.” Sam świetnie wiesz, że bez twojego udziału nie ma mowy o wyjeździe Larysy Fiodorowny i o żadnych jej decyzjach. To po co te frazesy: „Dom sprzątnę i zajmę się wszystkim”?

– A więc jest pan nieugięty. Wobec tego mam inną prośbę. Za pozwoleniem Larysy Fiodorowny, mam do pana dwa słowa i, jeżeli można, w cztery oczy.

– Dobrze. Jeżeli to takie konieczne, chodźmy do kuchni. Nie masz nic przeciwko temu, Larusza?

- Strielnikow został ujęty, otrzymał najwyższy wymiar kary i wyrok wykonano.
- To straszne. Czy rzeczywiście?
- Tak słyszałem i jestem o tym przekonany.
- Niech pan nie mówi Larze. Ona oszaleje.
- Ależ skąd. Dlatego właśnie poprosiłem pana tutaj. Po tym rozstrzelaniu jej i córce w każdej chwili grozi niebezpieczeństwo. Niech mi pan pomoże je uratować. Stanowczo pan nie chce nam towarzyszyć?
- Przecież panu powiedziałem. Oczywiście.
- Ale ona bez pana nie pojedzie. Po prostu nie wiem, co robić. Wobec tego poproszę pana o inną pomoc. Niech pan powie, że jest pan gotów ustąpić, niech pan ją oszuka, uda, że pana namówiłem. Nie wyobrażam sobie waszego pożegnania. Ani tu, na miejscu, ani na dworcu w Juriatinie, gdyby pan rzeczywiście pojechał nas odprowadzić. Trzeba zrobić tak, żeby uwierzyła, że pan także jedzie. Jeżeli nie teraz, razem z nami, to za jakiś czas, kiedy przedstawię panu inną możliwość, z której pan obieca skorzystać. Musi się pan zdobyć na złożenie jej fałszywej przysięgi. Z mojej strony nie są to puste frazesy. Daję panu słowo honoru, że na pierwsze pana życzenie, podejmuję się w każdej chwili zabrać pana stąd i dostawić gdzie pan zechce. Larysa Fiodorowna musi mieć pewność, że pan nas odprowadza. Musi ją pan o tym przekonać za wszelką cenę. Powiedzmy, niech pan biegnie zaprzęgać konia i namówi nas, byśmy ruszali natychmiast, nie czekając, aż pan zaprzęgnie i dogoni nas w drodze.
- Jestem wstrząśnięty wiadomością o rozstrzelaniu Pawła Pawłowicza i nie mogę się pozbierać. Z trudem śledzę tok pańskich myśli. Ale zgadzam się z panem. Po egzekucji Strielnikowa, zgodnie z panującą obecnie logiką, życie Larysy Fiodorowny i Kati również jest zagrożone. Na pewno któreś z nas aresztują, a tym samym tak czy owak nas rozdziela. Wobec tego rzeczywiście lepiej będzie, jeżeli to pan nas rozdzieli i wywiezie je gdzieś daleko, na krańce świata. Już kiedy to mówię, sprawy i tak zaczynają się układać po pańskiej myśli. Pewnie nie wytrzymam i rezygnując z dumy i ambicji, przyczołgam się pokornie do pańskich stóp, aby otrzymać z pańskich rąk i ją, i życie, i morską drogę do swoich, i własny ratunek. Ale niech mi pan pozwoli to wszystko przemyśleć. Jestem oszołomiony nowiną, którą pan przywiózł. Przytłacza mnie cierpienie, które nie pozwala mi rozsądnie myśleć. Może ustępując panu popełniam straszliwy, fatalny błąd, którego będę żałować przez całe życie, ale w tej chwili jestem bezsilny z bólu i jedyne, na co mnie stać, to machinalnie panu potakiwać i ślepo pana słuchać. A więc dla jej dobra powiem teraz, że idę zaprzęgać konia i że was dogonię, a tymczasem pozostanę tutaj. Tylko jeden drobiazg. Jak teraz pojedziecie przed nocą? Droga prowadzi przez las, wszędzie wilki, niech pan uważa.

– Wiem. Mam strzelbę i rewolwer. Niech się pan nie martwi. A, właśnie, mam ze sobą na wypadek mrozu trochę spirytusu. Nawet sporo. Podzielę się z panem, dobrze?

13

„Co ja narobiłem? Co ja narobiłem? Oddałem ją, wyrzekłem się, ustąpiłem. Rzucić się za nimi pędem, dogonić, zawrócić. Lara! Lara!

Nie słyszą. Wiatr wieje w przeciwną stronę. I na pewno głośno rozmawiają. Ona ma wszelkie powody, żeby być wesołą i spokojną. Pozwoliła się oszukać i nawet nie wie, jak bardzo się myli.

Myśli prawdopodobnie, że wszystko ułożyło się jak najlepiej, zgodnie z jej pragnieniem. Jej Juroczka, fantasta i uparciuch, nareszcie, dzięki Bogu, ustąpił i jedzie wraz z nią gdzieś w bezpieczne miejsce, gdzie ludzie są mądrzejsi od nich, pod opiekę praworządności i porządku. Jeżeli nawet, żeby postawić na swoim i zachować twarz, on uprze się i nie wsiądzie jutro do pociągu, to Wiktor Ippolitowicz przyśle po niego drugi, który przywiezie go do nich już niebawem.

A teraz jest już oczywiście w stajni, rękami drżącymi z przejęcia i pośpiechu, płaczącymi się nieposłusznymi, zaprzęga Sawraskę, i natychmiast co tchu pomknie ich śladem, i dogoni ich jeszcze w polu, zanim wjadą w las.”

Tak pewnie sobie myśli. Nawet nie pożegnali się jak należy, Jurij Andriejewicz tylko machnął ręką i odwrócił się, usiłując przełknąć tkwiący w gardle ból, jak gdyby się zadławił kawałkiem jabłka.

Doktor w futrze narzuconym na jedno ramię stał na ganku. Wolną ręką, nie okrytą futrem, ścisnął tuż pod sufitem toczony słupek ganku z taką siłą, jakby go chciał udusić. Cała jego świadomość przykuta była do dalekiego punktu w przestrzeni, gdzie na pewnym odcinku niewielki kawałek wznoszącej się pod górę drogi wyłaniał się spośród kilku rosnących oddzielnie brzozy. Teraz padało w to miejsce światło niskiego słońca, które wkrótce miało zachodzić. Tam właśnie, w pasmo tego światła, miały wpaść lada chwila rozpędzone sanie z niegłębokiej kotliny, w której się na moment zanurzyły.

– Żegnaj, żegnaj – w przeczuciu tej chwili powtarzał bezdźwięcznie i nieprzytomnie doktor, wypychając z piersi te ledwie dyszące dźwięki w mroczne mroźne powietrze. – Żegnaj, jedyna moja miłości, na zawsze utracona!

– Jada! Jada! – wyszeptał pośpiesznie suchymi pobladłymi wargami, kiedy sanie jak strzała wyprysnęły z dołu, mijając brzozy zaczęły zwalniać i, co za szczęście, zatrzymały się przy ostatniej.

O, jakże zabiło mu serce, jakże zabiło mu serce, nogi się ugięły, i ze wzruszenia cały stał się miękki jak wołok, jak zsuwające mu się z ramienia futro! „O Boże, czyżbyś postanowił mi ją zwrócić? Co się tam stało? Co się dzieje tam, na tej dalekiej linii zachodu, jak to wytłumaczyć? Czemu oni stoją? Nie. Przepadło. Ruszyli. Pognali. To pewnie ona poprosiła, żeby stanąć na chwilę, chciała się upewnić, czy on już wyruszył i czy ich dogania. Odjechali. Odjechali.

Jeżeli zdążą, jeżeli słońce nie zajdzie wcześniej (po ciemku nie dojrzałby ich), migną mu jeszcze raz, ostatni, po drugiej stronie parowu, na polanie, gdzie przedwczorajszej nocy stały wilki.”

I chwila ta nadeszła, i minęła. Słońce niby pąsowa kula wisiało nad błękitną linią zasp. Śnieg chciwie wsysał zalewającą go ananasową słodycz. I oto ukazali się, przelecieli, przemknęli. „Żegnaj, Laro, do zobaczenia na tamtym świecie, żegnaj, moja piękna, żegnaj, moja radości, bezdenna, niewyczerpana, wieczna.” I oto zniknęli.

„Nigdy więcej już cię nie zobaczę, nigdy w życiu, nigdy cię już nie zobaczę.”

Tymczasem zapadał zmierzch. Szybko blakły i gasły rozrzucone na śniegu purpurowomiedziane plamy wieczornej zorzy. Miękka szarość przestrzeni szybko pogrążała się w liliowym zmierzchu, który coraz bardziej fioletował. Z tą szarą mgiełką zlewał się subtelny, koronkowy rysunek brzoź na drodze, łagodnie majaczących na bladoróżowym, jakby pobielonym kredą, niebie.

Cierpienie wewnętrzne wyostrzało wrażliwość Jurija Andriejewicza. Dostrzegał wszystko dziesięć razy wyraźniej niż zwykle. Wszystko wokół wydawało mu się jakies niezwykłe, wyjątkowe, nawet powietrze. Niezwykłym współczuciem oddychał zimowy wieczór, niby świadek, który wszystko widział. Doktor miał wrażenie, że nigdy jeszcze tak się nie zmierzchało, że wieczór nadszedł dopiero dziś po raz pierwszy, aby pocieszyć osieroconego, osamotnionego człowieka. Zdawało mu się, że okoliczne lasy, stojące na pagórkach tyłem do widnokregu, ustawiły się w tę panoramę dopiero teraz, wyłoniły się spod ziemi, by okazać mu współczucie.

Opędał się prawie przed tym dotykającym pięknem jak przed tłumem natarczywych pocieszycieli, gotów był niemal szeptać do promieni muskającej go zorzy: „Dziękuję. Nie trzeba.”

Stał nadal na ganku, twarzą do zamkniętych drzwi, odwrócony tyłem do całego świata. „Zaszło moje słońce” – powtarzało wciąż coś w jego wnętrzu. I nie był w stanie wymówić tych słów głośno, wszystkich naraz, bez skurczu w gardle.

Wszedł do domu. Rozbrzmiewał w nim podwójny, dwojaki monolog: suchy, pozornie rzeczowy w odniesieniu do niego samego, i rozlewny, bezbrzeżny w odniesieniu do Lary. Myślał: „Teraz do Moskwy. Przede wszystkim ratować życie. Nie poddawać się bezsenności. Nie kłaść się spać. Pracować po nocach do ogłupienia, dopóki zmęczenie nie zwali z nóg. I jeszcze jedno. Teraz napalić w sypialni, żeby niepotrzebnie nie marznąć w nocy.”

Ale jednocześnie rozmawiał ze sobą tak: „Moja ty cudna, niezapomniana! Dopóki cię pamiętają zgięcia moich łokci, dopóki jesteś na moich dłoniach i wargach, pobędę z tobą. Wyplacę łzy po tobie w czymś godnym, czymś, co pozostanie. Zapiszę pamięć o tobie w subtelnym, delikatnym, wzruszająco smutnym obrazie. Pozostanę tu, dopóki tego nie dokonam. A potem sam też wyjadę. A oto jak cię ukażę. Położę twoje rysy na papierze tak, jak po strasznej burzy, rozsadzającej morze aż do dna, kładą się na piasku ślady najsilniejszej fali, która wybiegła najdalej na brzeg. Łamaną krętą linią wyrzuca morze pumeks, korek, muszle, wodorosty, wszystko to, co najlżejsze, nieważkie, co mogło podnieść z dna, To jest bezkresna, biegnąca w dal

brzegowa granica najwyższego przyływu. Tak burza życia przyniosła cię do mnie, dumo moja. Tak cię opiszę.”

Wszedł do domu, zamknął drzwi, zdjął futro. Kiedy się znalazł w pokoju, który Lara posprzątała rano tak starannie i w którym znowu wszystko było wywrócone do góry nogami z powodu pośpiesznego wyjazdu, kiedy zobaczył rozrzuconą pościel na łóżkach i rzeczy, poniewierające się w nieładzie na podłodze i krzesłach, jak małe dziecko ukląkł przed łóżkiem, przywarł piersią do jego twardej krawędzi i z twarzą wtuloną w zwieszony róg pierzyny, rozpląkał się po dziecinnemu lekko i gorzko. Trwało to krótko. Jurij Andriejewicz wstał, szybko otarł łzy, rozejrzał się dokoła roztargnionym, nieobecny, znużonym spojrzeniem, wziął pozostawioną przez Komarowskiego butelkę, odkorkował, nalał pół szklanki, dodał wody, trochę śniegu, i z rozkoszą, równą niemal dopiero co przelany rozpaczliwym łzom, zaczął pić tę mieszaninę powolnymi, chciwymi haustami.

14

Z Jurijem Andriejewiczem działo się coś dziwnego. Powoli tracił rozum. Nigdy jeszcze nie prowadził tak dziwnej egzystencji. Zaniedbał dom, przestał się troszczyć o siebie, robił dzień z nocy i stracił rachubę czasu, jaki upłynął od wyjazdu Lary.

Pił i pisał poświęcone jej wiersze, ale Lara z tych wierszy i zapisków w miarę skreśleń i zastępowania jednych słów innymi oddalała się coraz bardziej od swego prawdziwego praobrazu, od żywej mamy Katienki, która wraz z córeczką znajduje się w podróży.

Jurij Andriejewicz wprowadzał te poprawki, mając na uwadze dokładność i siłę wyrazu, ale były one także odbiciem wewnętrznej powściągliwości, która nie pozwalała mu obnażać zbyt szczerze spraw osobiście przeżytych i bezpowrotnie minionych, aby nie ranić i nie dotknąć bezpośrednich uczestników tego, co napisane i przeżyte. Tym sposobem to, co krwawe, dymiące i nieostygłe, znikało z wierszy, a w miejsce spraw krwawiących i bolesnych pojawiał się w nich kojący rozmach, który sprowadzał pojedynczy przypadek do poziomu spraw powszechnie znanych. Doktor nie dążył do tego, ale ten rozmach przychodził sam jak pociecha, przesłana mu z podróży przez Larę, jak jej dalekie pozdrowienie, jak jej obraz we śnie lub jak dotknięcie jej dłoni. I podobało mu się to uszlachetniające piętno na jego wierszach.

Prócz trenów po Larze poprawiał także swą bazgraninę z dawnych czasów o rozmaitych rzeczach, o przyrodzie, o codzienności. Tak, jak zdarzało mu się to już dawniej, mnóstwo myśli o życiu własnym i życiu społeczeństwa, przychodziło mu w czasie pracy do głowy naraz, jedne wynikały z drugich.

Znowu myślał, że historię, to, co się nazywa biegiem historii, wyobraża sobie zupełnie inaczej, niż jest to przyjęte, że widzi ją na podobieństwo życia świata roślinnego. Zimą pod śniegiem nagie gałęzie lasu liściastego są cienkie i żałosne jak włoski na starczej brodawce. Wiosną w ciągu kilku dni las się przeobraża, wznosi ku obłokom, w jego pokrytych liśćmi chaszczach można zabłądzić, można się ukryć. Przemiana ta następuje dzięki ruchowi, przewyższającemu szybkością ruchu

zwierząt, zwierzę bowiem nie rośnie tak szybko jak roślina; i nie sposób podpatrzeć tego ruchu. Las się nie przemieszcza, nie możemy go zaskoczyć, przyłapać na zmianie miejsca. Zawsze zastajemy go w bezruchu. I w takim samym bezruchu zastajemy wiecznie rosnącą, wiecznie się zmieniającą, nieuchwytną w swych przeobrażeniach historię.

Tołstoj, odmawiając roli inicjatorów Napoleonowi, mężom stanu i wodzom, nie doprowadził swej myśli do końca. Myślał dokładnie tak samo, ale nie dopowiedział wszystkiego wyraźnie. Historii nikt nie tworzy, nie można jej zobaczyć, tak jak nie można zobaczyć, jak rośnie trawa. Wojny, rewolucje, monarchowie, Robespierre'owie to jej organiczne bodźce, i jej fermentujące drożdże. Rewolucje przeprowadzają ludzie aktywni, jednostronni fanatycy, geniusze samoograniczenia. Oni to w kilka godzin lub dni obalają stary porządek. Przewroty trwają tygodniami, najwyżej latami, a potem przez całe dziesięciolecia i wieki ludzie czczą jak świętość ducha ograniczoność, która doprowadziła do przewrotu.

Rozpaczając po Larze Żywago opłakiwał także owo odległe lato w Mieluziejewie, kiedy rewolucja była ówczesnym bogiem, który zstąpił na ziemię, bogiem tego lata, i każdy szalał po swojemu, i życie każdego rozwijało się samodzielnie, a nie jako przykład i ilustracja potwierdzająca słuszność wyższej polityki.

W czasie tego wypisywania różnych różności doktor znów stwierdził, że sztuka zawsze służy pięknu, a piękno jest to szczęście panowania nad formą, forma zaś jest organicznym źródłem istnienia, formą powinno władać wszystko, co żyje, by istnieć, a więc sztuka, w tym także tragiczna, jest opowieścią o szczęściu istnienia. Owe rozważania i zapiski także dawały mu szczęście, tak tragiczne i pełne łez, że ze znużenia bolała go głowa.

Przyjechał go odwiedzić Anfim Jefimowicz. On także przywiózł wódkę i opowiadał doktorowi o wyjeździe Antipowej z córką i Komarowskim. Anfim Jefimowicz przyjechał drezyną po torach. Zbeształ doktora za niedbałe obchodzenie się z koniem i zabrał Sawraszkę, mimo prośb Jurija Andriejewicza, żeby ją zostawił jeszcze na trzy-cztery dni. Obiecał natomiast, że osobiście przyjedzie po niego w tym czasie i definitywnie zabierze go do Juriatina.

Czasem pochłonięty pisaniem Jurij Andriejewicz nagle przypominał sobie Larę tak wyraziście, że tracił głowę z miłości i poczucia utraty. Tak jak niegdyś w dzieciństwie, wśród przepychu letniej przyrody i poświstu ptaków majaczył mu się los zmarłej matki, tak i teraz zwodził go słuch, nawykły do głosu Lary. „Juroczka” – dobiegała z sąsiedniego pokoju słuchowa halucynacja.

W ciągu tego tygodnia zdarzały mu się także inne złudzenia. Pod koniec tygodnia, w nocy, obudził się nagle z ciężkiego, bzdurnego snu o legowisku smoka pod domem. Otworzył oczy. Raptem dno parowu rozbłysło ogniem i rozbrzmiało hukami i dudnieniem jakiegoś wystrzału. O dziwo, minutę po tym niezwykłym wydarzeniu doktor znowu usnął, a rano uznał, że mu się to przyśniło.

A oto, co się stało trochę później, jednego z owych dni. Doktor usłuchał wreszcie głosu rozsądku. Powiedział sobie, że jeżeli człowiek chce umrzeć za wszelką cenę, to może znaleźć sposób szybszy i mniej męczący. Dał sobie słowo, że kiedy tylko przybędzie po niego Anfim Jefimowicz, natychmiast stąd wyjedzie.

Przed zmierzchem, kiedy było jeszcze widno, usłyszał głośny chrzęst śniegu pod czyimiś krokami. Ktoś dziarskim, zdecydowanym krokiem szedł tu w kierunku domu.

Dziwne. Kto to mógł być? Anfim Jefimowicz przyjechałby koniem. Przechodniów w pustym Warykinie nie było. „To po mnie – pomyślał Jurij Andriejewicz. – Wezwanie do miasta. Albo chcą mnie aresztować. Ale czym mnie powiozą? I w takim razie byłoby ich dwóch. To Awierkij Stiepanowicz Mikulicyn – stwierdził z radością, rozpoznając, jak sądził, chód gościa. Człowiek, na razie jeszcze stanowiący zagadkę, na chwilę zatrzymał się przy drzwiach z zerwaną zasuwą, nie znalazł na nich kłódki, potem zaś pewnym krokiem ruszył dalej, nawykowym gestem, po gospodarstwu, otwierając kolejne drzwi i troskliwie zamykając je za sobą.

Jurij Andriejewicz siedział przy biurku tyłem do wejścia. Zanim się podniósł i odwrócił twarzą do drzwi, aby powitać obcego, ten był już na progu i zatrzymał się jak wryty.

„Pan do kogo?” – wyrwało się doktorowi nieświadome, do niczego nie zobowiązujące pytanie, i kiedy odpowiedź nie nastąpiła, Jurij Andriejewicz wcale się temu nie zdziwił.

Przybysz był silnym, postawnym mężczyzną o przystojnej twarzy, w krótkiej futrzanej kurtce, futrzanych spodniach i ciepłych kozłowych butach. Na ramieniu miał karabin.

Tylko moment zjawienia się nieznanego był dla Żywagi zaskoczeniem, nie zaś jego przybycie. Znaleźiska poczynione w domu i inne oznaki przygotowały go na to spotkanie. Przybysz był oczywiście tym kimś, do kogo należały znalezione w domu zapasy. Doktor miał wrażenie, że już go kiedyś widział i poznał. Gość także był chyba uprzedzony, że dom nie jest pusty, gdyż niezbyt go zdziwiła obecność doktora. Może mu nawet powiedziano, kogo tu spotka. A może sam znał Żywagę.

„Kto to jest? Kto to? – z wysiłkiem szukał w pamięci Jurij Andriejewicz. – Panie, bądź wola Twoja; gdzie ja go już widziałem? Czy to możliwe? Upalny majowy ranek, nie pamiętam, którego roku. Stacja kolejowa Razwilje. Nie zapowiadający nic dobrego wagon komisarza. Jasno sprecyzowane poglądy, prostolinijność, surowe zasady, prawość, prawość, prawość. Strielnikow!”

Rozmawiali już od dawna, bitych kilka godzin, tak jak rozmawiają tylko Rosjanie w Rosji, jak rozmawiali zwłaszcza ci zastraszeni i nieszczęśliwi, i ci szaleni i

zdesperowani, jakimi byli wówczas wszyscy ludzie w Rosji. Zmierzchało się, zapadała noc.

Strielnikow mówił bez przerwy nie tylko z powodu nerwowej gadatliwości, jaką dzielił z innymi; miał także własne powody.

Nie mógł się dość nagadać i ze wszystkich sił czepiał się rozmowy z doktorem, aby uniknąć samotności. Może się bał wyrzutów sumienia albo smutnych wspomnień, które go prześladowały, a może dręczyło go niezadowolenie z siebie, które sprawia, że człowiek jest nieznośny i nienawistny samemu sobie i chciałby umrzeć ze wstydu? A może podjął jakąś straszną, nieodwołalną decyzję, z którą nie chciał pozostać sam i której wykonanie odkładał, jak długo się da, usprawiedliwiając to pogawędką z doktorem?

Tak czy owak Strielnikow miał jakąś ważną, dręczącą tajemnicę, którą pokrywał obficie innymi duchowymi wynurzeniami.

Była to choroba tego wieku, rewolucyjny obłęd epoki. W myślach wszyscy byli inni niż w słowach i czynach. Nikt nie miał czystego sumienia. Każdy miał podstawy, by czuć się wszystkiemu winnym, by czuć się nie wykrytym przestępcą, nie zdemaskowanym oszustem. Z byle powodu rozpasana wyobraźnia popadała w szaleństwo samobiczowania. Ludzie fantazjowali, oskarżali się nie tylko pod wpływem strachu, ale także pod wpływem chorobliwej manii samozniszczenia, z własnej woli, w metafizycznym transie i owej straszliwej chęci sądzenia samych siebie, której wystarczy popuścić cugli, a już się jej nie powstrzyma.

Ileż takich przedśmiertnych zeznań, pisemnych i ustnych, przeczytał i wysłuchał w swoim czasie wybitny dowódca, a czasem sędzia trybunału wojennego, Strielnikow! Teraz sam był opętany manią autodemaskatorską, wciąż analizował swoje uczynki, wszystko podsumowywał, wszystko widział w zdeformowanej, wypaczonej gorączkowym majaczeniem postaci.

Strielnikow opowiadał chaotycznie, przeskakując z jednego wyznania na inne.

– To było pod Czytą. Zdziwiły pana te osobliwości, którymi napchałem szafę w tym domu? To wszystko z rekwizycji wojskowych, któreśmy przeprowadzali, kiedy Armia Czerwona zajmowała Syberię Wschodnią. Oczywiście nie taszczyłem tego sam. Życie zawsze mnie rozpieszczęło, podsuwając wiernych i oddanych ludzi. Te świece, zapałki, kawa, herbata, przybory piśmienne i tak dalej pochodzą częściowo z wyposażenia oddziałów czeskich, a częściowo są japońskie i angielskie. Cuda, cudenka, prawda? „Prawda” to było ulubione słówko mojej żony, pewnie pan zauważył. Zastanawiałem się, czy to panu powiedzieć, a teraz się przyznaję. Przyszedłem się zobaczyć z nią i z córką. Zbyt późno mnie zawiadomiono, że one są tutaj. No i spóźniłem się. Kiedy doszły do mnie plotki i donosy, kiedy dowiedziałem się o waszym związku i pierwszy raz podano mi nazwisko „doktor Żywago”, pośród tysięcy widzianych w ciągu tych lat twarzy w niepojęty sposób wyłowilem doktora o takim nazwisku, którego kiedyś przyprowadzono do mnie na przesłuchanie.

– I pożałował pan, że nie kazał go rozstrzelać?

Strielnikow pozostawił tę uwagę bez odpowiedzi. Może nawet nie dosłyszał, że rozmówca przerwał jego monolog. Ciągnął dalej z roztargnieniem i zadumą.

– Oczywiście byłem o pana zazdrosny i teraz też jestem. Czyż może być inaczej? Ukrywam się w tej okolicy dopiero przez ostatnie miesiące, odkąd zostały spalone inne moje kryjówki, daleko na wschodzie. Miano mnie postawić przed sądem wojennym na podstawie fałszywego oskarżenia. Wynik łatwo było przewidzieć. Nie czułem się wcale winien. Miałem nadzieję, że się wytłumaczę i obronię swoje dobre imię w przyszłości, w bardziej sprzyjających okolicznościach. Postanowiłem zawczasu zniknąć z pola widzenia, zanim mnie aresztują, i na razie się ukrywać, tułać, żyć jak pustelnik. I może bym się w końcu uratował, ale zdradził mnie młody oszust, który wkradł się w moje zaufanie.

Uciekałem przez Syberię pieszo na zachód, ukrywałem się, głodowałem. Zagrzebywałem się w zaspach, nocowałem w zasypanych śniegiem pociągach, które ciągnęły się całymi łańcuchami na zaśnieżonej magistrali syberyjskiej.

W czasie tej tułaczki zetknąłem się z młodym włóczęgą, którego rzekomo nie dostrzelili partyzanci w czasie zbiorowej egzekucji. Podobno wyczołgał się ze stosu zabitych, wylizał się, wydobrał i potem zaczął koczować po różnych kryjówkach i barłogach tak jak ja. W każdym razie tak mówił. Wstrętny wyrostek, zepsuty, niedorozwinięty, drugoroczny uczeń szkoły realnej, wyrzucony za nieuctwo.

Im bardziej szczegółowo opowiadał Strielnikow, tym bardziej doktor się upewniał, że zna tego chłopca.

– Imię Tierientij, nazwisko Gałuzin?

– Tak.

– Wobec tego historia o partyzantach i rozstrzelaniu jest prawdziwa. Nic nie zmyślił.

– Miał jedną pozytywną cechę – do szaleństwa ubóstwiał matkę. Ojciec jego zaginął bez wieści jako zakładnik. Chłopak dowiedział się, że matka jest w więzieniu i że grozi jej ten sam los co ojcu, i postanowił ją uwolnić za wszelką cenę. W powiatowej Czece, dokąd poszedł się pokajać i zaproponować swe usługi, zgodzili się odpuścić mu wszystkie grzechy za wydanie kogoś znanego. Więc wskazał miejsce, gdzie się ukrywałem. Udało mi się przewidzieć tę zdradę i zniknąć w samą porę.

Za cenę nieprawdopodobnych wysiłków, z tysiącem przygód przebyłem Syberię i przekradłem się tutaj, w okolice, gdzie mnie znają jak własne pięć palców i gdzie nikt się mnie nie spodziewał, nikt mnie nie posądzał o takie zuchwalstwo. I rzeczywiście, jeszcze długo szukano mnie pod Czytą, a ja w tym czasie ukrywałem się albo w tym domku, albo w innych kryjówkach w okolicy. Ale teraz koniec. Wyśledzili mnie i tutaj. Niech pan posłucha. Zmierzcha się. Nadchodzi pora, której nie lubię, bo już od dawna straciłem zdolność snu. Pan wie, jaka to męka. Jeżeli nie wypalił pan dotąd wszystkich moich świec – wspaniałych, stearynowych, prawda? – to porozmawiajmy jeszcze trochę. Rozmawiajmy, jak długo pan będzie w stanie, komfortowo, przez całą noc przy płonących świecach.

– Świece są. Tylko jedną paczkę napocząłem. Paliłem naftę, którą tu znalazłem.

– Ma pan chleb?

– Nie.

– To czym się pan żywił? A zresztą głupio pytam. Kartoflami, wiem.

– Tak. Jest ich tu mnóstwo. Gospodarze byli doświadczeni i zapobiegliwi. Wiedzieli, jak je zabezpieczyć. Wszystkie są w dobrym stanie w piwnicy. Nie pogniły i nie przemarzły.

Nagle Strielnikow zaczął mówić o rewolucji.

17

– To wszystko nie dla pana. Pan tego nie zrozumie. Pan dorastał inaczej. Był świat miejskich peryferii, świat linii kolejowych i świat robotniczych koszar. Brud, ciasnota, nędza, bezczeszczenie człowieka pracy, bezczeszczenie kobiety. Była szydercza, bezkarna bezczelność rozpusty, maminyh synków, fircykowatych studentów i kupczyków. Żartem albo wybuchem wzgardliwego zniecierpliwienia kwitowano łzy i skargi okradzionych, pokrzywdzonych, oszukanych. Olimpijski spokój pasożytów, wyróżniających się tylko tym, że nic nie robili, niczego nie szukali, niczego nie dali światu!

A myśmy potraktowali życie jak wyprawę wojenną, myśmy góry przenosili dla dobra tych, których kochaliśmy. I chociaż nie przynieśliśmy im nic prócz rozpacz, nie skrzywdziliśmy ich ani na włos, bo staliśmy się jeszcze większymi męczennikami niż oni.

Zanim jednak zacznę mówić dalej, uważam za swój obowiązek powiedzieć panu, co następuje. Chodzi o to, że musi pan stąd uciekać natychmiast, jeśli panu życie miłe. Obława na mnie zacieśnia się i jakkolwiek by się skończyła, powiążą pana ze mną, już przez samą naszą rozmowę wplątał się pan w moje sprawy. Poza tym jest tu mnóstwo wilków, parę dni temu musiałem do nich strzelać.

– Ach, więc to pan strzelał?

– Tak. Pan oczywiście słyszał? Szedłem do innej kryjówki, ale zorientowałem się po drodze, że została wykryta i ludzie stamtąd prawdopodobnie zginęli. Nie będę u pana długo siedzieć, tylko przenocuję, a rano sobie pójdę. A więc, za pańskim pozwoleniem, będę mówił dalej.

Ale czyż fircyki z Twerskiej-Jamskiej²⁹ w czapkach na bakier i spodniach ze strzemiączkami, którzy rozbijali się z dziewczynkami w dorożkach, byli tylko w Moskwie, tylko w Rosji? Ulica, wieczorna ulica, wieczorna ulica tego stulecia, kłusaki i bułanki były wszędzie. Co jednoczyło epokę, co sprawiło, że wiek dziewiętnasty stał się jednym rozdziałem historii? Narodziny myśli socjalistycznej. Wybuchły rewolucje, ofiarni młodzi ludzie walczyli na barykadach, publicyści łamali sobie głowy, jak okiełznać zwierzęcy bezwstyd pieniądza, podźwignąć i obronić godność ludzką biedaka. Pojawił się marksizm. Wskazał korzenie zła i środki lecznicze. Stał się potężną siłą stulecia. Stulecia z ulicą Twerską-Jamską, z brudem, z blaskiem świetności, z rozpustą, z dzielnicami robotniczymi, z proklamacjami i barykadami.

²⁹ Ulica lokali rozrywkowych i domów publicznych. (Przyp. tłum.)

Ach, jaka ona była piękna jako dziewczynka, pensjonarka! Nie ma pan pojęcia. Często odwiedzała swoją szkolną koleżankę w domu, w którym mieszkali robotnicy Brzeskiej Kolei Żelaznej. Tak nazywała się ta kolej na początku, przed kilkoma późniejszymi zmianami nazwy. Mój ojciec, obecnie członek Trybunału Juriatińskiego, był wtedy majstrem w warsztatach kolejowych. Bywałem w tym domu i tam ją spotykałem. Była dziewczynką, dzieckiem, a już można było dostrzec w jej twarzy, w oczach czujną myśl, niepokój epoki. Wszystkie ówczesne problemy, wszystkie łyzy i krzywdy tego czasu, wszystkie jego porywy, całe nagromadzone pragnienie zemsty i duma były wypisane na jej twarzy, w całej jej postaci, w połączeniu dziewczęcej wstydlivosti i wyzywającej urody. Oskarżenie można było rzucić stuleciu w jej imieniu, jej ustami. Przyzna pan, że to nie byle co. To rodzaj przeznaczenia, piętno. To dar natury, do tego trzeba mieć prawo.

– Jak pięknie pan o niej mówi. Widziałem ją w tym samym czasie, właśnie taką, jak pan ją opisał. Pensjonarka łączyła się w niej z bohaterką bynajmniej nie dziecinnej tajemnicy. Jej cień na ścianie był czujny, gotowy do samoobrony. Taką ją widziałem. Taką ją pamiętam. Wspaniale pan to wyraził.

– Widział ją pan i pamięta? A co pan miał z tym wspólnego?

– To zupełnie inne zagadnienie.

– No i właśnie cały ten dziewiętnasty wiek ze wszystkimi jego rewolucjami w Paryżu, kilka pokoleń rosyjskiej emigracji, poczynając od Hercena, wszystkie planowane zamachy na carów, wykonane i nie wykonane, cały ruch robotniczy świata, cały marksizm w parlamentach i uniwersytetach Europy, cały nowy system idei, wszystkie nowatorskie radykalne tezy, ironię, całą bezlitosność, wypracowaną jako środek obronny w imię litości, wszystko to wchłonął i skoncentrował w sobie Lenin, by runąć jako uosobienie odwetu na stary porządek.

Wraz z nim ukazał się światu cały ogromny, niezatarty obraz Rosji, płonącej jak świeca pokutna za wszystkie nieszczęścia i niedole ludzkości. Ale czemu mówię panu to wszystko? Dla pana jest to miedź brząkająca, puste słowa.

Dla tej dziewczyny poszedłem na uniwersytet, dla niej zostałem nauczycielem i przyjechałem pracować do tego jeszcze mi wówczas nie znanego miasta. Pochłonałem stosy książek i zdobyłem masę wiedzy, żeby być jej przydatnym i znaleźć się pod ręką, gdyby potrzebowała mojej pomocy. Poszedłem na wojnę, aby po trzech latach małżeństwa zdobyć ją na nowo, a potem, po wojnie i powrocie z niewoli, wykorzystałem fakt, że uważają mnie za poległego, i pod obcym, zmyślnym nazwiskiem pogrążyłem się bez reszty w rewolucję, żeby odpłacić za wszystko, co ona wycierpiała, żeby zmyć te smutne wspomnienia, żeby nie było już powrotu do przeszłości, żeby nie istniały więcej Twerskie-Jamskie. I one obie, ona i córka, były obok, były tutaj! Z jakim wysiłkiem zwalczałem pragnienie pójścia do nich, zobaczenia ich! Ale chciałem najpierw doprowadzić do końca dzieło mego życia. O, cóżbym teraz oddał, żeby jeszcze raz chociaż na nie popatrzeć. Kiedy wchodziła do pokoju, to jakby się otwierało okno, pokój napełniał się światłem i powietrzem.

– Wiem, jak panu była droga. Ale przepraszam, czy pan w ogóle nie ma pojęcia, jak ona pana kochała?

– Zaraz. Co pan powiedział?

– Pytałem, czy pan wie, jak bardzo był jej pan drogi; droższy niż wszystko inne?

– Skąd pan to wie?

– Ona sama mi to mówiła.

– Ona? Panu?

– Tak.

– Przepraszam. Rozumiem, że nie może pan spełnić mojej prośby, ale jeżeli jest to możliwe w dopuszczalnych ramach, jeżeli może się pan na to zdobyć, proszę odtworzyć możliwie dokładnie, co panu mówiła.

– Bardzo chętnie. Mówiła, że jest pan ideałem człowieka, że nie zna nikogo, kto by panu dorównywał prawością, że gdyby na krańcach świata jeszcze raz zamajaczył dom, który kiedyś z panem dzieliła, na czworakach, na klęczkach poczołgałaby się do jego progu nawet z końca świata.

– Jeszcze raz przepraszam. Jeżeli nie wdzieram się w sprawy dla pana święte, niech pan sobie przypomni, w jakich okolicznościach to powiedziała.

– Sprzątała ten pokój. A potem wyszła na dwór wytrzeć dywan.

– Przepraszam, a który? Tu są dwa.

– Ten większy.

– To przecież dla niej za ciężkie. Pan jej pomagał?

– Tak.

– Staliście naprzeciw siebie trzymając za końce dywanu, ona się odchyłała, wysoko wyrzucając ręce jak na huśtawce i odwracała twarz przed kurzem, mrużyła oczy i śmiała się? Prawda? Jak ja znam jej nawyki! A potem zaczęliście się do siebie zbliżać, składając dywan najpierw na pół, potem na czworo, a ona żartowała i dokazywała? Prawda? Prawda?

Wstali, podeszli każdy do innego okna i zaczęli patrzeć w różne strony. Po chwili milczenia Strielnikow zbliżył się do Jurija Andriejewicza. Chwycił go za rękę i przyciskając je do piersi zaczął mówić z tym samym pośpiechem:

– Niech mi pan wybaczy, wiem, że dotykam spraw drogich i świętych. Ale jeżeli można, jeszcze pana wypytam. Tylko proszę nie odchodzić, nie zostawiać mnie samego. Niedługo sam odejdę. Niech pan pomyśli, sześć lat rozłąki, sześć lat nieprawdopodobnej wytrwałości. Ale zdawało mi się, że nie wywalczyłem jeszcze całej swobody. Myślałem, że najpierw muszę ją zdobyć, a dopiero wtedy będę miał rozwiązane ręce, będę mógł należeć tylko do nich. I wszystkie moje projekty obróciły się w proch. Jutro mnie złapią. Pan jest jej drogi i bliski. Może ją pan kiedyś zobaczy. Ale nie, o co ja chcę prosić? To szaleństwo. Złapią mnie i nie pozwolą się wytłumaczyć. Rzucają się od razu, krzykiem i obelgami zatykając mi usta. Ja miałbym nie wiedzieć, jak to się odbywa?

Nareszcie porządnie się wyśpi. Po raz pierwszy od długiego czasu Jurij Andriejewicz nie zauważył, kiedy usnął. Usnął, gdy tylko się położył do łóżka. Strielnikow został na noc. Jurij Andriejewicz pościelił mu w sąsiednim pokoju. W krótkich momentach przebudzenia, kiedy doktor przewracał się na drugi bok lub podciągał zsuniętą kołdrę, czuł życiodajną siłę swego zdrowego snu i z rozkoszą zasypiał znowu. W połowie nocy miał kilka krótkich, szybko się zmieniających snów z dzieciństwa, sensownych i pełnych szczegółów, które zdawały się prawdziwe.

Więc na przykład, wisząca na ścianie akwarela mamy, przedstawiająca włoskie wybrzeże, nagle spadła na stół i brzęk tłukącego się szkła obudził Jurija Andriejewicza. Otworzył oczy. Nie, to co innego. To pewnie Antipow, mąż Lary, Paweł Pawłowicz Strielnikow, znów jak mawiał Wakch, straszy wilki w Szut'mie. Ależ skąd, co za bzdury. Oczywiście, to obraz zleciał ze ściany, stwierdził zapadając w dalszy ciąg snu.

Obudził się z bólem głowy, gdyż spał zbyt długo. Nie od razu się zorientował, kim jest i co się z nim dzieje.

Nagle przypomniał sobie: „Przecież Strielnikow u mnie nocuje. Już późno. Trzeba się ubrać. On na pewno już wstał, a jeżeli nie, obudzę go, zaparzę kawy i napijemy się.”

– Pawle Pawłowiczu!

Żadnej odpowiedzi. „Widocznie jeszcze śpi. I to jak twardo.” Jurij Andriejewicz ubrał się bez pośpiechu i zajrzał do sąsiedniego pokoju. Na stole leżała wojskowa papacha Strielnikowa, ale jego samego nie było. „Pewnie spaceruje – pomyślał doktor, – I to z gołą głową. Hartuje się. A trzeba by dzisiaj postawić krzyżyk na Warykinie i do miasta. Ale już za późno. Znowu zasnęłam. I tak co dzień.”

Jurij Andriejewicz rozpałił pod kuchnią, wziął wiadro i poszedł do studni po wodę. O kilka kroków od ganku, w poprzek dróżki, z głową w zaspie leżał Paweł Pawłowicz. Zastrzelił się. Śnieg pod jego lewą skronią, wymoknięty w kałuży krwi, zbił się w czerwoną grudkę. Drobne krople krwi, które bryznęły w bok, stoczyły się po śniegu czerwonymi kulkami. Podobnymi do zamrożonych jagód jarzębiny.

Część piętnasta

Zakończenie

1

Pozostaje jeszcze dopowiedzieć prostą historię Jurija Andriejewicza, osiem czy dziewięć ostatnich lat jego życia, podczas których coraz bardziej podupadał na siłach i gnuśniał, tracił swą wiedzę medyczną i talent pisarski, na krótki czas otrząsał się z przygnębienia i upadku, nabierał zapału, wracał do pracy, a potem po krótkim ożywieniu, znów popadał w przewlekłą obojętność wobec samego siebie i wobec całego świata. W tych latach rozwinęła się bardzo choroba serca, którą kiedyś sam u siebie stwierdził, ale nie zdawał sobie sprawy z jej zaawansowania.

Przybył do Moskwy w początkach NEP-u, najbardziej dwuznacznego i fałszywego okresu w historii sowieckiej. Był wychudły, zarosnięty i zdziczały jeszcze bardziej niż w czasie swego powrotu do Juriatina z niewoli u partyzantów. Po drodze znów stopniowo pozbywał się wartościowej odzieży i wymieniał ją na chleb i jakieś łachmany, żeby nie pozostać całkiem nago. W ten sposób przejadł w drodze swoje drugie futro i ubranie i pojawił się na moskiewskich ulicach w szarej papasze, owijaczach i żołnierskim płaszczu, który bez guzików, odpruwanych jeden po drugim, zamienił się w nie zapinany aresztancki kitel. W tym stroju nie różnił się niczym od mnóstwa czerwonoarmistów, tłumnie wypełniających place, bulwary i dworce stolicy.

Przybył do Moskwy nie sam. Wszędzie deptał mu po piętach urodziwy wiejski chłopiec, również ubrany w żołnierską odzież. W takim stroju pojawiali się w tych ocalałych jeszcze moskiewskich salonach, w których upłynęło dzieciństwo Jurija Andriejewicza, w których go pamiętano i przyjmowano wraz z towarzyszem, upewniając się najpierw delikatnie, czy goście wstąpili po podróży do łaźni – szalał jeszcze tyfus plamisty – i w których zaraz po przybyciu opowiedziano Jurijowi Andriejewiczowi o okolicznościach wyjazdu jego rodziny za granicę.

Obaj stronili od ludzi, ale w swej przesadnej nieśmiałości starali się nie przychodzić z wizytą, kiedy nie było innych gości i kiedy nie mogliby milczeć i musieliby sami podtrzymywać rozmowę. Zazwyczaj ich wysokie postacie pojawiały się u znajomych, kiedy zbierało się tam większe towarzystwo, siadali w jakimś kącie, gdzie nie zwracano na nich uwagi, i w milczeniu spędzali cały wieczór, nie biorąc udziału w ogólnej rozmowie.

Ze swym młodym przyjacielem u boku chudy, wysoki doktor w nędznym odzieniu wyglądał jak wywodzący się z prostego ludu poszukiwacz prawdy, a jego nieodstępny towarzysz jak posłuszny, ślepo mu oddany uczeń i kontynuator. Kim był ten młodzieniec?

Ostatnią część drogi, bliżej Moskwy, Jurij Andriejewicz przejechał koleją, a pierwszą, o wiele większą, przebył pieszo.

Wsie, przez które przechodził, nie wyglądały wcale lepiej niż te, które widział na Syberii i Uralu w czasie swej ucieczki z leśnej niewoli. Tylko że wtedy wędrował po kraju zimą, a teraz u schyłku lata i ciepłą, suchą jesienią, kiedy wędrowka była łatwiejsza.

Połowa wsi, jakie przebył, była pusta jak po przemarszu nieprzyjacielskich wojsk, pola porzucone i nie zżęte, co było rzeczywiście rezultatem wojny, wojny domowej.

Pod koniec września przez dwa czy trzy dni szedł drogą biegnącą wzdłuż urwistego, wysokiego brzegu rzeki. Idąc w górę rzeki, pod prąd, miał ją po prawej stronie. Na lewo od samej drogi aż po zatłoczony chmurami widnokrąg rozciągało się nie zżęte pole. Z rzadka przecinały je lasy liściaste z przewagą dębów, wiązów i klonów. Lasy zbiegały ku rzece głębokimi jarami i stromymi urwiskami przecinały drogę.

Na nie zżętych polach żyto nie trzymało się w przejrzałych kłosach i sypało się na z ziemię. Jurij Andriejewicz zbierał je i całymi garściami napychał sobie usta, mełł ziarno zębami i żywił się nim w szczególnie trudnych chwilach, kiedy nie miał możliwości ugotowania, z niego kaszy. Żołądek źle trawił ten surowy, ledwie przeżuty pokarm.

Jurij Andriejewicz nigdy nie widział żyta tego koloru: złowieszczo burego, brązowego, barwy starego, pociemniałego złota. Na ogół w porze żniw jest o wiele jaśniejsze.

Owe pola o barwie płomienia, płonące bez ognia, bezdźwięcznym krzykiem błagające o pomoc, otaczało wielkie, zwiastujące już zimę niebo, po którym, jak cienie po twarzy, płynęły długie, wielowarstwowe śniegowe chmury z czarnym środkiem i białymi brzegami.

I wszystko było w ruchu, powolnym, miarowym. Płynęła rzeka. W przeciwnym kierunku biegła droga. Drogą szedł doktor. W tę samą stronę co on sunęły chmury. Ale i pola nie tkwiły w bezruchu. Coś się w nich poruszało, coś się nieustannie w nich roiło, budząc obrzydzenie.

W nieprawdopodobnej, nie widzianej dotąd ilości rozpleniły się na polach myszy. Kiedy noc zastawała doktora w polu i musiał nocować gdzieś pod miedzą, myszy biegały mu po twarzy i rękach, właziły w nogawki i rękawy. Nieprzeliczone, nażarte stada plątały się w ciągu dnia pod nogami, gdy się je nadepnęło zamieniały się w śliską, piszczącą i wijącą się maź.

Straszne, zdziczałe, kudłate wiejskie psy wlokły się stadami za doktorem w przyzwoitej odległości i porozumiewały się wzrokiem, jakby się naradzając, kiedy skoczyć na niego i zagryźć. Żywiły się padliną, ale nie gardziły także myszami, od których roiło się w polu, i popatrywały z daleka na doktora, wciąż mu towarzysząc i

wciąż czegoś oczekując. O dziwo, nie zagłębiały się w las i znalazłszy się w jego pobliżu powoli zaczynały zwalniać kroku, skręcały w bok i znikwały.

Las i pole stanowiły całkowite przeciwieństwa. Pola bez człowieka wyglądały jak osierocone, jak obłożone klątwą na czas jego nieobecności. Wyzwolone zaś od człowieka lasy rozkoszowały się swobodą niczym wypuszczeni na wolność więźniowie.

Zazwyczaj ludzie, przeważnie wiejskie dzieciaki, nie czekają aż dojrzeją orzechy, i zrywają je jeszcze zielone. Teraz zbocza leśnych pagórków i parowów pokryte były nie tkniętym, szeleszczącym złotym listowiem, zakurzonym jakby i ogorzałym w jesiennym słońcu. Sterczały z niego rozcapierzone, jak gdyby związane na kokardę, zrosnięte po trzy i po cztery na raz orzechy, dojrzałe, gotowe lada chwila wypaść z liściastej okrywy. Jurij Andriejewicz bez końca gryzł je i łuskał po drodze. Miał ich pełno w kieszeniach i w tobołku. Przez cały tydzień orzechy stanowiły jego główne pożywienie.

Doktor miał uczucie, że patrzy na pola jak człowiek ciężko chory, w malignie, a na las – jak radosny, rekonwalescent, że w lesie mieszka Bóg, a po polu wije się jak wąż szyderyczy uśmiech szatana.

3

Właśnie w owym okresie swej wędrówki doktor zaszedł do wypalanej całkowicie, opuszczonej przez mieszkańców wsi. Przed pożarem budynki stały tu w jednym szeregu, oddzielone drogą od rzeki. Druga strona drogi, nadrzeczna, pozostawała nie zabudowana.

We wsi ocalało tylko kilka chat, ale i one, poczerniałe i osmalone z zewnątrz, były nie zamieszkałe. Pozostałe chaty zamieniły się w stosy węgla, z których sterczały w górę czarne słupy zakopconych kominów.

Stromy brzeg rzeki był zryty wykopami, z których mieszkańcy wsi wydobywali dawniej kamień na żarna, co stanowiło podstawę ich utrzymania. Trzy takie nie obrobione do końca żarna leżały na ziemi naprzeciw jednej z ocalałych chat, ostatniej w szeregu. Ona również stała pustką, jak wszystkie inne.

Jurij Andriejewicz wszedł do środka. Wieczór był spokojny, ale gdy tylko doktor wszedł do izby, jakby wionął w nią wicher. Po podłodze pomknęły we wszystkie strony kłaczki siana i pakuł, na ścianach zakołysały się strzępy odklejonych tapet. Wszystko w izbie zaczęło się ruszać, szeleścić. Z piskiem rozbiegały się myszy, których było tu mnóstwo, jak i w całej okolicy.

Doktor wyszedł z chaty. Z tyłu za polami zachodziło słońce. Zachód zalewał ciepłem złotej łuny przeciwległy brzeg, którego zarośla i łachy sięgały środka rzeki blaskiem swych gasnących odbić. Jurij Andriejewicz przeszedł przez drogę i usiadł, żeby odpocząć, na jednym z leżących w trawie kamiennych kręgów.

Z dołu, spoza urwiska, wysunęła się głowa o jasnych bujnych włosach, potem ramiona, potem ręce. Od rzeki ścieżką pod górę szedł ktoś z wiadrem wody. Zobaczył doktora i zatrzymał się, wysunięty do pasa ponad linię urwiska.

- Napoić cię, dobry człowieku? Nie rób mi nic złego, to i ja cię nie tknę.
 - Dzięki. Daj, napiję się. Ale podejdz, nie bój się, po co bym miał cię ruszać?
- Spod urwiska wyłonił się młody chłopiec, bosy, obdarty i zarośnięty.

Mimo swych przyjaznych słów przewiercał doktora niespokojnym przenikliwym spojrzeniem. Nie wiadomo czemu był dziwnie zdenerwowany. Przejęty postawił wiadro na ziemi, rzucił się w stronę Żywagi, potem przystanął nagle w pół drogi i zamruczał:

- Chyba... Chyba... Ale nie, to niemożliwe, przywidziało mi się. Przepraszam, towarzyszu, chciałem o coś zapytać. Tak coś sobie ubrdałem, że was znam. No tak! Tak! Pan doktor!

- A ty coś za jeden?

- Nie poznał pan?

- Nie.

- Z Moskwy jechałem z panem w jednym eszelonie. Byłem w armii pracy. Pod konwojem.

Był to Wasia Brykin. Runął doktorowi do nóg, zaczął go całować po rękach i rozpłakał się.

Spalona wieś były to rodzinne Wierietieniuki Wasi. Matka jego już nie żyła. Podczas represji we wsi i pożaru, kiedy Wasia ukrywał się w podziemnej pieczarze w kamieniołomach, matka, przekonana, że go wywieziono do miasta, zwariowała z rozpaczy i utopiła się w tej samej rzece Piędze, nad którą rozmawiali teraz doktor i Wasia. Wedle nie sprawdzonych pogłosek siostrzyczki Wasi, Alonka i Ariszka, były w domu dziecka w innym powiecie. Doktor zabrał Wasię ze sobą do Moskwy. Po drodze chłopiec opowiadał mu różne przerażające rzeczy.

4

- To przecież ozime z zeszłej jesieni tak się sypie. Tylko zdążyli wysiać, a tu zaczęły się nieszczęścia. Jak ciocia Pola wyjechała. Pamięta pan ciocię Pałaszę?

- Nie. Wcale jej nie znam. Kto to jest?

- Jak to pan nie zna? Pelagia Niłowna! Jechała z nami. Tiagunowa. Twarz taka szczerza, pulchna, biała.

- To ta, która ciągle zaplatała i rozplatała warkocze?

- Warkocze! Warkocze! Tak! Jakbym ją widział. Warkocze!

- Aha, przypominam sobie. Poczekaj, przecież ja ją potem spotkałem na Syberii, w jednym z miast, na ulicy.

- Czyż to możliwe? Ciocię Pałaszę?

- Ale co ci jest, Wasia, czemu mnie szarpiesz za rękę jak szalony? Uważaj, bo poobrywasz. I zaczerwieniłeś się jak panienka.

- No i co tam u niej? Niech pan szybko opowiada, szybko.

- No, kiedy ją widziałem, była cała i zdrowa. Opowiadała o was. Że mieszkała u was czy była w gościnie, pamiętam. A może zapomniałem i coś płącę.

– A jakże, a jakże! U nas, u nas! Matula ją pokochała jak rodzoną siostrę. Cichutka. Pracowita. Złote ręce. Kiedy u nas mieszkała, w domu było wszystkiego w bród. Wygryźli ją z Wierietiennik, nie dawali spokoju, obgadywali.

Był tu we wsi taki chłop. Charłam zgniły. Zalecał się do Poli. Taki donosiciel bez nosa. A ona na niego patrzeć nie chciała. Miał do mnie o to złość. I brzydkie rzeczy o nas opowiadał, o mnie i o Poli. No i ona wyjechała. Całkiem ją zdręczył. No i wtedy się zaczęło.

Wydarzyło się tu niedaleko jedno straszne zabójstwo. Zabili samotną wdowę na leśnym chutorze w pobliżu Bujskiego. Mieszkała pod lasem. Chodziła w męskich butach z uszkami, na gumowej podeszwie. A naokoło chutoru biegał zły pies na łańcuchu. Wabił się Gorłan. Z gospodarką i z rolą radziła sobie sama, bez pomocników, No i nagle zima. Nikt się jej nie spodziewał tak wcześnie. Spadł śnieg. Wdowa nie zdążyła wykopać kartofli. Przychodzi do Wierietiennik – pomóżcie, mówi, podzielę się kartoflami albo zapłacę. Zgodziłem się do niej na kopanie kartofli. Przychodzę na chutor, a tam już jest Charłam. Wprosił się przede mną. A ona nic mi nie powiedziała. Ale przecież nie będziemy się o to bić. Razem wzięliśmy się do roboty. Kopaliśmy w najgorszą słołę. Deszcz i śnieg, błoto, breja. Kopaliśmy, kopaliśmy, paliliśmy nać kartoflaną i suszyliśmy ciepłym dymem ziemniaki. Wreszcie wykopaliśmy, ona się z nami uczciwie rozliczyła. Charłama odprawiła, a do mnie mruga: mam jeszcze sprawę do ciebie, przyjdź później albo zostań.

Przyszedłem do niej na drugi dzień. Ona mówi: nie chcę nadwyżek zdawać państwu. Ty jesteś dobry chłopak, mówi, wiem, że mnie nie wydasz. Widzisz, przyznałam ci się. Sama bym wykopała dół, żeby je schować, ale widzisz, co się dzieje na dworze. Za późno się połapałam, a tu zima. Sama nie dam rady. Wykop mi dół, nie pożałujesz. Wysuszymy kartofle i zakopcujemy.

Wykopałem jej dół na kartofle jak należy, na dole szerszy, jak dzban, wąska szyjka do góry. Wysuszyliśmy go dymem, ogrzaliśmy. Akurat w samą zamieć. Schowaliśmy kartofle porządnie, zasypaliśmy ziemią. Mucha nie siada. Ja oczywiście o tym ani słowa. Nikomu, ale to nikomu. Nawet mamie czy siostrzyczkom. Za Boga!

No dobra. Ale minął miesiąc – grabież na chutorze. Ludzie, co przechodzili tam po drodze z Bujskiego, opowiadają, że dom otwarty na rozcież, okradziony, po wdowie nie ma śladu, a Gorłan zerwał się z łańcucha i uciekł.

Minął jeszcze jakiś czas. W pierwszą zimową odwilż, przed Nowym Rokiem, na świętego Wasilija deszcz padał, zmył śnieg, roztopił aż do gołej ziemi. Przyleciał Gorłan i dalej ziemię łapami rozgrzebywać tam, gdzie były zadołowane kartofle. Rozkopał, rozrzucił kopiec, a z dołu wystają nogi gospodyni w butach na gumowej zelówce. Taka straszna rzecz.

W Wierietiennikach wszyscy żałowali wdowy, zrobili stypę. Charłama nikt nie posądzał. No bo skąd? Czy to w ogóle do pomyślenia? Gdyby to był on, to jakby miał śmiałość zostać w Wierietiennikach, zadzierając nosa na ulicy. Wiałby jak najdalej, na złamanie karku.

Ucieszyli się z tego zabójstwa na chutorze wiejscy kułacy, podżegacze. Zaczęli wieś podjudzać. Patrzejcie, mówią, jakich sposobów się chwytają miastowi. To jest

dla was lekcja, ostrzeżenie. Nie chowaj zboża, nie zakopuj kartofli. A wy, durni, ciągle swoje – leśni bandyci, bandyci wam się na chutorze przywidzieli. Ciemna masa! Tak, tak, słuchajcie dalej miastowych! Oni wam jeszcze lepsze rzeczy pokażą, głodem zamorzą. Jeśli chcecie, żeby było dobrze, chłopcy, to chodźcie z nami. My was nauczymy. Jak przyjdą waszą krwawicę odbierać, to wy na to: jakie znów nadwyżki, z własnego zboża ani ziarenka nie zostało. I w razie czego za widły. A kto by był przeciwko nam, niech się strzeże. Zagotowało się na wsi, starzy kułaków wychwalają, zbierają się na wiece. A Charłamowi donosicielowi w to graj. Czapkę na łeb i do miasta. A tam szu-szu-szu. Takie rzeczy się we wsi wyrabiają, a wy co, siedzicie i patrzycie? Trza tam zrobić komitet biedoty. Tylko mi to zlećcie, a ja raz-dwa brata z bratem skłóć. A potem dał nogę z okolicy i tyle go widzieli.

Wszystko, co się stało dalej, zrobiło się samo. Nikt nikogo nie podmawiał, nikt temu nie winien. Nasłali z miasta czerwonoarmistów. I sąd przyjechał. I zaraz do mnie. Charłam naskarżył. I za ucieczkę, i za uchylanie się od roboty w armii pracy, i że ja wieś podbechtywałem, i że ja zabiłem wdowę. I zamknęli mnie. Na szczęście udało mi się wyjąć deskę z podłogi i uciekłem. Ukrywałem się w jaskini pod ziemią. Nad moją głową paliła się wieś – nie widziałem, nad moją głową mamusia moja kochana rzuciła się w przerębłę – nie widziałem. Wszystko zrobiło się samo. Czerwonoarmistom przydzielili osobną chałupę, poili ich wódką, ci się spili jak bele. W nocy któryś zaproszył ogień, zapaliła się chata, a od niej cała wieś. Z chaty, co się pierwsza zajęła, swoi od razu wyskoczyli, a obcy oczywiście – nikt ich nie ostrzegł – spalili się żywcem co do jednego. Naszych wierietniennikowskich pogorzalców nikt stąd nie wypędzał. Sami uciekali ze strachu, żeby się znów co nie stało. Znowu chciwcy podjudzacze ich postraszyli, że co dziesiątego rozstrzelają. I nikogo już tu nie zastałem, wszyscy rozproszyli się po świecie, gdzieś się tułają.

5

Doktor i Wasia przybyli do Moskwy wiosną dwudziestego drugiego roku, w początkach NEP-u. Dni były pogodne, ciepłe. Słoneczne błyski, odbite od złotych kopuł cerkwi Zbawiciela, padały na wybrukowany trójkątną kostką plac, gdzieś tam, w szczelinach, porośnięty trawą.

Zniesiono zakazy, dotyczące prywatnej inicjatywy, wolny handel był dozwolony w pewnych określonych granicach. Na tandecie handlowano starzyzną; był to handel wymienny. Minimalne rozmiary tych transakcji prowadziły do spekulacji i nadużyć. Drobne zabiegi geszefciarzy nie wносиły nic nowego, nie miały żadnego wpływu na zapuszczone, ubogie miasto. Robiono majątki na bezcelowym sprzedawaniu w kółko po dziesięć razy tych samych rzeczy.

Właściciele kilku bardzo skromnych domowych bibliotek gromadzili swe książki w jakimś jednym miejscu. Następnie pisali do rady miejskiej prośbę o zezwolenie na otwarcie spółdzielczej księgarni i starali się o lokal. Otrzymywali jakiś stojący pustką od pierwszych miesięcy rewolucji magazyn obuwniczy albo cieplarnię zamkniętego

w tym samym czasie sklepu ogrodniczego i pod obszernymi sklepieniami tych pomieszczeń sprzedawali swoje ubogie i przypadkowe księgozbiory.

Panie profesorowe, które już wcześniej w ciężkich czasach nielegalnie wypiekały bułeczki na sprzedaż, teraz handlowały nimi otwarcie w jakimś zamkniętym przez wszystkie ubiegłe lata warsztacie naprawy rowerów. Damy te zmieniły poglądy, zaakceptowały rewolucję i zaczęły mówić „to jest interes” zamiast „tak” czy „dobrze”.

W Moskwie Jurij Andriejewicz powiedział:

- Trzeba będzie czymś się zająć, Wasia.
- Tak właśnie myślałem, chcę się uczyć.
- To oczywiste.
- I mam jedno marzenie. Chciałbym namalować twarz mamy z pamięci.
- Bardzo dobrze. Ale do tego musisz umieć rysować. Próbowales kiedyś?
- Na rynku Apraksińskim, kiedy wujek nie widział, rysowałem sobie węglem.
- No cóż. Życzę ci powodzenia. Spróbujemy.

Wasia nie miał do rysunków wielkiego talentu, był jednak wystarczająco zdolny, by móc się uczyć sztuki stosowanej. Jurij Andriejewicz umieścił go po znajomości na wydziale ogólnokształcącym dawnej uczelni Stroganowa, skąd przeniesiono chłopca na wydział poligraficzny. Uczył się tu techniki litograficznej, drukarstwa, introligatorswa i artystycznego zdobienia książek.

Doktor i Wasia połączyli swe wysiłki. Doktor pisał małe, jednoarkuszowe książeczki na rozmaite tematy, a Wasia drukował je na uczelni, co mu zaliczano jako prace egzaminacyjne. Książeczki te, odbite w niewielkich nakładach, sprzedawali w nowo otwartych antykwariatach, założonych przez wspólnych znajomych.

Książki zawierały filozofię Jurija Andriejewicza, jego teorie medyczne, poglądy na zdrowie i chorobę, rozważania o transformizmie i ewolucji, o osobowości jako biologicznej podstawie organizmu, poglądy doktora na historię i religię, zbliżone do przemyśleń wuja i Simy, szkice o miejscach buntu Pugaczowa, w których doktor bywał, wiersze i opowiadania.

Prace te napisane były przystępnie, potocznym językiem, nie spełniały jednak zadań, jakie stawiają sobie popularyzatorzy, zawierały bowiem poglądy dyskusyjne, teorie nie dowiedzione, niedostatecznie przemyślane, ale zawsze żywe i oryginalne. Książeczki rozchodziły się dobrze, amatorzy bardzo je cenili.

W tym czasie wszystko zaczęło być specjalnością: rymotwórstwo, sztuka przekładu artystycznego, o wszystkim pisano prace teoretyczne, zakładano specjalne instytuty naukowe. Powstawały różnego rodzaju Pałace Myśli, Akademie Idei Artystycznych. W połowie tych sztucznych tworów Jurij Andriejewicz figurował na etacie lekarza.

Doktor i Wasia przez dłuższy czas przyjaźnili się i mieszkali razem. Zmienili w tym czasie mnóstwo pokoi i na pół zrujnowanych kątów, niewygodnych i nie nadających się do mieszkania.

Zaraz po przybyciu do Moskwy Jurij Andriejewicz wybrał się na ulicę Siwcew Wrażek, do starego domu, w którym, jak się dowiedział, jego rodzina, będąc

przejazdem w Moskwie, już nie zamieszkała. Ich wydalenie wszystko zmieniło. W pokojach, zastrzeżonych dla doktora i jego rodziny, mieszkali obcy ludzie, z rzeczy należących do Żywagów też nic nie zostało. Od Jurija Andriejewicza odskakiwano z przestachem jak od niebezpiecznego znajomego.

Markieł bardzo poszedł w górę i nie mieszkał już w tej kamienicy. Został komendantem w Mącznym Gródku, gdzie zgodnie z jego stanowiskiem zaproponowano mu mieszkanie rządcy. Wolał jednak mieszkać w starej stróżówce z glinianą podłogą, wodociągiem i olbrzymim rosyjskim piecem, zajmującym całe pomieszczenie. We wszystkich zabudowaniach Mącznego Gródka zimą pękały rury wodociągowe i centralnego ogrzewania, i tylko w stróżówce było ciepło i woda nie zamarzała.

W tym czasie w stosunkach pomiędzy doktorem a Wasią nastąpiło ochłodzenie. Wasia niezwykle się rozwinął. Zaczął mówić i myśleć zupełnie inaczej, niż mówił i myślał bosy, rozczochrany chłopiec w Wierietienkach nad Pielgą. Coraz bardziej pociągała go oczywistość głoszonych przez rewolucję prawd, które nie wymagały udowodnienia. Niezupełnie zrozumiała, obrazowy język doktora wydawał mu się głosem idei niesłusznych, skompromitowanych, świadomych swej słabości i nieszczerych.

Doktor chadzał do różnych urzędów, usiłując załatwić dwie sprawy. Zabiegał o rehabilitację polityczną swej rodziny i o oficjalne zezwolenie na jej powrót do kraju oraz o paszport dla siebie i pozwolenie wyjazdu do Paryża, do żony i dzieci.

Wasia nie mógł się nadziwić, że te zabiegi są tak nieporadne i ospałe. Jurij Andriejewicz zbyt pochopnie i przedwcześnie stwierdził, że jego starania nie odnoszą skutku, ze zbytnią pewnością i niemal z zadowoleniem oświadczał, że dalsze próby są bezcelowe.

Wasia coraz częściej potępiał doktora, który nie obrażał się o te słuszne zarzuty, ale jego stosunki z Wasią się psuły. Wreszcie przestali być przyjaciółmi i rozstali się. Jurij Andriejewicz zostawił Wasi pokój, który wspólnie zajmowali i, przeprowadził się do Mącznego Gródka, gdzie wszechwładny Markieł przydzielił mu tylną część dawnego mieszkania Swientickich, na którą składała się stara nieczynna łazienka, przylegający do niej pokój z jednym oknem i kuchnia. Schody kuchenne były wykoślawione i zrujnowane, gdyż budynek osiadał. Jurij Andriejewicz przeniósł się tutaj, wkrótce potem zarzucił medycynę, stał się abnegatem, przestał się spotykać ze znajomymi i zaczął klepać biedę.

6

Była szara, zimowa niedziela. Dym z pieców nie wzbijał się słupami nad dachami domów, ale snuł się czarnymi strużkami z lufików, z których mimo zakazu nadal wystawiano żelazne rury prowizorycznych piecyków. Życie w mieście ciągle jeszcze nie wracało do normy. Mieszkańcy Mącznego Gródka chodzili nie myci, niechlujni, cierpieli na czyraki, marzli i przeziębiali się.

Z okazji niedzieli u Markieła Szczapowa zebrała się w komplecie cała rodzina.

Szczapowowie jedli obiad przy tym samym stole, na którym swego czasu, w czasie reglamentacji chleba, czasem rankami cięto drobno nożyczkami kartki chlebowe lokatorów z całego domu, sortowano, przeliczano, zawijano w szmatki albo papierki, według kategorii, i odnoszono do piekarni, po powrocie zaś łamano, krojono, ważono i rozdzielano chleb pomiędzy mieszkańców Gródka. Teraz odeszło to już w niepamięć. Rejestrację zaopatrzenia zastąpiły inne rodzaje sprawozdawczości. Przy długim stole wszyscy jedli z apetytem, aż im się uszy trzęsły, ciamkali i mlaskali.

Połowę stróżówki zajmował stojący pośrodku szeroki rosyjski piec ze zwisającą z przypiecka pikowaną kołdrą.

Ze ściany przy wejściu sterczała nad zlewem końcówka czynnego wodociągu. Po bokach ciągnęły się ławki, pod które wsunięto dobytek w workach i kufrach. Lewą stronę zajmował kuchenny stół. Nad stołem wisiała na ścianie szafka na naczynia.

W piecu napalono i w stróżówce było gorąco. Przed piecem stała z zakasanyimi rękawami żona Markieła Agafia Tichonowna i długim, sięgającym daleko pogrzebaczem przestawiała garnki w piecu, luźniej lub ciasniej, w zależności od potrzeby. Jej spoconą twarz zalewał na przemian żar rozgrzanego pieca lub para gotującego się jedzenia. Odsunęła garnki na bok i wyciągnęła z głębi placek na blasze, jednym ruchem przewróciła go na drugą stronę i wstawiła na chwilę z powrotem, żeby się przyrumienił. Do stróżówki wszedł Jurij Andriejewicz z dwoma wiadrami.

– Smacznego.

– Prosimy, prosimy. Siadaj do stołu, rozgość się.

– Dziękuję – jestem po obiedzie.

– Znamy te twoje obiady. Usiadłbyś i zjadł coś gorącego. Nie wybredzaj. Mamy kartofle pieczone w rondelku. Placek z kaszą. Jaglaną.

– Nie, naprawdę dziękuję. Przepraszam, Markieł, tak często wchodzę i mieszkanie ci wyziębiam. Chcę sobie nanieść od razu więcej wody. Wyczyściłem do połysku cynkową wannę Swientickich, naleję tam pełno wody i do baków też. Zajrzę teraz jeszcze pięć czy dziesięć razy, a potem na długo przestanę się naprzykrzać. Nie gniewaj się, że tak przychodzę. Oprócz ciebie nie mam do kogo pójść.

– Bierz, ile chcesz, nie żałuję ci. Soku nie mam, ale wody, ile chcesz. Daję za darmo. My wodą nie handlujemy.

Przy stole zaczęto się śmiać.

Kiedy Jurij Andriejewicz przyszedł trzeci raz po piąte i szóste wiadro, Markieł zmienił nieco ton i rozmowa przybrała inny obrót.

– Zięciowie się pytali, coś ty za jeden. Mówię im, to nie chcą wierzyć. Ale bierz wodę, nie krępuj się. Tylko nie lej na podłogę, gawronie. Widzisz, cały próg zalałeś. Jak zamarznie, to nie ty będziesz łomem odbijał. I porządnie zamykaj drzwi, gamoniu, bo ze dworu ciągnie. Tak, mówię zięciom, coś ty za jeden, i nie wierzą. Że tyle na ciebie pieniędzy wydano! Uczyłeś się, uczyłeś i jaki z tego pożytek?

Kiedy Jurij Andriejewicz przyszedł po raz piąty czy szósty, Markieł się nachmurzył.

– Jeszcze raz możesz przyjść, a potem koniec. Trza wiedzieć, kiedy przestać. Żeby nie to, że cię tu Marina broni, nasza najmłodsza, to bym nie patrzył, jaki z ciebie szlachetny odszczepieniec, tylko bym zamknął drzwi. Pamiętasz Marinę? To ta na końcu stołu, czarnulka. Widzisz, jak się zaczerwieniła. Nie róbcie mu krzywdy, tatusiu, mówi. A kto ci robi krzywdę? Nasza Marina na głównym telegrafie jest za telegrafistkę, po zagranicznemu rozumie. On jest nieszczęśliwy, powiada. W ogień by za tobą skoczyła, tak cię żałuje. A czy to moja wina, żeś taki niewydarzony? Nie trza było na Sybir uciekać, domu w niebezpiecznych czasach porzucić. Samiście winni. Za to my cały ten głód, całą tę białą blokadę przesiedzieliśmy, nie złamaliśmy się i wyszliśmy z tego cało. Sam do siebie miej pretensje. Tońki nie upilnowałeś, po zagranicach się włóczy. A mnie co do tego? To twoja rzecz. Tylko, za przeproszeniem, chciałem się zapytać, na co ci takie mnóstwo wody? Możesz się wynająć, żeby ślizgawkę na podwórku zrobić? Ech, ty, jak się tu na ciebie gniewać, kurczaku podskubany.

Znowu przy stole zaczęto się śmiać. Marina obrzuciła wszystkich niezadowolonym spojrzeniem i zaczerwieniona zaczęła ich besztać. Jurij Andriejewicz usłyszał jej głos, zdumiał się, ale jeszcze nie odgadł jego sekretu.

– Mam dużo do mycia w domu, Markieł. Muszę posprzątać. Podłogi. I chcę coś niecoś wyprać.

Wywołało to zdziwienie przy stole.

– Wstydzilibyś się takie rzeczy gadać, a co dopiero robić. Jesteś chińska praczka, czy co?

– Juriju Andriejewiczu, niech pan pozwoli, przyślę panu córkę. Przyjdzie, wypierze, pomyje wszystko. Jak trzeba, to i naprawi. Nie bój się pana, córeczko. Widzisz, jaki delikatny, nie to co inni. Muchy by nie ukrzywdził.

– Nie, nie, Agafio Tichonowno, nie trzeba. Za nic nie pozwolę, żeby panna Marina dla mnie brudziła sobie ręce. Nie jest żadną kuchtą. Poradzę sobie sam.

– Panu się wolno brudzić, a mnie nie? Jaki pan uparty, Juriju Andriejewiczu. Czemu się pan tak opęda? A gdybym się do pana wpraszała z wizytą, też by mnie pan wygonił?

Marina mogłaby zostać śpiewaczką. Miała dźwięczny czysty głos, wysoki i silny. Mówiła cicho, ale jej głos był zbyt silny na potrzeby zwykłej rozmowy i nie kojarzył się z Mariną, ale istniał jak gdyby oddzielnie. Zdawało się, że dobiega z drugiego pokoju, gdzieś zza jej pleców. Ten głos był jej obroną, jej aniołem stróżem. Kobiety o takim głosie nikt nie chce obrazić czy zasmucić.

Od owego niedzielnego noszenia wody zaczęła się przyjaźń doktora z Mariną. Dziewczyna często przychodziła pomagać mu w gospodarstwie. Pewnego razu zanocowała u niego i nie wróciła już do stróżówki. Tak została trzecią nieoficjalną żoną Jurija Andriejewicza, przy czym z pierwszą nie był rozwiedziony. Urodziły się dzieci. Ojciec i matka Szczapowowie nie bez dumy zaczęli nazywać córkę doktorową. Markieł burczał, że Jurij Andriejewicz nie żeni się z Mariną, że nie mają ślubu cywilnego. – Czyś ty oszalał? – tłumaczyła mu żona. – Antonina przecież żyje,

to co to będzie? Dwużeństwo? – Samaś głupia – odpowiadał Markieł. – Co tu się oglądać na Tońkę. Tońki tak jakby nie było. Żadne prawo się za nią nie ujmie.

Jurij Andriejewicz mawiał czasem żartem, że ich zbliżenie było romanssem w dwudziestu wiadrach, tak jak bywają powieści w dwudziestu rozdziałach lub dwudziestu listach.

Marina wybaczała doktorowi jego dziwactwa, których nabrał w tym czasie, kaprysy człowieka załamane go i świadomego swego upadku, brud i nieporządek, który wokół siebie roztaczał. Znosiła jego zrządzenia, szorstkość i irytację.

Jej ofiarność sięgała jeszcze dalej. Kiedy z winy doktora wpadali w dobrowolną, stworzoną przez niego samego nędzę, Marina, aby nie pozostawiać go w takich chwilach samego, rzucała pracę, w której ją tak ceniono, i dokąd znów ją przyjmowano chętnie po tych przymusowych przerwach. Podporządkowując się fantazjom Jurija Andriejewicza, chodziła razem z nim po podwórzach na zarobek. Piłowali na akord drzewo lokatorom z różnych pięter. Niektórzy, zwłaszcza wzbogaceni w początkach Nep-u spekulanci i zbliżeni do kół rządowych ludzie nauki i sztuki, zaczęli się urządzać, sprawiać sobie nowe umeblowanie. Pewnego razu Marina i Jurij Andriejewicz, ostrożnie stąpając po dywanach walonkami, aby nie nanieść z dworu trocin, znosili zapas drewna do gabinetu właściciela mieszkania, który w sposób obraźliwy pograżony był w jakiejś lekturze i nie zaszczycił ich nawet spojrzaniem. Umawiała się z nimi gospodyni, dawała polecenia i płaćła za robotę.

„Czym ta świnka jest tak pochłonięta? – zastanawiał się doktor. – Co tak zaciekle podkreśla ołówkiem?” – obchodząc z naręczem drewna biurko zajrzał gospodarzowi przez ramię. Na biurku leżały książeczki Jurija Andriejewicza we wczesnym wydaniu Wchutiemasu³⁰, drukowane przez Wasię.

7

Marina i doktor mieszkali na Spirydonowce, Gordon wynajmował pokój obok, na Małej Bronnej. Marina i doktor mieli dwie córeczki, Kapkę i Kłaskę. Kapitolina, Kapelka, miała siódmy roczek, małeńka Kławdia sześć miesięcy.

Początek lata tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku był upalny. Mieszkający o kilka ulic przyjaciele wpadali do siebie z wizytą bez kapeluszy i marynarek.

Pokój Gordona był bardzo oryginalny. Mieściła się tu kiedyś dwupoziomowa pracownia modnego krawca. Oba poziomy obejmowała od strony ulicy lustrzana witryna. Na szybie złotymi literami wypisane było nazwisko krawca i rodzaj świadczonych usług. Wewnątrz za witryną kręcone schody prowadziły z parteru na antresolę.

Teraz z pomieszczenia tego wykrojono trzy.

³⁰ Państwowe Wyższe kursy Artystyczno-Techniczne. (Przyp. tłum.)

Oba pięterka pracowni podzielono dodatkowymi stropami na dwa dodatkowe poziomy o dziwacznych oknach. Okno takie miało metr wysokości i znajdowało się na poziomie podłogi. Pomiędzy resztkami złotych liter widać było do kolan nogi znajdujących się wewnątrz osób. W takim pokoju mieszkał Gordon. Właśnie byli u niego Żywago, Dudorow i Marina z dziećmi. Dzieci, w odróżnieniu od dorosłych, mieściły się całe w ramie okna. Wkrótce Marina wraz z dziewczynkami wyszła. Trzej mężczyźni zostali sami.

Toczyła się rozmowa, jedna z owych letnich, leniwych, nieśpiesznych pogawędek, jakie prowadzą szkolni koledzy, kiedy już zapomnieli, ile lat trwa ich przyjaźń. Jak wyglądają zazwyczaj takie rozmowy?

Są ludzie, którzy mają dostateczny zasób słów i potrafią myśleć i mówić w sposób naturalny i logiczny. W takiej sytuacji był tylko Jurij Andriejewicz.

Jego przyjaciółom brakowało potrzebnych wyrażeń, nie mieli daru wymowy. Aby czymś zrekompensować swój ubogi leksykon, rozmawiając przechadzali się po pokoju, zaciągali się papierosem, wymachiwali rękami, po kilka razy powtarzali jedno i to samo. („To jest nieuczciwe, bracie; właściwe, nieuczciwe; tak, tak, nieuczciwe”).

Nie zdawali sobie sprawy, że ten przesadny dramatyzm ich zachowania wcale nie świadczy o zapalczowości i sile charakteru, ale wręcz przeciwnie, o niedoskonałości i brakach.

Gordon i Dudorow obracali się w kulturalnym profesorskim środowisku. Spędzali życie pośród dobrych książek, dobrych myślicieli, dobrych kompozytorów, dobrej, zawsze, wczoraj i dziś, wyłącznie dobrej muzyki, i nie wiedzieli, że przeciętny gust to większa klęska niż zupełny brak gustu.

Nie zdawali sobie sprawy, że nawet wyrzuty, którymi zasypywali Żywagę, dyktuje im nie uczucie przyjaźni i pragnienie wpłynięcia na niego, lecz jedynie niezdolność do swobodnego myślenia i samodzielnego kierowania rozmową. Rozpędzony wóz rozmowy niósł ich tam, gdzie wcale nie chcieli się znaleźć. Nie mogli go zawrócić i musieli w końcu na coś najechać i na czymś się rozbić. I wszystkie ich kazania i pouczenia rozbijały się całym rozpędem o Jurija Andriejewicza.

Doktor widział na wylot wszystkie sprężyny ich patosu, chwiejność ich współczucia, mechanizm ich rozumowania. Mimo to nie mógł im przecież powiedzieć: „Drodzy przyjaciele, jakże beznadziejnie jesteście pospolici. Wy i wasze środowisko, blichtr i sztuczność waszych ulubionych postaci i autorytetów! Jediną wartością, która pozostaje w was żywa i barwna, jest fakt, że żyliście w tych samych czasach co ja i żeście mnie znali.” Ale co by to było, gdyby można było mówić przyjaciółom takie rzeczy? I żeby nie robić im przykrości, Jurij Andriejewicz z pokorą ich wysłuchiwał.

Dudorow niedawno wrócił ze swego pierwszego zesłania. Przywrócono mu pełnię praw obywatelskich, których był na jakiś czas pozbawiony. Zezwolono mu też na wznowienie wykładów i zajęć na uniwersytecie.

Teraz wtajemniczał przyjaciół w swoje wrażenia i stany duchowe na zesłaniu. Mówił o tym szczerze, bez obłudy. Jego wypowiedzi nie były podyktowane tchórzostwem czy innymi względami.

Mówił, że argumenty oskarżenia, obchodzenie się z nim w więzieniu i po wyjściu z niego, zwłaszcza zaś rozmowy w cztery oczy z sędzią śledczym, rozjaśniły mu w głowie, uświadomiły politycznie, że otwarły mu się oczy na wiele spraw i że rozwinął się jako człowiek.

Rozumowanie Dudorowa przemawiało do Gordona właśnie tym, że było tak proste. Ze zrozumieniem kiwał głową i ze wszystkim się zgadzał. Wzruszała go szczególnie właśnie stereotypowość tego, co mówił i odczuwał Innokentij. Banalną wtórność uczuć brał za przejaw myśli ogólnoludzkiej.

Cnotliwe tyrady Innokentija były zgodne z duchem czasów, ale właśnie ich typowa, przejrzysta świętoszkowatość wściekała Jurija Andriejewicza. Człowiek, który nie jest wolny, zawsze idealizuje swą niewolę. Tak było w wiekach średnich, to wykorzystywali zawsze jezuici. Jurij Andriejewicz nie mógł znieść politycznego mistycyzmu sowieckiej inteligencji, tego, co było jej najwyższą zdobyczą, czyli, jak wówczas mówiono – duchowym pułapem epoki. Doktor ukrywał jednak przed przyjaciółmi swoje wrażenia, żeby się nie kłócić.

Zainteresowało go natomiast zupełnie co innego, opowieść Dudorowa o Bonifacym Orlecowie, jego towarzyszu z celi, duchownym-tichonowcu³¹. Miał on sześciolletnią córeczkę Krystynę. Aresztowanie i dalsze losy ukochanego ojca były dla niej ciosem. Określenia, „kapłan”, „liszeniec” i tym podobne wydawały się piętnem hańby. Być może w swym gorącym dziecięcym serduszkun przysięgła sobie zmyć kiedyś to piętno z dobrego imienia ojca. Tak wcześnie nakreślony cel, płonący w niej żarem niezachwianej decyzji, czynił ją już teraz po dziecinnemu zagorzałą entuzjastką wszystkiego, co wydawało się jej nie do obalenia w komunizmie.

– Idę – odezwał się Jurij Andriejewicz. – Nie gniewaj się na mnie, Misza. W pokoju jest duszno, na dworze upał. Brak mi powietrza.

– Przecież widzisz, że lufcik nad podłogą jest otwarty. O, przepraszam, nadymiliśmy tutaj. Wiecznie zapominamy, że przy tobie nie wolno palić. Co ja jestem winien, że tu jest tak głupio urządzone. Znajdź mi inny pokój.

– Pójdę sobie, Gordonku. Już dość się nagadaliśmy. Dziękuję wam za troskę o mnie, drodzy koledzy. To nie są z mojej strony kaprysy. To choroba zwapnienie naczyń. Ścianki mięśnia sercowego zużywają się, cienieją i pewnego dnia mogą pęknąć. A przecież nie mam jeszcze czterdziestki. Nie piję i nie hulam.

– Za wcześnie żegnasz się z życiem. To bzura. Jeszcze pożyjesz.

– Ostatnio bardzo się rozpowszechniły mikrozawały serca. Nie wszystkie są śmiertelne. W niektórych wypadkach ludziom udaje się przeżyć. To choroba najnowszych czasów. Jej przyczyny są natury moralnej. Od większości z nas

³¹ Tichon Zadoński (Timofiej Sokołow, 1724-1783), biskup woroneski, kanonizowany w 1858 r., typ rosyjskiego świętego „pieczalnika”, troszczącego się o losy ludu i jego życiowe potrzeby. (Przyp. tłum.)

wymaga się ciągłej, podniesionej do rangi systemu, obłudy. Nie można bez szkody dla zdrowia dzień w dzień udawać co innego, niż się czuje, zachwycać się tym, czego się nie lubi, cieszyć się z tego, co przynosi nieszczęście. Nasz system nerwowy to nie pusty dźwięk, nie abstrakcja. Jest to ciało fizyczne złożone z włókien. Nasza dusza zajmuje miejsce w przestrzeni i tkwi w nas jak zęby w ustach. Nie można jej wiecznie bezkarnie gwałcić. Z przykrością słuchołem twojej opowieści o zesłaniu, Innokentij, o tym, jak dojrzałeś i jak zesłanie cię uświadomiło. To zupełnie tak, jak gdyby koń opowiadał, jak się sam ujeżdżał na manezu.

– Muszę stanąć w obronie Dudorowa. Ty po prostu się odzwyczyłeś od ludzkich słów. Przestały do ciebie docierać.

– Możliwe, Misza. Ale tak czy owak nie gniewajcie się, pozwólcie mi odejść. Trudno mi oddychać. Naprawdę nie przesadzam.

– Zaczekaj. To są zwykłe wykręty. Nie wypuścimy cię, dopóki nam nie odpowiesz wyraźnie i szczerze. Czy zgadzasz się z tym, że powinienes się zmienić, poprawić? Co zamierzasz zrobić w tym celu? Musisz uporządkować swoje sprawy z Tonią i z Mariną. To są żywe istoty, kobiety, które cierpią i czują, a nie bezcielesne idee, które kotłują ci się w głowie w rozmaitych konfiguracjach. Poza tym wstyd, żeby taki człowiek jak ty marnował się bez pożytku. Musisz się zbudzić, otrząsnąć z lenistwa, okrzepnąć, zastanowić się nad sytuacją, bez tej nieuzasadnionej pychy, tak, tak, bez tej twojej karygodnej wyniosłości, pójść do pracy, zająć się praktyką.

– Dobrze, odpowiem wam. Sam ostatnio często o tym myślę w podobnym duchu i dlatego bez rumieńca mogę wam co nieco obiecać. Myślę, że wszystko się jakoś ułoży. I to niedługo. Zobaczycie. Nie, naprawdę. Wszystko zmierza ku lepszemu. Niewiarygodnie, strasznie chce mi się żyć, a żyć to przecież znaczy iść naprzód, piąć się w górę, ku doskonałości, i osiągać ją.

Cieszę się, Gordon, że bronisz Mariny, tak jak zawsze przedtem ujmowałeś się za Tonią. Ale przecież ja nie jestem z nimi skłócony, z nikim nie prowadzę wojny. Wyrzucałeś mi na początku, że ona mówi mi „pan” w odpowiedzi na moje „ty” i zwraca się do mnie „Juriju Andriejewiczu”, Jak gdyby i mnie to nie ciążyło. Ale przecież głębsze przyczyny tej nienaturalności zostały już dawno usunięte, wszystko się wygładziło, nie ma już nierówności.

Mogę też podzielić się z wami inną przyjemną nowiną. Znowu zacząłem dostawać listy z Paryża. Dzieci rosną, czują się zupełnie dobrze wśród francuskich rówieśników. Szura kończy tamtejszą szkołę podstawową, „*école primaire*”, Mania ma do niej pójść. Ja przecież zupełnie nie znam swojej córki. Nie wiem, czemu wierzę, że mimo przyjęcia francuskiego obywatelstwa oni niedługo wrócą, i wszystko się w jakiś niepojęty sposób ułoży.

Z listów wynika, że teść i Tonia wiedzą o Marinie i dziewczynkach. Sam im o tym nie pisałem. Widocznie dowiedzieli się od kogoś innego. Aleksander Aleksandrowicz jest oczywiście urażony w swych ojcowskich uczuciach i żal mu Toni. Tym sobie tłumaczę prawie pięcioletnią przerwę w naszej korespondencji. Przecież po moim powrocie do Moskwy pisaliśmy do siebie przez jakiś czas. I nagle przestali mi odpowiadać na listy. Wszystko się urwało.

I teraz, całkiem niedawno, znów zacząłem dostawać stamtąd listy. Od nich wszystkich, nawet od dzieci. Ciepłe, serdeczne. Złagodnieli. Może coś się zmieniło w życiu Toni, może pojawił się ktoś nowy, daj jej Boże. Nie wiem. Ja także czasem do nich pisuję. Ale już dłużej nie wytrzymam. Pójdę, bo się to skończy atakiem duszności. Do widzenia.

Następnego dnia rano przybiegła do Gordona nieprzytomna z niepokoju Marina. Nie miała z kim zostawić dziewczynek i młodszą, Kłaszę, niosła w kocyku, przyciskając ją jedną ręką do piersi, a drugą ciągnęła za rączkę opierającą się Kapę.

– Misza, czy Jura jest u pana? – zapytała nieswoim głosem.

– A co, czy nie nocował w domu?

– Nie.

– No to jest u Innokientija.

– Byłam tam. Innokientij jest na zajęciach na uniwersytecie. Ale sąsiedzi znają Jurę. Nie było go tam.

– No to gdzie może być?

Marina położyła opatuloną Kłaszę na kanapie. Dostała ataku hysterii.

8

Przez dwa dni Gordon i Dudorow nie odchodzili od Mariny. Dyżurowali przy niej na zmianę, gdyż bali się zostawiać ją samą. W przerwach wyruszali na poszukiwania doktora. Obiegli wszystkie miejsca, w których przypuszczalnie mógł być, byli w Mącznym Gródku i w domu na ulicy Siwcew Wrażek, sprawdzali we wszystkich Pałacach Myśli i Domach Idei, w których kiedyś pracował, obeszlili wszystkich jego dawnych znajomych, o których kiedykolwiek cokolwiek słyszeli i których adresy udało im się zdobyć. Poszukiwania nic nie dały.

Na milicję nie dali znać, żeby nie przypominać władzom o człowieku, który był co prawda zameldowany i nie karany, ale w ówczesnym pojęciu bynajmniej nie wzorowy. Skierować na niego poszukiwania milicji postanowili tylko w ostateczności.

Trzeciego dnia Marina, Gordon i Dudorow w różnym czasie otrzymali od Jurija Andriejewicza listy, pełne ubolewania z powodu niepokoju i strachu, jakiego im przyczynił. Doktor błagał o przebaczenie, prosił, by się uspokoili, i zaklinał ich na wszystkie świętości, aby przerwali poszukiwania, które i tak do niczego nie doprowadzą.

Zawiadamił, że chcąc jak najszybciej i całkowicie odmienić swe życie, zamierza spędzić jakiś czas w samotności, żeby w skupieniu zająć się swoimi sprawami, a kiedy tylko umocni się w swej decyzji i przekona, że po tym przełomie nie popadnie znów w dawne błędy, wyjdzie ze swego ukrycia i wróci do Mariny i dzieci.

Gordona zawiadamił w liście, że przesyła na jego adres pieniądze dla Mariny. Prosił, by wziąć niańkę do dzieci, aby Marina mogła wrócić do pracy. Tłumaczył, że nie wysyła pieniędzy bezpośrednio do niej w obawie, aby wymieniona w przekazie suma nie naraziła jej na kradzież.

Wkrótce nadeszły pieniądze w ilości przekraczającej możliwości doktora i przewidywania przyjaciół. Wzięto niańkę do dzieci. Marinę znów przyjęto do pracy. Długo nie mogła się uspokoić, ale przyzwyczajona do dziwactw Jurija Andriejewicza, w końcu pogodziła się z tym jego wyskokiem. Mimo próśb i ostrzeżeń doktora przyjaciele i bliska mu kobieta nie przestali go szukać. Przekonali się jednak, że jego przepowiednie były słuszne – nigdzie nie mogli go znaleźć.

9

Tymczasem doktor mieszkał o kilka kroków od nich, pod samym ich nosem i na widoku, dokładnie w kręgu ich poszukiwań.

Kiedy w dniu swego zniknięcia jeszcze przed nastaniem zmroku wyszedł od Gordona na Bronną i skierował się do domu na Spirydynowkę, już po kilku krokach natknął się na idącego w przeciwnym kierunku swego przyrodniego brata Jewgrafa Żywagę. Jurij Andriejewicz nie widział go od trzech lat i nic o nim nie słyszał. Okazało się, że Jewgraf jest w Moskwie przypadkowo i przyjechał całkiem niedawno. Swoim zwyczajem spadł jak z nieba i nie reagował na żadne wypytywania, wykręcając się od odpowiedzi milczącymi uśmieszkami i żarcikami. Sam natomiast z miejsca, ignorując drobne życiowe sprawy, za pomocą kilku zadanych doktorowi pytań zorientował się we wszystkich jego kłopotach i w jednej chwili, na owej wąskiej, krzywej uliczce, w ścisiku, sporządził praktyczny plan pomocy bratu i uratowania go. Zniknięcie Jurija Andriejewicza i jego pobyt w ukryciu był pomysłem Jewgrafa, jego wynalazkiem.

Wynajął doktorowi pokój w zaułku, który wtedy jeszcze nazywał się Kamerherski, obok Teatru Artystycznego. Zaopatrzył go w pieniądze, zaczął się mu starać o dobrą posadę w jakimś szpitalu, która dawałaby możliwość pracy naukowej. Wspomagał go pod każdym względem. Wreszcie dał mu słowo, że ureguluje tak czy inaczej sytuację jego rodziny w Paryżu. Albo Jurij Andriejewicz pojedzie do nich, albo oni przyjadą do niego. Obiecał, że zajmie się tym wszystkim sam i wszystko urządzi. Pomoc brata uskrzydlała Jurija Andriejewicza. Tak jak przedtem, tajemnica jego potęgi pozostała nie wyjaśniona. Jurij Andriejewicz nawet nie próbował uchylić rąbka tej tajemnicy.

10

Pokój wychodził na południe. Z jego dwóch okien było widać dachy domów naprzeciw teatru, za którymi wysoko, nad Ochotnym Riadem, wisiało letnie słońce, pograżając w cieniu jezdnię.

Pokój ten był dla Jurija Andriejewicza czymś więcej niż pomieszczeniem roboczym, niż gabinetem. W owym okresie zżerającej go aktywności, kiedy jego plany i pomysły nie mieściły się w spiętrzonych na stole zapiskach, a obrazy projektów i wizji unosiły się po kątach, jak obrócone twarzami do ściany rozpoczęte

obrazy w pracowni malarskiej, pokój doktora był salą biesiadną ducha, przybytkiem iluzji, skarbnicą odkryć.

Na szczęście rozmowy z dyrekcją szpitala się przeciągały. Termin rozpoczęcia pracy oddalał się w nieokreśloną przyszłość. Korzystając z tej zwłoki można było pisać.

Jurij Andriejewicz zaczął porządkować utwory, których fragmenty pamiętał i które zdobywał gdzieś i przynosił mu Jewgraf, często w postaci rękopisów doktora, częściowo zaś w jakichś przedrukach. Chaotyczność tego materiału sprawiała, że Jurij Andriejewicz rozpraszał się jeszcze bardziej, niż to leżało w jego naturze. Wkrótce zarzucił tę robotę i od odtwarzania rzeczy nie dokończonych przeszedł do tworzenia nowych, natchniony nowymi pomysłami.

Zapisywał na brudno szkice artykułów, w rodzaju doraźnych zapisków z okresu pierwszego pobytu w Warykinie, i notował urywki wierszy, jakie mu się nasuwały, początki, zakończenia, części środkowe, na zmianę, beładnie. Czasem ledwie mógł sobie poradzić z natłokiem myśli, za którymi nie nadążały początkowo litery słów i skróty jego pośpiesznych notatek.

Śpieszył się. Kiedy znużona wyobraźnia odmawiała mu posłuszeństwa i praca zaczynała utykać, poganiał ją rysunkami na marginesach. Były na nich leśne przesieki i miejskie skrzyżowania ze stojącym pośrodku słupem reklamowym „Moreau i Wietczynkin. Siewniki. Młockarnie”.

Artykuły i wiersze były tylko na jeden temat. Ich przedmiotem było miasto.

11

Później wśród jego papierów znalazł się zapisek:

„Kiedy w dwudziestym drugim roku wróciłem do Moskwy, zastałem ją opustoszałą, na pół zrujnowaną. W takiej postaci wyszła z doświadczeń pierwszych lat rewolucji, taka pozostała do dziś dnia. Ludność się przeredziła, nowych domów się nie buduje, starych nie odnawia.

Ale i w tym stanie pozostaje ona wielkim współczesnym miastem, jedynym natchnieniem prawdziwie współczesnej nowej sztuki.

Beładne wyliczanie przedmiotów i pojęć, na pozór nie do pogodzenia, ustawionych obok siebie jakby na siłę, nie jest bynajmniej u symbolistów, Błoka, Verhaerena, Whitmana, jakimś kaprysem stylistycznym. To nowy układ wrażeń, zaczerpnięty z życia i namalowany z natury.

Tak samo, jak oni przesuwają szeregi obrazów po swoich wersach, płynie sama i przesuwa obok nas swe tłumy, powozy i dorożki zaaferowana miejska ulica końca dziewiętnastego wieku, a potem, w początku następnego stulecia, pędzi wagony swych tramwajów elektrycznych i kolei podziemnych.

W tych warunkach nie może istnieć sielankowa prostota. Jej fałszywa naturalność to literacka imitacja, zmanierowanie, to zjawisko książkowe, wzięte nie ze wsi, ale z półek bibliotecznych akademickich archiwów. Język żywy, stworzony spontanicznie i w sposób naturalny odpowiadający duchowi dnia dzisiejszego, to język urbanizmu.

Mieszkam na ruchliwym miejskim skrzyżowaniu. Letnia Moskwa, oślepiąca słońcem, rozpalona żarem asfaltowych podwórek, rozrzucająca słoneczne bliki szybami górnych okien, dysząca kwitnieniem chmur i bulwarów, wiruje wokół mnie, przyprawia o zawrót głowy i domaga się, bym ku jej chwale przyprawiał o zawrót głowy innych. W tym celu mnie wychowała i dała mi w ręce talent.

Ulica, szumiąca za ścianą ciągle, dzień i noc, jest równie silnie związana ze współczesną duszą, jak rozpoczynająca się uwertura z pełną mrokiem i tajemnicą, jeszcze opuszczoną, ale już płonąca światłami rampy teatralnej kurtyną. Bezustannie mrowiące się i huczące za drzwiami i oknami miasto, to dla każdego z nas niezmierny, ogromny wstęp do życia. W tai właśnie sposób chciałbym napisać o mieście."

W zachowanym zeszycie poezji Żywagi nie ma takich wierszy. A może jego „Hamlet” należy do tej kategorii?

12

Pewnego ranka pod koniec sierpnia Jurij Andriejewicz wsiadł na rogu Gazetnego do tramwaju, jadącego Nikicką w górę, od uniwersytetu do Kudryńskiej. Jechał pierwszy raz do pracy do szpitala imienia Botkina, który nosił wówczas imię Sołdatienki. Była to chyba pierwsza jego służbowa wizyta w szpitalu.

Nie miał szczęścia. Trafiał do niesprawnego tramwaju, na który przez cały czas sypały się jakieś nieszczęścia. Albo tarasowała mu drogę furmanka, która utknęła kołami w szczelinach szyn, albo pod stropem tramwaju czy też na dachu psuła się izolacja, następowało krótkie spięcie i coś się z trzaskiem przepalało.

Motorniczy z kluczami do nakrętek często wysiadał przednim pomostem, obchodził wagon dookoła i, przykucnąwszy, naprawiał coś pomiędzy kołami a tylną platformą. Pechowy tramwaj tamował ruch na całej linii. Ulica była zapchana unieruchomionymi tramwajami, których wciąż przybywało. Sznur tramwajów sięgał już do Maneżu i rozciągał się coraz dalej. Pasażerowie z tylnych wozów przesiadali się do pierwszego, który był przyczyną całego tego korka, w nadziei, że coś w ten sposób zyskają. W ów upalny poranek w zatłoczonym wnętrzu wagonu było ciasno i duszno. Nad tłumem przebiegających jezdnią pasażerów płynęła od Bramy Nikickiej wielka, wznosząca się coraz wyżej, ciemnofioletowa chmura. Nadciągała burza.

Jurij Andriejewicz siedział po lewej stronie, na pojedynczym siedzeniu, zupełnie przyciśnięty do okna. Miał przed oczyma lewy chodnik Nikickiej, przy którym stał budynek konserwatorium. Chcąc nie chcąc, z przytępioną uwagą człowieka myślącego o czymś innym, gapił się na ludzi idących i jadących po tej stronie.

Wlokła się tamtędy stara siwa pani w kapeluszu z jasnej słomki, ze sztucznymi rumiankami i chabrami, w liliowej, obcisłej, staromodnej sukni. Sapała i wachlowała się trzymanym w rękę płaskim zwitkiem papieru. Była ściągnięta gorsetem, omdlewała z upału, oblewała się potem i ocierała koronkową chusteczką mokre brwi i usta.

Szła równolegle do linii tramwajowej, w tym samym kierunku. Jurij Andriejewicz już kilka razy tracił ją z oczu, kiedy naprawiony tramwaj ruszał i wyprzedzał ją. I

kilka razy pani ta wracała w jego pole widzenia, kiedy nowa awaria unieruchamiała tramwaj.

Jurij Andriejewicz przypomniał sobie szkolne zadania na wyliczenie czasu jazdy i kolejności wyruszających o różnych porach i w różne strony pociągów, chciał odtworzyć wzór rozwiązania, ale nie udało mu się to, więc nie doprowadzając tych myśli do końca, przerzucił się na inne, jeszcze trudniejsze.

Pomyślał o kilku, rozwijających się obok siebie istnieniach, które poruszają się obok siebie z różnymi prędkościami, i o tym, kiedy czyjś los wyprzedza w życiu los innej istoty, i kto kogo przeżyje. Zarysowało mu się coś w rodzaju teorii względności życia, ale zaplątał się zupełnie i porzucił te porównania.

Błysnęło, przetoczył się grom. Nieszczęsny tramwaj po raz nie wiadomo który utknął na zjeździe z Kudrińskiej do zoo. Pani w lila sukni zjawiła się po chwili w ramie okna, minęła tramwaj i jęła się oddalać. Pierwsze duże krople deszczu spadły na chodnik, na jezdnię i na tę panią. Poryw pylistego wiatru przeleciał po drzewach, szarpiąc liście, zaczął zrywać kapelusz starszej pani i zadzierać jej spódnicę, po czym nagle ucichł.

Doktor poczuł przyływ obezwładniających mdłości. Pokonując osłabienie, podniósł się i szarpiąc gwałtownie ramę w górę i w dół, usiłował otworzyć okno. Rama nie poddawała się.

Pasażerowie wołali do Żywagi, że rama jest przyśrubowana na stałe, ale doktor, walcząc z atakiem i jakąś ogarniającą go trwogą, nie brał tych krzyków do siebie i nie wnikał w ich treść. Nadal próbował otworzyć okno, znów trzema szarpnięciami w górę, w dół i na siebie pociągnął ramę i nagle poczuł w środku niezwykle, niepokonany ból i zrozumiał, że coś w nim pękło, że zrobił coś nieodwracalnego i że wszystko przepadło. W tej chwili tramwaj ruszył, przejechał kawałek Priesnią i znów się zatrzymał.

Niezwykłym wysiłkiem woli, zataczając się i z trudem przeciskając przez tłum stojący w przejściu między ławkami, Jurij Andriejewicz dotarł na tylną platformę. Ludzie nie chcieli go przepuścić, wymyślali. Zdawało mu się, że świeże powietrze orzeźwiło go, że może jeszcze nie wszystko stracone i że zrobiło mu się lepiej.

Zaczął się przeciskać przez tłum na platformie, wywołując nowe wymyślania, szturchańce i wściekłość. Nie zwracając uwagi na okrzyki, przedarł się przez ciżbę, zszedł ze stopnia na jezdnię, zrobił krok, drugi, trzeci, runął na bruk i już nie wstał.

Wszczął się hałas, zgiełk, kłótnie, posypały się rady. Kilka osób wysiadło z tramwaju i obstało leżącego. Wkrótce stwierdzili, że nie oddycha i że serce przestało bić. Do grupki skupionej nad ciałem podchodzili przechodnie z chodników, jedni uspokojeni, inni rozczarowani tym, że zmarły nie jest ofiarą wypadku i że jego śmierć nie ma nic wspólnego z tramwajem. Tłum rósł. Zbliżyła się do grupy także pani w lila sukni, stała chwilę, popatrzyła na zwłoki, posłuchała rozmów i poszła dalej. Była cudzoziemką, ale zrozumiała, że jedni radzą wnieść ciało do tramwaju i wieźć dalej do szpitala, a inni mówią, że trzeba wezwać milicję. Poszła dalej, nie dowiedziawszy się, jaką decyzję podjęto.

Starsza pani w lila sukni była to obywatelka szwajcarska, mademoiselle Fleury z Mieluziejewa. Bardzo się postarzała. Przez dwadzieścia lat zabiegała pisemnie o pozwolenie na wyjazd do ojczyzny. Zupełnie niedawno jej starania zostały uwieńczone sukcesem. Przybyła do Moskwy po wizę wyjazdową. Tego dnia szła ją odebrać do swej ambasady i wachlowała się przewiazanymi wstążeczką dokumentami. I poszła naprzód, po raz dziesiąty wyprzedzając tramwaj, i nic o tym nie wiedząc, wyprzedziła Żywagę i przeżyła go.

13

Z korytarza widać było przez otwarte drzwi narożnik pokoju ze stojącym na ukos stołem. Ustawiona na stole trumna, niby z gruba wydrążone czółno, spoglądała ku drzwiom węższym dolnym końcem, w który wpierały się stopy nieboszczyka. Był to ten sam stół, na którym przedtem pisał Jurij Nikołajewicz. Innego stołu w pokoju nie było. Rękopisy przełożono do skrzynki, a na stole ustawiono trumnę. Poduszki wezgłowia ułożone były wysoko i ciało spoczywało w trumnie uniesione, jak na zboczu wzgórza.

Otaczało je mnóstwo kwiatów, całe krzewy rzadkiego o tej porze białego bzu, cyklameny, cynerarie w donicach i koszach. Kwiaty przesłaniały światło z okien. Blask sączył się skąpo poprzez sterczące łodygi na woskową twarz i dłonie zmarłego, na drzewo i obicie trumny. Na stół padał piękny desień cieni, które jak gdyby właśnie przestały się chwiać.

Zwyczaj palenia zmarłych w krematoriach bardzo się w tym czasie rozpowszechnił. W nadziei na otrzymanie renty na dzieci, w trosce o ich przyszłość w szkole i o sytuację Mariny w pracy zrezygnowano z pochówku cerkiewnego i postanowiono poprzestać na świeckiej kremacji. Odpowiednie instytucje zostały zawiadomione. Czekano na ich przedstawicieli.

W pokoju było na razie pusto jak w opróżnionym mieszkaniu po wyjeździe starych lokatorów i przed wprowadzeniem się nowych. Ciszą zakłócało tylko uroczyste stąpanie na palcach i nieostrożne szuranie stóp osób, które przyszły pożegnać zmarłego. Było ich niewiele, ale i tak dużo więcej, niż można było przypuszczać. Wieść o śmierci prawie bezimiennego człowieka z niezwykłą szybkością obiegła cały ich krąg. Zebrało się sporo osób, które znały zmarłego w różnych okresach jego życia i które w rozmaitych chwilach stracił z oczu i zapomniał. Jego myśl naukowa i jego talent znalazły jeszcze większą liczbę nieznanych przyjaciół; nigdy nie widzieli człowieka, który ich pociągał, i po raz pierwszy przyszli go zobaczyć i rzucić nań ostatnie pożegnalne spojrzenie.

Podczas tych godzin, kiedy powszechnie milczenie, nie wypełnione żadnymi obrzędami, przygniatało niemal dotykającym, poczuciem straty, tylko kwiaty zastępowały śpiew i obrządek żałobny.

Zdawały się nie tylko kwitnąć i pachnieć, ale roztaczały swój aromat jak gdyby chórem, i być może przyspieszając w ten sposób rozkład i, obdzielając obecnych swą wonną siłą, odprowadzały jakby jakiś obrządek.

Królestwo roślin tak łatwo sobie wyobrazić jako najbliższe sąsiedztwo królestwa śmierci. Tutaj, w zieleni i ziemi, wśród cmentarnych drzew, wśród kiełkującego kwiecia, tkwi być może tajemnica przeobrażenia i zagadka życia, nad którym się głowimy. Powstałego z grobu Chrystusa Maria nie poznała i w pierwszej chwili wzięła go za idącego przez cmentarz ogrodnika („Ona, sądząc, że to ogrodnik...”³²)

14

Kiedy zmarłego przywieziono pod jego ostatni adres na Kamerherskiej, przyjaciele i Marina, wstrząśnięci wiadomością o śmierci Żywagi, wbiegli z frontowych schodów do otwartego na oścież mieszkania. Marina, na pół oszalała po strasznej wieści, przez dłuższy czas nie mogła przyjść do siebie, tarzała się po podłodze, biła głową o brzeg długiej skrzyni z oparciem, która stała w przedpokoju, i na której położono zmarłego w oczekiwaniu na zamówioną trumnę i na sprzątnięcie pokoju. Marina zalewała się łzami, coś szeptała i pokrzykiwała, dławiąc się słowami, które wyrwały się jej mimo woli wraz ze szlochem i lamentami. Użalała się jak prosta chłopka, nikogo się nie wstydząc i nikogo nie dostrzegając. Wczepiła się w ciało i nie można jej było oderwać, by przenieść nieboszczyka do pokoju, sprzątniętego i opróżnionego z niepotrzebnych mebli, by tam go obmyć i włożyć do trumny. Wszystko to było wczoraj. Dziś nieokiełznana rozpacz przycichła, ustępując miejsca bezmyślnemu otępieniu, ale Marina nadal była nieprzytomna, nic nie mówiła i nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Przesiedziała tutaj resztę poprzedniego dnia i noc, nie ruszając się z miejsca. Tu przynoszono jej do karmienia Kławę, przyprowadzano Kapę z młodocianą nianią, po czym dzieci znów zabierano.

Byli przy niej bliscy przyjaciele, Dudorow i Gordon, którzy rozpaczali z nią razem. Cicho pochlipując i ogłuszająco wycierając nos, przysiadł się do niej na ławkę jej ojciec Markieł. Przychodziły z nią płakać matka i siostry.

I było dwoje ludzi w tym tłumie, mężczyzna i kobieta, którzy różnili się od całej tej ludzkiej ciżby. Nie pretendowali do większej bliskości ze zmarłym niż inni. Nie rywalizowali w smutku z Mariną, jej córkami i przyjaciółmi zmarłego i oddawali im pierwszeństwo. Ci dwoje nie mieli żadnych roszczeń, ale jakieś własne, szczególne prawa do zmarłego. Tych niepojętych, tajemniczych uprawnień, które w jakiś sposób posiadli, nikt nie podważał i nie kwestionował. Właśnie oni wzięli chyba na siebie od samego początku wszystkie sprawy związane z pogrzebem i załatwiali je z takim spokojem, jakby sprawiało im to zadowolenie. Ta ich duchowa przewaga wszystkim rzucała się w oczy i sprawiała dziwne wrażenie. Zdawało się, że ci ludzie mają jakiś związek nie tylko z pogrzebem, ale i z tą śmiercią, nie jako jej sprawcy czy pośredni winowajcy, ale jako osoby, które pogodziły się z faktem dokonany i nie w nim

³² Jan, 20, 15.

widziały sedno sprawy. Niektórzy ich znali, inni domyślali się, kim są, jeszcze inni, i takich była większość, nie wiedzieli o nich nic.

Kiedy jednak ten mężczyzna o badawczych, budzących zaciekawienie, wąskich kirgizkich oczach i ta piękna bez żadnych starań w tym kierunku kobieta wchodzili do pokoju, w którym stała trumna, wszyscy, którzy tam stali, siedzieli i kręcili się, nie wyłączając Mariny, bez szemrania, jak na komendę opuszczali pomieszczenie, usuwali się na bok, wstawali ze stojących pod ścianami krzeseł i stołków i tłocząc się wychodzili do przedpokoju, a mężczyzna i kobieta pozostawali sami za przymkniętymi drzwiami, jak dwoje wtajemniczonych, powołanych do tego, by bez żadnych przeszkód dokonać czegoś bezpośrednio związanego z pogrzebem i niezwykle ważnego. Tak było i teraz, gdy zostali sami, usiedli na stojących pod ścianą taboretach i zaczęli rozmawiać:

– Czego się pan dowiedział, Jewgrafie Andriejewiczu?

– Kremacja dziś wieczorem. Za pół godziny przyjadą po ciało ze związku pracowników służby zdrowia i odwiozą je do klubu związkowego. Na godzinę czwartą wyznaczona jest świecka ceremonia pogrzebowa. Ani jednego papieru nie miał w porządku. Książeczka pracy nie przedłużona, legitymacja związku zawodowego nie wymieniona na nową, składki nie płacone od kilku lat. Wszystko to musiałem uporządkować. Stąd ta mitręga i opóźnienie. Przed wyprowadzeniem zwłok – a to już niedługo, trzeba się przygotować – zostawię tu panią samą, tak jak pani prosiła. Przepraszam. Słyszysz pani? Telefon. Zaraz wracam.

Jewgraf Żywago wyszedł na korytarz, gdzie tłoczyli się nieznani mu koledzy doktora z pracy, ze szkoły, niższy personel medyczny i księgarze, i gdzie Marina z dziećmi, obejmując je rękoma i otulając połamami narzuconego płaszcza (dzień był chłodny i wiało ze schodów), siedziała na brzeżku ławy w oczekiwaniu, kiedy znowu otworzą drzwi, tak jakby przysłała na widzenie do więzienia i czekała, aż strażnik wpuści ją do rozmównicy. W korytarzu było ciasno. Część przybyłych nie mieściła się tutaj. Otwarto drzwi na schody. Mnóstwo osób stało, przechadzało się i paliło w przedpokoju i na klatce schodowej. Na schodach rozmawiano tym głośniej i swobodniej, im bliżej wyjścia na ulicę. Wytężając słuch w tym szmerze, Jewgraf przyciszonym głosem, jak tego wymagała sytuacja, rozmawiał przez telefon najprawdopodobniej o pogrzebie i okolicznościach śmierci doktora. Po chwili wrócił do pokoju i rozmowa potoczyła się dalej.

– Niech pani nie odchodzi zaraz po kremacji, Laryso Fiodorowno. Mam do pani wielką prośbę. Nie wiem, gdzie się pani zatrzymała. Proszę mi powiedzieć, gdzie mam pani szukać. Chcę się w najbliższym czasie, jutro albo pojutrze, zająć przejrzaniem papierów brata. Będę potrzebował pani pomocy. Pani tak dużo wie, na pewno więcej niż inni. Wspomniała pani, że wczoraj przyjechała z Irkucka na krótko i że weszła pani do tego mieszkania z innego powodu, przypadkowo, nie wiedząc ani o tym, że brat mieszkał tu przez ostatnie miesiące, ani o tym, co się stało. Nie wszystko zrozumiałem i nie proszę o wyjaśnienia, ale niech pani nie znika, nie znam pani adresu. Najwygodniej byłoby spędzić te kilka dni, poświęconych segregowaniu

papierów, pod jednym dachem albo w pobliżu, może w dwóch pokojach w tej kamienicy. To by się dało załatwić. Znam zarządcę.

– Mówi pan, że mnie nie zrozumiał. Co tu jest niezrozumiałego? Przyjechałam do Moskwy, zostawiłam rzeczy w poczekalni, idę przez starą Moskwę i połowy nie poznaję – zapomniałam. Idę i idę w dół Mostem Kuznieckim, wspinam się Kuznieckim zaułkiem i nagle coś nieprawdopodobnie, przerażająco znajomego: Kamerherski. Tutaj Antipow, mój mąż, którego rozstrzelano, wynajmował pokój w czasie studiów, właśnie ten pokój, w którym teraz siedzimy. Cóż, pomyślałam, zajrzę tam, może przy odrobinie szczęścia zastanę jeszcze przy życiu dawnych gospodarzy. O tym, że nie ma tu po nich śladu i że wszystko jest inaczej, dowiedziałam się przecież później, na drugi dzień i dzisiaj, stopniowo, wypytyując ludzi, ale przecież pan był przy tym, więc po co ja to opowiadam? To było jak grom z jasnego nieba: drzwi od ulicy otwarte na oścież, w pokoju pełno ludzi, trumna, w trumnie nieboszczyk. Jaki nieboszczyk? Weszłam, podchodzę, myślałam, że tracę rozum, że to sen, ale przecież pan był świadkiem, po co ja panu to opowiadam?

– Chwileczkę, Laryso Fiodorowno, muszę pani przerwać. Mówiłem już, że obaj z bratem nie mieliśmy pojęcia, ile dziwnych rzeczy wiąże się z tym pokojem. Na przykład, o tym, że mieszkał tu Antipow. Ale jeszcze bardziej mnie dziwi pewne sformułowanie, jakie się pani wymknęło. Zaraz powiem, o co mi chodzi, pani wybaczy. O Antipowie, który w swej działalności wojennej i rewolucyjnej występował jako Strielnikow, swego czasu, w początkach wojny domowej, wiele słyszałem, niemal codziennie, i raz czy dwa widziałem go osobiście, nie podejrzewając, jak dalece jest ze mną związany z przyczyn rodzinnych. Ale wybaczy pani, może się przesłyszałem, może mi się tylko zdawało, że pani to powiedziała, a jeżeli tak, to jest to pomyłka – „mój mąż, którego rozstrzelano”. To pani nie wie, że on się zastrzelił?

– Krąży taka wersja, ale ja w to nie wierzę. Paweł Pawłowicz nie był typem samobójcy.

– Ale to przecież najprawdziwsza prawda. Antipow zastrzelił się w domu, z którego, jak mi opowiadał brat, wyjechała pani do Juriatina, a dalej do Władywostoku. Było to wkrótce po pani wyjeździe z córką. Brat znalazł jego zwłoki i pochował go. Czy ta wiadomość nie dotarła do pani?

– Nie. Miałam inne informacje. A więc to prawda, że się sam zastrzelił? Mówiło mi to wiele osób, ale nie wierzyłam. W tym samym domu? To niemożliwe! Jakąż ważną rzecz mi pan mówi! Przepraszam, a nie wie pan, czy on i Żywago się spotkali? Rozmawiali?

– Nieboszczyk Jurij opowiadał, że mieli długą rozmowę.

– Naprawdę? Chwała Bogu! Tak jest lepiej. – Antipowa przeżegnała się wolno. – Jakież to niezwykle, zesłany przez Opatrzność zbieg okoliczności! Pozwoli pan, że jeszcze do tego wrócę i wypytam pana o wszystkie szczegóły? Każdy drobiazg jest mi tu drogi. Ale teraz nie czuję się na siłach. Prawda? Jestem zbyt zdenerwowana. Posiedzę chwilę w milczeniu, odpocznę, zbiorę myśli. Dobrze?

– Naturalnie, naturalnie. Bardzo proszę.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

– Ach, o mało nie zapomniałam! Prosił pan, żebym nie odeszła zaraz po kremacji. Dobrze. Obiecuję. Nie zniknę. Wrócę z panem do tego mieszkania i zostanę, gdzie pan zechce i jak długo będzie trzeba. Przejrzemy rękopisy Juroczki. Pomogę panu. Chyba naprawdę mogę się panu przydać. To będzie dla mnie taka pociecha! Czuję wszystkie pociągnięcia jego pióra całym sercem, każdym włókienkiem. Poza tym i ja mam do pana sprawę, może mi pan pomoże, prawda? Jest pan, zdaje się, prawnikiem, a w każdym razie świetnie pan zna wszystkie przepisy, dawne i obecne. Poza tym to bardzo ważne wiedzieć, do jakiej instytucji trzeba się zwracać po jakie zaświadczenie. A nie wszyscy się w tym orientują, prawda? Będę potrzebowała pańskiej rady w jednej strasznej sprawie, która mi ciąży. Chodzi o pewne dziecko. Ale to później, po powrocie z krematorium. Przez całe życie wciąż muszę kogoś szukać, prawda? Niech mi pan powie, gdyby na przykład trzeba było koniecznie odszukać ślady dziecka oddanego na wychowanie w obce ręce, czy istnieje jakiś ogólnokrajowy wykaz istniejących domów dziecka, czy przeprowadzano kiedyś powszechny spis czy rejestrację sierot, bieżących? Ale błagam, niech mi pan nie odpowiada teraz. Później, później. O, jakie to straszne. Straszne! Jaka to straszna rzecz życie, prawda? Nie wiem, jak będzie dalej, kiedy przyjedzie moja córka, ale na razie mogę pomieszkać w tym mieszkaniu. Katusza zaczęła zdradzać niezwykle talent, częściowo dramatyczny, ale również muzyczny, cudownie wszystkich naśladuje i odgrywa całe scenki własnego pomysłu, a oprócz tego śpiewa ze słuchu całe partie operowe, niezwykle dziecko, prawda? Chcę ją uczyć, zapisać na kursy przygotowawcze do szkoły teatralnej czy konserwatorium, zależy gdzie ją przyjmą, i umieścić w internacie, dlatego przyjechałam na razie sama, żeby wszystko pozłatwić, a potem wyjadę. Nie da się wszystkiego od razu opowiedzieć, prawda? Ale o tym później. Teraz postaram się uspokoić, pomilczę, zbiorę myśli, spróbuję zwalczyć obawy. Poza tym strasznie przetrzymaliśmy bliskich Jury w korytarzu. Dwa razy miałam wrażenie, że ktoś puka do drzwi. I słysząc tam jakiś ruch i hałas. Na pewno przyjechali z zakładu pogrzebowego. Posiedzę na razie i zastanowię się, a pan niech wpuści ludzi. Już czas, prawda? Zaraz, niech pan zaczeka. Trzeba by postawić ławeczkę przy trumnie, bo nie można nawet spojrzeć na Juroczkę, za wysoko. Próbowałam się wspiąć na palce, ale nic z tego. A będzie to przecież potrzebne Marinie Markielównie i dzieciom. A poza tym tego wymaga obrządek. „Dajcież mi ostatnie pocałowanie.” Och, nie mogę, już dłużej nie mogę. To tak boli. Prawda?

– Zaraz wszystkich wpuszczę. Ale najpierw jeszcze jedno. Powiedziała pani tyle zagadkowych rzeczy i poruszyła tyle problemów, które, zdaje się, panią dręczą, że mam kłopot z odpowiedzią. Chcę jednak, żeby pani wiedziała: z całego serca pragnę pani pomóc we wszystkich kłopotach. I proszę pamiętać: nigdy, w żadnym wypadku nie wolno wpadać w rozpacz. Mieć nadzieję i działać – oto nasz obowiązek w nieszczęściu. Bezczylna rozpacz to rezygnacja i złamanie obowiązku. Zaraz

wpuszczę wszystkich żałobników. Ma pani rację co do ławeczki. Wyszukam jakąś i postawię.

Ale Antipowa już nie słyszała. Nie słyszała, jak Jewgraf Żywago otworzył drzwi do pokoju i jak runął przez nie tłum z korytarza, nie słyszała jego rozmów z organizatorami pogrzebu i głównymi osobami ceremonii, nie słyszała szmeru kroków, łkania Mariny, pokastywania mężczyzn, kobiecego płaczu i okrzyków.

Kołowrót jednostajnych dźwięków przyprawiał ją o mdłości. Ze wszystkich sił starała się nie zemdlec. Serce jej się rozdzierało, głowa pękała z bólu. Z pochyloną twarzą zatopiła się w swych obawach, przewidywaniach, wspomnieniach. Była w nich tak pogrążona, jak gdyby przeniesiono ją na kilka godzin w jakieś przyszłe czasy, do których nie wiadomo czy dożyje, które postarzały ją o dziesiątki lat i czyniły staruszką. Zapuşciła się w swych rozmyślaniach w głąbię, na samo dno swego nieszczęścia. Myślała:

„Nikt już nie pozostał. Jeden umarł. Drugi sam się zabił. I pozostał przy życiu tylko ten, którego trzeba było zabić, do którego strzelałam, ale chybiłam, to obce, nikomu niepotrzebne zero, które zamieniło moje życie w łańcuch nie znanych mnie samej przestępstw. I ten potwór przeciętności włóczy się i miota po mitycznych zakamarkach Azji, znanych jedynie zbieraczom marek pocztowych, a nikogo z bliskich, tych, których potrzebuję, już nie ma.

Ach, przecież to w Boże Narodzenie, przed zaplanowanym zamachem na to podłe monstrum, rozmawiałam po ciemku z Paszą w tym pokoju, a Jury, którego tu teraz żegnają, nie było jeszcze w moim życiu.”

Zaczęła wyteżać pamięć, by odtworzyć ową świąteczną rozmowę z Paszeńką, ale nic nie mogła sobie przypomnieć oprócz świeczki, która paliła się na parapecie, i krążka roztającego szronu na szybie.

Czyż mogła przypuszczać, że ten leżący tu na stole zmarły widział to oczko przejeżdżając ulicą i zwrócił uwagę na świeczkę? I że ten dostrzeżony z ulicy płomień – „Świeca paliła się na stole, płonęła świeca”³³ – był początkiem jego życiowego przeznaczenia?

Myśli zaczęły się jej rozpraszać. Pomyślała: „Jaka to szkoda, że nie chowają go w cerkwi! Obrządek cerkiewny jest taki podniosły i uroczysty! Większość zmarłych wcale na to nie zasługuje. A Juroczka był taki szlachetny! Tak bardzo na to wszystko zasługiwał, tak bardzo był wart tego „żałosnego płakania, co tworzy pieśń Alleluja” „.

Poczuła przyływ dumy i ulgi, jak zawsze na myśl o Juriju i owych krótkich momentach wspólnego z nim życia. Ogarnął ją teraz powiew swobody i beztroski, jaki zawsze od niego emanował. Niecierpliwie podniosła się z taboretu. Działo się z nią coś dziwnego. Zapragnęła choćby na chwilę wyrwać się z jego pomocą na swobodę, na świeże powietrze z głębin oplątujących ją cierpień, poczuć jak niegdyś szczęście wyzwolenia. Takim szczęściem wydała się jej możliwość pożegnania się z

³³ przekład Seweryna Pollaka

nim, prawo oplakiwania go w samotności. Z namiętną niecierpliwością obrzuciła tłum bolesnym spojrzeniem nie widzących oczu, pełnych łez, piekących jak krople zapuszczone przez okulistę, i wszyscy poruszyli się, zaczęli wycierać nosy, usuwać się i wychodzić z pokoju. Wreszcie została sama za przymkniętymi drzwiami, przeżegnała się szybko, podeszła do trumny, wspięła się na przyniesioną przez Jewgrafa ławeczkę, powoli przeżegnała trzykrotnie ciało i przywarła ustami do zimnego czoła i dłoni. Nie poczuła, że wychłodłe czoło zmniejszyło się jakby, stało się jak zaciśnięta piastka, udało się jej tego nie zauważyć. Znieruchomiła i przez kilka chwil nie mówiła, nie myślała i nie płakała, okrywając trumnę, kwiaty i ciało całą sobą, głową, piersią, duszą i swymi dłońmi, wielkimi jak dusza,

15

Wstrząsały nią powstrzymywane łkania. Dopóki mogła, walczyła z nimi, ale nagle stawało się to ponad jej siły, i łzy oblewały jej policzki, suknię, ręce i trumnę, do której się tuliła.

Nic nie mówiła i nie myślała. Szeregi myśli, wspólnych pojęć, wiadomości i oczywistości same przez się mknęły, pędziły poprzez nią jak obłoki po niebie, jak w czasie ich dawnych nocnych rozmów. Oto, co dawało jej kiedyś szczęście i poczucie wyzwolenia. Wiedza nie umysłu, lecz serca, gorąca, przekazywana sobie nawzajem, instynktowna, spontaniczna.

Takiej wiedzy pełna była i teraz, ciemnej, niepojętej wiedzy o śmierci, gotowości do niej, odwagi. Jak gdyby już dwadzieścia razy żyła na świecie, wciąż traciła Jurija Żywagę i zebrała w sercu tyle doświadczenia, że wszystko, co odczuwała i robiła przy tej trumnie, było właściwe i na miejscu.

O, jakaż to była miłość, swobodna, niezwykła, do niczego nie podobna! Oboje myśleli tak, jak inni śpiewają.

Kochali się nie dlatego, że to było nieuniknione, nie był to „pożar zmysłów”, jak się to fałszywie określa. Kochali się dlatego, że tak chciało wszystko dokoła: Ziemia pod ich nogami, niebo nad głowami, obłoki i drzewa. Ich miłość podobała się otoczeniu być może jeszcze bardziej niż im samym. Nieznajomym na ulicy, otwierającym się przed nimi w czasie przechadzek dalom, pokojom, w których mieszkali i spotykali się.

Ach, to przecież to właśnie, to było najważniejsze, to ich zbliżało i jednoczyło. Nigdy, nigdy, nawet w chwilach największego, nieprzytomnego szczęścia nie opuszczało ich to, co najwznioślejsze i najbardziej porywające: zachwyt nad całym światem, poczucie wspólnoty z tym obrazem, przynależności do całego tego piękna, do całego wszechświata.

Żyli tylko poczuciem owej wspólnoty. I dlatego nie pociągało ich wywyższanie człowieka ponad resztę przyrody, modne cackanie się z nim i jego kult. Fałszywe społecznikostwo, przeistoczone w politykę, wydawało im się żalosną amatorszczyzną, rozumieli go.

Zacząła się z nim żegnać prostymi, zwykłymi słowami ożywionej, bezpośredniej rozmowy, rozsadzającej ramy rzeczywistości i pozbawionej sensu, tak jak nie mają sensu chóry i monologi tragedii, mowa wiązana, muzyka i inne umowności, usprawiedliwione tylko konwencjonalizmem przeżyć. Taką umownością, usprawiedliwiającą sztuczność tej lekkiej, improwizowanej rozmowy, były jej łyzy, w których tonęły, nurzały się i pływały owe codzienne, potoczne słowa.

Zdawało się, że te mokre od łez słowa same zlewają się w czuły, pośpieszny szept; tak szeleści wiatr jedwabistymi wilgotnymi liśćmi, potarganymi przez ciepły deszcz.

– I znów jesteśmy razem, Juroczka. Ale jak Bóg to zrządził! Co za okropność, pomyśl tylko! Och, nie mogę! Boże, Boże! Płacę i płacę! Pomyśl! Znowu coś w naszym stylu, z naszego arsenału. Twoje odejście, mój koniec. Znowu coś doniosłego, nieodwracalnego. Zagadka życia, zagadka śmierci, piękno geniuszu, piękno nagości, to tak, tośmy rozumieli. Ale drobne, modne sprzeczki na temat przeróbki kuli ziemskiej – to już nie było w naszym stylu.

Żegnaj, mój wielki i kochany, żegnaj, moja chlubo, żegnaj, moja bystra i głęboka rzeczulko, jakże kochałam twoje nieustanne pluskanie, jakże lubiłam się rzucać w twoje chłodne fale.

Pamiętasz, jak się z tobą żegnałam tam, w tych śniegach? Jak mnie oszukałeś? Przecież nie pojechałabym bez ciebie! O, ja wiem, wiem, że się do tego zmusiłeś, że zrobiłeś to dla mojego domniemanego dobra. I wtedy wszystko rozsypało się w gruzy. Mój Boże, co ja tam przeżyłam, co wycierpiałam! Ale ty przecież o niczym nie wiesz. O, co ja narobiłam, Jura, co ja narobiłam! Jestem taką zbrodniarką, że nawet sobie nie wyobrażasz, ale nie jestem winna. Wtedy trzy miesiące przeleżałam w szpitalu, a przez jeden byłam nieprzytomna. Od tego czasu nie ma dla mnie życia, Jura. Nie mogę sobie znaleźć miejsca z żalu i męki. Ale przecież nie mówię, nie wyznaję najważniejszego. Nie mogę tego powiedzieć, nie mam siły. Kiedy dochodzę do tego momentu mojego życia, włosy mi się jeżą na głowie ze zgrozy. I wiesz co, nie mogę zaręczyć, czy jestem zupełnie normalna. Ale widzisz, nie piję jak inne, nie wchodzę na tę drogę, bo pijana kobieta to już koniec, to coś nie do pomyślenia, prawda?

Mówiła coś jeszcze, szlochając w męce. Nagle ze zdziwieniem podniosła głowę i rozejrzała się. W pokoju już od dawna byli ludzie, zakłopotani, kręcący się. Lara zeszła z ławeczki i zataczając się odeszła od trumny; przeciągnęła dłonią po oczach jak gdyby wyżywała resztę nie wypłakanych łez, by strząsnąć je na podłogę.

Do trumny podeszli mężczyźni i podnieśli ją na trzech rękach. Zacząło się wprowadzenie.

Larysa Fiodorowna spędziła na Kamerherskim kilka dni. Rozpoczęte z jej udziałem porządkowanie papierów, o których rozmawiała z Jewgrafem Andriejewiczem, nie zostało doprowadzone do końca. Odbyła się rozmowa z Jewgrafem, o którą prosiła i z której Jewgraf dowiedział się ważnych rzeczy.

Pewnego dnia Larysa Fiodorowna wyszła z domu i więcej nie wróciła. Widocznie aresztowano ją na ulicy i umarła albo zaginęła bez wieści, zapomniana pod jakimś bezimiennym numerem w zaginionym później rejestrze, w jednym z niezliczonych ogólnych lub kobiecych obozów koncentracyjnych Północy.

Część szesnasta

Epilog

1

Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku po przełamaniu frontu na Łuku Kurskim i wyzwoleniu Orła wracali z Moskwy, każdy oddzielnie, do swej macierzystej jednostki, niedawno awansowany na młodszego lejtnanta Gordon i major Dudorow, pierwszy z delegacji służbowej, drugi zaś z trzydniowego urlopu.

Spotkali się w drodze i zanocowali w Czerni, małym miasteczku, co prawda zrujnowanym, ale nie unicestwionym całkowicie, jak większość miejscowości w tej „pustynnej strefie”, startych z powierzchni ziemi przez cofającego się nieprzyjaciela.

W ruinach miasta, wśród stosów pokruszonych cegieł i startego na proch żwiru znaleźli nie uszkodzoną stodołę i ulokowali się w niej wieczorem.

Nie mogli spać. Przegadali całą noc. O świcie, koło trzeciej, Dudorowowi udało się zdrzemnąć, ale obudziła go krzątająca Gordona. Niezręcznymi ruchami, jak w wodzie, nurkując i zapadając się w miękkim sianie, Gordon związywał w tłumoczek jakieś manatki, potem równie niezgrabnie zaczął się zsuwać ze szczytu stogu na próg stodoły, do wyjścia.

– Gdzie się wybierasz? Jeszcze wczesnie.

– Pójdę nad rzeczkę. Chcę sobie coś wyprać.

– Wariat. Wieczorem będziemy już w jednostce i bieliźniarka Tania wyda ci zmianę bielizny. Co, nie wytrzymasz?

– Nie chcę czekać. Wszystko przepocone, znoszone, Ranek jest gorący. Przepiorę na chybicka, dobrze wykręcę i migiem wyschnie na słońcu. Wykąpię się i przebiorę.

– Przyznasz jednak, że to jakoś nie wypada. Jesteś bądź co bądź oficerem.

– Jest wczesnie. Wszyscy naokoło śpią. A ja się schowam gdzieś za krzaczkiem. Nikt mnie nie zobaczy. A ty śpij, nie gadaj, bo się wybijesz ze snu.

– I tak już nie zasnę. Pójdę z tobą.

I ruszyli nad rzeczkę obok białych kamiennych ruin, które już się zdażyły nagrzać na słońcu. Pośrodku nie istniejących ulic, na spiekocie, spali na ziemi, spoceni, chrapiący, rozczervenieni ludzie. Byli to przeważnie tutejsi, którzy pozostali bez dachu nad głową, starcy, kobiety i dzieci, rzadziej – czerwonooarmiści, którzy pozostali w tyle i teraz w pojedynkę doganiali swe oddziały. Gordon i Dudorow stąpali pomiędzy śpiącymi ostrożnie, wciąż patrząc pod nogi, by na nich nie nadepnąć.

– Mów ciszej, bo obudzimy całe miasto, a wtedy mogę się pożegnać z praniem.

Półgłosem ciągnęli przerwana w nocy rozmowę.

– Co to za rzeka?

– Nie wiem. Nie pytałem. Chyba Zusza.

– Nie, to nie Zusza. Jakaś inna.

– No to nie wiem.

– Przecież to wszystko stało się nad Zuszą. Z Krystyną.

– Tak, ale w innym miejscu. Gdzieś w dole rzeki. Podobno cerkiew przyjęła ją w poczet świętych.

– Była tam kamienna budowla, którą zaczęto nazywać „Stajnią”. Rzeczywiście, była to stajnia sowchozu, w którym hodowano konie. Rzeczownik pospolity, który stał się rzeczownikiem własnym, nazwą historyczną. Stary budynek o grubych murach. Niemcy umocnili go i zamienili w niezdobytą twierdzę. Widać z niego było świetnie całą okolicę, co utrudniało nam natarcie. Stajnię trzeba było zdobyć. Krystyna, dokonując cudów odwagi i pomysłowości, przedostała się na niemieckie pozycje, wysadziła stajnię. Złapali ją i powiesili.

– Ale dlaczego Krystyna Orlecowa, a nie Dudorowa?

– Przecież nie byliśmy jeszcze małżeństwem. Latem czterdziestego pierwszego przyrzekliśmy sobie, że się pobierzemy po zakończeniu wojny. Potem koczowałem razem z całą armią. Moją jednostkę wciąż przenoszono. I przez te przemieszczenia straciłem Krystynę z oczu. Więcej jej nie zobaczyłem. O jej mężnym czynie i bohaterskiej śmierci dowiedziałem się, jak wszyscy, z gazet i rozkazów. Podobno gdzieś tutaj mają jej postawić pomnik. Brat nieboszczyka Jurija, generał Żywago, jak słyszałem, objeżdża te okolice i zbiera o niej informacje.

– Przepraszam cię, że zacząłem tę rozmowę. To musi być dla ciebie bolesne.

– Nie o to chodzi. Ale zagadaliśmy się. Nie chcę ci przeszkadzać. Rozbieraj się, włącz do wody i bierz do roboty. A ja się wyciągnę na brzegu z trawką w zębach, pożuję, porozmyślam i może się zdrzemnę.

Po jakimś czasie Dudorow odezwał się znowu.

– Gdzie się tak nauczyłeś pracować?

– Bieda to najlepszy nauczyciel. Nie mieliśmy szczęścia. Trafiliśmy do najstraszniejszego z obozów karnych. Tylko nieliczni przeżyli. Już na samym początku. Wyprowadzono partię z wagonu. Śnieżna pustynia. W oddali las. Straż, opuszczone lufy karabinów, owczarki. Mniej więcej w tym samym czasie przygnano inne nowe grupy. Ustawili nas w ogromny wielokąt na całym polu, plecami do środka, żebyśmy się nawzajem nie widzieli. Kazali uklęknąć i pod groźbą rozstrzelania nie rozglądać się na boki. Rozpoczęła się nieskończona, trwająca długie godziny procedura odliczania. I ciągle na kolanach. Potem wstaliśmy, inne partie rozprowadzono do wyznaczonych punktów, a nam oznajmiono: „Tu jest wasz obóz. Urządźcie się, jak potraficie.” Śnieżne pole pod gołym niebem, pośrodku słup, na słupie napis: „Gułag 92 J N 90” i nic więcej.

– No, u nas było łzej. Mieliśmy szczęście. Odsiadywałem drugi wyrok, który był rezultatem pierwszego. Poza tym i paragraf był inny, i warunki. Po wyjściu na wolność znów mnie zrehabilitowano, jak za pierwszym razem, i znów mi pozwolono wykładać na uniwersytecie. I na wojnę mnie zmobilizowano z pełnymi prawami majora, a nie, jak ciebie, do oddziałów karnych.

– Tak. Słup z napisem „Gułag 92 J N 90” i nic więcej. Na początku w mróz gołymi rękami łamaliśmy gałęzie na szałas. I nie uwierzysz, ale powoli sami się pobudowaliśmy. Postawiliśmy sobie baraki, ogrodzenie, zbudowaliśmy karcery, wieże strażnicze – wszystko sami. I zaczął się wyrąb. Ścinaliśmy drzewa. Po ośmiu wprzęgaliśmy się do sanek, woziliśmy pnie, po pierś zapadając się w śnieg. Długo nie wiedzieliśmy, że wybuchła wojna. Ukrywano to przed nami. I nagle – propozycja. Na ochotnika na front do batalionów karnych, a kto wyjdzie cało ze wszystkich bitew – będzie wolny. A potem ataki i ataki, kilometry kolczastego drutu pod prądem, miny, moździerze, całe miesiące huraganowego ognia. Nie bez powodu nazywano żołnierzy z naszych batalionów skazańcami. Kładło nas pokotem. Jak ja wyżyłem? Jak wyżyłem? Ależ wyobraź sobie, że to krwawe piekło było rajem w porównaniu z okropnościami obozu, i to wcale nie z powodu warunków, ale z zupełnie innej przyczyny.

– Tak, bracie, nacierpiałeś się.

– Tam się nauczysz nie tylko prac, ale wszystkiego, co zechcesz.

– Dziwna rzecz. Wojna nie tylko dla katorżników, nie tylko w zestawieniu z całym minionym życiem lat trzydziestych, nawet dla tych, którzy byli na wolności, którzy szczęśliwie uprawiali działalność naukową pośród książek, w dobrobycie i wygodach, była oczyszczającą burzą, strumieniem świeżego powietrza, powiewem wybawienia.

Myślę, że kolektywizacja była krokiem fałszywym, nieudanym, i że do tego błędu nie wolno się było przyznać. Aby ukryć to niepowodzenie, musiano za pomocą wszelkich środków zastraszenia oduczyć ludzi samodzielnego myślenia, zmusić ich, by widzieli rzeczy nie istniejące i udowadniali nieprawdziwe teorie. Stąd bezprzykładne okrucieństwo jeżowszczyzny³⁴, ogłoszenie konstytucji, która nigdy nie miała być przestrzegana, wprowadzenie wyborów, nie dających możliwości wyboru.

I kiedy się rozpętała wojna, jej rzeczywiste okropności, realne niebezpieczeństwo i groźba realnej śmierci były dobrodziejstwem w porównaniu z nieludzką tyranią fikcji i przynosiły ulgę, albowiem ograniczały czarnoksiężską moc martwej litery.

Ludzie, nie tylko ci, którzy jak ty byli na katordze, ale absolutnie wszyscy, na tyłach i na froncie, odetchnęli swobodniej, pełną piersią, i w upojeniu, z uczuciem prawdziwego szczęścia rzucili się w wir groźnej walki, śmiertelnej i zbawiennej.

³⁴ Mikołaj Jeżow (1895-1940) – od 1936 r. komisarz spraw wewnętrznych, bezpośredni wykonawca poleceń Stalina w czasie największej fali terroru, zwanego od jego nazwiska „jeżowszczyzną”. (Przyp. tłum.)

Wojna to szczególne ogniwo w łańcuchu rewolucyjnych dziesięcioleci. Przestały działać przyczyny, leżące bezpośrednio w naturze przewrotu. Ujawniły się skutki uboczne, owoce owoców, rezultaty rezultatów, objawiły się zahartowane klęskami charaktery, ludzie nie zepsuci, bohaterscy, gotowi do czynów wielkich, desperackich, niezwykłych. Są to cechy bajeczne, oszałamiające, i one właśnie stanowią o moralnym obliczu pokolenia.

Obserwacje te napełniają mnie szczęściem pomimo męczeńskiej śmierci Krystyny, moich ran, naszych strat, mimo całej tej wysokiej, krwawej ceny wojny. Znieść ciężar śmierci Krystyny pomaga mi blask ofiarności, który rozświetla jej zgon i życie każdego z nas.

Właśnie wtedy, kiedy ty, biedaku, znosiłeś nieustanne męki, ja wyszedłem na wolność. Orlecowa w tym czasie wstąpiła na wydział historyczny. Z uwagi na swe zainteresowania naukowe znalazła się pod moim kierownictwem. Już dawniej, w czasie pierwszego pobytu w obozie koncentracyjnym, kiedy była dzieckiem, zwróciłem uwagę na tę niezwykłą dziewczynę. Jeszcze za życia Orlecowa, pamiętasz, opowiadałem ci. No a teraz została moją studentką.

Właśnie wtedy wszedł w modę zwyczaj krytykowania wykładowców przez studentów. Orlecowa chwyciła się tego z zapalem. Bóg jeden wie, za co z taką zaciekłością się na mnie rzuciła. Jej ataki były tak uparte, wojownicze i niesprawiedliwe, że pozostali studenci czasem stawali w mojej obronie. Orlecowa miała niezwykły dar satyryczny. Pod wymyślonym nazwiskiem, pod którym wszyscy mnie poznawali, wyśmiewała mnie ile dusza zapragnie w gazetce ściennej. Nagle, zupełnie przypadkowo, wyjaśniło się, że ta ciągła wrogość jest formą skrywania młodzieńczej miłości, trwałej, nie wyznanej i dawnej. Ja zawsze odpowiadałem jej wzajemnością.

Przeżyliśmy cudowne lato w czterdziestym pierwszym, w pierwszym roku wojny, tuż przed jej wybuchem i zaraz potem. Kilkoro młodzieży, studenci i studentki, ona również, zamieszkało w miejscowości letniskowej pod Moskwą, gdzie potem została rozlokowana moja jednostka. Nasza miłość zawiązała się i upływała w czasie szkolenia wojskowego młodzieży, formowania podmiejskich oddziałów obrony cywilnej, treningów spadochronowych Krystyny, nocnego odpierania z dachów moskiewskich domów pierwszych niemieckich nalotów. Mówiłem ci już, że zaręczyliśmy się wtedy i wkrótce zostaliśmy rozdzieleni, gdyż otrzymałem przeniesienie. Więcej jej nie widziałem.

Kiedy nasze sprawy przyjęły pomyślny obrót i Niemcy zaczęli się poddawać całymi tysiącami, po dwóch ranach i dwukrotnym pobycie w szpitalu zostałem przeniesiony z artylerii przeciwlotniczej do siódmego oddziału sztabu, gdzie byli potrzebni ludzie ze znajomością języków obcych. Starłem się, by przeniesiono tam i ciebie, gdy cię wreszcie wydobyłem jak z morskich odmętów.

– Bieliźniarka Tania dobrze знаła Orlecową. Spotkały się na froncie i zaprzyjaźniły. Dużo opowiada o Krystynie. Zauważyłeś, jak ona się uśmiecha, szeroko, całą twarzą, zupełnie jak Jurij? W tym uśmiechu znika zadarty nos,

wystające kości policzkowe, i jej twarz staje się ładna, pociągająca. To ten sam typ urody, bardzo u nas popularny.

– Wiem, o co ci chodzi. Możliwe. Nie zwróciłem uwagi.

– I cóż to za barbarzyńskie wstrętne przezwisko: Tańka Biezoczeriedowa³⁵. To na pewno nie jest nazwisko, tylko coś zmyślonego, przekręconego. Jak sądzisz?

– Ona to przecież wyjaśniała. Pochodzi z biezprizornych, jest dzieckiem nieznanymi rodziców. Pewnie gdzieś w głębi kraju, gdzie język jest jeszcze czysty i nieskażony, nazywali ją „Biezotczaja”, gdyż ojciec był nieznanym. Ulica, dla której to przezwisko było niezrozumiałe, i która wszystko chwyta ze słuchu i przekręca, przerobiła po swojemu to określenie nadając mu znaczenie bardziej zrozumiałe w ulicznym żargonie.

3

Było to w zrujnowanym całkowicie mieście Karaczajewie, wkrótce po noclegu Gordona i Dudorowa w Czerni i po ich nocnej rozmowie. Przyjaciele, dopędzając swą armię, zastali tu jakieś jej tyły, podążające za głównymi siłami.

Już ponad miesiąc utrzymywała się bez przerwy ładna, słoneczna pogoda. Jesień była upalna. Pod rozpalonym bezchmurnym, błękitnym niebem czarna, urodzajna ziemia Briańszczyzny, szczęśliwej krainy leżącej między Orłem i Briańskiem, opalała się w słońcu na czekoladowo-kawowy odcień.

Prosta główna ulica przecinająca miasto łączyła się z szosą. Po jednej jej stronie leżały zburzone domy, zamienione przez bomby w kupy gruzów, i wyrwane z korzeniami, połamane, osmalone drzewa zrównanych z ziemią owocowych sadów. Po drugiej stronie drogi ciągnęły się pustkowia, być może i dawniej, niezbyt gęsto zabudowane. Może też oszczędziły jej pożary i miny, gdyż nie było tu czego niszczyć.

Po stronie dawniej zabudowanej bezdomni mieszkańcy grzebali w nie dopalonych gruzach, coś odkopywali i znosili z dalszych krańców pogorzelska w jedno miejsce. Inni kopali sobie prowizoryczne ziemianki i wycinali darń, by obłożyć je z wierzchu.

Po przeciwnej stronie białe namioty i tłoczyły się ciężarówki i furgony konne rozmaitych służb drugiego eszelonu, oderwane od swych sztabów dywizyjnych szpitale polowe, zabłąkane, wystraszone i poszukujące się nawzajem oddziały rozmaitych taborów, intendentury i magazynów prowiantowych. Tutaj wypróżniały się, posilały i odsypiały przed dalszą drogą na zachód chude, wątłe wyrostki z uzupełnienia, w szarych furazerkach, z ciężkimi szarymi płaszczami zwiniętymi w rulony, o przepitych, ziemistych, wymizerowanych przez dyzenterię twarzach.

Na pół obrócone w popiół i zburzone miasto nadal płonęło i wylaływało w powietrze gdzieś dalej, tam gdzie leżały miny z opóźnionym zapłonem. Co chwila

³⁵ Biezoczeriedowaja (ros.) – nie mająca miejsca w kolejce.

gmerający w sadach ludzie przerywali pracę, czując drżenie ziemi pod nogami, prostowali zgięte grzbiety, odwracali głowy w kierunku wybuchu i, wsparci na łopatach, odpoczywali, długo spoglądając w tamtą stronę.

Tam zaś, najpierw słupami i fontannami, a potem leniwymi, ociążałymi kłębami wzbijały się ku niebu szare, czarne, ceglastoczerwone i ognisto-dymne chmury gruzu, rozpływały się, rozpościerały w pióropusze, rozwiewały, osiadały z powrotem na ziemi i ludzie znów zabierali się do pracy.

Jedna z polan po nie zabudowanej stronie drogi otoczona była krzakami i tonęła w cieniu rosnących za nią starych drzew. Dzięki owej roślinności polana wyróżniała się od otoczenia niby położone na uboczu i pogrążone w chłodnym cieniu stare kryte podwórze.

Na polanie bieliźniarka Tania wraz z dwoma czy trzema żołnierzami z tego samego pułku i kilkoma innymi, którzy chcieli się zabrać razem, oraz Gordon i Dudorow od rana czekali na ciężarówkę, którą miano wysłać po Tanię i powierzony jej dobytek pułku. Dobytke ten mieścił się w kilku skrzyniach, ustawionych w stos na polanie. Tania pilnowała ich i krokiem się stamtąd nie ruszała, ale i inni trzymali się w pobliżu, by nie przegapić okazji wyjazdu, kiedy się nadarzy.

Czekali już z górą pięć godzin i z braku innego zajęcia słuchali nieustannej paplaniny gadatliwej dziewczyny, która wiele w życiu przeszła. Właśnie opowiadała o swym spotkaniu z generałem-majorem Żywagą.

– A jakże. To było wczoraj. Zaprowadzili mnie do samego generała. Do generała-majora Żywagi. Jest tu przejazdem w sprawie Krystyny, dowiadywał się, wypytywał, naocznych świadków, którzy ją osobiście znali. Powiedzieli mu o mnie. Że to byłyśmy przyjaciółkami. Kazał mnie wezwać. No to mnie przyprowadzili. Wcale niestraszny. Nic specjalnego, taki jak wszyscy. Oczy skośne, czarny. Powiedziałam, co wiedziałam. Wysłuchał mnie i mówi „dziękuję”. A ty skądeś, pyta, jak się nazywasz? Ja oczywiście się wykręcłam, tak i siak. Czym się tu chwalić? Biezprizorna. I w ogóle. Sami wiecie. Domy poprawcze, włóczegostwo. A on nic, tylko wał, mówi, bez krępacji, czego się tu wstydzisz. Ja najpierw nieśmiało jedno słówko, dwa, trzy, on kiwa głową. Nabrałam odwagi. A mam co opowiadać. Jak byście usłyszeli, to byście nie uwierzyli, powiedzielibyście, że zmyślam. No i on tak samo. Jak skończyłam, wstał, chodzi po izbie z kąta w kąt. Popatrz, powiada, jakie to dziwy. I jeszcze mówi: wiesz co, teraz nie mam czasu, ale ja cię znajdę, nie bój się, znajdę, i jeszcze raz cię wezwę. Po prostu się nie spodziewałem, że coś takiego usłyszę. Nie zostawię cię tak, powiada. Trzeba będzie jeszcze coś niecoś wyjaśnić, niektóre szczegóły. Bo nie wiadomo, powiada, czy nie zostanę twoim stryjkiem, czy nie zrobię z ciebie generalskiej bratanicy. Oddam cię na naukę i na uczelnię, na jaką zechcesz. Jak Boga kocham, tak mówił. Żarty sobie stroił!

W tej chwili na polanę wjechała pusta furmanka o wysokich bokach; takimi furmankami w Polsce i zachodniej Rosji wozi się snopy. Parą koni w dyszlowej uprzęży powoził wojskowy, zwany w dawnej terminologii furlejtem, żołnierz z taboru konnego. Wjechał na polanę, zeskoczył z wozu i zaczął wyprzęgać konie. Wszyscy prócz Tatiany i kilku żołnierzy obstąpili go, prosząc, by nie wyprzęgał i

podwiózł ich, gdzie mu wskażą, oczywiście za opłatą. Żołnierz odmówił, gdyż nie miał prawa rozporządzać końmi i furmanką i musiał wykonywać otrzymane rozkazy. Poprowadził gdzieś wyprężone konie i więcej się nie pokazał. Wszyscy wstali z ziemi i przenieśli się na pustą podwoję. Tatiana wróciła do swej opowieści, przerywanej przybyciem wozu i rozmowami z woźnicą.

– Czy możesz nam powtórzyć – zapytał Gordon – co opowiedziałaś generałowi.

– Czemu nie, mogę.

I opowiedziała im swoją straszną historię.

4

– Naprawdę mam co opowiadać. Podobno nie pochodzę z prostej rodziny. Czy mi to mówili obcy ludzie, czy sama to czułam w sercu, w każdym razie wiem, jakoby moja mamusia, Raisa Komarowa, była żoną towarzysza Komarowa, rosyjskiego ministra, co się ukrywał w Białej Mongolii. Coś mi się tak wydaje, że ten Komarow nie był moim rodzonym ojcem. Oczywiście, jestem dziewczyna nieuczona, rosłam jak sierota, bez mamy i taty. Może to dla was śmieszne, co mówię, ale gadam, co wiem, musicie się postawić na moim miejscu.

Tak, no więc wszystko to, co wam dalej opowiem, działo się za Kruszycami, na drugim końcu Syberii, po tamtej stronie kozaczyzny, niedaleko granicy chińskiej. Kiedyśmy zaczęli, to znaczy nasi czerwoni, podchodzić do ichniego głównego białego miasta, ten cały Komarow, minister, wsadził mamusię z całą ichnią rodziną do specjalnego pociągu i kazał jechać, bo mamusia była wystraszona i kroku nie śmiała bez niego zrobić.

A o mnie ten Komarow to nawet nie wiedział. Nie wiedział, że jestem na świecie. Mamusia mnie urodziła, jak się na długo rozstali, i umierała ze strachu, żeby się kto przed nim o tym nie wygadał. On strasznie nie lubił dzieci i krzyczał, i tupał nogami, że to tylko brud w domu i bałagan. Ja, krzyczał, tego nie mogę wytrzymać.

No więc, jak czerwoni zaczęli podchodzić, mamusia posłała po dróżnikową Marfę na stację Nagorna, o trzy przystanki od miasta. Zaraz to wytłumaczę. Najpierw stacja Nizowa, potem rozjazd Nagorna, a potem przystanek Samsonowski. Teraz tak sobie myślę, że skąd mamusia wystraszyła tę dróżnikową? Widać Marfa handlowała w mieście zieleniną, woziła mleko. Tak.

No i powiem wam, że czegoś tu nie wiem, ale chyba mamusię oszukali, powiedzieli jej nie tak. Zapisali Bóg wie co, że to niby na razie, na dwa dni, póki się to zamieszanie nie uspokoi. A nie, żeby w obce ręce na zawsze. Na zawsze na wychowanie. Przecież mamusia nie mogłaby tak oddać rodzonego dziecka.

Wiadoma rzecz, jak się to dzieciakowi mówi. Idź do cioci, ciocia da piernika, ciocia jest dobra, nie bój się cioci. A jak potem zalewałam się łzami, jak mi się serduszko dziecinne krajało, o tym lepiej nie wspominać. Chciałam się powiesić, taki dzieciak, a o mało nie zwariowałam. Przecież byłam jeszcze mała. Pewnie dali cioci Marfuszcy pieniądze na moje wyżywienie, dużo pieniędzy.

Zagroda przy stacji była bogata, krowa i koń, rozmaity drób, rozumie się, ziemię pod ogród dzierżawili ile chcąc, oczywiście darmowe mieszkanie, stróżówka państwowa przy samych torach. Z mojego rodzinnego miasta, z dołu, pociąg ledwie, ledwie się wdrapywał, wjeżdżał po stromiźnie, a od was, z Rosji, tak się rozpędzał, że musiał hamować. Jesienią, kiedy las się robił rzadszy, widać było w dole stację Nagorna jak na dłoni.

Gospodarza, wujka Wasilija, nazywałam, jak to na wsi, tatkiem. Dobry był człowiek, wesoły, tylko za bardzo wszystkim wierzył, i jak się upił, to wrzask o sobie podnosił na całą okolicę, przed pierwszym napotkanym człowiekiem całą duszę otwierał.

A do dróżnikowej to mi czasem słowo „mama” przez gardło nie chciało przejść. Może swojej mamusi nie mogłam zapomnieć, a może dlatego, że ciotka Marfusza była taka straszna. Tak. No więc mówiłam do niej „ciociu Marfuzo”.

No i czas płynął. Minęły lata. Ile, nie pamiętam. Zaczęłam wychodzić z chorągiewką do pociągów. Nie dziwota mi było konia wyprząc albo po krowę pójść na pastwisko. Ciocia Marfusza uczyła mnie prażyć. A już o chałupie to szkoda gadać. Podłogę zamieść, posprzątać, coś ugotować, ciasto zamiesić, to było dla mnie głupstwo, wszystko umiałam. Aha, zapomniałam powiedzieć. Niańczyłam Pietieńkę, nasz Pietieńka miał uschnięte nóżki, trzy latka, a leżał, nie chodził, no więc go niańczyłam. I chociaż minęło już tyle lat, jeszcze teraz ciarki mi chodzą po plecach, kiedy sobie wspomnę, jakim złym okiem patrzyła ciocia Marfusza na moje zdrowe nogi, że niby czemu nie są uschnięte, lepiej, żebym ja miała uschnięte nogi niż Pietieńka. Całkiem jakbym ja urzekła, popsuka Pietieńkę, pomyśleć tylko, jak to bywa na świecie złość i ciemnota.

A teraz słuchajcie: Na razie to było jeszcze nic, ale jak usłyszycie, co było dalej, to się dopiero zdziwicie.

Był wtedy NEP, tysiąc rubli chodziło za kopiejkę. Wasilij Afanasiewicz sprzedał krowę, wziął dwa worki pieniędzy – nazywały się kierenki, nie przepraszam, limony, nazywały się limony – upił się i poszedł trąbić po całej Nagornej o swoim bogactwie.

Pamiętam, był wietrzny dzień, jesienny wicher zrywał dach i walił z nóg, parowozy nie mogły wjechać pod górę, bo wiatr wiał im z przeciwka. Widzę, idzie z góry staruszka pątniczka, wiatr jej szarpie chustę i spódnice.

Idzie ta staruszka, i jęczy, za brzuch się trzyma, poprosiła, żeby ją wpuścić do domu. Położyli ją na ławie, a ona krzyczy, oj, nie mogę, brzuch mam chore, już śmierć nade mną. I prosi: odwiedźcie mnie, na rany Chrystusa, do szpitala, zapłacę, nie pożaluję pieniędzy. Zaprzągnął tatko Udałego, położył staruszkę na furze i wiózł do szpitala ziemskiego, w bok od naszej linii piętnaście wiorst.

Minęło czasu mało wiele, kładziemy się z cocią Marfuzą spać, słyszemy, zarżał pod oknem Udały, wjeżdża na podwórze nasza fura. Coś mocno za wcześnie. No nic. Rozdmuchała ciocia Marfusza ogień w piecu, kaftanik narzuciła, nie czeka, aż tatko do drzwi zapuka, sama otwiera z haczyka.

Zdejmuje haczyk, a na progu wcale nie tatko, ale obcy chłop czarny i straszny, i mówi: „Pokaż, gdzie pieniądze za krowę. Ja, powiada, w lesie twojego chłopca zaciukałem, a ciebie, babo, pożałuję, jeżeli powiesz, gdzie są pieniądze. A jak nie powiesz, to sama rozumiesz, trudna rada. Lepiej się pośpiesz. Nie mam czasu się tu z tobą patyczkować.”

Oj, święci Pańscy, towarzysze kochani, postawcie się tylko na naszym miejscu, co się z nami działo! Dygoczymy całe, ani żywe, ani umarłe, język kołkiem stanął ze strachu, okropność! Po pierwsze Wasilija Afanasiewicza zabił, sam mówił, że go zarąbał siekierą. A po drugie: same jesteśmy z bandytą w stróżówce, bandyta w domu, prawdziwy bandyta.

A tu cici Marfuszcy widać rozum odebrało, serce jej pęka po mężu, a trzeba się trzymać, nic po sobie nie pokazywać.

Ciocia Marfusza najpierw upadła mu do nóg. Zmiłuj się, prosi, nie gub mnie, nie wiem, pojęcia nie mam, jakie pieniądze, o czym ty mówisz, pierwsze słyszę. Ale ten przeklętnik nie taki głupi, żeby dać się zagadać. I nagle przyszło jej do głowy, jak go przechytryć. „Dobra, powiada, niech ci będzie. Pod podłogą utarg schowany. Ja podniosę klapę, a ty włącz do piwniczki.” A ten diabeł wszystkie te podstępki widzi na wylot. „Nie, powiada, tyś gospodyni, tobie pójdzie łatwiej. Włącz sama. Włącz choćby pod podłogę, choćby na dach, bylebym dostał pieniądze. Tylko uważaj, powiada, nie kręć, bo ja żartów nie lubię.”

A ona na to: „Bóg z tobą, czemu mi nie wierzysz? Chciałabym wleźć sama, ale nie dam rady. Lepiej ci z góry poświęcę. Nie bój się, dla pewności razem z tobą zejdzie na dół moja córka”, to jest ja.

Oj, towarzysze kochani, pomyślcie tylko, co się ze mną działo, jakem to usłyszała! No to koniec, myślę. W oczach mi pociemniało, czuję, że padam, nogi mi się uginają.

Ale ten drań nie był głupi, zerknął na nas jednym okiem, przymrużył je i uśmiecha się krzywo od ucha do ucha, że to niby nie da się nabrać. Zobaczył, że jej mnie nie żal, to myślał, że widać nie rodzona, obca krew, i łaps Pietieńkę na rękę, drugą ręką za klamrę, otwiera klapę – świeć, powiada, i dawaj z Pietieńką po schodkach pod ziemię.

Tak sobie teraz myślę, że ciocia Marfusza już wtedy sfiksowała, niczego nie rozumiała, rozum się jej pomieszał. Jak tylko ten bandyta z Pietieńką zniknął pod podłogą, ona klapę buch nazad zamknęła, i na kłódkę, i wielgachny kufer nasuwa na klapę, i na mnie kiwa, żeby jej pomóc, bo ciężko. Przesunęła, siadła na kufrze, i siedzi zadowolona. Jak tylko usiadła, ze środka bandyta zaczyna krzyczeć i w podłogę stuk-stuk, wypuść mnie po dobroci, bo twojego Pietieńkę wykończę. Słów przez grube deski nie słyhać, ale sens jasny. Ryczy gorzej niż leśna bestia, aż strach. Tak, krzyczy, zaraz zrobię koniec z twoim Pietieńką. A ona nic nie rozumie. Siedzi, śmieje się, mruga do mnie. Gadaj sobie zdrów, a ja siedzę na kufrze i klucze mam w garści. Ja się zwijam, proszę. W uszy cici Marfuszcy wrzeszczę, spycham ją z kufra. Trzeba piwnicę otworzyć, Pietieńkę ratować. Ale gdzie mi tam! Nie mogę sobie z nią poradzić!

On stuka w podłogę, stuka, czas leci, a ona siedzi na kufrze, oczami przewraca, nie słucha.

Po jakimś czasie – oj Boże miły, wszystkiego ja się w życiu napatrzyłam, nacierpiałam, ale tego okropieństwa nie zapomnę, póki życia, sto lat będę żyć i sto lat będę słyszeć żałosny głosik Pietieńki – zakrzyczał, zajęczał spod ziemi Pietieńka, anielska duszyczka, przecież ten przeklętnik zagryzł go na śmierć.

No i co, co ja mam teraz począć, myślę, co mam zrobić z oszalałą kobietą i tym zbójem, mordercą? A czas leci. Właśnie to pomyślałam, a tu słyszę, pod oknem zarżał Udały. Cały czas stał tam nie wyprzężony. Tak. Zarżał, jakby chciał powiedzieć: chodź, Taniusza, pojedziemy po dobrych ludzi, sprowadzimy pomoc. Patrzę, zaraz będzie świtać. Niech będzie, jak chcesz, myślę, dzięki ci, Udały, za radę – masz rację, jedziemy. I tylko zdążyłam tak pomyśleć, a tu słyszę, jakby ktoś do mnie wołał z lasu: „Zaczekaj, Taniusza, nie śpiesz się, my to inaczej załatwimy.” I znowu nie jestem sama w lesie. I całkiem jakby to nasz kogut zapiał, zagwizdał do mnie znajomy parowóz, znałam jego gwizd, stał zawsze w Nagornej pod parą, nazywali go popychacz, bo popychał towarowe, jak wjeżdżały pod górę, a to jechał pociąg mieszany, co noc akurat w tym czasie przejeżdżał – no więc słyszę, że z dołu woła mnie znajomy parowóz. I aż mi serce skacze. Czy ja też, myślę, jak ciocia Marfusza, rozum straciłam, że każda niema maszyna rozmawia ze mną ludzkim głosem?

Ale co to się zastanawiać, pociąg już blisko, nie ma co myśleć. Złapałam latarnię, bo jeszcze się nie za bardzo rozwidniło, i jak oparzona na tory, na sam środek, stoję między szynami i macham latarnią w górę i w dół.

Co tu dalej mówić. Zatrzymałam pociąg. Był wiatr, więc na szczęście szedł wolniutko, po prostu krok za krokiem. Zatrzymałam pociąg, znajomy maszynista wychylił się przez okienko, pyta o coś, ale nie słyszę, bo wiatr. Krzyczę do niego, że napad na posterunek kolejowy, zabójstwo i grabież, bandyta w domu, ratuj, wujku, potrzebna pomoc. I kiedy to mówiłam, z tiepłuszek czerwonoarmiści powyskakiwali na nasyp, bo to był pociąg wojskowy. No i tak, powyskakiwali żołnierze, pytają, o co chodzi, dziwią się, dlaczego pociąg zatrzymano w nocy na stromym podejździe.

Dowiedzieli się o wszystkim, wyciągnęli bandytę z piwnicy, piszczał cieniem niż Pietieńka: Zlitujcie się, dobrzy ludzie, nie zabijajcie, już nigdy nie będę. Wyciągnęli go na tor, ręce i nogi przywiązali do szyn i żywcem go przejechali pociągiem. Samosąd.

Ja już do domu po ubranie nie wróciłam, tak się bałam. Poprosiłam, żeby mnie zabrali do pociągu. Wzięli mnie i wywieźli. A potem, żeby nie skłamać, pół świata zjeździłam z biezprizornymi, gdzie ja tylko nie byłam. Ależ zaznałam swobody i szczęścia po moim gorzkim dzieciństwie! Ale też i wiele biedy i grzechu. Tylko że to było już później, opowiem innym razem. A wtedy urzędnik kolejowy wysiadł z pociągu i poszedł do stróżówki przejąć mienie państwowe i zająć się ciocią Marfuszą. Podobno umarła potem w domu wariatów. A niektórzy mówili, że wyszła z tego, wyzdrowiała.

Po wysłuchaniu tej historii Gordon i Dudorow długo przechadzali się w milczeniu po polanie. Potem przyjechała ciężarówka i ciężko, niezgrabnie zjechała z drogi na polanę. Zaczęto ładować skrzynki. Gordon powiedział:

– Zorientowałeś się, kim jest ta bieliźniarka Tania?

– Oczywiście.

– Jewgraf się o nią zatroszczy. – Po chwili milczenia Gordon dodał: – To się zdarzało już kilka razy w historii. Abstrakcyjny wzniosły ideał stawał się często materialny, grubo ciosany. W ten sposób Grecja stała się Rzymem, a rosyjskie oświecenie stało się rosyjską rewolucją. Weź choćby słowa Błoka „my, dzieci strasznych lat Rosji”, i od razu dostrzeżesz różnicę epok. Kiedy Błok mówił te słowa, należało jej rozumieć w sensie przenośnym. I dzieci nie były dziećmi, ale synami, potomkami, inteligencją, i strachy nie były straszne, lecz przeziernicze, apokaliptyczne, a są to zupełnie różne rzeczy. A teraz wszystko, co przenośne, stało się dosłowne, i dzieci są dziećmi, i strachy są straszne. Oto na czym polega różnica.

5

Minęło pięć czy dziesięć lat. Pewnego pogodnego letniego wieczoru Gordon i Dudorow siedzieli znów razem przy otwartym oknie, wysoko, nad nieprzejezdanym bezmiarem wieczornej Moskwy. Przeglądali przygotowany przez Jewgrafa zbiorek utworów Jurija. Czytali go wiele razy i połowę umieli na pamięć. Wymieniali uwagi, rozmyślali, tymczasem zapadał zmrok, czytać było coraz trudniej. Zapalili lampę.

I Moskwa w dole i w oddali, ojczyste miasto autora, miejsce, w którym przeżył połowę swych przygód, ta Moskwa wydawała im się teraz nie miejscem owych wydarzeń, ale główną bohaterką długiej opowieści, do której końca dotarli z zeszytem w ręku tego wieczoru.

Wprawdzie uzdrowienie umysłów i swoboda, których się spodziewano po wojnie, nie nastąpiły wraz ze zwycięstwem, jak tego oczekiwano, ale mimo to przecucie wyzwolenia unosiło się w powietrzu przez wszystkie powojenne lata i stanowiło ich jedyłą historyczną treść.

Postarzałym przyjaciołom siedzącym przy oknie wydawało się, że ta swoboda ducha już nadeszła, że właśnie tego wieczoru przyszłość rozpostarła się dotykalnie tam w dole, na ulicach, że oni sami wstąpili w tę przyszłość i od tej chwili są jej częścią. Pełne szczęścia i tkliwości uczucie spokoju o to święte miasto i o całą ziemię, o losy bohaterów tej historii, którzy dożyli do owego wieczoru, o ich dzieci, przenikało ich i owiewało niedosłyszalną, rozlewającą się daleko wokół, radosną muzyką. I książka w ich rękach zdawała się wiedzieć to wszystko i umacniać ich w tych uczuciach.

Część siedemnasta

Wiersze Jurija Żywagi

1

HAMLET

Ucichł gwar. Wyszędłem z za kulisy.
O drzwi wsparty, z pochyloną twarzą,
nasłuchuję w coraz głębszej ciszy,
co za mego życia się wydarzy.

Mrok bezdenny, ta ciemność ciekawa,
w jedną – tysiąc lornetek zestrzelił.
Jeśli to możliwe, Ojczy, Abba,
oddal, proszę, ode mnie ten kielich.

Zrozumiałem uparty twój zamiar
i spróbuję wystąpić w tej roli.
Lecz się teraz toczy inny dramat,
więc odmówię, jeżeli pozwolisz.

Bo porządku rzeczy się nie zwalczy
droga już ku swemu fatum bieży.
Jestem sam – dokoła pełno fałszu
to nie takie proste – życie przeżyć.

Przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk

2

MARZEC

Słońce grzeje do siódmego potu,
jar rozszumiał się pijacką śpiewką,
wiośnie w rękach pali się robota
i uwija się jak krzepka dziewczka.

Śnieg topnieje, na blednicę chory,
sine żyłki witek smętnie wiszą,
ale bucha życie z wrót obory,

zdrowiem nawet zęby wideł dyszą.

A te noce, a te dni i noce!
O południu werbel kropel dziki,
sople tają i woda bulgoce,
płyną z dachu szemrzące strumyki.

Stajnie, szopy otwarto o świcie,
dziobie ziarno ptactwa tłum niesforny
i, wszystkiego sprawca i żywiciel,
pachnie świeżym powietrzem obornik.

Przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk

3

W WIELKIM TYGODNIU

Jeszcze na świecie nocna mgła,
jeszcze tak wczesne rano,
że w niebie jest bezliku gwiazd
i jasny każdej gwiazdy blask,
i gdyby ziemia mogła tak,
spędziłaby Wielkanoc w snach,
by psalterz jej śpiewano.

Jeszcze jest nocna mgła naokół,
tak wcześnie jest na świecie,
że plac od rogu aż do rogu
jak cała wieczność padł,
że czekać musi tysiąclecie
do świtu, ciepła świat.

Ziemia jest jeszcze obnażona
i nie ma czym nocami
kołysać na dzwonnicy dzwonów,
i śpiewać z śpiewakami.

Począwszy od Wielkiego Czwartku
aż do Wielkiej Soboty
woda świdruje brzegi wartko
i wściekle wiry miota.

Las nagi, z gołą głową, rano

w dniu męki Chrystusowej
jak rzesze rozmodlone stanął
tłumami pni sosnowych.

A w mieście jak na wiecu stają
na niewielkiej przestrzeni
drzewa i – nagie – zagładają
za cerkwi ogrodzenie.

I strach ogromny na nie padł.
Zrozumiała ich trwoga:
ogrody wyszły spoza krat,
i zatrzęsł się w posadach świat,
oto chowają Boga.

I u wrót carskich widzą blask,
i czarny całun, świeczek las,
twarze zalane łzami.
A wtem procesja z obrazami
przechodzi cerkwi progi,
dwie brzozy, pilnujące bramy,
ustąpić muszą drogi.

Tłumnie, aż po chodnika skraj,
procesja idzie rosnąc,
w cerkiew z ulicy wnosi gwar
wiosenny i w powietrzu trwa
przed kruchtą posmak prosfor
i zaczadzenia wiosną.

A marzec w krąg rozrzuca śnieg,
tłum kalek kruchty obsiadł brzeg,
tak jakby naraz człowiek wszedł
i wyniósł arkę, której strzegł,
i wszystko rozdał do cna.

I trwa do świtu śpiew cerkiewny,
i, napłakawszy dość się,
pod latarniany blask niepewny
to psalterz płynie cicho z wewnątrz,
to Dzieje Apostolskie.

Lecz w północ zmilknie każdy stwór

wiosny słysząc szeptania,
że niech pogoda błysnie z chmur,
zwyciężyć będzie można śmierć
wysiłkiem zmartwychwstania.

Przełożył Seweryn Pollak

4

BIAŁA NOC

Widzę to, co się działo przed laty:
oto dom na Stronie Petersburskiej,
ty, dziedziczki córka niebogatej,
tyś na kursach, a pochodzisz z Kurska.

Jesteś miła i masz wielbicieli.
Owej białej nocy we dwoje
przycupnąwszy na twym parapecie,
w dół patrzymy z podniebności twojej.

Już latarnie niby ćmy gazowe
pierwszym drzeniem poranek przenikł.
To, co teraz z cicha ci opowiem,
jest podobne do śpiących przestrzeni!

Nas oboje ogarnia tak samo
wierność dla tajemnicy Nieśmiała,
tak zagarnia wielką panoramą
poza Newą Petersburg cały.

Tam daleko, w ostępach dziewiczych,
nocą tą, i wiosenną, i białą,
wysławianiem rozgłośnym słowiki
leśne uroczyska zapępiały.

Toczy się kłaskanie oszalałe.
Głos maleńkiej lichutkiej ptaszyny
zachwycenie budzi i zamęt
w głębi czarem przejętej gęstwiny.

Jak pątniczka bosa, w te strony
noc przekrada się wzdłuż parkanu,
za nią od parapetu się ciągnie

nagły ślad rozmowy podsłuchanej.

W tych odgłosach rozmowy się słyszy
za deskami w ogrodzonych sadach.
Drzew gałęzie, jabłoni i wiśni,
kwieciami przyodziewają się bladym.

I już drzewa niby widma białe
tłumem na gościniec się wyrwały,
jakby po raz ostatni żegnały
białą noc, co tak wiele widziała.

Przetłóżył Seweryn Pollak

5

WIOSENNE ROZTOPY

Ognie zachodu dogasały.
Poprzez roztopy w głuchym borze
włókł się, już myślą na Uralu,
włókł się, myślami już w chutorze.

Bełtała się śledziona konia.
Za dźwiękiem podków, brnących z trudem,
dźwięk wody drogą wiernie gonił
wrzenie uparte w lejach źródeł.

Kiedy zaś lejce wolno puszczał
i zwalniał kroku, wtedy z dala
wezbrany wylew wód przez puszcę
całym swym grzmotem się przewalał.

Ktoś śmiał się z kogoś, płakał po kimś,
kruszył kamienie krzemieniami.
Padały w rzeki wir, w rozutki
drzewa wydarte z korzeniami.

A gdzie w pożarze dzień się spalał
w czerni gałęzi skamieniałej,
jak hałaśliwy dzwon na alarm
słowik się miotał oszalały.

Tam gdzie swój zawój Jarosławny

pochyła iwa w ciemnych pręgach,
jak słowik-zbójca z bylin dawnych
gwizdał na wszystkich siedmiu dębach.

Jakąż to biedę, jaki smutek
wróżył swym żarem w tej godzinie?
W kogo śmiertelnym, grubym śrutem
trafił, ukrywszy się w gęstwinie?

Zdawało się, że zaraz diaskiem
z postoju katorżników zbiegłych
wyjdzie i stropi czaty wrzaskiem -
straż partyzantów, tu zaległych.

Ziemia i niebo, mgły skupione,
chłonęła dźwięk ten boru gęstwa -
cząsteczki ściśle odmierzone
bólu i szczęścia, mąk szaleństwa.

Przetłóżył Anatol Stern

6

WYZNANIE

Tak jak dziwnie przerwało się – naraz
powróciło życie bez przyczyny.
Znów przede mną ta ulica stara
jak podówczas w te letnie godziny.

Tamci ludzie, krzątania mrówcza
i zachodu pożar, co nie ostygł,
jak do ściany Maneżu go wówczas
wieczór śmierci przygwoździł na oślepie.

I tak samo kobiety w drelichach
wciąż po nocach trzewiki zdeptują,
i tak samo potem stare sztychy
na blaszanym dachu je krzyżują.

Oto jedna utrudzonym krokiem
z wolna wyszła na próg suteryny
i przechodząc koło niskich okien
głąb podwórza na ukos przecina.

Znowu myślę, jaki znaleźć wykręt,
wszystko mi obojętne tak samo,
i sąsiadka mija nas jak zwykle,
sam na sam zostawiając pod bramą.

*** ** **

O, nie płacz, nie marszcz warg spuchniętych
i nie krzyw ich. Gorączki
wiosennej możesz strup zaschnięty
niewcześnie znów rozjątrzyć.

Zdejm dłoń z mej piersi. My – to obwód
przewodów pod napięciem,
znów może rzucić nas ku sobie
niespodziewane drgnięcie.

Ty wyjdiesz za mąż, lata przejdą,
zapomnisz przeniecierstwo.
To rzecz niemała – być kobietą,
w szal wprawiać – bohaterstwo.

A ja przed cudem rąk kobiecych
ze sługi przywiązaniem -
przed cudem szyi, ramion, pleców
w nabożnej czci się skłaniam.

Lecz choć mnie skuwa uporczywie
nocy obręcz żałosna,
żądza ucieczki wciąż odżywa,
kusi namiętność rozstań.

Przełożył Józef Waczków

LATO W MIEŚCIE

Cichych rozmów odgłosy,
gesty szybkie jak słowa.
Z karku zebrane włosy
wzwyż spiętrzone nad głową.

Odrzuciwszy w tył głowę

z warkoczami w potrzasku -
spod grzebienia, surowo
patrzy kobieta w kasku.

A na dworze gorąca
noc zwiastuje deszcz po dniu,
i, powolnie człapiący,
brną ku domom przechodnie.

I przeciągle łomoce
grom, co w dali się błąka.
A na oknie trzepoce
w nocnym wietrze zasłonka.

Świat w milczenie zapada,
kiedy parność przybiera,
i błyskawic gromada
w niebie szpera i szpera.

A gdy duszny poranek
znów się w światłach ukaże,
kałuż wody rozlane
będą schły na bulwarze.

I popatrzą ku słońcu
lipy chmurne i senne,
z dawien dawna pachnące,
nieprzekwitłe, niezmiennie.

Przetłóżył Andrzej Drawicz

WIATR

Umarłem, lecz ty nie – i oto
wiatr podnoszący płacz żałosny
chce rozkołysać dom i sosny
w korony, wszystkie naraz, wali
i z siłą niebywałą dotąd
huśta bezbrzeżem leśnej dali
jak w porcie kotwiczącą flotą,
gdy w gęstwę masztów dmie znad fali.
A przecież czyni to nie po to,

by się wyżywać w pustym szale,
lecz by dla ciebie, tchnąc tęsknotą,
słowa do kołysanki znaleźć.

Przełożył Józef Waczków

9

CHMIEL

Pod uwiłą bluszczami rokitę
umykamy, by skryć się przed słońcem.
Płaszczem naszym ramiona okryte,
całą ciebie me ręce oplotą.

Omyliłem się. Gąszcze tych chaszczów
nie bluszczami uwite, lecz chmielem.
W deszczu zatem spocznijmy na płaszczu,
co szeroko pod nami się ściele.

Przełożył Adam Pomorski

10

BABIE LATO

Liść porzeczek – zgrzebny, włochaty.
W domu śmiechy, brzęk szkła, krzątanina:
tną kapustę, robią marynaty,
warzą weki, klarują wina.

Las szyderca tę wrzawę strąca
z południowych krawędzi urwiska,
gdzie leszczyna spieczona od słońca -
jakby ją popaliły ogniska.

Tutaj w jar schodzi droga ze wzniesień,
tu aż żal schnących pni i konarów,
i że wszystko śmieciarka jesień
razem z liśćmi zmiata w ten parów.

I że wszechświat jest mniej zawily,
iż niejeden mądrała mniema,
że tu gaj jakby wody spowiły,

że jest kres i ucieczki nie ma.

Że to bezsens gapić się w szyby,
kiedy wszystko spalone przed tobą -
biały kopeć masz w oczach, jak gdyby
wzrok ci spętał pajęczą żałobą.

Kręta ścieżka wśród brzóz się zatracą
biegnąc z sadu przez płot dziurawy.
W domu śmiech przy jesiennych pracach,
ten sam śmiech i w oddali mgławiej.

Przełożył Józef Waczków

11

WESELE

Przecinają skraj dziedzińca,
do zabawy pierwsi,
goście w dom oblubienicy,
z harmonistą weszli.

Za gospodarskimi drzwiami
z obiciem filcowym
tuż przed siódmą rozszeptani,
ściszyli rozmowy.

A o zorzy snem głębokim
spać by, spać aż do rana.
Znów wyrwała się do okien
weselna melodia.

I rozsypał na harmonii
harmonista szczodry
blask błyskawic i plask dłoni,
zgiełk i gwar melodii.

I już znowu, znowu, znowu
gwar wesołej pieśni
wdarł się, pomknął ku wezglowiu
pogrążonych we śnie.

I od razu, jak śnieg biała,

z szumem i świstaniem
piosenka pawio zapląsała
kołysząc biodrami.

I już głową, ramion łukiem,
i już ręką prawą
napuszyła się nad brukiem
pawio, pawio, pawio.

Nagle ten taneczny zapał,
tupot korowodu
zaprzepaścił się i zapadł,
zniknął jak pod wodą.

I obudził się dziedziniec,
krzątający echo
wmieszało się w gadaninę
i w wybuchy śmiechu.

W górze siwych plam wichurą
w nieobjętą głębię
z gołębników wylatując
wzbiły się gołębie.

Rzekłbyś, za weselem w ślad,
ledwie ze snu wstali,
z życzeniami do stu lat
w pogoń je wysłali.

Życie – tylko jednym błyskiem,
tylko rozplynięciem
w wszystkich innych – naszych istnień,
jak dla nich w prezencie.

Tylko gwar weselnych scen
w okna rwie się z dołu,
tylko piosnka, tylko sen,
tylko siwy gołąb.

Przełożył Mieczysław Jastrun

JESIEN

Bliskich rozmiotły dawne burze,
domowi wyjechali teraz,
i wszystko, w sercu i naturze,
ku samotności się otwiera.

W małej chatynce z tobą mieszkam,
w lesie, gdzie pusto i głuchawo,
gdzie, jak w piosence, każda ścieżka
pozarastała mchem i trawą.

Tu śledzą z melancholią zmierzchu
naszą samotność ściany grube...
Nie obiecaliśmy brać przeszkód,
więc jawną wybieramy zgubę.

Ja wezmę książkę, ty swe szycie,
i przesiedzimy do wieczora,
nie połapawszy się o świcie,
że mija pocałunków pora.

Niech więc spadają liście złote
jeszcze pogodniej, szumniej, czulej,
i niech wczorajszy dzban zgryzoty
dzisiejszym przepelniają bólem.

Wierności, namiętności czarze!
Rozpłynęmy się w jesiennej dali!
We września szumie i bezmiarze
graż się, zamieraj lub oszalej!

Ty tak rozstajesz się z sukienką,
jak brzoza ze zrzuconym liściem,
kiedy się kłonisz ku moim rękom
w szlafroku, lśniącym jedwabście.

Tyś krokiem w przepaść, co pomaga,
gdy w życiu trudniej niż w chorobie,
bo sercem piękna jest odwaga
i to popycha nas ku sobie.

BAŚŃ

Dawno, przed wiekami,
w baśniowej krainie,
między bodiakami
jechał po równinie.

Przed nim bój, pożoga,
a w stepowym kurzu
w ciemnym lesie droga
ginęła na wzgórzu.

Serce z niepokoju
w piersiach się kołace:
Strzeż się wodopoju,
unieś się w kulbace.

Głuchy na głos strachu,
z wiatrem szedł w zawody,
aż dopadł z rozmachu
lesistej przeszkody.

Zatoczywszy koniem
zjechał w dół ze stoku
i górę za błoniem
pozostawił z boku.

Ruszył dnem kotliny,
lasem bez postoju,
odnalazł zwierzyny
trop do wodopoju.

Nie miał we zwyczaju
ucha dawać trwodze -
konia do ruczaju
sprowadził za wodze.

** ** *

Jama nad strumieniem -

u samego brodu,
jarzy się płomieniem
siarka u jej wchodu.

Krwawy dym z otworu
jaskinię przesłania,
lecz biegną po boru
odległe wołania.

Z dreszczem w jar przestronny
spiesząc na wezwanie
stępa ruszył konny
ku owej polanie.

Wyteżając oczy
do ciosu się składa,
łeb zobaczył smoczy,
chwest i łuskę gada.

Smok rozwarł paszczękę
gorejąc płomieniem,
otoczył panienkę
potrójnym pierścieniem.

Pierścienie się wiją -
nad czołem dziewiczym
cielsko giętką szyją
kołysze jak biczem.

Wedle obyczaju
potworowi w lesie
dzieweczkę w tym kraju
w ofierze się niesie.

Smoka sycąc łupem
dziewczęcej urody
zyska lud okupem
spokój swej zagrody.

Gad rękę panienki
i gardło owija,
wydaną na męki
uciskiem zabija.

Jeździec uniósł głowę
z milczącą modlitwą
i drzewce bojowe
pochylił przed bitwą.

** ** *

Zamknięte powieki.
Niebios, obłoki.
Wody. Brody. Rzeki.
Lata i epoki.

W szyszaku rozbitym
jeździec, ran posoka.
Wierny koń, kopytem
tratujący smoka.

Koń i cisza głucha -
w piasku ścierwo smocze.
Jeździec jak bez ducha,
dzieweczka w omroce.

Błękit. Bładość zwiewna,
jasność południowa.
Kto ona? Królowna?
Ziemi córa nowa?

To w łzach szczęścia oczy,
w potrójnym strumieniu,
to dusza w niemocy -
w śnie i w osłupieniu.

To serce ożywa,
to martwieją żyły,
z rany krew upływa
i topnieją siły.

To on którejś chwili,
to znów ona blada
obudzić się sili
i znów w sen zapada.

Zamknięte powieki.

Wody. Brody. Rzeki.
Niebios. Obłoki.
Lata i epoki.

Przełożył Adam Pomorski

14

SIERPIEŃ

Nie okłamawszy – słońce rano
wniknęło, wierne obietnicy,
kładąc ukośny pas szafranu
po sofę aż – do okiennicy.

Pokryło gorejącą ochrą
domy i las w pobliżu wioski,
me łóżko i poduszkę mokrą,
półkę, na której stoją książki.

I oto sobie przypomniałem,
skąd ślady łez na mej pościeli.
Śniłem, że szliście tłumem całym,
by mnie pożegnać, przyjaciele.

Wyście krok w krok przez las kroczyli,
nagle przypomniał ktoś, że właśnie
był szósty sierpnia dawniej – czyli
że dzisiaj Przemienienie Pańskie.

Jak zwykle w dzień ten zstępowała
z Taboru jasność nieognista
i jesień oczy przykuwała
jak symbol – złotopromienista.

Z nagiej, trzęsącej się i malej
olszynki w las cmentarny szliście,
co jak pierniki płonął cały
czerwono-imbirowym liściem.

Z wierzchołkiem drzew – już wiatr w nich ucichł -
sąsiadowało niebo wzniośle.
A dal echami piał kogucich
nawoływała się na oślepi.

Jak geometra urzędowy
śmierć stała na cmentarzu starym
patrzac mi w twarz, by dół grobowy
wykopać podług mojej miary.

Mógł każdy namacalnie odczuć
spokojny głos czyjś za ramieniem.
To brzmiał mój dawny głos proroczy,
nie naruszony śmierci tchnieniem:

„Błękicie Przemienienia, żegnaj,
zbawienia złotem lśniąc – obiecaj,
że gorycz czasu przedśmiertnego
czułość złagodzi mi kobieca.

Żegnaj, niedawnych lat zamęcie.
Żegnaj, kobieto, bój tocząca
z dnem poniżenia nieugięcie!
Jam polem twoich walk – do końca.

Żegnaj, rozmachu uskrzydłony,
lotu swobodna zawziętości,
świecie mój, słowem objawiony,
twórczości i cudotwórczości.”

Przełożył Józef Waczków

15

NOC ZIMOWA

Po całej ziemi wciąż śnieżyło,
wszędzie śnieg leciał,
świeca na stole się paliła,
płonęła świeca.

Jak gęste roje muszek w lecie
lecą na płomień,
tak płatków rój ze dworu leciał
ku ramie w oknie.

Do szyby zamieć się lepiała
w kręgach i krezach,

świeca na stole się paliła,
płonęła świeca.

Na sufit cały rozświetlony
kładły się cienie
skrzyżowań nóg, skrzyżowań dłoni
i przeznaczenie.

I dwa trzewiki upadały
na ziemię z stukiem.
I wosk z lichtarza kapał łzami,
spadał na suknię.

Wszystko w mgle śnieżnej się gubiło
płatków, co lecą.
Świeca na stole się paliła,
płonęła świeca.

Na świecę dmuchał z kąta przeciąg.
Pokusa płonąc
jak anioł skrzydła wzniosła lecąc
na krzyż złożone.

Przez cały luty wciąż śnieżyło
i blask się wzniecał:
Świeca na stole się paliła,
płonęła świeca.

Przetoczył Seweryn Pollak

ROZŁĄKA

Od progu patrzy, nie poznaje
opuszczonego domu.
Ucieczką wyjazd jej się zdaje
wszędzie ślady rozgromu.

Wszędzie w pokojach straszny chaos.
Ale jemu zniszczenia
wyraźnie widzieć łzy nie dają
i ataki migreny.

W uszach od rana coś mu szumi
przytomny jest? Majaczy?
I czemuż mu zaprzęta umysł
myśl o morzu, co wraca?

Kiedy za oknem oszronionym
cały świat Boży ginie,
tęsknoty beznadziejność płona
jest jak morza pustynia.

Tak mu w niej drogie było wszystko, każdy rys twarzy tkliwy,
jak morzu jest wybrzeże bliskie
całą linią przyływu.

Tak jak nadbrzeże topi trzciny
wód po sztormie wzburzenie,
tak na dno jego duszy spłynął
jej zarys i spojrzenie.

W latach tułaczki, strasznych losach
życia nie do zniesienia
z dna fala losu ją przyniosła
wyrokiem przeznaczenia.

Wśród setek przeciwności, z dala,
zagrożenia mijając
wciąż niosła ją i niosła fala -
do niego przybijając.

I oto wyjechała teraz,
pod przymusem być może!
Rozłąka ich oboje zżera,
tęsknota z kośćmi pożre.

A on rozgląda się ponury:
Ona w chwili ostatniej
powyrzucała dnem do góry
wszystko z każdej szuflady.

On błąka się przez wieczór cały
i składa do komody
jakieś gałganki, co zostały,
i jakieś wzory mody.

I gdy się na jakiś natknął hacik
z igłą dotąd w nim tkwiącą,
nagle na nowo ją zobaczył
i otarł łzę piekącą.

Przełożył Seweryn Pollak

17

SPOTKANIE

Zasypie śniegiem przejścia,
zawali dach zaspami,
wyjdę, by trochę przejść się:
za drzwiami cię zastanę.

Sama, w jesiennym palcie,
bez botów i szalika,
ty ze wzruszeniem walczysz
i mokry śnieżek łkasz.

Drzewa, płoty, ulice
w dal biegną, w głąb tumanu,
sama pośród śnieżycy
stoisz na skrzyżowaniu.

Woda spływa po włosach,
w rękawy i za kołnier, z
i krople niby rosa
rozbłyskują, ogromne.

I te kosmyki płowe
rozświetlają twarz całą,
chustkę na twojej głowie,
palcocik wyszarzały.

Śnieg na rzęsach ci stają,
w oczach twych smutek, miła,
postać twa się wydaje
jak gdyby z jednej bryły.

Jak gdyby ktoś żelazem
zmoczonym w antymonie

jednym cięciem mnie raził,
tobą po sercu ciął mnie.

Na zawsze zapamiętam
widok twarzy twojej smutnej,
toteż mi obojętne,
że świat jest tak okrutny.

Stąd też dwoi się ciągle
cała ta noc w śnieżycy -
między nami nie mogę
przeprowadzić granicy.

Lecz kim jesteś, powiedz,
jeśli z lat, skąd idziemy,
pozostały obmowy,
a nas na świecie nie ma?

Przełożył Seweryn Pollak

18

GWIAZDA WIGILIJNA

Dął wicher ze świstem.
I było Dzieciątku
zbyt chłodno w stajence, w odludnym zakątku
na zboczu urwistym.

Wół swoim oddechem niemowlę ogrzewał -
bo zwierzę też stało
w pieczarze pod skałą,
i ciepły obłoczek jasełka ogrzewał.

Z kozuchów strzepnąwszy wczepione paździerze
i ostki jęczmienia
wyrwani z uśpienia
w dal patrzyli ze wzgórza pasterze.

A w dali był cmentarz, śnieg biały za czarnym
parkanem, mogiły,
draż w zaspie pochyły
i niebo gwiazdziste nad polem cmentarnym.

I gdzieś tam nieśmiało jak lampka oliwna
u stróża w okienku
mruwała po ciemku
na drodze do Betlejem gwiazda przedziwna.

Jak suchy stóg siana płonęła, daleka
od nieba i Boga,
jak nagła pożoga
od iskry w obejściu, jak pożar sąsiedka.

Wznosiła się stertą palącej się słomy
pośrodku kosmosu,
wstrząsając nim stosu
widokiem, tej gwiazdy wśród gwiazd nieznajomej.

Był znak jakiś w łuny rosnącej czerwieni.
I brnęli w ponowie
trzej astrologowie
niezwykłych płomieni wezwaniem zbawieni.

Szły juczne wielbłądy z darami na grzbiecie.
Drobnymi kroczkami w uprzęży swej osły
szły w dół, niepokaźne, z stromizny wyniosłej.

A rzeczy, co potem się zdarzą na świecie,
jak zjawy przyszłości wschodziły i rosły.
I myśli, i sny ze stulecia w stulecie,
muzea, galerie, późniejsze ich dzieje,
i wróżki psotliwe, i źli czarodzieje,
i wszystkie na świecie choinki, sny dzieci.

I drzenie palących się świeczek, łańcuchy,
i blask cały, którym anielski włos świeci...
...i wściekłe podmuchy, wiatr mroźny i suchy...
...i jabłka, i bombki w złocistej zamieci...

Staw częścią się krył za olszyną nad brzegiem,
a część było świetnie stąd widać pod śniegiem
zza drzew, których gawron na gnieździe swym strzeże.
I mogli się dobrze przypatrzeć pasterze,
jak idą po grobli wielbłądy szeregiem.
I rzekli pasterze: – Ruszajmy stąd biegiem
i w dobrej cudowi pokłońmy się wierze.

Po śniegu człapali zziębnięci z gorąca,
jak płatki mikowe w postaci skrzęć bladej
śląd bosych stóp biegł za sadyby osady.
Pod gwiazdą jaśniejszą niż świeca płonąca
owczarki warczały na skrzęce się ślady.

Noc miała coś z baśni. I coraz to z boku
cień niepostrzeżenie przyłączał się w mroku
do brnącej po śnieżnym wydmuchu gromady.
Lękając się zdrady zwalniały psy kroku
i lgnęły do ludzi w przeczuciu zagłady.

A w ciżbie tej, w tłumie, gdzie ludzie szli prości,
z innymi ciągnęli gościńcem anieli,
co, choć niewidzialni w swej bezcielesności,
śląd stopy co krok odciskali na bieli.

Lud stłoczył się cały u skalnej przeszkody.
Świtało już. Cedrów się pnie rysowały.
A ktoście wy, ludzie? – Maryja im powie.
– My plemię pastusze i nieba posłowie.
Obojgu wam przyszedłszy śpiewać dla chwały.
– Nie tłóczcie się tak, narobicie tu szkody!...

W szarówce przedświtu jak popiół zetlełej
dreptali owczarze niepomini swej trzody,
kłócili się piesi z konnymi u wozu
i u wydrażonej pojące się kłody
ryczały wielbłądy i osły wierzgały.
Świtało już. Z nieba szarego dzień młody
omiatał gwiazd resztki jak sadze z powały.
I tylko trzech mędrców za wrota zagrody
wpuściła Maryja pod niski strop skały.

A on jaśniejący w dębowym spał żłobie
jak promień miesiąca na dnie dziupli suchej.
Warg oślich dotknięcie i wołu na sobie
czuł oddech, co grzał jak baranie kozuchy.

Zniżając głos w cieniu się trzej ustawili
słów z trudem szukając w półmroku stajenki.
Aż nagle w ciemnościach ktoś wszedł w pewnej chwili

i mędrca od jaseł odsunął ruch ręki,
a ten się obejrzał: to w postać Panienki
od progu wpatrzyła się gwiazda Wigilii.

Przełożył Adam Pomorski

19

ŚWIT

Znaczyłeś wszystko w moim losie.
A potem wojna i ruina -
na długo, długo w tym chaosie
o tobie wszelki słuch zaginał.

Aż głos twój, głos twój, który zamarł,
po latach znowu mnie poruszył.
Czytałem nocą twój testament,
ożyłem jak z omdlenia duszy.

Do ludzi śpieszno mi, do tłumu,
w ranne krzątania i zajęcia,
i w tej gonitwie nierozumnej
rad bym ich zmusić do klęknienia.

I oto razem z nimi biegnę,
jak gdybym po raz pierwszy wyszedł,
na tę ulicę, całą w śniegu,
i na wymarłej jezdni ciszę.

Wstają i palą światła, piją
herbatę, spieszą do tramwaju,
i miasto w ciągu kilku minut
samego siebie nie poznaje.

Po bramach zamieć sieci wiąże
ze spadających ptaków; wszyscy
śpieszą się, biegną, aby zdążyć
na czas, nie zjadłszy, nie dopiwszy.
Ja za nich wszystkich czuję, za nich,
jak gdybym cały był w ich skórze,
taje, jak słońcem śnieg nagrzanym,
to znowu się jak niebo chmurzę.

Ze mną są ludzie bez nazwiska.
Piecuchów, dzieci, drzew sąsiedztwo,
Jam zwyciężony przez nich wszystkich -
i tylko w tym moje zwycięstwo.

Przełożył Wiesław Karzewski

20

CUD

Do Jeruzalem od Betanii strony
szedł wczesnych przeczuć smutkiem udręczony.

Cień wypalony sterczał z nagiej skały,
dym z chat pobliskich nie zbłądził pod skłony,
wrzące powietrze, potok skamieniały,
Morza Martwego spokój nie zmacony.

Z goryczą morza gorycz szła w zawody.
Sam, otoczony tylko obłokami,
w kurzawie drogi do czyjejs zagrody
zmierzał do miasta, by zejść się z uczniami.

Idąc wciąż w głębsze wpadał zamyślenie,
aż piołun buchnął z pola zbołałego.
Wszystko ucichło. Dookoła niego
objęło obszar u stóp odrętwienie.
Splątane wszystko: piach, żar, a do tego
jaszczurek roje, zdroje i strumienie.

Figowiec obok górował nad szlakiem,
lecz fig nie było wśród gałęzi, liści.
Rzekł doń wędrowiec: „Nie dajesz korzyści -
jak tu radować się bezpłodnym pniakiem?”

Pragnę i łaknę, a ty jesteś płony,
mniej, napotkany, cieszysz niż granaty.
Jakżeś wzgardliwy, jakżeś nieużyty!
Pozostań taki po wiek nieskończony.”

Przebiegły drzewo dreszcze potępienia,
jak iskry gromu po piorunochronie,
Zgorzało całkiem, niczym od płomienia.

Może, po chwili swobody, w obronie
gałęzi, liści, pniaka i korzenia
prawo natury zadbałoby o nie.
Lecz cud jest cudem, jak cudem jest Bóg.
Kiedy w zamęcie z trwogą łamiesz dłonie
nagle, znienacka dosięga cię cud.

Przełożył Stanisław Ullicki

21

ZIEMIA

Gdy do moskiewskich pałacików
wiosna się gwałtem wdziera z pola,
zza szafy wyfruwają mole,
pełzną po jasnych melonikach,
a futra się do szafy chowa.

A na drewnianych antresolach
stoją doniczki z lewkoniami,
z hiacyntami i z lakami,
w pokojach lekko się oddycha
i kurzem pachną mroczne strychy.

I już jak za pan brat ulica
ślepową wita okiennicę,
już nie rozminą się nad rzeką
zachód i biała noc daleka.

I już usłyszeć można z sieni
to, co rozgrzewa się w przestrzeni,
o czym w rozmownym podnieceniu
z kroplami wody gada kwiecień.
On zna historie niezliczone
o ludzkim smutku nieskończonym.
I jak na płotach zorze płoną,
i znów się ta mitręga plecie.

Płomieni z lękiem przemieszanie
w dali, na dworze i w mieszkaniu,
wszędzie powietrze coś nie swoje.
I witki wierzb przeświecające,

i białe bazy pęczniejące
w oknie i na ulicy w słońcu,
na drodze i w pracowni mojej.

Więc czemu płacze dal w tumanie
i gorzko pachnie obornikiem?
Na to jest moje powołanie,
by poza miasta opasaniem,
gdy ziemia sama tu zostanie,
dal nie tęskniła już za nikim.

Dlatego wczesną wiosną cierpką
przychodzą do mnie przyjaciele,
nasze wieczory – pożegnania,
testamentami – ucztowania,
aby tajemna struga cierpień
rozgrzała zimno bytowania.

Przełożył Seweryn Pollak

22

NIEDOBRE DNI

Gdy wjeżdżał do Jeruzalemu
w triumfie, ostatniej niedzieli,
Hosanna! – tłum wołał ku Niemu
i zieleń pod stopy Mu ścielił.

Lecz serca już stały się twarde,
a dni, co nadeszły – surowe.
I twarze z grymasem pogardy -
to koniec, ostatnie już słowo.

Cieżarem ołowiu na duszę
niebiosa pochmurne nawisły,
zebrali się faryzeusze, fałszywi, podstępni jak lisy.

I oto na sąd jest oddany
łotrowski, i w tej samej chwili
już lżą Go z zapalem tym samym,
jak pierwiej Go wszyscy sławili.

A tłum na dziedzińcu w oddali

przez wrota zaglądał ciekawie,
jedni przez drugich się pchali,
ażeby się przyjrzeć rozprawie.

Szept płynie przez cizby szeregi,
pogłoska z pogłoską się zmienia,
dzieciństwo, ucieczka i Egipt
snem stały się w jego wspomnieniach.

I wspomniał swój post na pustyni,
królestwa i moc tego świata,
widziane ze stromej wyżyny,
którymi chciał skusić Go szatan.

I gody weselne tam, w Kanie,
gdy wodę na wino przemienił,
i morze, przez które w tumanie
do łodzi tak szedł, jak po ziemi.

Lepiankę, co dach miała z łozy,
grób ciemny i tłumy nędzarzy,
i świecę, co zgasła ze zgrozy,
gdy z martwych podnosił Łazarza...

Przełożyła Ewa Rojewska-Olejarczuk

MAGDALENA

I
Więc noc. Nadeszła noc z demonem.
Za durną młodość to zapłata.
Przyjdą – wie serce przestraszone -
wspomnienia o niedobrych latach.
Przez mężczyzn ciało hołubione
miałam nie wiedząc, co zatrata.
Ulicę nazywałam domem.

Brakuje minut kilkunastu
i zanim skończy się czekanie
na ciszę grobu wśród hałastry,
na znak mojego pokajania
me życie, czarę z alabastru,

u Twoich stóp rozbijam,
Panie.

Gdzież ja bym teraz nie bywała,
Nauczycielu, Zbawicielu,
gdyby u stołu nie czekała
wieczność jak klient. Noc nastąpiła.
W noc sieć rzemiosła splątywała
kochanków mych, wciąż nowych wielu.

Wyjaśnij mi, co bywa grzechem,
co piekło, śmierć, ogień siarczany.
To po to gapiom na uciechę,
jak konar z drzewem powiązany,
jam z Tobą – prosząc o pociechę.

Jezu, jeżeli stopy Twoje
na moim utulę kolanie
i krzyż Twój poznam – minie boleść?
Belki, graniastych ramion dwoje.
Jak – oszalała – żal ukoję,
gdy ciała czeka mnie grzebanie?

Przełożyła Dorota Chróścielewska

24

MAGDALENA

II

Jak przed świętem sprzątanie, przepierka,
Tumult. W cichszą idziemy stronę.
I obmywam krzyżmem wprost z wiaderka
Twe najczystsze stopy zdrożone.

Ale próżno szukam, gdzie sandały.
Ślepną oczy łzami zalane.
Niczym całun na nie pospadały
włosy długie, włosy splątane.

Na podołku Twe stopy wspierałam,
aby łzami je myć, Jezusie.
Koralami Ciebie oplątałam.
Tyś we włosach mych, jak w burnusie.

Przyszłość widzę: każdą chwilę drobną.
Wiem o Twoim postanowieniu.
I mogłabym ogłosić żalobną
wieść o nieludzkim jasnowidzeniu.

Oto spada w świątyni zasłona.
Myśmy w ciasne kółko się zbili.
Pod stopami ziemia roztrzęsiona.
Czy mi w strasznej współczuje chwili?

Oto konwój odchodzi rzędami,
ktoś już odjazd konnych ogłosił.
Nawałnicy huk ponad głowami.
Krzyż ramiona do nieba wnosi.

Wryta w ziemię, u Twych stóp zgięta,
do krwi usta będę zagryzać.
Wszystkim dłoniom do Cię wyciągniętym
bez wyjątku przebaczasz z krzyża.

Trzeba niebu takiego cierpienia?
Trzeba niebu aż takiej męki?
To aż tylu ludzi nosi ziemia?
Tyle siedlisk, rzek, chaszczy gęstych?

Lecz przeminą, przeminą trzy doby,
wielka pustka rzuci wyzwania,
bym w okrutny czas mojej żaloby
dorastała do Zmartwychwstania.

Przełożyła Dorota Chróścielewska

OGRÓD GETSEMANE

W poświęcie gwiazd, co obojętnie lśniły,
był zakręt nocnej drogi pograżony.
Droga po Górze Oliwnej się wiła,
a pod nią, w dole, płynął nurt Cedronu.

I była łąka, urwana w połowie,
ażeby dalej zostać Drogą Mleczną,

i srebrnosiwie drzewa oliwkowe,
chcące wyruszyć w podróż napowietrzną.

A potem był czyjś sad i mur, i pole.
Więc uczniów swych tam odprawiwszy, w ciemność -
powiedział: „Dusza ma śmiertelnie boli.
zostańcie i czuwajcie razem ze mną.”

Pożegnał się już wcześniej, bez sprzeciwu,
jak to się czyni z pożyczoną rzeczą,
z wszechmocą cudów czynienia i dziwów,
aby jak my, swą dolę nieść człowieczą.

A nocna dal sięgała ku krawędzi
zagłady, ginąc w niebytu otchłaniach.
Przestrzeń wszechświata ziała pustką wszędzie,
i tylko ogród istnienie ochraniał.

I, spoglądając w otwarte otchłanie
pustki bezbrzeżnej za murem Ogrójca -
„Oddal ode mnie kielich śmierci, Panie” –
Upraszał, w krwawym pocie, swego Ojca.

Kojąc modlitwą śmiertelny niepokój
wyszedł za mur i ujrzał, jak uczniowie,
snem utrudzonych zmożeni głęboko,
porozkładali się w przydrożnym rowie.

Zbudził ich, mówiąc: „Pan chciał, byście żyli
w mych czasach – wy zaś leżycie bez pieczy.
Lecz oto z woli nieba przyszła chwila,
gdy się grzesznikom odda Syn Człowieczy.”

Ledwo to rzecze, już nadciąga śmieie
sług i włóczęgów zgraja, tłum zbójecki,
z ogniem i mieczem. A Judasz na czele
swoją pocałunek przynosi zdradziecki.

Piotr miecz dobywa, by powstrzymać sfore,
i ucho słudze kapłanów usiecze.
Lecz słyszy: „Oręż nie rozstrzyga sporu.
Odłóż żelazo na miejsce, człowiecze.

Toć wszystkich swoich zastępów skrzydlatych
Ojciec nie pożałowałby Synowi,
aby, nie tknąwszy nawet mojej szaty,
bez śladu rozproszyli się wrogowie.

Lecz księga życia osiągnęła stronę,
co droższa jest ponad świętości same.
Co napisane, ma być wypełnione,
niechaj więc oto się wypełni. Amen.

Widzisz, wiek wieków jest niby przypowieść,
gotowa jasnym wybuchnąć płomieniem.
By jej strasznego majestatu dowieść,
do grobu zstąpię, pogodzon z cierpieniem.

Do grobu zstąpię i z martwych powstanę,
i tak jak tratwy, spławione głębiną,
na sąd mój, niby barek karawany,
stulecia wolno z ciemności popłyną.”

Przełożył Andrzej Drawicz

SPIS TREŚCI

KSIĘGA PIERWSZA

Część pierwsza

Część druga

Część trzecia

Część czwarta

Część piąta

Część szósta

Część siódma

KSIĘGA DRUGA

Część ósma

Część dziewiąta

Część dziesiąta

Część jedenasta

Część dwunasta

Część trzynasta

Część czternasta

Część piętnasta

Część szesnasta

Część siedemnasta